

Czy piękna Anka współpracowała z ochroną?

Legowisko

MAREK SOLTYSIK

szakali

Świat Książki

Przez bohaterów powieści przesiąkają – jak krew przez warstwy bibuły – żywi kiedyś ludzie.

Początek XX wieku. Anka, studentka medycyny, potem lekarka, kobieta nowoczesna i śmiała jak na owe czasy, jest uwikłana w dwa procesy. Jeden o zniesławienie podejrzeniem o szpiegostwo na rzecz ochrony, drugi o zamordowanie znakomitego adwokata Romana Gałę, jej obrońcy w pierwszym procesie, a jednocześnie przyjaciela i kochanka. W tle toczy się proces pisarza i filozofa, Stanisława Brzozowskiego, któremu również postawiono zarzut współpracy z ochroną. W przebranych bohaterach można rozpoznać postaci wiekiej polityki, koryfeusza nauki, lekarzy, prawników, osobistości świata sztuki – elity Krakowa początku minionego wieku.

M. Władysław Winiarski



Marek Soltysik (ur. 1950) – malarz, pisarz, dziennikarz, redaktor. Autor wielu powieści, m.in. *Debory*, zbiorów opowiadań, tomików wierszy i słuchowisk radiowych. Na łamach „Palestry” zamieszczał szkice o znanych polskich twórcach, które ukazały się następnie w książce *Piękni szaleńcy, czyli sztuka skandalem podszyta*.

proj. okładki: LUKAS, for: Thrash Press Media

www.swiatksiazki.pl

ISBN 978-83-247-0744-7



Cena 32,00 zł

Nr 6034

Lęgowisko

MAREK SOŁTYSIK

szakali


Świat Książki

Redaktor prowadzący

Katarzyna Krawczyk

Redakcja

Maja Fuksiewicz

Redakcja techniczna

Małgorzata Jużwik

Korekta

Anna Sidorek

Alicja Chylińska

Copyright © by Marek Sołtysik, 2007

Autor dziękuje Ministerstwu Kultury i Dziedzictwa Narodowego za pomoc finansową.

Świat Książki

Warszawa 2007

Bertelsmann Media sp, z o.o.

ul. Rosoła 10, 02-786 Warszawa

Skład i łamanie *Joanna Duchnowska*

Druk i oprawa Łódzka Drukarnia Dziełowa SA

ISBN 978-83-247-0744-7 Nr 6034

CZEŚĆ PIERWSZA

Kobieta zhańbiona

1. Wypadek

Pociąg z lokomotywą parową wyłonił się z pochwy sosnowego lasu. Mknął przez piaszczyste rozłogi, jakby płynął w bawarce, potem przez zamrożone błota - i oto nadszedł moment (to był akurat ten wyjątkowy wypadek), kiedy rytm stukotu kół o łączenia szyn wzbudził niepokój podróżującego zimą 1905 roku: parowóz bowiem jakoś nie zwalniał biegu, choć mijane zabudowania, najpierw biedne, zszarzałe, pozbijane z desek, zaraz potem okazalsze, z kamienia, niekiedy nawet wykończone ciosem, wskazywały, że już się zbliża do miasta.

Coś musiało być nie w porządku.

Dopiero teraz. Aha! Przenikliwy, jak flet z ukrytym ostrzem, gwizd lokomotywy. To kolejarze nazywają świst.

Zewsząd, z całą ich solidnością, wzleciały gawrony, rozsypując waciki suchego śniegu.

Pociąg zatrzymywał się może nie tyle gwałtownie, ile stopniowo a zdecydowanie. Jego skład stanowiło siedem wagonów, z których każdy dzielił się na kilkanaście przedziałów z osobnymi drzwiczkami po obu stronach szyn. W wykwinnym przedziale drugiej klasy Anka, starając się ukryć popłoch, patrzyła to na najbliższe drzwi - przy których siedziała - to na przeciwległe. A tam właśnie przed chwilą wstrząs i pisk wyrwał z drzemki ortodoksyjnego Żyda w czarnym jak sadza kapeluszu i w porządnie uszytym, ciemnym płaszczu. Na kołnierzu raz po raz zmieniała położenie plama na podobieństwo wyszarpanego arkusza papieru - siwa broda, istniejąca sobie swobodnie. Żyd wyciągnął z zanadru chustkę do nosa, dużą jak powłoczka na

jasiek, chuchał na zaparowaną szybą, przecierał okno na świat. Po przeciwnej stronie to samo, tylko rękawem, robiła Anka.

- Ho, ho! Granica - powiedział starozakonny. - Zaraz tu zrobią przeciąg.

Student z rudawymi baczkami odłożył książkę i patrząc znacząco na drzwi, zwrócił się z niemym pytaniem: do Żyda, do matrony w okularach o niebieskich szklach oraz do Anki. Mniej starannie powiódł wzrokiem po trójce innych, zupełnie rozespianych pasażerów. Więc dobrze! Wszyscy zgodnie narzucali na siebie okrycia, a matrona poza tym ubierała śpiącą jeszcze, pięcioletnią może dziewczynkę. Na znak pełnej gotowości współpasażerów student otworzył drzwi. Po stronie starozakonnego był peron. Za swoim oknem Anka zobaczyła strażnika na tle innego stojącego pociągu. Mroźne powietrze wpadło do przedziału wraz z widokiem na reprezentacyjną budowlę, trochę sprawiającą wrażenie ujeżdźalni, którą dyspozycyjnemu budowniczemu kazano przerobić na gmach opery. Na niej tablice z podwójnymi napisami „Maczki” oraz „Granica”, po polsku i grażdanką. Wokół godła Austrii, Rosji i Prus.

Na peronie i wokół roilo się od rozmaitych mundurów. Tu błękitnawe szarości, tam czarna kawa z mlekiem, w którą wpadła sadza i ktoś to nierozsądnie pomieszał; zielenie od zimnych, szmaragdowych, po niemal żółte, ale nie khaki. Rosyjscy żandarmi eskortowali niskiego mężczyznę, który stawiał kroki tak, jakby miał powiązane uda. Był kosooki, z nalaną twarzą o cerze nałogowego palacza, z wyraźnie wystającymi kośćmi jarzmowymi. Miał zarost przycięty zgodnie z modą: rudawą bródkę w klin, szary wąsik. Właśnie z łysawej głowy spadała mu czapka z materialnym daszkiem; jeden z żandarmów schwyił ją w locie, inny bystro zlustrował, czy spod czapki coś podejrzanego nie wypadło na bruk.

Może wypadło, może wpadło... z rękawa żandarma.

- Mamy szczęście - powiedział znienna student. - Lepszego gościa upolowali.

- My mamy szczęście? - mruknął szyderczo starozakonny.
- To oni, ci tam, mogą sobie myśleć, że mają szczęście. I oni

mogą mieć rację. Teraz dopiero nabiorą apetytu. - Począł się obmacywać: po kamizelce, po udach. - O! - zażartował - jak ja schudłem!

Matrona opuściła na czubek nosa niebieskie szkła, nie wiedząc czemu wbiła wzrok w Ankę: - Rewizja? To obraza dla człowieka, który nie ma nic do ukrycia, prawda? - Nie czekając na odpowiedź, zdjęła okulary, schowała je do szylkretowego etui, strzepnęła z kolan nieważny pyłek i jęła potrząsać dziewczynką. Mała otworzyła chabrowe oczy.

- O, jak ładnie... To już Warszawa. Mamusia przyjdzie.

- Dziecko - wrzasnęła matrona - to na razie Kąt Trzech Cesarzy!

- Ja nie chcę! - Dziewczynka wyrywała się stanowczo, coś musiała sobie przypomnieć, zeszywniała nagle, zanosła się szlochem.

I wtedy ktoś zasłonił pejzaż: w drzwiach przedziału ukazała się postać pana w ubraniu koloru namiastki kawy z rozwodnionym mlekiem, który kręcił się już wcześniej, niby niepostrzeżenie, po dworcu w Krakowie. (Anka wówczas sądziła, że jest lubieżnikiem, najczęściej bowiem wzrok zatrzymywał na kibiciach i damskich gorsach). Teraz odtajnił się słowami: - Szanowni państwo pozwolą wraz z bagażami do budynku stacyjnego celem kontroli. Z usług bagażowego - dodał - można chwilowo korzystać nieodpłatnie. Nie bardzo jest się z czego podśmiechiwać, panie student, nu...

Chabrowooka dziewczynka wpadła w coś, co można określić jako regularną histerię, nos matrony zrobił się fioletowy. Pierwszy z fibrową walizką wyszedł na peron starozakonny. Korzystając z nagłego ruchu, bałaganu i zgiełku, Anka sprężyła się i z całych sił przesunęła swój ciężki kufer w mroczny kąt pod ławką po przeciwnej stronie przedziału. Tymczasem tajniak z żandarmami i otoczony swiłą bagażowych eskortował wysiadających.

Anka nie kwapiła się do wyjścia. Wszedł ten słabokawowy tajniak. Lustrował przedział. Rzucił okiem na kufer. Jak pod hipnozą wróciła po ten bagaż, stopą przesunęła go w stronę drzwi.

Jeśli ktoś jeszcze na to patrzył, w mgnieniu oka musiał dostrzec w twarzy Anki przemianę. Moment naglej a nieodwracalnej decyzji? Przez minutę stała w drzwiach przedziału bez żadnego ruchu. Pociągnięta ciężarem kufra, straciła równowagę na stromych, oblodzonych stopniach.

Nic.

Upadła na peron.

Ocknęła się.

I jakieś inne nic. Nagłe a przedłużające się. Uczucie jedno spośród straszniejszych... w życiu. Aha, jeszcze w życiu. Najpierw absurdalne wrażenie, że ją ktoś włożył do tekturowego pudła. To także jakieś nic, z tych najgorszych; brak czucia, zło-wroga bierność. I zaraz potem przenikliwy ból.

Usłyszała wypowiedane jednocześnie przez tajniaka i żandarma słowa: - Pani nie może wstać?

Próba poruszenia się - i ból większy. Jakby ktoś wbijał i wbi-jał igłę między szyję a pierś. Pod dłońmi lodowaty bruk. Przed oczami wielkie żelazne koła pokryte smarem i rdzawym pyłem, jakieś śruby, nakrętki, zmyślnie łączone żeliwne odlewy. Spoj-rzała wyżej: ciemnozielony wagon z otwartymi drzwiami do przedziału, wewnątrz czerwień burgunda - to wyściełane sie-dzenia - oraz połyskujące w mroku mosiężne klamki, wieszadła i słaby blask lustra. Całkiem wysoko - niebo tuż przed zachodem zimowego słońca.

Jeszcze raz spróbowała się podnieść. Wykrzywiła się z bólu, zbladła. Mrok przed oczami i znów na chwilę tym razem zbaw-cze nic - bez czucia, czyli bez bólu. Głowa jej opadła na bruk. Zamieszanie. Nadbiegli ludzie z noszami, z wprawą ułożyli zamroczoną i przykryli ją kocem. Zaczął prószyć śnieg. Od razu mocno i gęsto. Dużo bieli. Zamrugwała podrażnionymi powie-kami, spojrzała na kufer - leżał odłogi. Jej wzrok wychwycił tajniak, już w tamtą stronę podchodził, tymczasem kufer pod-niósł żandarm rosyjski i z jakimś poleceniem przekazał go ba-gażowemu. Bagażowy całkiem zwyczajnie dołączył do noszo-wych i wszyscy weszli do budynku stacji węzłowej Granica.

2. Dziwny kolega lekarz

Młody lekarz w mundurze rosyjskiego urzędnika, blondyn o orzechowych oczach, rozsznurował gorset, do połowy obnażając Ankę leżącą na solidnym, nie do ruszenia, owalnym stole konferencyjnym. Czyżby rzeczywiście nie dostrzegął, że właśnie wysypywało się na dywan kilkadziesiąt ulotek, jeszcze gorących, które od kilku godzin tkwiły między ciałem Anki a jej gorsetem? W głębi salonu - wytwornego być może niegdyś, teraz prześmierdłego dymem cygar, machorki i wina - połyskiwały bliki na głębokim brązie biurka naczelnika stacji, na czerwonych ścianach lśniły nowym werniksem pejzaże, a w głębi, w aneksie z podestem, blade, wąsate a bokobrodziaste lica wylaniały się z tła portretów, umbry i sepii, czarnego niemal w tym zestawieniu.

Ciepłe światło nagle zafilowało. To lekarz cisnął gorset na czeczotkowy stolik, na którym stała cała w orientalnych zdobieniach lampa naftowa. Biel jedwabiu, brzoskwiniowy połysk ciała. Nagłe wtargnięcie węzlastych męskich palców. Załamanie światła w miejscu dotyku. Anka wyprężyła się z bólu, choć lekarz nad wyraz delikatnie dotknął okolic powyżej mostka. Wyszepiała półprzutomna: - Obojczyk?

- Złamany. Dosyć, wyczuwam, paskudnie. Przepraszam - powiedział lekarz, sięgając do swego kufra. Sprawnie bandażował tors Anki - wraz z jej ręką, którą, przyciśniętą do piersi, unieruchomił pod bandażem. - A co mam zrobić z gorsetem?

Usta kobiety zaciśnięte; będą mówić oczy. Znaczącym spojrzeniem zwróciła jego uwagę najpierw na swój gorset na stoliku pod lampą (nie ominęła paru kilogramów ulotek), a potem na wniesiony tu za nią kufer. Lekarz chwycił kufer za rączkę - nie spodziewał się takiego ciężaru. Z trudem go podniósł i ustawił na owym stole konferencyjnym, chwilowo łożu Anki. Spojrzał jej w oczy: - Teraz nie da sobie pani z tym rady.

Otworzył kufer, wyciągnął trochę bielizny, grzebał w niej, przebierał dłońmi, których palce wydawały się coraz bardziej

kościaste: - Koroneczki, ho-ho, błogie cudenka... *prima sort*... I taki ciężar?

Nagle poczerwieniała jej twarz. Wściekła, rzuciła z przekąsem: - Rewizja wstępna!

Spojrzał na nią oczami łani.

- Jesteście zanadto spostrzegawczy, kolego - warknęła.
- Kolego? - spytał słoszony.
- Ja studiuje chirurgię.
- Olala!

W trochę zdaje się cieplejszą już ciszę wdarł się huk. Ktoś ciężką pięścią łomotał w drzwi. Anka przymknęła powieki.

Niewiele brakowało. Całym ciałem lekarz osłonił otwarty kufer. Krzyknął ku drzwiom:

- Nie wchodzić! Tu się opatruje pacjentkę! - Zwinął się jak człowiek-guma i szeptał wprost w ucho Anki: - Dwóch żandar mów obstawia wyjście. Chyba cud, że zgodzili się zrobić wyjątek... - Badał ręką zawartość kufra i nie przestawał szeptać: - Tak, tak, oczywiście, chcieli się tutaj wpakować, do środka, próbowali nawet mi grozić. Wy tłumaczyłem im, że zgodnie z takimi a takimi przepisami - paragrafy wymyśliłem na poczekaniu - tylko doktor może oglądać za darmo nagą damę... Eh!..

W jednej chwili białka jego oczu zrobiły się różowe. (A może to odbłask ścian w ciepłym świetle naftowej lampy). Wyjął rękę z wnętrza kufra: - Czy to, co takie ciężkie, musi tam stanowczo pozostać?

Spojrzała na niego jaśniej. Odezwała się głośno; cedząc słowa, mówiła z naciskiem i nie przestawała patrzeć porozumiewawczo: - Może jednak pan doktor weźmie trochę tych fatalaszków. Tylko tak mogę się odwdzińczyć za pierwszą pomoc.

- Z miłą chęcią - odrzekł. - Pozostał jeszcze opatrunek z kwasu bornego, zanim przed zabandażowaniem nałożymy suchy - dodał głośno. Osłabiał czujność podsłuchujących.

Błyskawicznie wyciągał z kufra pozostałą bieliznę, przybory toaletowe, jabłka, zielonkawą cytrynkę i pantofle; układał to obok gorsetu. Ogarniając szczególnie byстрыm spojrzeniem

nielegalne zbroszurowane druki, pachnące świeżą farbą, które dotąd ściśle wypełniały trzy czwarte kufra, sprawnie (jakby się tym zajmował na co dzień) przekładał je do swojej pakownej, skórkowej torby lekarskiej, otwieranej u góry. Ale nie wszystko udało się upchać. Rozpiął mundur; resztę bibuły - czyli ulotki z podłogi - wcisnął sobie za spodnie.

- Mógłbym wprowadzić je skryć między bandażami na pani ciele, ale cel to cel. Po co tyle pracy i wysiłku miałyby wracać do Galicji? Skoro ma powędrować do Królestwa i wołałby Bóg, by tak się stało?

- I dałby Bóg - podchwyciła.
- Pani? - Wyglądał na zdziwionego.
- Ja przewożę tylko.
- Znaczą dromaderka. Nie w partii?
- Nie w partii i wierząca w Boga. Udało się przesłuchanie?
- Pożartujemy, uroczą damo, przy lepszej okazji.
- Oby.

Broszury w torbie, już spokojniejszy i pod jej dziękczynnym wzrokiem, pedantycznie ponakrywał chromowanymi pojemnikami na utensylia medyczne.

- Proszę zapiąć mundur - szepnęła.
- Aaa! - zażenowany spełnił polecenie.

Heroicznie, a może bezmyślnie podniosła się na dębowym blacie. Krzyknęła z bólu. Podbiegł do niej i z zachowaniem najwyższej ostrożności przeniósł ją ze stołu na ceratową, białawą, trochę tylko przykurzoną kozetkę. Wycieraną, widać, codziennie wilgotną szmatką. Kurz krakelurami znaczył wymyślną fakturę jasnej ceraty lepszego gatunku.

Kiedy siedziała, podał jej ramię. Wtedy wstała już bez problemów. Spozrzegł, że nie jest już ani blada, ani czerwona. Właśnie brzoskwińowa, jak z marzeń. Pomógł jej zrobić kilka kroków.

Teraz dopiero się zorientował, że trzeba kobietę ubrać. Usadowił znów Ankę na tej kozetce i porządkował jej garderobę z wprawą, jakiej trudno byłoby się po nim spodziewać, zwłaszcza że nie schodził mu z ust nieśmiały uśmiech, narzucający się

jako zdecydowanie chłopięcy. Nie wiedziała, co począć z pustym rękawem. Zdziwiła się, że lekarz bez specjalnej potrzeby przykucnął. Szepnął: - Jestem sympatykiem!

Jeszcze nie była do końca pewna, o co mu chodzi. Cała w niemym zdziwieniu.

- Jestem sympatykiem waszego ruchu. - Oburącz ścisnął jej dłoń, mrugnął porozumiewawczo, wstał, dopiero wtedy puścił jej rękę, bezszelestnie podbiegł pod drzwi i wyrzekł głośniej, rubasznie (chyba nie tylko po to, żeby zmylić czujność oddzielonych tymi drzwiami żandarmów): - Cóż za żal, że takie powabne, ach, ciało będzie przez wiele tygodni ukryte pod opatrunkiem gipsowym!... - Zrobił nagły półobrót, podszedł do Anki.

- Musi pani wrócić do Krakowa najbliższym pociągiem. I nie zwlekać z przywołaniem naprawdę dobrego chirurga.

- O, jakże jestem wdzięczna, panie doktorze! - zapiała z egzaltacją, niby szkolonym głosem, po czym normalnie, już tylko dla niego, wyszeptła: - Jaki „nasz ruch”? Skoro tak, no to chyba ruch sympatyków!?! Pan się naraża.

Już chwycił bagaże. Z jej kufrem w jednej ręce, z torbą lekarską w drugiej, podbiegł do Anki. Gdy przedzierała ich tylko jej ręka, którą położyła na jego kościstym ramieniu, odparł również intymnym szeptem: - Wcale a wcale. - I szybciej: - Ci tam, te łapsy, ależ wpadli w popłoch, pani nawet nie wie. Już im dwa razy mówiłem, że należy się pani odszkodowanie. Niby od Kolei, rzecz jasna - ale to na pewno będzie z ich kasy...

- Z ich kasy?

- Ich. No, z ich! Tych, co urządzają te cyrki z rewizją - odparł już bardziej świszczącym szeptem. - Nic, nic! Zaraz sporządzę raport. Pani - proszę posłuchać - pani była rozespana i... na Boga... pani w żalobie! W żalobie i w ogóle nieprzygotowana do wyjścia z wagonu. Nie uprzedzili, że schodki mogą być śliskie - zapalał się coraz bardziej. - Chamskie lby, żaden nie pośpieszył z ramieniem! A panią jeszcze na złość mogą zrewidować. Ale mnie nie! - poklepał wypchaną torbę i dodał, raczej już chyba za głośno, choć rozmarzonym szeptem: - Pani jest

albo bardzo odważna, albo szalona, albo... - wyraźnie zawiesił głos.

- Albo? - spytała z zachętą.

- Albo... uo! - powiedział bełkotliwie, potwornie zmieszany (czyżby?), z nagle rozbieganymi oczami, w których już nie było nic z sarny, z żadnej łani, za to z lisim uśmieszkiem. - Albo...?

Anka gwałtownie uniosła rękę, którą trzymała na ramieniu lekarza. Jej twarz wykrzywiły grymas bólu i złość. Lekarz uchylił się odruchowo - ale ręka poszkodowanej opadła sobie na jej własne udo.

3. Stefan czuje coś tuż przed Einsteinem

Narzucił futro na szykowny jasny garnitur w kratę i jeszcze na chwilę - jak to w zwyczaju - usiadł przed samym wyjazdem z domu swoich rodziców, gdzie wpadł na krótko, żeby zostawić pod ich opieką półtoraroczną córeczkę Ircię, którą miał z Anką.

Trzydziestoczteroletni, o krwistej twarzy przystojniak, skłonny do tycia prawnik Stefan Korowski, mąż Anki - uroczej brunetki, dwudziestosześcioletniej studentki chirurgii Uniwersytetu Jagiellońskiego, współpracownicy Polskiej Partii Socjalno-Demokratycznej - od niedawna będący z nią w separacji, wytrzeszczonymi, wcale niegłupimi, choć pełnymi rozmarzenia oczami wpatrywał się w każdy przedmiot w mroczniejącym, z trudem ożywianym palmami wnętrzu saloniku lwowskiego mieszkania. Jakby tu był po raz pierwszy.

(A przecież od urodzenia oglądał te sprzęty. Wracał do tkwiącego w nich spokoju po niekiedy i pół nocy trwających dyskusjach o Nietzschem, o idei nadczłowieka, o sensie lub znaczeniu tejsze w dziwnym narodzie, który jest Polską, choć go nie ma na mapie, a który, jeżeli nie może istnieć inaczej,

powinien przetrwać w dokonaniach polskich uczonych, pisarzy i artystów. Zawsze patrząc na zgromadzone i istniejące tu od niepamiętnych czasów przedmioty, przypominał sobie powroty z placu Mariackiego, z kawalerskiego jeszcze mieszkania kolegi Katzenellenboga, w towarzystwie kolegi Staffa, rozpoetyzowanych, pewnych swoich racji, bardziej niż on - polski przecie, bo polski - przepelnionych polszczyzną i polskością. W kredensie zdobne pudełeczka na damskie drobiazgi z bardzo ciemnego szkła, z grawerowaną pozłotą, opalizujące puchary, na biurku w kącie pod oknem przyciski do papierów - półkula z żółtawego przezroczystego szkła z zalaną nim monstrialną muchą; ołowiana piramidka ze srebrnym, dziwnie wydłużonym czubem, mniej dla ozdoby, bardziej ku wygodzie użytkownika. Ustawione na skos fotografie. Nad pluszową kanapką z poduszeczkami krzyżkowej roboty i z tą ciemnozieloną, wyszywaną paciorkami papugą - Stefan zapamiętał ją z dzieciństwa na równi z twarzą matki! - rarytas: w bogatych, złożonych owalnych ramach dwa olejne portrety rodziców starego Korowskiego - pendant - „od zawsze” szerniałe; w domu mówiło się, że artysta malarz, podobno sam słynny Jędrzej Grabowski, pracując z werwą, ale w okresie swego wzmoczonego poddaństwa gorzale dodał za dużo sykatywy przyspieszającej wysychanie oraz gęstego jak miód pokostu z wystanego na słońcu oleju lnianego i stąd szybka zmiana na niekorzyść cennych płócien. Pośrodku pokoju gąszcz palm i fikusów; z okien zawsze przysłoniętych monachijskimi firankami padał blask na niewielki fragment mozaikowego parkietu, wolny od ściemniałego dywanu. Trochę tego błysku również za dnia w impresyjnych odbłaskach na kryształach żyrandola zwisającego z sufitu, zawieszzonego co najmniej cztery metry nad podłogą. Na komodzie pośród wazonów z nieśmiertelnikami cynowa figura świętego Jerzego zabijającego smoka. Kilimki na ścianach między oknami i naprzeciw portretów, tam w otoczeniu lustra odbijającego obrazy, a także patrzącego, może nie w całej postaci, ale na pewno do kolan. Jak na oficjalnym, gabinetowym portrecie. Na wysmukłej etażerze komplet korzeckiej porcelany. Nic nie

przybyło, nic nie ubyło. Nawet chyba tapety te same, fioletowawe).

Albo jakby miał tu być po raz ostatni.

Ircia, ze łzą w oku, jednak nie zapłakała. Stefan obrócił głowę, szeptał z babcią, tymczasem dziecko zmierzało ku oknu, gdzie w fotelu siedziała najwidoczniej kukła.

Ircia pokazała na kukłę i rzekła: - Dziadek nic!

- Jutro dziadek na pewno coś powie - uspokoiła ją babcia i ciszej wyjaśniła Stefana: - Ma zły dzień. Nieraz taki zły dzień potrafi trwać i miesiąc u niego.

- Czas widocznie jest względny. Masz anielską cierpliwość, mamó - powiedział Stefan.

- Ee! To pewnie kara za jakieś grzechy. Dobrześ zrobił, żeś Ircię przywiózł. No, ale my tu całkiem niedługo zniedołężniemy. I co? Z Anką się już, Stefanku, nie zejdziesz?

Machnął ręką, machał nadal, szukał czegoś wzrokiem, zerwał się, dopadł szaragów, laski, kapelusza, włożył kapelusz na głowę, odstawił laskę, przez chwilę nie wiedział, co ma zrobić z rękami. Ostatecznie wziął na te ręce Ircię, usiłował wysoko ją podnieść. Dziecko wyraźnie się opierało. Popatrzyło mu w oczy: - Tatusz idzie, mamusia przyjedzie?

Próbował potakiwać, wyszło niezbornie. Nawet babcia popatrzyła na niego z wyrzutem.

- Mamusia...? - spytało dziecko.

- Mamusia została w Krakowie - powiedział i nachylił się nad dziewczynką. Dotknął jej obojczyka. - Tu ją bardzo boli, wiesz? Bo się potłukła. Jak się wygoi, to przyjedzie.

Ircia się obróciła. Znowu ją pociągnęło do dziadka. Zerkając to na Stefana, to na babcię, pukała metodycznie w starczą poźółkłą dłoń z wątrobowymi plamami, spoczywającą na mahoniowym oparciu fotela. Ładny, acz z czającą się grozą, obrazek obyczajowy.

- Synu - usłyszał spocony już Stefan i spojrział na matkę, żeby lepiej smakować jej głos. - Może nie powinnam ci tego mówić, ale tak patrzę na ciebie, wydobrzałeś. A tak się bałam, jak ty sobie dasz radę w tej, tej, no tego, w tej separacji. Ba, cóż;

no, dobrze. Może to i lepiej, że Ircia tu pozostanie. Takie ładne dziecko. A przy Ance, Stefanku, to chyba wszystko usycha. A to wasze umarłe dziecko też było takie ładne?

Zaczerwieniła się. Zasłoniła sobie usta - za późno. Stefan w jednej chwili wyskoczył. Wybiegł z pokoju, amfiladę zaatakował jak taran.

Zmierzał do wyjścia i w szklistych załzawionych oczach miał już tylko ból. Wypadł na korytarz, zostawił otwarte drzwi. Zbiegał po schodach, jakby szybował w otchłani.

- Tatumiaa!!! - słyszał i nie był pewny, czy to głos Irci.

4. Car płonie z wyraźnym trudem

Zgromadzeni 2 lutego 1905 roku na krakowskim Rynku wiedzieli, że ta data przejdzie do historii i może dlatego (zanim doszło do krwawej jatki) większość manifestantów wyglądała jak grupa pozująca do zdjęcia. Wobec kilkuset ludzi Trybun, przywódca socjaldemokratów, palił portret cara. Wysoki, przystojny, suchy wąsacz o lwiej grzywie wykonywał swą czynność pomalą, jego węzlaste dłonie sunęły teatralnie wokół niechcącej się czemuś poddać płomieniom twarzy cara, dobrze narysowanej węglem na grubym szarym papierze i cieniowanej wi-szorkiem - a tymczasem na ludzi napierała policja. Bez użycia broni na razie.

Anka ze zwisającym rękawem, o kilka kroków od Trybuna, jako obserwatorka niesiona przez popychany tłum, z coraz większym trudem zachowywała równowagę. Trybun, choć wypełniał historyczną misję, zdawał się być zafascynowany, wręcz podniecony czymś innym. Z coraz większym niepokojem zerkał na twarz Anki, wiadomo, bardzo bliskiej znajomej. Czyżby połączony z troską niepokój Trybuna miał się teraz przemieniać w nieufność? W dziwny bądź co bądź wyraz przyoblekła się twarz tego silnego mężczyzny o głęboko osadzonych jasnobłękitnych oczach.

Najpierw chyba się martwił, bo Anka wykrzywiła twarz z bólu. W ogóle była bliska omdlenia i podtrzymywała ją Katarzyna, żona Egona Ernesta, sławnego bakteriologa, kobieta nadzwyczaj urodziwa, postawna, lecz już niebezpiecznie okrągłająca. Kraków nazywał ją Radyką wskutek ostro przez nią manifestowanych skrajnych politycznych poglądów. Tu wyglądała jak czcigodna niewiasta, wypiełgnowana wschodnią pięknosć przypadkowo wplątana w burdy. Profesor Ernest, brodacz, prezentował się jak zacny małżonek, który specjalnym zmysłem pana domu wyczuł, że żona w niebezpieczeństwie i że on ją musi ocalić. Lagą tedy torował drogę dwóm damom.

Katarzyna wpakowała do dorożki bladezieloną Ankę z gipsowym pancerzem na gorsie i z unieruchomioną pod nim ręką, a sama - gibka nad podziw - wskoczyła w lukę powstałą w rozrwanym na moment kordonie policji. Wtopiła się w tłum demonstrantów. Trzasnął pierwszy strzał; z wizgiem przeszył powietrze.

Profesor Ernest pozostał na zewnątrz. Ogromny, zwalisty, twardy, stał i (czyżby chcąc nie chcąc?) obserwował zdarzenie. Przez chwilę płomień obejmujące wreszcie twarz cara nałożyły się na twarz Trybuna i Ernest pomyślał, że ten sam ogień trawi dwie twarze.

5. Lubię patrzeć, jak on się męczy

Podwórko-studnia, ale ogólnie czysto i całkiem dużo przestrzeni. Na środku pod wielkim rozłożystym kasztanowcem, który pomalutku wypuszczał liście, na skraju trawnika przykucnęli pięcioletnia dziewczynka i trochę od niej młodszy chłopczyk. W ich rękach połyskiwały stołowe łyżki. Pogrzeb gołębia urządzali tak zmyślnie, że doktorowa Ernestowa, oparta o parapet otwartego okna na drugim piętrze, musiała się obrócić w stronę mieszkania.

- Brr! - wtuliła głowę w ramiona.

- Zimno? - zdziwiła się Anka. Póleżała na szerokim łóżu, okrytym tylko prześcieradłem, i wiercąc się, przeglądała ilustrowane broszury w różowawych i seledynowych okładkach.

- Powiedzmy, że dreszczyk emocji - szybko odparła Katarzyna i wskazując na broszury, ciągnęła: - Śmieszne, przy najmniej na rycinach, te ćwiczenia dla rekonwalescentów, prawda? Ale może spróbujesz. Taka gimnastyka nie powinna zaszkodzić. Nie masz pojęcia, jak Egon mój się krzątał po całym domu, przeszukał tylko jemu znane, zakurzone zakamarki w składzikach, a nawet w spiżarni, żeby specjalnie dla ciebie wygrzebać te instrukcje. Pamiętał, że gdzieś są, zabrał to kiedyś jeszcze z Królestwa... jego kuzyn miał po powstaniu styczniowym dramatycznie roztrzaskany obojczyk, prawe ramię i oczywiście jeszcze coś tam, leczył się potem w domu starszych państwa Ernestów. - Zamknęła okno. - Ale wiesz, Anko, dobra robota!

- Co?

- Twoje cierpienie nie poszło na marne! Przez lekarza kolejowego nasza bibuła trafiła do robotników wielkich fabryk włókienniczych w Zawierciu.

- Przypadek.

- Masz szczęście, rozumiesz? Masz szczęście. Takich ludzi nam trzeba.

- Po co mi, po co wam, po co tym robotnikom takie szczęście? Tu w Galicji w pocie czoła piszecie te wzniosłe, wielosłowne manifesty, podżegacie do walki o swobodę. Kogo? Pomysł sobie o takim na przykład Zawierciu w Królestwie, pod Moskałem, prawda? Czy ty naprawdę nie zdajesz sobie sprawy z tego, ilu ludzi z zapadłych wioch okolicznych dopiero tam poznało smak życia? Ty nie byłeś tam, w tych całych Lgotach, Bzowach, Ryczówkach, Fryszerkach, nie widziałaś kurnych chat, lepianek, gdzie ludzie żyją w jednym pomieszczeniu ze zwierzętami, już nie wspomnę o brodatej kozie w izbie, bo to na porządku dziennym - ogrzeje prawie jak piec zwany kozą, nakarmi, hm, rozweseli - ale i z tak zwaną gadziną, z kurami znaczy się, gdzie jedynym sposobem awansu społecznego dla

młodego chłopaka, pragnącego się wybić, było do niedawna podkradanie z domu jajek i zanoszenie ich biednemu księdzu w walącym się ze starości kościółku, żeby go ksiądz dzięki tym jajkom nauczył czytać i pisać! I ci ludzie, ci trochę więcej chcący, poszli do tego Zawiercia, gdzie rozwijał się przemysł: tkalnie, przędzalnie, farbiarnie, co chcesz. I fabrykanci, ci straszni według was, socjalistów, ludzie, wybudowali dla tych bżowiaków, fryszerkowców, lgocioków i dla dziesiątków tysięcy innych domy przyfabryczne z pralniami, z komórkami, z wygodkami, dla ich dzieci pobudowali szkoły powszechne, zadbali o to, żeby wspólnym wysiłkiem powstawały parki nad Wartą, żeby było gdzie wypoczywać w niedzielę, żeby nie trzeba było po mszy zapijać się w karczmie na umór, jak to bywało na wsi. Teraz wspólnymi siłami w tym Zawierciu - przecież akurat przypadkiem sama to widziałam, wtedy coście mnie wysłali na próbę jako medyczkę i asystentkę prelegentów - kończą budować kościół parafialny. Potężny, neogotycki, z dwiema strzelającymi w niebo wieżami. Wokół park, staw, gdzie się można kąpać, wierzby płaczące. Co chcesz, jest i opieka zdrowotna. I co, i taka rodzina, gdzie młody ojciec pracuje w fabryce na pierwszą zmianę, młoda żona na trzecią zmianę, są tylko niewolnikami? Narzędziami? Obiektami wyzysku? Sami nic, nic już? Nie dorabiają się? Mają gdzie mieszkać, cieszą się z sąsiedztwa bliskich im ludzi, zacieśniają się więzi. Czy jest w tym coś brzydkiego? Czy to źle, że młody ojciec na noc przywiązuje sobie do kołyski dziecka sznurkiem duży palec u nogi i kiedy dziecko zaczyna popłakiwać, on w półśnie albo nawet w głębokim śnie porusza palcem i wprawia kołyskę w ruch? Czy widzisz lepszą więź ojca i dziecka? I to na całe życie! Matka w wolnych chwilach obszywa wszystkich, bo po paru latach stać ich na zakup własnej maszyny do szycia! I co. I do tych ludzi, którzy w pracy i w miejskiej rodzinie odnaleźli sens, my wysyłałyśmy bibuły z tekstami podżegającymi do buntu? Po co im to? Tak, tak, niech powstaną, niech ich Moskał przygniecie, niech wyślą watahy Kozaków na tych spokojnych ludzi, którym teraz

właśnie zaświeciło słońce... Baby tolerują „piwne ławki”, przy których mężowie, odprężając się przy luźnej gadaninie, pogryzają do piwa gotowany bób. Ale zebrania, tajne odczyty, emisariuszki?! Czy ty wierzysz, że porządna żona i młoda matka, jeszcze dwa lata temu bezrolna chłopka, puści swojego chłopca na zebranie, na którym jakaś inna kobita stanie sobie na bezczecie, rozkraczy się i będzie tłumaczyć, jak to teraz tutaj jest źle i że się trzeba buntować? Złapie swojego, czy jak to tam mówią, „swojigo”, za kudły, za wąsiska, przytarga go do domu i jeszcze w pysk wyrznie za głupotę. A prelegentce przerwie sprytnie, wrzeszcząc ostrzegawczo: „Chłopy, uciekajta, policyja!”. Mówisz, że mam szczęście. I że takich ludzi wam trzeba.

- Gdybym tego teraz od ciebie nie usłyszała, w najśmielszych podejrzeniach nie przypuszczałabym, że taki jest, w istocie krańcowo różny niż nasz, twój, sympatyczki naszej przecież, było nie było, punkt widzenia!

- No to jeszcze raz ci powtarzam! Oni wysunęli się na powierzchnię z nędznych wsiowych lepianek, chat kurnych w Bzowie, we Fryszlerce! Dla nich wybawieniem miałyby być socjalistyczne idee?!

- To po co to robisz, Anko?

- Bo lubię i podziwiam ludzi takich jak ty, jak twój mąż.

- To znaczy?

- Chyba chodzi mi o to, że imponują mi ci, którzy w życiu korzystają z głowy, nie z łapsk. Dla nich i dla ich widzimi się gotowa jestem nadstawić karku.

- Ale dlaczego?

- Bo są mężni. I autentyczni. Inni niż prości *homo faber*. I nie udają, jak by ci to powiedzieć, nie udają kolesiów. Nie udają, że noszą okulary i że mają zapadniętą klatkę piersiową. Nie udają, rozumiesz, że mają sokoli wzrok i bicepsy, nie wypychają sobie łydek watą, nie naśladowują akcentu Ślązaków czy ciemnych do niedawna podczęstochowskich chłopów, tych bez śladu więzi z historią, z narodem, tych bez genealogii, napędzanych od małego głodem i strachem. Ci więc, których szanuję, noszą okulary, gdy niedowidzą, jeśli potrafią mówić świetnie,

starają się publicznie robić to jeszcze lepiej. No tak, tak, są autentyczni na swój sposób. Tak jak autentyczni są tamci, do których często nie w porę przychodzą z pięknym, dobrym słowem: słuchacze brudni od smaru, śmierdzący machorką, kawą zbożową, niekiedy sznapssem, za to wyszykowani na glanc na niedzielę. Ci, których lubię i cenię, współcześni apostołowie prawdy nieobjawionej, ale wykoncypowanej, są prawdziwi, nieudawani, a najwłaściwszym określeniem jest jednak: autentyczni. Tak jak tamci, których chcą na swój sposób zbawić. Nie udają. Dlatego są wartościowi. Piękni.

- Wspaniałeś to wywiodła. Brawo, Anko!

- Powiedz o tym Trybunowi... - Syknęła z bólu. - Zdjęli mi wreszcie ten gips, ruszam się teraz jak kukła, właściwie to wcale mi się już nie chce ruszać. Rzeczywiście, muszę spróbować tych ćwiczeń, bo ja już nie mogę! Jak tylko przez chwilę jestem sama, to o niej myślę! W ciąży ani razu nie jeździłam z drukami za kordon... Był taki malutki, ale przecież bez przesady, to, co z nim było, nawet nie ocierało się o patologię. To już gorzej, jeśli dzieci w tym wieku za duże. Jeśli dożyją dojrzałości, będą się borykać z cukrową chorobą. Spytaj Egona. Ale ja bredzę. Po co? Mój syn był malutki, ale żywotny, miał wszelkie dane, żeby żyć. Był drobny, ale nie chory. Mimo to nie odstępowałam go w szpitalu, przecież wiesz. Śmierć, tajemnica i fakt nieodwołalny. Jak ucięcie ręki, palca, nogi, wybicie oka. Już. Powiedz Trybunowi... A zresztą, powiedz Trybunowi, co chcesz! A kiedy pomyślałam, że wreszcie już mogę pojechać i znów się narażać, i czułam w sobie ten, wiesz, ten dreszcz emocji, to właśnie wtedy on, maleńki... - Zasłoniła oczy jak przed ostrym blaskiem. - No, powiedz! No, spróbuj wytłumaczyć to Trybunowi.

Półprzyciennie wodziła wzrokiem po ścianach i sprzętach. Znów zasłoniła oczy.

- Zmień mieszkanie - powiedziała Ernestowa.

- Chodź no tutaj - powiedziała Anka.

Ernestowa podeszła posłusznie, usiadła przy niej na łóżku. Masowała bez słowa. Okolice karku, łopatki, kręgosłup - według

szczególowego rysunku na rozkładówce broszury. Aura oddania, poddania, odprężenia...

Anka nagle mocno uchwyciła masującą ją rękę:

- Kasiunia, a czy ty znasz dobrze te wszystkie panny, którym dawałaś mój paszport i one jeździły z bibułą za kordon, jak byłam w ciąży, a potem w połogu?

- To wypróbowane towarzysзки partyjne. Anko, czy coś się stało?

Anka, półnaga, wyskoczyła z łóżka. Spojrzała ostro, powiedziała twardo:

- Ja tylko sympatyzuję, ale chyba tym bardziej wierzę w sprawę! One, partyjne, już nie muszą!

- Mogłabyś się wyrazić jaśniej?

- Jaśniej już nie można. A poza tym to niemoralne podszywać się pod kogoś! Bez względu na idee!

Katarzyna wstała z łóżka, podeszła do szaragów, wróciła do roztrzęsionej Anki z dwoma kapeluszami: oba czarne, płaskie, o szerokich rondach. Jeden kapelusz nałożyła jej zaskoczonej, drugi sobie - i tak poprowadziła Ankę do lustra. W starej stonowanej tafli, w najmroczniejszym kącie pokoju i w otoczeniu czerni kapeluszy dwie kobiety wyglądały - o czym już się w mieście mówiło - jak siostry.

- A jeśli ktoś się podszywa bez chęci podszywania? - zagadywała Ankę oraz siebie jako „jej starszą siostrę” w lustrzanym odbiciu. - Przedwczoraj wieczorem zaczepił mnie na ulicy jakiś student i zażądał, żebym mu wreszcie oddała książkę...

- *Szkolę uczyć?*

- Tak! W świetle lampy gazowej wziął mnie za ciebie! Zaczepia mnie, rozumiesz, żonę profesora zaprzyjaźnionego z Pasteurem i... - zanosila się śmiechem.

- Bylewicz - powiedziała Anka.

Katarzyna przestała się śmiać, spojrzała pytająco i podejrzliwie.

- Ten student nazywa się Bylewicz - powiedziała Anka z naciskiem - i zupełnie nie wiem, czego ode mnie chce. Nie prosiłam go o żadną książkę. Sam mi ją wcisnął.

- Zajmiemy się nim - rzekła poważnie Katarzyna.
- My? Ty i ja?
- Nie. My.
- Znaczą się: ty, Trybun, Partia?

Przytaknęła.

- A daj spokój! - zachnęła się Anka.
- Ale wiesz, to może być...
- Prowokator według was, tak? - ożywiła się Anka. - Oczywiście, kto wie? A w rzeczywistości może się okazać wielbłądem, pomidorem, ścierką do podłóg, łapką na myszy, automobilem, prawda? Dobrze, dobrze. Nie zaszkodzi jednakże sprawdzić, dromader to czy może jednak okaz dwugarbny. Ale... ale przede wszystkim to jest samiec. A ja lubię patrzeć, jak samiec się męczy.
- Uważaj, bo ci uwierzę.
- Za dużo mówię stanowczo.
- Więc to prawda?
- Wybadaj - zaśmiała się Anka. - Każ mnie śledzić.

6. Człowiek bez broni to nagi na ulicy

Trzykrotnie pukała, nim wreszcie poproszona weszła do pokoju Anki właścicielka mieszkania. - O, niechże się pani ogarnie. Ja nic nie chcę mówić, ale sądziłam, że już jest pani ubrana, skoro pan doktor panią wizytował. To już kwadrans na dwunastą. Tym paskiem proszę sobie szlafrok związać. Proszę się tak nie dziwić. W przedpokoju czeka listonosz pieniądze!

Kto znów po minucie bez kolejnego już ostrzeżenia drzwi otworzył, trudno dociec. W każdym razie w okamgnieniu z dwu różnych stron dopadli futryny listonosz w brązowym mundurze i ta jejmość w głębokich fioletach. Przez chwilę trwał tam nerwowy tłok, gra barw, form i ruchu, odbijająca się w szybach, aż wreszcie gospodyni znalazła się w przedpokoju, a listonosz u lokatorki. Anka domknęła drzwi i przybyłemu wskazała krzesło.

Nie siadał. Spoczął dopiero wtedy, kiedy Anka, spostrzegłszy fatalaszki, ogryzek jabłka, broszurą, atlas anatomiczny i mokrą chusteczką, zabrała je z siedziska. Zdjął wysoką czapkę z daszkiem i z otokiem. Otarł wąsy.

Okazał się młodziutki, ale z jakąś jakby starczą zadyszka, spocony, prawie zupełnie łysy. - Bardzo panią przepraszam - wychrypiał - ale czy mógłbym zapalić?

Przyzwalając, kiwnęła głową. Zainteresowało ją jego zroszone czoło. - Tak gorąco?

Listonosz poklepał się po boku i nie przestając sapać, rzekł zagadkowo: - Dobrze mieć przy sobie rewolwer.

Podeszła do okna, zasunęła story i w tak sztucznie uzyskanym, delikatnie zmatowiałym półmroku usiadła naprzeciw listonosza. - O tym samym myślałam.

Odsunął się nieco. - Niosłem dla pani znaczną sumę.

Zegar tykał jak zawsze. Poza tym długie milczenie. W oszłomieniu szukała czegoś w wazonie z opalizującego szkła. Znalazła paszport, podała go listonoszowi. - To niech pan lepiej sprawdzi, czy pieniądze w istocie do mnie.

Listonosz z niezapalonym papierosem w ustach porównywał dane z paszportu z informacją na blankiecie przekazu. Twarz mu się wypogadzała. Uroczyście wyciągał z torby banknoty opasane banderolami. - Z dyrekcji Kolei Państwowych są te pieniądze dla pani - mówił równym głosem, oddychał natomiast świszcząco. - I coś tu jeszcze jakby ruską czcionką odbite? Albo mi się wydaje, bo wyjątkowo niewyraźnie... Nie wnioskam.

- Inni - powiedziała Anka.

- Przepraszam, co?

- Inni - zaskoczona, zastanawiała się długo. - Inni dostają pieniądze jako wynagrodzenie za pracę.

- A pani?

- Ja? Za nieszczęście.

- To już w ogóle nie wnioskam - rzekł nieswój. - Ale powiem pani, po raz pierwszy, odkąd jestem w służbie, miałem w torbie tyle pieniędzy. Jak Boga kocham, ja nie jestem strachliwy, ale

zupelnie wyjątkowo czulem, że przez cały czas ktoś się ukrywa, ale idzie za mną, pani tak nigdy nie miała? nie życzę i dlatego ja tak do pani, pani wie, na świeżo, o tym rewolwerze.

Podpisała się, kwitując odbiór pieniędzy. Z trudem otworzyła usta: - Ja także o rewolwerze, ale nie wiem dlaczego. Myślałam, nie mówiłam, więc i pan nie wie. Rewolwer poręczniejszy niż pistolet, choć to kwestia gustu, różnie o tym mówią. Rewolwer. Za nieszczęście... Że też są kobiety, które traktują mężczyzn wyłącznie jako przykry przyrząd do płodzenia dzieci!

Listonosz właśnie wstawał, ale spłoszony musiał znów usiąść. Oparł się łokciem o otoczony wokół mosiężną blachą, pokryty szybą blat stołu, wyciągnął szyję, rozejrzał się wokół siebie, akurat natrafił wzrokiem na ścianę z lustrem, gdzie zobaczył samego siebie, jak podpiera dłonią kościstą brodę. W pierwszej chwili myślał, że tu wisi obraz Wojciecha Weissa *Suchotnik*, który tak nim wstrząsnął niedawno na wystawie w Pałacu Sztuki. Już obrócony ku Ance, zaciągnął się dymem, żeby przynajmniej na chwilę zapomnieć, popatrzył na słupek popiołu. - Moja żona właśnie urodziła córeczkę - powiedział. - W nocy. O, taką - wysunął dłonie. - To nasze pierwsze dziecko.

Nie zareagowała. Z cegiełek opasanych banknotów ustawiała na stole wieżę. Młody, jak się okazało, ojciec patrzył na to jak urzeczony. Wstała nagle, złapała się za ramię, uskoczyła o pół kroku w lewo i musiała się skulić, żeby nie zawyć z bólu. Opanowała się, pobladła, lecz już wyprostowana podeszła do listonosza, który znowu zamierzał wstać, ale nie zdążył, pocałowała go w usta. Wcisnęła mu w rękę plik banknotów w opasce, czyli taką cegiełkę wyciągniętą spod spodu. Runęła wieża.

Prowadziła go do drzwi, szepcząc: - To odszkodowanie. Dla pana. Za straty moralne. Teraz już może pan iść. Bez żadnych obaw. I bez konsekwencji. - Wyciągnęła mu z ust papierosa. - Ależ pan to oślinił! - Otworzyła drzwi, pchnęła go lekko. - No! Na korytarzu wreszcie pan sobie spokojnie zapali nowego!

Nacisnęła klamkę, przekręciła klucz w zamku, rozrywała banderole, zrzuciła szlafrok.

Naga, z tłumionym śmiechem rozrzuciła pieniądze na łóżku. Wreszcie zastygła oniemiała pośród smętnego bałaganu. Czerwony zachód słońca objął kawałek szyby w oknie po prawej. Tyle straconych, tyle martwych godzin! Ryknęła szlochem. Za głośno. Wbiła twarz w wielką jasnofioletową poduszkę.

7. Klucz w toalecie

Tamto działo się trzy lata temu - i Ance, która teraz wyprawia przyjęcie, wydaje się prehistorią. Z jednym wyjątkiem, najbardziej bolesnym. Zamkniętym na razie. Nie otwierać!

Są momenty, kiedy o tym nie myśli. Na przykład teraz, w czerwcu 1908 roku, kiedy w zakopiańskim pensjonacie Stamary, najnowocześniejszym, najwygodniejszym, założonym przez byłą dive operową - zresztą miejscu wypoczynku i nieoficjalnych zebrań zamożniejszych socjaldemokratów - siedzi w ciepłej, rozświetlonej elektrycznością sali restauracyjnej, pachnącej koniakiem, perfumami, nagrzanym drewnem i czymś tyleż wytwornym, ile podniecającym - i nie zważając na kolejną wyspę tłustawego iluzjonisty, który w rezultacie grozi ze sceny, że podczas przyszłego występu na pewno przejdzie przez mur, rozmawia z największym pisarzem epoki. Ten przepełniony godnością, poważny czterdziestoparoletni, dobrze zbudowany pan siedzi naprzeciw - nikogo więcej nie ma przy ich stoliku - i popijając wciąż wódkę, czyni jej, Ance, zwierzenia:

- Byłbym z głębi całego mojego jestestwa nie tylko sympatykiem, ale wręcz wielbicielem tego ruchu - dyskretnie wskazał na wytworne towarzystwo obsiadujące świetnie zastawione stoliki - ale nie mogę... Bo oni sami tego nie chcą!

Wpatrywała się w pisarza z wdzięczną uwagą i z niemym pytaniem „nie chcą”?

Otarł serwetą żarłoczne spierzchnięte usta. - Sami tego nie chcą. W gruncie rzeczy są mi zupełnie niesympatyczni.

Wzięła głęboki oddech. - Ale pana postępowe poglądy i ich postępowe poglądy przystają, przylegają...

Przerwał jej gwałtownie: - Przystają, przylegają, właśnie! - Nalał wódki najpierw jej, potem sobie, szybko wypił, spojrzał Ance głęboko w oczy, mruknął: - Rzadko to robię, ale teraz wyjątkowo chciałbym, przepraszam, się upić! - i sobie nalał znowu. - W kwestii przystawania i przylegania oni są właśnie wsteczni! Jakże wsteczni! Mężczyźni z tego pięknego grona traktują kobiety jako osoby ludzkie bliskie sobie, bez różnicy. Ot, bez sekretów. Na-tu-rał-nie! Poszli dalej, tylko w złą stronę. Przebiwszy delikatną granicę intymności, wypadli na drugą stronę, na szary koniec. Tak, pani Anko, oni się po prostu cofnęli. Oni wypreparowali z kobiet tajemnicę!!! Odrzucili tę tajemnicę! Ba! podobnie myślą te ich kobiety! Fałsz! Fałsz w założeniu, pani Anko! Pani jest inna, jeszcze wciąż inna. - Nachylił się. - Przy pani w każdym razie czuję szlachetny ludzki, naturalny popęd. Dlatego z panią...

Przerwał, ponieważ młodziutki kelner, który biegł przez środek sali, zatrzymał się przy ich stoliku i trochę dysząc, stał w przepisowej odległości. Ubrany nienagannie, mimo niewątpliwego poczucia obowiązku nie był w stanie uspokoić miejsca na gorsie, które teraz (dla zawodowca zbędne!) wypuczało się w przyspieszonym rytmie. Serce. W momencie, kiedy uchwycił życzliwie przyzwalające spojrzenie pisarza, powiedział: - Wielce szanowny pan jest pilnie proszony do telefonu.

Sławny pisarz skwapliwie przeprosił Ankę, odchodził od stolika z nieco zbyt sztywną godnością - i tylko kelner (odруchowo dmuchnąwszy na stronie, żeby odrzucić kosmyk blond włosów opadający na czoło), który zresztą wiedział, że dzwonił w sprawie ciężko chorego w domu, usłyszał ciche, niby trzask łamanej zapalki, dźwięki, jak potem zapewniał, składające się na słowa: „biedny Adaś i jakim ja biedny”, dobywające się z ust nagle postarzałego pisarza.

Anka odstawiła swoje dwa nietknięte kieliszki. Odetchnęła, widząc, że sam zszedł ze sceny iluzjonista niedorajda. Teraz najzwyczajniej grała niezła orkiestra - do tańca.

Porwała torebkę i zwinnie przemykała wśród stolików - przed chwilą bowiem wypatrzyła, że wzdłuż popod sceną przesuwają się postacie Katarzyny i Trybuna z bardzo dziś podkreconym, zapewne u fryzjera nafiksowanym wąsem.

Pobiegła na skróty przez hol bocznego wejścia - najpierw wpadło jej do głowy, żeby przy Katarzynie spytać Trybuna, czy na noc zakłada bindę na te przepiękne wąsy, potem zwyczajnie pomyślała, że lepiej samej się o tym kiedyś przekonać - i po chwili znalazła się już na górnym podejściu schodów, wyprzedzając może nie tyle wypadki (choć kto wie), ile ludzi na ich drodze. Jak gdyby nigdy nic zetknęła się z wchodzącymi teraz dopiero na piętro Katarzyną i Trybunem. Zastąpiła im drogę.

- Pan poseł już wraca do siebie? - spytała.

- Musimy jeszcze szczegółowo omówić kwestię partyjną niecierpiącą zwłoki - powiedział Trybun i podał ramię Katarzynie.

- To ja wam zabiorę minutę - odrzekła Anka tonem nieznoszącym sprzeciwu.

Trybun bez słowa podał Ance drugie ramię. Zapachniało cynamonem, grogiem, solą i pieprzem. Dywany wydawały się podgrzewane. Wszyscy miękko weszli do jego apartamentu.

Wrażenie tajemniczej niesamowitości we wnętrzu, będącym połączeniem gabinetu, biura, sypialni i sanatoryjnego pokoju, potęgowało przytłumione światło czerwonej lampy oraz księżyc wpadający przez kryształową szybę w drzwiach balkonowych. Trybun nerwowo porządkował jakieś papiery na biurku - pomiędzy szpargałów wypadła wstążka i spinka do włosów doskonale imitująca dwie wałki.

Katarzyna rozsiadła się w jedynym fotelu - wyraźnie znużona i syta.

Anka bez ceregieli wyjęła z torebki cztery równe jak płaskie cegiełki pliki banknotów. Jeden po drugim rzuciła je na zielone sukno biurka.

Trybun podniósł wzrok znad papierów. Zrobił coś absurdalnego - w tym właśnie momencie usiadł. Zmieszany, nie odrywał

jasnych, teraz wytrzeszczonych oczu od torebki Anki i od jej ręki, której gest mógłby sugerować, że sięgnie gwałtownie do wnętrza. Katarzyna, z nagle ciemnymi wypiekami na twarzy, wcisnęła się w fotel.

- To jest ofiara ode mnie - powiedziała Anka i wreszcie zatrzasnęła torebkę. - Na wasze ręce, panie pośle, składam pieniądze na dobro Polskiej Partii Socjalno-Demokratycznej. Składałam je na pomnik, który miałam wznieść na grobie mojego dziecka, ale ja pamięć dziecka przecież noszę w sobie! A marmury nie wrócą życia. Niech więc to służy partii.

Zanim zaczęła mówić, Trybun na wszelki wypadek ruszył ku Katarzynie. Teraz zatrzymał się, podszedł do Anki i powiedział zwyczajnie: - Niech pani siada.

- Nie chcę - odparła.

Położył ręce na jej ramionach. Ona poczuła lawendę, nadpalone drewno i ból. On, bystry, nawet poprzez własne teraz zmieszanie, dostrzegł w jej oczach potężny błysk bólu. Zapytał, nie uwalniając jej z uchwytu węzłastych dłoni:

- Dobrze się pani namyśliła?

Wyrwała się i rzekła: - Przecież pan mnie zna.

Wybiegła, pozostawiając szlachetną parę w poczuciu tragedii.

Na końcu korytarza skręciła i wpadła do chłodnej łazienki. Przywarła plecami do żółtych kafelków, tłamsząc w dłoniach torebkę. Tak ją przyciskała do piersi, jakby chciała wgnieść wraz z rękami do serca.

Spostrzegła w lustrze swoje dramatyczne odbicie. Przestraszyła się. Wystarczył ułamek sekundy... wywaliła język, parsknęła złym śmiechem.

Jeszcze sekunda, dwie... twarz całkiem się wygładziła, wręcz jakby Anka przed chwilą skądś zaczerpnęła najpierwszej młodości. Zrobiła minę, taką „do towarzystwa”, rozprostowała torebkę, wyciągnęła puder i dla zasady musnęła puszką koniec nosa.

- Żeby mi się tylko biedak całkiem nie upił - powiedziała do lustra.

8. Smętne zaloty

- ...a jednak jest niebezpieczna! - Wnosząc do pokoju chińską lampę, Trybun skończył zdanie zaczęte na werandzie.

Katarzyna zamknęła oszklone drzwi, Trybun ustawił lampę na stole i w ciepłym świetle wszystko okazało się sympatyczniejsze.

Lekkim ruchem zasunęła story i w ogóle zrobiło się przytulnie. W suchym ciepłe trzasnęło drewno podłogi lub stołu. Trybun w kłębach tytoniowego dymu stał i pstrykał w banknoty. Pozostały dwie paczki z banderolami, reszta - pewnie już przeliczona - zalegała na biurku. - Dziecko jej zmarło? - mrucał. - Nie wiedziałem. Jak to? To musiało się stać niedawno! Taka dziewczynka, z cztery lata może? No, przecież w lutym widziałem ją z panią Anką i z rodziną we Lwowie na spacerze na Walach Hetmańskich! Dziecko żywe, rezolutne, wszyscy pogodni! Ta dziewczynka...?

- To Ircia! Odpukać, żyje - powiedziała Katarzyna uniesiona macierzyńską trwogą.

- Ach! - rzekł Trybun i wytrzeszczył oczy.

- A umarł synek kilkumiesięczny, młodszy braciszek Irci. To jest... to było niedobre małżeństwo. Sąd orzekł separację, kiedy Anka była już w ciąży.

- Na wniosek czyj? - spytał Trybun ze specjalną intonacją.

Katarzyna zdjęła żakiet i po domowemu powiesiła na krześle. - Anka jest moją przyjaciółką - powiedziała z westchnieniem.

- Te pieniądze, hm! mają być deklaracją - powiedział wreszcie Trybun. Nie wiedzieć czemu wydawał się osaczony.

Poza tym od paru minut chodził wokół Katarzyny jakoś tak natarczywie. Odchrząknął, splunął dyskretnie, mówił ciszej: - A ja jej nie widzę w naszych szeregach. - Zatrzymał się, sięgnął ręką do stołu, strzepnął popiół. - Jak by to wyrazić? Zbyt natrętnie obrotna? Nie, nie tak! Kokieteryjna...?

Katarzyna zaśmiała się gardłowo. - Za ładna?

Rzucił jej prosto w twarz: - Ty też jesteś za ładna!

Nie obracając się, na wycucie sięgnęła za oparcie, chwyciła zakiet, narzuciła go sobie na ramiona, chyba z tłumionym załem szepcząc: - No właśnie! - Dopadła drzwi.

Trybun krzyknął: - Zaczekaj, Katarzyno!

- Tak? - zapytała, pomału odrywając rękę od klamki.

- No, patrz - doskoczył do niej - i wydała dla nas dziś to przyjęcie z idiotycznym magikiem! A muzyka? Ja tam widziałem nawet osobę z filharmonii! No, ten błady, niewysoki, z waltornią! Ty to wiesz?! Skąd ona może mieć tyle pieniędzy?

Katarzyna wyszła, trzaskając drzwiami.

Trybun zachował się tak, jakby przed chwilą zupełnie nic się nie stało. Może tylko zbyt machinalnie podszedł do biurka. Usiadł, pieniądze odsunął jak śmieci, ze skrytki pod boczną szufladą wyciągnął brulion formatu księgi rachunkowej w intensywnie niebieskiej oprawie, sięgnął po pióro, umoczył je w kałamarzu. Pisał od razu, zamasyście, gwałtownie, nie przezywając nawet na zaciągnięcie się dymkiem. Papieros sam się dopalał w popielniczce.

9. Trafiony. zatopiona

- Pokażę ci, czekaj... tutaj zaraz, o! za tamtymi smrekami będzie jaskinia - mówił wielki pisarz wtulony w aureę wokół Anki. - Stop, zatrzymajcie się! - krzyknął na fiakra. - I czekajcie pilnie, bo inaczej to by nas potem po drodze misie w ludzkich skórkach zeżarły.

Fiakier, góral, siedział na koźle nieruchomo. Czuł tylko, nawet nie słyszał, że goście wysiadają. Nie minął kwadrans, przypadkowo spojrzął w dal, w lewo, i zobaczył ich akurat w objęciach. Żal mu było pisarza, który oderwał się od ust Anki i nie mogąc złapać tchu, wyglądał jak ciężko chory. Fiakier odwrócił się i patrzył już tylko przed siebie. Czekał, aż wrócą. Spodziewał się ich zaraz. A jednak przeszli przez drogę i musiał ich zobaczyć, jak w gęstniejącym mroku idą przytuleni w stronę Doliny

Kościeliskiej. Wczoraj wiozł pisarza, także ze Stamary, do jego ciężko chorego synka. Najgorsze minęło, choć jeszcze w nocy nie wszyscy mieli nadzieję... Góral słyszał, jak pisarz mówi do tej kobiety bez troski:

- Wyobraź sobie, znam tam miejsce, w którym bez wątpienia straszysz. Mam przy sobie nawet karbidową latarniczkę...

- Jak chłopczyk - odpowiedziała zalotnie, ze zduszonym chichotem - i góralowi wydało się to niestosowne. - A rewolwer? - spytała chyba zupełnie bez sensu.

- Po co nam rewolwer, dziewczynko? - spytał z zadyszka pisarz.

- Po to - zaśmiała się perliście - żebym wiedziała, że jednak wchodzę do tej jamy z mężczyzną.

10. Nigdy w to nie uwierzę

- Co? Znowu nie słyhać, coś charczy. Trzaski na drucie! Niedźwiadki rzuciły się na elektrykę czy co? Czy to takie pilne?

Katarzyna, ze słuchawką w jednej ręce, a z mikrofonem w drugiej, to wstawała, to znów opadała na krzesło.

- Kto? Co?! - Rozglądała się za nieistniejącą kłoda, która ją przywalila, żeby jakoś wziąć odwet za napęczniałą niemożnością sytuację, przerastającą ją w tym niewielkim, ale bardzo wysokim pokoju, pachnącym sosną i owcą, urządzonym w stylu *par excellence* zakopiańskim. Prosto ze snu wezwana do telefonu, jeszcze nie wszystko zdołała pojąć.

Jedno z otwartych okienek, targane podmuchami halnego, wciągało żółtą firankę, po czym gwałtownie ją wypuszczało na zewnątrz. Ruchliwy i ciągle pod mikroskopem motyl cytrynek. Niby, niby.

- Nie, Anka jeszcze nie wróciła do swojego pokoju - powiedziała przytomniej, głosem człowieka znękanego bezustanną migreną, a zielone światło z lampki przy telefonie rzucało

upiorne refleksy na nią, poruszoną, o stężącej twarzy, w pledzie z wielbłądziej wełny zarzuconym na koronkową bieliznę. - Nie wiem, no nie wiem... wiem, że jest trzecia w nocy - ale ja przecież nie kontroluję Anki... Co? co? Kogo więc ostrzec? Trybuna?

Zaczerwieniła się; okazało się, że jej zupełnie wyjątkowo teraz rozpuszczone włosy, czarne jak chiński tusz, są poprzetykane wcale niepierwszą siwizną. Gdy włosy miała upięte, nie było tego widać. - Ostrzec? I to natychmiast? I co? Kto mówi? Czy ja dobrze słyszę? - Palcem nerwowo naciskała widelki. Przerażona, wsłuchana w głos płynnie już dochodzący ze słuchawki, pytała zdławionym głosem: - Anka? Co wy mówicie? Anka? Anka Korowska? Nie wierzę! - I wreszcie, już tylko i wyłącznie zdumiona: - Co? Jak to? Co to znaczy? Co? Muszę uwierzyć!? Co znaczy, muszę?

11. Nowe ofiary halnego

O świetle w holu pensjonatu Stamary - oszklonym wnętrzu będącym osobliwym połączeniem oranżerii i galerii obrazów - stała Anka gotowa do wyjścia. Wczoraj służba jej dogadzała, teraz nadęty portier tylko spoglądał na jej liczne kufry, kuferki i pudła na kapelusze. Poprzedzony stukotem kopyt zakwitł nagle za szkłem różowy tuman kurzu i po chwili pod pensjonat podjechała dorożka.

Twarz oczekującej, spięta, ale jeszcze w tej chwili bez śladu nieprzespanej nocy, nieco się rozluźniła. Udało jej się zza szklanych drzwi spojrzeniem przyciągnąć wzrok górala dorożkarza. Tymczasem coś chrząknęło za jej plecami - to z dyżurki wyłonił się portier. Anka patrzyła raz na niego, raz na swoje bagaże. Portier na to nie zważał, tylko podszedł do drzwi i energicznie je otworzył na oścież. Zniknął w głębi recepcji. Kursując wielokrotnie - musiała sama przenosić manele. Gdy postawiła na podeście przed pensjonatem ostatni kufer, jakimś

cudem zjawił się ten sam portier, żeby w milczeniu zatrzasnąć za nią drzwi.

Świt - a nie rześko. Dopiero teraz spostrzegła, że góry wokół zrobiły się granatowe, już nawet bliskie czerni, w tonacji głębokiego indygo, a niebo jest zimne jak aluminium. Drzewa szalały na wietrze. Spocona, sięgnęła po pierwszą walizeczkę, ale już góral zeskoczył z kozła. Jako jeden z nielicznych w tej okolicy jeszcze nie wiedział, że ma do czynienia z osobą właśnie świeżo odkrytą hańbą w Królestwie Polskim i w Galicji. Na razie. Do cna zdezorientowana co do szczegółów, zdziwiła się, że ten młody mężczyzna tak chętnie zajmuje się jej bagażem i zwyczajnie przenosi to wszystko z podestu do dorożki, aż w końcu przestała o nim myśleć jako o człowieku, którego nasłano, żeby rekwirował jej rzeczy.

Po sprawnie odbytym załadunku jechali.

- Halny? - spytała zdławionym głosem, a góral ze zgasłą fajką w zębach rozwijał temat:

- Ano halny. Doktory jezdrom jak osalałe do tyk krwotoków płucnyk. Z doktorem Owróckim pędziłem w somym środycku nocki do willi pona wielgiego pisorza, pani to wie...

- Zachorował?

- Nii! Nie on som, ino synek jego. Jak zawsze w takik razach. To pani nie wji, ze on tylko lo tego Adaśka swojigo u nos w Zakopanem zamieskoł? Zamieskoł lo zdrowia jigo, ale i tak barzo juz źle. Nawet doktor, i ten drugi, ten tylko od płuców, tyz mówi, ze wsytko w renkach Pana Boga.

- Oj, to ja nic nie wiedziałam!

- Ano halny, pani ładna... No i dzisiek w nocy trzech kuracyjuszy sie obwiesiło, a jeden normalnie skołał - spuentował góral i wrzasnął: - Prr!

Zszarzały dworzec czekał w uśpieniu.

- Bo trzeba mieć rewolwer! - powiedziała Anka, wysiadając, już z jedną stopą na bruku. Góral popatrzył na tę stopę i na drugą, która po chwili dołączyła do niej, mruknął z trwożnym uznaniem, po czym zastygł na koźle.

- Bo trzeba mieć rewolwer - powtórzyła, już z uśmiechem.

--

- Czym wobec broni palnej może być jakiś tam nędzny sznurek! Zaaferowany, z pomarańczoworóżowymi rumieńcami od kości policzkowych po uszy, brał po dwa bagaże Anki i przenosił je na peron. Stała z boku i patrzyła na niego.

12. Paluchem po szybie

- Hańbaaa!!! - wrzasnął jedenastoletni gazeciarz w czapce z lśniącym, w jednym miejscu wytartym daszkiem. Od kilku chwil obserwował Ankę jako obiekt, czyli damę z portmonetką. Zabięgl jej drogę i z zawodowego nawyku nagle ostro podniósł głos, reklamując towar, którego miał przytłaczające go naręcza: - Hańba! Głośny polski krytyk literacki, dziś kurujący się we Florencji, oraz studentka chirurgii Uniwersytetu Jagiellońskiego agentami carskiej ochrony! Czytajcie „Marsz”, „Marsz”! Tyłko w „Marszu” podobne rewelacje! Dziś w „Marszu” największa rewelacja epoki! Haańba!!!

Stanęła jak wryta. Przed oczami plik gazet z ogromną wytłuszczoną czołówką *SZPIEG*. Wcisnęła gazeciarzowi monetę, ale nie zdołała pochwycić podanej jej gazety. Egzemplarz „Marszu” wpadł do jedynej kałuży w tej okolicy.

- Ma pecha - powiedział raczej pod nosem, lecz pod adresem Anki, bagażowy dźwigający jej najpotrzebniejsze rzeczy.

Widział, jak z poprzedniego pociągu wysiadł ewidentny suchotnik, który po drodze kaszlał, tu właśnie przystanął i napluł do kałuży odbijającej niebo, jakby to była wielka błękitna spluwaczka. - Kwit - bagażowy wymachiwał karteluszkami - żeby łaskawa pani nie zapomniała o kwicie z przechowalni.

Zdziwił się, że właśnie teraz opuściła woalkę.

Odebrała kwit, wręczyła bagażowemu garstkę miedziaków. Ten rażno wtaszczył bagaż do omnibusu, chciał nawet pomóc jej wejść, ale go odegnała. Zaraz na drugim przystanku wysiądzie przy ulicy Lubicz, skręci w lewo, w Aryańską, dotrze do swojego pokoju. I co? Właśnie: jak z tym żyć?

Kraków wita; słońce przez mgłę. Przeciągly dźwięk hejnału z wieży Mariackiej. Jakby nic się nie stało. Ale ostrożnie: to Kraków, to właśnie Kraków - sygnał hejnału tu jest zawsze dramatycznie przerwany.

13. Różne odcienie zdrady

Klasyki styczne i historyzujące budowle wydziału lekarskiego Uniwersytetu Jagiellońskiego, w większości neorenesansowe, koloru kości i z akcentami zgaszonej czerwieni, jaśniały otoczone zielenią potężnych dębów, jesionów i buków. W przyległym kościele Jezuitów z nowej pięknej czerwonej cegły (na którego fasadę gwałtownik, a przy tym genialny rzeźbiarz Xawery Dunikowski wykuwał właśnie w kamieniu monumentalną figurę Chrystusa) dzwonili na nabożeństwo. Anka, zgrabna, czyściuteńka, zachwycająca, w jasnożółtej sukni, przekroczyła bramę. Wzdłuż kwiatnych szpalerów szła na zajęcia. Jej kroki były pewne, równe; obcasy z przedniej skóry i podkute blaszkami zdecydowanie stukwały po trotuarze. Kroki natomiast idącego z dziesięć metrów przed nią profesora Fettera ledwo były słyszalne. Gdy przyśpieszyła, zwabiony dźwiękiem Fetter z lekka obrócił twarz. Na mgnienie. Udał, że nie zauważył bliskiej osoby.

To wyszło na jaw, bo zaraz dopadł drzwi i natychmiast za sobą je zamknął.

Otworzyła i ona te drzwi - których za dnia i przy ładnej pogodzie zwyczajowo w ogóle nie zamykano - a potem dopiero drzwi auli. Udało jej się wreszcie złapać oddech. Wokół cisza - jakby to ona tylko oddychała. Skierowała wzrok ku katedrze. Tam stał Fetter, zmieszany.

W ławkach tłoczno. Wyjątkowo przybyli także niektórzy studenci z innych wydziałów.

Usiadła na skraju ławek w pierwszym rzędzie - i wtedy ciszę przeciął nagły rumor. Upiorny dźwięk. Najpierw zespołowy szurgot butów, potem skrzypienie ławek, wreszcie gwizdy.

Wszyscy bez wyjątku studenci hałaśliwie wstawali ze swoich miejsc, siadali, znowu wstawali - wreszcie każdy z nich, po mocnym uderzeniu pięścią lub butem w blat, wychodził. „Kiedy oni się tego nauczyli?”. Anka zwiesiła głowę, zamknęła oczy. Otworzyła je, kiedy już trwała cisza. Była sama w opustoszałej auli.

Pusta katedra. A jeszcze przed chwilą stał tam, blednąc, znany ginekolog, profesor Fetter, do niedawna kochanek Anki. Rzędy pustych ławek.

Czegoś takiego jeszcze nie widziała. Pomyślała, że taką pustkę każdego świtu ma przed oczami sprzątaczką. - Sprzątaczką by mnie stąd wymiotła - powiedziała do siebie. - Jestem śmieciem. Kazali mi, żebym się czuła jak śmieć. Śmieć musi mieć również wygląd... śmiecia. Sama się nie pobrudzę... na ich życzenie - nie!

Wyszła z auli niepewnym krokiem - ale gmach opuściła w biegu. Poczowała ciężar na plecach, popatrzyła za siebie. Z wysokich okien na piętrze śledziły ją spojrzenia setek par oczu byłych kolegów. (Zdaje się, że na zawsze już tylko byłych). Przed nią - na ciemnozielonym tle potężnych miodnych lip i tęgich kasztanowców okalających zabudowania kliniczne - kolejna grupa studentów ogłaszała jej hańbę: wyciem, piskami, młaskaniem, gwizdem. Obróciła głowę, spojrzała w górę, szukając... Oślepiło ją słońce.

Minęła bramę. Przebiegła przez ulicę, skręciła w lewo. Zatrzymał ją dopiero mur. Otrzeźwił - ból ramienia. Pod powiekami miała świecące koła o ostrych fioletowych konturach. To po to, żeby upaść; byłaby ulga. Cóż, kiedy wstyd. Jeszcze większy? Szła jeszcze, wycierając ramieniem mur. Zatrzymała się przed olbrzymim kościołem, znajdując trochę ochłody na stopniach pod głębokim zacienionym portalem.

Otworzyła oczy, patrzyła w osłupieniu, jak naprzeciw, po drugiej stronie ulicy, przesadza parkan student Bylewicz. Tak zwyczajny, że wręcz nie da się go narysować, wybrał bezpieczne miejsce działania. Tu go nie dostrzegą manifestujący koledzy. Rozejrzał się bacznie - i cały gładki, w swoim szarym ubraniu

niemal przefrunął przez jezdnię. Od razu znalazł się w najgęściejszym, atramentowym cieniu. Schował się bowiem i pod portalem, i - dodatkowo - za plecami Anki.

- Jestem z wami - powiedział do niej.

- Z kim? - wyszeptwała.

- No, z wami, koleżanko.

- A przed chwilą, tam w auli?

- Ach, ach! siła złego na jednego.

- Właśnie! - parsknęła, usunęła się w bok, i tak odebrała Bylewiczowi żywą tarczę.

- Co mogę dla was zrobić? - spytał i znowu schował się za nią.

- W konfidencji? - spojrzała nań z lekkim wstrętem.

- Tak otwarcie to nie miałyby sensu - odparł ożywiony. - Przede wszystkim - zawiesił głos - to nie ja jestem w tarapatkach. Jestem przeciwny wścieklej nagonce na koleżankę, lecz gdybym się wyłamał, czekałby mnie los... - Kiwnął głową, smętnie wskazał na Ankę, przy okazji taksując ją od kolan po biust. - A ja jednak chcę zostać lekarzem. Jako pierwszy w rodzinie. Zawsze tylko felczerzy i felczerzy. Stryj felczer, dziadek preparator, ojciec, no, tego, fizyk miejski w zapadłej dziurze. Głupio tak byłoby wszystko zaprzepaścić teraz, pod koniec studiów. Co mogę zrobić?

Nie czekała, aż skończy. Wyciągnęła z torebki notatnik-cacko, miniaturową książeczkę z rogami okutymi miedzią, gdzieś z zanadrza wygrzebała cieniutki ołówek przypominający papierosik, także z miedzianą skuwką; zamasyściła nakreśliła kilkanaście słów, wyrwała specjalnie perforowaną kartkę, dołączyła do niej srebrną monetę, koronę. Wyglądała jak prestidigitatorka, ale powiedziała najprościej: - Depeszę najpilniejszą możecie nadać?

Wyrwał z jej ręki karteczkę z monetą. - Już się robi! - pisał jak chłopak na posyłki.

- Prosto z dworca! - upomniała. - I pamiętajcie, do Limanowej adresujecie na namiestnictwo!

- Nie inaczej. - Bylewicz obrócił się na pięcie. - Lecę.

- Reszty nie trzeba!
- Ma się rozu... - wrzasnął w biegu. Zreflektowawszy się, nie dokończył. Przez chwilę pewnie mu było głupio. Zniknął za rogiem, ale wciąż jeszcze trzęsło się drzewko, które musnął ramieniem.

Wychodząc z cienia, patrzyła na to drzewko. Klon. Liście rozświetlone po brzegach. W środku te, które po wielokroć nakładały się jeden na drugi - niemal czarne. Opuściła woalkę, kiedy znalazła się w pełnym słońcu. Robiła systematycznie trzy kroki w jedną, trzy w drugą stronę. Jakby na kogoś czekała.

14. Prawie sielanka, krwawa kura, chwila najgorszych myśli

Tego samego dnia, ale późnym popołudniem, gościńcem nad rzeką, w wąwozie pośród łagodnych zalesionych gór pędził na rowerze listonosz. Halny dotarł i tu, w okolice Limanowej. We wzburzonych tumanach niebieskawego kurzu gawrony snadź czuły się niepewnie, a i mniejsze ptactwo się podrywało do lotu. Daleko, na horyzoncie, białą kolumienki ganku spowitego w winorośl domu, może raczej skromnego dworku, który był mieszkaniem służbowym doktora praw Stefana Korowskiego, koncypienta w kancelarii namiestnictwa w Limanowej, męża Anki w separacji.

Korowski jeszcze nie wiedział, że listonosz jedzie do niego. Zachodzące słońce wdzierало się przez niedosunięte story do jego sypialni w owym spokojnym, zasobnym domku podmiejskim, oświetlając całkiem nagą, młodą i ładną dziewczynę.

To służąca koncypienta. Wyglądała tak, jakby pozowała malarzowi. Leżąc na prześcieradle, patrzyła w jeden punkt oczami wypchanego królika. Kontrast z jej świeżym ciałem tworzyły ogromne, ciężkie, nabrzmiałe piersi z ciemnymi talerzami brodawek. Więcej - wydawały się dolepione, a wcześniej odczepione od ciała dojrzałej karmicielki. Stefan, w cieniu łoża, przykryty, postękiwał.

- Nie zimno ci, jak tak leżysz? - spytał, jakby narzekał.
- Neeee - zamruczała. - Dooobrze.

Dobrał się do niej bez kłopotu; władował się na nią wraz z kołdrą.

- Halny - powiedział.
- Halny? - spytała zdziwiona. Spróbowała odepchnąć Stefana. - Już nie! - Skutecznie, choć bez gwałtowności, strąciła go z siebie.

- Czy źle ci? - zapytał z żalem.

- Przecież dopiero co było mi z tobą dobrze - odparła - i więcej nie potrzebuję.

Nagi, usiadł na łóżku, zwiesił nogi i stopami wyszukiwał pantofli. Dziewczyna, leżąc, delikatnie łągodziła dłońmi jego napięte plecy.

Odnalazł wreszcie pantofle. Odwrócony zapytał wyraźnie:

- Co byś zrobiła, gdybym tu nagle umarł?
- Nic - odpowiedziała.

Listonosz się przewrócił, przejechał bowiem kurę. Wstał, roztarł potłuczone miejsca. Oglądał ręce, na jego oblicze wracał spokój; nie, sam nie pokieroszował się krwawo. Kurę owinął dokładnie szarym pakowym papierem, schował w krzakach zawiniątko, przygniótł je dla pewności rącznym, zielonawym głazem. Rozejrzał się. Na dróżce rozrzucił kilkanaście kamieni. Znak dla siebie. Otrzeptał mundur, doprowadził do ładu czapkę. Wsiadł na rower. Dom Korowskiego już blisko.

Stefan, wciąż nagi, siedział na łóżku i z oczami wbitymi w jeden punkt zabawiał się piersią służącej.

- Mów mi Stefan.

Przytrzymała swój rozhuśtany cycek.

- A potem w stołowym będzie z powrotem „pan” - powiedziała z goryczą. - Nie chcę.

- To czego ode mnie chciałaś? - popatrzył podejrzliwie.

Wystrzeliła wreszcie jak butelka z kwasem chlebowym, z której nagle wyprysnęła korek:

- To pan to już tak bezwzględnie nie może mieć dzieci? - I czerwona, z coraz większym trudem: - Bo ja właśnie... bo ja.

- Już, miła moja, nie mogę mieć dzieci. Naprawdę, nie mogę mieć. Język utnę - popatrzył groźnie - jak o tym komu powiesz.

- To czemu twoja żona to dziecko... wiesz, czemu twoja żona miała...

- No cóż - powiedział z odrazą.

- No cóż - powtórzyła jak echo.

- No cóż - sapnęła spłoszony - może wtedy jeszcze mieć mogłem.

- Aha - powiedziała służąca z ulgą.

Znowu weszło w nią życie. Zarzuciła zgrabną nogę na kamienisty kark Stefana. Stefan jednym susem wśliznął się... Ale zamarli, albowiem ktoś pukał. Pukanie, co dziwne, dochodziło w dodatku od strony okna. Masywny Stefan wstał z łóżka nadspodziewanie zwinnie, schwycił szlafrok, a obwiązując go paskiem, wykrzyknął tubalnie: - Co jest? - doskoczył do okna, rozsunął storę, za szybą wśród listowia zobaczył czapkę listonosza. - A, człowiek z poczty! - rzucił w stronę dziewczyny kojąco, wreszcie otworzył lufcik. Do sypialni wpadło czerwone słońce. Oraz głos listonosza:

- Telegram „D” pilny, nadany za potrójną opłatą! Do wielmożnego pana Korowskiego, koncypienta!

- Dawać! - adresat wyciągnął rękę.

- Ee, oberluft za wysoko! - dobiegło z dołu i czapka przesunęła się w lewo. - I jakże mi wielmożny pan koncypiant w takich okolicznościach potwierdzi odbiór własnoręcznym podpisem?

- Już wychodzę - bąknął Stefan do siebie, do listonosza warknął: - Na ganek! - i jednym ruchem zasłonił znowu story. Przechodząc przez sypialnię, na mgnienie rozpogodził się na widok dziewczyny, wyszeptał do niej: - Ubrałabyś się, ty ładna! - nie odmówił sobie klepnięcia jej w niby naprężone, a przecież mięciuteńkie, gładkie w dotyku udo, przyglądał włosy, jak zawsze, kiedy przekraczał próg dzielący go od gabinetu.

Tam został zupełnie sam. Niepodobny. Oparty o ścianę, chwycił się za serce. Sunął ku biurku, dotarł tam, wyciągnął z szuflady zdjęcie Irci. Miał w oczach lęk. Otarł łzę; drugą uronił, pędząc. Dopadł kredensu. Odszukał i odkorkował ciemną flaszkę z walerianą, dokładnie odliczył kropelki spadające na łyżeczkę z cukrem. Zażył, skrzywił się, chwycił ośmiokątny kielich z grubego szkła, do pełna nalał wódki. Wychylił łagodnie. Szorstkim ruchem odsunął kropelki. Ponownie napełnił kielich. Opróżnił go bez mrugnięcia. Otworzył boczne drzwi z gabinetu do stołowego, skąd było bezpośrednie wyjście na ganek. Złapał się znów za serce i starając się imitować obojętność, ryknął przez drzwi:

- Ten telegram z Krakowa jest czy ze Lwowa?
- Z Krakowa - dobiegło zza drzwi.

Ręka z serca, Stefanowi łżej. Odsapnął. Popatrzył na prawą rękę - niestety, w dłoni nie było kieliszka, choć kciuk i palec wskazujący tak się zbliżyły do siebie, jakby dotykały tej szklanej nóżki. Westchnął, otworzył drzwi, nie wpuścił listonosza, tylko odebrał od niego depeszę, podpisał się starannie kopiowym ołówkiem, dał człowiekowi trzy małe monety, w ostatniej chwili wygrzebał skądś i dorzucił czwartą, zamknął drzwi, w jadalni znowu zrobiło się szaro. Szarpał papier, sapiąc czytał:

„Mój przyjacielu, przyjeżdżaj natychmiast, jestem w opałach. Anka”.

Pstryknął palcem, depesza zawirowała, upadła na dywan.

- Baba - powiedział - no, baba.

Służąca, która musiała, widać, ogarnąć się błyskawicznie (bo prawie przez cały czas stała w drzwiach, obserwując bacznie, ale i nie narzucając się obecnością), patrzyła z podziwem, jak Stefan - przez chwilę nawet na stojąco - pisał list błyskawicznie i, zda się, bez namysłu stawiał właściwe słowa.

Śmignął suszką po kartce, atramentowe litery przestały się błyszczeć, złożył papier we czworo, zaczął adresować. Chwycił za kielich. Dopiero wtedy zauważył służącą.

- Z tym listem - stuknął palcem - jutro przed ósmą rano

pójdiesz do namiestnictwa. A wcześniej, już o świcie, po dorożkę mi pobiegiesz na dworzec.

- Coś się stało? - spytała. - Coś z panią?

- Sprawa honorowa - odparł. - Chodź no tu.

Podeszła, przyjaźnie się przytuliła; uszczypnęła ją w tyłek.

- Pan jutro tak bez śniadania pojedzie?

- Nic podobnego. Zanim wyjdiesz po dorożkę, zrobisz mi tu śniadanie. Dwa befsztyki, ogórek kiszony... ale befsztyczki koniecznie z cebulką, zeszkłą, taką, ty już wiesz, co jak się dopiero ciut zaczyna rumienić, to się ją wtedy odstawia na mały ogień, przykry wszy, rzecz jasna, przykrywszy. No tak. A teraz przynieś porter. Przecież wybieram się w drogę. No i może nawet już teraz jakieś tartinki przygotuj, w loszku je przecho-
wasz do rana, nie, jutro trzeba, bo chlebuś przejdzie zapachem, sokiem z mięs, będzie przygumiasty? dobrze, jutro, zdążysz, co? zdążysz. Piwo już zapakuj. Ruszaj się. - Pogroził palcem; Bóg jeden wie, co o tym myśleć. - A potem żebyś mi nie zapomniiała o liście. Bo ja zadzwonię do namiestnictwa z Krakowa i słowa wzajemne błyskawicznie dotrą po drucie...

Wpatrzona w niego jak krytyk sztuki w obraz, wypaliła:

- A pan, pan naprawdę już nie może mieć dzieci?

- Ruszaj się - odparł z lekkim uśmiechem - ty cholero. I szybko porter mi przynieś.

Słońce już zaszło i listonosz miał trochę trudności z odnalezieniem pakunku z zabłądzącą kurą. Zsiadł z roweru, rozglądał się bezradnie, zawrócił. Tak, to tu! Poznał po rozsypanych, teraz bielejących kamykach. Wyciągnął kurę z zarośli i jako że nawet przez papier jeszcze trochę krwawiła, umieścił ją w służbowej torbie, pakunek dodatkowo otulił wczorajszą gazetą. Przez moment mignęły tłuste litery czołówki - *SZPIEG*. Nie zwracał na to uwagi.

Pozostał na gościńcu jeszcze z kwadrans. Musiał wyprostować tę wywiniętą do góry jak rogi kierownicę, bo jednak szwankowała od chwili upadku.

15. Będziesz ofiarą własnej zaborczej miłości

Gabriel Husiatycki chodził w kółko wzdłuż ścian swojej pracowni - okrągłego pomieszczenia w wieżycy, jak się okazuje, nie tylko zdobiącej śródmiejską kamienicę. Spowity w tweedy, stukał butami o podłogę z bardzo szerokich jodłowych desek.

Piękny, o włosach wełnistych jak szare runo, okropnie garbaty, Gabriel był straszliwie wzburzony. Usiadł wreszcie na środku tego rozświetlonego koła, wiszącego nad śpiącym Krakowem u kresu nocy, złożył ręce na oparciach twardego fotela. Zaostrzył ołówek nad popielniczką stojącą obok stolika zarzuconego papierami o różnych odcieniach szarości. Wybrał arkusik najbardziej zbliżony do bieli. Pisał:

Przedwczoraj zapadła nad naszym miastem ciężka chmura tajemnicy. Może ta chmura jest z ołowiu, ale nie znajdzie się odważny, który by krzyknął, że ją można roztopić.

Gwałtownie odtrącił fotel, wstał i szybko - tak jak przed chwilą chodził - podążył ku okienku. Otworzył lufcik nie większy niż rozpostarta dłoń. Zamykał oczy, marszczył brwi, splunął, gryzł ołówek, szeptał:

- Tu, jak się zdaje, Bóg nie ma wstępu... - Dobiegł do stołu, usiadł, chwycił ołówek, i dalej, mocniejszym głosem, sam sobie dyktował:

Autor artykułu „SZPIEG”, który tak zbulwersował opinię, powołując się na czarną listę szpiegów ochrony prorosyjskiej - pomieszczoną w „Czerwonym Sztandarze „a także wydrukowaną w dodatku do „Robotnika” - opluwa Annę Korowską, studentkę ostatniego roku chirurgii wydziału medycznego Uniwersytetu Jagiellońskiego, o której przecież wiadomo, że jeszcze przedwczoraj - dosłownie! - sympatyzowała z socjalistami spod sztandaru Polskiej Partii Socjalno-Demokratycznej i, jak się okazuje, była w bliższej zażyłości zarówno z redaktorem socjalistycznego „Marszu”, który

właśnie teraz napisał i opublikował „SZPIEGA „jak i z szeroko w Galicji znanym, szlachtetnym Trybunem...

Rozkaszał się, potem długo wycierał nos i oczy kawałkiem flaneli.

Jak mógł redaktor Goldstock tak nagle, tak natychmiast, jako człowiek, a szczególnie jako mężczyzna, odwrócić się od drugiego człowieka, od kobiety, która tym socjalistom pomaga...? Jak śmiało to zrobić tylko dlatego, że ujrzał listę „szpiegów „ - listę sporządzoną przez rzetelnego i do niedawna służalczo wiernego pracownika ochrony, który nagle, w jednej chwili, odwrócił się na pięcie od swoich i poszedł służyć tej stronie, której zwolenników dotychczas tropił, ściagał, uciśkał, rzucał ich pod stopy czynowników carskich! Skazywał na Sybir, na śmierć. Skazywał! Pośrednio i bezpośrednio wskazywał! I co się okazuje, ten nędznik moralny z krwią ludzką na rękach zyskał sobie u socjalnych demokratów posłuch i miarę! Co się dzieje? Kim więc mogą być ludzie, którzy w pierwszym rządzie uwierzą zdrajcy?!

- Nawet nie próbowali sprawdzać! - krzyknął i dopisał:

Cokolwiek dalej się zdarzy - plama pozostanie!

Stał nieruchomo na swoich bardzo długich, lekkich nogach. Na jego krótkim tułowiu piętrzyły się dwa garby: na plecach i na piersiach. Znieruchomiała piękna głowa, osadzona na szerokich i zupełnie poziomych ramionach. Tylko wydatne nozdrza poruszały się, mozolnie wchłaniając wilgotne powietrze przedświt. Nad Krakowem unosiły się niebieskawe mgły, odsłaniając najeżoną kościelnymi wieżami i podkreślaną wilgotnymi dachami panoramę miasta. Wrócił do stolika w centrum swojego okrągłaka, czynił jeszcze poprawki w tekście. Drżał z chłodu, wpatrując się w trzy krzyże wiszące na ścianie.

Od schodów rozległy się energiczne kroki. Ryzą czystych

kartek zakrył natychmiast te zapisane. Dmuchnął ku lichtarzowi; pozostał w dymie i tylko przy świetle jednej, odległej od stołu świecy.

W drzwiach ukazała się młodziutka drobna wysoka szatynka w koszuli nocnej. Jej ciemne długie, bardzo gęste włosy i w tym mizernym świetle połyskiwały miedzią. Białe płótno koszuli usiłowały przebić małe, ostre, twarde, dobitnie wystające sutki. Gdyby nie to, wydawałaby się wyrośniętą dziewczynką. Pociągnęła Husiatyckiego za sobą, mrużąc:

- Gdybym nie była twoją żoną, pozwoliłabym ci tu dla dobra piśmiennictwa zamarznąć.

Schodzili w dół po krętych schodach. W półmroku połyskiwały boazerie i balustrady.

Przez sypialnię z ciepłym łóżkiem, opuszczonym niedawno przez drobną zgrabną, weszli do przestronnej łazienki z wszelkimi wygodami i z elektrycznym światłem. W wannie już była parująca woda.

- Wisieńko - wyszeptał Husiatycki.

Dolała z kranu trochę zimnej wody do tej wanny, łokciem, jak dla dziecka, sprawdziła temperaturę. Gabriel się zaczął rozbiierać.

- Ale potem przez cały dzień w łóżku! - pogroziła mu palcem.

- Ale z tobą, Wisieńko, ale z tobą!

Popatrzyła na niego uważnie. Odrzekła:

- Tak. I tak będzie do tego momentu, w którym przyjdzie ci do tego kosmatego łba, żeby cokolwiek przede mną ukryć.

Już rozebrany, wpakował się do obszernej mosiężnej wanny. Wisienka w okamgnieniu zrzuciła koszulkę i wskoczyła za mężem do wody. Namydlała mężczyźnie ostro wystające kolana - z białofiołkowych robiły się różowawe - a on patrzył w zachwycie na jej skórę o zatrważająco doskonałej karnacji koloru świeżo wypieczonej kajzerki. Spojrzała nań z jakichś tylko sobie wiadomych głębokości i dokończyła myśl:

- Choćby to miała być nawet najcieńsza szpilka - wytropię!

16. Samce w śródmieściu nocą

- A ty, Henrysiu, ładnie złóż szatki na krześle, paciorek zmów - i na kanapę! - rzekł, podśpiewując mecenas Gala.

- Tyś do kanapy przywykły - odrzekł z wahaniem student Bylewicz. Rozbierał się posłusznie. Mruknął: - Może ja, co? na szezlongu?

- Wygody dla gościa - odparł stanowczo Gala.

Przed chwilą Bylewicz z ręcznikiem opuścił kuchnię, w której była i umywalnia. Wszedł do zacisznej sypialni, od miejsca oddzielonego pianinem i sofą spełniającej także rolę salonu - w lokalu na pierwszym piętrze starodawnej kamieniczki przy ulicy Sławkowskiej, w najściślejszym centrum Krakowa. Ten niezły kawałek przestrzeni z przyległymi naprzeciw biurem i kancelarią zajmował mecenas Gala.

Środek nocy; ład, artystycznie w jednym miejscu zburzony - to nuty rozrzucone na czeczotkowym pianinie. Nad pianinem - ach! - wieniec laurowy ze wstęgą: „Utalentowanemu Autorowi - wdzięczni widzowie w hołdzie”. Gala zgasił lampę naftową z pomarańczową umbrą, pozostawił tylko tę z zielonym, z lekka chyba lunatycznym światłem, ale jeszcze podkreślił knot. Przegonił z szezlonga legawego Mruka, sprawnie pościelił kanapę; zabrał się do szezlonga.

- To może ja na szezlongu...? - powtórzył uparcie Bylewicz, bez spodni, lecz jeszcze w koszuli i kamizelce.

Gala wskazał wygodną kanapę. - Uszanuj zwyczaje domu. - Wyczekał, aż Bylewicz opatuli się w pościel, przysunął się, usiadł na brzegu kanapy i zapytał z pięknym uśmiechem: - A jaka jest ta Korowska?

Bylewicz, nie podnosząc wzroku, zmarszczył brwi: - Oczywiście!

- No? Jakże?

- Głęboko osadzone, rozumiesz, a jasne! Nie, nie, żeby jasne tęczówki - jęknął - tylko, wiesz, taki specjalny blask. Te oczy to w niej jak gdyby dodatkowe tchnienie! Światło obwiedzione aksamitem.

- Hm!

Spojrzał na mecenasa:

- Tyś może jeszcze nie widział w ogóle takich oczu!
- Przesadzasz, prawda? - pytał Gała z niepokojem, trudno dociec, czy udawanym, a skoro tak, to o ile.

- Nie.

Przestał mierzwić sierść Mruka, przełknął ślinę:

- Jesteś z nią blisko?
- Tylko koleżanka ze studiów. Ale może gdybym się trochę zakręcił, kto wie... Mówi się, że ten jej odseparowany mąż, który jutro przyjedzie, nie jest ojcem także i żyjącego jej dziecka!
- „Mówi się”! Znaczy co? Mam się opierać na plotkach?
- Ale ja tak tylko... A to raczej nie należy do sprawy.
- A ja chcę, żeby sprawa należała do mnie! - Trochę się zakrztusił, tak rad z własnego paradoksu. - Sprawa Korowskiej, Henrysiu, zapamiętaj to sobie! - Nagle się przestał uśmiechać. Z troską dotykał szczęki.

Bylewicz kręcił się dziwnie w pościeli.

- Drogi Romanie...?
- No?
- Wybacz, przez twoją sypialnię przewinął się legion kochanek.
- Znów mi wieść gminną przynosisz?
- Ostrzegam! Ostrzegam, jeśli Anka też ma być łatwą zdobyczą.
- Daj spokój. Nie widziałem jej jeszcze. - Piękny mecenas z nadspodziewanie brzydkim grymasem włożył do ust dwa palce; drugą dłoń zasłonił podejrzany manewr przy zębach. - Żaden adwokat Żyd czy socjalista nie podejmie się jej obrony. - Otrzeptał ręce. - Ja chcę ją przywiązać do siebie inaczej.

Bylewicz zerwał się i usiadł w pościeli. Rzucił spojrzenie człowieka, który się brzydzi, oraz słowa: - Drogi Romanie!

- Znam ten ton - odparł szeleszcząco mecenas. - Albo zaraz usłyszę o sobie kolejne świństwo, albo chcesz zapalić, i to w łóżku. Jeśli to drugie, zezwalam w drodze wyjątku.

Student błyskawicznie zapalił papierosa. Rozglądał się

niepewnie, wreszcie złapał cynową popielniczką z nimfą, którą mu rzucił mecenas. Zaciągał się z lubością, szeptał: - Wybrosisz ją, powiedzmy, oczyścisz z zarzutów, a potem, he he, z moją pomocą, podsuniesz ją swemu najgroźniejszemu antagoniście, redaktorowi Plemieńskiemu, o którym wiesz, że co najmniej tak samo jak ty lubi kobitki. Ona, wciąż zadurzona w tobie, w najgorętszej chwili zacznie się Plemieńskiemu opierać... i wtedy jak z podziemi wyłonię się ja. Co? Ja, niepozorny student, co, co, co?! A poza tym Plemieński ma żonę i dzieci, stało do tej pory harmonijne. Taki niewinny szantażyk i załatwione!

- Blisko, blisko! - powiedział Gala. - Moja szkoła. - Westchnął. - Może tak właśnie zrobię, może trochę inaczej. Do kolosalnego świństwa raczej się nie posunę. Ale nie dopuszczę, żeby Plemieński złamał mi karierę. Karierę, a może nawet życie. Życie, ty mnie słuchasz uważnie? Nie dopuszczę więc, żeby on doprowadził do procesu przeciwko mnie przed sądem Ligi Ochrony Czcii. - Wszedł mu w słowa samotny, brzękliwy (jak głos Wyspiańskiego) jęk gongu wahadłowego *Le Roi à Paris*. - Pierwsza. Więc do roboty, Henrysiu. Od tej chwili zacznij sobie myśleć, że pewna część moich pieniędzy to już twoje pieniądze. Warunek, rzecz jasna, że jutro na wykład przyjdiesz wypoczęty. No i módl się, żeby Korowska po dzisiejszym w ogóle przyszła na wykład.

Jeszcze bardziej przyciemnił światło zielonej lampy, ponownie zapalił tę większą, z brązową umbra, wzięwszy ją, wyszedł z sypialni do kuchni. Z psem legawym przy nodze. Gdy stamtąd podśpiewywał: - Mrukowi damy jeszcze go-to-wanego mleka - mógł się wszystkim wydawać człowiekiem ciepłym i miłym. Nie wyłączając studenta.

Student w każdym razie czuł się bezpiecznie, choć w słabym a lunatycznym świetle lampy jego rozpozgodzona twarz wyglądała upiornie. Zwłaszcza gdy od czasu do czasu na całą jego leżącą postać rzucały się atramentowe cienie i zaraz potem bursztynowe światełka z kuchni, gdzie jako ślady ruchu wraz z odgłosami towarzyszyły ablucji Gali.

Bylewicz (jak potem się okaże) tkwił na pograniczu jawy i snu. Pod jego powiekami odbywały się dosyć nawet barwne projekcje, między innymi twarz Anki Korowskiej, przechodząca w nagie postacie - ale bez twarzy, za to w tańcu - który z miłosnego przegradzał się w makabryczny. Ciała; a może tylko ciało jej, prawie całkiem nagie, albo raczej całkiem, bo tylko za sprawą ostrego światłocienia zakrywają się intymności anatomiczne; ciało, a raczej znowu te ciała, te ciała tak gładkie jak widziane w cyrku czy w tingel-tanglu ciała wołyżerek, aktoreczek albo pospolitych ładacznic, pokryte delikatnie talkiem, pudrem, dodatkowo przesłicznie wygładzone ciepłym światłem reflektorów. Zaraz potem rozpad tych ciał; widocznie w reflektorze mistrz oświetlenia zmienił szybkość: tony zgniłozielone i szaroniebieskie; piersi, uda, brzuchy odpadają w upiornych sekwestrach. Później już nagie ciało na stole sekcyjnym - z głową zakrytą zielonawoblękitną chustą w wytłaczane wschodnie wzory, z których tyle użyczyła secesja i oddała je w pacht fabrykantom. Pole kości... Zastanowiły go odgłosy z kuchni, wyraźniejsze nawet niż te wizje. Nie tylko namydlenie się, płukanie ust, jakieś klaśnięcia, ale i przykra niespodzianka. Głos, który stamtąd dobiegał, na pewno należał do Gali, dykcja natomiast była tak skandaliczna, że trzeba było nabrać podejrzeń, że mówiący wsadził sobie do ust palce, mydło lub gąbkę.

Słowa (gdyby je fonetycznie zapisać): „A fo by było, Fenryfii, dyby ona okawała fe yftofnie aeenfką ofrany?”.

Zmartwił w bezruchu. Udając, że zasnął, przyjął z ulgą dobiegające z kuchni znów najzwyczajniejsze odgłosy wylewania mydlin i płukania miednicy w zlewie pod wodociągiem. Wreszcie znany dźwięk otwierania flakonu oryginalnej wody kolońskiej.

Nakrył głowę kocem.

17. Droga do wroga

O świcie dalekobieżny pociąg ze Lwowa do Krakowa miał postój w Tarnowie. W wygodnym czystym przedziale lososiowe plusze foteli i wykładzin łagodziły ostrość zimnych blików w lustrzanych odbiciach dwóch *vis-à-vis* umieszczonych zwierciadeł. Dama z perłą we włosach jadła pieczone, dżentelmen w tweedach nalewał sobie herbaty ze srebrnego termosu do porcelanowej filiżanki, szerokiej, płytkej, o orientalnym wzorze idącym wyszukaniem kobaltem przez całą jej szaro-perłową szerokość. Naczynie niewygodne w podróży, ale jakże ją oczyszczające od duszącego dymu lokomotywy, od w przedziale niemal nieuchwytniej, lecz przecież istniejącej (nie tylko w świadomości) mdłej, nieodłącznej kolejom, woni smaru, dziegciu, towotu. Posłaniec wniósł dla Stefana Korowskiego butelkę wódki, kieliszek bez nóżki, za to ze specjalnie grubym szklanym dnem, oraz dwie duże kromki w wykrochmalonej serwecie. Skrywały one wielki zimny sznycel. Stefan z błogością nalał sobie wódki. Wypił i znów sobie nalał.

Posłaniec nie odchodził. Odkrył posrebrzaną pokrywę. Na półmisku piętrzyły się różowe płyty peklowanego ozora.

- Nie chcę! - powiedział Stefan i znowu napił się wódki.

Ozór kupił po dłuższym namyśle, ściśle powiązany z obserwacją posłańca, rosły starozakonny, wygolony, ale z długimi pejsami. Siedział przy samym oknie i popijał wprost z blaszanego termosu, który wyglądał jak piersiówka olbrzyma. Gwizdek, pisk, świst, szarpnięcie, zaraz potem równomierny stukot. Pociąg ruszył. Okna zasnuwały stopniowo gęstniejące opary i dym. Sztuczny obłok. Jego miękka otoczka, choć smrodliwa, jakże łagodziła podróż.

Strych krakowskiego hotelu Astoria nawet służba odwiedzała rzadko. Do obszernej pracowni z pozał się Boże górnym światłem - czyli z okienkiem w pochylym dachu, skąd najwyżej dwie osoby mogłyby wystawić głowy - wszedł właśnie artysta malarz, trzydziestosześcioletni uciekinier z Królestwa.

W wytornym ciemnofioletowym szlafroku, jak zawsze o świcie, wracał z dwoma wiadrami z hotelowej toalety dla służby. Jedno wiadro, ocynkowane, opróżnione z nieczystości, drugie - emaliowane, niebieskie - napelnione świeżą wodą.

Mieszkał tu *incognito* od trzech lat i miał powody, żeby mówić, że żyje w komforcie.

Po pierwsze - ten szlafrok z mięsistego pluszu. Sprawił mu go właściciel Astorii - wynajmując niedrogo kawał strychu bez wody i ubikacji - w celu utrzymania pozorów. Umówili się wprawdzie, że malarz w żadnym wypadku nie będzie krążył z wiadrami za dnia, ale różnie się może zdarzyć, więc gdyby przypadkiem zobaczył go na korytarzu któryś z gości, w tak pięknym przebraniu i z wiadrami, pomyślałby, że to spaceruje jakiś inny hotelowy gość - dziwak chłopoman.

Po drugie - podłoga z świetnie wyheblowanych, modrzewiowych desek, po której można swobodnie sunąć ze sztalugami.

Po trzecie - gdy w tej pracowni stanęło się na krześle, wystawiwszy głowę przez okieneczko w dachu, uzyskiwało się coś zachwycającego: widok na Planty. A Wawel - wprost na dłoni! Objęty grynszpanem ażurowy hełm wieży Srebrnych Dzwonów, co kwadrans dźwięk uderzeń wieżowego zegara, złota tarcza, postrzępione obłoki, na ich tle przelatujące kawki - jak dziury w obrazie... przez chwilę.

Omijając spory, acz niedokończony pejzaż na sztaludze, tu i ówdzie tkwiące niby bezładnie blejtramy z zarysami pozaczynanych, jeszcze mokrych martwych natur - i uważając, żeby nie potraćić zmyślnie wyeksponowanych na pokrytych draperiami stolikach zbabczałych owoców, kwiatów uschniętych i bibelotów - artysta malarz przeszedł z wiadrami do czegoś w rodzaju toalety. Za parawan w młodopolskie wzorki (motywy kwiatowe: ultramaryna ciemna z cynobrem) powróciły więc te dwa wiadra - do kompletu z żeliwną ażurową umywalką, na którą się nakłada emaliowaną miednicę.

Wyuczonymi ruchami ustawił wiadra. Na to z czystą wodą zarzucił jasnożółty ręczniczek, tamto natomiast z brudami miał zamiar, jak zwykle, zakryć przedwczorajszą gazetą, jedną z wielu,

tak zwanych „po gościach”, walających się w toalecie dla służby... Podniósł z podłogi gazetę - i jednak jej nie rzucił na wia dro.

Gazeta to „Marsz”, a w „Marszu” tłusty tytuł czołówki: *SZPIEG*.

Artysta malarz w półprzysiadzie nad tym wiadrzem pogrzyżł się w lekturze, sapał z emocji, co mu nie przeszkodziło lewą ręką otworzyć szafki, z której wyciągnął zielonawą litrową flachę. Nadal czytając, zębami wyciągnął z flachy korek, a przechyliwszy ją, wlał do wiadra pokązną strugę. Roztoczył się zapach octu, chwilowo zagłuszając smród z wiadra.

Wypuścił z płuc powietrze, odchrząknął swobodnie. Flachę wstawił na miejsce, wyszedł zza parawanu, spojrzął na odwrócone do ściany płótna, pokiwał głową, znalazł stołek wolny od utensyliów malarskich i z tym stołkiem podszedł do okienka, gdzie już zrobiło się całkiem jasno.

Stanął na stołku. Z czubkiem pochylonej głowy w półotwartym w górę okienku czytał *SZPIEGA*. Półgłosem, rytmicznie głową o framugę wybijając kadencję. Z mierną aprobatą zmierzzył z góry rozpoczęty na sztalugach pejzaż, zeskoczył z gazetą na podłogę. Mocniejszy blask z okna padał na ten kawałek tekstu:

„Jak sobie wytłumaczyć psychologię takiego znikczemnienia? Jak zrozumieć, co zrobiło szpicla rosyjskiej policji z wymienionej również w tym spisie obywatelki austriackiej Anny Korowskiej, studentki medycyny krakowskiego uniwersytetu?”.

- Ejże?! - gwizdnał artysta malarz. - Ejże!

Ktoś pukał. Artysta zamarł. Pukanie się powtórzyło. Cichsze - ale właśnie tym bardziej realne.

Nikt z zewnątrz dotychczas go nie odwiedzał. Kto może pukać o piątej rano? Odczuł grozę wywołaną nadrealizmem sytuacji.

W sypialni Gali ostre słońce wbiło się w szparę między niedosuniętymi storami i trafiło prosto w czoło śpiącego Bylewicza. Ten się zbudził gwałtownie. Zrobił minę ilustrującą stan

zdziwienia: „skąd ja znam ten sufit?”, po czym opuścił wzrok. Uspokoił się, widząc znajome sprzęty oraz kwadrans po piątej na *Le Roi à Paris* z żywo się kołyszącym wahadłem.

Czyżby istotnie to, co zaraz potem pojawiło się na jego twarzy, było znakiem nadziei na szybkie a łatwe pieniądze?

Bo?

Na szeszlongu mecenas z głową na swej ulubionej skórzanej poduszce spał, niestety, w pozie umarłego: na wznak i z dłońmi splecionymi na piersi. Słońce odbijało się na krześle, dostawionym do szeszlonga. Na krześle błyszczła szklanka...

Bylewicz zrozumiał, czemu wtedy Gala bełkotał. W szklance, w lekko zmętniałej wodzie, tkwiły zwrócone ku sobie dwa rzędy sztucznych zębów, otoczone sinoróżowawą obwódką.

Odkrywca obrócił się ostrożnie. Dotknął ramieniem ściany i drżał. Potem włożył rękę do ust i palcami obmacywał swoje własne zęby.

Tymczasem pociąg dojeżdżał do Krakowa. Przed chwilą był w przedziale konduktor i wygasił lampy. Słońce poranka już przed kwadransem ożywiło pasażerów. Starozakonny, dyskretnie wymamrotawszy błogosławieństwa, smakując pomaleńku, zjadał jeden z pięciu plastrów ozora. Siedząc naprzeciw Stefana Korowskiego, siłą rzeczy przyglądał się pijacemu. Ten, dotychczas zatopiony w myślach, teraz dostrzegł żywe spojrzenie współpasażera. Wyciągnął z kieszeni dodatkowy specjalny kieliszek podróżny w metalowym etui i powiedział grzecznie, ze znaczącym gestem:

- Czy może mi pan towarzyszyć?

- Wystarczająco panu towarzyszę - odparł starozakonny bez odrobiny emocji i odłożył na srebrną tackę nadgryziony kawałek ozora. - Przez tyle godzin trzeba się znosić w takiej klitce. Powiedziałyby kto? No. Dziękuję bardzo uprzejmie. W podróży nie pijam wysoków. W przeciwieństwie do mojego wybitnie utalentowanego kuzyna - pan musiał słyszeć - błogosławionej pamięci Moseśa Gottlieba... Maurycego Gottlieba, wielkiego malarza. Pan, wie, sam Matejko go żegnał na

nowym cmentarzu żydowskim. Moses, pan wie, Maurycy Gottlieb, on tak tymi pociągami jeździł z Krakowa do narzeczonej we Wiedniu. Czy on się odpowiednio ubrał? On biegał, on nie biegał, on fruwał do tej swojej panny Atteslander, Pinkiesów Atteslanderów cud-córki, taki był, on we wszystkim musiał być najlepszy i najpełniejszy; może trochę jak nie Żyd. On miał dwadzieścia trzy lata, kiedy skołał po operacji na gardło w krakowskim szpitalu Świętego Łazarza.

- A moja żona pomieszkiwała i nawet trochę pracowała w tym samym szpitalu - powiedział Stefan, napił się wódki i mruknął: - Także złe wspomnienia mam stamtąd: tam straciliśmy - potarł nos - dziecko. Niemowlę. A moja żona studiuje medycynę...

- No, że też coś podobnego? - ożywił się starozakonny. - Świat się zmienia, ale czy idzie naprzód? A małżonka, przepraszam, co studiuje konkretnie?

Stefan znów wypił, chuchnął:

- Chirurgię.

- A - szepnął kuzyn Gottlieba - to musi być pod każdym względem dzielna kobieta... Skąd wiem? - ciągnął po chwili znęcony pytającym spojrzeniem Stefana: - Chirurg musi być silny. Ojciec mój, jeszcze wyższy ode mnie i cięższy, był ciężko ranny jako powstaniec w 1863. Jemu, uj! gangrena się wdała, to jemu chirurg całą dłoń odcinał. Nawet bez pomocy takiej o, pan się zna, piły. I robił to w zamaskowanym wozie powstańczym, przy jednej, jedynącej świeczce i w taki ziąb! A tak, tylko tamtej nocy jeszcze mógł to zrobić, bo rano by było już po człowieku. Pan wie? Na żywo! Tylko szklaneczkę spirytusiku wlał choremu do gardła. A jak taki operowany się rzuca! Pana szanownego małżonka to musi być silna osoba.

- Ostatecznie chyba ma pan rację - powiedział Stefan. - Ale może odłożmy sobie powstanie.

- Odłożmy, ma się rozumieć. Po co się pchać. - Kuzyn Gottlieba rozejrzał się nieuważnie. - Dobry ozór - oznajmił i teraz już parł tonem ciepłym, a nieznoszącym sprzeciwu: - Pan teraz ode mnie się poczęstuje.

Rankiem w mieszkaniu listonosza w Limanowej słońce wpadało owalnym okienkiem do przedpokoju i oświetlało na szaragach przedmioty w innych porach dnia ukryte w cieniu. Synek listonosza, pierwszoklasista, z rańcem na plecach, prawie gotowy do szkoły, kończył zawiązywać sznurowadła trzewików. Obok ubrań służbowych ojca spostrzegł jakieś obco wyglądające, podejrzanie tu przypadkowe opakowanie. Starał się zajrzeć ostrożnie, rozchylając zmięte zawiniątko z szarego papieru i gazety - i w mocnym, naturalnym świetle, doskonale łowiącym każdą drobinę kurzu, najbardziej jeszcze lichy zaczątek pajęczyny, rzucił mu się w oczy tylko tłusty tytuł *SZPIEG*. Już-już wzrok ucznia wczepiał się w ten tytuł, ale oto w istotnym momencie stracił czujność, bo zwyciężyła nieprzeparta ciekawość. Idąc śladami kropel krwi, z papierów wyłuskał kurzy łeb naznaczony dramatem.

- Mama - ryknął, wychodząc - dzisiaj na obiad kura w rosole!

Z palcem na ustach, w koszuli nocnej i w papilotach, wbiegła do przedpokoju listonoszowa. Machinalnie zamknęła drzwi za synem i poczęła się skradać do szaragów. W pomieszczeniu oglądała wiszącą kurę... Zamknęła bezszelestnie także i te drzwi, którymi weszła. Zanosząc się bezgłośnym śmiechem, odpakowała kurę, wyrwała kilka większych piór, ściągnęła z szaragów służbową czapkę męża, zatknęła za nią pióra, wcisnęła czapkę na włosy z papilotami, ściągnęła wargi w ryjek - naśladowała głośnie trąbienie. Pędem przemierzyła parę drzwi w amfiladzie i wpadła do sypialni.

Hałas zbudził listonosza w gąszczu koronkowej pościeli. Żona, kręcąc się dziwnie w nogach jego łóżka, śpiewała wniebogłosy: - Pojedziemy na łów, na łów, towarzyszu mój!

W Krakowie, w mieszkaniu na Aryańskiej, Anka zupełnie ubrana leżała na łóżku, przykryta kocem. Stefan, smutny jak rzadko, siedział na niewygodnym krzeselku - nieruchomo - i tylko jego palce kręciły w powietrzu piękny młynek: z pozoru jedyne żywe zjawisko w tym pokoju.

- W ogóle nie wiem, gdzie będę mieszkać - powiedziała w strachu.

Stefan, z twarzą wyrażającą niepomierne zdziwienie, zrobił szeroki gest ogarniający wszystko - i co we wnętrzu, i co łącznie z kasztanowcem za oknem - i podkreślający, że tu nie ma brzydoty ni niewygód.

- Zetknąłeś się ostatnio, Stefuniu, z objawami subtelnie wyrafinowanego okrucieństwa?

- A co? A co?

- Docinają mi właściciele mieszkania.

- To już świństwo! - Zamachał, pomachał; zdziwił się, że nie ma w rękach szklanki albo kieliszka. - Stołowałaś się u nich, stół to stół, oooo!... musieli oszukiwać, inaczej by im się nie opłacało... i taka wdzięczność?! - Nieoczekiwanie padł na kolana i tak w swoich kraciastych spodniach przemierzał się ku kolanom Anki, posapując: - A swoją drogą, jak to właściwie jest - spod jej ud spojrzął leżącej w oczy - pomagasz tym socjalistom - odchrząknął, odwrócił głowę, chyba gdzieś splunął - żyjesz z nimi... żyjesz z nimi w symbiozie, aż tu nagle, tu nagle, nagle taki skandal?!

Zerwała się z łóżka. Odsunął się ostrożnie. Sprawdził, czy nikt mu nie skradł w podróży spinki do krawata, srebrnej, z rzadką perłą. Odetchnął; usłyszał: - Ty pewnie jesteś głodny.

- To wiesz co, przygotuj tutaj się jakoś - powiedział z ulgą - a ja mam blisko, pójdę do restauracji, no, tak, tak, do tej tam, tu zaraz, tego, rozumiesz, czynnej bez przerwy...

Bez trudu wychyciła w jego oku specjalny błysk.

- Tobie - mruknęła - niewiele potrzeba.

- Takie jest już teraz moje życie - odparł poważnie, wstając. - Po skonie ideałów - dodał. Popatrzył na nią z góry. Musiała się poczuć jeszcze mniejsza, a on odetchnął, nie kryjąc ulgi, brał po kolei laskę, kapelusz, klepnął się po kieszeni i pozwolił sobie na wyjście bez słowa. Podobnie już bywało, ale... Ale dotychczas nie zdarzyło mu się tak trzasnąć drzwiami.

Znieruchomiała, żeby oddać się myśli, że to ta chwila, że właśnie tak się stało. Ale zaraz spod drzwi nieco jeszcze

drgających przyskoczyła do okna. Szeroki parapet, jak pół blatu stołu. Wychyliła się. W otwartym oknie machała ręką do Stefana, odchodzącego ciężkim zdecydowanym krokiem, akurat w żółtych dymach z niskiego komina piekarenki. Chciała przyciągnąć go wzrokiem - do niedawna zawsze jej się to udawało, nawet tu: odwracał głowę, patrzył prosto w jej okno. Dziś nie.

Gala, odświeżony i w jedwabnym seledynowym szlafroku, już przy porannej kawce i bułeczkach, w nieprzytulnym - bo bez okna - aneksie między sypialnią a kuchnią, chrupiąc, spoglądał porozumiewawczo na studenta, który w ablucyjnej części kuchni właśnie się kończył ubierać.

- Mimo wszystko czuję się skrepowany - powiedział student.

- A wiesz, że ja też? - wyznał Gala i krzyknął: - Mruk! - Z sypialni przybiegł legawiec, przytknął mordę do boku pana. - No, popatrz sobie na psa.

- No?

- No! Spał, zanim go przywołałem. Jak Mruk wygląda? - Ni to do psa, ni do gościa: - Jest świeży, estetyczny, wręcz wytworny. Oczy - o! - niepodpuchnięte. A człowiek... eh! No, sam widzisz. Zwłaszcza widok kobiet po przebudzeniu jest niekorzystny.

- Wyłączając młode dziewczęta - uściślił student, stękając. Uporał się z węzłem sznurowadła, zrobił piękną kokardkę przy bucie i wreszcie się wyprostował.

- Ho, ho - zaśmiał się Gala - koneser!... Powtórnie ręce umyj... Co do świeżutenieczkich dziewcząt, zapamiętaj: to nie są jeszcze kobiety. To są okrutne dzieci - już o kobiecych kształtach. Chwyci cię taka - bezwzględna - a ty, olśniony jej najczystszy, ach, wręcz anielskim obliczem, pójdiesz wreszcie z tym aniołem do łóżka, posłuchaj, poczujesz się zobligowany iść z nim - miękkim a gorącym - do stóp ołtarza... A już po roku jej wdzięki spłowieją, w miejsce skrzydeł wtargnie pewna kancistaść, głupawa, bo pospolita - a ty co? Pozostaniesz

najprawdopodobniej do końca życia z człowiekiem płci żeńskiej, skrzekliwym trybem maszyny małżeńskiej, która się nazywa dom. Po kilku latach czujesz, że pali ci się pod nogami. Jeśliś w porę nie zdołał zawrócić, zostaniesz bez gruntu i tak jakoś, wiesz, somnambulicznie, bez gwałtowności, opadniesz w otchłań, jak wcześniej opadał popiół spod twoich stóp. Wybawi cię dopiero śmierć...

- Albo umiejętnie przeprowadzona separacja - zaśmiał się student z kuchni.

- Tyś powiedział - mruknął Gala i z dumą popatrzył w lustro. Czyżby się spłoszył? Nagle bowiem nerwy odmówiły mu posłuszeństwa, szczeka zadrżała, oczy zrobiły się matowe. - Śmierć? Śmierć dopiero człowieka wybawi z tego marazmu? Czyja śmierć? Czy na pewno myślałeś o mojej śmierci, znaczy, o śmierci tego przykładowego mężczyzny? - W odbiciu na drugim planie zamigotała postać studenta, który jedną ręką zakrecał kran, a drugą sięgał po ściereczkę. Tak zawsze bystry - tym razem nie spostrzegł i nawet nie wyczuł zmiany, nie usłyszał zachryplego szeptu.

- Ja cię przepraszam, Romku - indagował - ale czy ty nigdy nie tęsknisz za rodziną, za tymi, których odsunąłeś, za ciepłym domu?

- On daje mi ciepło. - Poklepał Mruka. Po czym rękę włożył głęboko pod szlafrok. - I on.

- Ha, ha, ha! Dwaj przyjaciele! - Student zagwizdał przeciągle.

- I wystarczy - dodał adwokat. - Tu trochę ciasno, ale i Kraków ciasny. Da Bóg... Nie rozpowiadam specjalnie o tych moich widokach na otwarcie kancelarii we Wiedniu.

Student znów gwizdnał.

- I to się stanie, zanim przekroczę czterdziestkę. No, to już niewątpliwie. Rok, najwyżej półtora - powiedział Gala.

Student gwizdnał.

- Ja nie fantazjuję! Rok, najwyżej półtora i...

- Ostatecznie zamierzasz stanąć przed sądem Ligi?

Gala się cofnął i zrobił ruch, jakby chciał studentowi pomóc

zawiązać krawat. Ten poczerwieniał. Sam sobie za mocno zaciśnął pętlę? Gala zobaczył to i się energicznie odwrócił.

- Po cóż - odparł po chwili - miałbym rejterować? - Do okna wprawdzie podchodził spokojnie, lecz teraz pociągnął za sznurek i podniósł roletę z taką gwałtownością, że student zmartwił w strachu, że cały ten mechanizm w obłokach kurzu i z ciężką rdzawą materią spadnie na jego głowę. - Rejterować, gdy ma się na dowód prawdy takiego świadka?

- Aha - odrzekł student jeszcze z ręką na wszelki wypadek ochraniającą głowę - będziesz miał świadka.

- Siatkę już utkałem. A ty, Henrysiu, tylko dmuchniesz, świadek - ach, jaki piękny okaz, wleci...

- A świadkiem - przerwał student nadal z ręką nad głową - świadkiem na dowód prawdy będzie oczywiście kobieta. Mucha, którą zamierzasz wyssać. - Zastanawiał się. Krzyknął dobitnie, piskliwie: - Naprawdę nie słyszałeś o pewnych muchach, które są bardziej jadowite niż pająki?

Na twarzy Gali nic nowego. Za to ręka penetrowała kieszeń szlafroka i wychynęła stamtąd z ponad sześcioma gramami czystego złota, czyli z dwudziestokoronówką. Pokazywał ją studentowi:

- Masz! Przyrowadź nawet najjadowitszą. Bo chce mi się znowu żyć! Lecz chroń mnie od jej jadu. Warto chronić! Bo pamiętaj - rzucił monetę, a student, skacząc, chwycił ją w locie - to dla ciebie dopiero początek złotego deszczu!

Stefan przemierzył ponad trzydzieści stopni schodów, które w drodze do westybulu tworzyły pretensjonalnie sztuczną perspektywę - słyhać było, jak sobie odkaszlnął - i znikł w drzwiach restauracji Dymła, lśniących w pierwszym słońcu wychuchanym mosiądzem i kryształowym szkłem.

Kawka, która właśnie leciała nad jego głową, pofrunęła dalej, na tyły reprezentacyjnego lokalu, gdzie przed chwilą dotarł konny wóz dostawczy obmalowany połyskliwie i po równo reklamami Dymła oraz browaru arcyksiążęcego w Żywcu. Woźnica z posługaczem wtaczali ciemne dębowe beczki, praktykant

od Dymła, piętnastoletni najwyżej chłopak w białym fartuchu sięgającym kostek, dwoił się i troił, wnosząc w koszach wielkie jak koła furmanki bochny chleba prądnickiego, pozostawione na rampie po wcześniejszej dostawie, ale ani przez chwilę nie tracił z oczu ludzi z beczkami i coś sobie starannie zapisywał w myślach. Może wszystko potoczyłoby się inaczej, gdyby Stefan wiedział - a jeszcze lepiej, gdyby się kilka lat temu dowiedział - że z miejsca, gdzie stał praktykant, roztaczał się jak na dłoni widok na ogród botaniczny i zabudowania wydziałów medycznych Uniwersytetu Jagiellońskiego. Z pobliskiego kościoła, w którego cieniu ukryła się wczoraj Anka, rozległy się dźwięki sygnaturki, czyste jak woda ze źródła.

Artysta malarz był zupełnie nagi pod swym przepięknym szlafrokiem. Okazało się to w chwili, kiedy na zupełnie absurdalny sygnał czyjegoś pukania do jego drzwi tuż po piątej nad ranem jednym ruchem rozsunał poły tego szlafroka i tak jak stał, żeby nie tracić czasu, wciągnął frakowe spodnie, na stopy wsunął lakierowane pantofle. Wtedy dopiero rozejrzał się za jedwabnym sznurem, ściśle przewiązał nim fiolety szlafroka - i już. A, nie! Jeszcze na moment stanął przed wysokim na dwa i pół metra starym lustrem o ściemniałej tafli, przejechał dłońmi po twarzy, w odbiciu mrugnęło doń górne okienko... W biegu ku drzwiom nagle zboczył, ze stołu podjął długą drewnianą linijkę, krzyknął do kogoś, kto pukał: - Już, już! - wprawnie podskoczył pod tym górnym okienkiem i unosząc je lewą dłonią, prawą wepchnął linijkę na sztorc między futrynę a szybę. Zatrzepotały skrzydła przepłoszonego ptaka, wpadł haust czystego powietrza, artysta odetchnął, doszedł do drzwi, odbezpieczył zasuwę.

W proggu wytworny i z wystudiowanym uśmiechem Gabriel Husiatycki. Artysta z mrocznego korytarza wprowadzał porannego gościa - i im więcej było światła, tym bardziej rosło jego zmieszanie.

- Jak pan mnie tutaj znalazł?

- Spodziewał się pan kogoś zupełnie innego - stwierdził kategorycznie przybysz.

Malarz wskazał mu jakimś cudem istniejący fotel i oznajmił:

- Ja tutaj w ogóle nikogo nie przyjmuję.

Gabriel usiadł. Strasznie garbaty. Dłonie o długich mocnych palcach zacisnął na gałce laski.

- Nikogo? - spojrzał znacząco - poza modelkami zapewne. He, he! Gdzie diabeł nie może...

- Tutaj widocznie może - mruknął artysta malarz. - Ja nie używam modelek.

- Nie lubi pan kobiet?

- Szczerze? O piątej rano? Boję się ich.

Na chybił trafił porwał ze stołu jedną z licznie porozrzucanych glinianych lulek, usiłował ją czyścić, wycior się powyginał, malarz wytarł ręce pobrudzone fajczaną smółką o szmatę zasłaniającą rozpoczęty obraz, teraz rozejrzał się trzeźwo, znalazł lulkę czystą i napełniając ją tytoniem, mówił, nie patrząc na pana Gabriela:

- Jako artysta strasznie popękany się czuję. - Wreszcie zapalił lulkę; wreszcie spojrzał na gościa poprzez sfumato najpierw brunatnoburego i zaraz potem błękitnego dymu. - Już na studiach - ciągnął - spostrzegłem rzecz niepokojącą. Otóż podniecałem się płciowo, malując akty. To mnie rozpraszało. Zacząłem jak najdelikatniej rozpytywać kolegów, jak to z nimi jest wtedy. „Akt to akt - odpowiadali - modelka to modelka. Wystarczy, że stoi przed tobą płótno i że ono jest naprężone. Nic innego nie ma ci prawa stać”.

- He, he!

- A ja w pracowni w Akademii podniecałem się naprawdę bardziej niż dzisiaj w burdelu! Nie mogę! Nie mogę aktów! Maluję martwe natury. Martwe. Jak mnie pan tutaj odnalazł?

Gość nie odrywał wzroku od gołębi drepcących po dachu, widocznych w kwadracie górnego okienka.

- Pan mnie rzeczywiście może nie pamiętać. - Zaśmiał się lekko. - Nie, nie przyszedłem tutaj na wywiad. Hi, hi! Naprawdę

wyglądam na dziennikarza? To już tak źle z naszą prasą? - Spowaźniał, widząc pomieszanie malarza, i oznajmił: - Nie dalej jak przed miesiącem, a prowadzę dokładne notatki, odprowadzałem pana na górę.

- Musiałem być nieprzytomny - stwierdził artysta, podszedł do stołu z drugiej strony, usiadł, poprawił poję szlafroka.

Wysunął szufladę, w jej wnętrzu zniknęło prawie całe jego ramię. - Zadłużyłem się u pana zapewne.

Gabriel Husiatycki zaśmiał się miło, ale nie zmienił sztywnej pozycji:

- A, nic z tych rzeczy! Obiecał mi pan portret.

- Tylko sporadycznie maluję portrety - szepnął artysta i wyciągnął rękę z szuflady.

- A miesiąc temu to pan nalegał. Pan mówił, że musi mnie namalować. Pan wprost błagał. Pan nawet płakał.

- Pan wie, że wtedy byłem pijany?

Gabriel parsknął.

- Wręczyłem panu wtedy tutaj na górze bilet wizytowy. Nazwaliśmy się ludźmi wysokich pięt. Obiecał mnie pan odwiedzić w wieżycze. I co?

Artysta zgniatał w prostracji wczorajszy numer „Marszu”, a Gabriel zerknął ciekawie, zobaczył znany mu świetnie tytuł czołówki *SZPIEG* i wskazał zapalczywie na tę zmiętą gazetę:

- To, to, to właśnie! Potrafię uzdrawiać z niepamięci. Takie, wszyscy mówią, mam oczy. Oczy mam. Takie. Ale to nie moje oczy pan namaluje. Rzuciłem, wie pan, wszystko, żeby nie było za późno. Tu pośpiech jest wyjątkowo wskazany. Otóż w tym momencie, pan mnie słucha, siedzę tu i zmieniam zamówienie - i palcem wskazał na gazetę. - Pan sprawę oczywiście zna! Tej kobiety wcale nie będzie pan musiał szukać. Ona sama do pana przyjdzie i pan namaluje jej portret. Ja kiedyś panu zapłacę.

- Ach, co mi pan tutaj!... Mam własne plany twórcze.

- A nie przeszkadzają panu wyziewy hotelowej kuchni? Buraki gotujące się, tak jak teraz, już z samego rana, bardziej lub mniej stary tłuszcz, obierzyny, frytura? Panie, choćby nie wiem

jak wytworna kuchnia, kuchnia to kuchnia; po niej już tylko zlewki, pomyje lub śmietnik. Fúj, fúj, ten zaduch oficyn! Panie! Pół roku pracy dla mnie pozwoli się panu odbić od tego! A potem i miejsce w historii sztuki, i fortuna.

- Te dwie ostatnie kwestie wzajemnie się wykluczają.

- E! To tak sobie wmawiają leniwi i mierni. A ja...

- A pan co?

- A ja pięć lat temu widziałem pańskie obrazy, wystawiał pan w Warszawie z Jackiem Mierzejewskim, więc wiem, co mówię, i ukłon składam, mistrzu!

- To czemu pan nic wtedy nie kupił?

- Znacząco? Żaden z obrazów nie znalazł nabywcy?

- Żaden. Zadłużyłem się, żeby opłacić salę wystawową. Potem, nieprzyzwoicie trzeźwy, jakże zacząłem się staczać. Cemuż pan nie kupił?

- Nie kupiłem, bo wtedy chodziłem bez grosza. Po co owijać w bawełnę. Majątek żonie zawdzięczam. Niech się pan nie śmieje, naprawdę ożeniłem się, ale już po pańskiej wystawie. Pozna pan Wisieńkę. Jest piękna. - Dodał szybko: - Pan się dzisiaj wybiera pić i używać? Tak to wynika z moich notatek.

- Przyszedł pan mnie nawracać?

- Przeciwnie. Jeśli pan pozwoli, wspólnie zaczniemy ucztować. Podoba mi się, że pan tak systematycznie, tak raz na miesiąc hula, ale... i wyczuwam w tym coś damskiego, he, he! Periody opilcze. E, dajmy pokój, trywialna bzdura! Dobrze już. Od mego towarzystwa wybawię pana w południe, żeby zdążyć na obiad do domu. Jeszcze nigdy nie zrobiłem żonie zawodu. Wisieńka jest dobrym człowiekiem. Choć trudnym, może nawet trudniejszym niż ja. I kochamy się. I, pan wie, ufamy sobie.

Artysta, zszokowany bezpośredniością Gabriela, sam się przycisnął do muru.

- Zaraz sobie wyleję na łeb dzban zimnej wody. Pan pozwoli, że wejdę za parawan?

- Tak, lej pan - odrzekł Gabriel bez śladu zdziwienia, bez gestykulacji. - A ja sobie tymczasem pooglądam obrazy.

Tak zrobili, zza parawanu rozległ się mizerny chlupocik, a Gabriel Husiatycki pochylał się, odstawiał obrazy obrócone tyłem do ścian, nad wyraz rześko obserwował je „z odejścia”, po czym przyskakiwał, badał powierzchnię, dotykał delikatnie, żeby namacalnie sprawdzić efekty impasta, wyciągnął nawet lupe, próbując zgłębić tajniki laserunków.

- Zdaje się, że dwie kobiety skrzywdziłem - dobiegło sucho zza parawanu.

- To one pana wciąż krzywdzą - odparł burkliwie Gabriel.

18. W kąpieli

Anka zupełnie naga kończyła codzienną ablucję w półcieniu umywalkowej wnęki w głębi dużego pokoju. Wdzięk ruchów ciała młodej zgrabnej kobiety, brzydota moralna możliwego podglądacza, ale spokój i - jak kto chce - banał. Z okna po przeciwnej stronie wpadało coraz więcej drobnych, ale mocnych i ruchliwych okruczeń słońca. Jak uderzenia pędzla impresjonisty wibrowały, zatrzymując się na mgnienie to na umywalce z porcelanową miednicą, to na dzbanach po obu stronach umywalki: w tym po lewej, błękitnym, była zimna woda, w kremowym po prawej - gorąca.

Jeszcze na koniec długo płukała usta, pachnącą wodę z płukania wypłukała do miednicy. Naga podeszła do naktkastlika, gdzie właśnie rządziło się słońce od wschodu. Jednym ruchem wysunęła szufladę: otworzyła małe pudełko z ozdobnym napisem „Splichal” - wszystko nowiutkie, widać świeży zakup - i już miała w ręku damski rewolwer ze zdobieniami z macicy perłowej, majstersztyczenko znanego krakowskiego rusznikarza.

19. Kiks

Student Bylewicz tymi schodami z fałszywą perspektywą niemal podfrunął do lśniących wykwintem, solidnych drzwi restauracji Dymła. Zdyszany, wyciągnął przed siebie rękę i zrobił ruch zamierzony na pchnięcie drzwi... tymczasem uprzedził go odźwierny. Student nigdy tu wcześniej nie był, nie przewidywał. W ostatniej chwili, ratując się jakąś niezmierną wręcz pantomimą, zdołał utrzymać równowagę. Wpadł jednak w te drzwi jak niepyszny.

20. *Lapis infernalis*

W nasłonecznionej teraz, wschodniej części pokoju Anka chyba przestała nad sobą panować. Gładkim zwieńczeniem kolby rewolweru, zaciśniętego w prawej dłoni, pocierała o lewe ramię. Za długo i za mocno? W ogóle niepotrzebnie. Na skórze pojawiła się wybroczyna. I wtedy w jednej chwili wszystko się odmieniło; błyskawicznie - jakby miała pewność, że ktoś ją zaczął podglądać, odrzuciła rewolwer, zakryła go rąbkami kołdry, przytomnie popatrzyła przed siebie, na oddaloną o cztery metry ścianę pokrytą okropną bladą różową tapetą w seledynowe paski. Teraz wpatrywała się bacznie w oprawioną w srebrzyste ramy litografię z patriotycznego obrazu Loefflera *Ostatnie chwile Stefana Czarnieckiego*, straszącą wyziewami cierpienia, starości, łez, potu i krwi. Dobiegła do łóżka, wsunęła na stopy papucie, które stały się jej jedynym, jeśli tak rzecz można, okryciem, dobrze zrobiła (niby w afekcie, a dla wygody), bo tam dalej już nie było dywanu, tylko szerniał parkiet - ale po drodze także nie do końca zasłonięte okno. Odruchowo w biegu skrzyżowała ramiona, żeby zakryć cycuszki. Skończyła bieg przy *Ostatnich chwilach Stefana Czarnieckiego*. Odsunęła ramię. Hak solidny, kuty, nie ma obawy, utrzyma. Za obrazem, w skrytce, zamaskowanej dyktą o identycznym jak na ścianie

deseniu tapety, obok niewielkich książeczek, paszportów i innych dokumentów czaił się ciężki browning, siny, zmatowiały.

Wyciągnęła. Stała z pistoletem i z rewolwerem. Afekt czy demonstracja - po przemyśleniu - specjalnie dla ewentualnego podglądacza? To, że jest naga, nie docierało do niej, a gdyby nawet dotarło, nie miałoby żadnego znaczenia. Jej twarz, dotychczas naznaczona być może także i troską, ale przede wszystkim czymś w rodzaju obrzydzenia do świata, łagodniała z każdą ćwiercią sekundy.

21. Krwotok

Po swej przygodzie z drzwiami Bylewicz niepewnie wszedł do wnętrza. Na dobitkę - ach, ta zła w gruncie rzeczy noc u Gali! - wpadł przy szatni na nieznanego sobie jeszcze doktora praw, byłego poetę Stefana Korowskiego, który właśnie przed chwilą oddał był szatniarzowi kapelusz, jasny płaszcz i laskę, i teraz chciał mu podać miedziaka wyciągniętego z kieszeni spodni. Student, wpadając na Korowskiego, wytrącił mu z dłoni tę monetę. Zamarł, przeszło mu przez myśl, że jest rozedrgany, obserwował w powietrzu lot pieniążka. Tymczasem Korowski, bliski otyłości i przeto z pozoru mniej gibki niżli student, a poza tym bez przerwy z alkoholem we krwi, wykazał się podziwu godnym refleksem: chwycił miedzianą halerzówkę w locie, wręczył ją szatniarzowi, który pięknym ukłonem spuentował ten wyczyn.

Zanim Bylewicz w ślad za uśmiechniętym Korowskim udał się do sali restauracyjnej, popatrzył na szatniarza z zawiścią. Macał się po kieszeni. Musiał nabrać pewności, że jego już własna dwudziestokoronówka nie była tylko snem, bo strzepnął z ubrania kilkanaście płatków łupieżu i wreszcie ruszył krokiem strudzonego najmity.

Ano, wytwornie. „Wczorajsi” goście; zamożniejsi podróżni;

lekarz po nocnej wizycie u zamiejscowego zamożnego chorego zza kordonu; żurnalista po ciężkim, odpowiedzialnym nocnym dyżurze; ślad cyganerii. Artysta malarz, jak z obrazka, w stosownej do swego stanu bluzie z czarnego aksamitu i z kokardą zawiązaną fantazyjnie pod szyją, siedział z Gabrielem Husiatyckim nieopodal stolika, który przed chwilą wybrał sobie i zajął student Bylewicz. Obok Stefan Korowski w jasnym ubraniu czystą wódkę zakąszał... tęgim porterem - i robił to w tempie ekspresowym. Malarz z Husiatyckim ucztowali natomiast, jak należy, smakując liczne dania i dochowując wierności tylko jednemu trunkowi: jarzębiakowi izdebnickiemu z wytwórni sorbetów i wódek zdrowotnych arcyksięcia Rajnera. Artysta malarz, wyprostowany, wstał, delikatnie przysunął krzesło.

Kelner przyjął właśnie zamówienie od Bylewicza.

Ten wpatrzył się w gościa siedzącego na tle kolorowo lśniącego bufetu. To ascetyczny chory kontrastujący z otoczeniem. Nieznany. Bardzo kaszlał i od czasu do czasu zwracał uwagę wszystkich. Usta przysłał dużą chusteczką, która mimo pozorów nie była oznaką patriotyzmu. Na śnieżnej bieli wykwitająca czerwień to była świeża krew suchotnicza.

Tymczasem akcja. Akcja! Pierwsza zasada zdrowej konkurencji: lokal niech sobie będzie, jaki chce - ale nie może być niemrawy. Kelner to z jednej, to z drugiej strony studenta Bylewicza. Z pozorami nienarzucania się. Tak - wyższa forma zawodowstwa. Na stoliku pojawiła się karafka, a usłużna ręka z serwetą zwisała na przedramieniu naląła z niej, wypełniając idealnie kieliszek. Student jednym haustem wychylił tę setkę, popatrzył przed siebie. Wytarł usta. Taak... Oddychając przez nos, jął pocierać powieki i krzywić się jakoś dziwnie, niedowierzając, że to, co widzi, jednak jest prawdą. Oto oddzielony czterema stolikami (plus krzesła) nieznany suchotnik nie przestawał kaszleć wśród przebogatej zastawy własnego stolika. Ale już wśród tych dookolnych pyszności i na kolorowo migotliwym tle baru otoczyli go dwaj kelnerzy. W tym momencie ich ruchy, perswazje, wygięcia i rozprężenia bioder przy sztywności karków sprawiały groteskowe wrażenie towarzystwa pogrzebowego

złożonego ze stręczycieli. Coś choremu gościowi tłumaczyli, gestykulowali, a nie chodziło o nic więcej, tylko o to, że on jest nie-a-pe-tycz-ny, psuje nastrój i może odstraszyć innych.

Z godnością potrzęsając brzuchem i z nieruchomym wzrokiem, nadchodził ober. Doszedł do stolika, całym sobą udatnie zasłonił suchotnika, coś mu powiedział, co zdawało się cichsze niż szept, teraz pochylając doń ucho, czuły na jego zwierzenia, jednocześnie głowę obrócił w trzech czwartych ku sali, nadawszy swojej *fizis* wyraz błogiej akceptacji. Ale i tak nawet podpity dostrzegłby, że w tych nieruchomych oczach czaiła się nieustępliwa zdrada.

Chory, niewidoczny teraz dla innych gości, zaniósł się nagle nie kaszlem, nie śmiechem; czymś z pogranicza tego i tamtego - czymś tak strasznym jak nakładające się na siebie o północy głosy pawia, osła i bohaterskiego tenora, bez litości budzące nawet przesyconego opium pacjenta z osiągniętego w trudzie i pośród narkotycznych niebezpieczeństw zbawczego snu, który na kilka dobrych godzin miał cierpiącego człowieka uwolnić od bólu.

Cierpienie budzi cierpienie. Trudno szukać dobra w chorobie. Trzeba mistrza o orlim wzroku, żeby je znalazł i wyciągnął.

W tym samym momencie artysta, chyba trochę kulejąc, powracał z toalety. Przy swym stoliku zatrzymał się z prawą nogą ugiętą i stał tak na jednej nodze. Nie mógł oderwać wzroku od incydentu przy stoliku pod barem. Nie zwracał uwagi na Gabriela, który mimiką i bogatym zestawem ruchów swoich biednych, oryginalnych ramion dawał do zrozumienia, że chce, żeby jego towarzysz zajął ponownie miejsce przy stoliku. A! bo gdy artysta stał, ograniczał mu pole widzenia! Ach, proszę bardzo, już w porządku.

Panowie patrzyli.

Kelnerzy musieli rozewrzeć kordon, bo suchotnik wprawdzie przestał rechotać, lecz oto teraz co? Zdaje się intruzów odganiać, wymachując zakaźno-patriotyczną chusteczką.

Stwierdziwszy widać, że skutek jest mierny, wyciągnął z kieszeni czerwono-niebieski banknot. Rzucił go na posadzkę - pod stopy zdrowych kelnerów. Sięgnął do wewnętrznej kieszeni, wyciągnął gruby portfel i rzucał tymi banknotami: oto fruwały, żeby paść to tu, to tam, zdaje się celnie, pod kilka par czarnych lakierów. Jak krwawiące, ustrzelone w locie, ptaki niebieskie.

Bylewicz podrywał się ze swego miejsca, ale... Cóż, mimo wszystko prawo pierwszeństwa dla kelnerów. Patrzył z podziwem i w oszłomieniu, jak oni dyskretnie to sobie pozbiali. Nastawił ucha i wreszcie udało mu się usłyszeć, co do chorego mówił ober: - Mnie i w ogóle nam wszystkim, szanowny panie, jest niewymownie przykro, ale - tu chrząknął i wyraźnie się przemógł - ale wielmożny pan już od kilku przecież tygodni od... od... odciaga, mój Boże kochany, odciaga naszą stałą... naszych stałych... no, jednym słowem naszych gości nam pan szanowny odciaga.

Chory znów sięgnął do kieszeni marynarki nienagannie skrojonego garnituru. Wysypały się trzy złote monety. Dopiero wtedy wysunął rękę. Trzymał w niej czarny browning. Bez blasku.

To, co się działo pod barem, przyciągnęło już uwagę wszystkich. Podniósł się z krzesła Stefan Korowski; ruszył nawet, by reagować, lecz powstrzymał go stróżujący przy jego stoliku kelner, podając usłużnie banię tęgiej gorzały. To był moment.

Chory włożył pistolet do ust. Krótki suchy trzask, jeszcze krótszy huk. Nie ma ust, nie ma twarzy.

Tylko na serwetach zawieszonych na rękach kelnerów, a także na ich gorsach, jakieś szaroróżowawe plamy. Jak błoto opodał glinianek o zachodzie słońca. Podobny rodzaj czerwieni, o natężeniu mocniejszym, wystąpił w miejscu, które przed sekundą było twarzą chorego. Scenę zamaskowała chmara kelnerów wspomozonych błyskawicznie skrzykniętymi pracownikami kombinatu Dymła. Ktoś spośród personelu - Bylewicz wychwyił, kto - nie mogąc widocznie wytrzymać napięcia, ani chybi pod adresem wykrwawiającego się na dywany samobójcy

rzucił soczyście: - A to skurwysyn! - żeby po natychmiastowym opamiętaniu, wstydliwie i ze strachem zasłoniwszy usta, schować się na zapleczu.

Pod barem sami swoi: czarno-białe ludzkie mrowisko. W czasie, który wystarczył do przetarcia szkieł okularów, doskonale osłaniany personel usunął najdrobniejszy ślad zdarzenia, wszystko, co mogłoby przypomnieć o tragedii. Czyściutko, połysk na boazerii, na której przed chwilą zakwitł ludzki mózg; ten stolik... cóż stolik, z bielutką serwetą *et cetera*, gotowy do przyjęcia następnego, wielce szanownego gościa.

Dywan bordo. Porządek musi być.

22. Niedyskrecje małżeńskie

Mały rewolwer i duży pistolet leżały byle jak na stoliku przy szafie, w której Anka - już w spódnicy i w butach, uczesana, lecz jeszcze z nagim biustem - czegoś gorączkowo szukała. Wreszcie spod spodu z drugiej półki od dołu wyciągnęła dawno nienoszony gorset i oglądała go jak eksponat...

...Czyste miasto zalane letnim słońcem; plac Mariacki we Lwowie. Nieopodal na obelisku Mickiewicz z nadlatującym aniołem. Z geniuszem poezji. Geniusz i geniusz. Ja ze Stefanem i z Ircią w wózek, o, jakam zadowolona, podczas wspólnego spaceru przyglądam się sobie, jak w lustrze, w lśniących witrynach sklepów. Stefan nagle wpatruje się w mój dekolt...

Już. Poprzeciągała ostatnie sznurówki u góry, żeby włożyć gorset obejmujący również część brzucha. Dokładnie już zasznurowana, wyciągnęła piersi, uciskane przed chwilą fiszbinami. Zupełnie szorstkim ruchem usadowiła je w specjalnie ukształtowanych miseczkach. (Nie lubi piersi albo nie lubi gorsetu). Ważyła w dłoniach pistolet i rewolwer. Browning odrzuciła

na stolik, a malutki damski rewolwer - lufą w dół - wepchnęła między te swoje dwie żywe, gorące półkulki. Zaróżowiona, usiadła na łóżku. Nagły szloch. Czy mogła udawać płacz nawet przed samą sobą...

...Stefan wciąż się wpatruje w mój dekolt. Knykciami tych swoich ładnych męskich palców celując w mój mostek, cedzi: - Masz szewską klatkę piersiową!...

Pomacała się w okolicach mostka i patrząc w lustro, powiedziała przekornie: - A teraz mam tam rewolwer!

Podbiegła lekko, otworzyła okno, wróble było słyhać tylko przez moment, niemal w tej samej chwili bowiem zadudniło, zaszumiało, zadymiło się - czyli do pokoju wszedł Stefan.

Rozpostarł ręce (w prawej kawał grubego cygara, w lewej poranna gazeta):

- Gołąbeczka ubrana, urządzona! Pięknie.

Cofnęła się i - biodrami oparta o parapet otwartego okna - wykrzywiła twarz może jeszcze nie z wstrętem, ale już z niesmakiem.

- Anka...?!

- Ty tak specjalnie, co? Wiesz, że nie cierpię gołębi. Gołąbeczka, też coś! - I ciszej: - Z szewską klatką. - Kiwnęła głową: - Widzę, że i ty jesteś u-rzą-dzo-ny. I to nieźle. Może ja pójdę sama.

Staął na baczność. Huknął:

- Słyszę tu jakieś brednie. Idziemy!

Wciąż starał się podejść Ankę, przybliżyć się do niej. Ona jednak zwinnie dopadła drzwi. On - przed laty niemal poeta, uduchowiony partner rozmów - teraz już niczego nie mogąc przedsięwziąć, wytoczył się na korytarz w ślad za odseparowaną żoną. Drzwi nikt nie zamknął, przeto krwistoczerwona firanka w oknie powiewała jak sztandar.

- Trybun się ucieszy, jak tu będzie przechodził - powiedziała do siebie już na ulicy, a głośniej: - Idź jeszcze na górę i łaskawie drzwi zamknij - odezwała się do Stefana. - Tutaj masz

klucz, tylko go nie zgub... - ...moczymordo - dodała, gdy znikł w kamienicy.

23. Trupi ciąg

Na tyłach restauracji Dymła wyskoczyło z zaplecza sześć, siedem postaci znanych już z incydentu w sali restauracyjnej. Personel. Tak, to tylko oni, mężczyźni, identycznie ubrani, a jakże różni już tylko z pozoru (staż pracy robi swoje), wszyscy czymś jednym i tym samym zniewoleni. Rozglądali się jak złodzieje. Trzech stanęło na czatach, dwóch na powrót wbiegło do knajpy. Zaraz wyszli, podtrzymując to, co nieśli trzej inni: długi, owinięty w obrusy kształt. Usiłowali wsunąć to do konnego wozu dostawczego - ale tu trudność: koń nagle zaczął wierzgać, woźnica w żaden sposób nie mógł uspokoić rozsierzonego zwierzęcia, które przez całe życie ciągnęło wóz z piwem, nie z trupem. Oddelegowany personel próbował pomóc woźnicy, kogoś koń kopnął, ten ktoś zawył z bólu, ktoś inny zasłonił mu usta.

No, biały kształt już w wozie. Zamknięte. Nietknięta kopytami część personelu zacierała ręce. Koń popędził jak oszalały w dół poprzez wertepy. Już się znalazł na białym bruku głównej ulicy. Woźnica na koźle, z błyszczącymi policzkami i oczyma nabiegłymi krwią, wyprawiał z lejcami cuda, żeby opanować sytuację. Czapka mu spadła, trudno. Ale proszę, podniósł ją ktoś z personelu Dymła - ci ludzie bowiem zdążyli dobiec do wozu i nie wiedzieć czemu podążali za nim. Czasami którymś z nich wstrząsał dreszcz, nagle podnosiło się jedno, drugie ramię; któryś z nich wyzna potem, że słyszał dokładnie taki sam rechot, jaki przed skonem wydał elegancki suchotnik.

24. W tarapatach

W połowie drogi między bramą oddzielającą od ulicy tereny uniwersytetu a gmachem wydziału medycznego stała nieruchomo zwarta grupa złożona z co najmniej czterdziestu studentów. Kiedy w bramie pojawili się wchodzący Korowscy, na czoło grupy wyszedł filigranowy, o siwych oczach w ospowatej twarzy, przedstawiciel demonstrujących. Anka przycisnęła się do Stefana:

- Jest gorzej, niż przypuszczałam. Ja cię narażam.

- Idźmy, idźmy, teraz nie wolno się zatrzymywać - mówił Stefan. - Ten sucherlak na czele to właśnie Rylik?

- Tak.

Tuż za nimi nic innego, tylko brzęk monet. To student Bylewicz przeszedł przez bramę i zachowywał się dziwnie. W chwili kiedy zrównał się z Korowskimi, pozdrowił ich -uwaga - teatralnym szeptem, jednocześnie wyrzucając całe ramię w geście pozdrowienia kierowanego do licznej grupy tych kolegów, którzy postanowili wyrugować z grona studentów Annę Korowską. Od momentu tych wymyślnych, podwójnych i na dwie strony pozdrowień Bylewicz nie szedł już tak sprężyście. Dążył ku zwartej grupie jakoś jakby na miękkich nogach - oto co: robił slalom w bamboszach między krzewami jałowca. Co tam, udało mu się - wtopiony w tłum musiał się wreszcie poczuć bezpiecznie.

Wreszcie z tłumy wyłonił się Rylik i zastąpił drogę Ance i Stefanowi. W mig ustawił się za nim mur z sześciu kolegów i wtedy Rylik, wysunąwszy sztywno ramiona, ogłosił nadspodziewanie tubalnym głosem:

- W imieniu studentów socjalizujących zakazuję Annie Korowskiej wstępu na teren Uniwersytetu Jagiellońskiego...

- Panie! - przerwał Stefan, gestykulując szeroko. - Co znaczy „w imieniu studentów socjalizujących”? Wszak są wśród panów również narodowi demokraci, konserwatyści są też, a jakże, i nie powiecie mi, że nie ma ani jednego stronnika księdza Stojałowskiego!

Odzewem był rechetliwy śmiech studentów. Stefan energicznie odsuwał dłoń Anki - ale jeszcze przez moment zaciskała się ona (jakże gorąca) na jego rękawie... I mocno uchwycił laskę w chwili, gdy Rylik wyrecytował:

- Anna Korowska jest szpiegiem!
- A ty, chłoptasiu - wysapał Stefan - jesteś kabotynem!
- To potwarz! - ryczała tymczasem Anka. - To potwarz jest!

To potwarz!

Rylik znów swoje:

- Korowska, agentka ochrony... od dziś i na zawsze nie będzie mieć wstępu...

Nie skończył. Powalił go cios w głowę zadany lagą Stefana. Studenci, ci z tego stworzonego ludzkim sposobem muru, którzy mieli Rylika ochraniać, teraz próbowali go cucić, co udało się szybko, i zatamować krew z nosa, z czym był prawdziwy kłopot. Anka w pierwszej chwili z rozpędu rzuciła się, żeby tamować krwotok u kolegi, ale nagle - jakby to ją, a nie jego uderzono - skuliła się i obrócona sprawiała wrażenie osoby, którą właśnie rozboleł brzuch. Stefan, do cna wzburzony, nie przestawał wymachiwać laską.

- Panowie - krzyczał - mówiąc najogólniej, wiadomość podana w prasie jest niesprawdzona. Jako prawnik zaręczam...

Nie mógł skończyć, bo zajęli się nim studenci. Któryś z nich, rudy i kędzierzawy, z czapką z pękniętym daszkiem wystającą z kieszeni, wyrwał mu laskę, inny, elegancik, jednym wprawnym kopnięciem w goleń powalił go na ziemię. Stefan, jak przydeptany robak, usiłował się podnieść, ale tam, gdzie upadł, nie było murawy, tylko placek wyszlizganej gliny.

Studenci odchodzili w milczeniu pełnym wyniosłej wzgardy. Dwóch podtrzymało Rylika. Ten jeszcze się słał, ale już dał jakiś znak - i wtedy postawny łysiejący student wypuścił z rąk laskę Stefana Korowskiego i z całych sił ją kopnął jak piłkę. Laska przeleciała łukiem i padła kilkanaście metrów dalej - na wyciągnięcie ręki Stefana, który tej ręki jednak nie wyciągnął, bo sycząc z bólu, musiał masować nogę. W jasnych spodniach, teraz skopanych, upapranych szuwaksem, trawą i gliną, bez

kapelusza, widać, że pod pożyczką z dłuższych włosów mocno łysiejący, wyglądał jak żebrak. Anka, dotychczas nad nim pochylona, ukłękła. Ale spoglądała gdzie indziej, zadarła głowę - i nagle jej inteligentne spojrzenie przeobraziło się w pospolite gapiostwo. Kto to stał w polu jej widzenia, w oddali, w oknie na pierwszym piętrze, tylko trochę przysłonięty firanką? On, Fetter, profesor ginekologii, jej żarliwy kochanek; były; dziś co? Były? Żarliwy? Widocznie aż tak bardzo były, że nieistniejący jako kochanek, jeszcze jeden wymazany człowiek. Mgła przed oczami. Anka otrzeźwiała, na Stefana skierowała ostry już wzrok. W jego twarzy steżała wściekłość. Tak. Ciągłe siedząc na ziemi, chwycił laskę i jak przez łyzy charczał: - Ja im dam!

Złapała go za obrzmiałą rękę i nie ruszając się z kłęczek, zaczęła sobie cichutko nucić. Stefan patrzył na nią i wściekłość stopniowo zamieniała się w uwagę, uwaga ustąpiła miejsca - kto by pomyślał - tkliwości. (Ta ręka Anki, taka gorąca; żaden inny człowiek w jego życiu nie miał takich dłoni; a jaki zapach tej gorącej skóry, ciała; nic nie zastąpi tego rodzaju oszołomienia). Odczuł, wręcz poczuł fizycznie to, co było kiedyś między nimi najlepsze. Nagle całkiem z bliska dobiegł znajomy metaliczny brzęk i Stefan, rycerz honoru damy i osobistej dumy, odzyskał uwagę, spojrział tam, gdzie coś szeleściło w krzakach. No tak, student Bylewicz *incognito* przemierzał żywopłot. Wspiął się na podmurówkę, przesadził ogrodzenie - i tyle go było widać. Znalazł się na ulicy, to pewne.

- O, to ten sam! - rzekł Stefan z błyskiem.

- Kto? - spytała szorstko.

Stefan, wsparty na ciągle kłęczącej Ance, gramolił się, żeby wstać.

25. Niskie czyny z pięknymi intencjami na horyzoncie

Konny wóz dostawczy z restauracji Dymła, jeszcze rozpędzony na granitowej kostce reprezentacyjnych ulic Basztowej,

Dunajewskiego, Straszewskiego i Wolskiej, toczył się coraz mniej wartko, a potem wręcz niepewnie, po wybojach piaszczystej polnej, środkiem zachwaszczonej drogi przedmieścia. Na horyzoncie, niedaleko, kopiec Kościuszki. Całkiem wyraźnie widać na szczycie, na tle jasnoblękitnego nieba, grupę gimnazjalistów, ich czapki odcinające się od tła, wyżej melonik pana profesora. (Wycieczka tak wcześnie? Pewnie przyjechali pociągiem z daleka, spod Stanisławowa, gdzieś może z uroczego Krakowca nad rzeką Szkło, i zamiast znów siedząc, czekać na dworcu na pierwszy tramwaj, dla zdrowia zrobili pieszą patriotyczną wycieczkę). Wóz zatrzymał się w chaszczach, wysiadł zeń, dotychczas stłoczony, niezawodny personel. Dobiegła reszta. To ci osłaniający wóz, zdyszani, spoceni, ale o szarych twarzach. (Kurz czy z lekka metafizyczny, ale bździną podszyty strach). Starając się nie hałasować, wyrwali szczypcami gwoździe i w ten sposób wyjmowali sztachety płotu, żeby nie było śladu włamania do miejskiego parku Jordana, odwiedzanego głównie przez opiekunki z małymi dziećmi. Wysunęli z wnętrza wozu długie białe, w płótno zawinięte truchło. Woźnica znów musiał uspokajać konia, dając mu garściami cukier w kostkach, tymczasem ci z białym bagażem przemknęli przez wyrwę w płocie i wtedy woźnica migiem zakończył akcję, kilkunastoma sprawnymi uderzeniami młotka, z użyciem nowych gwoździ, doprowadziwszy ogrodzenie do ładu. Pozacierał ślady, usiadł na koźle, koń pomknął po wybojach; zniknęli w kurzu.

Tymczasem za ogrodzeniem czterej panowie z personelu z niejakim trudem usadowili wspólnie ów biały kształt na ławce w cieniu krzewów jaśminu (to taka ławka dla zakochanych), potem dwóch stanęło na czatach, a dwaj odpakowywali denata. Jeszcze nie zeszywniał, panowie kelnerzy zwinnie go uformowali... i oto proszę: siedzi na ławce z odrzuconymi w tył resztkami twarzy. Do ręki ma wciśnięty browning.

Rozbiegli się w różnych kierunkach. Gawron, kracząc, pikował wprost z czubka jesionu, na razie ostrożnie, na cokół z marmurowym popiersiem męża stanu dłuta Alfreda Dauna,

o kilka kroków od ławki, nieomylnie kierowany wonią padła. Zaraz i tu będzie słońce, na razie świeci w widocznej w oddali części parku, gdzie już podchodzą od głównej bramy pierwsze piastunki z wózekkami i matki z małymi dziećmi.

26. Czarodziej Izaak Feuer

Stefan, bokiem ciężko oparty o parkan, posykiwał z bólu, podczas gdy Anka usiłowała wyczyścić mu spodnie. Bezskutecznie. Wokół słońce; tylko na nich pada miłosierny cień wieży kościoła z drugiej strony ulicy. Zza słupka ogrodzenia - tam gdzie naturalnie otulały je pnącza - wyskoczył Bylewicz, jeszcze z jakimiś marnymi liśćmi przy kołnierzu i w mankiecie rękawa. Otrzepał się, wystąpił ze zwierzeniem:

- Nie mogłem państwa tak tutaj zostawić.
- Łobuzeria... opryszki... - mówił zmieszany Stefan - ...stu na jednego... - Widać, że chciał się wydobyć z chaosu; patrzył wyczekująco na Bylewicza, trochę to trwało, przeniósł więc wzrok na Ankę i stwierdził, że ona także patrzy na Bylewicza, ale z jakimś niesmakiem.

Mężczyźni przedstawili się wreszcie, podali sobie ręce. Student nawet do Stefana mrugnął: - Miałem przyjemność poznać pana doktora wcześniej i w miłszych okolicznościach.

- O, to myśmy się rano w szatni u Dymła stuknęli! - Potrząsał dłonią Bylewicza. - Kompana witam!

Anka, im bardziej zdumiona, tym bardziej śmiesznie oficjalna, spytała: - Stefanie, czy jadąc tutaj, kazałeś zapakować także inną parę spodni?

- Nie wiem, czy mi zapakowano.
- Inne spodnie?! - zaproponował Bylewicz. - W tych trzeba teraz chodzić! Tak. Posłużą za dowód.
- Jakież dowód?
- Dowód gwałtu na pańskiej osobie.
- To mąż przecież zaatakował pierwszy.

- Jako dżentelmen miał prawo.
- Ale po cóż błżeństwo z tymi spodniami, skoro są świadkowie - powiedział znechęny Stefan.

Bylewicz, z powagą pochylając głowę, wyszeptał: - Jest dramatyzm w tych spodniach.

Anka tego już nie mogła wytrzymać; zachichotała. Stefan, ogólnie obrażony, w brudnych spodniach wyglądał i śmiesznie, i źle. Przybliżał się stukot końskich podków o bruk, tuż obok wlokła się jakaś zakurzona dorożka... lecz oto z nagłym a przeźażliwym dźwiękiem trąbki coś czarnego wyłoniło się zza zakrętu... i oto już minęła przechodniów karetka pogotowia. Coś błysnęło w słońcu pośród drobinek kurzu. Bylewicz pochylił się i podniósł małą monetę, chuchnął w dłoń. - Pięć halerzy znalazłem.

- To do kościółka trza zanieść - powiedział Stefan. - Karetka mknęca do chorego to prawie jak ksiądz z Panem Bogiem. A ja na obiad zapraszam.

- Jeśli mogę państwu coś radzić... - zaczął Bylewicz zmieszany czy zaaferowany.

- Właśnie - rzekł pan w brudnych spodniach. - Jaki lokal pan radzi?

- Nie to! - odparł Bylewicz spiesźnie. - Chciałem powiedzieć, że czas się rozejrzeć za dobrym adwokatem.

Stefan popatrzył nań smętnie i przenikliwie, z absolutną niewiarą w dobry obrót sprawy. Bylewicz chwycił go za rękaw, nie spostrzegł, że Stefana to oburzyło, i perswadował:

- Tylko spokojnie, szanowny panie doktorze. Ja znam adwokata, który nie jest ani Żydem, ani socjalistą, ale za to jest łebski jak ten pierwszy i ryzykant jak ten drugi. Ja wiem, ja zapewniam, że on sam bez wahania zajmie się sprawą pani Anki.

Chrześcijanin, a więc i nie zedrże. Przy okazji. Znam i Żyda, który nie zedrże, ale to już jest sprawa między nami mężczyźnami, więc teraz - obrócił się do Anki - bardzo koleżankę przeproszę, że w tej ważkiej chwili z panem doktorem wyjątkowo skoczmy do Żyda!

I wskazał wszystkim rudereę naprzeciw. Dom był rudawo-
żółty, z zapadłym dachem, z brzoźką wyrosłą nad nieczynną od
wieku rynną, która, choć przerdzewiała, potrafiła utrzymać
kilogramy nawianej ziemi - i wyhodować, i ochronić tę brzoźkę.
Biała zdrowy pień, żywa zieleń jako jedyny śmielszy akcent
kolorystyczny w pejzażu zaułka, gdzie szarość odrapanych mu-
rów zdawała się walczyć o lepsze z pajęczynową strukturą i
barwą liszajowatej zaprawy, wysypującej się spomiędzy wy-
brzuszzonego tynku a zżartego wilgocią kamienia, słomy startej
na sieckę, gdzieniegdzie szaroróżowawej, strupieszalej, powy-
kruszałej cegły z pradawnej jeszcze rozbiórki. Ot, cały budulec,
o, takie tu życie. Jakby się mogło wydawać.

- Ależ wódeczki to my się napijemy przy obiedzie w lokalu
- jęknął Stefan Korowski, którego jednak Bylewicz ze śmie-
chem ciągnął przez ulicę, a pozostawiwszy go pod pługawą
bramą, pobiegł po Ankę, złapał ją za rękę jak siostrę, dociągnął
trochę oporną do męża i wyjaśnił:

- Tu w oficynie mieszka zacny pan Izaak *recte* Izidor Feu-
er i w jednym pokoju z kuchenką, z żoną i z czworgiem dzieci
potrafi w pół godziny wyczarować spodnie na miarę. Wpraw-
dzie nie na miarę epoki - Bylewicz zaczął specjalnie żydłaczyć -
ale za to pół darmo, po konkurencyjnych cenach, więc robi
cuda, on - *nomen omen* - Feuer, któremu robota musi się palić
w rękach, bo on oprócz tej całej czeredki ma dorosłego syna i
kształci jego, jakby co najmniej on sam był Rotszyld, na artystę
malarza...

Anka mu przerwała, mówiąc nadzwyczaj podejrzliwie:

- Aleście się rozgadali, kolego!

27. Widok na zawsze (na własność)

W parku Jordana pięcioletni chłopczyk, od kilkunastu mi-
nut wabiony słonecznym blaskiem na czymś doskonale okrą-
głym, ostrożnie podchodził do kogoś nieruchomego na ławce,

żeby dotknąć właśnie tego, błyszczącego efektownie, tajemniczo a obiecująco: złotej koperty zegarka wiszącego u jego kamizelki. Starsza siostra chłopczyka rozdarła się wniebogłosy. Po pierwsze dlatego, że nagle odczuła obrzydzenie i tragizm sytuacji, a po drugie - ponieważ cała w koronkach opiekunka tych dzieci, trzydziestoletnia różowa blondyna, właśnie przed chwilą z tych samych powodów zemdląca.

Widząc z daleka dziwny obraz - no cóż, nie należy do najczęstszych widoków pulchnej kobiety leżącej u stóp nieboszczyka bez twarzy - umundurowany stróż parku, udatnie - choć tylko bokobrodami i lysiną (no, nie ten kruszec) - imitujący miłośnicwie panującego cesarza Franciszka Józefa, dodatkowo zaalarmowany wrzaskiem, biegł, potrząsając służbowym dzwonkiem.

28. Na swoje miejsce

Dorożkarz na koźle wyciągnął z kieszeni kanapkę. Trochę ją odwinął z gazety, nagryzł, starannie znów zapakował, włożył do kieszeni, i wtedy dopiero począł się delektować tym kęsem. Anka, sama we wnętrzu fiakra, sprawdzała, czy rewolwer jest na swoim miejscu. Spostrzegła Stefana i Bylewicza wychodzących z obskurnej kamienicy. Stefan miał już na sobie jasnokremowe spodnie, prosto spod igły, pakunek ze starymi oddał na chwilę Bylewiczowi (w tym samym momencie z fasady rudery spadł łupież, znaczy drobiny resztek tynku), a sam z wprawą sięgnął w zanadrze, wyciągnął srebrną piersiówkę, odkręcił, podał ją studentowi. Ten jednak gestem odmówił. Stefan napił się sam, natychmiast odzyskał wigor.

- Dla dezynfekcji! - tłumaczył, przechodząc przez ulicę. - Wszystko to ładnie-pięknie, ale czy ten krawiec musi tak kaszleć?

Wprost wcisnął do dorożki nagle czemuś spłoszonego Bylewicza, a sam wijąc się jakoś szarmancko, usiadł naprzeciw

pary, którą przed chwilą sam zaaranżował, czyli studenta i Anki, wreszcie odezwał się do doróżkarza:

- A ty wiesz, zuch, gdzie się mieści redakcja „Marszu”?

Ten krzyknął: - Wioo! - zaciął konia i powiedział: - Ee tam, tyż miólbym nie wiedzieć! Naszego Trybuna stamtąd przeważnie odwożę, to wim!

Pasażerom zrobiło się głupio.

29. W kwestii byłych agentów

Przez zakamarki sieni, śmierdzącej konglomeratem gotowanej dzień w dzień od wieków kapusty, tanich świętalnych perfum, grzyba oraz szamba, tylko na chwilę przedostali się na świeże powietrze, żeby wejść od oficyny do lokalu redakcyjnego „Marszu”, ciemnego, do cna zasnutego dymem tytoniowym pomieszanym z wonią smaru, potu, flaneli, mokrego papieru i farby drukarskiej. Za ścianą turkotały maszyny, za oknem gruchały gołębie. Choć to dopiero południe, półmrok tu słabo rozświetlały punktowe lampy gazowe nad blatami biurka redaktora Goldstocka i samego Trybuna. Ten ostatni, gdy weszli, nie wstając, od razu wskazał Ance głęboki trzciniowy fotel; wpadła weń i widać było, że ma wszystkiego dość. Stefan, z żyłą na czole jak z dżdżownicą, rozsiewał popiół z cygara i nie wiadomo czemu wymachiwał upaprzanymi spodniami.

- Ten redaktorzyzna - krzyczał - powinien, do cholery, wiedzieć, co pisze!

Goldstock wstał; człowiek pracy, w fartuchu drukarza, spod którego wychynął śnieżny kołnierzyk inteligenta. Nie zaszczycił spojrzeniem krzykacza. Spod bakelitowego daszka na czole - umocnionego gumką i założonego na falujące szare włosy - patrzył na Ankę ze znużeniem w przekrwionych oczach. Zaraz zdjął okulary. Trybun, nieskazitelnie czysty, jak z reprezentacyjnego portretu, najpierw chował się za smugami zachłannie

palonego papierosa, teraz wskazując na Goldstocka, powiedział, zwracając się do Stefana:

- To jest redaktor Goldstock, autor artykułu. Proszę nie zastępować godności epitetami.

Stefan rzucił spodnie - opadły na krzesło Goldstocka - otarł pot z czoła i z nosa, gniótł sobie policzek dłonią, w której ścisnął cygaro. Wolną ręką wskazał na redaktora, właśnie na powrót nakładającego okulary:

- Przedrukowuje oszczerstwa, nie wiadomo w jakim celu spreparowane w brudnych laboratoriach notorycznych sprzedawczyków! - Widząc, że Goldstock coś nieciekawego, Trybun natomiast uśmiecha się pod sumiastym wąsem, zwrócił się prosto do niego: - Jego rzecz, jego sumienie, jego polityka.

Ale dorabiać do tego ohydne, obelżywe, ordynarne, a takie niby to odważne komentarze?! Patrzę teraz: z wyglądu człowiek poważny. A myślałem, że bubek, że żółtodziób. Znaczący, panowie, jeszcze gorzej jest. Tfu! - Zerwał spodnie z krzesła już zaniepokojonego Goldstocka i potrząsał nimi, jakby je chciał sprzedać: - To głupota, sromota, swawola, samowola i a-mator-szczy-zna! - Na chwilę przymknął oczy, wybuchnął: - Dojrzały człowiek, a myślałem, że gówniarz! To w takim razie tylko paraliż postępowy mógłby ostatecznie usprawiedliwić autora! - Przekładał spodnie z ręki do ręki i wywracając oczami, dodał: - A ja wiem coś o tym. - Tu uderzył się pięścią we własną pierś. - Ofiarę sobie znaleźli!

W tym momencie Anka wstała z tego głębokiego fotela, obciągnęła spódnice, zrobiła gwałtowny ruch ku swojemu schowkowi z rewolwerem... nie odrywała dłoni od śródpiersia. Uwaga pozostałych skupiała się na Stefanie, który z identycznym jak żona gestem perorował:

- Ofiarę! Tak, tak, ofiarę. Po co? Żeby była zasłona dymna dla ukrycia prawdziwej zbrodni! - Wskazał palcem na Trybuna i tym sposobem znowu wypuścił z rąk spodnie. - Zbrodni - wykrzyknął - którą popełnił jeden z wielkich! - Zdyszany szepnął: - Więcej nie wiem. - Usiłował zapalić cygaro. - Ofiarę sobie... - Podbiegł, jak to on, nadspodziewanie chyżo, ujął Ankę za ramię

(jej prawa dłoń nadal wczepiona w śródpiersie) i popatrzył jej w oczy: - ...bo bezbronna... I ja od tej chwili bezbronny. Moja posada państwowa, moja kariera w gruzach. Teraz to widzę wyraźnie. Kto mi to zwróci? Jeśli ta wredna akcja jednak przeciw mnie wymierzona, to bez względu na powody, które dla mnie pozostają nieznanne, trzeba było mnie i tylko mnie, zapoznanego poetę, prawda, wmieszać, zmieszać z błotem i fekaliami! Sam, choćby nie wiedzieć jak upaprany, sam bym bronił własnego honoru. Na własną odpowiedzialność. A oni, a ten ktoś - bo może sprawcą lawiny jest tylko jedna osoba - kto nie wiem czemu postanowił mnie zniszczyć, uderza w kobietę! W kobietę. - Sapał, nagle brutalnie puścił jej rękę (drugą musiała oderwać od ciała, żeby utrzymać równowagę) i zawył: - Aaa! bo też się pcha na pierwszą linię frontu! Ciepło kobiece traaci!

Odsunęła się od niego z pogardą.

Wrzucił spodnie do redakcyjnego kosza i - wszystko, łącznie z dymami, działo się jak na scenie - w lansadach przeprosin i już bez tej niepokojącej czerwieni nad policzkami podszedł do żony-nie żony. Ona na te jego wyczyny i w ogóle na niego przestała zwracać uwagę. Wyglądało na to, że tej chwili jest zajęta wyłącznie sobą. Nie tyle sobą samą - ile sobą jako człowiekiem, którego podjęła się bronić. Zwróciła się do redaktorów: - Jakie są panów plany? Ja teraz idę do adwokata. Muszę jakoś pokierować tą wymyślną sprawą.

Goldstock usiadł na swoim miejscu, Trybun podszedł do jego biurka i stanął, dosłownie i w przenośni, roztaczając nad nim ramiona. - I ja nie ukrywam - przemówił - że artykuł Emila... znaczy, artykuł redaktora Goldstocka... był przedwczesny i emocjonalny. My zapewniamy - tu zrobił nieznaczny gest, a Goldstock podniósł zmęczoną głowę i kiwnął potwierdzająco - że w jutrzejszym numerze „Marszu” ogłosimy, że pani Anna Korowska czuje się niewinna. Gazeta nasza podkreśli, że należy wstrzymać się z opiniami do czasu wyjaśnienia sprawy...

Nie mógł dokończyć, bo Anka przywołała go wzrokiem: jej

celowo przerysowane spojrzenie ilustrowało pytanie, w jakiż to sposób sprawa się będzie wyjaśniać. Goldstock bardzo chciał wstać, ale Trybun przycisnął jego ramię swoją wężlastą dłonią, ten więc wygłosił na siedząco:

- Niebawem do Krakowa zjadą panowie Azef i Bakaj, byli pracownicy ochrony...

- Byli agenci, szanowny panie! - warknął Stefan Korowski.
- A czy ktokolwiek może być byłym agentem? Agentem, panie! Agent to agent.

- To nie należy do rzeczy - powiedział Trybun i jeszcze mocniej przytrzymał Goldstocka.

Ten dodał sucho: - Podczas sądu partyjnego odbędzie się konfrontacja.

- Liczymy na to - próbował załagodzić Trybun - że zechce pani stanąć przed sądem partyjnym, w procesie, który będzie dotyczyć również, a prawdę powiedziawszy, głównie, naszego znakomitego krytyka literackiego, Stanisława, kolegi przecież i sympatyka, tak cenionego skądinąd przez nas. Miejmy nadzieję, że stan zdrowia, w tym momencie, jak się dowiadujemy, stabilny, nie przeszkodzi mu przybyć z Florencji. - Zatarł ręce, może mu zmarzły. - Mam nadzieję, że zechce się pani oczyścić z zarzutów, a raczej stawić czoło zarzutom...

- Nie jestem członkinią partii, jak pan wie. Czy mimo to dane mi będzie stanąć przed sądem partyjnym?

- Stanisław, mój kiedyś nawet przyjaciel, teraz wielka figura i własność mas postępowych - powiedział ostro Stefan - także nie jest członkiem partii, a jednak specjalnie dla niego zwołuje się sąd partyjny. Moja żona natomiast, która, tak samo jak Stanisław, sympatyczka, o ileż bardziej niż on, człowiek zresztą, jak wiemy, z niezbyt czystą kartą, tym epizodem, kiedy jako student ukradł z zapomogowej kasy koleżeńskej dużą kwotę... otóż żona nieporównanie bardziej niż on, chroniony autorytetami, narażała się, nie ma pewności, czy i ona ma szansę stanąć przed sądem partyjnym? Obywatelskim? Panie!

W oczach Trybuna nagle zawisła pustka, gwałtownie uleciała

pewność siebie, mówca nie znalazł u Goldstocka poszukiwanej pomocy.

- W imieniu redakcji „Marszu” pragnęlibyśmy z państwem zawrzeć dżentelmeńską umowę o niepozywanie nas oraz konkretnie redaktora Goldstocka... aż do chwili ogłoszenia wyroku sądu partyjnego.

Stefan od kilku chwil wiotczał, kiwał więc głową potakująco, ale Anka się zerwała gwałtownie:

- A czy panowie - zawiesiła głos - którzyście dopuścili do publikacji kalumnii - spojrzęła wokół pogardliwie - dadzą mi słowo dżentelmenów, że od jutra będę mogła spokojnie chodzić na wykłady?

- Takiej gwarancji dać nie możemy - powiedział Trybun z rozpędu.

Rzuciła pioruny z oczu. - Ani żadnej innej, jak się można domyślać! U pana, tak zawsze wymownego, milczenie może być wyłącznie złą wróżbą. Może być złą wróżbą, a jest na razie podłostką.

Nie odpowiedział. I nikt nie podjął wątku.

- W tym roku mam robić rygorozum - powiedziała do siebie. - Miałam robić...

- Stefan! - krzyknęła - droga wolna!

30. Dama na ganku. Coś w rodzaju olśnienia

Od czasu wizyty w redakcji oczy Anki rzucały pioruny. W swojej kancelarii, spokojnej do pierwszej po południu, Gala poczuł podniecający niepokój i od pierwszej minut pięć wpatrywał się z kompletnie z pozoru bezsensowną fascynacją w oczy klientki. Do tego stopnia, że nie wytrzymał widoku pomarańczowej kokardy we włosach sekretarki, wciąż się poruszającej w szparze między futryną a drzwiami - ruszył energicznie, drzwi zamknął i, przyciągnięty wzrokiem Anki, wrócił do przerwanej kwestii:

- Goldstockowi oraz redakcji „Marszu” wytoczymy proces

natychmiast. Sprawa na razie jest prościutka: komentarz, i to jadowity, do niesprawdzonej informacji, podany na łamach prasy dyskredytuje redaktora i sam tytuł w oczach opi...

Ruch i rumor. Stefan, wstając gwałtownie, byłby przewrócił krzesło, lecz podchwycił je, upadające. Podpierając się tym krzesłem jak laską, wreszcie wydobyl z siebie:

- Obiecaliśmy w redakcji „Marszu”, że na razie poczekamy na sąd partyjny i przed zapadnięciem wyroku odstąpimy od wszel...

- A tymczasem oni dodatkowo postawią mnie pod swój sąd. Jeśli zechcą, rzecz jasna. To ma być dla mnie zaszczyt - przerwała Anka z kpina, wpatrzona nie w męża, lecz w Galę. - A ja - zaśmiała się tak, że także i ją przebiegły ciarki ze zgrozy - a ja pójdę na rzeź jak owieczka!? Stefan, miej ty resztki rozumu: tu, u nas, w Galicji, na coraz bardziej polskiej ziemi pod zarządkiem austriackim, rosyjska ochrana ma mnie wziąć w krzyżowy ogień pytań? Na samym początku w tamtej redakcji byłeś jeszcze po swojemu mądry, kierowałeś się honorem i narodowym kompasem, a teraz - znów się zaśmiała strasznie - teraz obudził się w tobie taki liberalny dżentelmen! - Zwróciła się do Gali z powagą: - W redakcji „Marszu” niczego nie obiecywaliśmy.

Bylewicz, który szedł z Korowskimi do redakcji, u celu jakoś wyparował, bezwonnie i bezszelestnie, lecz oni byli tak wzburzeni, że nie obchodziło ich jego zniknięcie, na ulicy mogli tego nawet nie zauważyć, zwłaszcza że student odnalazł się we właściwym czasie u samych drzwi w plugawej oficynie i zaraz ich poprowadził do Gali. Tu także siedział w kącie, zupełnie z boku się przysłuchując rozmowie. Kątem oka zerknął na świeżutką, jeszcze nieczytaną gazetę przewieszoną przez krzesło. Przetarł oczy, zmrużył je, przeczytał kawałek, aż stęknął, szepnął do siebie: - Opis denata całkiem się zgadza, ale do cholery, miejsce nie to! - chwycił gazetę za rożek, dyskretnie przemieścił się pod okno i tam na poły przysłonięty storą, przeczytał sobie interesujący go fragment notki z kroniki wypadków:

Skon w parku Jordana

„...przy zwłokach zastrzelonego mężczyzny znaleziono sporą ilość pieniędzy, w walucie rosyjskiej i austriackiej, złoty zegarek, sygnet itd. Wyklucza się więc mord rabunkowy. Pistolet w zaciśniętej dłoni nieszczęśnika zdaje się sugerować samobójstwo.

Z ostatniej chwili. Tragicznie zmarłym okazał się hrabia Władysław B.-R, znany filantrop. Rozpoznała go małżonka, zawezwana do zwłok natychmiast po komisyjnym odnalezieniu dokumentów przy nieboszczyku. Hrabia B.-R był w świetnej kondycji finansowej, nic nie wskazywało na depresję, a choć poważnie chory na piersi, planował wyjechać pojutrze na kurację do Nicei...”.

Bylewicz spoglądał w okno, ale na nic konkretnego nie patrzył, teraz nie potrafiłby; związał gazetę w rulon, spojrzął zdziwiony, gazeta była mokra: to od jego strasznie w jednej chwili spoconych rąk.

Usłyszał głos Gali. Mecenasa, patrząc tylko na Ankę, mówił: - A więc proces?

Anka, patrząc tylko na mecenasa, odparła potwierdzająco: - Proces!

Stefan Korowski, jak człowiek, który ma biegunkę, po raz trzeci chyłkiem wymknął się z kancelarii.

W klozecie z wejściem od ganku, w miniaturowym pomieszczeniu o ścianach intensywnie niebieskich (muchy do niebieskiego nie lecą), machinalnie rozpiął rozporek na widok żeliwnej muszli i drewnianej, świeżo wyszorowanej deski, ale sam z siebie się zaśmiał, rozpiął dwa górne guziki marynarki, z zana drza wyciągnął swoją potężną piersiówkę, odkręcił - i zbawczy łyk wpuszczony do gardła od razu go postawił na nogi. Starannie dopiął rozporek - o czym by pewnie zapomniał w stanie całkowitej trzeźwości - i dopiero wtedy wessał w siebie ponownie pokąsną dozę trunku.

Na ganku oparta o balustradę stała, znalazłszy chwilę wytchnienia, sekretarka Gali z pomarańczową kokardą na precyzyjnie upiętych włosach. Przed chwilą pryncypał przeprosił widocznie nie tylko ją, ale pragnąc coś istotnego omówić z klientką, przepłoszył także Bylewicza, dość że na sekretarkę wpadł nagle wytaczający się z klozetu Stefan z grubym jak serdel cygarem, z drugiej - Bylewicz z tą zrulonowaną gazetą. Obaj mężczyźni naturalnie podtrzymali sekretarkę, żeby, broń Panie Boże, nie wypadła na podwórzec. I tak to pewnego czerwcowego dnia zdeklarowana (jak się mogło nietrafnie wydawać) stara panna znalazła się w objęciach dwóch naraz panów. Po chwilowej lekcyjce metafizyki danej przez los zacnej trzydziestosześcioletce - wszyscy wrócili do swoich zajęć.

Bylewicz, zmieszany, wymachiwał rulonem. - To gdzie się dzisiaj spotkamy? Bo ja...

- Chodź pan już teraz! - odparł Stefan jowialnie. Lepiej przyjrzał się studentowi, pokiwał głową. - Widzę, że pana nie przekonam, ha, ha, *vis major*, coś pan ma jeszcze na widoku, pan zaaferowany, dobrze, nie będę przeszkadzał. No, to później. A widzi pan, już mnie żona ulokowała w tej Astorii nowoczesnej przy Plantach i z widokiem na Wawel. Pan wie, waterklozet, wanna, fontanna, he he, i telefon. Ceny konkurencyjne. To tam na dole w restauracji będę sobie dogadzał. Przyjdź pan na pewno! Anka też chce, żeby pan przyszedł.

Bylewicz skinął głową, a gdy zbiegał po kuchennych schodach, sekretarka, utykając, znikła w drzwiach do klozetu. Stefan, sam na ganku, zamierzał chwycić się balustrady, ale nagle poczuł, że ręce ma jakoś za krótkie; że poręcz się oddała, czy co? Cofnął się o krok. Oparty o ścianę znieruchomiał. Wciąż jeszcze ze zwietrzałym grymasem uśmiechu na ustach, już w oczach jednak miał bezgraniczny smutek. Sam nie miał pojęcia, co to jest, i to było najgorsze.

Po raz pierwszy zdarzyło mu się nie zapanować nad własnym ciałem. Nad organizmem.

31. Blaga, blaga

Popołudniem zupełnie inny niż o świcie - tak samo jak wtedy ubrany, a przecież wręcz nie do poznania - Bylewicz z rozpostartą popołudniówką, z poczuciem ważności odtrącając odźwiernego, przepchnął się przez drzwi restauracji Dymła i - nie zważając na szatniarza i kelnerów - przez salę restauracyjną podążył na zaplecze. Tam niespodziewany dlań mrok - i nagle światło wpadło z otwartych drzwi kuchni. Połyskiwały bladożółte kafelki.

Biegli za nim - i teraz zamieszanie. Zaszedł mu drogę ten sam kelner, który rano niefortunnie krzyknął: „A, sukinsyn!”. Przystojny, choć z nalaną i jednocześnie (dziwne) pobrużdżoną twarzą, zapytał Bylewicza:

- Kto wpuścił?
- Muszę się widzieć z właścicielem.
- Co?! - zachnął się kelner.
- Sprawa nie cierpi zwłoki. Zwłoki! - zaakcentował Bylewicz. Cisnął, wręcz napierał na kelnera. Zrobił pół kroku w tył. Wachlując się gazetą, popatrzył w dal. Pogardliwie.

Z cienia dobiegł głos innego kelnera:

- Rzadko bywa tutaj właściciel.
- To proszę z zarządzającym.

W tym samym momencie pojawił się może nawet nie zarządzający, ale na pewno Odpowiedzialny. Bliski pięćdziesiątki, w szarym żakiecie, wygolony do niebieskości, podchodząc do Bylewicza, w stronę kelnerów dyskretnie zrobił zagadkowy gest.

- Przecież lepiej na osobności - szepnął do przybysza z gazetą. Prowadził. Szli do końca korytarza, Odpowiedzialny otworzył drzwi w niszy.

Mrok.

Odpowiedzialny szybko pobiegł do biurka i pstryknął: zaświeciła się elektryczna lampa, zaślniły boazerie z ciemnego drewna (stary dąb? nie, jakaś tam sobie imitacja hebanu). Sprawdził, czy mięsiste story dokładnie zasunięte, wszedł za

biurko i stojąc, wskazał Bylewiczowi skórzany fotel. Ten usiadł, stuknął palcem w gazetę i mówił:

- Diabelski pomysł, co? Bezczęścić nieboszczyka. Zmarłego. Profanować zwłoki. Ja rozumiem, że trup hrabiego niekoniecznie pasuje do majonezów i galantyn, ale to, coście tutaj zrobili... to nie tylko przekracza granice przyzwoitości, ale wręcz wychodzi poza granice człowieczeństwa. Tak. I oto po pierwsze: pańscy kelnerzy gorsi niż sępy. No, no, ja byłem świadkiem śmierci pana hrabiego. Byłem tu, siedziałem przy śniadaniu, z moim przyjacielem, redaktorem „Czasu”. No właśnie... Oo! panie! Co tam pan ma w zanadrzu? Rękę pan trzymasz na rewolwerze? Potem dyspozycjni kelnerzy wyniosą mnie do parku, tym razem będzie łatwiej, bo pod osłoną nocy? Pójdzie gładziutko, co? Ach tak! Nic z tego. Przed restauracją czeka na mnie redaktor „Czasu”. Jego milczenie i tak kosztuje więcej niż moje. No, już! Albo najbardziej śmierdząca afera w Europie i koniec ery lokalu Dymła, albo... - I tu Bylewicz bez żenady wyciągnął łapę po forszę. Odpowiedzialny, tracąc resztki pewności siebie, ale starając się udawać, że nie traci fasonu, wstał, usiadł, znowu wstał, znowu usiadł.

Niby zwyczajnie, niby gładko. Na to się podniósł Bylewicz i półobrótł w stronę wyjścia.

Odpowiedzialny próbował go zatrzymać słowami:

- Hm, w tym celu musiałbym jednak najpierw za pośrednictwem zarządcy porozumieć się z właścicielem...

Bylewicz zrobił trzy kroki ku drzwiom. Zatrzymał się, pokiwał pobłażliwie głową i nie kryjąc szyderstwa, powiedział:

- Albo-albo! Albo teraz, albo koniec. Z właścicielem, jak z właścicielem, ale lepiej, żeby się pan natychmiast porozumiał z tym kostropatym kelnerem. - Wskazał na drzwi. - Stoi tam z kijem. - Włożył rękę w zanadrze. - No, uprzedź go pan już teraz, że moja broń, równie szybka jak jego, jest jednak skuteczniejsza.

Odpowiedzialny pocił się teraz. Czerwienił się, siniał na przemian i bladł. Grzebał w szufladzie. Zgarniał wielgachne podniszczone banknoty (niechybnie ruble) do sporej różowawej

koperty, dosypał z pół garści złotych monet. Pogniół kopertę, jakby to była torba na cebulę, wręczył to Bylewiczowi w milczeniu. Student upchnął zawiniątko w wewnętrznej kieszeni i władczo kiwnął głową. Na ten ruch dawca łapówki przełożył wajchę - jedną z wielu na czarnej tablicy rozdzielczej.

W mig pojawił się ober. Gotowy na wszystko. Odpowiedzialny otarł dłonią pot z czoła i powiek i rozkazał:

- Niech tam chłopaki wracają na swoje rewiry.

Ober obejrzał sobie dokładnie Bylewicza i wyszedł.

- Chodź pan! - I Odpowiedzialny wstał, wyszedł zza biurka. - Ja pana, panie... ja pana odprowadzę bocznym wyjściem... Coś śmierdzi, czuje pan? Nie wie pan, co tak śmierdzi? - Otworzył drzwi, teraz światło z pomieszczenia słabo oświetlało wąską, długą rurę korytarza. - Tędy się, panie, odprowadza z paradą niewygodnych gości. I pamiętaj - ty - język za zębami! Jak się dowiemy, że jest plotka, pójdziesz w piaski!

Otworzył te same drzwi, którymi rano wychodził jego personel z ciałem samobójcy. Wypchnął Bylewicza uderzeniem w plecy, potężnym jak kopnięcie. Bylewicz upadł, Odpowiedzialny zamknął i zarygłował drzwi.

32. To nie są żarty

Ten, który przywarł do pnia wiązu i około północy podglądał, sądząc, że nikt go nie widzi, i tak nie mógł wiedzieć, o czym mówią uczujący na dole w Astorii Stefan, Anka i student Bylewicz. Widział tylko, że wrażliwy, znerwicowany, skłonny do tycia alkoholik jednocześnie je, pije, pali i dłonią pokazuje (co pokazuje? podglądacz się nie dowie, że Stefan pokazuje, jak o kilometr dalej w tej chwili maszyny drukarskie wypuszczają spod prasy nakład „Marszu” z oświadczeniem Anki). Ten człowiek (podglądacz nie wie, że to Stefan) sam pije chyba na umór, wódkę nalewa sobie i temu, który dzisiaj nachodził

Odpowiedzialnego. Ten jednak udaje, że pije - prawie za każdym razem wódkę wylewa do rękawa.

Stefan, który krew miał od lat chyba ciągle pół na pół zmieszaną z alkoholem, z każdym następnym kieliszkiem sprawiał wrażenie trzeźwiejszego niż Bylewicz, który jeśli przy stoliku akurat nie zółknął, to szarzał i marszczył się, jakby miał zwiędnąć.

Podglądacz poruszył się niebezpiecznie w chwili, gdy zgrabna, ładna brunetka o jaśniejszej twarzy, dotąd towarzysząca dwom panom, wstała. I gdy wszystko wskazywało na to, że ona zaraz wyjdzie i że żadnemu z nich nie da się odprowadzić:

- Przepędziłem drania! - wykrzyknął zdyszany dorożkarz, otwierając przed Anką drzwi oświetlonego fiakra pod hotelem Astoria.

- Do mnie pan to mówi?

- Wielmożną panią przez szybę lokalu podglądał! Drań jeden, dryblas dziobaty. Ja go znam, to taki niby kelner od Dymła. Bandyta, myślał, że mnie nastraszy kastetem...

33. Biała magia

Stefan starał się dobudzić Bylewicza. Kiedy się zabrał do tego, było już dobrze po północy i sala restauracyjna w Astoni prawie opustoszała; ktoś tam jeszcze z kimś coś obgadywał w loży, zza drzwi szczelnie zamkniętego gabinetu dolatywał damski śmiech, ale górne światła już wygaszono. W godzinie wilka i w tytoniowych dymach w lokalu nie stało się z tego powodu przytulniej. Bylewicza nie udało się ani trochę dobudzić, Stefan, mrużąc z dezaprobatą i ciepło wymyślając kompanowi od podtrutych robaczeńków nadmorskich, zajrzał pod serwetę z rachunkiem, coś sobie przeliczał, dodając, dzieląc w myślach i wreszcie znowu dodając, wsunął pod serwetę trzy banknoty, odsunął krzesło i krokiem pełnym godności odszedł z trzymaną za szyjkę i przyciskaną ramieniem butelką koniaku. Gdy minął hol i dzielnie już się wspinał po schodach, Bylewicz, z głową na

obrusie, otworzył jedno oko i wyciągał dłoń w stronę pieniędzy.

Nagły cień kazał mu cofnąć tę rękę. To czujny kelner odsunął serwetę, wziął, co się należało firmie i jemu.

Stefan szedł i szedł po tych schodach, trochę popijał, w pi-jackim widzie mignęła mu w zakamarkach postać służącej z Limanowej (nie ma co, on chyba kocha tę dziewczynę), w zmieszaniu minął swoje piętro. Wchodził wyżej. Tam ciemno - ale jakiś brzęk wiadra (oczywiście, znów skojarzony ze służącą z Limanowej) i coś przez moment jaśniejącego w połowie czarnego korytarza kazało mu śmiało nacisnąć klamkę.

Otworzył drzwi pracowni artysty.

Malarz zaskoczony - właśnie bowiem rozwiązywał szlafrok - odsunął nogą brudne wiadro. Zamachał rękami, zupełnie jakby chciał zasłonić widniejący w centrum pracowni, oświetlony mnóstwem świec, portret Gabriela Husiatyckiego, dopiero zaczęty, rozmalowany, ale z twarzą modelu już pełną plastyki i wyrazu. Duża ekspresja w ruchu głowy wciśniętej w tułów.

Stefan stanął jak wryty z tą swoją odkorkowaną butelką. Czegoś takiego absolutnie się nie spodziewał. Malarz ze swej strony także pragnąłby wyjaśnień, ale z rezygnacją machnął ręką. Mieć do czynienia z pijanym...

- Garbaty! Wspaniały! Wspaniały garbaty! - To krzyczał Stefan; padł na kolana w ekstazie.

Malarz ostrożnie zasłonił starym, zużyтым, ale chyba przenigdy niepranym prześcieradłem obraz mokry i tłusty od farb. Stefan gwałtownie wstał z klęczek, niezdarnie usiłował zerwać prześcieradło. Malarz go lekko odepchnął.

- Taki sam portret namaluje pan mojej żonie! - krzyknął Stefan, którego zanosło pod drzwi. W tym samym momencie opadło prześcieradło i znów wyłonił się portret.

Malarz wołał zatrzymać nieznajomego przy drzwiach.

- Pan namaluje - tamten prawie dygotał - bo ja teraz daję zadatek. - Zwrócił się do sportretowanego Gabriela: - Proszę bardzo, przy świadkach!

Wcisnął malarzowi zwitek banknotów, malarz natychmiast

oddał mu te pieniądze, nawet na nie nie patrząc - i wypchnął intruza za drzwi. Ten, już na korytarzu, mocno do siebie przyciągał klamkę i mówił zupełnie bez pijackiego rozmemłania:

- Pan się zdziwi, ale pan namaluje portret mojej żony. Pan musi go namalować. Bo moja żona... moja żona... moja żona jest także garbata. - I zanim ostatecznie trzasnęły drzwi, wsadził paluch w szparę z doskonałą w niej widocznym portretem i dodał dobitnie: - Jak ten!

Malarz chciałby jakoś ogarnąć niespodziewany bałagan, coś tam uprzyzął, układał, spostrzegł na podłodze obcą a prawie pełną butelkę koniaku i bez namysłu wyszedł na korytarzyk. Tam, w świetle padającym z pracowni, poruszała się na czworakach jakaś postać. Stefan. Malarz usiłował mu oddać butelkę, Stefan może i wziąłby, lecz teraz dla odmiany ścisnął w garści złotawą gruchę z kluczem i numerem pokoju. Malarz powściągnął obrzydzenie, pomógł Stefanowi się zebrać, otrzepał go i potem właściwie zniósł człowieka ze schodów.

Już jasno od nocnych światełek odbijających się w lustrach, już złocenia, lakiery, nie żeby od razu werniksy, ot, pokost, szelak, imitacje i miękkie czerwone chodniczki hotelowych korytarzy dla lepszych gości. Malarz wziął wreszcie od pijanego ową gruszkę, otworzył drzwi pokoju z identycznym jak na niej numerem, tam zwałił Stefana na otomanę, postawił butelkę na stoliku... i za długo patrzył na gabinetową fotografię Irci.

W tym samym momencie, ale o dwa kilometry dalej, w sypialni Husiatyckich w śródmiejskiej kamienicy z wieżą, Wisieńka w nocnej koszuli mówiła: - No dobrze, już dobrze - uspokajając nagiego Gabriela, który w pościeli, wstrząsany jeszcze drgawkami, z trudem przychodził do siebie. - No już, no już - znowu otarła mu z czoła pot i nacierając skronie wodą kolońską spytała cicho:

- A kto to tym razem padł ofiarą twojego szaleństwa?
- Artysta malarz, wiesz? Dobry malarz, ale marzyciel za bardzo.

- No i on co... przez ciebie... Gabrysiu?
- On poczuje się człowiekiem czynu. - Odżył i wzrokiem szukał czegoś (Wisieńka odniosła wrażenie, że stała się przezroczysta). - Tak będzie do momentu kompletnego załamania, które nastąpi nie wcześniej niż za pół roku.

- Ludzi w takie sprawy wypychasz i co? - Gładziła Gabrielowi ręce, jak komu dobremu. - Jak to jest, że ty tak spokojnie nad tym przechodzisz do porządku?

- Umarłbym.

Popatrzyła z gryzącym niepokojem. Wobec tego, aby uniknąć napięcia, dodał po chwili: - Umarłbym, gdybym spróbował się opanować. - Usiadł na łóżku, najdelikatniej gładził rysujące się pod płóciennym piersi Wisieńki, młodszej odeń o pokolenie. - Wiesz, wiesz, ale on, on, ten artysta malarz, co najmniej przez trzy miesiące będzie doznawał niewysłowionej rozkoszy. Coś takiego warto okupić.

Gwałtownie odtrąciła jego błędzące ręce.

- Co?! - krzyknął, obruszył się, westchnął.

- Ty wiesz co! - powiedziała już lodowato. - Nie powiedziałaś mi wszystkiego.

34. Przedświt

Apartament w Astorii jaśniał w elektrycznym świetle. Stefan zwlókł się z otomany po ciężkim dwugodzinnym śnie. Dopełził do stolika, chwycił butelkę z koniakiem. W połowie drogi między zbawczą zawartością zielonkawego szkła a wyschłymi wargami zmienił decyzję i kolejność. Na moment odstawił butelkę i najpierw pocałował twarz Irci na fotografii. Potem łyk, haust, chwila przed wydechem, głęboki wydech, nagła myśl, zgaszona refleksja, łyk, haust i tak dalej.

Zabawiał się nowością, pstrykając - zapalał i gasił światło w łazience. Podobnie z bieżącą ciepłą wodą: odkręcisz i już leci. Nie mógł się nadziwić. Nalał sobie wody do wanny, chciał wejść,

wstrzymał się, o! woda jeszcze za gorąca. I parno się jakoś zrobiło. Skorzystał z muszli. Zanim usiadł, popatrzył w górę i śmiał się głośno, odczytawszy napis „Niagara” na rezerwuarze.

- Niagara!

Dosiadł sedesu. Postękiwał, żyły mu powychodziły na skronie, a tam nic! Jeszcze raz stęknął i: - Wreszcie! - Rozpogodził się, pozwolił sobie na żartobliwy autodocinek:

- Już ksiądz Piotr Skarga, gromiąc nałogi, grzmiał z ambonny tutejszego kościoła, że nic na świecie nie śmierdzi tak jak kupa pijaka!

Zasnął na sedesie.

Anka, ubrana, ale z rozpuszczonymi włosami, dlatego trochę bajkowa, trochę strzygowata, pomykała od okna do okna. Z jednego widok na kasztanowiec z kwieciami bielejącym wyraźnie pośród mroku i na uśpione okna naprzeciw (w jednym właśnie coś błysło), z drugiego - na ulicę, gdzie od czasu do czasu pośród siności chyłkiem sunęła niedospiana służa lub szli w grupkach na pierwszą zmianę robotnicy z pobliskiego browaru.

Przystanęła przy oknie, wypatrywała kogoś, kto mógł istotnie przypominać Stefana. Ten chód, ta sylwetka. Otworzyła okno, przerzucona przez szeroki parapet, wychyliła się teraz jednak całkiem już niebezpiecznie. Chciała krzyknąć - ale jak tu? Przepona na parapecie! Ktoś podobny do Stefana skręcił, widać twarz: nie, to nie mąż.

Odrzuciła grzebyki i szpilki; nie! nie będzie się czesać. Na głowę zarzuciła muślinową chustę, tak obszerną, że gdyby ją rozłożyć, zajęłaby podłogę tego pokoju... (przesada, oczywiście)... z którego wychodzi, nie żeby chyłkiem, ale cichutko. Potem przedpokój, następnie drzwi wejściowe, masywne, z łańcuchem i zamkami. (Naoliwione, nie trzeba się mocować). Wymóg cierpliwego pozamykania ich od zewnątrz uzbroił ją w niezbędne teraz opanowanie.

Artysta malarz leżał w łóżku w podkoszulku, już tylko przy dwóch świecach. Odłożył szkice, które długo przeglądał. Próbował przeliczać liche miedziaki, ale machnął ręką, zwłaszcza że wypaliła się przedostatnia świeca. Odrzucił koc i z wyrazem twarzy, który może wróżyć najgorsze, a w istocie jest odzwierciedleniem kaca, bosy podbiegł pod górne okienko.

Podstawił sobie taboret, wszedł nań - i w absolutnej ciszy rozległ się rumor. Stało się to, bo malarz nieostrożnie wyjął linijkę wstawioną pomiędzy futrynę a okienko w dachu. Okienko spadło zbyt może gwałtownie, ale skutecznie. Zerwały się gołębie. Z trudem próbował utrzymywać równowagę na rozhuśtanym stołku.

Trwało to dłużej, niż można sobie wyobrazić. O! Pogratulować refleksu: w jakiejś najbardziej opatrnościowej chwili udało mu się oszukać ruch stołka, odbić się, odskoczyć i hop! - wprost do łóżka. Sprężyny - amortyzacja - chrzęst, wreszcie przyjazne skrzypienie. Ocalały zaśmiewał się... histerycznie.

Od zaułka między kościołami Świętej Barbary a Mariackim Anka biegła po kocich łbach. O średniowieczny gotyk odbiło się pięć uderzeń zegara, strażak zatrąbił przeciągle z wyższej wieży, Anka się pośliznęła, nie upadła, lecz lawirując i uważając na zrosnięty tak niedawno obojczyk, plecami wylądowała na solidnej, kutej kracie, okalającej przykościelną kostnicę. Tłuste gołębie zerwały się do lotu z najniższego gzymsu.

Niemal wbita w tę kratę, zasłoniła twarz rękami - i scena przywiodła na myśl jakiś dramatyczny epizod, znany z przekazów, z zamierzchłej przeszłości. Młody ksiądz, który to obserwował z okna wikarówki, szepnął do siebie: - Coś podobnego! Jako żywo utrwalone pędzlem *Ukamienowanie*; olej na płótnie, malował Władysław Rossowski, jeden z najzdolniejszych uczniów Matejki... Czarownica to czy człowiek w popłochu?

W pięć minut później przedzierała się przez zmyślne żywopłoty Plant, na przelaj, starając się jednak nie zadeptać kwiatowych rabatek czule pielęgnowanych przez miasto, wybiegła na ulicę, przemierzyła ją i zaczęła się dobijać do bramy uspionej

Astorii. Na pół przebudzony portier w końcu kiwnął głową, że sobie przypomina, otworzył, Anka wpadła, bez słowa przebiegła przez westybul i zaczęła się wspinać po schodach. Dobięły ją słowa portiera:

- A, tak, łaskawa pani Korowska do małżonka.

Niczego poza tym nie usłyszała. Portier bowiem, sprawdzisz, czy dobrze zamknął bramę, wycofał się do swojej kanciapy i tam dopiero pozwolił sobie na uwagę: - Wygląda, jakby go chciała zabić. - Ona tymczasem się zapędziła (tej wiosny po raz pierwszy od czasu zaistnienia hotelu pracownia malarza działa na wybranych jak magnes), wbiegła na samą górę, w mroku oparła się o jakieś drzwi. Musiała złapać za klamkę.

W świetle jedynej świecy pomieszanym z chłodnym blaskiem świtu z okienka w dachu ujrzała wiadro, a na nim, w charakterze pokrywy, gazetę z jakże znanym i jakże tłustym nadrukiem *SZPIEG*. Uciekała spłoszona, pełna obrzydzenia i nienawiści. Zbiegając po schodach w tej czarnej muslinowej chuście, istotnie wyglądała jak oszalała wdowa, która właśnie przed chwilą zabiła męża.

Hol, westybul, i dalej. Szarpnęła bramą. Nic z tego. Ale klucz tkwił w zamku. Sama go przekreśliła, wtedy zawirowało; sino-niebieskoczarna zamieć. To doskoczył do Anki portier w granatowym mundurze z szamerunkiem - i ze zgrozą patrzył na jej ręce. Zdziwiony... spodziewał się na nich plam krwi? Wyśliznęła się wreszcie z hotelu. Portier zobaczył, jak ta kobieta ucieka, w pierwszym odruchu chwycił za dzwonek, ale machnął nie nim, lecz drugą ręką. Z rezygnacją? Z lekceważeniem? Może żeby odegnać najgorsze?

Malarz spostrzegł poruszającą się klamkę. Drzwi pracowni uchylone na szerokość dłoni. Oko. Kto?!... Niezdarnie usiłował narzucić swój przepiękny szlafrok; szamotał się w tych pilśniowych fioletach niby w kaftanie bezpieczeństwa. To tylko jemu się wydawało, że nie traci rezonu, i dlatego oznajmił:

- Do mnie się nie wchodzi, do mnie się puka!

Usłyszał swój głos i nic poza tym. Czemu skrecił się jak w ataku kolki? I tak trwał, bez ruchu, aż się po paru minutach odwinął, jak gąsienica? Zły, ale już w szlafroku, ogarnięty, wyszedł na korytarzyk. Porozglądał się. Nic. Wziął wiadra. Chyłkiem zszedł na półpiętro, otworzył wąskie drzwi toalety dla służby.

Wylewając swoje brudy - mydliny, mocz, terpentynę - nieostrożnie uderzył ocynkowanym wiadrem o żeliwny emaliowany zlew. Wszystko byłoby dobrze, gdyby przynajmniej, jak zawsze dotychczas, wchodząc, zamknął za sobą drzwi toalety. A tak - metaliczny dźwięk potoczył się przez hotelowe korytarze. I trwał: ostry, świdrujący, konkretny. Malarz pomknął do siebie na górę.

...To ja ze służącą u studni w Limanowej. Objęci, całujemy się, jak błogo, o, jak z żadną dotychczas; zrzucam z niej koszulkę... Nagle wiadro osuwa się i wpada do studni, hałaśliwie, z żalonym jękiem uderzając o cembrowinę...

W tej chwili Stefan się zbudził i nagi zerwał się z muszli, gdzie spał pod ową „Niagarą”. Nasłuchiwał: naprawdę gdzieś spada wiadro!

Koniak, szlafrok, całowanie Irci na fotografii. Wydech. Taka kolejność. Ktoś zapukał. (Czy tak miało być?) Podbiegł, otworzył. Portier. Przyszedł tu na zdrewniałych ze strachu nogach - a w drzwiach numeru Stefana doznał metamorfozy. Prężny, gotowy na wszystko, odetchnął głęboko, zdjął czapkę, przyklepał włosy i wręczając gościowi dzisiejszy numer „Marszu”, powiedział:

- Zgodnie z życzeniem szanownego pana radcy, numerek gazetki jeszcze ciepły. Prosto spod prasy chłopaczek mi przytargał.

Stefan wertował gazetę, od przodu do tyłu i na odwrót, znowu od przodu. Jest! Znalazł. Skoczył tłuścioch w górę i zawył z radości. Objął portiera, lecz zaraz go puścił ze wstrętem.

- Pyszna - szalał - pyszna ta świeża gazetka! Leć pan i przynieś

mi jeszcze takich samych dziesięć... - wbił wzrok w tapetę - ... nie, nie, dwadzieścia mi przynieś. Albo wiesz co, dwanaście! Dwanaście, nie dwadzieścia. Z tą będzie trzynaście. Judaszowe gazety. Po co od razu dwadzieścia. Za dużo. Niech Judasze kupują, czytają, niech inni czytają o Judaszach. Większa szansa na informację, na kontrakcję, na ewentualną interpretację, rozumiesz! Wyglądam na głupowatego, bo tak chcę, ale wiem, że jest paru mądrych ludzi, niby nie na świeczniku, a jednak mocno świecących, i od nich będzie zależał między innymi dalszy los takich szmatławców jak ten niby-postępowy „Marsz”. Takich, właśnie, takich jak ten. Bo z tymi „Czerwonymi sztandarami” to ani siedmiu mędrców nie da już sobie nigdy rady, ani zdaje się, sam Pan Bóg. Jeśli bluźnię, niech tu na miejscu zostaną ukarani przykrą sprawą, dla innych śmiesznym widowiskiem. O, wóda, wszystko to wóda, wódka zwodnica, tfu! - Wsunął portierowi do kieszeni zwitek banknotów. - Moja duma wreszcie zadowolona! To wiesz pan, wiesz, to świeże bułki mi przynieś do świeżych gazet, świeże, wszystko świeże; będziemy jeść, a to się Anka ucieszy, i pić! - Złapał portiera za poły. - Ale jedno ma być stare!

- Jedno stare - powtórzył portier.

- Węgrzyn! Węgrzyna starego mi przynieś. Nasamprzód! Nasamprzód węgrzyna mi przynieś, co? No, idźże już! Aaa! Pierwszy krok do zwycięstwa!

35. Szpieżek kanalia

- Tu, tu nasze dokonanie. Największe! - mówił Stefan, który późnym popołudniem na krakowskim dworcu wyglądał jak (mało prawdopodobne przy jego posturze) kolporter „Marszu”. Ale jednak wyglądał. Nie dość bowiem, że miał w lewej ręce z trzydzieści egzemplarzy ostro socjalizującego dziennika, to jeszcze prawą poklepywał pokaźny plik.

- Twoje dokonanie - powiedziała Anka i patrzyła, jak peronowy wnosi do otwartego przedziału walizę, torbę podróżną Stefana i jeszcze jakieś frymuśnie opakowane zakupy.

Stefan wcisnął bagażowemu monetę, konduktorzy już się zbliżali, więc wsiadł - żeby się teraz kręcić po przedziale. Pociąg pustawy, miejsca dużo, toteż te pakunczki na fotelach, nie na półkach. Zarumienił się, widząc wzrok Anki na zbytkowych cudeńkach. Cóż, odkręcił piersiówkę, popił, zakręcił ją, schował. Stał na schodkach w otwartych drzwiach przedziału. Anka, na peronie, podeszła bliżej. Zdołali się pocałować po raz pierwszy podczas jego bytności w Krakowie. Na pożegnanie.

Parowóz zaczął sapać i parskać, blisko nich podszedł konduktor (za kilka chwil będzie musiał zatrzasać drzwiami). Na razie odwrócił się taktownie.

- A dokąd się teraz udajesz? - szybko jeszcze szeptem zapytał Stefan.

- Wprost do dyrekcji policji.

Stefan się żachnął, że niby po co, że bez sensu, ale w ostatnim momencie Anka jednym ruchem rozsunała niedopiętą bluzkę. Między piersiami mały rewolwer wysadzany masą perłową.

- Tak - oznajmiła, zapinając bluzkę. - Żeby uzyskać pozwolenie na broń.

- Po co?

- Chcę zabić Trybuna.

- Będzie trzeba, to ja to zrobię! - rzekł Stefan nieoczekiwanie stanowczo.

I tyle. Gwizdek, konduktor zamknął drzwi - jeszcze gwizd tu i tam, wreszcie ostry świst - pociąg ruszył. Anka szła w ślad za odjeżdżającym, wpatrując się w Stefana machającego błękitną chustką z półotwartego okna. Kilka sekund - i pociąg oraz Ankę zasnuły dymy. Wtedy bezpiecznie przeszedł przez tory student Bylewicz, który przez cały czas rozmowy Korowskich stał z drugiej strony przedziału, na sąsiednim peronie, i podsłuchiwał.

36. Żeby nie było kiczu

Wisieńka, ubrana i uczesana, podbiegła do okna, odsunęła jasnożółtą firankę i zaraz ruszyła ku łóżku, w którym chory Gabriel leżał, nie śpiąc, otoczony ciemnobrązowymi buteleczkami lekarstw (z papierowymi tasiemkami receptur jaśniejącymi na nich różowo i pomarańczowo jak wstążeczki), flakonami z zielonkawego szkła z proszkami w opłatkach, z termometrem w szklance na nachtkastliku, z termoforami pod łędwiami i pod karkiem. Pomogła mu się podnieść, podsunęła pantofle, nadstawiła swe ramię. Zrozumieli się bez jednego słowa - podchodzili do okna.

- Co? - spytał Gabriel. - W dół mam patrzeć? Kołuje, o! W głowie się lekko zawraca.

- Patrz.

Trzy piętra niżej, na skwerku, uwijali się murarze i kamieniarze. Stawiali kapliczkę. Właśnie z wozu, zaprzężonego w dwa karę konie, ostrożnie zdejmowali figurę naturalnej wielkości, zawiniętą w szmaty.

- W środku będzie Matka Boska - powiedziała Wisieńka.

- Dlaczego akurat pod naszymi oknami? - wyszeptał ochryple Gabriel.

Próbowała się przytulić do wstrząśniętego. Ale nie odczuła przy sobie człowieka, Gabriel, co u niego wydawało się niemożliwe, w najmniejszym stopniu nie odwzajemnił jej dotyku.

- Wiem, że wiesz, dlaczego to robią - powiedziała po chwili martwej ciszy.

Delikatnie wyswobodził się z jej objęć. Nieogolony, w czarnej, bordo lamowanej piżamie, sam zrobił cztery niepewne kroki do okna, wychylił się i patrzył w dół. Figura Najświętszej Marii Panny, kamienna, polichromowana - błękity, biel, złoto, jasny ugier, czarne akcenty włosów - wyłoniła się z zawiniątek. Właśnie blondynek w bawełnianym kombinezonie indygo pucował postument, na którym miał stanąć posąg przedstawiający Matkę Bożą. O tę rzeźbę się wsparł - bez złej woli, tylko żeby ruchy były pewniejsze. Nagle z jego dłoni, draśniętej zadziorem

tyнку, potoczyła się krew. - Tfu, do diabła ciężkiego! - krzyknął blondynek, tamując krew uciskiem drugiej dłoni. Oszłomiło go uderzenie w kark ciężką ręką majstra, a jego lakoniczne: - Nie bluźnij! - przywróciło go codzienności.

Gabriel, nie odwracając twarzy od sceny widocznej w dole, wyczuł obecność Wisieńki, mocno ją złapał za palec i wykrztusił:

- Dlaczego nie powiesz wyraźnie, że tam na dole śpieszą, żeby odegnąć złego... złe duchy? To lokatorzy ufundowali kapliczkę?

Wisieńka wyrwała się Gabrielowi, opadła na sofę. Gabriel obrócił się w stronę mieszkania i spojrzał na Wisieńkę. Z jego oczu odczytała, że w jednej chwili (i raczej tylko na tę chwilę, jakże w ich nie tyle pożyciu, ile w ich historii istotną) musiała szernieć, zbrzydnać.

- Właściciel kamienicy targował się - powiedziała - w końcu dał podobno połowę. I zgodził kamieniarza. Reszta to składki.

- I ty też dałaś.

- A co? Wolałbyś mnie widzieć ukamienowaną?

Gabriel ukradkiem odpukał w spód parapetu. Spojrzał przez okno.

- Jesteś podobna do tamtej Niepokalanej.

- Nic dziwnego - odparła - łączy nas pochodzenie... - Zwinnie uniosła się z sofy; w biegu do okna znów bardzo ładna, wychyliła się i: - To raczej ona jest do mnie podobna. O rzeźbie mówię.

- Tak, tak, tak! Boisz się?

Do ich sypialni wpadło słońce - jak wielkie żółtko.

- Hm! Ale wiesz, jak oni już to poświęcą, zrobi się kicz.

- A żeby nie było kiczu, to my będziemy musieli stąd odejść. To miałaś, Wisieńko, na myśli?

- Tak.

- Szkoda.

- Ale nie będzie kiczu - wypowiedzieli wspólnie, jak ludzie z chóru żałobników.

37. Idź stąd!

Sześć uderzeń zegara wyznaczało czas odejścia Gali od lustra, przejścia przez sypialnię, ogarnięcia wzrokiem aktorki śpiącej w jego łóżku, marudzenia przy oknie. Umyty, uczesany, z przystrzyżonym wąsem, ale o jakoś tym razem tanio różowiejącej twarzy, z kawałkiem bibułki na rance po zacięciu się brzytwą (czy może z pozostałością mydła do golenia), w nowym garniturze w szeroką kratę - gwałtownie odsunął firankę.

Aktorka obudziła się, usiadła na łóżku, całkiem naga, podniosła rękę do twarzy, zasłoniła oczy rażone mocnym słońcem. Zrobiła sobie daszek z dłoni, popatrzyła zdziwiona i powiedziała do mecenasa:

- Wyglądasz, jakbyś pozował do fotografii.
- To już nasze ostatnie spotkanie - wyrzekł z przyśpieszeniem na ostatnich sylabach.

Popatrzyła na niego - na wszelki wypadek z pogardą. Czekwała na wyjaśnienie.

- W mieszkaniu unosi się woń niewiasty! Trudno mi już było wytrzymać - mówił z wrednym śmieszkiem - wstałem więc...

Aktorka pociągnęła nosem i wężąc nadal, szepnęła: - Ale nie przestało cuchnąć starym kozłem... - Odrzuciła pościel. Figura idealna. - A czy możesz mi przynajmniej jeszcze podać ubranie?

Gala westchnął z ulgą. Skrzętnie grzebał w szatkach. Popatrzyła na niego podejrzliwie. Rzucił w nią, ładną i jasną, jakąś bielizną, samą w sobie zmiętą, pozbawioną formy, i dodał zmieszany: - Nie powinnaś myśleć. Brzydko ci się marszczy czoło wtedy. Gdzie masz gorset?

Wypięła się.

- A tak, tak, tak, nie musisz nosić gorsetu.
- Usiadła i ubierała się jak mała dziewczynka.
- Twoja byłam, czysta - powiedziała w końcu.
 - Tak, wiem, chodziłaś do łaźni... Zbieraj się, miła.

Zerwała się z łóżka, bosa, jeszcze podbiegła do niego. Chciała się na nim wesprzeć. Uskoczył. Byłaby upadła. Na środku sypialni, usiłując zachować równowagę, wyglądała jak żartem ożywiony posąg. Na grób.

Gala, w ogóle się nie oglądając, w swoim kraciastym ubraniu żwawo podążył ku drzwiom. Przeszedł do kuchni, tam zdążył wypić tylko dwa pierwsze łyki kawy, kiedy rozległo się pukanie do drzwi wejściowych. Na moment wsadził głowę do sypialni, rozkazał:

- Proszę się ubrać! - ruchem głowy wskazał tylne drzwi. - I proszę wyjść potem dyskretnie od strony ganku.

Na wszelki wypadek zamknął na klucz drzwi wiodące do części sypialniano-kuchennej.

Otworzył. Tak! Wprost z korytarza wprowadził do swojego mieszkania świeższą niż ten poranek Ankę Korowską. Niby niespodzianka - a i nie! On i ona, z delikatnymi uśmiechami porozumienia, przeszli do kancelarii.

38. Gry wstępne, he, he, takie preludium mgielne!

Sztuczne, stłumione światło, zasłony, nieokreślona pora w mieszkaniu Husiatyckich. Po zbliżeniu miłosnym: Wisieńka, ożywiona, przepełniona wewnętrznym blaskiem. I Gabriel, żółtawy, we wspólnej pościeli, leżał nieruchomo, na wznak.

- Wiosna brzydko odeszła - mruknął. - Lato jest niedobre. Pochyliła się nad nim, szepnęła:

- Albo nagle zacząłeś się starzeć, Gabrysiu, albo...
- Albo co?
- Albo... - znów zawiesiła głos.
- Co?! - syknął zniecierpliwiony.
- Albo przestałeś mnie kochać.

Nie przestawała się pochylać nad mężem; robiła wszystko, żeby spojrzeć na niego z miłością - spozjrzała natomiast najszczerzej:

z szaleńczym (aż do jego bólu) przywiązaniem i z bezwzględ-
nym oddaniem.

- Lato jest niedobre dla mojego pisania - powiedział pro-
sto, konkretnie, bez śladu egzaltacji. - Człowiek siedzi i siedzi, a
na dworze ani myśli się ściemniać.

To wszystko. Wisieńka nie znalazła sposobu, żeby zareago-
wać. Ogarnął ją nieokreślony wstyd. O skórę. „Moja skóra -
tłukła się w niej myśl - jest grubsza niż skóra Gabrysia; jeste-
śmy do siebie przywiązani. Mnie nie bołą te same wyrazy, które
jemu, mężczyźnie, boleśnie wrzynają się w skórę. Miałabym
mieć grubszą skórę niż on? To jak przetrwamy?”. (Kto powie-
dział, że mają przetrwać). Wymknęła się z pokoju i sama od-
czuła, wręcz zobaczyła, że po raz pierwszy w tym związku i przy
tym człowieku zaczęła się poruszać niezgrabnie!

Gabriel z zamkniętymi oczami wyglądał, jakby od dawna
spał.

39. Zmierzch

W rozświetlonych, dużych, owalnie zwieńczonych oknach
od frontu na wysokim parterze toczyło się życie rodzinne. Bez
zasłon, bez tajemnic, dobrobyt. Kilkoro dzieci w różnym wieku,
piastunka w jasnobłękitnym czepku z ultramarynowym po-
przecznym paskiem, w głębi otwarte drzwi: to przedsiónek
salonu; tam w głębi (gdzie okna wychodzą na drugą stronę)
przytulniej, pomarańczowobrazowo - nastrój ciepła i dobrej
ciszy.

Anka pchnęła furtkę, idąc pomału przez ogród, wpatrywała
się i niejako przeżywała te okna. Nie mogła ominąć i tamtych
okien, które o piętro wyżej wcinały się w zmrok bardzo ostrym
światłem i śnieżną bielą zazdrostek. Doszła do znanej sobie
bramy z emaliowaną tablicą, z której wylania się słabo oświe-
tlony latarnią napis: „Prof, dr Władysław Fetter, specjalista
chorób kobiecych”.

Opuściła woalkę na twarz, uruchomiła dzwonek u bramy.

Planty. Rosochate gałęzie dębów i gładkie, połyskujące młodych klonów z plamami świeżych liści rysowały się na widzia-nych z odległej perspektywy fragmentach architektury masywu katedry wawelskiej i wieży Srebrnych Dzwonów. Gazownik zapalał latarnie, posługując się z wprawą specjalnym przyrządem na długim kiju. Jedna świeci się, teraz druga się świeci, zaraz zaświeci się trzecia... W ślad za nim strasznie koślawo szła dziwna postać. Co chwila przystawała, zamierała, pewnie dla odpoczynku. W końcu w niezwykłym kontrapoście oparła się o ławkę. Ta postać to Gabriel. On sam, w swoim mieście. Spocona twarz, w niej ból? Tak, grymas bólu widać w blasku latarni.

Gazownik z nieufnością, robiąc zakole, z boku podchodził do Gabriela. Zarys czego? Bo przecież nie postury. Posturki. Ale jednak z szacunkiem do gościa, ostrożnie i jak najgrzeczniej, bo - czerń, wyraźne białe akcenty gorsu i mankietów; na rękach biżuteria, srebrzyste połyski łańcuszka zegarka, breloka; może to platyna nawet, a nie srebro. Przekonał się więc, że to wprawdzie pokraka, ale zarazem pan bogato ubrany, a i prze-zornie przewidując, że garbaty ani chybi ma pod ręką rewolwer, zdobył się na pełne ciepła i dyskrecji pytanie:

- Mogę być w czymś pomocny wielmożnemu panu?

Gabriel machnął ręką, że nie. Wbił laskę w ziemię, przerzu-cił własny ciężar i w ten sposób obrócił się o sto osiemdziesiąt stopni, żeby zrobić trzy pierwsze kroki i dalej już człapać tam, gdzie błyszczą światła Astorii.

40. Nowy romans lustrzanym odbiciem starego romansu

Przebudzony student Bylewicz miał wyraz twarzy człowieka, który po raz pierwszy w dziennym świetle zobaczył sufit z wy-myślnie ozdobną w girlandy gipsaturą i z żyrandolem z trawio-nego szkła. Nie wiadomo skąd (ze środka Wszechświata?)

dobiegające odgłosy gulgotania spotęgowały u niego wrażenie nieprzyzwoitego zagubienia w rzeczywistości. Ukryty pod kołdrą aż po oczy, rozbieganym wzrokiem wewnętrznym szukał źródła odgłosów - jakże okrutnych po odzyskaniu świadomości na likierowym kacu!

To aktorka - tu, u wezłowia! Już bez zarzutu, bez śladu nocnych przejść i uniesień, zupełnie ubrana i uczesana, płukała sobie usta.

- Przy Gali można się dużo nauczyć - powiedział wreszcie i już bez niepokoju przełknął ślinę.

Mściwie parsknęła wodą różaną do porcelanowej miski.

- Czego na przykład?

- Dyskrecji. Nie miałem pojęcia, że on miał z tobą romans.

- Bo ty w ogóle nie znasz Gali. Wiesz? Tyś mi wczoraj tu mówił, świetny był ten likierek, co? że Gala taki przywiązany do życia. A o tym nie wiesz, a ja wiem, że on ma tu (dla zademonstrowania posłużyła się nagim torsem Bylewicza), o tu, nieraz wodziłam tam palcem, taką rozległą bliznę.

- Strzelał do siebie? Potwierdziła skinieniem.

- Z powodu kobiety?

- Chybaś głupi! On?! Jeszcze jako kawaler zaciągnął dług, a dawszy przy świadkach słowo honoru, potem nie potrafił go spłacić. Strzelił do siebie na oczach ciotki, która mu nie chciała tej sumy pożyczyć. - Zrobiła do Bylewicza oko. - Kulka przeszła bokiem i tylko trochę poszarpała mięśnie. Naprawdę nie widziałeś tej blizny? Nieraz sypiasz u niego.

- Teraz będę sypiał u ciebie. Ale widziałem sztuczną szczękę Gali.

- Tego to ja nie wiedziałam - odparła zasepiona. - Wiedziałam tylko, że ma sztuczną duszę.

Bylewicz odrzucił kołdrę, nagi i dumny wychrypiał:

- No, chodź.

Aktorka, która od kilku chwil już była zaprzątnięta czymś innym (a nawet naiwny by pojął, że musi zaraz odegrać się za

Galę na kimś, kto jest akurat najbliżej), powiedziała do Bylewicza:

- Fúj! Dzisiaj nie - i wypięła się nań całą swoją dokładnie ubraną istotą.

Naciągnął koldrę na głowę. Aktorka zajęła się drobiazgowym uprzążaniem śladów libacji (z udziałem ozdobnych flaszek kontuszówki i likieru tatrzańskiego z destylarni parowej Urbana) poprzedzającej upojną noc, a robiła to, oczywiście, z miną Judyty po zabójstwie Holofernesa bez pominięcia jego cienia. Bylewicz trochę odsunął koldrę i jednym zmrużonym okiem obserwował aktorkę. Odpadał z niego lęk, skruszał żal, pojawiła się ciekawość i z nowymi siłami odżyło to, co w nim było zawsze: najpospolitszy spryt. Ostentacyjnie odsłonił twarz - i to w momencie, kiedy aktorka, przyglądając mu się, ordynarnie dłubała w nosie.

- A ta Anka Korowska, co teraz przychodzi do mecenasa Gali - cedził sennie - to ona sobie kupiła rewolwer i zamierza zastrzelić Trybuna.

Trafił celnie. Ta tu, młoda, prężna i arogancka, a przy tym od paru dni niepewna siły własnych powabów, pałała wciąż żądzą zemsty. Nie mówiąc o ciągłych plotkarskich zapędach.

- Strzelać do Trybuna? Zastrzelić go? Kobieta? Dlaczego? - Drapała się nerwowo po tyłku. - Po co?

- Wiesz, co to jest honor?... - Bylewicz usiadł na łóżku i zaczął ubieranie od naciągania skarpet. - Trybun nie odklonił się Ance na ulicy. I teraz ona przechadza się pod jego domem.

Aktorka dopiero w tej chwili osiągnęła orgazm.

41. Ślad myśli

Stefan, wreszcie u siebie, otoczony baterią butelek po piwie, kończył wycierać bułką sos z monstrualnie wielkiego, płytkiego talerza. Zwłókł się od stołu, zabierając flaszkę starki i kieliszek z grubego szkła. Padł na kanapę. Weszła służąca i zajaśniała

wśród tych wszystkich ciężkich i ciemnych sprzętów. Pachnąca samą świeżością stanęła przed Stefanem na wyciągnięcie ręki. Nie poruszył się; popijał właśnie. Zakrzętała się cicho. Zbierała ze stołu naczynia, sztućce, butelki. Stefan musiał myśleć o czymś wyjątkowo gęsto, bo na twarzy miał wyraz udręki.

- Pan to się musiał wyszumieć w wielkim mieście - powiedziała, niby do siebie. I już w drzwiach, z tymi zebranymi resztkami, tajemniczo, ale tak, żeby usłyszał: - Będzie już trzy tygodnie po tym, jak miało u mnie być - i nic.

42. Instynkt - i bez śladu myśli

Fotel ginekologiczny. W tle duży obraz: półakt kobiecy, pędzla Weissa albo Axentowicza, może Alfonsa Karpińskiego: piękne ciało, perłowe tło, kraplak aksamitów fotela. Anka ubierała się za parawanikiem japońskim. Dołem, z parteru, jak jad sączył się przygnębiający głos skrzypiec: wciąż powtarzany motyw, urywany w zgoła nieprzewidzianych momentach. Profesor Fetter wreszcie skończył myć ręce pod strumieniem wody spływającej do majolikowego zlewu z bogato zdobionego kranu.

Wyszli sobie naprzeciw.

- Jest pani kobietą najzupełniej zdrową - grzmiał oficjalnie Fetter - a te obawy, zapewniam, nie miały żadnych podstaw.

Pobiegł ku mniejszym drzwiom. Długo komuś wydawał jakieś polecenia. Anka widziała go teraz z dala i od tyłu; stał w drzwiach o głębokiej futrynie i jego głos stamtąd dobiegał głucho, jak ze studni; niepodobna rozróżnić słów. Cóż, skoro nie musi sobie zaprzętać głowy organami położonymi znacznie niżej, może się zająć oglądaniem obrazu. Odniosła wrażenie, że profesor co jakiś czas przewiesza te świetnie namalowane akty (Axentowicza z sypialni do gabinetu, na jego miejsce obraz Weissa, w poczekalni zazwyczaj *Paryżanka* Alfonsa Karpińskiego,

ale może i to się zmienia). Taki widocznie kaprys.

Kiedy w pomieszczeniu, do którego Fetter zaglądał, trzasnęły drugie drzwi, odwrócił się - i te pierwsze drzwi zostawił otwarte. Podeszedł do Anki z otwartymi ramionami.

- Akuszerkę, tę moją niby asystentkę, która zastępuje biednego Jaśka, ech, ech, co z ludzi robi gruzlica, wysłałem po papieroski. Jesteśmy sami. - Anka zeszywniała. - Julijka, słyszysz, ćwiczy w bawialni na dole pod okiem mojej żony, bo ta coś nie ufa temu muzykusowi, co daje lekcje... Aleś cudna!

- Jedno mi powiedz, Władku. Ale bez tych gładkich cywilizacyjnych pierdoł, tych *ę*, *ą* wszystkich! Czy ty wierzysz, że ja nie jestem agentką?

- Czy muszę wierzyć, że nie jesteś agentką? Nie muszę. Bo ja wiem o tym! - Nagle ukląkł przed nią. - Choćbym nawet nie chciał, do jasnej cholery!

Objął Ankę za nogi, wstawał, opierając się o nią, przyłgnał twarzą do bioder, brzucha, do ud, znów do brzucha, chciał całować - wysliznęła mu się. Podeszła do okna i patrzyła, jak gazownik zapala latarnię uliczną. Fetter sunął ku niej, lecz zastygł w pół ruchu, ponieważ urwał się na dobre dźwięk skrzypiec.

- Przecież kto ma wiedzieć lepiej jak nie ja, że nie jesteś - szeptał urywanym głosem. - Usłudni koledzy donieśli, gdzie trzeba, że podczas porannych obchodów w szpitalu nie zastawano cię przy niemowlęciu nieraz i przez kilka dni z rzędu.

Łatwe stąd podejrzenie, że wtedy potajemnie jeździłaś do Warszawy i spotykałaś się z tymi z ochrony. Co za głupcy! Gdybyż wiedzieli, jak nam - kochana, tobie i mnie - było cudownie w tym czasie w naszym ciepłym, naszym tak niekiedy niepotwarzalnie rozkosznym, miłosnym *pied-à-terre*...

Anka stała nadal z czołem przy szybie.

- A gdybyś nagle to wszystko stracił?

- Co? Co gdybym stracił?

- Pozycję, dochody, zaszczyty, katedrę uniwersytecką, pieniądze, to tutaj całe mieszkanie, fortepian, powozy, laboratorium,

jedną trzecią kliniki, akcje, wszystkie udziały, prosperującą hodowlę koni pełnej krwi, willę w Marienbadzie; i żona gdyby od ciebie uciekła z dziećmi?

Mówiąc to, odwróciła się. Zmieniona. Oczy zaczerwienione. Rozglądała się z pozoru znacząco (w istocie półprzytomnie) po obszernym, zasobnie urządzonej gabinecie.

Trafiała wciąż na odpór w postaci milczenia mężczyzny. Mówiła dalej, spokojnie: - Mógłbyś być jedynym świadkiem w mojej sprawie. Wysłałbym z honorem. A tamci może by zostali pogrążeni raz na zawsze. Wiem. Nie zwariowałam. Nie można mieć skarbu na zawołanie. - Znowu zaczęła się rozglądać i nagle wbiła wzrok w profesora Fettera: - No tak, ale ty byś zwariował, gdybyś to wszystko nagle stracił. Za dużo tego nazbierałeś... żeby nie zwariować. I starszy już jesteś.

Fetter porozpinał kitel i tak grzebał w wewnętrznej kieszeni surduta, jakby chciał stamtąd wyszarpnąć serce. Tymczasem Anka przeszła do łagodniejszej części gabinetu - gdzie kwiaty w wazonach, ciasteczka, francuskie bomboniery, lustro, syfon z wodą sodową - wzięła ze stolika torebkę, złym trafem (a może cudem, bo u niej, tak uważającej, to niespotykane) wypuściła ją z rąk. Na dywan wypadła cała zawartość z eksponującym się natrętnie, pysznie a groźnie rewolwerem. Fetter dobiegł, znów ukląkł, skrętnie pomagał, wrzucał jej notesik z przytroczonym ołówkiem z miedzianą skuwką, pastylki miętowe, haftowaną chusteczkę, nim jeszcze zaczęła zbierać; podczas gdy ona była zajęta układaniem w kalendarzyku karteluszków, chwycił rewolwer - i natychmiast tak dostał po łapie, że broń niebezpiecznie upadła i uskoczyła poza dywan, na podłogę. Wstał, zrobił parę kroków - i jednak podniósł, odniósł. Już spokój. To, co wcześniej wygrzebał z zanadru, okazało się banknotami. Teraz te sześć albo siedem zadrukowanych papierków trzymał nad kucającą.

(Mogło mu się zdawać, że Anka już tu będzie kucać wiecznie). Podniosła głowę i spojrzała na Fettera tak, jakby ten chciał jej ofiarować martwego od tygodnia gołębia.

- Zawsze to coś, zawsze, zawsze - mówił zduszonym szeptem

- dla pamięci o nieżyjącym dziecku naszym i, najwspanialsza istota pod słońcem, na lepszy los Irci. Zawsze to, zawsze, Anko, pókim żyw... - i wcisnął jej te pieniądze.

Prosto z dłoni wrzuciła je do otwartej torebki. Jeden z banknotów nie chciał sfrunąć. Krzyknęła:

- Pieniądze lepią mi się do rąk!

Fetter zdziwiony, nawet już podejrzliwy, uskoczył.

Anka wreszcie odlepiła banknot, wygładziła go, wrzuciła do torebki, wytarła chusteczką ręce - i wszystko to robiła naturalnie.

- Ciasteczko bardzo słodkie przed chwilą jadłam... Ręką jadłam... i stąd to. Sam mnie poczęstowałaś.

43. Ciężka zdrada. Zdrada?

Gabriel w pięknym czarnym ubraniu leżał wstrząsany drgawkami na plugawym posłaniu malarza w mansardzie hotelu Astoria.

Malarz miał ręce i czoło brudne od rozmaitych farb, a na sobie - zupełnie wyjątkowo - biały kitel zapięty po szyję i ze stójką. Oderwany od pracy, mógł sądzić, że nie nadaje się jeszcze do życia pozaartystycznego, gdyż od odległej chwili, gdy usłyszał hałasy i jęki za drzwiami i w końcu wciągnął gościa z ciemnego korytarza, niewiele się zmieniło, i to, co widział i słyszał, brzmiało nadal jak pomruk z zaświatów. Gabriel bowiem, rozgorączkowany (w malignie?) stękał:

- Nie powiedziałem Wisience mojej o tym samobójcy u Dymła, nie mogłem jej powiedzieć, bo do tej pory nie mogę się wyzbyć pogardy do samego siebie. A pan do siebie nie czuje pogardy? Siedzieliśmy, panie, jak w cyrku, patrząc na tragedię człowieka. Panie Kochany, jak Nerony jakie! Teraz za późno... Wisienka odkryje ukrywane przeze mnie... - Rozkaszał się. - Tak, już wie, że ukrywał... i koniec, panie; właśnie.

- Będzie dobrze, panie Gabrielu - powiedział malarz, nachylił się nad leżącym, wprawdzie zrobił mu zastrzyk i odłożył

strzykawkę na stolik przywalony książkami, gdzie na uprzątniętym, ciemnym fragmencie blatu srebrzył się pojemnik do gotowania igieł.

Gabriel zastygł. Blask świecy nadawał jego twarzy ton niepokojąco żółty. Malarz podszedł do obrazu. No, wielka zmiana w portrecie Gabriela Husiatyckiego! Jego postać stojąca - którą niedawno podziwiał Stefan Korowski - zeszała na drugi plan. Na pierwszym planie teraz Gabriel przerzucony przez całą szerokość płótna.

Na krzyż.

44. Szkoda zmarnować

Stefan stał na ganku. Pił piwo. Przeciągnął się, odstawił szklanicę na poręcz pod okapem, gdzie w cynowej rynce chłodziła się bateria jasnego marcowego grybowskiego i porteru. Oj, święty spokój pod Limanową! Cztery bielutkie kolumnienki, w oknach pelargonie, wczesne niedzielne słoneczne popołudnie. Zamierzył się, żeby zabić wielką muchę, która wreszcie usiadła na oknie. W szybie odbił się zarys rześko idącej służącej. Stefan odwrócił się i gęba mu się sama zaśmiała do tej kondensacji świeżości, urody i wdzięku.

- Wykąpałam się w rzece!

- To już czas... - osłupiał - żeby kąpać się w rzece? Patrzył zafascynowany.

- Woda się ogrzała, bo w tym roku gorąco - mówiła, uśmiechając się do siebie. - Tam poszłam, gdzie krzaki rosną przy samej wodzie. Wszystko ze siebie ściągnęłam. Tylko żeby się dobrze umyć. Nie tam dla zabawy taka kąpiel. Mydło duże wzięłam, takie do prania, i szczotkę, co nią czasem pięty szoruję. Wszystko z zimy ze siebie zmyłam, aż skóra trzeszczała. Ciepło mi było, bo ja się nie kąpałam, tylko się szorowałam. A biało było koło mnie!... Co? Szkoda mydła?

Stefan patrzył. Przecież ona, mówiąc, ani się nie wykręcała na wszystkie strony, ani nie spuszczała wzroku, ani nie bawiła się koralami - wyglądała jak jego równoprawna partnerka. Zbiła go z tropu? Wzruszyła?

- Nie szkoda mydła - powiedział i sam się zdziwił, że wygaduje: - Jakie to piękne, kiedy człowiek może z siebie zmyć brud.

Spojrzała na niego i wylała to zdziwienie. Otrząsnął się, dodał szybko: - Myślę, że wiesz, co robisz. Mam nadzieję, że wybrałaś stosowny moment.

Teraz on dostrzegł zdziwienie w jej twarzy, lecz nie miał pojęcia, że jego własne usta rozchyliły się w bezbronnym uśmiechu, kiedy mówił: - Żebyś mi się tylko nie przeziębła.

45. Szaleniec wpatrzony w lufę

Lato - skwarne, miejskie i w dodatku w samo południe - a w redakcji „Marszu” mroczno. Trybun i Goldstock oglądali coś w kręgu lampy. Stary dziennikarz, w szarym paltocie i w cylindrze, wrócił po przerwie na przekąskę widocznie wcześniej niż zwykle, bo Trybun, zniecierpliwiony, trochę złośliwie spytał:

- Jak to? Nie było dzisiaj sznapsa?

Stary doskoczył do szaragów, złapał parasol:

- Będzie, będzie, czemu miałoby nie być, tylko że żar się z nieba leje, przeto nie sposób bez parasola!

Chciał przecież wyjść sobie na miasto, lecz Trybun zaczepił go na swoje nieszczęście. Stary dziennikarz bowiem wywęszył, że panowie robią coś w tajemnicy. Podchodził śmiało; przecież to także jego redakcja. I co się okazało: Trybun pokazywał Goldstockowi nowo nabyty browning, na który właśnie dostał pozwolenie. Stary (wprawdzie od lat z opinią zdziwaczałego) z pobłażaniem pokiwał głową: chłopcy z nową zabawką.

- Dziś sznapsa nie podają? - dla odmiany spróbował Goldstock.

Stary nie zwracał uwagi na docinki; i tak zrobi swoje. Stał za Trybunem siedzącym, laskotał go, sam rechocząc. Trybun wyskoczył zza krzesła. Stał twarzą w twarz ze starym. Stary zapał:

- Ignaś, Ignaś! Aresztowali cię trzydzieści razy! Miałeś trzydzieści jeden procesów! Masz czterdzieści dwa lata! I teraz dopiero wyrobiłeś sobie pozwolenie na broń? I to tylko dlatego, że ładna kobieta przechadza się pod twoimi oknami?

- Zwłaszcza że to najkrótsza trasa z jej mieszkania do Rynku! - dodał z chichotem Goldstock.

46. Taktowny legawiec

Letnia noc i sypialnia Gali to obrazek obyczajowy. Przy oknie, półotwartym na zroszone zbawczym deszczem geranium w doniczkach na ganku i na pokryte pomarańczowocynobrową dachówką łamania nad grubymi murami zabytkowego klasztoru Marków, siedziby księży emerytów, nie od frontu, od ulicy Sławkowskiej, lecz od malowniczych oficyn ze szkarpami, gdzie w pogodne dni wieszano pranie i wylegiwały się kociska, a teraz, w świetle księżycy, w otwartych jak u mecenasa oknach wiekowi duchowni pracowicie chwyтали w płuca ożywcze po tyłu tygodniach suszy powietrze, Anka pólleżała na przystawionym fotelu z głową na kolanach Gali. Po prawej stronie mieli ponadto widok na fragment Plant, nad którymi, mogłoby się wydawać, w siatce korony klonu tkwił księżyc przyłapany na gorącym uczynku. Tak poszeptywali do siebie mniej więcej; poetyzowali - nie, żeby ćwiczyć formę, doskonalić wymowę. Robili to bezinteresownie, dla miłości. Jaka to była, jaka to miała być miłość, nie wiedzieli. Ale to nie był właściwy czas, żeby zachodzić w głowę, czy nie jest to wyłącznie miłość własna. Wyżeł Mruk ułożył łeb na stopach pana i tej nowej pani.

Mecenas powiesił obok swych pamiątkowych, do cna powysychanych wieńców, gitarę, przy której wtórze nucił przed chwilą ruski romans. Długo głąskał Mruka, mocno klepnął psa po zadzie. - Mruk to był mój jedyny przyjaciel - powiedział, popatrzył Ance w oczy i zakończył, jak należy: - Do dziś.

Sprawdził wrażenie; kontent, chwycił ozdobne, o złożonych brzegach, wydanie *Anhellego*, nie tracąc ani chwili, czytał głośno, deklamował:

„Odeszli więc Anhelli z ową niewiastą i z renami Szamana na daleką pustynię północną, a znalazłszy pustą chatę w lodzie wykutą, zamieszkali w niej”...

- „A po krótkim pożyciu”... - podjęła Anka, głaszcząc Gale po dłoni.

- „Anhelli - czytał i zerkał na tę wędrującą rękę - przyzwyczajał się nazywać siostry imieniem zbrodniarkę tę i pokutnicę”... - Patrzył na Ankę badawczo, ciekaw jej reakcji wywołanej lekturą. Pewnie także i wyzwolonych emocji. Anka albo była pod wrażeniem tembru głosu Gali i pod urokiem chwili, i przeto mógł do niej nie dotrzeć sens tego fragmentu, albo wszystko to dotarło, lecz ona była ponad to - a może nie chciała dopuszczać myśli o jakichkolwiek knowaniach adwokata. A może najwygodniej jej było udawać głupią. I wytrzymała... Gala nie wytrzymał. Zaczął na Ance szarpać bluzkę, wtedy *Anhelli* wypadł mu na podłogę z takim trzaskiem, że Mruk się zerwał i umknął do kuchni. Anka wyszeptwała:

- Jak bosko!

Rozanielony, przewrócił oczami.

- Jak bosko! - powtórzyła, motywując: - Jesteś jedynym mężczyzną, od którego nie muszę dostawać pieniędzy!

Zaskoczony Gala miał wyraz twarzy tak samo głupi, jak całkiem niedawno ginekolog Fetter, taki doświadczony i szanowany, niby mądry, a który nawet nie wie, że najpierw daje lepkie ciasteczka, a potem banknoty.

Nie wie - a może zapomina.

47. Koniec jego (ich?) świata

Przedświt, ostry chłód przewiercał wnętrze wieżyczki. Wszystkie wokół okienka pootwierane, a jednak Gabriel się pocił. - To nienormalne - szepnął. Odrzucił ołówek i dalej już pisał piórem. Jeszcze cisza, jeszcze nawet ptaki się nie obudziły. Tylko skrzywienie pióra sunącego po kartce.

Opowiedziałem mu o figuryńce Niepokalanej. Dlaczego? Z Wisieńką już nie poruszamy tej sprawy. My się nie boimy. Ale jest strach - i on podchodzi do czegoś, co nagle weszło między nas, rozpychając się strasznie!

Malarz nie wypytywał o szczegóły, zdziwiło mnie to niezmiernie. Czyżbym się mylił, mając go za człowieka prostego?

Pozowałem mu do portretu. Malując, w pewnej chwili zapytał: - Czy pan jest moralny?

Oślupiałem, ale tylko na chwilę, odpowiedziałem konkretnie: - Nie wierzę w cuda. A to w moim przypadku można uznać za postawę amoralną.

Malarz nie był zadowolony z tej odpowiedzi. - A może - mruknął, dłubiąc pędzlem przy moim oku malowanym na płótnie - a może amoralność to tylko pański pancerz. Taka konieczna ochrona?

Potem przychodziłem do niego jeszcze kilka razy; ostatnio, bliskiego skonu, ratował mnie, jak umiał. I uratował mnie. Odniosłem pierwsze zwycięstwo nad tym znękanym człowiekiem. ON SIĘ MNIE PRZESTAŁ OBAWIAĆ!

Gabriel z hałasem odsunął krzesło, podniósł się z cichym jękiem i kilka razy okrążył pomieszczenie. Zerwał się mocny wiatr, szarpał pootwieranymi oknami, świeżo zapisane papiery wirowały, jak tego chciał wicher, lecz Gabriel, nie zwracając na to uwagi, otworzył drzwi wprost na korytarz z krętymi schodkami. Nasłuchiwał. Żadnego szmeru.

Wrócił jak pokonany; dyszał, mokry od potu - tylko w koszuli nocnej. Pozbierał swoje zapiski, zasiadł do stołu, chwycił

najlepiej zatemperowany ołówek. Od tej chwili dopiero drżał z zimna, a jednak kropla potu toczyła mu się po nosie. Opadła na kartkę. Oddychał ciężko. Znow nasłuchiwał. Skok - i znow drzwi. Szarpnął. Nic. Pozostawił je półotwarte. Pisał:

Koniec z człowiekiem, na którego padnie choć cień podejrzenia. Ludzie z kręgu socjalnych demokratów odwrócili się od Korowskiej w jednej chwili. Uwierzyli lajdakom. Zważmy - lajdakom, którzy mieli władzę i którzy teraz - przefarbowani - również ją mają!

Dygotał półnagi, coraz bardziej się pocił. Złamał się rysik w ołówku. Sięgnął po ołówek następny, gorzej naostrzony. Kończył:

Nie dziwię się, że ona grozi, straszy zamachem rewolucyjnym. Nie dziwię się. Opuszczona przez wszystkich kobieta.

Nie spostrzegł nadejścia Wisieńki. Stała nad nim kompletnie ubrana - do wyjścia (do dalekiej podróży?). Wyjątkowo w twarzy miała więcej złości niż troski. Spytała głośno i bardzo wyraźnie:

- A co mówił lekarz?

Gabriel szczęśliwym trafem nie spadł ze stołka na podłogę, ale wyglądał jak człowiek, któremu tępą igłą właśnie przebito żołądek. Próbował się otrząsnąć, trochę przytomniej popatrzył na Wisieńkę.

- Gdzie masz koszulę? - zapytał.

- Jaką koszulę?

- Czemu nie jesteś w nocnej koszuli?! - wrzasnął płaczliwie.

- Wychodzę. Przecież kazałeś mi iść.

Otworzył usta - ale nic nie potrafił powiedzieć.

- Przecież ja ci już nie jestem potrzebna, Gabrysiu. Opejdzasz się ode mnie. Ciebie jest coraz mniej... dla mnie. - Wskażała na papiery, papiery, papiery. - Dla kogo to? Nie zwierzasz mi się już. Co ty robisz?

- Przecież właśnie ja od czasu tego mojego przeziębienia miałem wrażenie, że to ty mnie unikasz. - Spojrzał łagodnie i czule. - Ja tutaj wyczekiwałem.

Ujął jej dłoń.

- To nie ja - to lekarz ci powiedział wyraźnie, że nie masz prawa zarywać nocy. I co? - Odrzuciła rękę Gabriela.

- Ale ja - szepnęła - tylko w nocy mogę uzyskać jasność.

- To zostańże sobie z nocą. Ja odchodzę!

- Co? Tak bez próby porozumienia...

- Przez całą noc wzywałam cię myślami, Gabrysiu. Byłam pewna, że przyjdiesz. W życiu mi nikt nie sprawił większego zawodu. O pieniądze się nie martw. Na razie są wciąż nasze wspólne. Rozporządzaj. Nie musisz się krępować. Tak samo na nie zapracowałeś jak i ja.

Odchodziła tak, jakby za sobą rozrzuciła truciznę. I to ostatnie zdanie, z jakąż wypowiedziane kpina, cyniczne. Gabriel nie mógł złapać powietrza.

48. Coś za coś *albo* Znowu to samo

Była już tak bliska rygorozum. Gdyby nie to, dopięłaby swego. Jakim kosztem! Czy siedem lat temu, kiedy rozważali ze Stefanem swoje krok po kroku wspólne dalsze życie, zjawił się już na czyściutkiej kanwie kawałek tego cienia? Może tak, a może... Wtedy (kiedyż to było?) właściwie po kilkunastu tygodniach uniesień miała go dość. Nie tego się spodziewała po życiu z mężczyzną, po tym, o czym po kryjomu czytywała... głównie w myślach. Te myśli były lepsze niż literatura, do tego stopnia lepsze, że pożycie z pierwszym mężczyzną, z własnym mężem, człowiekiem już doświadczonym w tych sprawach, dostarczyło jej jedynie czegoś, co sama dla siebie nazwała namiastką satysfakcji. Już więc od początku było źle. Anka rwała się do życia, było jej żal samej siebie i żal tego krzepkiego Stefana. Siebie - że przyjdzie moment, kiedy się stanie występna.

Jego - że będzie przez nią oszukany. Już go oszukiwała. Nie to, żeby udawała orgazm (w tych sprawach wydawała się wręcz leniwa, egzaltacje zostawiała dziennym sprawom), nie; ale knuła.

Stefan był do tego stopnia w tych kwestiach krótkowzroczny (a może nie doceniał urody Anki, jej uroku), że to on pierwszy przytaknął projektowi jej dalszych studiów, jeżeli tak wypadnie, może nawet z dala od niego. Trudno powiedzieć, ile w tym prawdy (Anka się nie spierała), ale nawet kiedyś przekonywał, że to on dla niej wymyślił medycynę. Śmiała się: „Medycynę, być może, ale w twoich projektach jakoś nie było mowy o chirurgii”!

Mogła pracować po kilkanaście godzin dziennie po wykładach - czy to na dyżurach w szpitalu, czy w pracowniach bakteriologicznych profesora Ernesta - i nie czuła zmęczenia; była szczęśliwa, bez śladu tego uczucia znużenia, które, jak się okazuje, przynosiły jej przedtem niedzielne przedpołudnia i codzienne wieczory spędzane niby bezpiecznie u - jak to się mówi - boku męża. Już po tygodniu była pewna, że nigdy nie przyjdzie wydarzenie radosne - idealna chwila, kiedy usłyszy od tego człowieka coś niespodziewanego. Co ją porwie, co pozwoli jej może nie latać, nie szybować, ale na tę jedną znów chwilę się wzbić. Szerokie przestrzenie! Marzyła o nich; i niekoniecznie chodziło o powietrze. A w każdym razie nie tylko. Potem, w Krakowie, tym nieoczekiwanym, niespodziewanym było każde drgnienie na twarzy profesora Rolskiego czy w oczach docenta Felda, za jego okularami w złotej oprawie. Tu nie chodziło nawet o pocałunki, początkowo nie było mowy o łóżku, cóż, stało się, musiało się tak stać; tak jak musiało nadejść zetknięcie ze spiskowcami. Że w zbyt czerwonych barwach? O tym przekonała się trochę późno. Już była dromaderką.

A teraz, przecież w myśl obietnicy danej domowym, tam, w bryce, w podróży między Żółkwią a Lwowem, teraz, kiedy na razie już nie od niej zależą losy procesu o obronę czci, powinna była być właśnie i tylko przy dziecku. Upływały tygodnie - i co? Wypogadzało się. Tak malowniczego światła jesieni, wpełzającego

w stare mury i ogrzewającego je bananowo, pomarańczowo i wręcz do czerwoności, nie było w tych stronach od lat.

Chodziło jej po głowie - ba, żeby tylko po głowie - że związek z Galą nie ma przyszłości, czuła, że więź błyskawicznie wygasa. Koledzy, którzy wydawali się bliscy, opowiadali cuda o przywiązaniu Romana Gali do zamożnej i pięknej wdowy Potańskiej, o oficjalnych wizytach w dobrym towarzystwie i u matki tej nowej przyjaciółki. Ale właśnie wtedy, kiedy Anka zdecydowała się na wyjazd i miała bilet do Lwowa w tej kieszeni, w której się mieścił mały rewolwer, właśnie on, Gala, ach, samiec w godowych piórach! robił wszystko, żeby Ankę ponownie do siebie przyciągnąć. Nie tracił czasu na tłumaczenie się; tak jakby nic nie było. Wszystko dobrze, a nawet jeszcze lepiej. Czy piękniej? Wydawało jej się niekiedy, że tak. Śpiewał dla Anki specjalnie *ad hoc* wymyślane ballady, akompaniując sobie na gitarze, prosił, żeby do wtóru brzdąkała na pianinie. Zachęcał, żeby grała dalej, gdy żenował ją fałszywy akord, zabawiali się wspólnie z Mrukiem, który nawykły aportować pantofle pana, to samo szybko się nauczył robić z butami Anki. Roman zauważał i podkreślał z naciskiem, że Mruk nigdy na nią nie szczeka.

- A na kogo szczeka?

- Na wszystkie inne osoby, które tu nie mieszkają. Wiedziała, że to nieprawda, Mruk był psem nostalgicznym;

jeżeli wydawał głos, to wyl raczej, a gdy czekał na coś dobrego do jedzenia, pośpiewywał w wysokich rejestrach tenoru. Domyślała się, że staje się narzędziem w ręku swojego adwokata, czuła, że cierpi na tym nie tylko jej duma kobieca, lecz także honor, a jednak w dniu, w którym już nic nie powinno jej było zatrzymać, zostawiła bagaże w przechowalni dworcowej, podarła bilet i poszła do niego. Znow rozczarowanie. Teraz, gdy do niej przemawiał, gdy stroił miny i kiedy modulował głos, przypomniawszy sobie, że ten sam mężczyzna, czterdziestoletni teraz, sławny obrońca, nie tak znow dawno temu był, czy raczej był, aktorem w teatrykach prowincjonalnych. On mi tu

cygani jak ta lala, półcyrkowiec, psubrat, mówiła sobie, ale była już pod urokiem tego wypielegnowanego bandziora. Nie panowała nad sobą, wyznała, że jej mąż zagroził przybyciem tu, jeśli ona natychmiast nie wróci do dziecka.

- Przyjedzie tu i co?

- I zabije cię w pojedynku. Z nim nie ma żartów. Natychmiast pożałowała pochopnych zwierzeń. Gala zrobił

wielkie oczy, dławił się śmiechem, potem udawał, że został ranny śmiertelnie i że właśnie umiera. Nawet w tym momencie, kiedy przy nikłym, czerwonym świetle lampki pod tajemnym wizerunkiem Chrystusa, Romanowi oddawała się cała i jeśli nie bezwstydnie, to znaczy, że z miłością, zaraz potem, tuż przed zapadnięciem w sen, odzyskała pewność, że ma do czynienia z komediantem. Ze świadomością, że ona kome-diantką nie jest.

Świt; mglisto, jakoś niepewnie - ale obudzili się w jednej chwili z poczuciem, że między nimi na szczęście jest żar.

Na rozognione w pełnym uniesieniu, nagie ciała Anki i Romana Gali spadł jeden z dwóch wiszących od lat nad łóżkiem wieńców laurowych, ten z szarfą „Kochanemu Autorowi - Przyjaciele Sztuki”.

- Królu, kiedy napiszesz nową sztukę? - spytała Anka, strzepując kurz z piersi, ramion i szyi.

- Królowo! - Skrzętnie i dla przyjemności pomagał jej w odkurzaniu. - Królowo, dla jednego, dla dwóch przedstawień? - Z patery z owocami, stojącej na nachtkastliku, zupełnie bez sensu wziął ananasa, przekładał go z ręki do ręki. - Nie mam zamiaru spalać się na ołtarzu sztuki - mierzwił listki i kilka z nich urwał - kiedy potrafię nieźle żyć z innych talentów. Widziałś wczoraj Wyspiańskiego. No! Facecina już jak cień własnej tragicznej wizji wygląda.

- Jak upiór, ale..

- Wiem, wiem - przerwał jej szybko - genialny. Na razie może on żyć i pracować dzięki stypendium fundacji Wołodkowiczówny, zmarłej żony Sienkiewicza. Trzeci czy czwarty rok wnosi prośby o przedłużenie tego zasiłku dla niego i, wyobraź

sobie, dostaje, nie dbając o to, że inni artyści, i to jeszcze jak chorzy! są w o wiele gorszej sytuacji niż on. Tak, tak, wielki Wyspiański. Ale to jego interes, jego głowa, jego wreszcie sumienie. Talent, wielkie ojoj... A ja - pochylił się nad nią, leżącą albo bardzo swobodnie, albo bezwstydnie - ja, widzisz, na razie muszę walczyć z zawiścią ludzką. - Położył się obok, najdelikatniej gładził wszystko. - Słyszałaś o redaktorze Plemieńskim? Właśnie. Wszyscy go lubią, godny zaufania. Jeszcze do niedawna pisywałem do jego gazety. Specjalnieśmy się nie różnili w poglądach. Lecz kiedy ja okazałem się niby zbyt prawicowy, rozumiesz te, tego i owego, sympatie środowiskowe w Krakówku, on, żeby się mnie pozbyć, zaczął piętrzyć trudności. Na przykład nie chciał płacić za wcześniej zamówione artykuły. Rozumiesz, zamawiał, jak najbardziej, ja siedziałem, pisałem, biegłem, dostarczałem mu je, a on najpierw zwlekał, zwodził mnie, potem definitywnie nie drukował ich... ty wiesz, że on przy innych wmawiał mi w żywe oczy, że jestem natrętem! Nie pozostało mi nic innego, jak tylko wystosować i opublikować w innej gazecie list otwarty do niego. On zaś natychmiast podważył prawdomówność moich słów zawartych w tym liście, no, mówiąc między nami, pisany w uniesieniu, w rozgoryczeniu. Jednym słowem, fakty podane tam przeze mnie nie zawsze odpowiadały prawdzie...

- Co mam zrobić? - spytała omdlałym szeptem.

- Dziecko, Plemieński chce mi wytoczyć proces przed sądem Ligi Ochrony Czcii. Ma dobrych świadków. Wygra, pograży mnie - i wtedy, żegnaj wizjo kancelarii w Wiedniu, naszych długich wakacyj w Dalmacji jeszcze w tym roku...

Spojrzała uważnie na niego. „Z kim?” - zamierzała zapytać drwiąco. Rozejrzała się po sypialni. Miała wrażenie, że jeszcze wczoraj wieczorem w półmroku lampki nad tajemniczym wizerunkiem Chrystusa (portretem niewiadomego pochodzenia, który Roman zabrał z grobu własnego ojca) widziała oparte o wieko pianina gabinetowe zdjęcie innej kobiety - i to raczej nie byle aktoreczki, raczej, jak się wydaje, damy - dziś ani śladu, może więc nie warto tracić nadziei.

- Więc co?
 - Wystarczy, że pójdziesz do Plemieńskiego sama i w moim imieniu zaproponujesz mu ugodę.
 - Sama?
 - Sama. Zupełnie sama. - Patrzył z uznaniem na jej nagie biodra. - Żeby tylko się o tym nikt nie dowiedział, bo...
 - Bo jestem twoją klientką, tak, musiałabym być głupia, żeby rozgłaszać! Masz rację, panie lisu. - Chwycała ananas, który właśnie wypadł Gali z ręki. - Ja wiem, w razie czego będziesz miał argument... - pokiwała z niedowierzaniem głową.
 - Anko... - szepnął ze skrucą.
- Przełknęła ślinę. Powiedziała z cieniem na twarzy:
- Jak będziesz grzeczny...
- W pościeli kłębowisko. Na podłogę spadł najpierw wieniec laurowy, a zaraz potem ananas. Ananas wpadł w okrąg wewnątrz wieńca - i nawet jeśli nie było się z czego śmiać, zawsze to dodatkowa atrakcja dla oka.

49. Napaść

Stefan Korowski, cały czerwony, spocony, ze zmierzwionymi włosami i z szaleństwem w nagle wypukłych oczach - bliski ataku apoplektycznego - ze wzburzenia nie mogąc wymówić słowa, wyciągniętym przed siebie ramieniem z wysuniętym palcem, bladym na końcu, wskazywał wyjście, pokazywał drzwi służącej, której postać nadzwyczajnie kontrastowała ze Stefanem i z sytuacją, służąca była bowiem piękna w swoim poczuciu prawdy - tak, tak, piękniejsza niż kiedykolwiek. Schludna i gustownie ubrana, miała w rękach tekturową walizeczkę, a w oczach łzy.

50. Sitzredacteur to nie tylko funkcja

Nie wiadomo, kto nagle wyszeptał: - Ciiiszaa... - Zupełnie jakby drgnęło wewnątrz redakcji zasnuwane od miesiący niewietrzonym tytoniowym dymem.

Jak zwykle w kręgu światła wiszącej lampy gazowej Goldstock i Trybun siedzieli obok siebie przy ogromnym szerniałym stole - który nie ma prawa kiwnąć się ani na milimetr - czytając odbitki szcztokowe, porównując efekty pracy zecera po kilkakrotnie przez nich nanoszonych korektach. Przerwali pracę, naradzali się, ich szepty nakładały się na mechaniczne a stłumione odgłosy z drukarni. W głębi stołu kłębiły się te jeszcze wilgotne odbitki, a bliżej - złamane już kolumny do ostatecznej korekty. Oparty prawym ramieniem o zimny piec, z uginającą się pod stosami papierzysk półką nad głową, drzemał stary dziennikarz.

- A więc proces! - to on powiedział wyraźnie.
- Byliśmy przekonani, że pan spał! - zachnął się Trybun.
- Mów we własnym imieniu - uśmiechnął się do niego Goldstock. - Kto jak nie ja może wiedzieć lepiej, że pan Józef jest właśnie w jednej osobie tym, który śpi, i tym, który czuwa, żeby spać mógł ktoś.

- Pan Perpetuum Mobile?
- Ależ z ciebie to drugi Theodor Ernst Amadeus Hoffmann, który jako asesor sądowy w Poznaniu nadawał zamieszkałym tam Żydom takie właśnie znaczące nazwiska, tyle że karykaturalne, obraźliwie brzmiące, i były one zaraz potem zatwierdzone urzędowo! Poeta! Za karę władze go przeniosły do Płocka, tam chyba także się bawił. Do czasu, eh! - I Goldstock parsknął śmiechem: - Myślałem, że na zasadzie najprostszego skojarzenia powiesz: Szekspir! A ty na naszego pana redaktora Józefa tak z grubej rury: pan Perpetuum Mobile!... dobry z ciebie gracz, oj, dobry! - Zaraz niby spowaźniał: - Ja proszę, żeby mi więcej Trybun tak o człowieku pracy się nie wyrażał... jak o jakiej maszynie. Tak lekceważąco.

Stary dziennikarz miał swoje sprawy niecierpiące zwłoki.

Zebrał się prędko, nawet nie przetarł oczu. Z ręką na klamce oznajmił mimochodem:

- To źle, że proces.

- Przesada! - warknął Trybun. - Sprawa dzięki temu nabierze większego rozgłosu i...

- I po co wam taki rozgłos? Nie ma żadnych dowodów przeciw Korowskiej. I nie będzie. - Wskazał z troską na Goldstocka: - Wszelkie zło spadnie na naszego Emila.

- Jak tu nie ponosić ofiar, Józefie. Jak nie ponosić, gdy chodzi o sprawę? Ale cóż - jęknął tajemniczo Goldstock, zataczył ręką koło i zatrzymał je na postaci Trybuna - ale nie jesteśmy sami. Ofiary tu, ofiary tam, tak trzeba, do zwycięstwa! Ważne, żeby wszystko rozciągnąć w czasie.

- Z tego to ja już nic nie rozumiem. - Stary wcisnął na głowę szapoklak. - Głupio by mi było teraz się uczyć od młodych, a swoje już, w sumie ponad półtora roku, odsiedziałem w kryminalach za różne teksty pisane przez rozmaitych autorów, nie zawsze akurat po mojej myśli, ale zawsze związanych z naszą gazetą. Lecz cóż, sitzredacteur - taki mój zawód.

- No właśnie! Najmniej pan siedział za własne teksty - zauważył Trybun zaczepnie.

- Bo ja wyważam, panowie! Nie krzywdzić innych i oszczędzać siebie! No, idę rozjaśnić ciężki łeb.

- Po co tak chodzić - zauważył Goldstock. - Trzeba było posłać po tego sznapsa.

- Cóż - wzruszył się stary - w tym towarzystwie tylko ja piję. Szkoda paskudzić. - Puknął się w głowę, nacisnął klamkę, lecz jeszcze się zatrzymał, żeby spuentować: - A tę Korowską, demiurgi kochane, postanowiliście ani chybi zdręczyć.

Wyszedł, trzasnąwszy drzwiami. W tej samej chwili otworzyły się naprzeciw podwójne drzwi z przejściem do drukarni. Metrampaż, z wąsem tak bujnym jak u Trybuna i z bardziej niż jego papieros dymiącą cygaretką, z fantazją rzucił na stół odbitkę kolumny do drugiej korekty, wziął sobie do przeskładania poprawione szczołki szpalt, leżące w specjalnej drewnianej

przegródce, zniknął bez słowa, zamykając za sobą te podwójne drzwi. Wtedy Trybun rozpiął surdut, odsunął kamizelkę i znowu zademonstrował Goldstockowi śmiercionośną zabawką zwaną browning.

Goldstock nie wytrzymał i spytał: - A skąd ty czerpiesz takie bulwarowe sensacje?

- Że ona planuje zamach uliczny na mnie? Głos ludu, towarzyszu Emilu.

- Znowu ten student? - Goldstock wznosił palec do góry, szukał w myślach, znalazł: - Ten Bylewicz?

Trybun potwierdził skinieniem. - Jest ruchliwy.

- Za bardzo - odparł Emil Goldstock. Wstał, chodził. - Słuchaj, to ja będę miał proces, nie ty. I mnie powinno najbardziej zależeć na przegranej Korowskiej. Ale coś ci powiem - i daj mi znak w momencie, kiedy przestaniesz wierzyć, że to, co mówią, jest absolutną prawdą! Otóż, słuchaj: mnie nie chodzi o żadną tam jakąś kompromitację, ale o prawdę i o to, co się z nią wiąże - o elementarne poczucie sprawiedliwości.

- A walka o naszą sprawę?! - przerwał Trybun gwałtownie.

- Nie za wszelką cenę. - Goldstock sposepniał. - To ja siedzę w papierach - usiadł - a ty, to właśnie ty, Ignasiu, masz do czynienia z ludźmi. I wiesz, jak ja tak sobie siedzę i siedzę, i bardzo dużo myślę, to ostatnio zaczynam się bać, czy to czasem nie ty przerabiasz ludzi na papierową masę?

Trybun zgasił dokładnie papierosa w cynowej popielniczce - stłamsił pozostałości peta - wyciągnął z papierošnicy następnego, lecz nie zapalił. Gestykulował dla nabrania rozpędu, już coś zamierzał powiedzieć, lecz gestem w porę zatrzymał go Goldstock. Otwierały się drzwi.

51. Bez tasaka

Zachodziło słońce i pokój, czerwonawy z pomarańczowymi akcentami, przywodził na myśl nie domowe pielesze, lecz scenografię w teatrze. Stefan może także i dlatego nie mógł sobie

znaleźć miejsca pośród niewidzianego tam dotychczas nieładu. Talerze z daniami ledwo tkniętymi chyba przedwczoraj, puste filiżanki, szklanice, kieliszki, butelki, leniwe muchy, brudne sztućce.

Węszył, przetrząsał kąty, przetrzepywał miejsca za biblioteczką, za komodą, poodsuwał szafy - lecz tam, gdzie spodziewał się pajęczyn i kurzu, a wśród brudów być może ciekawego znaleziska, zastał nadspodziewany porządek, żadnych tam nawet zaszłości po poprzedniej służącej; grzebał we wszystkich możliwych etażerkach i szufladach. Nic. Nawet pusta okazała się butelka, w której wśród leków przechowywał spirytus.

- Musiałem to wytrąbić przy jakiejś szczególnej okazji, ale żeby już tak było, że nie pamiętam, no, no! - mruknął z jękliwą trwogą konającego z przagnienia.

Przeszedł, nie bez oporów, do kuchni. Tu dopiero okropnie! Roje much i muszek owocówek, smród z naczyń zalegających zlew, ogryzków, obgryzionych kości bydłęcych, łoju, frytury, zjełzalego masła. Podszedł do kalendarza. Zerwał cztery kartki, jedną po drugiej. Czołem oparty o ścianę, na której wisiał kalendarz, rwał te kartki na kawałeczki.

Spragniony alkoholu, resztką sił przystawił stołek do kredensu i począł buszować w głębiach najwyższej półki. Słoiki z rodzynkami, migdałami, z figami, skórkami cytrusowymi w syropie. W cukrze, w cukrze, nie w spirytusie! Wciąż stojąc na stołku, oglądał słoje, w którym było coś, czego do końca nie był pewien; zamyślił się w tej śmiesznej pozie, nieruchomy jak ten wieszak z pomnika, w rękach - zamiast pióra czy anioła poezji gotowego do lotu - dzierżył słoje: z daktylami? z chlebem świętojańskim? Machnął ręką, odstawił słoje - i wsunął całe ramię w głąb szafy. W twarzy nadzieja - bo brzęk butelek. To niestety aromaty do ciast, takie tam olejki, esencje. Otwierał, wachał, próbował; nic. I nagle - oto jest! Wyciągnął trochę większą flaszkę. Zgrabną, o kwadratowym denku. Otwierał ją i otwierał, jeszcze nie dowierając napisowi firmowemu „Rum”, bo niżej nagryzmołono kopiowym, poślinionym ołówkiem: „Do tortów i pączków”. Udało się odkorkować. Powachał. Tak jak

stał, upił dwa łyki. W butelce trochę więcej niż ćwiartka. Na razie dobre i to. Zeskoczył na podłogę.

Pobiegł, właściwie uciekł, do gabinetu. Tam już szarzało i tylko u dołu okna na horyzoncie świecił jeszcze kawałek czerwieni. Usiadł przy biurku, polerował swój ulubiony kieliszek nie całkiem czystą, ale własną chusteczką, uroczyście nalał sobie rumu, wyciągnął cygaro z drewnianego pudełka, naciął koniuszek, zapalił zapalną, od niej odpalił specjalną szczapkę żywiczną i zaczął ogrzewać cygaro...

...Tu, w tym domu, pięć dni temu, w stołowym, przemiłe śniadanie we dwoje. Ona i ja - na równych prawach. Jak mąż i żona. Na stole dużo kwiatów. Jak to było? Ona wyciąga rękę i dotyka mojej ręki po drugiej stronie stołu: - Teraz to chyba mogę ci coś powiedzieć, Stefanie. - A ja do niej (no, jak to było?): - Czynisz chyba cuda. Od lat nie czułem się tak wspaniale. - Patrząc na nią rozpromieniony i zachęcam: - Teraz możesz mi mówić wszystko. - I wtedy ona, o Boże: - Już wiem to na pewno. Jestem w ciąży.

Udławiłem się jajkiem na twardo, przybiegła z pomocą, odtrąciłem ją brutalnie, ruch sprawił, że kawałki jajka wypadły mi z gardła, rozbryzgnęły się.

To ja mówię: - Jak ty mogłaś mi coś takiego zrobić!? Ty mnie musiałaś ordynarnie z kimś zdradzać!

- Sam dokładnie sprawdzałeś - sam pan, znaczy się, sprawdzał - i sam pan się tak cieszył, że jestem prawdziwą dziewczicą... Musiałam nawet trzymać latarkę, żeby pan dobrze widział to moje dziewictwo. Pan się tego nie wyprze.

- Idiotko jedna! Widziałaś tu naiwnego? Wtedy, wtedy, dobre sobie, dziewictwo! Dziewictwo dopóki jest, to jest. Potem dziewictwa już nie ma. A jak ja bawiłem w Krakowie, a potem ze dwa razy we Lwowie, to dzięki mnie już od paru miesięcy nie byłaś dziewczicą. I ja wiem, ja mam może wiedzieć, z kim ta ciąża?

- Z panem, tylko z panem. Z nikim innym, nigdy! Ja jestem porządną panną...

Wybiegła, wrzeszczałem za nią: - Mam świadectwa lekarskie, że nie mogę być ojcem! Potwierdzone w sądzie! Dzięki temu uzyskałem separację z żoną! To przez nią ta moja niepłodność! Zupełna! Anka robiła politykę ze swoimi panami socjalnymi demokratami, a ja musiałem korzystać z usług prostytutki! Zaraziły mnie tryprem, te kurwy! Wszystko wyleczone, ale nasienie wytrute! I szlus!... Co ty wyprawiasz?

Ponad moje siły, ponad siły. Ona wkracza do jadalni z wielkim obrazem Matki Boskiej Częstochowskiej. Pada boleśnie na kolana z tym ciężkim obrazem w rękach i: - Przysięgam na Najświętszą Panią, że ino z panem Stefanem żyłam jak żona z mężem.

Co ja? Dlaczego? Zerwałem się, wzburzenie wzmagało się tak, tak, zrzuciłem wszystko ze stołu, i te świeże kwiaty. Ja, to ja, ja. Dopadłem obrazu, wyrwałem jej z rąk, trzymałem obraz przed sobą, jakbym się sam chciał Najświętszą Panią ochronić jak tarczą przed diabelską mocą. Wrzeszczałem do niej, klęczącej... Sam nie wiem, co wrzeszczę, tak szybko, prosto z gardła, zupełnie niezrozumiale i wreszcie słyhać (toja):

- Wszystko! Wszystko mi zawaliłaś! Wszystko mi zawaliłaś na świecie! Wynocha! Wynocha, won! Że też ciemnota Boga się nie boi... wynocha!

I płakałem. A ona, taka wysztywniona tam na podłodze, usiłowała podnieść się z klęczek.

Widzę: upada na podłogę. Widzę: znów próbuje się podnieść. Tego już nie wytrzymam...

Ocknął się, odrzucił pustą butelkę, cmoknął rozdrażniony mizerną dawką alkoholu i brakiem perspektyw, uderzył pięścią w blat biurka: - Piwnica! - krzyknął do siebie. - No jak! Że też ja tam jeszcze nie byłem! - Odsunął krzesło, podązał sztywno. - Mój poprzednik z namiestnictwa wina tam miał nastawione własnej roboty! Umarł, nie zdążył wypić!

W przedpokoju sięgnął za zasłonę, gdzie zawsze wisiały różne klucze. Macał, macał. Wyciągnął pustą rękę. - Taka niby porządna, a klucz zapodziała... A co tam! - Złapał tasak, był

akurat pod ręką. Zapalił lampkę naftową, rozjaśnił płomień. Zbiegał po schodkach jak ścigany. Tupotało i tu, i Stefanowi w głowie. Zamierzył się, ale jeszcze spróbował zwyczajnie. Drzwi do piwnicy ustąpiły. Nie były zamknięte na klucz!

Odrzucił tasak. Sapiąc, wszedł do piwnicy. Dalej, i teraz dopiero jeszcze niżej. Tu chłodniej. Kierował się w lewo, gdzie majaczyły półki z winami. Już, już wyciągał rękę - gdy nagle upadł, potknąwszy się o coś, co było zupełnie nieprzewidziane i miękkie.

52. Dialog z gestykulacją przy trupie

Ubrana jak na przyjęcie Anka wpadła prosto z ulicy na korytarz Krakowskiego Pogotowia Ratunkowego, gdzie było ciemno-żółtawo i unosiła się woń ludzkiego nieszczęścia. Na noszach pod ścianą jęczał ranny w wypadku, cały we krwi i w błocie; na drugich noszach ktoś nieruchomy. Na ławce naprzeciw siedziała sztywno i w trwodze dziewczyna; trzymała na rękach zawiąniętą z małutkim dzieckiem z obandażowaną główką. Trochę krwi prześwitywało, zamknięte oczy, żyłki na skórcie powiek. Niewidoczna w głębi kobieta darła się wniebogłoso. Z gabinetu zabiegowego siostra miłosierdzia wyprowadzała podpitego dorożkarza z ręką na szerokim szarym temblaku; w tym czasie ten ranny na noszach otwierał usta, na pewno chciał mówić, lecz zamiast słów wypluwał z ust żółtą ślinę. Tyle Anka zobaczyła, biegnąc do Bylewicza, który zamierzał przemknąć schowany za kornetem szarytki.

Anka dopadła go i: - Wyraźnie mnie unikacie!

- Mam dyżur za dyżurem - uśmiechał się głupio - słuchajcie... - W jednej chwili zaczerwieniła mu się skóra w okolicach żuchwy. Wprost ogień na tej bladawej twarzy. - Słuchajcie, biorę zastępstwa noc w noc, żeby jakoś wyżyć i wreszcie... ech, założyć gabinet gdzieś w Andrychowie.

- Założycie sobie, otworzycie... dlaczego akurat w Andrychowie?

- Ee tam... tam, te, tam w Andrychowie... bo tam mieszka moja ta, no... i właśnie...

- Słuchajcie, słuchajcie, dowiedziałam się, że z mecenasem Galą jesteście, kolego, od dawna w przyjacielskich stosunkach, więc jak to?

Ranny na noszach zaczął potwornie jęczeć.

- Czekajcie, czekajcie - i Bylewicz bez sensu przyłożył palec do ust - trzeba temu biedakowi dać kamfory. No, rękę ma w strzępach, ale... - Skinął na siostrę i tym samym palcem wskazał rannego: - Kamfory mu zastrzyknąć! - Gwałtownie pociągnął za sobą Ankę.

Znaleźli się w pomieszczeniu zalanym niebieskawym światłem, z trupem dokładnie zawiniętym w prześcieradła. Bylewicz zamknął drzwi, zza których, matowo oszklonych, przesączało się dodatkowo żółtawe światło z korytarza.

- Tylko tu trochę spokoju. - Oparł się o trupie mary. - No, słucham.

- Szukam rady. Niedługo zaczniesz się gadanie, że ja romanuję z Galą. To brednie. Bo to już nie romans, to miłość! Od nowych pomówień się nie wykręcę. W takim stanie nie stać mnie na to. Po tym, co mnie spotkało, już wiem.

Przez prześcieradła obmacywał - dla doświadczenia - sztywnejsze zwłoki.

- Więc? - spytał.

- Więc uważam, że powinnam poszukać sobie innego obrońcy.

Ręką, którą badał stan zwłok, dotknął ramienia Anki.

- Ha - śmiał się - romans, miłość! - Spoważniał, spojrzał wzrokiem oddanego powiernika. - Są pewnie i inne powody. - Tu już przesadził; na twarz mu wyskoczył, jak wysypka, ten jeden jedyny w świecie lisi uśmieszek, powszechnie noszony przez bliźnich: - O których mi powiesz?

- O których nie powiem.

- U Gali - Bylewicz zawiesił głos i uspokoił mięśnie twarzy - u Gali, tak, tak, u niego miłość i szantaż chyba znaczy niekiedy jedno... - Na jej pytające spojrzenie wybąkał ze spuszczoną

głową: - To jeszcze do klientki mecenasa nie doszło, że on zapowiedział w pewien sposób publicznie, bo podczas spotkania w szerokim gronie adwokatów, że natychmiast wycofa się ze sprawy, jeśli otrzyma choćby ślad dowodu na współpracę klientki z ochroną?

- To nie jest... to...

- Co?

- To klincz!

- Klincz i lincz. - Poprawił prześcieradła na trupie, objął Ankę i wyprowadził ją z tego pomieszczenia na żółtokrwawy korytarz. O mało nie wpadli na sanitariuszy pędzących do sali operacyjnej z pacjentem w krwotoku na noszach. - I co? I co? - zapytał z jawną zawiścią: - Jeszcze go kochasz?

Wyrwała mu się, pomyliła kierunki. Właściwie już nie wiedziała, dokąd ma iść. Teraz jej była potrzebna piąta strona świata.

53. Tak

Leżał na tym czymś miękkim i prężnym. Nie wypuścił z ręki lampki; z dołu światło padało upiornie na trzy rzędy butelek. Długie cienie sprawiały wrażenie, że szyjki butelek się rozszerzają. Jeszcze niczego nie wiedział na pewno, ale usłyszał spokojny, równy głos dziewczyny:

- To ja.

Zatrzęsły się cienie butelek w coraz bardziej filującym świetle lampki.

- Zrobiłem ci coś złego?

- Że pan na mnie upadł? Nie, nie.

- To przez cztery dni tutaj siedziałś?

- Nie jestem w ciąży - powiedziała cicho.

- Co ty zrobiłaś? - Zerwał się w przestraszu.

- Taka jestem, jak byłem - odparła.

- Jak mogłaś? Sprowadzę lekarza!

- Ty jesteś dobry... Nie trzeba lekarza. Nic się nie stało. Czas przyszedł na mnie później.

- Kiedy?

- Wczoraj rano dopiero. I z nikim innym nigdy się nie kochałam, z nikim innym nie spałam, tylko z tobą. Nikogo innego nie kocham.

- Przepraszam.

- Nie trzeba. Żona ma być uczciwa.

- Skąd wiesz, że ja też tak myślę... że żona? - wyjąkał wzruszony. - Żona. Ja cię zaraz poproszę o rękę. Tylko mi powiedz na ucho, jak masz na imię.

54. Na ulicę!

Wyszminekowani aktorzy grali przewesołych mularzy z Krowodrzy w wodewilu na scenie Letniego Teatru w Parku Krakowskim. W ustronnej loży - w jednej z altan przyległych do widowni - Gala, zajęty manualną penetracją intymnych stref pani Korowskiej, zduszonym szeptem wydał instrukcję: - Jutro pójdziesz do Plemieńskiego niezapowiedziana. Tam każdy może wejść.

- Ale nie tu! - i zwarła uda.

- Dobrze, już dobrze, he he! Więc?

- Pójdę po tę ugodę. Jeżeli tylko po ugodę... No coś ty, Roman, nie tu!... Pójdę, ale tylko po ugodę. Oou!

Dyszząc odpoczywali. Gala uporządkował ubiór, zapiął roz-porek i niby to jeszcze wygładzał sfałdowany aksamit sukni Anki. Jego palce, jak namagnesowane, podchodziły wyżej, wyżej i zapuściły się w głąb. Zszokowany, wyciągnął zza jej stanika rewolwer.

- Schowaj go natychmiast tam, gdzie był! - krzyknęła gwałtownie.

Natychmiastową reakcją był ryk śmiechu w pobliskich rzędach i skrzypienie foteli w łóżach.

- Nie brałam ze sobą torebki - szepnęła Gali do ucha - w majtkach go też nosić nie mogłam, jak się okazuje. Może ty powinieneś zostać śledczym?

- Zostać? Zostaniesz u mnie... dziś po teatrze, prawda?

- Oczywiście! Rzecz jasna, dla własnej wygody. Ze Sławkowskiej dwa kroki do Plemieńskiego. No - zaśmiała się ci-chutko - no i mój pan i śledczy stanie sobie w oknie, zobaczy stamtąd, jak wchodzę do bramy redakcji Plemieńskiego...

- I jak tam długo zabawisz - dorzucił.

- A co? Nie ma drugiego wyjścia od strony Floriańskiej?

- Jest, ale zamknięte na głucho.

- Śledczy! Detektyw, psiakrew!

- Przyjaciel.

Całkiem ubrana, obudziła się w łóżku obok mecenasa Gali, który w piżamie i pod kołdrą spał - niepodobny; bez na co dzień przyklejonego uśmiechu. W rękę trzymał szklankę do połowy wypełnioną wodą (zamierzał wypić i tak zasnął). W ogóle pili. Wyjątkowo zupełnie i z imitacją wykwintu. No tak, butelka po tańszym szampanie. Zszokowana, próbowała się wziąć w garść: najpierw zajęła się wyciąganiem szklanki z ręki śpiącego. Patrząc na jego poważną twarz, uśmiechnęła się z wyrachowania. Właśnie obudził się. Zobaczył Ankę, zakrył usta ręką. Odsłonił je niebawem - i już miał na twarzy ten swój uśmiech!

- Nie wiem - zawahała się, zbladła. - Tak sobie pomyślałam, że mogę dla ciebie dużo. Trzeba ci pomóc, boś zbladził. - Spojrzała za siebie i zaraz potem znowu na leżącego. - Romku, ale ja mam jeszcze oprócz tego wszystkiego męża. On ma honor. Dumę ma, musi ją chronić, wiesz. Mogę dla ciebie... dla ciebie dużo. Dużo. Dużo mogę. Ale iść do Plemieńskiego? Pertraktować? Człowieku, to pułapka! Czy ty tego nie widzisz? Dla mnie - dla mojego męża, dla dziecka mojego także - to samobójstwo!

Poderwał się wystraszony.

- A dla mnie sprawa w sądzie Ligi, gdyby się miała odbyć,

to samobójstwo! - Zachrypl, chrząkał, wydobył z siebie bulgot: - Myślałem, że coś nas łączy, że mąż twój już na drugim planie, jak moja żona dla mnie, a ty...

- Co ty mówisz? Kocham cię bardzo. - Wyciągnęła rewolwer. - I dlatego nie będziemy komplikować. My teraz wspólnie popełnimy samobójstwo.

Sztywnym ruchem ręki dał jej znać. - Jeszcze nie teraz. Jak w hipnozie upychała rewolwer w to swoje tajemne miejsce między gorsetem a ciałem.

- Na to mamy czas, Anko. Przeciw nieszczęsnemu Goldstockowi, brzydko podpuszczonemu przez Trybuna, proces urzędę pokazowo. Już to widzę! Ty musisz być kryształowo czysta, kiedy będziemy umierać. - Wstał z łóżka. - A i ja - dodał z naciskiem - nieruszony przez żadnego szmatławca!

Padła na szezlong. Gala osłupiała - takiej jej jeszcze nie widział. Głowę opuściła na piersi, twarz zasłoniła ramionami splecionymi na krzyż. Mruk przypadł do niej. Lizął jej włosy. Gala, w piżamie w seledynowe paski, omijając pianino, poprzez gabinet wycofywał się z sypialni. Uderzył głową o boczną lewą futrynę drzwi do kuchni.

55. Nie ma żadnych dowodów

- Zwycięstwo, panowie, zwycięstwo! - Do redakcji „Mar-szu” wpadł z hukiem Plemieński, porządny facet, trzydziesto-pięcioletni barczysty blondyn. Rozproszył dymy papierosów i fajki, które dotychczas przysyłaniały gaworzących Trybuna i starego sitzredacteur. - Panowie, ja właśnie wracam ze spo-tkania z panią Korowską!

Trybun aż się poderwał. Stary - przeciwnie - osiadł.

- Z panią Korowską, tak, tak, z Anną Korowską, która - nie do pomyślenia! - proponuje mi ugodę w sprawie honorowej w imieniu me-ce-na-sa Gali! To, po pierwsze, dowód, że Gala czuje się winny, a po drugie - jego mediatorką kto? Mediatorką klientka! Panowie! I to jaka klientka!

Z drukarni wyłonił się Goldstock. Słuchał, stał między podwójnymi drzwiami. Zamknął drzwi, tym samym wytłumił szum maszyn, dorzucił z radością:

- Nie byle jaka klientka!
- Hi, hi! Kochankę swoją mu przysłał - zaśmiał się stary.
- Kobietę szpiega przysłał - powiedział Trybun. - Bezczyść ma pewne granice. Towarzysze, za jakie pieniądze ona drugą, a raz nawet pierwszą klasą do Wiednia i do Warszawy jeździła? Z jakich to pieniędzy urządziła dla nas niezapomniany bankiet w Zakopanem? A te stroje? Przecież od roku przestała nawet dawać korepetycje, bo...

- Spokojnie - przerwał Goldstock. - Wiemy, że dostała duże odszkodowanie od Kolei, więc jednak nie zaperzaj się, Ignas, tak, tak, znaczy towarzyszu Ignacy, nie możemy być aż tak posępni, tak niesprawiedliwi...

- A do tego - zarechotał, wywijając złapaną w locie fajką stary dziennikarz - dodajmy pieniążki od naszego kochanego Władysia ginekologa i wtedy dopiero zaczniemy rachować. - Popatrzył bystro: - Trzeba by - hi, hi! - do Reutera zatelegrafować, bo pierwszy to w świecie przypadek, że ginekolog płaci swojej pacjentce.

- Skąd pan wie? - spytał Plemieński.

- Ma się ten wywiad. Cóż, z zawodowego nawyku. A informator - obrócił głowę - to ten sam, co twój, Ignasiu: Bylewicz. Lubię się wciąż jeszcze od czasu do czasu pobawić ludźmi. A ten Bylewicz zostanie ministrem, jeśli go wcześniej ktoś nie zatłucze, śmierdziela. On, ten Bylewicz, poza tym...

- Nie ma żadnych dowodów, że Korowska dostała odszkodowanie z Kolei - ostro mu przerwał Trybun. - Nie ma też konkretnych dowodów, że ona pobiera apanaże od przyjaciela.

Stary dziennikarz (ten zadymiony fajką, stonowany jak muzealne malowidło, sitzredacteur) z uśmiechem podszedł do Plemieńskiego, poprawił mu kołnierzyk i wyszeptał badawczo:

- A teraz, kochanieńki, powiedz, no, powiedzże mi tu, przystojniaczku, kto był świadkiem twoich mediacyj z Korowską?

- O tej porze w mojej redakcji jestem zupełnie sam. Normalnie w tym czasie piszę felieton, muszę mieć spokój i nie przyjmuję interesantów, ale tym razem...

Stary klasnął raz a ostro.

- No, to nie ma żadnych dowodów! - Z satysfakcją spojrzął na panów, którzy zapomnieli języka w gębie. - A więc bijmy pianę i smacznego, Ignasiu! W myśl twojej logiki spotkanie redaktora Plemieńskiego z panią Korowską odbyć się nie mogło - z braku świadków, z braku dowodów, rzecz jasna. Albo mogło się odbyć, a i owszem - ale wyłącznie w wyobraźni pana redaktora Plemieńskiego. Fotografą bowiem przy tym nie było, moi panowie! No? I kto tu jest trzeźwy jak świnia?

56. Przybysze

- Przeczytaj mi to, doktorze. Albo tak, tak, zastrzyknij mi ten specyfik przeciw bólom i dopiero wtedy przeczytaj. To wczoraj było? Którego to dziś mamy? A! Czwartego lipca. Rok tysiąc dziewięćset ósmy. Ładna data. Nikt mi nie może tak opowiedzieć, jak opowiadała mi ona. A ja - roztrwonilem...

Lekarz przerwał Gabrielowi i czytał:

- „Po południu przechodnie znajdujący się na ulicy Dunajewskiego i okolicznych Plantach byli świadkami dość niezwykłego zjawiska w Krakowie. Około godziny czwartej po południu od strony północno-zachodniej ukazała się wielka chmura owadów, zbliżająca się z niezwykłą szybkością do Krakowa. Chmura ta przeciągała ponad miastem przeszło kwadrans, po czym część owadów opadła na Planty i niektóre ulice miasta. Opadłe owady miały wygląd ważek: przezroczyste, zielonkawe skrzydełka, krótki tułów i silnie wydłużony odwłok. Przelot ławicy owadów wywołał w Krakowie, ze względu na wyjątkową rzadkość zjawiska, usprawiedliwione zaciekawienie”.

Gabriel wydał krótki bolesny jęk.

- Opadłe owady - mruknął lekarz.

57. Słoneczna topielica i półnaga prawda

- Przez telefon się nie da, musisz mimo wszystko przyjechać, nie martw się o namiestnika, najprawdopodobniej i tak nie uzyskasz tej nowej posady, a na razie wybij sobie z głowy awanse, myśl rozsądnie, pogorzelec, gdziekolwiek się zjawi, zawsze przyniesie ze sobą dym, teraz wszystko przeciwko nam, a prasa, wiadomo, to władza. Tyle ci tylko na razie mogę powiedzieć, że mecenas Gala po twoim wyjeździe długo się zastanawiał i w końcu przyszedł taki moment, że zwolnił akta.

- Zwolnił akta? Cholera! Do kogo by teraz? Jakoś nie widzę!

- Zwolnił akta, bo, mówił, z partią trudno będzie wojować. Partia, jak zwykle, podstawia fałszywych świadków, krzywo-przysięzców, którzy zaraz po procesie uciekną za granicę. Oni tak zawsze robią, tak było, sam wiesz, w przypadku napadu na ten kiosk w Nowym Targu. Socjalik przysięgnie na krzyż, co mu tam. No. W końcu Gala namyślił się, z powrotem wziął akta, powiedział, że zaryzykuje. Postawił propozycję, a właściwie warunek...

- Chwileczkę, nie zapominaj, złotko, że ja cię oddałem adwokatowi Gali na badanie, jak lekarzowi. Wszyscyśmy się przecie zrozumieli, czy nie tak? Z pełnym zaufaniem do przyjętych przez niego nowoczesnych metod analizy.

- Przyjeżdżaj. Przez telefon nie można.

Gdy przybył, odwykły od miejskiego kurzu, dymu i odgłosów zgiełku, zupełnie w dodatku trzeźwy (po wyjściu z pociągu w barze przepłukał tylko dokładnie usta śliwovicą, po czym wszystko to wypłuł w toalecie), poczuł się w mieście niepewnie.

- Czego ode mnie oczekujesz? - zapytał, bo sobie wymyślił, że tak właśnie powie, gdy się spotkali, jak było to umówione, na Plantach, na ławeczce opodal wzgórzka z pomnikiem Jadwigi i Jagiełły.

Zdziwił go jej spokój, zatrwożyła pewna szlachetna wyniosłość (wszak to on miał być wyniosły), a w zupełne pomieszanie wprawiły słowa żony:

- Gala mnie kocha.
- A ty? - zdołał jakoś po chwili wybąkać. _ prawdopodobnie.

Nie mógł złapać tchu. Sięgał po coś. Nie miał jednak czegoś, po co mógłby sięgnąć.

- Mam rozumieć, że prawdopodobnie go kochasz? Skinęła głową.

- Jak ja mogłem? Uwierzyłem draniowi! Powinienem był ciebie strzec! A nie, jak głupi, stawać na głowie, żeby bijąc głową o mur... co ja mówię. No, po com jechał do Lwowa? Papiery mam, wykształcenie odpowiednie i staż, ale na sekretarza Uniwersytetu wzięli takiego jak ja, tyle tylko, że z czystą kartą. Tamten nie ma powiązań z socjalikami, nie ma żony dromaderki ani wyroków partyjnych w rodzinie! To co, co teraz mam tutaj zrobić?

- Jeżeli cokolwiek, to - rozejrzała się - to jeszcze nie teraz. Ja wiem, że to już nie przelewki. Spróbuj tutaj, jak chciałeś, zorientować się co do tej posady kustosa, oczywiście wątpię w skuteczność, choć trzeba kołatać, żeby nie przespać okazji, ja mam jeszcze parę spraw.

- Jakich spraw?

- Nieważne. Nie będziesz mnie włócił ze sobą po biurach i bibliotekach. Spotkamy się o szóstej wieczorem koło mostu Podgórskiego na Wiśle.

Odwróciła się na pięcie. Ona, żona jego. I on nie miał sił, żeby się przeciwstawić!

Dostał napędu, w Bibliotece Jagiellońskiej nie ustawał w wysiłkach, żeby zrobić jak najkorzystniejsze wrażenie, wszędzie jednak rozpękał się na pół jak figura wyrzeźbiona w niedoschniętej lipie, kiedy padało nieodwołalnie pytanie o ewentualne powiązania z osobą tego samego co on nazwiska, z Anną Korowską. Więc... Nic nie jadł, chodził pieszo, zakurzony wstępował do knajp, pił tylko herbatę, notował coś zawzięcie na serwetkach i w małym zeszytce pozbawionym okładek. Na czas podreptał do mostu.

Było ciepło, ale nie parno. Czekala już na niego, w pomarańczowej narzutce.

- Czemu nie odsłonisz woalki?

Wskazała na niebo. Słońce nisko, ale będzie zachodzić może za jaki kwadrans. Nad nimi, wysoko, gęste, splątane gałęzie i dostojne liście akacji, jesionów i wiązów pierwszych dni października. Wzięli fiakra i jadąc przez most na drugą stronę Krakowa, słyszeli jeszcze, jak woda Wisły niesie głosy ptaków sadowiących się do snu na gałęziach drzew, które zostawiali za sobą. Drzewa oddalały się, głosy ptaków szły wodą, wydawały się donośniejsze. Stefan z głupim, radosnym zdziwieniem skonstatował, że zarzutka na barkach żony ma w tej chwili identyczny kolor jak słońce bliskie zachodowi - i to nie rzeczywiste, lecz to tu, niżej, odbite w wodzie. Zarzutka i słońce zlewały się w jedno. Słoneczna topielica - zdążył pomyśleć - mnie wciągnie. Z zadumy wyrwała go cisza. A, to konie stanęły.

Spacerowali po Rynku Dębnickim; powstający, jeszcze w rusztowaniach, masyw kościoła Świętego Józefa wieńczył czerwonym neogotykiem obszerny plac zabudowany stuletnimi żółtawoszarymi kamienicami. Cisza. Upewniwszy się, że z drugiego brzegu Wisły nikt ich tu nie wytropi, trzymając się za ręce przeszli w bok i rozpoczęli spokojny spacer (rewolwer w kieszeni spodni szybkostrzelnego Stefana miał być gwarantem bezpieczeństwa). Z podejrzanej uliczki z zapuszczonymi, wymyślnie kleconymi domami i znanymi tylko gawroszom zakamarkami podwórców i piwnic, nim zmrok zapadł, skręcili w bok i szli ku górze wytyczanymi od niedawna alejkami parkowymi; tu więcej przestrzeni - poza tym wydawało się jaśniej, bo z lewej strony potężny na kilkadziesiąt metrów masyw jurajskiej skały. Idąc zakosami, dotarli na samą górę. Krzemionki - stąd rozpościera się panorama Krakowa; sine, w przebłyskach srebrne, zakole Wisły, dachy domów, nieliczne jeszcze światelka w oknach i czerniejące na złotym tle horyzontu wieże kościołów i nowszych reprezentacyjnych kamienic.

- To tam - pokazała Stefanowi coś, co w zapadających

ciemnościach wyglądało na teatralną dekorację, wciśniętą w dwie grupy spiętrzonych drzew. Otworzyła drewnianą furtkę z wprawą domownika (zasuwka była od wewnątrz, od strony ogrodu), zasunęła ją na powrót, zapuszczoną ścieżką pośród chaszczy i rozbestwionego chruśniaku szli ku, jak się okazało, ruinie czegoś, co kiedyś było może dworkiem, a teraz pełniło rolę domu zajezdnego - dla wtajemniczonych. Milczący gospodarz poznał snadź Ankę, wskazał im miejsce przy okienku od strony podwórza. Przez okno z maleńkimi kwaterami o szybach wyczyszczonych tylko w samym środku widać było dwa duże żółte psy, odpoczywające spokojnie.

- Co to jest? - spytał Stefan.

- Miejsce, gdzie sobie możemy spokojnie porozmawiać do woli. Potem, kiedy zechcemy, odwiozą nas.

- Czyżby? A w ogóle kto to?

- Powiedziałam ci, tu jest bezpiecznie.

W przestronnej, ciemnej sali nie byli sami, ale nawet odgłosy rozmów nie docierały z pogrążonych w półmroku grup innych gości. Gospodarz przyniósł łojówkę i miedziany dzban, pamiętający pewnie dworzan Zygmunta Augusta; nalał im malinowego dwójniaka do cynowych kubków i odszedł, pozostawwszy z dojmującym aromatem trunku. To wszystko.

- Czy jesteś pewna, że kochasz Galę?

- Nie.

Odetchnął.

- Powiedziałam, że prawdopodobnie go kocham.

- Skąd masz pewność, że Gala cię kocha?

Pozwoliła sobie nie odpowiedzieć. Z nutą pretensji oznajmiła:

- Gala jest naturą w pełnym tego słowa znaczeniu poetycką.

Chwycił kubek, powąchał miód, nie mógł sobie odmówić uznania dla zapachu mruknięciem i szepnął:

- A ja nie. Nawet jak sobie dobrze popiję, nie bawię się w wiązanie słów, słówek. A dla ciebie poeta - he, he - to zaleta.

- Gala poza tym to mistyk.

- Znowu twoim zdaniem zaleta. Wiesz, jak nienawidzę mistycyzmu. Zalatuje mi to smrodem wychodków za cyrkiem!

- Gala wyznaje buddyzm, jego dążenie do nirwany...

- Ha, ha, ha, złotko, nirwana, mamona, u niego te pojęcia funkcjonują zamiennie. Starego wróbla na końskie gównu, nie, nie, mnie się nie da zbyć byle czym, niestety, żono, zauroczył cię jako chłopisko, mężczyzna, jeśli wolisz, no, kurwa, samiec.

- Pijak. Ty jesteś pijak. Tracisz głowę po pierwszym kieliszku. Żal mi cię, Funiu.

- A siebie ci nie żal? Żeś wpadła w podwójne sidła? Tych tam i jego?

- Uważam Romana Galę za... - rozejrzała się wokół... - Nie! Powiem ci wprost: uważałam go za idealnego człowieka o niezwykłym umyśle. Tak, pokochałam go! - Obejrzała się znowu, tym razem za siebie (Stefan bezwiednie powtórzył jej ruch). - Tak! Na swoje i twoje nieszczęście. Bo teraz przekonałam się o jego obłudzie. Nie mam już wątpliwości, że to zwykły oszust...

- Mówisz tak teraz, tu, bo ja jestem.

- To nie ma żadnego znaczenia. Przyprowadziłam cię tutaj, żeby się zwierzyć. To było nie do wytrzymania. Tylko tobie, mężczyźnie, którego przestałam kochać, ale który był i pozostał moim przyjacielem, mogę się zwierzyć. Jesteś jedynym człowiekiem w tym mieście, któremu ufam, rozumiesz! - Odepchnęła jego rękę. - Tylko nie to, nie, nie, bez czułości, bez lepkich myśli prześcieradlanych! Ja jestem już u kresu wytrzymałości i żadne damsko-męskie sztuczki tu nie pomogą. Zjawileś się w samą porę.

- Oto przybywam i zastaję cię na skraju rozpacz.

- Dobrze mówisz. Skiń na tego pana w fartuchu, on ci przyniesie drugi dzbanek miodu. Nareszcie coś zrozumiałeś. Jednak alkohol coś dobrego w tobie otwiera, odkręca ci taką zardzewiałą śrubkę. Przez jakiś czas jesteś nawet dorzeczny. Potem głupiejesz. Przepraszam. Jesteś w stanie przyjąć moją deklarację?... Więc tak. Dobrze. Nie kłękaj.

Gospodarz niemal niepostrzeżenie wymienił dzbany.

- Mężu, ofiarowuję ci własną śmierć.

Spojrzał na nią sztywno i odpowiedział natychmiast:

- Twoja śmierć byłaby na rękę socjalikom, socjalistom i komunistom.

Jej twarz zrobiła się bielsza niż kreda; nie dało się ukryć, że przez tę kobietę przeskoczyła jak iskra myśl: „i ten już mnie nie kocha”. I oparzyła ją. Po takiej deklaracji najmniej spodziewała się takich słów. I to od trunkowego.

To jeszcze nie wszystko. Stefan otarł usta białą wykrochmaloną chusteczką i powiedział spokojnie:

- Twoja śmierć, Anko, bez śmierci Gali nie będzie dla mnie żadnym zadośćuczynieniem.

Co się stało z tym safandulą? Krew odpłynęła jej z twarzy. Myślała, że wysuszy ją żar w brzuchu, docierający do płuc, zatykający krtań. Zakasłała, wolno przychodziła do siebie. Nie mogła wyjść z podziwu, patrząc, jak Stefan wlewa sobie do gardła mocny rozgrzewający trunek, jakby po prostu wodą gasił płomień pragnienia. Jakby pogmatwały się czasy i kierunki. I jak on patrzy na nią przytomnie. Bez miłości, bez żalu, bez udręki. Z żądzą zemsty? Też jakoś nie. Takim go nigdy nie widziała, nie przyszło jej na myśl, że może być nieszczęśliwy.

- Żądam od ciebie dotrzymania trzech warunków. W innym wypadku przestaję ci towarzyszyć i nie będziesz mogła na mnie liczyć. Zresztą, w świetle prawa...

- Jakie to warunki?! - niemal krzyknęła.

- Po pierwsze: przeprowadzisz proces z Goldstockiem. Po drugie: złożysz rygorozum. Po trzecie: Galę odstąpisz mnie!

58. Zero

Bylewicz (ale dlaczego ni to w malarskiej, ni w tercjarskiej pelerynie i w mocno wciśniętym kapeluszu z szerokim rondem, zacieniającym pół twarzy?) pólleżał na ławce pod kasztanowcem u zbiegu ulicy Dunajewskiego i Plant.

I obserwował.

Z widokiem na odsłonięty kilka lat temu pomnik Artura Grottgera - z głową i z, powiedzmy, półpopiersiem artysty odlanymi w spżu, a niżej ze spżową kobiecą postacią wijącą się w nieprawdopodobnych z pozoru konwulsjach, w założeniu komitetu i twórcy trwającą na zawsze w najwyższym patriotycznym uniesieniu. Grottger, sławiący narodowe zrywy, zgasł młodo na gruźlicę w cztery lata po powstaniu styczniowym, pomnik wystawiono grubo ponad ćwierć wieku później. Duch dziejów, a siła mody. Secesja, choćby w najdoskonalszych przykładach, nawet mimo woli zakpi z historycznych świętości, zrywy patriotyczne zamieni w płasy pacjenta w pidżamie, który się wplątał w malignie w *dance macabre*.

Bylewicz także w coś się wplątał. Przebrał się jednak z rozmysłem.

Mgły; żółte, pomarańczowe, krwiste, fioletowe liście na drzewach i zszarzałe już - pod stopami. A oto Gala kroczy zdecydowanie, w jasnym ubraniu, w koszuli z miękkim kołnierzykiem, zgodnie z najnowszą modą, w meloniku i z cieniuteczka laską. Zdążyła na wprost, od strony Wawelu. I jemu, i komukolwiek trudno byłoby zwrócić uwagę na Ankę, omotana bowiem w wytworne szarości, a nadto w rudawożółtym kapeluszu, idealnie do tej chwili wtapiała się w otoczenie jak z młodopolskiego obrazu pod tytułem, powiedzmy, *Planty we mgle - jesienią*. Lecz ktoś to płótno gwałtownie rozerwał. Aha! Anka wstaje z ławki i wpada dokładnie w objęcia Gali.

Ten zeszywniał, ale nie całkiem, bo zaraz jego głowa obraca się w jedną stronę i w drugą - czy ktoś nie widział, czy nie obserwuje? Przebrany Bylewicz się nie liczył; był jakimś ciemnym, leżącym na ławce kształtem, żywym lub martwym, w każdym razie nieważnym, złożonym ze szmat i niezłego kapelusza, być może ukradzionego artyście wracającemu nad ranem pod niezłą datą. (Bylewicz powie później, że w tym momencie Gala wyglądał może niekoniecznie jak kukła, ale na pewno jak złowieszczą figurą kultową). Anka zdaje się tego nie wyczuwać; przytula Galę z takim poczuciem bezpieczeństwa, tak

niewymownie ciepło i miękko, jakby to wszystko nie działo się w miejscu publicznym, lecz w sypialni, do której nikt nie zapuka przynajmniej do południa następnego dnia.

- Nareszcie! - I w pomieszeniu (mecenas bowiem zdecydowanie uwolnił się z objęć): - Roman, Romku, co się stało, mój Romku?

- Nie byliśmy tu umówieni - mówi i z wściekłością wrywa swój rękaw z jej ponownego, już rozpaczliwego uchwytu. Znacznie przyspiesza kroku.

Anka na razie straciła energię. Już nie może biec za nim.

Nazajutrz także w jesiennej scenerii Plant, ale blisko własnego mieszkania, Gala wychodził właśnie z secesyjnego Pałacu Sztuki.

Mżyło, ale niezdecydowanie; wyglądało na to, że się przejaśnia; można się było nawet spodziewać słońca... jak wczoraj.

I w pobliżu znowu przebrany Bylewicz. Nikogo nie raził ten, jak się okaże, wnikliwy obserwator, okręcony peleryną i w czarnym kapeluszu, stojący w bezpiecznej odległości naprzeciw kilkunastu schodów (różni artyści tam się bowiem kręcili bez przerwy), który tłumił śmiech na widok twarzy Gali przez chwilę widniejącej na tle napisu ZERO.

„Zero” to nazwa grupy próbującej rozbić monopol wszechwładnego stowarzyszenia polskich artystów „Sztuka”; członkowie grupy „Zero” właśnie mieli wystawę - i z plakatu wylaniało się zero niby karykaturalna aureola nad głową Gali.

Lecz to był dla zamaskowanego Bylewicza zaledwie przedsmak. Bo oto za Galą woźny zamknął ciężką, czarną, kutą w metalu bramę z kwiatowymi, lecz przytłaczającymi, choć pewnie mającymi budzić szacunek gościa przybytku sztuki motywami funeralnych palm, liści laurowych i lilij... W momencie kiedy Gala, mając za plecami lite metalowe odrzwia już zatrzaśnięte, zatrzymał się u szczytu kilkunastu schodów, zastanawiając się snadnie, czy warto rozpostrzeć parasol, Anka, która stała u podnóża i stamtąd go wypatrzyła, nie pobiegła po tych schodach (bo znalazła czas na idealną teoretycznie reakcję),

lecz podfrunęła do Gali jak ptak. (Spełnił się, czy miał się spełnić, jej odważny sen, sen na jawie, mądry kobiecy sen o kawałkach szczęścia, z których można złożyć piękne życie i ponadto posłużyć za przykład?). To był moment, błysk, miała go! Przyciśniętego do bramy.

Stanęła tak blisko, że rozmazały mu się nawet jej oczy. Ona nie musiała patrzeć, i tak na użytek tamtej chwili wiedziała wszystko.

- Zapewniałeś, że po procesie zamieszkamy razem. Mieliśmy wspólnie...

- Po procesie - przerwał jej. - Mówiłem: po procesie! Po procesie to po procesie!

Lawirował, starał się jej wymknąć; ale zawsze udawało jej się podejść w momentach, gdy usiłował uczynić krok w dół. Musiał bardzo uważać, żeby damie nie zrobić krzywdy - i to w publicznym miejscu!

- Ja wiem - mówiła, znów mu jednocześnie udaremniając próbę fortelu - ja wiem, ale... nie sędzę, żebyś tak nagle z niczego stał się drobiazgowy. Chciałam cię właśnie ostrzec: właściwa idea rozmywa się pod wpływem masy drobiazgow.

- Przez cały czas załatwiałem sprawy. Nie tylko twój proces mam na głowie. To, co ty mówisz, to, to w ogóle nie jest porównanie. - Zagadywał, usiłował przebiec bokiem; przycisnęła go do kolumnady, musiał zawrócić; skutecznie zagradszała mu drogę, hamował bezsilną wściekłość, jeszcze próbował tłumaczyć: - Ale, posłuchaj, choć to byłaby sprawa mniejszej wagi niż to, co teraz robisz, no ale pomyśl, jak byś się ty czuła, gdybym tak ja ciebie wciąż nagabywał w sali wykładowej czy podczas zajęcia w szpitalu...

Uradowana tą wizją rzuciła mu się na szyję. Popatrzył niedobrym wzrokiem. Ocknęła się, usłyszała obco brzmiące słowa: - Zupełnie nie mam czasu. Praca, praca!

Uciekł.

W tej samej chwili z Pałacu Sztuki wychodził malarz zajmujący pracownię w Astoni. Szedł z dużym płaskim pakunkiem, w którym na pewno był obraz. Na schodach musiał się zatrzymać

- spostrzegł bowiem Ankę. Zastygła. Patrzył na nią i patrzył. Zachwycony.

Już, już wyciągał rękę - w ostatnim ułamku sekundy zmienił zamiar. Dyskretnie, jakoś tak bokiem, zbiegał ze schodów. Żeby jej nie obudzić.

59. Analiza intymna

W środku nocy, jak zwykle prócz sobót, skończyła się mordęga redaktorów, dziennikarzy, korektora, metrampaża i zecerów - wspólnie prowadzona batalia o nadanie ostatecznego kształtu najświeższemu wydaniu dziennika. Kalandry poszły na maszyny, które już - dało się słyszeć i odczuwać to charakterystyczne drżenie - rozpoczęły rozbieg. Teraz wszystko zależy od maszynistów. Pierwsza partia „Marszu” powinna opuścić drukarnię o świcie i - porozdzielana - zdążyć jeszcze na poranne pociągi.

Trybun sikał, korzystając z plugawego pisuaru, palił papierosa, skończył kasłać, odchrząknął i rzekł:

- Rewelacja! Niedawno dowiedziałem się, że to właśnie Korowski, a nie Anka, jakieśmy wszyscy sądzili, żąda rozwodu! Okazuje się, że to on, gdy się tylko dowiedział, że żona ponownie zaszła w ciążę, natychmiast wniósł o separację. Ty to rozumiesz? Korowski nie mógł być ojcem zmarłego niemowlęcia!

Z drzwi ubikacji, odbijających się w zmatowiałym lustrze nad żeliwną umywalką, wraz z dymem z papierosa wydobył się głos redaktora Goldstocka: - Hulaka impotentem?

- Skądże znowu? - odrzekł Trybun zajęty zapinaniem roz-porka. - On właśnie nadaje się idealnie na bezproblemowego kochanka! Jurny, ale bezpłodny. Miał tryperka, nie leczył, a wciąż dupczył. Wywiązało się groźne zapalenie jąder, zrośnięcie nasieniowodów...

- No, no! - mruknął z podziwem Goldstock, wyszedł z ubikacji,

podniósł w górę wskazujący palec i dodał: - Donosik, oczywiście, od Bylewicza.

Panowie zgodnie zgasili papierosy na brzegu żeliwnej umywalki i wrzucili pety do pustej blaszanki na węgiel. Trybun odkręcił kran, namydlił ręce, podał mydło Goldstockowi. Długo myli ręce. Dopiero kiedy skończyli i każdy z nich wyciągnął z kieszeni swoją dużą chusteczkę, żeby wytrzeć dłonie, Trybun potwierdził: - No tak, od Bylewicza był ten sygnał.

Goldstock odrzucił w tył głowę, zaśmiał się z ironią i już absolutnym brakiem wiary w ludzką prawość.

- I jeszcze coś zobaczysz. - Trybun wsadził wilgotną chusteczkę do dolnej kieszeni surduta, a z górnej wewnętrznej wyciągnął jakiś we czworo złożony papier i podsunął go Goldstockowi pod oczy.

- A co to jest? - zerknął Goldstock - recepta jakaś, a! analiza chyba. No, daj mi to na chwilę.

Trybun jednak schował papier. Z góry popatrzył na Goldstocka: - To są, drogi kolego, wyniki analizy nasienia! Korowski sam je dołączył do akt sprawy! Z analizy wynika, że ten człowiek już nie jest zdolny kogokolwiek zapłodnić!

Wyszli z mdło oświetlonego pomieszczenia. W zupełnie już mrocznym, długim a wysokim korytarzu, gdy odgłos ich kroków wtapiał się w równomierny szum maszyn, tworząc rytm niebanalny, Goldstockowi zebrało się na żarty.

- Ten członek już nie jest zdolny zapłodnić! - powiedział, kładąc nacisk na drugi wyraz.

- Fuj, ruj - powiedział Trybun.

- Głupi chuj - mruknął nie wiadomo do kogo Goldstock.

Przeszli do oświetlonej drukarni, tam wszystko grało, nie trzeba przeszkadzać maszynistom, dotarli do załomu muru za maszynami, gdzie wreszcie było okienko, owalne - a za nim kawałek świata z malowniczym przedświttem nad Krakowem. Za darmo krajobraz w oprawie okna. Weduta piękniejsza niż najlepsze płótno świetnego pejzażysty Jana Nepomucena Głowackiego. I szeroki parapet, pod nim szafka. Goldstock otworzył jej drzwiczki.

- Faj - powtórzył Trybun. - Nie powinieneś się naigrawać z czyjejś przypadłości.

Goldstock wyciągnął z szafki dwie ćwierćlitrowe butelki z niemal czarnego, zdobionego arabeskowym reliefem szkła. Szczęknęły krachle - panowie jednocześnie wypili po łyku porтеру.

- Co „faj”? - rzekł Goldstock ożywiony. - Czegóż to nie zrobi człowiek, hm! z charakterem? To przecież nie musiała być sperma pana Stefana!

- A etyka lekarska? - zachnął się Trybun. - Pod analizą własnoręcznie pobranego materiału podpisał się doktor Borzo!

Opróżnili buteleczki, odstawili je na parapet. Goldstock popatrzył przenikliwie na Trybuna i powiedział:

- Gdyby ten sam doktor Borzo podpisał się pod wynikiem analizy, która nie byłaby po twojej myśli, powiedziałbyś, że Borzo został przekupiony. I nie pisałbyś słowem o takiej czy siakiej etyce. Czy ja tego nie wiem?... Nie, nie obrażaj się; czekaj! - Przytrzymał Trybuna, złapawszy go za klapę. - My nie żyjemy w próżni. Tu wszystko aż się lepi od brudu. Dokument to doprawdy niewiele - puścił klapę Trybuna, popatrzył nań ostro, wręcz groźnie i dodał: - A brak dokumentu to jeszcze mniej!

Gdyby któryś z panów redaktorów dokładniej popatrzył przez okno, być może zauważyłby na jednym z podwórców podejrzany ruch. Od strony ulic wszystkie bramy zamknięte, wyjścia od podwórek znają tylko stali mieszkańcy, inni wtajemniczeni albo dozorca, którzy mają klucze. Młoda zgrabna kobieta, która parę godzin temu, jeszcze przed zamknięciem bramy, musiała się schować w załomie murów między piwnicą a składowym stróża, wyszła chyłkiem, przemknęła kuchennymi schodami na ganek - prosto do niezamkniętych na klucz drzwi, na których kłamkę padał blask księżyca, a dodatkowo - światło z całkiem odsłoniętego okna z doskonale widoczną we wnętrzu sylwetką siedzącego mężczyzny.

60. Sekret mecenasa Schwarzenstrumpfa

Zbliżała się trzecia w nocy, a mecenas Gala, korzystając z cizy śpiącego miasta, otoczony księgami i broszurami, studiował jakieś skomplikowane zagadnienie. Tyleż prawne, ile polityczne. Siedział za biurkiem, twarzą do okna od podwórca. Nie widział potrzeby zasunięcia stor, zwłaszcza że od czasu do czasu odrywał wzrok od papierów i obserwował niebo: obłoki spiesznie biegnące w księżycowej poświacie. Niewątpliwie halny.

Spokój, jeszcze raz spokój. Na biurku lampa z błękitną umbrą, brązowa figura gladiatora, jakieś stojące zdjęcia. Na blacie - akta, akta, akta i jeszcze raz akta. Wertował je zapamiętane, robił wypisy, sięgał do szuflad, zaglądał do segregatorów, sprawdzał w kodeksach. Raz po raz otwierał teki z wycinkami z prasy rosyjskiej i austriackiej z ostatnich kilku lat. Za nim lustro, tuż obok rozlany w świetle błysk jakiegoś olejnego obrazu.

Mecenas Schwarzenstrumpf - który w domu o trzystu metrów oddalonym od okna Gali wcale się nie kładł i do tej pory także pracował, a teraz w swoim gabinecie przy placu Szczepańskim (od strony ulicy Reformackiej) oczekiwał na fiakra mającego go odwieźć na dworzec, na pociąg do Wiednia - ubrany jak do wyjścia, podniósł roletę i uchylił okna, bo mu się zrobiło duszno. Patrzył na panoramę miasta, lubił tę porę przechodzenia nocy w szary przedświt, teraz się zdziwił, dokładnie naprzeciw bowiem, ale w pewnym oddaleniu, wcześniej nigdy nie dostrzegął o tej porze prostokąta ostrego światła (a to niesypianie przed wyjazdem do Wiednia praktykował od lat dwa razy w miesiącu). Wiedział dokładnie, na co patrzy: na wprost, na przestrzał kilku podwórek, z jego okna na drugim piętrze widać było jak na dłoni tyły mieszkania Gali. Zobaczył sylwetkę kolegi siedzącego przykładnie za biurkiem (no tak, zapewne trudna a pilna sprawa), lecz coś go zaniepokoiło - i to nie w samym mecenasie. Za nim. Coś się ruszało, coś połyskiwało w lustrze za mecenasem Galą.

Schwarzenstrumpf sam siebie zganil specjalnym ruchem głowy, ale jakoś się nie mógł powstrzymać: sięgnął po lornetkę. I zobaczył:

Gala wkłada do ust pastylkę eukaliptusową, za nim młoda brunetka, o której obecności w pokoju Gala nie ma pojęcia, zarzuca mu na szyję gołe ramiona. Prawa ręka Gali błyskawicznie łapie duży rewolwer, który przez cały czas leżał na biurku. W miejscu po rewolwerze toczy się eukaliptusowa pastylka. Kobieta w rozpiętej bluzce musiała krzyknąć, teraz coś szybko mówi, Gala już wie, o co chodzi, odpycha brunetkę, odwraca się, robi jej awanturę i dopiero teraz odkłada rewolwer. Kobieta ma ładną, jasną twarz: natchniona? Pewnie wariatka. Szkoda. Nie przestaje mówić, kłeka przed Galą, ten wprawdzie obraca się do niej tyłem, ale wysłuchuje wyjaśnień. Prośb. Zasłaniają sobą. Odwraca się, robi krok w lewo. Kobieta, która podniosła się z klęczek, jest teraz zupełnie naga. Bezwstydną? Nie - bezbronna. Pada znów na kolana, z głową odgiętą w tył, wyrzuca ramiona i dłonie splata na karku. Jak niewolnica - ale to nie ona jest zniewolona. Ona, nie dotykając Gali, kieruje jego ruchami.

- Mecenas Gala w niewoli seksu - mruknął Schwarzenstrumpf, zrezygnował ze spojrzenia na zegarek, bo to, co atrakcyjnie przybliżała lornetka, zdawało się być poza czasem.

Gala, z całkiem oglupiałą twarzą, kończy się rozbierać, jakiś rozmemłany, całkiem do siebie niepodobny, podbiega do swojej nagiej pani, która teraz, gdy wstała - dumna i spokojna jak posąg - odsuwa go od siebie i wskazuje na okno. Gala kiwa głową, potyka się o biurko, biegnie i dokładnie zasuwa firanki i zaciąga story.

Teraz, wobec już tylko prostokąta koloru burgunda w miejscu ruchomych, niemych scen, mecenas Schwarzenstrumpf odstawił lornetkę, zapalił światło, spojrzął na zegarek (jeszcze nie trzeba się śpieszyć), nastawił gramofon, a gdy z tuby popłynęła nastrojowa melodia pieśni bez słów Pabla Sarasatego y Navascueza, zagłębił się w skórzany fotel, splótł ręce na piersi, słuchał, czekał i cieszył się, że płynie na fali swoich czasów i że

fala tych czasów wprawdzie nie należy do niego, lecz jest także i jego falą.

61. Znak

W ciągu dnia tylko przez niecałą godzinę jest takie światło - jakże sprzyjające malarzom - tuż po zachodzie słońca. Wtedy, odłożywszy paletę, mogą oni spokojnie przemyśliwać - tak, przemyśliwać (bo słowo „analizować” nie wyczerpuje złożoności konglomeratu siły i mgieł trudno uchwytnego zjawiska) - przemyśliwać więc to, co w ciągu całego dnia zrobili, wpatrując się w płótno, które powoli zasnuwane pierwszym mrokiem, samo pokazuje, co w nim dobre jest, a co złe. Po to, żeby twórca dojrzał, zastanowił się, stojąc na krawędzi natury (jej obserwacji) i kultury (wyobraźni twórczej i możliwości warsztatowych), rozważył, ustalił w myślach i nazajutrz już wiedział, co robić. Ten czas mądrego a kojącego światła - czas pracy szalki wagi intuicji w odniesieniu do tego, co dokonane i do sygnalizowanego zjawiska - malarze nazywają Godziną Leonarda. Boskiego Leonarda da Vinci - bo takie właśnie stonowane a nieposępne, mądrze zatrzymane światło jest w jego obrazach.

Godzina Leonarda właśnie trwała w pracowni na poddaszu Astoni. Malarz, ubrany nadzwyczaj starannie, wizytowo, jeszcze przysiadł na oparciu wraka kanapy i wpatrywał się w ten podwójny, wizyjny, wciąż jednak niedokończony portret Gabriela Husiatyckiego. Malarz nie spostrzegł i nie wyczuł, że do pracowni wszedł (jeżeli można z goryczą strawestować, i to na wspak, po angielsku!) administrator i w jednej osobie współwłaściciel hotelu. Zaskoczony - dotąd bowiem widywał malarza wyłącznie w szlafroku - chrząknął.

Malarz odwrócił się i - choć powinien - nie był zdumiony. Zapytał tylko:

- Pan także jest chory?

- Dlaczego? - spytał administrator chrapliwie.
- No - hm, hip, hrup! - to pańskie gardło! O! Co to się dzieje? Wszędzie samobójcy jacyś, szpitale, pogrzeby. Co oni wyprawiają? Ja tutaj żyję sobie na stryszku jak mnich i, panie, nic mnie nie łapie.

Administrator znowu znacząco chrząknął. Na to malarz zakręcił się - i raptem podsunął mu pod nos ciężki flakon z zielonkawego szkła.

- Niech pan tylko spróbuje powąchać! - nalegał. - To dobra terpentyna. Prawdziwa wenecka. Podczas rozcieńczania farb terpentyna wenecka nadaje farbie pewną łagodną kleistość, która jest rozkoszą dla pędzla i trzymającej go dłoni artysty, kolorom zaś ofiarowuje na wieki blask i niewyraźną, wręcz opalizującą przejrzystość. Ja poza tym - poprawiał coś przy rozporku - u siebie odpędzam katary poprzez wężanie tej niezwykle cennej terpentyny, leczę nią także i inne świństwa przebrzydłe...

- Odczep się pan - warknął administrator i w jednej osobie współwłaściciel hotelu Astoria. - Przyszedłem do lokatora, a nie do doktora! Od pół roku pan zalegasz z opłatami za czynsz!

Malarz zostawił gburowatego na środku nędznej pracowni. Zerwawszy z szaragów kapelusz - wyskoczył na korytarz z pełeryną w rękę. Ubierał się, zbiegając po schodach.

Po drodze szybko Planty, Straszewskiego, wylot Smoleńska, Studenckiej, przez podwórze Karmelickiej, przez które płynie Młynówka, na Łobzowską; straszne, przeraźliwe okropne: kogoś potracił tramwaj konny, zbiegowisko, ofiarą jest mężczyzna, przez tłumek gapiów widać dłoń we krwi na brudnym, rozmakającym śniegu, to muzyk, obiecujący kompozytor, głos jakiejś baby, pianista, co on teraz, bez dłoni; malarz biegł jak oszalały, przed oczyma migwały mu ulice, kominy, bramy, okna, kopuły, atlasy, kariatydy, dachy, sgrafitta, wieże i wieżyczki, przybudówki w oficynach, od frontu znowuż kolumny, mury, Biskupia, Krowoderska, lodowo-gliniasta breja ochlapowała

mu lakierowane buty i pięknie wyczyszczone pelerynę, on na to w ogóle nie zważał; no, jest ulica Słowiańska... Na rogu Długiej i Pędzichowa przystanął. Próbował złapać oddech, opierając się o figurę Matki Boskiej. Z wahaniem spojrział w górę. Już uspokojony. Bo zobaczył światła w wieżycze.

Wchodził tu po raz pierwszy. Kiedy zamknął za sobą bramę, już w korytarzu otoczyło go ciepłe elektryczne światło. W wytwornej kamienicy na każdym półpiętrze lustra z wielokrotniały postać gościa, pnącego się w górę po marmurowych schodach pokrytych chodnikami barwy nasyconego kraplaku. Boazerie, połyskujące ornamentami dębowe drzwi. Takie same na trzecim piętrze. To jest jakoś; ni śladu imitacji. Mosiężna wizytówka, zgadza się. Jakaś dziwna cisza wokół; gdy był niżej, miał wrażenie, że kamienica, choć solidna, jest zbyt akustyczna. (A może okna wychodzącego na ulicę z klatki schodowej ktoś nie domknął). Pokręcił dzwonkiem. Drzwi otworzyły się natychmiast, stała w nich, strzegąca widać mieszkania Husiatyckich, piękna siostra miłosierdzia. Byłaby uderzająco podobna do Wisieńki, gdyby nie piwny kolor spokojnych, stonowanych, głęboko osadzonych oczu. (Wisieńka miała podobny kształt głowy i ludzako identycznie układające się czarne włosy, tylko oczy jasnoblękitne, elektryzujące, z wieczną, niewyjaśnioną obietnicą). Błękity i biele fartuszków oraz kornetu ładnie się przeglądały w lustrze, migotliwie multiplikując kolory i ruch damskich kształtów w połyskliwych odrzwiach. Siostra nie poruszyła się. Powiedziała:

- Pan Gabriel Husiatycki nie wpuszcza.

Malarz nareszcie złapał oddech i raczej radośnie stwierdził, niż zapytał:

- Ale pan Husiatycki jest!

- Pan Husiatycki jest, ale go nie ma.

- Wzywał mnie... - szepnął malarz.

Siostra miłosierdzia spojrziała pytająco. Z tym spojrzeniem jakże piękna i tajemnicza. Tak strasznie cudownie niedostępna.

Oniemiał. Więc to tak? A tu trzeba było konkretnie. Niech będzie:

- Jestem malarzem, uchodzącą z Kongresówki, jednym z ludzi wysokich pięt.

- Pan Jacek, mam nadzieję, artysta? - spytała, a uzyskując odeń nieme potwierdzenie, pięknie, miękko (niby nie dotykając go, a jednak tak, że poczuł na sobie jej ciało) poprowadziła go przez przedpokój do białych drzwi, zapukała, wybijając umowny rytm. Tuż przedtem rzuciła malarzowi istotną informację: - Wisieńka od niego odeszła.

Białe drzwi się otwarły i stanął w nich lekarz, czterdziestoletni mocny mężczyzna o doskonale wygolonej twarzy. W tle, to znaczy za nim, w mrocznym wnętrzu, wirowały drobiny kurzu. Lekarz zdecydowanie wysunął rękę - nie do powitania jednak, lecz po to, żeby przybyszowi zagrozić drogę; malarz odruchowo odsunął się o krok, a jednocześnie czyściutka siostra podbiegła do doktora, coś mu błyskawicznie szepnęła - zupełnie jak nie zakonnica. Lekarz opuścił rękę, najwidoczniej jednak chciałby jeszcze coś malarzowi wyjaśnić, dopowiedzieć, lecz ten, z rozbiegu, natychmiast przekroczył próg (żeby załatwić sprawę? sprawdzić coś? rozprawić się z własnym życiem?). Tak się to działo.

Wewnątrz, w głębokiej pomroce, dwie jeszcze siostry miłośniczki. Światło z lampy ustawionej wprost na podłodze padało upiornie na twarz Gabriela, opatulonego w fotelu. Fotel, potężny, wyglądał jak łoże postawione na sztorc. Gabriel nawet nie skinął głową. Sztywny - tylko ręką wskazywał na gabinetową fotografię. Artysta przybliżył ją do oczu. Osłupiały przykucał, podszedł bliżej lampy. Musiał uwierzyć. Na zdjęciu, wiadomo, spodziewał się Wisieńki. A zobaczył tę samą kobietę, której widok niedawno nie pozwolił mu zejść spokojnie po schodach Pałacu Sztuki - zobaczył Ankę Korowską.

Gabriel opuścił rękę i włożył dłoń do drewnianego pudełka. Wszyscy sądzili, że sięga po cygara. Nie. Wyjął z pudełka pieńki - i do dłoni, w której malarz fotografię Korowskiej trzymał palcem wskazującym i kciukiem, wrzucił pięć, może sześć

dużych złotych monet, po czym sam zacisnął pozostałe palce malarza. Zrobił jakiś ruch, szkic gestu. Ta piękna i tajemnicza siostra miłosierdzia natychmiast podała mu naostrzoną kredę. Sama podbiegła do jednej z siostr w cieniu i migiem przybliżyła się do Gabriela z niewielką ciemnofioletową tablicą. Gabriel pisał kredą na tej tablicy:

BEZPOŚREDNIO
NA MOIM PORTRECIE
NAMALOWAĆ
WIZERUNEK KOBIETY
Z TEJ FOTOGRAFII

Ostry błysk nagle - to oko Gabriela. Gabriel popatrzył na malarza. Malarz uchwycił to spojrzenie i zamarł. Okazało się, że siostra miłosierdzia miała jeszcze jedną poważną zaletę: była silna. Odciągnęła artystę malarza i bezwzględnie, choć bez śladów przemocy, wyprowadziła go z mrocznego salonu. W przedpokoju przejął go lekarz. Prowadząc przez korytarz, napotkał jego pytające spojrzenie, wolną ręką wywijał, jakby się chciał poderwać do lotu, wreszcie wybuchnął:

- Pan nie cierpiał. Nie muszę tłumaczyć, pan to wie. Panu się najpospoliciej nie powiodło. Teraz pan się boi porażającej siły cierpienia Husiatyckiego.

- Ja... - przyznał gestem i dodał: - Tak, obawiam się zarażenia.

- Będzie pan żył - powiedział lekarz.

Malarz zatrzymał się w połowie przedpokoju. - A on?

- Niech pan wie, że Gabriel wyszedł z domu, tułał się także i po przedmieściach, i trwało to ponad tydzień. - Wyciągnął płaskie pudełko, podsunął malarzowi, ten gestem odmówił, sam wobec tego wyjął i zapalił cygaretkę. - Gdyby nie te moje siostrzyczki, już byśmy go nie odnaleźli. Sam dla siebie stał się, kurwa, obiektem doświadczalnym. Wreszcie sam zobaczył, jak ludzie z litością podszytą lękiem, ze wstrętem, z obrzydzeniem, w końcu ze zgrozą gapili się na niego na ulicach.

- Pan tak może mówić?

- Bo to prawda. Strasznie garbaty. I on o tym wie. Wisieńka była dla niego objawieniem. Patrzyła na niego inaczej. Pan też podobno. Dlatego on przylgnął do pana. On się cieszy, widząc, że przynajmniej pan od niego nie odszedł. Ale... on się lęka, że kiedy pana przejrzy na wskroś, złudzenia prysną.

- A pan?

- Wyszedłem specjalnie, żeby pana obejrzyć.

- I co?

- Obawy Husiatyckiego mają na razie podstawy.

- Znaczą się co?

- Obaj jesteście poranieni. - Wyprowadzał go na korytarz. - Obaj musicie wypocząć.

Malarz syknął przez zęby: - To ja panu coś powiem! Od kilku minut o niczym innym nie myślę, tylko o tym, co zrobić, żeby się przespać z tą najładniejszą siostrą miłosierdzia!

W drzwiach wyrwał rękę spod pachy doktora. Wzburzony, po dwa stopnie zeskakiwał ze schodów. Lekarz wykazał się świetnym refleksem: piętro niżej, na podeście, dopadł malarza i znów go chwycił pod ramię. Ten robił, co mógł - kopanie na razie wyłączając - żeby się wyrwać. Na parterze uchyliły się drzwi, dobiegło szczekanie dużego psa. Lekarz zawrócił malarza i wiodąc go na górę, mówił:

- Przespać się z nią? A owszem, dobrze. Nie widzę problemu. Po co zwlekać? Szkoda nerwów. Ona jest rzeczywiście ładna i trochę się tutaj nudzi. To świeckie dziewczyny. Tak je sobie poubieraliśmy. Gdzieś obok Gabriela stale dyżurują - i śpią tu. Jest tu taki ładny pokoik. Bez problemu. A ja na razie nie potrzebuję. Jestem wciąż przy nim. To wariat, drogi panie; umówmy się - wariat.

- Możemy się najwyżej umówić... - szepnął malarz.

- Wspaniały wariat! - krzyknął lekarz, zaciągnął się cygaretką, ledwo nadpaloną rzucił przez półotwarte okno klatki schodowej. - Niech się pan nie martwi - z uśmiechem uspokajał malarza - zawsze tutaj wyrzucam, celuję prosto na środek jezdni. Trotuar, kochany panie - tam chodzą ludzie - rzecz święta. Na środek jezdni, na sam środek jezdni. No właśnie! Wariat, a

przecież lepszy od rzeszy normalnych! Ja odżywam w tym smętnym domu.

Pukał do drzwi. Malarz zapytał z wahaniem:

- Gabriel nie mówił, że wolałby być sam?

- Nie. On się przegląda we mnie. Przeżyłem - na szczęście, bo mnie odratowano - przeżyłem koszmarny zawód miłosny. Zaraz potem kobieta, którą ubóstwiałem, umarła śmiercią gwałtowną, w obrzydliwych okolicznościach. Ale pan widzi - już mogę o tym mówić spokojnie. Tak jakbym oznajmiał, że się spóźniłem na pociąg, ha, ha, ha! - zaśmiał się prosto w twarz tak zwanej od tego momentu siostry miłosierdzia, która otworzyła drzwi i rozradowana jego radością, usuwała się w bok, zapraszając do wnętrza. - On, Gabriel - mówił i potarł sobie oko - on wie, wiedział już wcześniej o tym. No i tak sobie istniejemy razem. - Popchnął malarza bardzo ciepłą ręką i ten już wiedział, że trzeba iść krok w krok za przepiękną siostrzyczką. - A zatem, mistrzu, do dzieła!

Leżał, półprzytomny z tygodniowego przepicia i wciąż jeszcze pijany (co chwila sięgał do butelki pod wyrkiem). Żeby odwrócić uwagę od widoku rozpoczętego obrazu (na sztalugach można go było zasłonić szmatą, w świetle wewnętrznym jednak szmat nie ma), kazał sobie przynieść gazety. Najświeższe i z ostatnich dni, te, co zostały w sali restauracyjnej. Dzisiejsza, sobota 13 lutego 1909. Czytał:

„Rozprawa p. Anny Korowskiej przeciw Emilowi Goldstoczkowi, redaktorowi «Marszu» o występku obrazy czci rozpocznie się we wtorek 16 bm, i potrwa 3 dni. Wstęp na rozprawę tylko za biletami. Wydawane będą w poniedziałek o godz. 15 w Krajowym Sądzie Karnym na parterze (pokój 48)».

Przepuścił wzrokiem kilka wersów, tak, znał sprawę, oczywiście, „Marsz” bez porozumienia się z sympatyzującą z socjalistycznymi redakcją i ruchem, przedrukował między innymi jej nazwisko z listy rzekomych agentów ochrony, pomieszczonej w wychodzącym tajnie w Królestwie Polskim „Czerwonym Sztandarze”.

„Pani Korowska - czytał - wystąpiła ze skargą sądową. Pierwsza rozprawa przed trybunałem przysięgłych zakończy się zaofiarowaniem przez Goldstocka dowodu prawdy; w tej mierze powołał się na świadka Bakaja, który służył w warszawskiej ochronie i ma dostarczyć szczegółów, na których się oparł «Czerwony Sztandar».

Bakaj zbiegł z Rosji, przebywa w Paryżu, teraz oddaje usługi Polskiej Partii Socjalno-Demokratycznej”.

Z innej gazety dowiedział się - i to go poderwało z posłania (wyrko zaskrzybiało, zgrzytnęły kości, a może było odwrotnie) - że już jutro, o parę kroków stąd, na Wiślniej, odbędzie się sąd obywatelski nad Stanisławem Brzozowskim, który, chory na gruźlicę, specjalnie przybędzie na rozprawę z Florencji. Zeznać będzie ów osławiony Bakaj (- Ach, stąd go sobie wypożyczy towarzysz Goldstock! - mruknął malarz), z tej samej, rzecz by można, stajni, co wyolbrzymiony do rozmiarów demona zwykły sobie sprzedawczyk Azef.

62. Teraz dopiero lekko

Przed Sądem Karnym już od świtu wystawiało kilkaset osób. Kandydaci na publiczność, żeby otrzymać bilety, oblegali bramy. Trzeba było wezwać straż policyjną, a ta z trudem wyciągała z wnętrza budynku sądów sporą grupę ludzi, którzy dostali się tam korytarzem przez zaułek od ulicy Poselskiej. Na ulicach ślisko, pogotowie udzielało pierwszej pomocy potłuczonym, zabrali nawet kogoś, kto strasznie jęczał z podwójnego bólu: złamania nogi i mimo zdobytego biletu niemożności obserwowania procesu.

Przepełniona, największa w sądzie w Krakowie sala przysięgłych 16 lutego 1909 roku i tak nie pomieściła wszystkich. W pierwszym rzędzie widowni zasiadła słynna przy podobnych ważnych okazjach z zadawania szyku, prześliczna a niekoniecznie wierna żona dyplomaty, tak jak zawsze z dala od galerii -

zwykłego siedliska innych pań. Przy osobnym stoliku stłoczeni dziennikarze z Krakowa, Lwowa, z Wiednia, z Warszawy, jest także ważny przedstawiciel pisma „Nowaja Ruś”, redaktor Łopatin. Już woźni donoszą dodatkowy mniejszy stolik dla prasy, tymczasem napływają nowi dziennikarze. Jest i rysownik. Znamy go doskonale skądinąd. W procesie o zniesławienie, wytoczonym przez Annę Korowską, była asystentką przy krakowskim szpitalu Świętego Łazarza, redaktorowi Emilowi Goldstockowi, oskarżonemu udzielono głosu.

- Do zarzucenia pani Korowskiej szpiegostwa na rzecz carskiej ochrony zmusił mnie - mimo osobistych więzów przyjaźni z tą osobą - fakt opublikowania listy szpiegów przez rewolucyjne czasopismo rosyjskie, wychodzące w Paryżu. Z tego czasopisma, pod tytułem „Byłoje”, zacytował listę szpiegów „Czerwony Sztandar”. Wnoszę wobec tego o przesłuchanie w charakterze świadków panów Burcewa, wydawcę pisma „Byłoje”, oraz byłego agenta ochrony, pana Bakaja, który panu Burcewowi, rewolucjonście, dostarczył listę szpiegów. Panowie są akurat w Krakowie z powodu sądu partyjnego.

- Sąd przychyła się do tego wniosku - powiedział sędzia przewodniczący.

Anka siedziała z odkrytą twarzą. Spojrzała na twarz sunącego z godnością świadka, którego oczy obserwowały wszystko, ale były nieprzeniknione - jak za szybą pancerną. Mówił monotonnie, matowym głosem:

- Nu, ja gospodinę, ja panią Korowską widywałem nierzadko w Warszawie. Ona bywała bezpośrednio w biurze pułkownika Petersona, nu, da, sekretarza szefa ochrony. Ja ją nawet latem 1905 roku widział, widziałem, bo ona, czarno ubrana, na szezlongu u szefa zemdląła. To ja jej szklanekę wody podać przyniosłem, i ona po chwili, żeby się napić, odsłoniła woalkę. To ja twarzy tej pani Korowskiej nie zapomnę.

Miała się kochać nieszczęśliwie w jakimś profesoru uniwersytetu w Krakowie, nu, da, tutaj, w Austrii, z mężem zaś, lekarzem, źle żyła, tak się ona sama skarżyła podczas prywatnej rozmowy z moim szefem.

Bakaj przerwał. Gala wstał, podniósł rękę.

- Udzielam głosu panu mecenasowi - powiedział sędzia.

- Świadek Bakaj - mówił Gala ze śmieszkim - zapewnił także wcześniej, co zaprotokołowano, że moja klientka mieszkała w szpitalu Świętego Rocha. W Krakowie, jak tutaj wszyscy wiemy, takiego szpitala nie ma i nie było. Jak już moja klientka zeznała, do późnej jesieni 1905 roku w ogóle nie miała woalki i w woalce nie chodziła. - Palcem wskazał Bakaja i dodał pouczająco: - Mąż pani Anny Korowskiej jest, owszem, doktorem, ale doktorem praw, a nie doktorem medycyny, jak pan zeznał!

W czasie kiedy przewodniczący zarządzał konfrontację, na sali zrobiło się zamieszanie; każdy starał się być jak najbliżej. W łoży dla prasy siedział malarz, pan Jacek; w ogóle niezainteresowany Bakajem, kończył rysować węglem i gumką chlebową już drugi, realistyczny i pełen rozmachu portret Anki.

Anna naprzeciw Bakaja. Tych dwoje pod obserwacją dwunastu sprawiedliwych z ławy przysięgłych.

- Czy widział pan kiedy tę panią? - spytał bardzo wyraźnie sędzia.

- Z czystym sumieniem wobec Wysokiego Zgromadzenia - monotonnym głosem recytował Bakaj - zeznaję ja, że ta, postawiona tu przede mną osoba, to ona jest pani Korowskaja, gospodinią Korowską, znaczy ona jest, też sama to osoba, którą ja widział, widziałem ja w ochranie w Warszawie. - Położył rękę na klapie swojej marynarki i oświadczył: - Ja biorę całą na siebie odpowiedzialność moralną za to, co tu powiedziałem.

- Czy się jednak pan nie myli? - badał sędzia.

- Ja nazwisko zapomnieć bym mógł, twarz ja jednak pamiętam dobrze, bo ją, tę panią i tę twarz, niejednokrotnie widziałem.

- Może to był kto inny? - naciskał sędzia.

- Nie. To pani Korowska.

Cisza absolutna; jakby wypompowano nawet szmery. Na twarzach wszystkich przysięgłych - obcość i chłód. W oczach Bakaja - to, co uprzednio. W oczach Anki - błysk zainteresowania.

Stopniowo wyraz sympatii ustępował zaniepokojeniu, zaniepokojenie przemieniało się we wstręt. Zanim zarzuciła na twarz prawie czarną woalkę, wzrok jej spoczął na siedzącym w tłumie, ale nie tak daleko, lekarzu z granicznej stacji Maczki. Tak, to ten sam (jego ręce opatrywały wtedy jej obojczyk), mniej już blondyn jednak, bardziej łysy. Czy te same. Specjalnie przyjechał? Musiał poczuć na sobie wzrok Anki, bo nagle twarz zasłonił gazetą.

63. Śmierć

Cisza. Tak ciemno, choć to środek zimowej, księżycowej nocy - umierający są cierpliwi od jeszcze nieskazyanych, lecz tylko wtedy, kiedy trawieni bardzo wysoką gorączką nie cierpią bólów i niewygód - i tu dla cierpliwych nagroda: przyszedł czas i trochę lodowatego światła wdarło się do wnętrza spoza nie całkiem dosuniętych stor salonu Husiatyckich. Na środku pokoju tkwiła sylwetka Gabriela w tym monstrualnym fotelu. Zgasła świeca w lichtarzu przed dyżurującą siostrą miłosierdzia. Ta siostra miała dziś czuwać szczególnie; zaspokojona niespodziewanie, zasnęła.

Jakimś cudem, jak to bywa u chorych skazanych przez wszystkich na nieodwołalny bezruch, podniósł się z fotela, porzucił z siebie wszystkie piernaty, pozdzierał ubrania - księżyc w pełni dobył z mroku jaśniejący fragment - i zupełnie nagi szedł na wycucie: schodkami w górę. W wieży pootwierał ostrożnie wszystkie okienka i położył się na podłodze.

Kilkadziesiąt kroków dalej - na rogu Biskupiej - Wisieńka z małą skórkową walizeczką, wycieńczona, żeby nie upaść, oparła się o mur klasztorny. (Jakby kto dywan zwinięty oparł). Księżyc oświetlał ją fosforycznie. Chyba spod ziemi wyskoczyły prostytutki. Otoczyły Wisieńkę. Teraz i w tym stanie wszystko było jej obojętne.

- Patrzcie ją! - Ruda, blada, starszawa wypychała Wisieńkę spod muru: - To nie twój rewir, ciamajdo!

Wisieńka obróciła się siłą bezwładu i nadal podparta murem zrobiła trzy kroki w kierunku Krowoderskiej. (Wystarczy zrobić trzy następne i wtedy z placyku będzie widać, czy w wieżycze się świeci).

Ruda ruszyła z pięścią. Powstrzymały ją dwie rześkie jeszcze dziewczuchy.

- Idzie, idzie. Zostaw ją, nie widzisz, że ledwo dycha?

- Zaraza jakaś, tfu! - splunęła ruda.

Noga za nogą; już nikt nią nie szarpał. Plac Słowiański, jeszcze, jeszcze i... w wieżycze ciemno. - W wieżycze ciemno! - ryknęła. Dostała czarnych skrzydeł; rzuciła walizeczkę na bruk, popędziła do kamienicy, nogi się pod nią ugięły, przed trotwarem runęła na ulicę i, jak worek z resztką ziemniaków, z turaniem potoczyła się aż do schodów. Po dłuższej chwili podniosła się i wielkim kluczem - który przez cały czas musiała najwioczniej ścisnąć w dłoni - otworzyła bramę.

Aż do odejścia nocy własnym ciałem i futrem usiłowała rozgrzać zmarłe ciało umarłego Gabriela. Wierzyła, że będzie w stanie to zrobić. Leżących na podłodze zastała siostra miłosierdzia, ta piękna, już syta i wyspana, kompletnie wystrojona w wyszukane błękity i biele.

Przyjrzała się. Zrozumiała. Silna, oderwała Wisieńkę od trupa. Wzięła umarłego Gabriela za rękę i pociągnęła go po podłodze ku schodom. Wisieńka w transie, jakby spała idąc, podeszła do wciąż otwartego okienka, wychyliła się i zleciała w dół. Roztrzaskała się na posągu Najświętszej Marii Panny.

64. Trzeźwy pijak, pijany obserwator

- Oskarżony Emil Goldstock oświadczył na rozprawie, że przed pojawieniem się listy agentów w „Czerwonym Sztandarze” miał już skądinąd wiadomości o szpiegowskim procederze

uprawianym przez moją klientkę - wywodził w drugim dniu procesu przed sądem mecenas Roman Gala. - A tymczasem, jak wszyscyśmy słyszeli, ludzie z grona największych autorytetów moralnych, a także osoby ze ścisłego kierownictwa socjalnych demokratów oraz inni świadkowie, wszyscy oni zeznali, że wiadomość z „Czerwonego Sztandaru” spadła na nich jak grom! - Mecenas zrobił przerwę, rozejrzał się spokojnie po wielkiej sali, sięgnął po szklanke, uniósł ją, ale zaraz odstawił, nawet jej nie przytknąwszy do ust. Mówił: - Jeśli się przyjmie, że redaktor Emil Goldstock wiedział już wcześniej o pani Annie Korowskiej jako o szpiegu, a nie ostrzegł partii, to znaczy, że, podkreślam, nie wiadomo z jakich pobudek narażał swoich towarzyszy na śniegi Sybiru!

Sędziemu z trudem udało się uciszyć wrzawę; nieświadom kropli potu, która na razie się zatrzymała na czubku nosa, oddał głos adwokatowi Goldstocka. Adwokat, okrągły, o bladej twarzy i prawie przezroczystych oczach, wypuścił powietrze i zareplikował:

- Jak można w ogóle podważać wiarygodność zeznań pana Bakaja, skoro...

- Tak! - przerwała mu dramatycznie Anka i zerwała się z ławki (nikt by się nie spodziewał, że potrafi tak krzyżeć). - Łącznie z tak prawdziwymi szczegółami, jak to, że jestem żoną lekarza; że kiedy nie chodziłam w woalce, to chodziłam, i że mieszkalam, a może nawet nadal mieszkam w szpitalu Świętego Rocha, w rzeczywistości w Krakowie nieistniejącym! - Nie zwracała uwagi na Galę, który gestami usiłował skłonić ją do milczenia. - Przez trzy lata mojej bezinteresownej działalności propartyjnej - ciągnęła - nie padł na mnie najlżejszy cień podejrzenia i dopiero rewelacje człowieka o czarnej i krwawej, haniebnej przeszłości obwiniły mnie o szpiegostwo!

- Proszę nie burzyć porządku rozprawy! - huknął wreszcie sędzia i dodał stanowczo: - Jeżeli tego rodzaju incydent się powtórzy, uprzedzam, że sąd będzie zmuszony ukarać grzywną pana mecenasa i jego klientkę.

Właśnie od tej chwili (co później wielokrotnie powtarzał nieprzestający rysować pan Jacek) na twarzach przysięgłych - obok wzmożonego zainteresowania - pojawiły się pierwsze objawy sympatii do Anki.

W niecały kwadrans potem w zaułku przed bramą krakowskich Sądów, w kompleksie zabudowań więzienia Świętego Michała, w podmuchach śniegu odbywały się inne dywagacje.

- Wszystko się zgadza - mówił strażnik sądowy, wskazując na podprowadzonego przez żandarma lekarza z granicznej stacji Maczki - to pan doktor jest i w ogóle nawet wstęp, o tu, na wszystkie rozprawy ma - zamachał karteczką z pieczęciami - ale co? Wpuść, człowieku, na wielką salę przysięgłych kompletnie pijanego...

- No! Może by i nic nie zrobił, ale przecie zarzyga! - zauważył żandarm, jeszcze mocniej podtrzymał lekarza, odebrał z rąk strażnika przepustkę, zwinął ją, mozolnie upchnął w wewnętrznej kieszeni płaszcza zamrozonego lekarza i skinął na podwładnego: - Po dorożkę i do hotelu z tym tu! Pieniądze ma w kieszeni, o tu, i paszport. To poddany rosyjski, inteligent. Żeby mu tam po drodze nic nie zginęło!

Podwładny zasalutował, poszedł na postój fiaków. Wcześniej zrobił ruch ręką - zza węgła przyskoczył jeszcze inny żandarm, przejął pijanego - a wtedy machnął ręką, powiedział: - Ee tam! - do strażnika sądowego, a gdy ten, uspokojony, wreszcie znikł w bramie Sądów, przytupnął, dyskretnie wyjął z zanadrza bączek spirytusu, pociągnął - i tak pozbył się śladu dylematów moralnych.

Przed minutą sąd zgodził się na prośbę Anki i pozwolił jej na chwilę opuścić salę rozpraw.

- Mam pytanie do świadka - zwrócił się do Bakaja mecenas Gala. - Czy świadek powtórnie potwierdzi, że zna tę osobę?

Wskazał na damę, która udawała się na salę, wchodząc tymi samymi drzwiami, którymi niedawno wychodziła Anka. Zatrzymała się w pół kroku przed wolnym miejscem, opuszczonym

przez Ankę. Kobieta była ubrana tak jak Anka, chodziła tak jak ona, z daleka przypominała ją niemal do złudzenia, a z bliska - na przykład z miejsca, w którym stał Bakaj - ktoś, kto znał Ankę, mógłby tę kobietę wziąć ostatecznie za jej starszą siostrę.

- To jest pani Anna Korowska - rzekł bez wahania Bakaj.

W tym momencie z ławek dla publiczności podniosła się inna kobieta. Podniosła woalkę. I to była Anka.

Podchodziła w stronę tej drugiej...

Bakaj zasłonił ręką usta i patrzył na puste miejsce, które właśnie opuściła Anka - to samo, które wczoraj zajmował lekarz kolejowy z granicznej stacji Maczki.

Zdumienie, konsternacja - u publiczności; cisza na ławie przysięgłych.

- Dziękujemy szanownej pani doktor Wroczyńskiej, osobie odważnej, która zgodziła się nam dopomóc i bez skrupułów wzięła udział w eksperymencie.

Dwie panie stały już u boku wysokiego, smukłego Gali - Wroczyńska po prawej, Korowska po jego lewej ręce.

- Proszę spojrzeć - obie ujął za ręce - pani doktor Wroczyńska tak we wszystkim przecież absolutnie nie jest sobowtorem Anny Korowskiej, ale porusza się niemal identycznie jak ona. Obie panie, pozwolę sobie to zauważyć, nie dość, że są przedstawicielkami tej samej profesji, prezentują podobny rodzaj wdzięku... - Szepty, skrzypienie krzesel; część publiczności już się otrząsnęła z odrętwienia. - Pań w takim typie - ciągnął Gala - można by znaleźć jeszcze i jeszcze... nie mówię, że bez liku... i nie uwłaczając. Tak, tak! - Gestem podziękował damom, puścił ich dłonie, żeby swobodnie gestykulować; mówił: - A przy odpowiedniej charakteryzacji... i gdy się posiada paszport skradziony, czy na kilka dni po prostu wykradzony mojej klientce... możliwa jest każda mistyfikacja!

Oklaski, wrzawa. Sędzia nie był w stanie już nikogo uciszyć. Piąte przez dziesiąte dały się słyszeć jego groźby wydania naku opróżnienia sali, ale nikt nie zwracał na to uwagi. Błysk magnezji. Ktoś zrobił zdjęcie (czego nie wolno), podał aparat

koledze dziennikarzowi, który uciekając, wtopił się w tłum. Kiedy doktor Wroczyńska podeszła do Anki, wszyscy mogli naocznie stwierdzić, że to są przecież jednak dwie jakże różne kobiety.

65. Zima w Krakowie

Wszystko w śniegu - ale figura przed kamienicą z wieżyczką nietknięta. Madonnę (od kiedy?) osłonił daszek. Niedawno minęło południe. Błękitne niebo nad Krakowem, na kopnym śniegu granatowe cienie. Pięknej siostrze miłosierdzia towarzyszył niestary, blady mężczyzna, ubrany w gustowną liberię, utrzymaną w głębokich szmaragdach i z ledwo dostrzegalnymi, wtopionymi w sukno szamerunkami. Kto to? Przedsiębiorca pogrzebowy? Kamerdyner króla wysp perłowych? Przebrany lekarz - przyjaciel Gabriela? Wspólnie przyklejali na bramie dwa nekrologi: Gabriela Marka Husiatyckiego i Xeni Jadwigi Husiatyckiej. Na klepsydrach nie było krzyża, tylko gałązka akacji. Dopiero dwie przechodzące siostry wizytki zrobiły rękami znak krzyża w obliczu podobizny Niepokalanej, bielejącej świeżością na błękitnym tle nieba.

Zdezorientowane - przez chwilę jeszcze wodziły wzrokiem po wymyślnym habicie siostry miłosierdzia - ale żadna z nich nie była w stanie podjąć decyzji o skręceniu w prawo, o dojściu do dziwnej pary, o zasięgnięciu informacji o zmarłych. Nie brakło im sił - musiała tu być inna siła, która je odepchnęła.

W tym samym momencie gawron, stojąc na ośnieżonym dachu hotelu Astoria, zaglądał przez uchylone okienko do wnętrza pracowni, gdzie artysta malarz nadzwyczaj sprawnie, z rozmachem i realizmem wypełniał kolorem twarz Anki Korowskiej, uprzednio pędzlem naszkicowaną na tle, którym był niedokończony podwójny portret Gabriela, na krzyż rozpięty na płótnie o dwóch prawie metrach wysokości.

Pukanie trwało krótko. Wkroczył wzburzony administrator.

Malarz usiłował osłonić samym sobą powstający obraz: rozłożył ręce, machał nimi, wyglądał jak wielki ptak. Ale to na nic. Decyzja - i szybko, a jednak z mozołem obrócił blejtram ze sztalugą do ściany. Popędził wprost na administratora, przewrócił wiadro z brudami, prosto pod nogi bardziej już wystraszonego niż wzburzonego.

Bo?

Bo artysta malarz, wyrwany z marzeń, brutalnie pozbawiony natchnienia, miał twarz straszną.

Administrator, wypchnięty z atelier i przyparty do ceglanego muru w wąskim korytarzyku, dostał od malarza złotą monetę. Wychrypiał, już z wszelkimi objawami dobroduszości:

- Ale, panie, ja tylko... ja tak, panie...

Malarz popatrzył na administratora z bolesną pogardą i wypowiedział rozwibrowanym głosem (który zresztą - podobnie jak sens, czy może raczej brak sensu zdecydowanie wiązanych słów - jego samego zadziwił):

- Ludzie tym się różnią od zwierząt, że bydlaki nie mieszkają w takich norach jak ta!

W otwartych drzwiach - z widokiem na pracownię, atelier, półstryszek, norę, czy jak tam to zwał, z podłogą splugawioną pomyjami, na które padało światło z górnego okienka - mężczyźni mierzyli się wzrokiem.

I nie wiadomo, który z nich rzucił się pierwszy w objęcia drugiego.

Gdy się od siebie odsunęli, mieli twarze mokre od łez.

To był dzień ogłoszenia wyroku w krakowskim sądzie. Artysta malarz, spóźniony, zajął swe miejsce w łoży dla prasy właśnie w chwili, gdy okrążył adwokat Goldstocka, skierowany ku ławie przysięgłych, trzymał żarliwą mowę:

- Przypuszczam, że trybunał przysięgłych wyda werdykt uniewinniający mojego klienta, uczciwego i wiernego swoim przekonaniom redaktora Emila Goldstocka. Mam niezbitą nadzieję, że tym samym panowie przysięgli nie dopuszczą do tego,

aby w biurach ochrony wznoszono toasty z powodu werdyktu skazującego i wołano: „Niech żyje Anna Korowska, nasza sprytna współpracowniczka!”.

Cisza. Wzrok wszystkich utkwiał w ławie przysięgłych. Stało się. Na dwunastu - jedenastu podniosło ręce.

Część miejsc zwolniła się w łoży prasowej, dziennikarze dowiedzieli się najważniejszego, biegli do swoich redakcji, grunt, żeby zaraz opisać napięcie, podbarwić sensacyjne smaczki, tenor wyroku dojdzie i tak telegraficznie za kilka godzin, tymczasem trzeba już i w tej chwili rzucić pod prasę wydanie nadzwyczajne, drukowane jak ulotka, tylko na jednej stronie. Musi ukazać się na ulicach jeszcze przed zapadnięciem zmroku! Malarz, w opustoszałej łoży, nie odrywał spojrzenia od twarzy Anki. Tymczasem sędzia przewodniczący już zaczął ogłaszać wyrok:

- ...Przysięgli wydali większością głosów werdykt uznający Emila Goldstocka winnym przestępstwa zniesławienia z § 493 ustawy karnej austriackiej. Na tej podstawie sąd skazuje Emila Goldstocka na karę jednego miesiąca aresztu, zwrotu kosztów postępowania karnego i ogłoszenie wyroku w „Czasie”, „Słowie Polskim” i „Neue Freie Presse” .

Mecenas Schwarzenstrumpf zmierzył uważnym spojrzeniem Ankę i mecenasa Galę, wymieniających jakież uwagi. Ach, tak! Spostrzegłszy, że tym razem na jego spojrzeniu skupił się wzrok Gali, uśmiechnął się doń jak najcieplej.

66. Ludzie się boją; ludzie zawsze się boją

Raz po raz się budziła w pokoju na Aryańskiej, potem z mozołem udawało jej się zasnąć i znów się zrywała; z boku na bok, jakieś wgniecione to łóżko, materac za miękki. To tylko nerwy? Niby nic dziwnego, noc po takim dniu! Ale? Opierając się na łokciach, nasłuchiwała. Niedawno minęła druga; skąd te głosy? Z jakiej racji z podwórza? Nie, to niosło po ścianach. Z trudem

poznała baryton właściciela mieszkania; o tej porze i przy kie-
liszku głos tego zawsze uprzejmego, uprzedzająco grzecznego
wykwintnisiu brzmiał nieco inaczej:

- ...skompromitowana! Ty widzisz, jak ludzie patrzą teraz i
na nas, bo...

- Ciiiszej! - głos jego żony. - Ale co ty chcesz? Płaci! Płaci!
Ona płaci! A to, przy twojej obecnej, pozał się Boże, pensyjce
diurnisty w magistracie!

- No, no, no... ale zawsze!

- Dobrze... A gdzie drugą taką lokatorkę spokojną znaj-
dziesz, taką akuratną?

- Ty chyba naprawdę nie jesteś przy zdrowych zmysłach!
(...prędzej wszystko wypiją, co mają na tym stole z ceratą w
pszczółki, niż rozwikłają sprawę tak drażliwą...). To ty nie
wiesz, do czego posuwają się ci, ci socjaliści!? Widocznie nie
czytałaś dokładnie sprawozdań z tego jej procesu! Albo nie
doczytałaś! To ja ci powiem: jedno z drugim żyje tam jak w
burdelu...

- O!

- I ona też! Ona też, kobieto!

Anka podniosła z nactkastlika woskowaną torebkę z fir-
mowym nadrukiem sklepu kolonialnego, wysypała z niej na
pościel kilka bananków cukrowych, ostrożnie, żeby nie szele-
ściło, nadmuchała torebkę - i strzeliła z niej.

W tej sytuacji huk wystrzału z rewolweru nie wydawałby się
potężniejszy.

Od tej chwili już cisza.

- Bo wszyscy się boją - powiedziała do siebie Anka.

Między częściami

Zapiski człowieka bez paszportu, którego ktoś, ograbiwszy, wyrzucił z pociągu na trasie Kolei Warszawsko-Wiedeńskiej tuż pod Zawierciem. Ekspertyza wykazała - o czym zresztą *ad oculos* przekonywała zmasakrowana straszliwie twarz, że pasażer przedtem został w pociągu zabity. Nie można było zrobić fotograficznej podobizny celem prześledzenia, kim był ten człowiek. W wytwornym przedziale pierwszej klasy zostały tylko okulary, gruby notes z wydartymi częściami zapisanych stron (ktoś musiał mieć dużo czasu i swobody, żeby wydrzeć pewną część notatek, adresów, wskazówek dotyczących tożsamości denata), przy ofercie natomiast, w specjalnym schowku w plecach kamizelki - tam gdzie zazwyczaj jest jedwabna podszewka, w takiej kieszeni, odnaleziono kilkadziesiąt już przepisanych starannie na amerykańskiej maszynie (ale z miejscami pozostałymi na uzupełnienia) kart papieru konceptowego. Ślady, ujawnione w zapiskach, włącznie ze zdawałoby się istotnymi i konkretnymi informacjami o grobowcu rodzinnym umierającej żony autora sprawozdania, na razie nie przyniosły rozwiązania smutnej zagadki.

Pani O., pacjentka w klinice dra Rutkowskiego (nazywanej w Krakowie z przyzwyczajenia kliniką Gwiazdomorskiego, acz doktor Gwiazdomorski, jej założyciel i pierwszy właściciel, od paru lat już nie żyje), kilka dni temu się wypisała i o własnych siłach opuściła lecznicę. Towarzyszył jej nobliwy, wytworny

pan, wsiedli do eleganckiego powozu z dyskretnie zaznaczonym herbem - i personel medyczny zapewnia, że musiało się to stać w parę dni po zgonie autora zapisków, męża czy towarzysza życia tej młodej, pięknej, ciężko chorej, ale wręcz cudem wracającej do życia kobiety.

Z zapisków znalezionych przy ciebie

15 lutego 1909

Sąd partyjny nad Brzozowskim. Sala Kasy Chorych dla robotników. Ulica Wiślna. Oczywiście byłem, mimo najlepszych miejsc byliśmy z O, wykończeni, kiedy po dwunastej w nocy wyszliśmy z procesu. Odrębne notatki. Z ważniejszych ekscesów: pisarzowi Oskarowi Katzenellenbogenowi, który żarliwie bronił czci Brzozowskiego, strącono szkła z oczu.

16 lutego 1909

Coś straszego! Dlaczego tam tak - a tu ta kobieta - co najmniej równie niewinna jak Brzozowski - musi bronić się sama? Sama, przed sądem karnym. Jej adwokat - przynajmniej do tej pory - robi wrażenie mydlarza. Czy w przypadku tego człowieka z przyklejonym wiecznie uśmiechem to tylko podwójna gra?

Ładna, kiedy mówi lub się delikatnie uśmiecha, sprawia wrażenie pięknej. Coś wyjątkowo tajemniczego w tej twarzy i nie tylko: także w pewnej gracji, która jest nie tylko w jej delikatnych, bym powiedział, półruchach, lecz wokół niej w tym czasie się wytwarza. Nazywają to aurą. Jeżeli to to, to aura wokół niej dobra.

Mówi sama, mydlarz na razie milczy. Co może mówić? Padła ofiarą - mówi o sobie - strasznej pomyłki albo jakiejś intrygi

i osobistej zemsty. Pytamy, kto (bo co, to wiadomo) za tym stoi. Sam Trybun? A może ktoś, kogo oni szantażują niby prywatnie, jako ofiarę? Mydlarz; że wziął taką sprawę? Słyszy się o nim, że ryzykowny - ale od którego momentu się to słyszy? Wcześniej tak nie bywało. Uwaga!

Ona mówi: „Chciałam się postawić przed sądem ludzi uczciwych”.

Chciała. Chciała uczciwych. Tutaj? Marzycielka albo kobieta-kpiarz.

W „Marszu”, gdzie ukazało się - wydrukowane pod presją gniewu jej i jej męża - oświadczenie Korowskiej, że nie ma nic wspólnego z ohydną sprawą, redakcja chyżo zapewniała, że zbierze się i odbędzie w jej sprawie sąd partyjny. Ale gdzież tam! Gdy przyszło co do czego, taki sąd partia zafundowała tylko Brzozowskiemu. Zafundowała *par excellence!* Wraz z widownią złożoną z najszlachetniejszych głów Europy (w tym mojej, ha, ha!).

- Sąd partyjny? - szepcze ta piękna, zgrabna brunetka. - W końcu mi go brutalnie odmówiono! A motywacja - partia jest o mojej winie przekonana!

Broszury przewoziła, ale do wielkiego ołtarza nie została dopuszczona. Dromaderka.

Zeznaje Goldstock. Co on mówi!

- Bliska znajoma, ba! przyjaciółka. Oczywiście, tylko przy stole, dochodziło niekiedy do zwierzeń. Ona, pani Anna Korowska, twierdziła, że nic nie poradzi na to, że zakochuje się tak szybko. To jest niezależne od niej wtedy, ten stan.

Ten człowiek bredzi nie na temat. Wydaje się być pod działaniem chemicznych środków odurzających!

Chcę już wyjść, okazać tym swoje oburzenie dla niego, ale O. - zawsze rozsądna, ale czy zawsze mądra? - powstrzymuje mnie. Słyszę słowa Goldstocka, które i tak by mi kazały opaść na krzesło:

- Zwierzyła mi się, że popełniła zbrodnię i chce jak najszybciej uciec do Ameryki.

Tak to jest robić z tata wariata! Czuję się, jakby to mnie

obrażano. Jakby mi podsuwano pod nos kloaczną literaturę owiniętą w pojszczane majty! Przewodniczący na to, niby na temat, że Korowska miała dwa paszporty. Miała, ale nie ma żadnego. Jeden, wydany w Limanowej 8 lipca 1905, już stracił ważność. Drugi - wydany w 1906 na trzy lata - zaginął jej.

Zaginął? Czy nie został oddany przez te inne, wypożyczające paszport, to znaczy jeżdżące nielegalnie z cudzym paszportem?

Przewodniczący pyta Goldstocka, dlaczego mimo wcześniejszych zapewnień nie zwołano dla Korowskiej sądu partyjnego.

Goldstock odpowiada: - Nazwała socjalistów wyrzutkami społeczeństwa!

I dlatego? Śmiech na sali.

Obrazili się, aha! Kto to powiedział, że obrażać może się służący? To dobre, a, to dobre!

Jest ten Bakaj. Dziwny typ, cholera, tego bym się nie spodziewał? (Gdzieś go widziałem, w zupełnie innej roli, milcz pióro, przynajmniej na razie!). Szatyn, tak, w ciemnych okularach, średniego wzrostu. Ma, jak twierdzi, 27 lat, studiuje filozofię w Paryżu. Dałbym mu co najmniej 37 - i dałbym mu ja studiowanie! Dałbym mu 27 lat - ale ciemnicy! Opowiada ze znanstwem, jak to ochrona zatrudnia szpiegów etatowych - i ci się nazywają filoni - oraz tajnych agentów. Do tych drugich zaliczył pokazaną mu na sali Korowską. Czy ją zna? Oczywiście! Kiedy ją poznał? Maj lub czerwiec 1905.

Zobaczył ją po raz pierwszy w biurze szefa warszawskiej ochrony, Petersona. - A kiedy po Petersonie nastął Szewiakow? - Znaczący co? - z głupia frant Bakaj odpowiada na pytanie sędziego przewodniczącego. - Czy i wtedy świadek widywał się z panią Korowską? - Ja z tą panią się nie widywałem. - No więc pytam, czy choć raz widział ją świadek tam później? - O! - Czy „o!” znaczy: widywał pan, czy nie widywał?... I dalej głupie popisy, takie gierki słowne, nie wiadomo kogo mające rozwścieczyć. Ach! Peterson żadną miarą nie przybędzie ani już nie napisze ani jednego słowa (natura jest bezwzględna; Stwórca

nieubłagany), można się natomiast spodziewać zeznania Sze-
wiakowa. Dlatego tu Bakaj lawiruje jak może.

- Zwierzała się Petersonowi - twierdzi Bakaj - że ma kłopoty z mężem, który ją zdradza, sama zaś kocha się nieszczęśliwie w profesorze uniwersytetu. Za swe usługi dla ochrony otrzymywała 75 rubli miesięcznie. Ze względu na swą sytuację żądała podwyżki do 100 rubli. Peterson obiecał podwyższyć, jeśli agentka, jak się wyraził, „będzie zdolna”.

Dlaczego Bakaj tu podaje inne nazwisko odbiorczym rzekomych raportów Korowskiej, a inne podał wczoraj podczas procesu Brzozowskiego? Adres w Warszawie ten sam: ulica Daniłowiczowska 5. Dziś nazwisko Nina Jankiewiczowa, wczoraj - Nina Fentianek. Co, do cholery? Nikt z sądu nie zwraca na to uwagi?

- W następstwie donosu Korowskiej - twierdzi dalej Bakaj - w Warszawie na Składowej wpadka w mieszkaniu nauczycielki, która działała w ruchu socjalistycznym. Rewizja.

Pytają go: - Czy znaleziono dowody kompromitujące nauczycielkę? - Bakaj nie wie. Pytają go, czy nauczycielka została aresztowana, także nie wie. Przewodniczący pyta Bakaję: - Czy pan jest Żydem? - Nie. Jestem Małorosjaninem - odpowiada i nie wiadomo po co dodaje, że Azef jest Żydem.

Czy ma niezbitą pewność, że wszystkie osoby na liście opublikowanej w „Czerwonym Sztandarze” były agentami ochrony? Na tak zadane pytanie ten człowiek, którego oczu nie widać zza ciemnych okularów, odpowiada bez zająknięcia, że znalazł się na niej przez pomyłkę Dunin-Borkowski. Przez czyją, pytają, pomyłkę? A jeśli Dunin-Borkowski, to który? Bakaj wzrusza ramionami. Pierwszy przynajmniej jakiś ludzki odruch. Choć bez wątpienia pejoratywny.

Michał Grodzieński z Warszawy, działacz Bundu, także protestował, twierdząc, że jego nazwisko i imię umieszczono bądź pomyłkowo, bądź wskutek intryg, ale jego protestu nie wydrukowano - dodaje przewodniczący. Bakaj nie reaguje. Czeka.

Niepytany wyrywa się, a gdy trzeba odpowiedzieć, milczy. Zimny, wyrachowany typ, bez wątpienia człowiek o prymitywnym kośćcu. Okrzesany, lecz nie wiadomo po co.

Skandaliczne: oto Stefana Korowskiego, męża pani Anny, który uczestniczy w rozprawie, w pewnym momencie służby wyprowadziły z sali - nie powiem, żeby zrobiono to dyskretnie. Od redaktora W, dowiedziałem się nazajutrz rano, że Korowskiego wtedy zrewidowano dokładnie w specjalnym pomieszczeniu. Stało się to na skutek obaw (ba, strachu!) zarówno Trybuna, który będzie zeznawał jako świadek, jak i samego Goldstocka, że Korowski chce ich zastrzelić. Po incydencie pan Korowski złożył w depozycie sądowym rewolwer, na który ma pozwolenie.

Mydlarz na oko, znaczy adwokat Gala, do tej pory milczał — ale od kwadransa było widać, że się gotuje do skoku. Nakrzyczał najpierw na sędziego, że nie odróżnia Bakaję od Burcewa - pierwszy przecież to „nawrócony”, o brudnej przeszłości, tajniak rosyjskiej policji, drugi zaś w pełnym tego słowa znaczeniu rewolucjonista czysty jak łąza - i wreszcie wypalił mniej więcej tak:

- Jeżeli sam nabędę przekonania o winie pani Korowskiej, wówczas zrzeknę się obrony!

Dziennikarze zapisali to skrzątnie; każda gazeta, rzecz jasna, zinterpretuje to na swój sposób. Jutro podczas lektury pięciu czy sześciu gazet będę miał świetną zabawę. Jeśli dożyję.

Pytana Korowska. Wstała. Szczupła brunetka w czarnej sukni - budzi mój zachwyt (zakochałem się trochę, czas na romans, J, wyczerpała resztki *caritas* dla mnie, O, natomiast, tragiczna, nie wymaga ode mnie już nawet opieki); nie wygląda na swoje 28 lat. No, dwadzieścia pięć bym dał. A ona? Ona ile by mi dała? Dosyć. Nie jestem tutaj dla siebie. W 1903 i 1904 mieszkała we Lwowie, studiowała tam medycynę, wyszła za mąż. Na rok akademicki 1904/1905 przeniosła się do Krakowa. Studiując w Krakowie, miała posadę nauczycielki w Limanowej, którą wyrobił jej mąż, pracujący tam wówczas w starostwie. Tak to jest, jeden się ugania za pracą, nie mając stosunków,

szlifuje bruki, inny, dzięki układom, bierze pieniądze za fikcyjną posadę. Teraz, po tej kompromitacji, sam pan Korowski znajdzie się w sytuacji nie do pozazdroszczenia. Wywałą go jak nic, na zбитy leб. A potrzeby ma, owszem, widać to po nim, sybaryta, spaślak, a może trochę spuchnięty, pijak zapewne. Pijak. O, jak charakterystycznie wymachuje rękami.

Człowiek, który w młodości miał poetyckie zdolności.

Dosyć tych kpin, miałem tu pracować, a nie dogadzać sobie.

A ona jednak przez kilka miesięcy pracowała tam w szkole, do końca marca. Oddaję honor... częściowo. Medycynę studiowała, ucząc się ze skryptów. Potem wyjechała do Krakowa. Celem... czy dobrze słyszę? - celem odbycia połogu. Więc to tak? Do diaska, z kim wobec tego ta ciąża? Mąż zostaje w Limanowej? A ona w Krakowie, co? Sama. Najpierw w pensjonacie jakimś, potem w szpitalu, pod świetną opieką, a oto już maj, przenosi się z dzieckiem do mieszkania na pobliskiej ulicy Aryańskiej 18. Dlaczego była tam tylko kilka dni? A, potem zaraz profesor Fetter zezwolił jej mieszkać z dzieckiem w szpitalu Świętego Łazarza. Od połowy maja nauka, wykłady, praca w klinice. Dziecko, chłopczyk, wychowuje się pod opieką szpitalną, 21 czerwca chłopczyk umiera. Natychmiast - widocznie musiała ze względów sanitarnych - przeniosła się na Aryańską, gdzie przeniesiono zwłoki dziecka! Po pogrzebie znowu skorzystała z zaproszenia Fettera i w szpitalu dochodziła do siebie. Przebywała tam do 5 lipca, znaczy do dnia egzaminu. Po czym długo się nie zastanawiała nad kolejną przyjacielską propozycją profesora Fettera i przez całe wakacje mieszkała w szpitalu, pracując dzień i noc (gdy trzeba było, zawsze do dyspozycji) jako elewka na jego oddziale.

A potem? Od września do października - Blich 24, następnie Topolowa 21, u bliższych znajomych, aż do sierpnia 1907 roku. Później niedługo jako sublokatorka w mieszkaniu na Pańskiej. Następnie wyjechała do męża.

Mąż, mówi sędzia, nie łożył regularnie, niekiedy, jak sam zeznał, w ogóle nie płacił. Z czego żyła, za co się tak stroiła? -

Rocznie, mówi ta kobieta jak na spowiedzi, otrzymywała 800 koron stypendium. - Przez cały czas pobytu w Krakowie? - Od 1903 do końca lipca 1908 roku. Poza tym nominalnie byłam nauczycielką w Limanowej. Co miesiąc mąż przysyłał mi całą należną z tego tytułu gażę.

Ha, należną!

Tego nie brał pod uwagę, kiedy zeznawał. Bo poza tym od siebie słał pocztą, kiedy chciał i ile chciał. Ale zazwyczaj było to kilkadziesiąt koron.

Miesięcznie? Tak, miesięcznie.

Ile wynosiła ta pensja nauczycielki? 50 koron na miesiąc.

No, myślę sobie, uzbierało się tego. Owszem, ładna sumka. Ona psuta przez głupich mężczyzn, owszem. Ale nie wygląda mi na osobę, która chciałaby więcej i więcej.

Mało tego; prawie przez cały czas pobytu w Krakowie miała każdego miesiąca przeciętnie 40 koron dochodu z akuszerii. Bliska płaczu: przyjmowała porody, mówi łamiącym się głosem, opiekowała się noworodkami, a u swojego własnego dziecka, dużego niemowlaka, nie potrafiła rozpoznać symptomów choroby, którą można było opanować i zapobiec nieszczęściu.

Niezwykły okres w jej życiu to przewożenie bibuły. Mówi o tym, uspokajając się stopniowo. Jeden z profesorów (wiadomo kto, Fetter) opłacił jej miesięczny pobyt w sanatorium wodolecznicznym w Kosowie. Żeby rany duszy mogły się jakoś podgoić. W Kosowie natrafiła na niezwykle towarzystwo. W tej stacji klimatycznej w Stanisławowskim (najbliższe miasto: Kołomyja) oprócz zwykłej kuracyjnej tłuszczy przebywali i trzymali się razem ludzie światli i dumni, żaden z nich jednak nie szedł w ordynku. Szanując indywidualne poglądy i postawy, wspierali się oni wzajemnie. Pochodzili z różnych stron kraju, znali się jednak nie od dziś. Po studiach w Lozannie, w Brukseli, w Paryżu, robili swoje, a poza tym myśleli o tym, jak od podstaw urządzić wszystko w wolnym kraju. Czuło się w elitarnych kręgach, że ta wolność wkrótce nastąpi; nie rozkwitnie jednak pięknie - ona wybuchnie. Więc bibuła. Pisma mające otwierać

oczy prostym ludziom, budzić w nich świadomość wspólnoty, dawać im siły do walki. Wtedy po raz pierwszy zobaczyła Trybuna. Na razie z daleka. Bliżej poznała się za to ze szlachetnym ze wszech miar Michałem Korzyńskim, zwierzyła mu się z nieuleczalnego smutku po śmierci młodszego dziecka. To Korzyński stwierdził, że uzbrajanie ludu pracującego (wstępnie przy pomocy bibuły) pozwoli jej zająć się czymś, co będąc niebezpieczne, wymaga stałej uwagi, a będąc pozytywne, da świadomość czynienia dobra.

- Dlaczego - pyta doktor Nadreński, obrońca Goldstocka - jako jedna z tak zwanych dromaderek wprowadziła pani bibułę nielegalną przez kordon i uważała się pani wtedy za osobę spełnioną, nawet coś pani powiedziała o niezwykłym okresie w życiu, to jednak tak źle się pani wyrażała o socjalnych demokratkach? Bo co do tego jesteśmy zgodni. Nie zaprzecza pani własnym pejoratywnym określeniom socjalistów, które przytoczył redaktor Goldstock? Sama pani rozumie, że to podejrzane, działać, narażać się i przy tym nie wierzyć w sprawę?!

- Nigdy tego nie ukrywałam. Niejeden socjalik słyszał ode mnie to, co usłyszał sąd od Goldstocka. Interesowały mnie prądy narodowe - i tu wchodziłam głębiej, czas się nie liczył, po całym dniu pracy przegadało się niekiedy noc i do bladego świtu, tak paliłam się do dyskusji. Prądy socjalistyczne natomiast, jako płynące ściekiem prosto z rewolucyjnej Rosji, nie interesowały mnie nigdy.

Panowie, Bakaj, w których zeznaniach fałsz goni fałsz, wziął was na kawał! - mówiła dalej. Potem chyba niepotrzebnie rozgadała się o sposobach rozwożenia bibuły (wszystko to znam z autopsji, zgadza się, owszem), o trasach mających zmylić czujność wrażliwych czynowników. Wskazała na Trybuna (ach, więc to o to chodziło, Trybun umywa ręce, ale ślady pozostawione dzięki przytomności umysłu tej pani i tak łatwo nie znikną): wyjaśniła zgromadzonym, że właśnie stosując się do jego sugestii, nieraz z Krakowa jechała przez Lwów do Warszawy, unikając w ten sposób podejrzeń.

Ale - uwaga, tu mydlarz zabiera się do rzeczy i naprowadza,

pytając ją, czy robiąc wszystko, żeby uniknąć niebezpieczeństw dekonspiracji w podróży, nie zanadto ufała tym, którzy byli na miejscu? Korowska ożywia się: owszem, tak zwany ktoś w jej mieszkaniu na Blichowej wszystko poprzewracał, jak była w Okocimiu na imieninach znajomego małżeństwa, akurat tak się złożyło, Józia i Józ, przyjaciół z ruchu patriotycznego. Zapewne ktoś, kto wiedział, że ona nie wróci na noc, nie zrobił tego ot tak, dla fantazji. Czy coś zaginęło? Trudno dociec, taki tam buszujący zostawił bałagan. Jeżeli było coś kompromitującego, coś czego znalezienie mogłoby komukolwiek zaszkodzić, to w żadnym z jej kolejnych mieszkań nie znajdowało się w dostępnym miejscu. Akurat wtedy nie - ale bywały okresy, kiedy miała u siebie rewolucyjny skład broni.

Czy lubiła ryzyko? Na to pytanie odpowiada natychmiast:

- Tak. - I dodaje: - Czas przeszły jest tutaj nie na miejscu.

Nagle pytanie. Kiedy pobrali się państwo Korowscy? Odpowiedź: w 1902 roku.

Czy mąż, zanim nastąpiła separacja, zawsze wykazywał troskę o jej sprawy bytowe?

- Po śmierci dziecka przez dwa miesiące nie przysyłał pieniędzy.

- W ogóle? Nawet tych nauczycielskich poborów?

- W ogóle.

O, kogo my tutaj widzimy? Menasze Tillesbaum, nic a nic się nie zmienił: - Cześć! - Cześć! - korespondent żydowskiego tygodnika z Wilna, wydawanego w jidysz.

Stefan Korowski, pytany przez adwokata pozwanego, czy ani przez chwilę nie przestaje wierzyć w niewinność Anny, odpowiada z właściwym sobie patosem:

- Nie byłoby mnie na świecie, gdybym się przekonał o winie mojej żony.

- Czy to prawda, że wyzwał pan Trybuna na pojedynek?

- Wyzwałem tego pana.

- Mimo zakazu pojedynków?

- Atć! - I zatoczył nad głową kółko, po czym (honor, nade

wszystko honor) dłoń tę przytknął do serca, a ściślej, do klapy marynarki.

- Pojedynek się jednak nie odbył. Dlaczego?

- Odstąpiłem od pojedynku. Tak, to ja odstąpiłem. Sprawdziłem. Nie chcę gmatwać sprawy i wprowadzać niepotrzebnych wątków, które musiałyby obrodzić kolejnymi procesami. W każdym razie w myśl kodeksu Trybun okazuje się niezdolny do satysfakcji honorowej.

- Wiadomo nam - ogłosił adwokat Goldstocka - że Ludwik Nabojski, literat, niekorzystnie się wyrażał o Korowskiej.

- Niekorzystnie - pyta przewodniczący - znaczy jak? - Adwokat Goldstocka na to szybkoitko, że Nabojski gotów jest przyjechać do Krakowa, jeżeli zostanie wezwany przez sąd. - Ale jakie - naciska przewodniczący - są konkretne uwagi czy zarzuty stawiane przez tego pana? - To musiałyby - przerywa tym razem Goldstock - musiałyby on sam, pan Nabojski. Nie upoważnił nas bowiem do ogłaszania szczegółów. - W takim razie - przewodniczący na to - na obecnym etapie zjawienie się tego pana w charakterze świadka uważam za bezcelowe i niewskazane.

Mydlarz przestaje być mydlarzem. Macha ręką na tę czczą płataninę w sprawie enigmatycznych zeznań jakiegoś podobno literata i mówi, wskazując na Bakaja:

- O co my tutaj, proszę państwa, kruszymy kopie? Czy nie szkoda nas, Polaków, na mdłe dywagacje na kanwie, którą nam podsunął ten człowiek, właściwie bez narodowości, bez honoru, nieuznający norm moralnych? Siedzi sobie przed nami i znowu oszukuje. Próbuje nam wmówić, że obecnie, po porzuceniu intratnej roboty w ochronie, żyje w nędzy. A ja mówię, że on, Bakaj, ma kapitał w wysokości 40 tysięcy rubli! To było do sprawdzenia i sprawdziłem! Majątek! Może ma nawet więcej, ale 40 tysięcy rubli na pewno. Spójrzmy, jak się teraz mieni na twarzy! Choć udaje, że nie wszystko rozumie, choć udaje, że ma kłopoty z polską gramatyką... Nie potrafił w tej chwili ukryć przykrego zaskoczenia! Tak, patrzmy teraz na Bakaja, na człowieka, który może pamiętać, ile to setek ludzi wysłał na śmierć!

- Wielkie słowa! - wykrzyknął Nadreński. - W celu zamydlenia oczu można przemawiać tak w nieskończoność! Niech pan mecenas zostawi te zawodowe sztuczki na później, żeby spróbować nie wyjść na idiotę po przegranej sprawie...

- Sąd upomina... - zaczął przewodniczący.

Nadreński wstał z przepaszającym uśmiechem i szybko łapiąc powietrze, dodał:

- Przechodzę do rzeczy. Wczoraj w przerwie sądu partyjnego nad Brzozowskim adwokat Pięściński powiedział mi w obecności panów Oskara Katzenellenboga i Alfreda Nossiga, że wystarczy jego stawienie się obok Bakaja w charakterze świadka, ażeby zadecydować o winie Korowskiej.

- Czy pan coś z tego rozumie, panie przewodniczący, bo ja nie - powiedział Gala.

- Czy pan obrońca może wyrazić to jaśniej? Sprecyzować, co według niego kryje się pod sformułowaniem: „zadecydować o winie Korowskiej”?

- Myślę o autorytecie...

- To jest sąd przysięgłych, a nie zgromadzenie areopagu. Proszę nie posługiwać się półsłówkami. Albo pan mecenas stawia wniosek o przesłuchanie pana Pięścińskiego w charakterze świadka, albo uznamy ten wątek za wyczerpany.

- Wobec tak długiego milczenia mecenas Nadreńskiego wypada mi prosić pana przewodniczącego o udzielenie głosu mojej klientce - powiedział Gala.

- Proszę, ależ proszę - wymamrotał przewodniczący, wyrwany z dziwnej zadumy. Odchrząknął i rzekł wyraźnie: - Sąd udziela głosu pani Annie Korowskiej.

Gala pomógł jej wstać. Błada, wzburzona, sprawiała wrażenie osoby, która może wydać najwyżej jęk albo krzyk. Tymczasem mówiła czystym głosem, potoczyście, żywo, ale bez śladu emocji:

- Nawet najszlachetniejszy doktor Michał Korzyński, ten sam, który namówił mnie do przewożenia bibuły w celach dla mnie doraźnie terapeutycznych, w pewnej chwili zorientował się, że gra nie jest czysta. Że mam jeszcze czas, żeby wycofać się

z tej gry. Zwłaszcza kiedy dowiedział się, że za moją zgodą na mój paszport jeżdżą do Warszawy i w ogóle do Królestwa inne kobiety, te wtajemniczone, towarzyski. To był ostatni moment. Ostrzegął. Zależało mu na moim zdrowiu, i na mojej czci, ma się rozumieć. Powiem tak: o tym, że twór zwany socjalna demokracja jest wyposażony w dwa żądła - z przodu i z tyłu - o tym więc, o czym mnie przekonywał, a czego nie rozumiałam (nie było to bowiem, i nie mogło być, wyłożone dosłownie), musiałam się przekonać na własnej skórze. Poważnym ostrzeżeniem, kiedy dla mnie, jak się okazało, miało być już niestety za późno, była tragiczna śmierć Wandy Rupniewskiej. Do dziś niewyjaśniona, nie wiadomo, czy kiedykolwiek...

- Kęsicki ją przecież zabił - przerwał Nadreński.

- Głupstwa jakieś - szepnęła i potem powiedziała głośno: - Proszę mi dać dokończyć. Panie mecenasie, pan chce wszystko zepsuć, w tym kontekście wysuwa pan nazwisko Kęsickiego właśnie dlatego, że znalazło się ono także, zupełnie nie wiadomo dlaczego, na liście agentów ochrony, na liście Bakaja! Sprawa nie jest taka prosta. Jak zresztą wszystko, co działo się w gorącym od napięć i obfitującym w wydarzenia nie z tej ziemi roku 1905. Rupniewską z kilku towarzyszami wyszła na majowy spacer późnym wieczorem przez Błonia na Wolę Justowską. Jeden z tych towarzyszy, właśnie Kęsicki, miał nabyty rewolwer w kieszeni palta. Wracając, obsiedli dwie ławeczki *vis-à-vis* ustawione na Błoniach. Było ciemnawo, ale nie na tyle, żeby wszyscy z obecnych nie spostrzegli, bo było to robione z pewną ostentacją, że Rupniewską wyjęła rewolwer z palta Kęsickiego i bawiła się nim. Huknął strzał. Prosto w jej skroń. Ewidentne samobójstwo. Sąd skazał Kęsickiego na sześć miesięcy więzienia za nieostrożność. Tak. W tym momencie Kęsicki został wmieszany. Nikt nie próbował wnikać, jakie motywy kierowały towarzyszką Rupniewską, Kęsicki był za blisko Rupniewskiej, był nieostrożny, i za to nie dość że został osądzony i skazany przez sąd krajowy, to jeszcze dostał się na listę agentów ochrony. Jakże to prymitywne działanie, jak przy tym

doskonale obliczone na efekt wywołany u dobroduszych ludzi postronnych!

Na te wywody Korowskiej natychmiast, nie czekając sekundy, wchodzi znowu Nadreński i wobec zgromadzonych pyta surowo, dlaczego to tak skrupulatna w swoich wyliczeniach, a nadto racząca publikę przypowieściami, które mają skłaniać do głębszych refleksji, zapomniała - a może nie chciała - wspomnieć, że przez rok pobierała u profesora doktora Rutkowskiego po 60 koron miesięcznie. Jest to w zeznaniach profesora na piśmie.

- Nie sądziłam, że pan profesor chciałby, żebym o tym mówiła. Nie czułam się upoważniona, choć do dziś czuję się wdzięczna. Dodam wobec tego, że w tamtym czasie w kwietniu pan profesor wypłacił mi jeszcze dodatkowo 80 koron, o które go prosiłam, a w maju z własnej inicjatywy, pamiętam doskonale - dał drugie tyle.

- Można wiedzieć, dlaczego to robił?

- Nie wiem, czy można. Proszę powołać pana profesora na świadka.

- A, więc to tak.

- Zapewniam pana, że to nie tak.

Sędzia przewodniczący upomina:

- Proszę bez gierki słownych.

- Dlaczego - pyta go natychmiast Korowska - nie powiedział pan tego przed moją ripostą?

Mydlarz (a może nie mydlarz):

- Z relacji zarówno profesora Rutkowskiego, jak i profesora Fettera, wynika, że moja klientka odznaczała się szczególnie, wręcz wyjątkowymi zdolnościami, była ponadto skłonna pomagać nie tylko sekundariuszom, lecz również pielęgniarcom. Zastępowała pracownice nieobecne z powodu choroby lub przypadków losowych, na terenie szpitala działała jako akuszerka. W czasie, o którym mówimy, egzaminy zdawała celująco. Czy jest coś dziwnego w tym, że starsi, zasłużeni i zamożni lekarze wyciągają pomocną dłoń do najzdolniejszych a ubogich adeptów?

- Wyciągają dłoń, mówi pan, he, he!? Starsi, o, ho, ho! Do adeptów?! Pan mecenas Gala, czyżby zapomniał o płci tych, jak to pięknie określił, „najzdolniejszych a ubogich adeptów”?

- Proces nie dotyczy kwestii płci - powiedziała Korowska. Otrzymała brawa. Przewodniczący zagroził, że przy następnej próbie zakłócenia spokoju i burzenia powagi będzie zmuszony wyprosić publiczność.

- To i przysięgłych! - to ja, siedząc z boku i w cieniu, powiedziałem głębokim barytonem. Przewodniczący, już purpurowy i z bielejącymi z gniewu białkami oczu, powiódł wzrokiem po sali, niczego się nie dowiedział i mógłbym zaręczyć, że zaklął paskudnie w duchu. W tym samym momencie rozległ się krótki chichot. To ona, Anka, już prawie, czuję to, moja, Korowska. Ma we mnie sprzymierzeńca.

Z Sądów jak zwykle do restauracji Stahma na Stradomiu. Moja O, pozostaje w hotelu, nie dla niej gwar, dym tytoniowy, z oddali (ale jednak) woń frytury i z bliska czegoś mocniejszego niż herbatka z naparstkiem rumu. Wśród stałej klienteli ów doktor Stefan Korowski, mąż powódki. Sam; swoimi manierami, bo chyba nie tylko wyglądem, odpycha od stolika ciekawskich potencjalnych kompanów. A przecież jeszcze nie tak dawno zaliczał się do lwowskiej elity twórczej, ważne pismo literackie redagował za młodu z Katzenellenbogenem, Staffem, z Kozickim i z tym biednym, zgasłym na gruźlicę za młodu bratem Staffa. Z cukierniczej rodziny, a gruźlica. Najpierw syna zabrała, potem ojca. Teraz pani Staffowa sama kręci lwowskim słodkim interesem na Skarbkowskiej ulicy. No właśnie, wszystko się zmienia. W szarej, gąbczastej twarzy tego do niedawna bez wątpienia przystojnego mężczyzny aż kipią gniewem niebieskie oczy o mocno zaczerwienionych białkach. Jęczmień, dopiero powstający na lewej powiece, sprawia, że oko wydaje się mniejsze. Zaprasza mnie ruchem głowy i tą swoją grubą łapą delikatnie odsuwa dla mnie krzesło. Te trzy (więcej obecnie nie pijam) kieliszeczki mocnej jak spirytus, wonnej śliwownicy rozgrzeją, wzmocnią i pozwolą bez cierpień

stanąć oko w oko z nieszczęściem tego człowieka który jest odłamkiem zaledwie nieszczęścia swojej pięknej żony-nieżony. Zna mnie, poznał przez kogoś albo ze zdjęcia w prasie, może z frontyspisu niedawno wydanej we Lwowie nadbitki mojego głóśnego (przecenionego, mówiąc między nami) wykładu w Lozannie. Przybył tu w poszukiwaniu pracy w Bibliotece Jagiellońskiej. Czy mógłbym go protegować? Pyta półsłówkami, nie odpowiadam, słucham; fakty, najpierw niech poznam fakty. Trudna kobieta. Sama mu powiedziała, że nudny. Nie, że pijak czy hulaka. Po tym jej oświadczeniu dopiero zaczął sobie pozwalać. Bardziej nawet niż za kawalerskich czasów. Kiedy wracał o świcie, utytlany, pachnący lub śmierdzący inną kobietą, w jej oczach widział zdumienie (czyżby dopiero skutki kazały jej poznać i docenić własną siłę?): ona to przecież sprawiła, że taki się stał. Wyszła wreszcie twoja prawdziwa natura, mówiła mu, gdy się żalił (bo to nie ona się żaliła, jej od razu stało się to obojętne), do tego stopnia uraziła jego dumę, że obywali się bez rozmów. - Potem, już w Krakowie - śmieje się Korowski (cała twarz w kłębach dymu, na chwilę odsłonił się ten jęczmień) - w Krakowie wyszła jej, Anki, prawdziwa natura. Tego, co robiła, nie można w ogóle po ludzku określić? - Może pan opowiedzieć? - Pan sobie wyobraża taką sytuację, że wobec wszystkich od razu po wykładzie ona robi profesorowi światowej sławy otwartą scenę miłosną?

- Może scenę zazdrości? - pytam.

- Nie, panie kochany, miłosną! Proszę mnie nie podejrzewać o brak precyzji w wysławianiu się, bo pan wie, że gotówem się wściec tu na miejscu. Ja, pan wie dobrze, swoje ambicje miałem! Słuchaj pan! Ona robiła takie ruchy, jakby się chciała rozebrać! Przed nim się rozebrać, tylko przed nim - a wobec wszystkich. Ubrana, pan sobie wyobraża - a taakie o, ruchy!

- Rzeczywiście. Ale pan tego nie widział.

- Słyszałem.

- Ruchów się raczej nie słyszy.

- Szkoła precyzji, dobrze. Ale, panie, za przeproszeniem, jak mi pan jeden powiesz, że jestem głupi chuj, mam prawo nie uwierzyć, ale jak mi tamten pan z monoklem w oku, ten, tak, co tam siedzi bliżej pieca, powie to samo, to już się głęboko zastanowię. A jak jeszcze jeden mi to szepnie, tak niby od niechcenia, to co, będę nadal zadowolony z siebie? No, wyrzucili mnie dzisiaj znowu z sali sądowej. Co, miałem siedzieć cicho, jak zeznałem, że Trybun jej radził, żeby czym prędzej pruć do Ameryki, nie oglądając się na żadne sądy, co oczywiście zhańbiłoby ją bez reszty, a ten ci tu Trybun w charakterze świadka wypiera mi się dziś w żywe oczy! Nie, gada i patrzy na wszystkich tym spojrzeniem wystudiowanym na szlachetne: „Nic podobnego do pani Korowskiej nie mówiłem”! To co, miałem siedzieć cicho!? Wrzasnąłem, że podły kłamca. Żona co potem mówiła jeszcze?

- „Gubią mnie wyrzutki spod «Czerwonego Sztandaru»” - odezwała się głośno zaraz po tym, jak pana wyprowadzili. Nie wiem, czy chodziło jej o gazetę, czy w ogóle o tych czerwonych z powodu refleksu sztandaru...

- Ładnieś to pan ujął, ale to na jedno mniej więcej wychodzi, prawda?

- Prawda.

- I co jeszcze mówiła? - pyta. Nie mogę nie myśleć o nim jako o przyszłym rywalu, śmiać mi się chce, ale sytuacja jest coraz bardziej poważna.

- Czy to także taka prawda o mnie - pytała ironicznie - jaka jest o Brzozowskim?

Popatrzyłem na Korowskiego, zauważyłem, że zewsząd przypatrują nam się ciekawie, przepiłem więc, zakąsiliśmy karpikiem, jeszcze lyczek, odtąd dla mnie już tylko herbata i:

- Panie Stefanie, jakie znaczenie mają bardziej lub mniej prawdopodobne doniesienia o scenach miłosnych pańskiej żony całkiem ubranej i w miejscach publicznych wobec stwierdzonego faktu, że nasz szlachetny Brzozowski przed laty naprawdę - naprawdę, podkreślam - zdefraudował kasę z koleżeńskich zbiórek Bratniej Pomocy? Teraz tam na Wiślniej się

mówiło, że zrobił to (notabene, potajemnie i podstępnie, tego się nie da wymazać), żeby mieć pieniądze na ratowanie ojca ciężko chorego na raka, ale jeśli ja bym nagle wyszedł i powiedział, że mam dowody w postaci zeznań kilku kolegów, że Brzozowski tę forszę obrócił na dziwki i hazard, to dlaczego miałyby to wyglądać mniej wiarygodnie niż cokolwiek innego?

- Ja wiem dlaczego.

- Słucham?

- Bo pan by tego nie zrobił. __ ?

- Pan by tak nie postąpił. Wrzucanie zgniłych jaj do potrawki to jest specjalność czerwonych.

Przy okazji łatwo się dowiedziałem (śliwowica; on bowiem, w przeciwieństwie do mnie, nie poprzestał na setce), co pan Stefan wie i co myśli o Azefie, człowieku o podobnie groźnym życiorysie jak Bakaj i... czy ja wiem... i jak Brzo [mocno skreślone, zamazane]. Ten Azef który miał przyjechać do Krakowa, żeby zeznawać na procesie Brzozowskiego. Nie zjawił się, choć krąży plotki, że jest w Krakowie. Ukrywa się teraz tchórzliwie wielki Azef. Były terrorysta boi się jak ognia konfrontacji. Tak, to i ja teraz wiem. Organizował zamachy tylko po to, żeby wskazywać ochranie najwybitniejszych działaczy. Szuler? A jeśli fanatyk, to jakiej sprawy? Stróż diabelskiego gówna. Cóż może o tym wiedzieć Korowski, odstawiony od poetyckiego stołu, zarzygany niestrawnymi resztkami zalegającego od lat poetyckiego natchnienia, kauzyperda zaszyty pośród zakurzonych papierzysk w zacienionych kątach Galicji? On uważa, że ci ideowi z pozoru, najzajadlejsi rewolucjoniści to bez wyjątku agenci ochrany. Człowiek przekonany o ideach socjalizmu, według niego, nigdy sam by nie doszedł do za przeproszeniem przemyśleń, których rezultatem jest gwałt, przemoc, rabunek, cyniczne oszustwo, wreszcie zabójstwo, wyrachowane morderstwo. Idealista taki, ten prawdziwy, nie związany z tajną policją, to gość delikatny, wrażliwy.

- Mówię gość - tłumaczy - bo to ktoś taki, kto choć sam uważa się za towarzysza, u towarzyszy jest gościem. I ten

uduchowiony, mówię metaforycznie, przybędą, co ma robić, uwierzy owym umoczonemu po uszy „ludziom czynu”, sam rzuci bombę, obrabuje pociąg przewożący pieniądze, zabiwszy wprzód kilku ludzi, strażników, kolejarzy. Już nie będzie tym samym. Oczy mu zaczną biegać, nie rzuci jasnym spojrzeniem, żeby we własnych szeregach jak reflektorem wypunktować zdrajców. Zdrajcy pod przebraniem rewolucjonistów idą po należną im gaź do swoich mocodawców w ochronie, a ci, zadowoleni z efektów, wysyłają raporty krytykujące zwyczajną, niepolityczną policję, tych szaraków, że nieudolni, że funkcjonariusze nie potrafili powstrzymać krwawych zamachów! Ot, panie dobrodzieju, perfidia! To co, jeszcze po kusztyczku? O, widzę, że pan już przy herbacie, rozumie się, dama czeka; przepraszam, jeśli uraziłem.

- Nie uraził pan - mówię i sam się dziwię, że zwieram się temu człowiekowi. - Ja przyjechałem tu pochować tę moją damę.

Patrzy na mnie ze zgrozą. Bardziej przerażony czy zagubiony w bezradności? Poeta z niego wylazł, nie jakiś tam nędzny kibic. Bo, zaręczam, ni śladu płochy ciekawości.

- Postanowiła się nie leczyć. Zresztą wiemy wszyscy dokoła, że choroba nieuleczalna. Złośliwa, szybki przebieg. Wobec tego co? Co się robi, żeby udawać, że się nie dostrzega, a przy tym - dzięki posiadanym środkom - żeby trochę nadgonić uciekające? Jeździmy po Europie, już tylko niby na te uroczyscie zwolowane konsylia, a w istocie, żeby jeszcze raz wszystko zobaczyć. To, o czym zawsze marzyła: mistyczny światłocień El Greca, niebo Fra Angelica, ziemię Goi, słońce Velázquez, światło Rembrandta, morze Veermera Van Delft, słynną przed zmierzchem godzinę Leonarda da Vinci. Ach, panie, potężna radość i straszliwa rozpacz. Jej cierpienia, o moich zamilczę. Mnie ciało nie boli, pana również, widzę, nie zrozumiemy, w żaden sposób nie zrozumiemy drugiego człowieka, choćby wydawał się bliższy niż ty sam, chodzącego dzień w dzień i noc w noc z nożem w brzuchu, z rozżarzoną głownią w dole pleców! I wierzącego w Boga, wiarą, panie, mocniejszą niż razem wzięte

miłość, miłość własna i śmierć. Ale - tak, tak - jest jedno ale, nieprzewidziane w Piśmie, w Księgach Cierpiących. Otóż, nie ma co owijać w bawełnę, wiara, uczucia, podróże sentymentalne. Bez morfiny to byłoby niemożliwe, no i koszmar. Jeździmy z pielęgniarką, konieczność, oszczędzę panu szczegółów, które co noc wędrują na śmietnik jako odpady, panie, ileż w pięknym człowieku mieści się nieczystości! To kwestia tygodni, niestety. O, nie chciała w Italii, wołała tu, bo teraz czarno-biało u nas, śnieg, no i bez okrucieństw związanych z eksportacją. Grobowiec na cmentarzu Rakowickim pojemny, z przejmującym aniołem o rysach matki O, i rysach jej samej, rzeźba dłuta Marka Marcelina Guyskiego (zapił się, biedak, na śmierć; leży nieopodal, za życia, choć wielki talent, dosłownie parias, teraz z własną figurą naturalnej wielkości; siedzi sobie na własnym grobie, wykuty w kamieniu, i myśli).

- Panie, współczuję!

Cholera, rozgadałem się, nie wolno mi było. Nie wolno? Wolno. Korowski płacze. Łzy. Nie, nie obejmę go, choć wyraźnie zachęca. Mam własną przepaść. Dziękuję.

To na marginesie. Żadnych rewelacji. Pomamrotaliśmy sobie jeszcze trochę o Azefie, diable bez porównania większym niż Bakaj. Cóż można jeszcze powiedzieć o szpiegu ochrony w jednej osobie i rewolucjonście, który jest od tych kilku lat na ustach wszystkich sfer w Rosji, w Europie, na całym świecie. Postać dla arystokracji, profesorów i dla kucharek, demon zła. Dziewięć lat pracował w rewolucji, od siedmiu lat mając stosunki z ochroną, świetnie zresztą płatne. Zapewniona egzystencja dla zawołanego hulaki i kobieciarza.

Sobota, 21 lutego. Sensacja - i kolejna kompromitacja obrońcy pozwanego Goldstocka! Oto wczoraj Nadreński odczytywał jakieś najwyraźniej spreparowane wymyki z listów różnych osób (z podaniem nazwiska i profesji oraz w przybliżeniu miejsca zamieszkania nadawców), w których o Korowskiej mówiło się źle, ale bez precyzowania. (Nie pisałem o tym,

czułem fałsz, wołałem przeczekać, acz skrótowe notatki poczytnie w podręcznym raptularzu). Między innymi odczytywał w sądzie z zapalem dopiero co otrzymany list ze Lwowa. Jego autorem był nie byle kto, bo członek redakcji „Słowa Polskiego”, Wojciech Jesionowski. List, pełen inwektyw pod adresem Korowskiej, zawierał cały szereg oskarżeń o dwulicowość, o szpiegowanie osób związanych ze sprawą, o utrudnianie bardziej radykalnych posunięć, wreszcie o dziwnych trasach podróży z bibułą, widocznie dla pozorów ukrywaną pod bandażami między ciałem a bielizną. Dziś przewodniczący odczytał depeszę redaktora Wojciecha Jesionowskiego - z oświadczeniem, że list, cytowany zresztą przez poranną prasę, a bezprawnie podpisany przez kogoś jego nazwiskiem, jest falsyfikatem, grubymi nićmi szytą mistyfikacją, być może obliczoną na doraźny efekt. „Oświadczam - pisał na koniec redaktor Jesionowski - że nigdy pani Korowskiej nie widziałem, a nawet nie wiedziałem o jej istnieniu”.

Druzgocąca klęska Nadreńskiego!

Uwaga: jako świadek występuje jednak specjalnie przybyły Szewiakow, szef warszawskiej ochrony, następca Petersena. Zeznaje, że w czasie, o którym tu mowa, regularnie, aby się wdrożyć, praktykując w ten sposób, towarzyszył swojemu ówczesnemu szefowi, Petersenowi, podczas naboru agentów, przyjmowana ich raportów, rozmów o kierunkach dalszych działań. Działo się to rzadziej w centrali, najczęściej w warszawskich mieszkaniach prywatnych, w porządnym kamienicach, wynajmowanych przez podstawionych, zamożnych ludzi, ot, nikt by się nie spodziewał, dziuplach ochrony.

- Podczas tych konfrontacji - mówi Szewiakow - nigdy nie widziałem pani Korowskiej, w ogóle nie było mi nic wiadome o osobie agentki o tym nazwisku. Zaświadczam ten fakt z całą stanowczością.

Mało tego! Panowie!

Zjawia się i zostaje zaprzysiężony na świadka pisarz Oskar Katzenellenbogen ze Lwowa, zeznający w sprawie Brzozowskiego, ten człowiek potężnej postury i o szlachetnym obliczu,

którego parę dni temu podczas rozprawy na Wiślniej „gawiedź” usiłowała pobić (stłuczono czy tylko strącono mu okulary). Brunet, wąsacz w sile wieku, o spokojnym spojrzeniu ciemnych oczu w długiej bladej twarzy, o nieco wystających kościach policzkowych, mówi dobrze ustawionym barytonem:

- Parę dni temu w tym miejscu pan mecenas Nadreński, obrońca kolegi Goldstocka, oświadczył publicznie, cytuję (bo i tak większość dzienników to podała): „W rozmowie kulturalowej w przerwie sądu partyjnego nad Brzozowskim adwokat Pięściński powiedział mi w obecności panów Oskara Katzenellenboga i Alfreda Nossiga, że wystarczy jego stawienie się obok Bakaja w charakterze świadka, ażeby zadecydować o winie Korowskiej”. Otóż, szanowni państwo, z tego miejsca kategorycznie oświadczam, że taka rozmowa nigdy w tym gronie się nie odbyła, a ponadto pytany przeze mnie adwokat Pięściński zaprzeczył zdecydowanie, żeby miał kiedykolwiek powiedzieć, że pani Korowska to szpieg. Pani Korowska po rewelacjach o rzekomej wypowiedzi mecenas Pięścińskiego wyraziła się na tej sali z żalem o złą woli Pięścińskiego. Obecny moim wystąpieniem, mam nadzieję, sprawę wyjaśniam.

Wielka cisza i czyjeś, chyba jednej osoby, oklaski.

- Odwołuję w tej sytuacji moje słowa skierowane pod adresem pana mecenas Pięścińskiego - mówiła wyraźnie, ale i tak jej słowa zagłuszyły rześiste brawa. Jakby jakaś tama została przerwana. Bardzo ciekawe: ulga wśród zgromadzonych w sądzie. Przewodniczący ucisza, zarządza przerwę.

Późnym popołudniem. Majstersztyk z sobowtórem Korowskiej! Kto autorem? Niedoceniany przeze mnie mydlarz czy ona sama? Przeceniana przeze mnie, ktoś by powiedział. I być może ten ktoś miałby rację.

Skracam zapiski. O, dogorywa. O tym kiedyś osobno - albo nigdy. To, co się między nami dzieje, jest tylko dla niej i dla mnie. Potem jeszcze dla murów kamienicy przy Karmelickiej,

dokądśmy się przenieśli z hotelu (murów dyskretnych, ale jakże wymownych w snach lokatorów, którzy jeszcze się nie urodzili, a którzy kiedyś tu zamieszkają), a na samym końcu dla pielęgniarki. Jej milczenie zagwarantujemy kwotą 500 koron poza normalnie umówioną stawkę.

Trybun o Korowskiej: Jeździła drugą klasą do Wiednia, a nie tak, jak powinna była, trzecią klasą, żyła nad stan, ubierała się wykwintnie. Długie ręce, wytworne dłonie Trybuna, węzła-
ste na nich żyły. Wysoki. Sucha twarz, jasne oczy ukryte w głę-
bokich oczodołach, ocienione. Demoniczny wizjoner czy dok-
tryner, który z woli natury na wizjonera wygląda?

Maurycy Friedberg, rygorozant medycyny, niewysoki, ru-
dawy, błękitnooki, o miłym głosie i o wyważonych ruchach. Wraz z Korowską pracował zarobkowo, wdrażając się jedno-
cześnie w tajniki ortopedii w zakładzie doktora Chlumsky'ego. Dobra koleżanka, mówi, można na niej polegać. Lojalna, kon-
kretna. Żadnych objawów hysterii w niej nie znalazłem. Śmierć
jej dziecka była dla niej oczywiście tragedią, ale nie obnosiła się
z cierpieniem. To wartościowa dusza. Tak powiedział: warto-
ściowa dusza. Stara, dobra, wypróbowana dusza, już byłbym
dodał, ale przecież jestem tu... no, niekoniecznie bez prawa
głosu... ale *incognito*.

Korowska (trumna dla O, zamówiona, w robocie, sam O, obmierzyłem w nocy, gdy po dubeltowej dawce barbituranów wreszcie zasnęła, a ja podniecam się *par excellence* na widok jej, nieznaney mi nawet z zapachu kobiety!), tak Korowska. Anna Korowska. Wstała; o!

- A czemu to pan Trybun, sam rzecznik idei socjalistycz-
nych, jechał do Wiednia drugą klasą, a nie demokratycznie
trzecią? Co do mnie, z Wiednia jednak powracałam zazwyczaj
trzecią klasą. Panu Trybunowi nałożyły się jakieś różne kalki.
Na przykład ta: jechałam kiedyś trzecią klasą, a w czasie prze-
siadki w Stróżach zobaczył mnie Trybun i zaprosił do swojej
pierwszej klasy. Pierwszy raz w życiu zakosztowałam tego luk-
susu... Pan Trybun dał mi możliwość przekonania się, jak podró-
żują burżuje. Mało tego, początkowo wahałam się, czułam, że

to nie dla mnie, ale zwyciężyły zachęty Trybuna, który zapewniał, że w *coupé* są towarzysze partyjni.

Wszystko w tym człowieku pokrecone... i w ruchu socjalno-demokratycznym widzianym jego oczyma! Z jednej strony w ekskluzywnym *coupé* gromada socjalików, z drugiej — gra w konwenanse, z półcieniem ukrytych marzeń i w onanistycznym widzie planowanych świństewek dla dogodzenia samemu sobie. Cóż, słabostki wielkiego człowieka politycznego Już na pewno nie mnie oceniać. Ale nie chodzi o niego - chodzi o niebezpieczną dążność do bezceremonialnego, a przy tym interesownego szkodenia innym, która wyklucza go z grona ludzi uczciwych. Stefan Korowski miał rację: Trybun nie jest człowiekiem honoru. Z nim nie można się pojedynkować. Bo to jest jeden z tych, których nie zabije nawet własne sumienie. Dożyje sędziwych lat i nie przeżyje ani jednej bezsennej nocy.

Teraz Goldstock... Mówi, że stoczył potężną walkę wewnętrzną, miał szereg wątpliwości co do winy Anki, darzyli się przecież wielką przyjaźnią... Teraz czuje do niej wstręt Jako do szpiega.

Hm! Tak, tego, i już?

- W Warszawie są od roku 1905 zameldowane dwie Anny Korowskie. Sprawdziliśmy, korzystając z jedynych niezawodnych źródeł biura meldunkowego - zaczął sędzia przewodniczący - i okazuje się, że żadna z nich nie jest interesującą nas panią Anną Korowską... Przepraszam, ile podobnych listów ma pan nam zamiar czytać? - zirytował się już wyraźnie w chwili, gdy Nadreński wyciągnął z zanadrza złożony we czworo karteluszek, na którym jakiś pan Hechlock ze Lwowa napisał wyraźnymi literkami, że to on jest tym, który podpisując się jako redaktor Jesionowski, wysłał ów list, który potem Jesionowskiego oburzył i spowodował jego riposte w postaci sprostowania. Pan Hechlock tłumaczy, że ważył się napisać list podpisany cudzym nazwiskiem tylko dlatego, że tamtego wieczora, będąc w kawiarni Kryształowa, na własne uszy słyszał, jak pan redaktor Jesionowski w obecności świadków

plwał na Korowską, przypisując jej brudne czyny, które on, Hechlock, zaraz potem w rzeczonym liście przytoczył.

- Pana Hechlocka wobec tego sąd powoła na świadka. Poprosimy pana mecenasa o adres, hm, o adres donosiciela.

- W liście nie ma adresu.

- Więc to list anonimowy. - Sędzia wziął podane mu przez Nadreńskiego papiery do ręki. Robił to ze szczerą niechęcią. Popatrzył adwokatowi głęboko w oczy. - Nawet stempel na znaczku zamazany. Niech pan sam powie: to jest pieczętka Lwowa, Kołomyi czy może nawet Krakowa? To według mnie w ogóle nie jest pieczętka - założył okulary. - Pieczęć, panie mecenasie, to odcisk. Żeby przypieczętować znaczek na liście, trzeba uderzyć. Pan widział, jak to robią na pocztach? Pieczęć ma żelazne czcionki i żelazny otok. Pieczęć jest wmontowana w metalową lub z twardego drewna zrobioną rękojeść. Tym się uderza: oprócz tuszu odbija się siła uderzenia. To nawet wstyd dawać do ekspertyzy byłoby! Pański list to nie dowód, lecz kolejny falsyfikat. To są kompromitujące metody jakieś!

Wrzawa na sali. Głosy: - Metody czerwonych! Me-to-dy czer-wo-nych!

To wszystko z trudem trzyma się kupy. Bakaj zdemaskował Azefa - agent agenta - w całkiem sensownie napisanym (czy to on sam pisał?) artykule *Der grosse Azef*, pomieszczonym w „Arbeiter Zeitung”. Tu mi kobieta umiera, tam inną piękną kobietę (może nawet złą, ale kobietę, młodą) gwałcą brudnym potokiem smrodliwych słów nieszczęśni impotenci, a banda światowych łotrów, już nic sobie z tego nie robiąc, nadal prowadzi, chcąc przewodzić, grę siłową pod pretekstem inteligentnych utarczek. Co ma na taki obrót rzeczy powiedzieć prostaczek, skoro bywają momenty - takie jak ten teraz - że mnie, w końcu wyjadaczowi - gęba się sama otwiera ze zdziwienia. Chcą mi tam napluć teraz.

Wieczorem. O, półprzytomna z nadmiaru zastrzyków przeciwbólowych. Siedzę przy niej, w pokoju ciepło i sucho -

służąca wcześniej rano napaliła we wszystkich piecach naszego pięciopokojowego mieszkania, toteż miło (jeżeli w tej sytuacji można użyć tego określenia), miło popatrywać za okno sypialni (jak dobrze, że nie od frontu!), skąd rozpościera się widok na sad pod śniegiem, bielejący w świetle księżyca na tle nieba, jak na barwnym drzeworycie japońskim, przechodzącym od koloru rozwodnionego atramentu poprzez turkus aż do niemal zupełnej czerni, która gdy się tak dobrze wpatrzeć, jest mocno nasyconym indygo. Wiem, że O., mimo że już niewiele z tego, co ma formę słów, do niej dociera, rozluźnia się i uspokaja, kiedy jej opowiadam o jaśniejszych stronach tych wszystkich spraw. Mówię do niej tak, jakbym pisał do mojej gazety. Tak jak wówczas - czyli zawsze - kiedy zależy mi, żeby powiedzieć straszne, nie strasząc. Mówię więc jej, pojutrzejszej nieboszczce, o zwieńczeniu dzisiejszej rozprawy w sądzie. Zjawił się pan Fedworski, weteran, patriota, co tam chcesz, wyobraź sobie, przyjechał aż z Petersburga. Czy specjalnie? E, chyba nie. Ale może. Otóż pan Fedworski zadał kłam zeznaniom Bakajaja. Zdążył już zawiadomić trybunał paryski o swojej sprawie. A sprawa jest taka: otóż pan Wincenty Fedworski także się znalazł na owej czarnej liście sporządzonej przez czerwonych. Tak, on, człowiek, który siedział uwięziony przez dwadzieścia lat w Szlisselburgu, uznał, że czas zobaczyć jeszcze przynajmniej przez chwilę kawałek świata, i złożył podanie do cara o złagodzenie kary. Udało się, wyszedł na wolność - i tego nie mogli mu darować „koledzy partyjni”, ci, którzy nie mieli okazji nauczyć się odróżniać pryczy od kibla. Pani Korowskiej widocznie czegoś podobnego nie mogą oni wybaczyć. Pewnie tego, że ta kobieta myśli - a kiedy się myśli, używając do tego rozumu, wówczas nie sposób równocześnie maszerować w ordynku. Pod takim czy innym batogiem.

Dłaczego Goldstock utrzymuje, że swój artykuł *SZPIEG* napisał „pod przymusem sumienia”? Swojego sumienia czy partii? Czy miał poza tą czarną listą, sporządzoną czerwonym atramentem, jakikolwiek ślad dowodu, który mógłby skłaniać

go do podejrzeń? W tym momencie sędzia odczytuje skierowaną na ręce sądu list pani Kazimiery Maszyńskiej, którą Korowska odwiedzała w Warszawie - a w liście, pełnym wiary w jej niewinność, obok wyrazów współczucia dla Anny, zawarta jest sugestia, że padła ona ofiarą straszliwej pomyłki!

Adwokat Gala (już nie mydlarz) odczytuje oficjalny list Piotra Jakowskiego, współredaktora „Słowa Polskiego”, który w Warszawie, gruntownie badając sprawę, jest przekonany - i udowadnia to, posługując się wieloma sugestywnymi przykładami - że Bakaj kłamie. Że część nazwisk wyłapywał z powietrza. (Brzmienie, zlepek imienia i nazwiska, dźwięk, rozdzźwięk, dysonans - wszystko to jako swoisty wolapik wpadało mu w uszy?). A część podstawił celowo obok nazwisk ewidentnych szpiegów. To wielkie kłamstwo, ale nie robota byle partacza. Zleceniodawca może być zadowolony. Pytanie o konkretne motywy długu pozostanie bez odpowiedzi.

- Szpiegów ci u nas dostatek - dodaje mecenas Gala. - Skąd się biorą? Z łapanki. Rzadko bywają to ideowcy. Bez komentarza, za to z podaniem nazwiska: oto, Wysoki Sądzie, 15 października 1906 roku została w Warszawie aresztowana jedna z dromaderek, nauczycielka śpiewu z Krakowa, Bronisława Zipińska. Była nieostrożna, znaleziono przy niej masę bibuły. I oto po sześciu tygodniach pani Zipińska zostaje wypuszczona. Na jakich warunkach? Pytam!

- Ze względów konspiracyjnych nigdzie, nawet w najbardziej osobistych dziennikach nie notowałam nawet szyfrem dat wyjazdu poza kordon - mówi Korowska - paszport na moje nazwisko oddawałam mężowi zaufania partii. On dysponował.

- Skąd wobec tego mogła się wziąć informacja, że pani była kierowniczką biura paszportowego partii?

- Jak mogłam być kierowniczką, skoro w ogóle nie należałam do partii? To zwykła plotka. Nie wiem, skąd się wzięła, ale pewnie już wkrótce się dowiem, że byłam treserką słoni w cyrku w okolicach Chersonia. Proszę wybaczyć, to czysty nonsens.

- Obracała się pani, krążyła i działała bardzo blisko partii. Można powiedzieć, że była pani zaufaną kandydatką?

- Można. Ale usunęłam się z partii, żeby nie narażać męża, który dążył do zrobienia kariery rządowej. Jeżeli chodzi o sprawy paszportowe, dodam jeszcze, że jakoś nie interesowało mnie, kto korzystał z moich dokumentów. Ufałam mężowi zaufania, miałam jeszcze wtedy poważny stosunek do Trybuna, był dla mnie autorytetem, kimś takim jak ojciec, tak myślę. Wiem tylko - i o tym wszyscy wiedzą, bo się już tutaj mówiło - że na mój paszport jeździła nierzadko Zofia Gnaussowa, rodem z Królestwa, ale na stałe mieszkająca w Paryżu żona głośnego działacza rewolucyjnego.

- Jeszcze jakaś inna, do tej pory niezidentyfikowana kobieta w kwietniu 1908 roku przyjechała z Krakowa do Paryża z paszportem wystawionym na nazwisko Anny Korowskiej - mówi adwokat Gala i na ręce sądu składa stosowne raporty. - Tamten paszport zaginął, odnalazł się zupełnie przypadkowo dopiero niedawno w Piotrkowie. Może, proszę wybaczyć, kanalia działała, podszywając się pod nazwisko mojej klientki? Na pytanie, o co chodziło Bakajowi i jemu podobnym, których ani przez chwilę nie powinno się spuszczać z oczu, powiem krótko. Otóż opublikowana staraniem Bakaja tak zwana czarna lista zepsuła tok dochodzeń bezpartyjnej komisji, złożonej z jednego członka lewicy, jednego - prawicy i jednego neutralnego. Ta komisja dopiero miała Bakaja przesłuchać po złożeniu jego rewelacyjnych podobno kajetów.

23 lutego 1909. Przesadziłem z braniem miary na... W niedzielę było niemal jak dawniej, żadnego polegiwania, poszliśmy nawet na ciastka i kawę do Redolfiego na słynnej krakowskiej linii A-B w Rynku Głównym. Oby tak się stało; zdarzały się przypadki, że organizm przemógł chorobę, nawet taką! W niedzielę pod pretekstem wizyty w redakcji „Czasu”, gdzie przygotowują numer na jutro i będzie Władysław, który wie o motłochu tutejszym z naboru ochrony już prawie wszystko, cichcem i dwukrotnie zmieniając fiakra, udałem się do Trembeckiego

(któremu dostarczono zdjętą przeze mnie miarę z ciała żyjącej jeszcze O.), żeby osobiście mu przekazać, by nikogo na razie od siebie nie przysyłał. Nie ma bowiem jeszcze domu żałoby. W razie... tak, w razie ostatecznym sam się zgłoszę. Trembecki - chodzący takt. Miało mi ulżyć, nie udało się, czułem do siebie wstręt. Spojrzałem na zegarek, cóż to? Z Trembeckim, jak się okazuje, załatwiłem tak szybko, że czas może nie wprost, ale niemal dostrzegalnie się cofnął; czas to władca potężny, wobec tego do papierowego „Czasu” nie było sensu się fatygować.

Na Rakowickiej zboczyłem w znany mi z gorszych chwil zaulek z jednopiętrowymi domkami i sztucznymi pelargoniami w oknach, gdzie z panienką, która cała dokładnie wymyła się w miednicy w mojej obecności, na chwilę zapomniałem o naszym tragicznym losie. Za dwudziestokoronówkę ta młodzianka, sądzę, żywicielka rodziny, całowała mnie, gdy wychodził, po rękach. Powiedziałem: księdza się po rękach całuje. Kto pana dobrodzieja tam wie, odparła. Byłaby bardzo zadowolona, dodała, gdyby jeszcze mogła się ze mną zobaczyć. Nie wątpię, że by chciała. Ale wątpię, by się jej pragnienie ziściło: nie wchodzi się dwa razy do tej samej rzeki.

Nagrzeszyłem sobie i co? Dziś O, nieporównanie lepiej, uparła się, żeby mi towarzyszyć do sądu i być przynajmniej na przedpołudniowej rozprawie. Jest śliczna, za chwilę będzie mądra. No, może tylko rozsądna pod pozorami mądrości. Gdybyż jeszcze, tak jak wczoraj i dziś, chciała żyć!

Podoba jej się mecenas Gala, gdy mówi: - Co z tego, że pan Goldstock nie spał przez całą noc, zanim bez sprawdzania opublikował czarną listę ze swym obelżywym komentarzem? Co komu dobremu z jego przygnębienia? Wyrzuty sumienia w tej sytuacji powinny pozostać tylko jego prywatną sprawą. Gdzie czaił się ten osławiony już jego „przymus”? Bo przecież nie odnajdziemy go w warstwach moralnych! Pan Goldstock nie przespał jednej nocy. Co ma powiedzieć pani Korowska, którą obraził, raz na zawsze zniesławił drukiem?!

Dwie piękne kobiety. Moja O, i Anna Korowska (precz stąd,

diabelskie myśli!). Obie wpatrzone już w niemydlarza, tylko w mecenasa doktora Romana Gałę, który, zwracając się do przy sięgłych, spokojnie, nie bez precyzji i konsekwentnie obwinia Goldstocka:

- Mimo istnienia na liście ewidentnych błędów rzeczowych, niepasujących do siebie szczegółów, mylnie podanych tytułów, zakładów naukowych, miejsc pracy, a nawet zmienionych zawodów wykonywanych przez osoby mające być doskonale znanymi ochranie jej agentami, redaktor Goldstock nie przeprowadził żadnych badań. Mało tego, na kilka dni przed opublikowaniem haniebnych tekstów Goldstock - do czego już zupełnie nie miał moralnego prawa, i jako przyjaciel pani Korowskiej, i jako dziennikarz - zaprosił do siebie studenta medycyny Rylika, kolegę Korowskiej z roku, socjalistę, i poinformował go o tych rewelacjach. Nie jako o domniemaniach czy o podawanych do wierzenia prawdach ze wszelkich miar problematycznych. On Rylika zapewnił, że to jest bezwzględna prawda! Nazajutrz Rylik zorganizował potężną grupę studentów. Wspólnie, jako zwarty tłum, tupiąc i wrzeszcząc napiętnowali panią Korowską. Skazali ją na śmierć moralną!

Obrońca Goldstocka wstaje, otwiera usta, bardzo teraz chce zabrać głos, lecz Gała spokojnym gestem daje mu znak, że jeszcze nie skończył. Kontynuuje:

- Pytam po pierwsze: czy godzi się ludziom, głoszącym najszczytniejsze moralnie zasady wolności, uprawiać takie postępowanie inkwizycyjne?

- Proszę o głos! - nagle wykrzyknął Nadreński.

- Zanim pan mecenas uzyska zgodę, może tym razem już bez przerywania mi, pytam po drugie: czy jest zgodne z etyką i z moralnymi zasadami nadużycie osobistego paszportu?

- Panie...

- Bez względu na cel - zakończył dobitnie Gała. - Bez względu na cel!

W tym miejscu wydarzyła się katastrofa. O, zasłabła, to znaczy, nie tracąc przytomności, poczuła w brzuchu piekło.

Wystarczyło, że spojrzęła na mnie (żaden biały papier nie jest tak biały, w tak białej twarzy najpiękniejsze oczy, wykrojone jak migdały i koloru migdałowca, sprawdzaliśmy w podróżach, była okazja) i już wiedziałem: to kwestia kilku minut, potem może być okropnie. Jeden ze znanych mi woźnych, na którego skinąłem, przecisnął się ku mnie, w paręnaście sekund wrócił z dwoma niepozornymi cywilami. To detektywi. Tak wzięliśmy O, pod ręce, a następnie prawie na ręce, że cała operacja ewakuacji naszej nie wyglądała na coś sensacyjnego, zwłaszcza że ci, którzy stali dalej, ucieszyli się, że oto są już po nas dwa wolne doskonale miejsca, a poza tym wszyscy byli skupieni na piekących oskarżycielsko słowach mecenasa Gali, które rekonstruuję obecnie, w mieszkaniu na Karmelickiej, po odwiezieniu biednej O, do kliniki doktora Gwiazdomorskiego, róg ulic Siemiradzkiego i Łobzowskiej, a więc w trzy, cztery minuty pieszo od naszego domu:

- Człowiek o czarnej i krwawej przeszłości obwiniał ją i wtedy wszyscy szlachetnie rzucili się na nią - który z nich pierwszy z kłami i pazurami dopadnie jej gardła, który krwawo się rozprawi z bezbronną - a wcześniej nikt, żaden z nich nie zauważał jakichś fałszywych odruchów czy gestów u tej, która oddawała przysługi partii własną wyteżoną i pełną ryzyka pracą?!

Oklaski, oklaski, oklaski. Przewodniczący groził opróżnieniem sali. Akurat w naszej biedzie wychodziliśmy. Wynosiłem się z O. Boże!

Chwila drzemki, nie dam rady inaczej, pięćdziesiątka na karku, wieczorem znowu do Sądów, a potem dopiero, w nocy, wracając, zajrzę do lecznicy. Nigdy do tej pory tak nie było, choć nie zwykłem nigdy odmawiać sobie zaspokajania popędu drogą kupna-sprzedazy: teraz, właśnie dziś, kiedy wydawałoby się, że jako mężczyzna, osamotniony samiec, miałem do tego prawo, czuję się winny wobec O. Może nie tylko wobec niej...

Dzicz! Dzicz żadna igrzysk. Ludzie powybijali szyby, tłuszcz wtargnęła na miejsca rezerwowane, „mój” woźny skaleczony,

lekarzom z trudem udało się zatamować krwotok zdaje się, że z tętnicy szyjnej. Ugodzony odłamkiem szkła, sam próbował go sobie wyrwać i pooszło! Zatamowane, szyja obwiązana, woźny chce funkcjonować normalnie, macha rękami, żeby mu dać spokój, w oczach lęk (zapewne przed oczami widmo utraty posady), ale lekarz sądowy z sanitariuszem odprowadzają go do izby lekarzy.

Inspektorzy policyjni, głównie w cywilu, sprawdzali karty wstępu, bilety, grzecznie, ale stanowczo wypraszała „roztrągniętych”, powiedzmy.

Skąd ta nagle narastająca popularność procesu? Wszak chodzi tylko o oczyszczenie z zarzutów nieszczęśliwej, pięknej kobiety, obawiam się, że już na zawsze samotnej (wstąpiłem do wróżki, ta w kartach wyczytała kompletną pustkę wokół mnie; o więcej już nie pytałem; pójdę na wszelki wypadek do drugiej i trzeciej, jeśli zdążę, zdaje się jednak, że miałbym miłsze doznania, gdybym zamiast tych żalonych niedomytych babsztyli odwiedził prostą, zdrową, ładną, pachnącą kurtyzankę - i tak właśnie zrobię! - nieszczędzącą poza wszystkim najlepszym dobrego słowa). Skoro cały Kraków po procesie Brzozowskiego huczy o tym, że tam w sali związków na Wiślniej nie tylko Iza Moszczeńska, ale także sam wielki Stefan Żeromski, za nim Wacław Nalkowski, jego bardzo podobno zdolna córka Zofia i pandemonik Przybyszewski odmówili wiarygodności zeznaniom Bakaja, to ciągną tu do sądu jak do cyrku. Bo teraz można czekać tylko na występ klauna zastępującego linoskoczka... Na razie klaun (Nadreński, zastępca prawny Goldstocka) milczy, za to - no, no! - nie przebierając w słowach, pozwala sobie Gala. Wykrzykuje, już pewny zwycięstwa:

- Gdyby szło nie o Korowską, lecz o Feigę Butterteig, to Goldstock przewróciłby Kraków do góry nogami i wołałby, że Bakaj jest ostatnim kłamcą i potwarcą!

Nie pochwalam, delikatnie mówiąc, szowinistycznych akcentów w mowie mecenasu Gali, ale cóż i jak można inaczej w sytuacji, kiedy Goldstock jest - nie wolno tego ukrywać - ważnym

przedstawicielem systemu napaści. Należy do grona ludzi pozabawionych skrupułów. Co chcieli zrobić z profesorem Ernestem, kiedy się okazało, że trochę się z partią nie zgadza? Chcieli go oskarżyć o rzekome niedopuszczalne błędy w sztuce lekarskiej, wziąć niemłodego człowieka głodem, zakazać praktyki. W końcu dobrali się swoimi sposobami do magistratu, żeby ten wydał zarządzenie o zamknięciu zakładu surowic i szczepionek profesora Ernesta. Nic to, że to jedyny taki zakład w tym zakątku Europy, nic to dla nich, że ludzie, nie mówiąc już o zwierzętach, umieraliby w potwornych mękach na tyfus i tężec. Nie, nieważne - ktoś, kto wyraźnie powie, że w pewnym miejscu nie zgadza się z linią partii, idzie pod nóż... tak jak Ernest, choć jego żona jest oddana sprawie. Może dlatego, żeby zwrócić na nią i na ich dom baczniejszą uwagę władz i policji, czerwoni, a kto tam zresztą wie, jacy w rzeczywistości, rzucili na Ernestową przezwisko Radykałka. Zamknąć zakład szczepionek, zaraz, zaraz? No! Dobrze, że w krakowskim magistracie znajdzie się od czasu do czasu jakiś rozsądny człowiek. Złowrogiej tłuszczy spod czerwonego znaku nie udało się tym razem doprowadzić do katastrofy.

Resume Gala trwało godzinę. W sumie dobra mowa, momentami doskonała, gdyby nie te małe wstawki, wyraźnie (choć piorun go wie? przecież wśród przysięgłych są i starozakonni!) pod niewybredną publikę.

No, zdolny to on jest i (odwołuję) niemydlarz. A ona - przecież to głównie Korowska aż do wczoraj zajmowała się własną obroną. No, pewnie pod jego kierunkiem. On, Gala, błysnął wczoraj, dziś - rzecz mistrzowsko doprowadził do końca.

Wrócili z narady przysięgli.

Na pytanie, czy Goldstock jest winny obrazy czci: jedenaście głosów tak, jeden - nie.

Na pytanie, czy obwinionemu Goldstockowi udał się dowód prawdy: jedenaście głosów nie, jeden - tak.

Na podstawie werdyktu przysięgłych Gala wniósł o wymiar kary z § 493, ustęp 1. Okoliczności obciążające - ciężka krzywda nigdy naprawić się nie da; poniżenie wobec społeczeństwa

polskiego i całego świata. Wyrok ma być ogłoszony w „Czasie”, „Słowie Polskim” i w „Neue Freie Presse”.

Nadreński zgłosił zażalenie nieważności, ale to czcza tylko formalność. Co innego mógł zrobić, skoro - jakiz w tej chwili nędznik - podjął się obrony mocno cuchnącej sprawy.

Co Trybunał? Trybunał uznał Goldstocka za winnego z § 491 - skazał go na miesiąc aresztu i na zwrot kosztów postępowania karnego. Gdy wychodziłem z gmachu sądu, już zaczynało zmierzchać, Korowskiej nie spostrzegłem (coś mi się zdaje, że nie było jej podczas ogłaszania wyroku, piszę to nazajutrz, po wizycie w klinice - dziś rano telefonowałem do Władysia, który nie uważał za stosowne tego wydrukować, ale zapewnia, że na Korowską, która opuszczała sąd bocznym wyjściem, czekała z bukietem białych róż płomiennoruda wielka aktorka, fascynująca, gibka Irena Solska! W pełni sławy, demoniczna, coś tam do Korowskiej mówiąca tym swoim niskim, gardłowym, niepokojącym głosem. Tymczasem - mimo przegranej Goldstocka - przed gmachem sądu grupa zwolenników urządziła mu hałaśliwą owację. Nie mogłem patrzeć na tę dzicz; czerń toto byle jaka i tyle. No, a ja z tej lecznicy wróciłem, właśnie, jak będzie? Z moją O, sytuacja niejasna, pono w tym stanie może się utrzymywać całymi miesiącami - mocny jej organizm tworzy bowiem przeciwności - będzie to jednak w najlepszym wypadku stan zbliżony do obecnego, czyli coś na kształt wegetacji, z nielicznymi chwilami euforii, coraz to przyplacanej potwornymi bólami.

Dopiero w Krakowie to odkryli. Inni lekarze w Europie po tygodniach badań i miesiącach leczenia bez zbędnych słów pociechy opuszczali wzrok.

No dobrze, ale doktora Rutkowskiego pytam, czy O, może niebawem wrócić do domu. On na to, że wykluczone. No toja: kiedy więc, panie? I mamy to samo w jego twarzy i wzroku, co było u tych europejskich sław.

Czyżby chcieli nam zasugerować, że O, mógłby uleczyć klimat syberyjski?

Tymczasem mamy siedzieć w Krakowie. Może przez chwilę

tu będzie bezpiecznie. Po zakończonym procesie wśród mas tutejszej ludności przeważy ponury obraz stronnictwa socjalistów. Metody działania, chuligańskie środki i duch tego stronnictwa wyszły z całą wyrazistością na jaw w związku z epizodem z panią Korowską. Oj, długo nie przestanie się mówić, że to fatalna klęska społeczeństwa socjalistycznego, które rozpaczliwie walczyło o swoje dobre imię.

Masy. Co na to masy? Okazało się, że stronnictwo socjalistów wcale nie ma na celu obrony robotników. Czym jest? Jest agencją rosyjskiej rewolucji. Która to rewolucja na czym się opiera? Na tym, na czym opiera się cała policja: na systemie prowokacji. Bakaj, Azef, międzynarodowi terroryści (z jednego pnia, a jeden kazałby drugiemu, i z wzajemnością, łeb uciąć), to tylko wierzchołek góry lodowej: obrzydliwego tworu, to znaczy socjalistów wyrosłych z policji politycznej. Toż to taki Azef już w 1892 został przyjęty w szeregi ochrony!

A ten młodziutki Polak, co znalazł się na tej, Boże uchwaj, „czarnej liście” agenta Bakaja i niedawno został skrytobójczo zamordowany w Rzymie, podobno z wyroku partii (słyszę, że wysłany parę tygodni temu do Florencji członek partii, żeby strzałem z browninga wykonać wyrok na Brzozowskim, jako młody romantyczny okazał się jeszcze człowiekiem i widząc cierpiącego pisarza, jego oddaną, kochającą żonę, nie wykonał zadania). No właśnie.

To są sprawy i rzeczy, które nie chcą, ale muszą zmieścić się w głowie.

Jakim sposobem chcieli załatwić Korowską wcześniej? Co się nie powiodło w zamiarach? A może chcieli, żeby ją zabił nieszczęsny mąż alkoholik, nie tak dawno przecież redakcyjny kolega Brzozowskiego?

Czy istnieją granice perfidii? Po dramacie osobistym, kiedy w jednym miesiącu życia tej młodej kobiety spiętrzyły się trzy nieszczęścia - rozejście z mężem, śmierć dziecka, nielojalność mistrza, kochanka i, jak się zdaje, ojca zmarłego dziecka - przyjaciele, przywódcy socjalistyczni doradzają jej swoistą kurację:

przewożenie tak zwanej bibuły z Galicji do Królestwa. Oni mają doskonałą wiedzę o obsesji powstałej u tej dotąd zdrowej i dzielnej kobiety: nie przestaje ona sobie wmawiać że chłopczyk, niemowlę jeszcze, zmarł wskutek niedostatecznej opieki z jej strony czy wręcz z powodu jakiegoś błędu w sztuce lekarskiej, którego nie potrafiła sprecyzować. „Bibułę” podsunęli jej we właściwym czasie. „Bibuła” miała służyć jako narkotyk dla zabicia robaka moralnego. Pracowali nad nią ci, którzy sami siedząc w Krakowie w ciepłych wysokich pokojach i przy herbacie, trochę denerwowali się na wieści o wypadkach kurierek-dromaderek, o aresztowaniach. „Będą przesłuchiwane; kogo tym razem wydadzą? A jeśli nie, to ile dostaną, kogo zostawią, osamotnionego, czyli: kogo będziemy mogli sobie zwerbować?”. Mniej więcej tak. A poza tym, cóż - oni piszą bibułę, a dromaderki ją przewożą... Żalony dla socjalistów był to proces. Do tego stopnia, że adwokat Goldstocka próbował nawet wykorzystać przeciw Korowskiej jej ubóstwo! Wypominał jej ubóstwo! Dobrze słyszałem, potem bowiem to - o czym w końcu wolałem sądzić, że wskutek nadmiaru intensywnych przeżyć jest moim przesłyszeniem, majakiem - przeczytałem nazajutrz w gazecie. Do tego stopnia splugawienia sprawy już od jej fundamentów nie posunąłby się, ja tu zaręczam, żaden burżuj. I nigdy! Nawet szyderca któremu, zdaje się, więcej w tej materii wolno niż adwokatowi podczas rozprawy!

Co my tu jeszcze mamy: wyszło na jaw, że Bakaj, jako funkcjonariusz rosyjskiej tajnej policji, był urzędnikiem XII rangi. Pobierał w majestacie prawa 4000 rubli rocznie, co w przeliczeniu na nasze daje 10 000 koron! Kiedy w roku 1906 dał wielkiemu rewolucjoniście, naiwnemu, co się wkrótce okaże, jak dziecko, Burcewowi, listę sześćdziesięciu agentów ochrony, wciąż pracował w ochronie i nadal pobierał swą gażę! Moralność, ach, co za moralność! Mógłby wykładać w akademii złodziei i oszustów, ba, powinien zostać jej honorowym rektorem. Przez ile rąk musiała jeszcze przejść ta lista (ile skreśleń na niej

musiało się dokonać i uzupełnień, ile następnych setek, tysięcy rubli i koron musiało przejść do tych i tamtych kieszeni), zanim została opublikowana w roku 1908... Dwa lata obracania listą nazwisk; toż to interes lepszy niż prowadzenie potężnego banku z domem rozpusty na wyższych piętrach i z kazamatami w piwnicach.

CZEŚĆ DRUGA

Nie mów:

Boję się tej kobiety

1. Kto zliczy szpiegów na cmentarzu

Ponad dwieście osób (głównie ludzi, których twarze po półwiecu będzie się oglądać w encyklopedii) otaczało półkolem zwykły grób ziemny w narożniku murów cmentarza Rakowickiego. Dwie trumny: czarna i biała. Tłusty mężczyzna z długimi siwymi włosami (i w pocerowanym, gdy się dokładniej przyjrzeć, fraku) właśnie zaczął grać na skrzypcach motyw z *Requiem* Mozarta. Stojący w głębi (czyżby na podwyższeniu; na ławce?!) lekarz i opiekun Gabriela dał znak skrzypkowi. Ten urwał nagle i schował skrzypce do futerału. W ciszy grabarze wpuszczali trumny do wąskiego a głębokiego grobu. Uczestnicy świeckiej ceremonii rozchodzili się rozmaitymi ścieżkami, nie czekając na zasypanie trumien. Tylko nieliczni korzystali z wycieczonych alej i alejek.

Anka, wracając z pogrzebu, dotarła na drugi kraniec cmentarza, gdzie są kwatery dziecięce. Długo się upewniała, że jest sama. Stała przed jasną płytą nagrobną. Ukłękła. Wyciągnęła z płaszcza bukiet drobniutkich białych róż. Rzuciła bukiet. Upadła twarzą na to wszystko.

Zaskrzypiały kroki na śniegu. Malarz. Podszedł, delikatnie, ale mocnymi dłońmi ujął Ankę za ramiona. Podniósł. Otrząsnął jej płaszcz ze śniegu. Już spokój. Stali - nie wiadomo jak długo - twarzą w twarz.

- Widziałam, jak pan rysował na procesie. Mam wszystkie gazety. Nie zamieszczono tego rysunku.

- Rysowałem dla siebie. - Głową wskazał miejsce, skąd przyszedł. - Gabryś Husiatycki nieboszczyk ani przez chwilę nie wierzył w pani winę.

- A pan?

- Tak jak Gabryś. Zacząłem malować pani portret i muszę go ukończyć.

- Po procesie, na którym wywleczono zbyt wiele moich osobistych spraw, nie pozostaje mi nic innego, jak tylko wyjechać stąd, i to jak najszybciej - zaczęła mówić znienacka tak płynnie, że aż wręcz, każdy by tak pomyślał, sztucznie. - Wrócę na wiosnę tylko po to, żeby zdać egzamin doktorski. (Malarz na moment odwrócił głowę; to, co brał za czyjąś jeszcze w pobliżu obecność, okazało się ruchem nawisu śnieżnego, który spadł na pobliski nagrobek. Ale śnieg z drzewa przy takim mrozie?). Potem prawdopodobnie wyjadę do Lwowa. Bo w Krakowie długo żyją tylko kanalie, jak pan wie. Z moim adwokatem nie zamienię już ani słowa, ponieważ mnie zawiódł.

- Może wiewiórka?

- Słucham pana?

- Śnieg z góry zrzuca... A!

- Aa! Pan się dziwi, że ja tak o mecenasie, mimo wygranej? Po prostu nie przygotował mnie na publiczne pranie brudów. Koniec!

- Już musi pani wyjeżdżać? A dokąd?

- Do Lwowa. Tam czeka na mnie Ircia, ma cztery lata. - Wskazała na nagrobek, pochyliła się, poprawiła bukiet. Twarz jej szerniała. - Mogłaby mieć braciszka... ale ja go zabiłam!

Przerażony malarz wypuścił Ankę z przyjacielskich objęć i odsunął się na długość cienia.

Zaczęła krzyczeć histerycznie i wyraźnie, jak wtedy w sądzie:

- Zabiłam tę kruszynę! - i coraz ciszej - bo popełniłam... - niemal szeptem - popełniłam błąd w sztuce medycznej. Zresztą... zresztą, co ze mnie za matka?

Zrobiła krok w stronę artysty malarza. Skonana, byłaby

upadła - ale i on przystępował do niej. Całym ciężarem przywarła do jego mocnej piersi.

Z twarzą na ramieniu malarza otworzyła oczy - i właśnie wtedy spostrzegła umykającego chyłkiem Bylewicza. Zaciśnęła zęby. Nie wypuszczając malarza z objęć, zawiadomiła go o niezbitą, teraz nagle podjętej decyzji: - Pozostanę w Krakowie jeszcze przez tydzień i będę panu pozować. Jestem spakowana. W takim razie nie pojedę na dworzec, tylko zatrzymam się w Astorii. Pan mi pomoże w przeprowadzce?

Artysta malarz parsknął. Odchyliła głowę, opuściła ją, zaraz potem uniosła wzrok, popatrzyła na niego kompletnie pomieszana. Uśmiechnął się i powiedział:

- Coś podobnego!
- No co?
- Pani wie, że ja mam pracownię w Astorii?!

Mimo mrozu spocony Bylewicz zdjął płaszcz już w drodze do szatni, rzucił go i resztę swoich okryć na ladę, bez słowa odebrał mosiężny numerek, w lansadach wsunął się do wielkiej lustrzanej sali bez okien, za to ze szklanym, półokrągłym stropem-latarnią, szeptem powypytywał kelnerów, w końcu pomagając sobie ruchem głowy i ramienia upewnił się u wysokiego blondyna, że te drzwi, biegnące od korytarzyka wyściełanego pluszem, są właściwe. Nacisnął klamkę - i w przytulnym wnętrzu, zalany jakimś ciemnomalinowym światłem, gdzie prócz stołu i stoliczka była jeszcze rozłożysta kanapa, zastał Galę zagłębionego w fotelu, zaszytego pośród licznych wykwintów kulinarnych. Mecenas popatrzył uważnie na niespodziewanego gościa i zauważył:

- Masz niedopięty rozporek, Henrysiu.

Bylewicz dopiął. Rozejrzał się nerwowo, popróbował chichotu, wreszcie doniósł:

- Przyłapałem Annę Korowską na uścisku z zupełnie innym mężczyzną.
- Co to znaczy?
- Ona tam widziała go po raz pierwszy.

- Gdzie?
- Na cmentarzu.
- He, he, nareszcie.
- Co znaczy?
- A, że pod każdym względem mi to odpowiada.

W głębi gabinetu otworzyły się drzwi osobnej toalety; wyłoniła się stamtąd blisko trzydziestoletnia kobieta, na pierwszy rzut oka sama subtelność i wdzięk. Na to, co niespodziewanie ujrzał Bylewicz, składał się również błysk zachwytu w oczach mecenasa Gali. Bylewicz znieruchomiał i z jego twarzy - aż dziw, że nie z hukiem - opadła maska dobrego samopoczucia, a ściślej: radości ze spełnionego obowiązku.

- A to dobrze, to dobrze - podszedł do owej piękności Gala, a obejmując ją, dokonał prezentacji: - To jest mój znajomy, pan Henryk Bylewicz, przysły medyk, a tobie, Henrysiu, mam zaszczyt przedstawić moją narzeczoną, Różę hrabinę Potańską.

Poruszył dzwonkiem, od razu zjawił się kelner, ten, który dobrze poinformował Bylewicza (znajomy?), lekko odsunął krzesło dla Potańskiej i ta sobie usiadła. Bylewicz, nie mogąc wytrzymać, już chwycił inne krzesło za stołem za mahoniowe oparcie - dla siebie - ale oto Gala położył ciężką rękę na tym meblu, zdecydowanym obrotem karku oraz ruchem głowy i twarzy dając do zrozumienia, że dziś Bylewicz tu nie będzie ucztował. Również bez słów (to wyższa szkoła jazdy) dał jeszcze coś innego znać komu trzeba, bo oto wypchnięty niewidzialną z pozoru ręką, nie mógł utrzymać równowagi, ale ten sam miły kelner bezszelestnie, bez skrzypnięcia drzwi czy obuwia, zbliżył się, wziął niepożądanego gościa pod ramię, coś mu powiedział. Słabo to jednak widocznie poskutkowało, toteż opuścił tylko na мгновение gabinet, wrócił z kolegą. Wspólnymi siłami, zachowując pozory uprzejmości, wyprowadzili opornego definitywnie. Kelner cichutko przymknął drzwi i dopiero na peryferiach pustawej sali pisnął Bylewiczowi w ucho: - W dupę cię kopnął. W dupę. A widzisz, jak to jest!

2. Artysta i modelka

- Jak się fachowo nazywa taka grubo nakładana, gęsta, tłusta olejna farba?

- Impast, a jak kto woli, impasto. A jeszcze bardziej grubo jak jest, nawet na palec - to pastoso.

Anka kiwnęła głową, dziękując za informację, ale malarz gestem nakazał jej bezruch. Pozowała mu właśnie do portretu naturalnej wielkości, pod którym widniały duże, niezamalowane fragmenty podwójnego portretu Husiatyckiego. Na takim czymś trzeba było malować pastoso - choćby nawet ktoś chciał inaczej.

W ciągu tego seansu - zanim Anka zwróciła się do niego - malował z manualnym temperamentem, ale niekoniecznie w natchnieniu. Czy jej to przeszkadzało, drażniło ją? W każdym razie ubrana zwyczajnie - w spódnicy i w bluzce - właśnie teraz odsłoniła pierś. Bez żenady i bez uprzedzenia. Okrągły jasny blask. I pięknie wyłoniła dzikość sutka.

- Tak lepiej - rzekła głosem nieznoszącym sprzeciwu.

Malarz, gdyby oponował, byłby niezawodnie śliskim potworem. Ale i tak zaraz potem z paletą i pędzlami w ręku wskoczył na stołek, otworzył okienko w suficie. Wpadły opary mroźnego powietrza. Nie zdążył zejść ze stołka, z przepraszającym uśmiechem i - w tym momencie małpio zwinny - manewrując tą swoją linijką, zamknął okno, zeskoczył.

- Myślałem, że to już wiosna - rzekł, prosząc wzrokiem o wybaczenie.

Uśmiechali się do siebie z daleka. Podszedł do stolika z utensyliami, zwilżył szmatkę w zwykłej terpentynie i poszedł wytrzeć podłogę, zatłuszczoną olejną farbą w miejscu, gdzie podczas skoków pod okienkiem wypadły mu dwa pędzle spośród kilkunastu, wraz z owalną paletą przytrzymywanych w ręku. I znów znalazł się przy sztaludze; tą samą szmatką wytarł pędzle. Malując, pytał:

- Czy pani wie, że ta pracownia jest dokładnie nad pani pokojem?

Dała znać oczami, że wie.

- Dobrze się mieszka?

- Owszem.

- Lepiej bez złych wspomnień, prawda?

- To nie to. - Spojrzenie, którym go obdarzyła, należało do obiecujących! - To, co złe, idzie za mną. - Patrzyła z lekkim, z trudem skrywanym zdumieniem, jak artysta, który przestał malować, drewniany koniec pędzla wsadził sobie do ust. - Czy to przypadek, czy diabła sprawka, ale mój mąż mieszkał w tym samym numerze - i kciukiem tak wskazywała na podłogę, jakby chciała ją przebić - mieszkał tam właśnie wtedy, kiedy zaczęła się ta haniebna sprawa. A przecież - dodała, bawiąc się swoją piersią - kiedy wyszłam za mąż, szukałam w mężczyźnie oparcia...

Malarz się zorientował - pojęłoby to zresztą nawet dziecko - że Anka bawi się piersią bezwiednie, hm, naturalnie, i nie było w tym śladu perwersyjnej zachęty. Machając ręką - czyżby po to, żeby dała sobie z tym spokój - drugą ręką z niewypowiedzianą wirtuozerią malował jej biust. I słuchał.

- Prawie cztery lata separacji... rozwód bliski. Przychodził do domu nad ranem, śmierzdzący gorzelnią i jakimś perfumowanym paskudztwem. Perfumowanym raz tak, raz inaczej. Tfu! Kładł się koło mnie na łóżku w ubraniu i żeby choć zasnął jak świnia... Nie - on mi opowiadał chrapliwym głosem o swoich miłosnych podbojach! Gdyby był inny - dodała cichutko - na pewno mnie samej udałoby się powstrzymać własny erotyczny temperament... A on, tak na ponuro pijany, były przecież poeta, wydrażony z poezji, literacki wałach, gadatliwy, opowiadał mi detalicznie, anatomicznie, z brudami... fuj!

- Ciekawe - artysta, malując, oblizywał się i mrucał: - Ciekawe.

- Co mi pozostało! - Spojrzała wyzywająco, zasłoniła rozdygotaną pierś, w jednej chwili rozerwała bluzkę (posypały się jakieś guziki), z zupełnie obnażonym biustem wyglądała mniej jak wamp (czego zapewne chciała), bardziej jako ofiara. - Zasmakowałam w polowaniach na mężczyzn - mówiła z coraz

większą emfazą (znów ten ton histeryczny?) - to rozkosz patrzeć, jak nagle wędną w moich ramionach i padają na mnie jak zwłoki. - I chciała gestykulować, i nie mogła: dłońmi ścisnęła drobne rozkołysane piersi. - Po co ja to panu mówię? - opuściła ręce; bezbronna. - Teraz to ja jestem martwa.

- Pani powinna być teraz przy dziecku - powiedział rzeczowo malarz. - Jak ma córeczka na imię?

- Ircia - rzekła Anka. Jak rażona piorunem.

- Niech pani natychmiast wyjeżdża. We Lwowie czeka Ircia.

Pochyliła się, półnaga, zbierała z podłogi guziki. Potwornie zmieszana, wygładzała w rękach poszarpaną bluzkę. Chwyliła skórzaną torebkę, absurdalnie usiłowała zakryć nią biust.

- A portret? - spytała jeszcze.

- Zacząłem bez modelki, bez modelki ukończę.

3. I jak tu żyć bez pożywki

Od kilku chwil z okna przedziału pociągu pośpiesznego relacji Kraków-Lwów-Kijów-Odessa, który z Krakowa miał odjechać już zaraz, za piętnaście siódma, Anka obserwowała Bylewicza. Zmarznięty, biegał wzdłuż wagonów, był tak ubrany, jakby tylko na chwilę wyskoczył z domu. Nie miał nawet szalika. Spostrzegł ją, nerwowo dawał znaki, żeby opuściła szybę. Posługując się specjalnym parcianym pasem wystającym ze szpary pod oknem koło popielniczki, uporała się jakoś z tym zajęciem raczej dla mężczyzny - i wtedy Bylewicz, wyciągając z zanadru trzy sfatygowane książki, podał je Ance, mówiąc: - Oddaję. I dziękuję. Teraz wam bardziej potrzebne. Miałbym wyrzuty sumienia, gdyby dobra koleżanka oblała przeze mnie egzamin.

Patrzył na Ankę podejrzliwie, wyczekująco i z udawaną sympatią, a jego chroniczne już kabotyństwo tuszował mróz, który kazał mu szczekać zębami (więc niby to jakiś uśmiech). Zmienił konwencję:

- Nie pożegnałaś się z nikim, nie zostawiłaś wiadomości.
- Ciekawe, że ty wiedziałeś, gdzie mnie szukać!
- Kie-kiedy mam się spo-o-o-odziewać? (Do tej pory nigdy się jeszcze nie jąkał).

Pociąg miał ruszyć. Ciemny dym - na moment znowu zrobiło się jasno - znów dym i gwizdek konduktora, świst parowozu, pokrzykiwanie kolejarzy. Anka rozglądała się za konduktorem, który by jej pomógł zamknąć okno (sama nie chciała już ryzykować ze względu na obojczyk), i w chwili, gdy wiatr rozwiął kolejny obłok dymu, znowu wyłonił się Bylewicz w całej swojej szarości i wrzeszczał:

- Gala ma narzeczoną! Wie koleżanka?! Afiszuje się z nią! Wysunęła głowę przez okno:

- A ty masz narzeczoną, Henrysiu?

Pociąg odjeżdżał. Bylewicz, zupełnie sam na peronie, z trudem utrzymywał równowagę. Stracił jakieś niewidoczne oparcie.

4. Światło na śniegu

Było słoneczne południe, śnieg iskrzył, a Anka z Irunią szalały na sankach.

Z tłocznych w niedzielę Wałów Hetmańskich przeszły ulicą Kopernika aż na tyły Politechniki, gdzie od strony Ogrodu Miejskiego niedawno usypano górkę. Nie wiadomo, czy specjalnie, czy też był to przypadkowy kopczyk utworzony z gruzu, ziemi i piachu pozostałych z remontów i melioracji prowadzonych tam na zlecenie magistratu i przerwanych w dniach pierwszych ostrych mrozów - dość że zjeżdżalnia z tego powstała znakomita. I bezpieczniejsza niż na Wałach Hetmańskich, bo z braku jezdni tu się w ogóle nie poruszały pojazdy.

Zzajana Anka, która po każdym zjeździe musiała wciągać saneczki na górę, a potem jeszcze wozila Ircię, jak to mała określiła, „robiąc za konika”, teraz próbowała odpocząć, przy siadlszy na saneczkach, ale Ircia w ogóle nie chciała o tym

słyszeć. Cóż, trzeba było lepić bałwana. Jedna krągła część już stanęła jako podstawa. Anka, tocząc drugą, trochę mniejszą śniegową kulę - przyszły tułów bałwana - mówiła półgłosem do Irci:

- Mamusia zaraz ci zrobi...
- Co mi zrobi mamusia? - bardzo zainteresowała się Ircia.
- Bałwanka.
- Takiego jak ty mi lepisz?

Anka przerwała robotę i popatrzyła na Ircię z niepokojem.

- Mamusia przecież jest w domu - powiedziała Ircia - na Zamarstynowskiej. Czy mamusia tam lepi dla mnie bałwanka?

- Ja jestem twoją mamusią - czule i z lękiem spojrzała na córkę.

- Nie.

W otwartych drzwiach sypialni stał z uniesioną przednią łapą biały kotek z jedną tylko czarną łapą na prawej połowie mordki. Jakby kto chlupnął gęstym chińskim tuszem. Z głębi dobiegał rozbawiony głos nawołującej go Irci. W mieszkaniu na Zamarstynowskiej byłoby zacisznie - teściowa bowiem przy herbacie chrupała ciasteczka, teść siedział w głębokim fotelu pozasłaniany płachtami gazet, zegar tykał, ogień płonął na kominku i trzaskały drwa - gdyby nie Anka. Stała nad tym wszystkim zaczerwieniona i rozdygotana, w dłoniach miętoszyła futrzaną czapkę, w której była na spacerze, wreszcie wydała syk:

- Jak w ogóle można było do czegoś takiego dopuścić? Jak sobie można uzurpować...? Jakim prawem? Proszę nigdy nie zapominać, że to ja jestem jej matką!

- I ty o tym nie zapominaj - powiedziała teściowa. - Może lepiej - dodała cicho, ze ściśniętym gardłem - może lepiej, żeby już tak zostało. No, niech tak zostanie. Co?

Martwą ciszę przerwał szelest gazety odrzuconej przez teścia. Teść odezwał się przytomnie, mówiąc tubalnym, trochę tylko ochryplym głosem:

- Sami mamy kłopot i ciężkie przeżycie. Stefan będzie się żenił. Ze służącą. - I po dłuższej chwili wręcz groźnej ciszy, tonem wyjaśnienia, z rezygnacją oznajmił: - Zjadą tu dzisiaj. Ślub w kościele ewangelicko-augsburskim.

I oto ten ktoś, kto już przed dwoma laty (wiele by na to wskazywało) bezpowrotnie utracił kontakt z rzeczywistością, spojrzął na kobiety oczami człowieka mądrego. Z sypialni wbiegł kotek, za nim Ircia - i z powrotem. Teściowa, w obecności męża, bez żenady wskazując go, znów zaczytanego w gazecie, zmiętej od niezbornego podnoszenia z podłogi, powiedziała do Anki:

- Było kiepsko, a jest chyba tragicznie. On od pół roku tak fantazjuje. Lekarstwa nie pomagają.

Ircia wyszła z sypialni z kotkiem na rękach. Podeszła do Anki i podała jej kotka. Anka, tuląc kotka, próbowała go gładzić, popatrzyła na dziewczynkę, znieruchomiała - i w jej oczach pojawiło się po raz pierwszy szaleństwo!

- Jak ja miałam tyle lat, co ty - powiedziała do córki - to także umarł mi ojciec.

Ircia, ze łzami w oczach, coraz mocniej pociągała nosem. Teściowa patrzyła na Ankę i nie wiedząc, co zrobić z ogarniającym ją przerażeniem, jęła strzepywać z gorsu okruszyny ciastek. Tylko teść, którego gazeta znów łądowała na dywanie, patrząc na Ankę ze zrozumieniem, gestykulował, a gdy udało mu się otworzyć usta, powiedział:

- Właśnie, właśnie!

5. Słyszeć słowa

- Podnieś no, Zbyszku, drugą słuchawkę! - Stojący przy telefonie, nawet z lekka, co nietypowe u niego, zarumieniony Gała zakrył ręką mikrofon i gestem przyzywał jednego z koncypientów.

Panowie zasiedzieli się tym razem w kancelarii pryncypała.

Stół wystawiony na środek pokoju, obłożony brulionami, teczkami, skoroszytami, segregatorami i papierami latającymi luzem, wprost nurzał się w falach tytoniowego dymu. W ciepłym świetle secesyjnych naftowych lamp do tej drugiej słuchawki podchodzili kolejno koncypienti, aplikant kolegi i jakiś student. Gala dyrygował.

Zmieszany koncypient przy słuchawce słuchał ze zgrozą, patrzył na rechocącego Galę i starał się ukryć odrazę. Koledzy znad stołu obserwowali reakcje jednego i drugiego - i wreszcie mieli zabawę.

- Oho, kwadrans na dziewiątą. Założymy się, Ludwiczku, że to ze Lwowa?! - Zrobili zakład. Ten trzeci przy stole szeptał z dłońmi zwinętymi przy ustach, zwracając się do Gali:

- Ze Lwowa?

Gala przytaknął z chichotem.

Z ogólnego rechotu dało się wyłowić głosy: - Panowie, założmy się, że to telefonuje Korowska. - E, Julio, tu się nawet nie ma co zakładać. - Porzucili akta, podchodzili kolejno do tej zapasowej słuchawki - i wszystko to z aluzjami do sceny zbiorowego gwałtu.

- Ależ się dama napaliła...

- Uważaj - słuchawka parzy!

- Teatr za darmo, kolego!

- Włóż, włóż jej rękę... do słuchawki.

- Romans wszech czasów, panowie...

Z twarzą pokerzystki i tym razem straszliwie kulejąc (halny), z kokardą o odcieniu zieleni Pawła z Werony, sekretarka mecenasa, opuściwszy potężne biurko, przemieszczała się ku ganeczkowi z toaletą, najwyraźniej nie mogąc znieść, wręcz fizycznie już nie tolerując, rozgwaru kabaretowych, samczych przedrzeźniań telefonicznego monologu Anki Korowskiej, które dudniły (napelniając ściany, jak myślała, odrazą):

„Romku mój ubóstwiany, czy ty pamiętasz jeszcze, ach, to tam, na tej otomanie obitej aksamitem bordo ze złotymi pszczołami było, i twój tak niespodziewanie... niespodziewanie zmieniający wyraz twarzy uśmiech, którego się nie zapomina:

zaraz potem, jak mówiłeś mi o nirwanie. Mam przed oczami ciebie - i tylko ciebie. Wszystko blednie - to pewnie świętokradztwo - wszystko blednie przy wyobrażeniu twojego wizerunku, w sekundzie przypomnienia zapachu twojej bliskości - wszystko blednie; nawet dziecko, które w bólach, rozszarpywana, wydałam na świat, mniej dla mnie znaczy niż symbole i przypomniane obrazy ciebie wyobrażające. Odpokutuję za to, co mówię: bez ciebie wszystko, wśród czego przyszło mi tutaj żyć, jest takie obce. Odstrećca. Ty wiesz, że nawet, że wręcz odstrećca, o Boże! Romku mój, powiedz tylko słowo, a wsiądę w pierwszy pociąg do Wiednia... po drodze, nawet gdybym spała, wsiądę w Krakowie i nogi same do ciebie poniosą mnie, a jeśli wolisz, to moją chuć. Moją chuć moje nogi poniosą. Moją i twoją? Moją dla ciebie. Kocham. Trzaski. I po chwili, tym samym, niestrudzonym ciągiem:

- Ach, królu samców nieustraszony, a przy tym najsubtelniejszy poeto, z Dantem i z wielkim Juliuszem współtwórco wiecznej serenady miłości...

Zgrzyty, przerwa na łączach...

- Pokaż tego wielkiego Juliusza, mecenasie - szepnął wśród gwaru ironicznie, choć na wszelki wypadek anonimowo, któryś z przysłuchujących się samców.

- Ja już twoja na zawsze-niewolnica!

Na oczach zgromadzonych Roman Gala uderzył blaszaną linijką w biurko, uciszył towarzystwo, odjął dłoń od mikrofonu i wyraźnie powiedział:

- Jestem bardzo zajęty, Anko! Zaraz wyjeżdżam do Wiednia w interesach. Sam, żeby nie było nieporozumień. Adresu nie zostawiam, mam sprawy, które wymagają ode mnie precyzji, a od okoliczności dyskrecji. Uważna, odpowiedzialna praca, poniekąd w twoich sprawach. Trafiłem na ślad, który być może doprowadzi do rewelacyjnych rezultatów w dziedzinie badania trybów napędzających postęp rzekomo dla dobra mas pracujących. Jestem bliski dokonania odkrycia, które być może nawet na nowe tory skieruje bieg historii. Tobie też radzę: nie trać więcej cennego czasu! I uważaj na te tryby, kiedy tuż przy nich

codziennie przechodzisz. Wciągną, miła - i po człowieku!

Jak wirtuoz przycisnął guzik aparatu, powiesił obie słuchawki. Koniec rozmowy. Uśmiechnął się czarująco. Nagle coś przeleciało przez jego twarz. Jak błyskawica. Zniekształciło ją, ale tylko na moment. (O jedno zdanie powiedział za dużo? zorientował się nagle?).

Zbladł.

- Uwaga! - krzyknął koncypient, sekretarka (teraz władca) dała znać, żeby wszyscy się wynosili z pokoju, przekręciła klucz w zamku i wyzwalając moc w rękach, zajęła się pracodawcą, który stracił władzę nad ciałem i trząsł się gwałtownie, bezradnie, nieporządnie, obrzydliwie.

- Szczyście, że sam tego nie musi oglądać, wytwórnia - jęknęła, z całych sił i nie bez nabytych umiejętności trzymając go, żeby sobie nie zrobił krzywdy. Ocierała ślinę z bladych w takich razach ust mężczyzny, jedyne, który przed laty i tylko raz ofiarował jej moment rozkoszy. Więcej tego nie potrzebowała. Wręcz obawiała się profanacji, bez względu na to, co miała na myśli, kiedy doznania i refleksje powierzała dziennikowi w safianowej szarej oprawie. Myślałam, że to już przeszedł, jak dzieci przechodzą ospę. Ze dwa lata już tego nie miał. - A to suka! - wrzasnęła nagle, kierując twarz wyraźnie na południowy wschód.

W lwowskim mieszkaniu na Zamarstynowskiej z salonu (gdzie siedziała cierpiąca na bezsenność teściowa) przenikało ciepłe stłumione światło do oddzielonej przedpokoikiem sypialni. W szerokim drewnianym łóżu Ircia spała ze swoją matką, Anką. I z miściem.

Było na co patrzeć i było o czym myśleć.

- A może to koniec zmartwień? - sama ani trochę nie wierząc w to, co mówi, ale na wszelki wypadek, szepnęła starsza pani.

Słowo to słowo.

6. Dom różnych córek

Tylko w Krakowie w słoneczne wiosenne południe hejnał z wieży Mariackiej tak dobiegał przez okna otwarte na ulicę Lubicz i wtapiał się dramatycznym, czterokrotnie powtarzanym urwaniem melodii w ducha jeszcze całkiem niedawno wolnego miasta, równie pięknego, co niebezpiecznego, zamieszkanego przez ludzi twórczych, pięknych szalonych, oraz przez utytułowanych łajdaków. Dla wszystkich to samo powietrze - ale te świeżo wyrosłe, a już wielce ukształtowane liście dębu zaglądały z gałęzi co roku wyższych tylko i wyłącznie do słonecznego mieszkania profesorostwa Ernestów, Egona Ernesta i Katarzyny, zwanej Radykałą.

Profesor Ernest, tyłem do okna, przy rozłożystym amerykańskim biurku (dla zachowania ładu w mieszkaniu i jednocześnie ciągłości pracy naukowej i twórczej z białym zamkniętym na półokrągłą drewnianą żaluzję w czasie odpoczynku lub nieobecności użytkownika), stukał z zawrotną szybkością na niewielkiej maszynie. Z bawialni, oprócz Irci, wybiegły jeszcze trzy, trochę od niej starsze dziewczynki - i nie oglądając się na dorosłych, przeleciały bokiem, przy ścianie, do innych pokoi w amfiladzie.

Dwie przyjaciółki - wciąż jeszcze wyglądające jak siostry - siedziały na szezlongu w swobodnych pozach. Ale luźne rozlewnienie to pozory. Powietrze wirowało od uczuć. Anka wydawała się smukłej szarą niż zimą, a i o twarzy bardziej smagłej niż niegdyś. Może to fakt, a może tylko wrażenie wskutek kontrastu z postacią Katarzyny, z jej białą twarzą i - *tableau!* - widocznymi skutkami pożerania ciastek tortowych, tak jak teraz, jednego za drugim.

Z daleka słychać było, że dziewczynki radośnie się śmieją.

- Macie sześcioro własnych dzieci, a tu jeszcze... - powiedziała Anka, wzięła lekkie, pulchne, przetykane kolorowymi kremami ciastko i oglądała je ze wszystkich stron jak eksponat.

- Dziewczyno, nie wiesz, jak dzieci szybko rosną! - odrzekła

Katarzyna. - Ani się obejrzymy, jak dostaniemy wnuczęta! Tak, tak. Pokój dziecinny opustoszał. Panienki podorastały, łóżecka, te najmniejsze, czekały do przedwczoraj - a od dziś z twoją Irunią znowu będziemy mieć komplet. Nie wolno ci mieć żadnych, ale to żadnych skrupułów... Słuchaj, skoro Egon Ernest i ja, jego żona Radykałka, ha, ha, ha! głosimy te nasze hasła pomocy, to musimy brać za to odpowiedzialność. Widziałas te dziewczynki - teraz będą dla Irci jak siostry. Wiesz, a w ogóle to one będą siostrami. W tym sensie, rozumiesz, co bracia. Więż na zawsze i wszędzie. Patrz. Lusia, z czarnymi warkoczami, jest córeczką doktorostwa Zalińskich. Wdowa po chirurgu Zalińskim, ta dzielna kobieta, która tyle przeszła, łącznie z tragiczną śmiercią męża, niestety, trafnie przewidziała, że nie przetrzyma operacji i przed pójściem pod nóż oddała Lusię w nasze ręce. A Zenobia - ta wiewióreczka, widzisz - jest córką Toniewskiego, też zresztą wdowca, wiesz, tego architekta, co spadł z rusztowania, doglądając budowy we Fryburgu i sparaliżowany chyba już do końca będzie w zakładzie Helclów. Trzecia dziewczynka, Anulcia, ostrzyżona jak chłopak, to już słyszałaś, nieszczęsne dziecko zesłańców...

- A czwarta dziewczynka, szatynka z niebieskimi oczami - dodała Anka z sarkazmem - to dziecko kobiety szpiega!

Potężny profesor Ernest odwrócił się nagle od roboty, odepchnął się na parkiecie mocnymi stopami i podjechał wprost do Anki na solidnym krześle z kółeczkami jak u nóg fortepianu. Wstał, zrobił kilka sprężystych kroków, wyjrzał przez okno, wrócił, znów usiadł; przez chwilę, widać było, zawahał się, czy nie lepiej byłoby wrócić jednak do biurka - bezpieczniejszego niż życie bez ochronnej tafli papierów, tuszu i atramentu. Podjechał przecież do Anki bardzo blisko, chwycił jej rękę, dopiero uwolnioną od ciastka. Mierzwił brodę i zza grubych szkieł patrzył jej prosto w oczy. Zdjął okulary i odrzucając je na stolik, nie odwrócił wzroku od poruszonej. Wyszeptał bardzo wyraźnie:

- Ani przez chwilę nie uwierzyliśmy.
- No ale dlaczego Trybun...? - Anka popatrzyła najpierw

na przyjaciółkę, potem sobie pod nogi, następnie w otwarte okno. Dopiero później zdołała przenieść wzrok na profesora Ernesta.

- Przez kogo został złamany i kiedy? Nieraz próbuję tego dociec - zachnął się wywołany wzrokiem. - Bo to nie jest normalne, co dziś wyprawia ten mądry skądinąd i niby dzielny człowiek!

- Pan o nim też tak?

- Dał mi się we znaki w 1905, właśnie wtedy, pani Anko, gdy sobie pani zapracowała - ha, ha! - na to nieszczęsne odškodowanie z Kolei Państwowych! Na obustronne zapalenie płuc umarł mój świetny asystent, doktor Poleoński. Akurat wcześniej badałem wspólnie z Poleońskim, i z nikim innym, zarazek dżumy, tak się złożyło. Doktor Poleoński tylko notował wyniki, nikt poza mną nie miał dostępu do preparatu. Ale ludzie bywają dziwni: mój student Chmaj puścił plotkę, że asystenta Poleońskiego zabiła dżuma. Groźna rzecz - toteż zrobiłem sekcję zwłok biednego Poleońskiego i próbki wysłałem do Paryża, do Instytutu Pasteura. Wyniki nadeszły błyskawicznie: nie było zakażenia dżumą. Ale zanim to nastąpiło, „Marsz”, czyli lukstorka naszego Trybuna, aż huczał od fałszywych rewelacji. Że to ja, Egon Ernest, zabiłem Poleońskiego! Te tłuste tytuły, jadowne podtytuły! Pani zresztą wie... co można, znaczy, co oni mogą robić! W ślad za „Marszem” huczał na mnie tak zwany postępowy Kraków. Postępowy, postępowy! Ale paraliż też bywa postępowy... Trybun za wszelką cenę chciał mnie zniszczyć. Mnie - jego własnego ideowego sympatyka. - Błysnął okiem, klepnął Ankę po kolanie, niby to głos przyciszył: - Wtedy myślałem, że on z Katarzynką moją flirtuje, nie odzywałem się w domu, ot, życie, a tu ty mi - spojrzal - Katarzynko, że wy tak tylko ideowo... nieważne. Czy ja wiem zresztą, czy nieważne. To się jeszcze okaże albo się nie okaże. Kto pierwszy rzuci kamieniem, dostanie rykoszetem. Po ekscesach Trybuna względem pani Anki, po tej atmosferce, którą Trybun fabrykuje, jak ten chłopak praktykant z teatru, co roznieca mgielne wonne dymy zza kulis na scenę, żeby odganiały zapach

znojnego potu i zacierały kontury prawdy, widzę, że jest to męczyzna, z przeproszeniem, złamany.

Wbiegła Ircia, już trochę zadomowiona, z misiem przywieszonym ze Lwowa. Obejrzała sobie profesora ze wszystkich stron - i usadowiła misia na jego kolanach. Dumna, podtrzymując misia na kolanach tego potężnego pana w spodniach marengo, spojrzała ufnie na Ankę, na swoją matkę. Profesor Ernest dostrzegł - coś podobnego! - lzy w oczach Anki, musiał pochylić się do dziecka. Nie myśląc długo powiedział:

- Wiesz co, Irciu, wspólnie będziemy uczyć misia esperanto, języka obywateli świata.

7. Zdarza się, że nawet los... bywa sprawiedliwy

Kwiatowe rabaty harmonią kolorystyczną cieszyły oko opiekunek siedzących na ławkach wokół przerzuconego nad wodą secesyjnego mostku i od czasu do czasu z trwożliwą uwagą obserwujących dziatki karmiące chlebem białe łabędzie. Nad głowami spacerujących szerokimi alejkami błękit nieba prześwitywał poprzez świeżą zielen dużych, ale niestarych kasztanów, klonów, przez nieśmiałe jeszcze listki jesionów, migające w słońcu chłodniejszym tonem zieleni. Ach, i te fioletowo błękitniejące cienie na krakowskich Plantach! Gdzieniegdzie, niby okazały ząb w szczerbatej szczęce, z kudłatej otoczki krzewów i forsycj wyłaniała się wspaniała baszta - pozostałości średnio-wiecznych fortów. W świegot ptaków i pokrzykiwania dziecięce wtapiał się głos trąbki hejnału z wieży Mariackiej. W pobliżu odnowionego pomnika Lili Wenedy wracający do domu z obiadu w resursie mecenas Schwarzenstrumpf spojrział ze zdumieniem na idących spacerowym krokiem, jakże harmonijnych, wytwornie oddających ukłony, adwokata Gałę i hrabinę Potańską (ściślej: wdowę po świeżym hrabim Potańskim, pomysłał sobie z naciskiem).

Uchylił i on kapelusza - z ciepłuteńkim, samo dobro znaczącym uśmiechem.

W hotelowym numerze Astoni - w którym poza tym był idealny porządek - Anka, spocona, naga, tylko byle jak okryta prześcieradłem, siedziała na łóżku po nieprzespanej nocy i bezgłośnie poruszając spierzchniętymi wargami, czyściła rewolwer, profesjonalnie, część po części.

Wycior, przechodząc przez łufę, wydawał dźwięk wysadzanego z butelki korka.

I nagle zupełnie coś innego. Do czego to przypasować w tej chwili, kiedy poza odgłosami tego, co sama robi, wokół powinno być cicho! Zerwała się, jęknęła w łóżku sprężyna. Niepokojące odgłosy. Najpierw znajome skrzywienie drewnianych schodów - nic innego, tylko kilka osób musiało się wspinać wyżej, na strych. Tak. Stamtąd zaczęło dochodzić łomotanie do drzwi.

To hałasowali w wąskim korytarzyku. W mroku można było rozróżnić sylwety dwóch mężczyzn. Jeden z nich - w mundurze i z dużą torbą. Drugi ruchami i z tuszy przypominał owego administratora Astorii, poza tym posiadacza tego i owego.

Aha! Jeszcze ktoś koło niego, cienki, poruszający się bezszelstnie. Przed drzwiami pracowni malarza ten w mundurze zapalił latarkę, przy okazji oświetlił chudego w charakterystycznej czapeczce - więc to boy. Pukali, naciskali klamkę. Znowu pukali. Nasłuchiwali - po czym już zdecydowanie załomotali do drzwi.

8. Spryciarze

- Jak to się mogło stać? - Potańska stała sztywno, jak nadłuczona lalka, nieznośnie bezradna w obliczu szkody, nieporządku, nieprzyjemności. Zdawało się, że zaraz tupnie nóżką

i odejdzie. Ale zdawało się również, że Roman Gala trzymają, piękną, na smyczy.

Przed ozdobną, z trawionego szkła, ale dramatycznie wybitą szybą w głównych drzwiach do apartamentów Gali stał na klatce schodowej student Bylewicz i - na razie niewpuszczony - słuchał, co mu opowiada z wnętrza widoczny przez tę dziurę wraz ze skamieniałą Potańską właściciel kancelarii:

- Od paru tygodni nagabywała mnie, wyobraź sobie, nawet przez moją sekretarkę - którą zresztą nie tylko z tego powodu będę musiał zwolnić - więc i ona, Korowska, nagabywała mnie o zwrot wszystkich swoich listów, i ta nieszczęsna kobieta. Listy jej zwrócić. Za mało jej oddałem tych listów. Listów, jak śmie twierdzić, miłosnych. Wyobraź sobie, ona przechowuje pokwitowania na wszystkie te listy! Zbywałem ją, oczywista. Musiała się, widzisz, zacząć - zapewne w piwnicy, bo stróż mówił, że w nocy nie otwierał bramy - wybiła tę szybę...

- Wtargnęła tu w ten sposób, musiała w coś rękę zawinąć, żeby się nie zranić, wybijając szybę, i to tak, że nikt tego nie usłyszał, ludzie, bójcie się Boga, no jak to - wykrzykiwała płaczliwie i zupełnie niearystokratycznie Potańską - potem wsadziła rękę, otworzyła sobie z zamka i łańcucha... proszę pana, ona tędy się dostała, nad ranem wdarła się do... do... no, do sypialni - i na naszych oczach podarła gabinetowe zdjęcie mojego narzeczonego! I moje gabinetowe... podarła. - Potańską pochyliła jasną główkę i zdawało się, że chce ją całą wtulić pod obojczyk Gali.

Bylewicz, snadź uznawszy, że to już pora, bez pardonu podniósł nogę i przelazł przez dziurę w szybie. Zachrząściło pod jego butami. W ciasnym przedpokoju wszyscy stłoczeni jak w windzie poczuli się jeszcze bardziej niewyraźnie. Bylewicz wzdrygnął się i zapytał:

- Czemuś, Romku, na policję nie dzwonił?
- Spokojnie. - Mecenas odsunął się o krok, odpychając Potańską jak krzesło; ta, trochę obrażona, przeszła przez kancelarię do sypialni. - Ja - ciągnął ciszej - ja Ance oddam te listy.

Słuchaj, ona obiecała, że za to zwróci mi tekst ugody, który własnoręcznie sporządziłem dla Plemieńskiego.

- Ach!

- No! Słuchaj, Heniu - Gala aż sapał z podziwu - Plemieński trzymał w ręku tę deklarację i za szybko oświadczył, że jej nie podpisze. Za szybko.

- Za szybko?

- Za szybko. Taka niepodpisana przez niego moja deklaracja w jego posiadaniu - to dla mnie byłoby co?

- Zguba!

- Zguba, właśnie, zguba! Wyplujmy to słowo! A Anka wtedy w mgnieniu oka wydarła Plemieńskiemu tę deklarację. I znikła. Tylko ona potrafi tak znikać, że to nie wygląda na ucieczkę...

Gala już zmierzał w głąb mieszkania śladem Potańskiej. Za nim szedł nie całkiem proszony Bylewicz, który przyspieszając, wyszeptał wrednym tonem: - Niestety...

Zderzyli się głowami, Gala bowiem odwrócony zatrzymał się nagle, zobaczył na twarzy Bylewicza przebiegły uśmiezek i nie siląc się już na nic, warknął: - Co? Mów!

- Zaraz, zaraz... - kciukiem i palcem wskazującym zrobił Bylewicz gest mówiący o pieniądzach.

- Dobra, dobra - powiedział Gala.

- Aż za dobra. Za dobra! Myślę o Annie Korowskiej, że jest aż za dobra, rozumiesz? To urodzona konspiratorka.

- Co ty mówisz?

- A to, że jej mąż, Stefan, ten pijak, były grafoman i odstawiony na boczny tor kauzyperda, ma w Limanowej notarialny odpis twojej deklaracji!

Gala oparł się plecami o piec.

- To znaczy, że wszystko na nic! - Wyglądał, jakby chciał wniknąć w rdzawe kafle. - Jestem zgubiony!

Z sypialni wychynęła młoda wdowa Potańska i - wcale nie pierwsza naiwna - patrząc z nie wiadomo skąd wziętym uśmiechem na Bylewicza, zwróciła się do Gali, tak jakby już od dawna wiedziała o wszystkim:

- A tu znowuż Korowscy nie doceniają operatywności naszego pana Henryczka. - Pokiwała głową jak przekupka. - Pan Henryczek Bylewicz pojedzie sobie do Limanowej...

Bylewicz, od niechcienia pocierając palcem wskazującym o kciuk, starał się na pewno wywołać ducha mamony. Tymczasem Gala zgarbił się jakoś, podszedł do naktkastlika - na jego nocnym stoliku zawsze leży duży pistolet - wyciągnął z szuflady klucze i wyszedł do przyległego pomieszczenia bez okna. Potańska i Bylewicz mierzyli się wzrokiem. Gala wrócił i na oczach Potańskiej wyliczając, wręczył Bylewiczowi szeleszczącą zaliczkę.

- Jeszcze dwie trzecie dostaniesz, jak mi ten papier dostarczysz - jęknął, niecierpliwie wypchnął go ze swojej sypialni i podązał krok w krok za wychodzącym. Z bólem patrząc na wybitą szybę, wyszczał: - Wszystkie chwytły dozwolone!

Bylewicz teraz ogromnie się spieszył - był już za drzwiami i słyszał, że w klatce schodowej z dołu, sapiąc, nadchodzi szklarz - kiedy poczuł na sobie najpierw spojrzenie Gali, a potem już nie mógł zrobić kroku, bo Gala - raniąc sobie rękę odłamkami szkła - przez tę wybitą szybę wyciągnął rękę, złapał Bylewicza za klapy i szeptął, aż rozbryzgiwała się ślina:

- Ty! Ty nie zaniedbuj Anki! Jeszcze raz zagraj przed nią jej powiernika...

9. Starzy chłopcy nad rzeką

Jaki to był piękny wiosenny dzień! Z boku nasycone czystym powietrzem krakowskie Błonia z pasącymi się krowami, na wprost, na nieodległym horyzoncie - kopiec Kościuszki bez śladu mgiełki. Oprócz „Czasu” gazety w niedziele nie wychodzą - a wyjątkowe wydania specjalne tylko potwierdzają regułę - dla większości dziennikarzy sobota wolna. Siedzieli w wysokich trawach na stromym brzegu Rudawy i od niechcienia puszczały kaczki. Trybunowi głazik odbił się pięć razy.

- Musieli - zwrócił się do bladego Goldstocka - no, musieli

cię skazać, bo zeznania tego Bakaja czy jak mu tam, tego, ech, ech, pewniaka, były bałamutne.

Goldstock rzucił głazikiem z jakąś zimną złością. Puścił tylko dwie kaczki.

- Czemuś dał sobie wyrwać deklarację? - zaczął Plemieńskiego.

Plemieński, w białym ubraniu, z nagle poczerwieniałą twarzą, wstał, wrzucił do rzeki duży kamień. Po prostu. Usiadł.

Wszyscy go obserwowali. Czekali pewnie, co jeszcze zrobi, gdy się upora z nabijaniem fajki.

Trybun, pewnie żeby się nie dłużyło, powiedział:

- W tej chwili - a zważcie, kochani, zbliża się rewizja procesu - jedynym sposobem skompromitowania adwokata Korowskiej byłoby wydobycie tej jego paskudnej, niehonorowej, raz na zawsze hańbiącej zawód obrońcy, do dna obniżającej pozycję, hańbiącej deklaracji. - Palił, gestykułował, wyglądał przeto jak ktoś, kto ma w rękach i w ustach co najmniej po trzy papierosy. - Gdybyśmy mieli ten świstek papieru, wówczas Gala byłby publicznie zniszczony - już to widzę! - z łatwością proces byśmy wygrali, a Anna Korowska raz na zawsze zostałaby nazwana szpiegiem! - Z papierosem w ustach, zacierał ręce. - Po wsze czasy!

Stary sitzredacteur do niedawna popatrywał na Trybuna z niedowierzaniem - pewnie czekał na zabawną puentę. Nie doczekał się - więc teraz już pozwalał sobie bezczelnie na podejrzliwość w spojrzeniu.

- Ha - westchnął Goldstock - tyleż osławioną, ile nieuchwytną deklarację ma Anna Korowska. Ujmę to nawet inaczej: ona w ten sposób Galę ma w rękę, a drażni wszystkich.

Panowie zamilkli. Konspiracja? Nie! Mokry kwiecień działał cudem; gdy pod koniec miesiąca zaświeciło wreszcie słońce, nazajutrz wystrzelił najpiękniejszy w malarycznym Krakowie złoty deszcz. Forsycje! Wszędzie; na Plantach, na starych zabudowaniach między teatrem a gotyckim kościołem Świętego Krzyża. A tu, pod miastem, to ci dopiero! Wałem po drugiej stronie Rudawy szła sobie młoda, ładna i bardzo zgrabna

dziewczyna z przedmieścia (i pewnie wszystkim wpatrzonym zamarzyło się w tym momencie życie bez problemów i sztucznych komplikacji). Kiedy dziewczyna przeszła, staremu udało się puścić jedenaście kaczek. Plemieński spojrzał na niego, powiedział:

- Stary, ale jary.

- I wie wszystko - dodał Trybun i tym samym tonem zwrócił się do obgadywanego: - Jedynym zaufanym człowiekiem Anki jest w tej chwili chyba tylko ten student Bylewicz. Co z nim?

- Wystarczy go godziwie opłacić - mruknął stary z żądzą przygody, już bez inteligentnych skrupułów. - W trzy dni w waszych rękach znajdzie się deklaracja. Zobaczycie - dodał szepem - ten człowieczek zostanie ministrem!

Trybun spytał starego: - Zajmiesz się tym?

- Czym? Żeby został ministrem? Już się robi! - zaniósł się nadspodziewanie bardzo złym śmiechem. I poważnie: - Oczywiście.

Trybun wyjaśniał. Tymczasem Plemieński rzucił w powietrze pytanie: - Czy Gala i Korowska odsunęli się od siebie tak tylko *pro formal* Na pokaz?

Odpowiedź ponad głowami kolegów natychmiast przerzucił Goldstock: - Skądże! Na serio. Gala rozgłasza, że Korowska to jest kobieta, która wszystkim przynosi nieszczęście.

- Gala? - upewniał się Plemieński, a gdy wszyscy mu przytaknęli, zauważył: - Ten dziwkarz narodowy wreszcie dojrzeła. Zaczyna być ostrożny.

- Nie powiedziałbym - nastroszył się Trybun. - Związał się z taką niby hrabiną, bez pałacu, bez ziemi, bez powozu nawet, która w rzeczywistości jest wdową po zwykłym konowale Potańskim. Sama urodzona gdzieś w łobzowskiej suterenie, ona tego Potańskiego, alkoholika zresztą, człowieka, jak się zdaje, nieuleczalnie chorego na nerki, tak długo namawiała, aż sobie dokupił ten tytuł hrabiowski. Nikomu tego nie mówcie, ale mam pewność, że pomogła mu zejść z tego świata. - Strzelił palcami. - Panowie, ta Potańska była w łóżkach wszystkich pracowników warszawskiej ochrony!

Słuchacze zamilkli - zażenowani. Rozległ się starczy chichot sitzredacteura, następnie padły jego słowa: - Oj Ignas, Ignas, ti bzidki podgladacu! - i to rozladowało sytuacje.

10. Śmierć adwokata

Czyściutka, w pięknej długiej, obcisłej sukni i w kosztownym kapeluszu z trójwymiarową martwą naturą, gotowa do wyjścia z pokoju, Anka podniosła ze stołu swój mały rewolwer, precyzyjnie, nawet z niejaką pieczołowitością, ulokowała go pod dekoltem. Co znaczy wprawa. Doglądać jednak nie zawadzi. Stała przed lustrem, obracała się - ale tylko po to, żeby sprawdzić (a potem żeby się upewnić), że rewolwer nie będzie widoczny. Jeszcze pochylała się gwałtownie w przód, aż dłońmi dotykała podłogi. Żeby skontrolować, czy broń nie wypadnie.

Już miała wychodzić, lecz się wróciła. Przykucnęła przy komódce, wysunęła najniższą szufladę, spokojnie popatrzyła na duży czarny pistolet obciążający pakiet listów. Przekreśliła dwukrotnie klucz tkwiący w zamku, wyciągnęła go, włożyła do torebki, torebkę zabrała ze sobą. Lekka wybiegała z hotelu. Wrażliwy by pomyślał, że osłania piersiami motylka - a i nawet mizoginiście z katastroficzną intuicją nie przeszłoby przez myśl, że to nie motylek, lecz narzędzie gwałtownej śmierci.

Tuż za bramą hotelu - ledwo zdążyła zauważyć, że wieczór jest pogodny, poczuć, że kwiaty na klombie pachną, a rześkie powietrze zachęca do spaceru, obiecując (po co jeszcze jedną?) przygodę - wpadła w objęcia dziwnie wyświeżonego Bylewicza. Ten człowiek, który zapewne po raz pierwszy w życiu wyglądał tak, jakby się wybierał na randkę, cofnął się o pół kroku, żeby lepiej zaobserwować zjawisko, i aż zapiął:

- *Primavera!* - Ani na chwilę nie spuszczać z Anki wzroku, zapewniał: - Z dnia na dzień piękniejsza! Czy są w ogóle jakieś granice... jakieś granice urody?

- A mógłbyś jutro przyjść do mojego numeru? - spytała właściwie półprzytomnie. - Tak, wiesz, do południa. Te książki sobie wtedy odbierzesz, pewnie ci będą potrzebne. Ja teraz nie mogę. Nie mogę zawrócić. Bardzo się śpieszę.

On jednak przytrzymał jej rękę i patrzył (najwyraźniej robił to sztucznie) natrętnie pytająco.

- No, jak myślisz? - wreszcie zaspokajała jego głód informacji. - Masz rację, idę do Romka Gali. Wszystko skończone, ani słowa. Oddał mi listy, ale kilku brakuje. Muszę je mieć - co do jednego!

Bylewicz spojrział na Ankę z mieszaniną politowania i tryumfu.

Wyrwała swoją dłoń z jego uścisku.

On jednak znowu chwycił jej dłoń. - A powiedzić ci po przyjacielsku coś, czego ty nie wiesz? - I nie czekając, uderzył słowem: - Przed chwilą pożegnałem się z Romanem Galą, który właśnie pędził na randkę z Różą hrabiną Potańską, Wolska 38, drugie piętro, drzwi na prawo.

- To zmieniam plany.

Bylewicz puścił dłoń Anki i patrząc na nią z radosną nadzieją, aż zatarł ręce.

- Zmieniam plany - powtórzyła twardo. - Jadę do córeczki na Lubicz.

Skinęła na fiakra, nadjechał. Zostawiwszy Bylewicza śmiesznie ogłupiałego, wsiadła do dorożki, cicho rzuciła:

- Przed siebie! - U wylotu następnej z kolei ulicy fiakier zwolnił, obrócił głowę, popatrzył wyczekująco na pasażerkę. - Właśnie tam, w lewo - powiedziała - Wolska 38.

(Noc taka, jaką wtedy w Krakowie malował na swoich niepowtarzalnie księżycowych obrazach Henryk Szczygliński, jeszcze będąc kochankiem pisarki Marii Dąbrowskiej). *Stimmung* - weduta w świetle gazowych latarni. Anka siedziała w dorożce w zaułku zwanym tu Via Appia Antica i od wielu godzin obserwowała kamienicę po drugiej stronie ulicy. Wreszcie w bramie narożnej pojawiło się migotliwe pomarańczowe

światło i odbiło się o wiele chłodniejszym, wręcz cytrynowym tonem w wodzie Rudawy, nad którą z obu stron ulicy Retoryka stały domy.

Nie odrywając wzroku od światła w bramie, Anka jednocześnie szukała czegoś w torebce. Wyciągnęła trochę zmiętych banknotów. Drgnęła - w bocznej, od strony Retoryka, bramie narożnej kamienicy przy Wolskiej pojawił się Gala w białym, a może bardzo jasnym garniturze. Wyszedł. Stróżka jeszcze przez chwilę oświetlała mu schody. Kiedy Gala wszedł na mostek na Rudawie i zaczął go rozważnie przemierzać, Anka wcisnęła fiakrowi banknoty i opuściła dorożkę. Dobięła szybko w całkowitych ciemnościach do Wolskiej - tafla Rudawy wskazała jej ten mostek przerzucony nad ulicą Retoryka - odtąd w miarę bezpieczna dla sprawy, spowita w mrok szła w ślad za Galą. Rozdygotana, widocznie nie mogła wytrzymać napięcia (a może kierowana innym impulsem), skręciła w prawo, zupełnie w bok.

Biegła przeważnie znanymi jej podwórcami oraz przez puste place, a ponieważ bramę przechodnią, na którą liczyła, już dwie godziny temu zamknięto, musiała zawrócić. Coraz bardziej zdyszana, nie chcąc, by ją ktoś widział bliżej śródmieścia na cywilizowanych, oświetlonych ulicach, musiała oddalić się - czyli wracała. Potem biegła lewym brzegiem Rudawy, płynącej środkiem ulicy Retoryka, skręciła na wysokości dużego mostu w miejscu, gdzie Rudawa wpada do Wisły - ciemny, ostry zarys Wawelu wyglądał jak znak graficzny - jeszcze w lewo i ciągle prosto, i już... Gałęzie zwisające zza ogrodzenia tuż przy wąskim chodniku zaczepiły o jej wytworny kapelusz. Pokrzywione, suche drewniane szpony pokusiły się na sztuczne jabłuszka i kwiaty. Wyrwały. Zatrzymały tę dekorację. Anka nie dbała o to. Z potarganymi włosami, osłaniając lżejszym już kapeluszem pierś falującą bez kontroli, w holu Astoni natychmiast zamknęła się w kabinie telefonicznej. Podniosła słuchawkę:

- Proszę mnie połączyć z panem mecenasem Galą - zażądała, uprzednio pokręciwszy korbką. - Co? Tak, właśnie mówię do

mikrofonu... Czy już słyhać? No właśnie! Numer telefonu? Mecenasa? No przecież 1203. Tak, będę czekać... Hallo! Czy ja rozmawiam z mecenasem Galą? Aha! Dobry wieczór. Tu Anka Korowska. Romku, przed chwilą zastrzeżiłam twoją narzeczoną.... Tak, tak, za-strze-li-łam two-ją na-rze-czoną w jej mieszkaniu na Wolskiej.

Wyszła z kabiny. (Zaraz wyładniała?! Tak to mogło wyglądać, sama jednak powie później, że nie mogła opanować suchego deszczu szarych poszarpanych, zwidujących się jej przed oczami kresek). W recepcji czekał na nią list w kopercie barwy rozbielonego fioletu i zaadresowany kaligrafią pełną wyrafinowanej fantazji.

Z tym listem, już z pozoru spokojnie, poszła do siebie na górę.

Gala boso, bez spodni - ale jeszcze w koszuli, krawacie i w kamizelce - oszalały stał przy tym swoim znanym z podwójnej słuchawki telefonie. Kręcił korbką, pochrząkiwał, chrypiał, próbował coś wypluć, odkaslnąć - i znowu chrząkał. W otwartych drzwiach było widać, jak Mruk w kuchni pije mleko.

- Żeby co? Żeby co? - Gala mówił do siebie, półmartwy. - Ale jak to? Jak to? Co? Że mój pies, tylko mój, że mój pies tego nie czuje?!

Niby modna w sferach japońszczyzna - ale tutaj nie całkiem; nie tak do końca. Jakiś wschodni, ale raczej sułtański przepych. Kadzidelko, chińska latarnia, nad łóżem oryginalne odbitki japońskich drzeworytów barwnych. No i pyszne łóże, wraz z doskonale napompowaną na nim postacią - barokowe; jakby ktoś się uparł, żeby z pozostałości rozebranego ołtarza pracowicie zbudować łóż! Piękna, krowiooka Potańska, ubrana w sarong, leżała na tym łóżu z lekturą. Zadzwonił telefon - dźwięk obcy w tych pluszach, słodkich dymkach i złotogłowiach. Powieść Eugeniusza Sue upadła na dywan, kawał marcepana powędrował do ust czytelniczki. Potańska półleżąc, ze słuchawką

w jednej ręce, z mikrofonem w drugiej, z nagłą jęła się mieniść na twarzy, oczy, od tej chwili wypukłe, przekrzywiły się w ułamku sekundy; rzuciły chory blask.

- Co?

Podniosła się, usiadła w piernatach. Założyła nogę na nogę.

- To ja - mówiła do mikrofonu - to przecież ja! - Ze wszystkich stron oglądała słuchawkę, z której wychodziło pochrapywanie, rżenie oraz dziwnie obcy, jakiś matowy głos Gali. Wreszcie przerwała przykre dla ucha rżepolenie, hucząc do mikrofonu: - Romku kochany, z jakim ty śledczym chcesz mówić?... Co? Czyżbyś...? Nie, przecież ty w ogóle, ty raczej, z tego, co wiem, nie pijesz... Tak, jestem cała i zdrowa... Och, tak, jestem tu sama. Chyba o książkę, o lekturę nie jesteś zazdrosny. Widzisz, z tej twojej zazdrości to mi nawet książka z łapki wypadła. Och, ty!... - Popatrzyła na swoje ręce, na sarong, obejmowała stopy. - Dlaczego ci się wydaje, królu mój, panie i władco, że ktoś usiłuje naśladować mój głos? To naprawdę ja, cała twoja, ca... Ee!... Poważnie pytasz, gdzie mam takie trzy pieprzyki? Dokładnie, czekaj, zaraz sama sprawdzę, wezmę taką zakładkę do książki, na której jest podziałka milimetrowa... - Podniosła zakładkę z dywanu, trochę stękając odwinęła sarong, mierzyła. - No, dokładnie siedem centymetrów i sześć milimetrów poniżej pępuszka. Szkoda, że mnie teraz nie możesz zobaczyć. Prawda, że szkoda? Co, co ja mam teraz przede wszystkim zobaczyć? Bo ty nie możesz...? Co? Gdzie, mówisz? Tak, dobrze, zaraz sprawdzę, czy dokładnie zamknęłam drzwi... - Już wstała, zawahała się nagle, upierścienionym palcem puknęła się w głowę. - Ależ, Romku, przecież wiesz, że w moim wieku zmysły jeszcze nie mają prawa człowieka zawodzić, choćby ten człowiek był najczarowniejszą kobietą; jak wychodziłeś, to musiałeś słyszeć, że zakładam łańcuch... - Zatrzęsa się. - Coo?!

Odwiesiła słuchawkę, chciała, ale nie mogła zaniknąć wytrzeszczonych oczu. Drżała tak bardzo, że mimo usiłowań nie była w stanie narzucić na siebie kołdry.

Anka weszła do swojego numeru. List w jasnofioletowej kopercie rzuciła na stół. Przyglądała się, jak ten list wygląda w otoczeniu kilku innych zaklejonnych kopert, wszystkich adresowanych jej ręką. Wszystkich z dużą informacją *Testament* i z tą samą formułą *Do rąk własnych JWP...* itd. Na razie nie otworzyła koperty barwy fiołków w mleku, przeszła do łazienki, zdjęła tylko majteczki, nucąc wyprała je w umywalce, starannie rozwiesiła nad wanną. Wróciła do pokoju, przez chwilę się wahała, jakby nie chciała zepsuć tych ozdobnych fiołków i kaligrafii, ale w końcu na przekór słabościom rozszarpała piękną kopertę, przeczytała list - i tak jak stała, już nawet się nie czesząc, pobiegła na górę.

Malarz w pracowni czekał na nią. Wyświeżony, z wyjątkowo u niego nafiksowanymi wąsami, od progu z dumą jej pokazywał imponujący dyplom. Litografowane personifikacje sztuk pięknych, tekst antykwą i po łacinie. Ukłonił się Ance w pas. Wskazał jej fotel i powiedział zduszonym głosem:

- Wielki srebrny medal na Wystawie Światowej w Paryżu! Za portret, do którego powstania pani się przyczyniła!

Nie mogła złapać tchu i nie mogła uwierzyć, póki jej nie pokazał. Poszperał w szpargałach i rychło wyciągnął francuski magazyn artystyczny, w którym na drugiej stronie okładki puşyło się zdjęcie rejestrujące czcigodnych wąsatych i brodatych jurorów na tle obrazu przedstawiającego ją, Ankę, z obnażoną piersią i z nieziemskim wyrazem twarzy.

- Ależ pan to zrobił! - udało jej się przemówić. Z podziwem. - Nic nie wiedziałam. Wyjechałam, a pan tu tak sam...?

- Portret zakupił zwabiony blichtrzem jego sławy, łasy poza tym na damskie wdzięki, kolekcjoner z Waszyngtonu. Czyli oprócz pieniędzy z nagrody teraz nadeszło niepomierne bardziej sowite honorarium zza oceanu. Miałem z panią taki specjalny kontakt...

- No wie pan.

- Pani się urodziła w Rohatynie.

- Panie! Skąd pan to...?

- Pani ojciec, Jan Złożan, był właścicielem garbarni; kiedy

wracał, w domu cuchnęło skórą, półproduktem, choć się perfumował i codziennie przyjmował wannę. Pani jako dziewięcioletnia dziewczynka sama od siebie odsuwała myśl o uldze, jaką sprawiła nagła śmierć ojca. Chodziło o to, można powiedzieć, paradoksalnie, że z tą chwilą ustanie zapaszek. Pani się z tym zmagła, z tą ulgą; świadomość ulgi ciążyła pani jak wór wypełniony kamieniami...

- Nigdy nikomu tego nie mówiłam. Tak było, tak jest. Boże! A już się obawiałam, że pan nasłany; przepraszam. Co pan? Skąd tak?

- Jestem szczęśliwy. Dzięki pani. A co do tego, to ja także mam swoje przyziemne lęki. Przedwczoraj rano zaczęli się do mnie strasznie dobijać. Myślałem, że to policja polityczna przyszła, żeby mnie zabrać, aresztować, mało brakowało, a podniósłbym się na rękach i buch! na ten dach, potem cóż, pewnie to lepsze niż Sybir, niż Cytadela, ale w końcu otwarłem. Tak, to był taki specjalny posłaniec z medalem i z olbrzymią, po prostu niewyobrażalną forszą, toteż i w asyście hotelarzy.

Odsunął gipsowe popiersie Apollina. W pustym wnętrzu odlewu tkwiła monstrualna kupa banknotów. Jak obłąkany, ze starannością i w napięciu z tej jednej kupy zrobił dwie równe.

- Wczoraj - już dyszał - przez cały dzień chodziłem i oglądałem lokale. Chyba zostanę w Krakowie i tu sobie kupię, albo na wszelki wypadek wynajmę atelier z prawdziwego zdarzenia.

- Ma pan tak od razu - powiedziała, patrząc na niego nieufnie - szeroko zakrojone, sprecyzowane plany.

Jedną z równych części banknotów przesunął po stole w kierunku Anki. - To pani część jest.

Podeszła do artysty i bardzo delikatnie gładząc jego prawicę, mówiła: - W tym miejscu wszelkie moje podejrzenia się kończą. To są najczystsze pieniądze, jakie widziałam. I to by były także najczystsze pieniądze w moim życiu. Ale ja ich nie przyjmę.

- Ale ja wiem, co mówię, kiedy proszę, żeby je pani zabrała - powiedział i w tym właśnie momencie Anka zobaczyła, jak kilkanaście włosów na jego skroni pokrywa się po raz pierwszy

siwizną! Chciała go o tym, czymś bardzo dla niej dziwnym i trwożnym, od razu powiadomić, ale artysta dokończył uroczyscie: - One do pani należą.

- Może wezmę je potem. Teraz jeszcze muszę załatwić... bardzo ważną sprawę.

- A może już nie trzeba? Może pani wcale nie musi już załatwiać żadnej sprawy?

Patrzył na Ankę z miłością i trwogą. Trzymał cygaro tak mocno, że mu się złamało w palcach.

Anka płakała jak legion płaczących kobiet.

- Niech mnie pan zostawi w spokoju! Niech mnie pan zostawi w spokoju! - krzyczała, tuląc mu się w ramiona.

Może lepiej byłoby, gdyby w nich pozostała - ale nagle bez słowa odskoczyła od bardzo podnieconego malarza z niewiarygodną a zagadkową gwałtownością, zbiegła na dół do swojego numeru, zamknęła drzwi na klucz, chwyciła listy z testamentem, zamierzyła się, żeby je podrzeć. (Gdyby tak jeden po drugim!). Ale plik stawiał opór. Włożyła kapelusz i wybiegła z hotelu prosto w upalną bezgwiezdą noc.

Objiała się o puste ulice; bramy wszystkich domów pozamykane na noc. Prześliznęła się między murem klasztoru Marków a remontowaną posesją. Z zaułka poprzez chaszcze, uważając na gruz, druty i spróchniałe belki, przedostała się dziurą w murze (zastawioną byle jak, o czym wiedziała, starą furtką) do rozległego ogrodu. To już nie fasadowy Kraków, ale swojski, prząsny, nieustannie nadgniły. Kluczyła w ciemnościach poprzez tylko trochę znane podwórka, wzięwszy rozpęd przesadziła mur, ocierając sobie skórę na udzie. Ale to już tu. Zdjęła buty i bezgłośnie wbiegła kuchennymi schodami na ganek. Ukryta w ciemnościach, zajrzała przez uchylone okno.

Widziała, jak Roman Gała w kuchni podgrzewał mleko, jak je nalewał do miski - i w chwili gdy się pochyłony odwrócił, żeby podać mleko Mrukowi, który jak zwykle już od południa marzył o żarciu, popchnęła kuchenne drzwi, pobiegła do mrocznej sypialni i schowała się za grubą, mięsistą zasłoną

koło pianina. Słyszała, jak Gala czuлыми słówkami uspokajał Mruka, który, rzecz jasna, wyczuł jej, a nie byle kogo obecność, i wył, prawie śpiewał. Gala musiał się poczuć niepewnie, bo mimo duchoty starannie zamknął kuchenne okno. Słychać było również, że drzwi na ganek zamknął na klucz, i było to u niego o tyle dziwne, że zawsze - śpiąc zresztą czujnie i z pistoletem pod ręką - zostawiał tamte drzwi zamknięte tylko na klamkę, żeby posługująca mu wiernie żona stróża sąsiedniej kamienicy mogła o świcie wnieść zakupy: mleko, masło i ser w dni targowe oraz świeże bułeczki codziennie. Ciężko oddychając, wyczerpany, spocony już i nieswój, z lampą naftową przeszedł do sypialni.

Dużo światła. Zapalił bowiem jeszcze jedną lampę i na domiar ustawił ją przy lustrze.

Anka z ukrycia obserwowała, gest po geście, jak się Gala rozbierał. Im dalej, im głębiej, tym gorzej. (On zresztą zawsze najlepiej się prezentował z wierzchu). Smętnie mu teraz zwiślał szerniały członek. Takim go nigdy nie widziała. Naciągnął nocną koszulę. Otworzył szeroko usta i coś z nich wyciągnął z jękiem. To sztuczna szczeka. Wrzucił ją do szklanki z wodą. Z dołu podświetlony lampą, którą postawił na krześle, sprawiał wrażenie starca. Jeszcze nie czterdziestoletni, z pieczołowitością dziadunia ścielił dla siebie łóżko...

Wyszła z za kotary.

Gala przerażony, zmieszany. Przegrany. Właśnie się położył i sięgał do lampy, żeby ją zgasić... To wszystko chwilka - a tak długo.

- A jednak nie oddałeś mi wszystkich listów. - Złapała Galę na grymasie (w związku ze szczeką), który mylnie wzięła za objaw lekceważenia. Wobec tego, co zobaczyła, wyjęła rewolwer z za dekoltu i mierzyła do niego.

Na ten widok jednak mecenas odzyskał rezon. Machnął ręką. - E, tjakie tam ftučki... - Przerwał, z przykrością konstatując, że bez sztucznej szczeki bełkocze. Cichaczem włożył rękę do szklanki, odwrócił głowę, mlasnęło. Wyskoczył z łóżka, dopadł biurka, kucnął, przysiadł, szukał listów. Anka z rewolwerem

w dłoni stanęła za nim. Gala wyciągał stopy korespondencji. - Ten, ten, tamten sinawy, o!, i ten tu, taki podłużny, to chyba tyle, wszystko, daj, muszę jeszcze sprawdzić, czy moje koperty nie są pomieszane z inną korespondencją. - Przeglądała. Krzyknęła nagle:

- A tamten?

- Który?

- No, gdzie jest tamten list, który pisałam jesienią, kiedy nam było najlepiej?

Szukał i nie mógł znaleźć; ukląkł. Nad nim stała Anka, czytała własne listy i wyraźnie ogarniało ją podniecenie. Spojrzał na nią, słuchał jej głosu. Nadzwyczajne. Udzieliło mu się. Patrzył w górę, rozgorączkowany. Nad nim Anka nagle podniosła do góry suknię. Zastygł, członek uniósł mu nocną koszulę. Anka odrzuciła rewolwer i listy, ściągnęła koszulę adwokatowi. Źle sobie wstawił szczękę, znów, podczas szamotaniny wypadła.

Zerwała z łóżka kołdrę. Roznamiętniona do białości zobaczyła nad sobą twarz Gali i jego znów niespodzianie bezzębne dziaśła, natrętnie narzucające się w ustach, z których z trudem, ale i ze szczególnym dążeniem do osiągnięcia staranności dykcji, wydobywały się słowa:

- Ale do sądu Ligi pójdziesz?

Wyśliznęła się z objęć kochanka i patrzyła na niego ze wstrętem.

W jego spojrzeniu pytanie.

- W takiej chwili!?! - krzyknęła. - Kanalia! - Odskoczyła, zdążyła jeszcze powiedzieć: - Oddaj mi do kompletu ten jeden list, a wtedy stąd wyjdę i przysięgam, nigdy więcej mnie już nie zobaczysz! - ale on, na poły w pościeli, nagi i teraz żółtawy, sunął za nią, a wyciągając ręce w geście ni mniej, ni więcej błagalnym, upadł na łokcie i znowu próbował się podnieść.

- Będę stracony - bełkotał przeraźliwie - jeśli ty nie zeznasz tej drobnej nieprawdy!

Zupełnie naga w drugim końcu pokoju, na tle pianina z otwartą klawiaturą, gdy w jego bełkotliwej płątaniu zdołała

uporządkować słowa w myślach i dedukując, zrozumiała, że szepnął jeszcze: „Cóż to dla ciebie?”, wrzasnęła:

- Nic to nie da! Stefan ma w Limanowej odpis twojej tchórzliwej deklaracji. Trzyma go w kasie pancерnej w namiestnictwie!

Dwoma susami podbiegła na środek pokoju. Pozbierała porzucane listy i swój mały rewolwer. Zasłaniała się teraz tym wszystkim; ręka z bronią na piersi, ręka z listami na łonie. W tej chwili w półmroku Gala obrócił się nagle i chwycił swój duży rewolwer. Skulony, sunąc, zrobił krok, jego ramię, czoło i nos wydobyły się z cienia. Spostrzegła, że się wyprostował. Stał teraz, drżącymi łydkami oparty o łóżko. Już nie belkotał. Gorzej. Strasznie, bo siląc się mimo wszystko o jak najstaranniejszą dykcję, wyrecytował jak sztuczny człowiek z cyrkowego gabinetu osobliwości:

- Kiedyś mówiłaś, że powinniśmy wspólnie skończyć ze sobą. Zróbmy to teraz.

Zachnęła się:

- Błazeństwo!

Przyłożył sobie rewolwer do skroni. Huk wystrzału. Samobójca padł na podłogę. Z głową we krwi i z wysadzonym okiem, poruszył ustami, z których wydobyło się coś trzeszczącego, co jednak wyraźnie ułożyło się w słowa:

- Sama widzisz, że to nie błazeństwo.

Teraz za ciężki; próbowała, ale nie dało się go ostrożnie przenieść na łóżko. Nadal przytomny, krwawił. Ance, nagiej, zbroczonej krwią rannego, udało się go tak oprzeć, żeby półleżał między łóżkiem a zagłówkiem szezlonga.

- Żonę twoją powiadomić, tak?

- Żonę - nie.

Pobiegła do kuchni - Mruk czekał pod drzwiami, cicho wyjąc, drapał lakier na drewnie - już zamierzała chwycić tę dużą, o nieregularnych kształtach gąbkę, którą zawsze mył się Gala, stojąc w miednicy, i którą Anka szorowała mu plecy, w jesieni, kiedy jeszcze razem było im tak dobrze. Gąbka byłaby najlepsza, ale ta gąbka to inny rozdział. Ta gąbka należała do czasu

jasnego, ciepłego, kiedy dzięki Romanowi, dzięki miłości po raz pierwszy w jej życiu pojawił się kolor i przebił wszechwładną dotąd szarość - o czym pisała do Gali w liście, którego nie wiadomo dlaczego postanowił jej nie oddawać. To nie do wytrzymania. Więc nie gąbka. Zerwała bawełnianą zasłonę, przyniosła ją do sypialni i ścierała krew. Mruk lizał ręce pana. Udało jej się zagnać psa w kąt - tam, koło pianina, gdzie się wcześniej ukryła - i zastawiła go fotelami. Znowu pobiegła do kuchni, wróciła z miednicą, tą do kąpielni, wypełnioną zimną wodą. Dłonie mokre od wody i krwi otarła machinalnie o uda i dopiero wtedy musiała sobie uprzytomnić, że jest naga. Rozejrzała się, wyszarpnęła z łóżka prześcieradło, wytarła nim całe ciało; spostrzegła, że świeże otarcie na udzie lekko krwawi i... nie, właśnie teraz wtarła sobie w to miejsce krew Romana Gali. Myła się i wycierała bardzo dokładnie. Znalazła wreszcie suknię, włożyła ją na gołe ciało. Potem dopiero majtki. Czyściutki. Jak to? Nie ma. Rozglądała się dokoła, skupiona, zatrwożona, jakby to teraz było najważniejsze. - W hotelu przecież pozostały, suszą się w łazience, na sznurku! - wyszczała przez zęby. Do torebki wrzuciła rewolwer i listy, wszystko to zawinięte w gorset. Stora z kuchni i prześcieradłem, ciągle zmieniając wodę, wycierała posadzkę. Do czysta! Biegała w tę i z powrotem: do zlewu, od zlewu. Opamiętała się, wydobyła się z tego bezsensu, kiedy dobiegło do niej charczenie Romana Gali. Podeszła do ranego, który już nie tkwił pośród bałaganu, tylko pólleżał spokojnie na czystej podłodze i nie krwawił. Był trupio blady, ale twarz miał spoconą. Zimny pot. Usiadła przy nim, głaskała go najdelikatniej, mówiła: - Będzie dobrze.

Wstrząsnęły nim torsje. Zawył i stracił przytomność. Anka znowu poszła do kuchni po wypłukane prześcieradło, wytarła wymiociny, wypłukała znowu prześcieradło i storę. Namydłonym dobrze prześcieradłem miejsce w miejsce myła całe swoje ciało; żeby nie został ślad krwi tego mężczyzny. Tylko tam, na tym zatarciu naskórka. Tak, diabeł tkwi w szczegółach. Już czysta, wysychająca. Długo pod bieżącą wodą płukała w zlewie

gąbkę, której ostatnio on tutaj używał, teraz dopiero gąbką i pachnącym mydłem myła ręce, wytarła je czystym ręcznikiem, natarła wazeliną. Już nie śpiesząc, odsunęła fajerki w kuchennym piecu, z ulgą stwierdziła, że palenisko jest czyste, podłożyła na ruszt stare gazety, mniej ważne listy, pomięte i potargane, pół wiązki drewek, podpałiła, znowu gazety, resztę drewnianka, a gdy buchnął ogień, dołożyła szuflę drobnego węgla i teraz po kawałeczku cięła nożyczkami wyżęte prześcieradło i krwawe szmaty zasłonki, wrzucała te skrawki do wielkiego ognia, metodycznie, po trochu, żeby nie przydusić płomieni, żeby nie przygasło, żeby już nie pozostał żaden ślad. Dlaczego? Wtedy nie zastanawiała się dlaczego. Potem już nie wiadomo. Nikt spośród żyjących nie wie. Do pieca, w którym pilnowała dopalających się szmat, od niechcenia wrzucała listy - po trochu i bez przekonania. Przestała je nawet drzeć... Ze świecą przeszła do kancelarii. Pokręciła korbką, od razu usłyszała głos telefonistki, zażądała: - Z profesorem Fiedererem - a gdy ten po bardzo długim oczekiwaniu po drucie telefonicznym przekazał jej przez służącego, że nie dysponując sprzętem, w który jest doskonale zaopatrzone pogotowie, w środku nocy nie przyjedzie do wypadku i że jeżeli ona sama, jego studentka, nie zadzwoni po pogotowie, to on sam to zrobi, bo taki jest obowiązek lekarza, odłożyła słuchawkę i znów pokręciła korbką. - Z Pogotowiem Ratunkowym - a gdy ją połączono, powiedziała: - Ach, to ty, Henrysiu, znów sobie wzięłeś dyżur... Tak, Anka. Dzwonię ze Sławkowskiej, tak, z kancelarii. Stało się nieszczęście. Mece-nas Gala ma kulę w głowie.

Już się rozjaśniało, odezwał się pierwszy ptak. Szpaczek. Anka robiła porządki - tak jakby tu Gali nie było. Ubrana, czyta, krążyła po mieszkaniu. Do kuchennego pieca, w którym jeszcze się żarzyły papiery, dorzucała po trochu koperty. Mruk był okropnie cicho i strasznie za tymi fotelami. Patrzyła na wejście sanitariuszy, z noszami, w towarzystwie rozgniewanego stróża. Wbiegł medyk i za nim student Bylewicz. Medyk w białym,

krzywo zapiętym kitlu, zbadawszy puls i zajrzawszy denatowi do oka, orzekł posługując się scenicznym szeptem: - Stan agonalny - i wstrzyknął nieprzytomnemu kamforę.

Zajrzał mu do oka ponownie i wyraźnie powiedział coś zastanawiającego:

- Niekoniecznie.

Bylewicz włożył do metalowego pojemnika podaną mu strzykawkę. Pomógł sanitariuszom umieścić rannego na noszach. Anka podbiegła gwałtownie i okryła Gałę kocem. Bylewicz, niby przypadkiem, przystąpił do niej i powiedział szeptem:

- Teraz się możesz wymknąć. Zanim będzie za późno. Ja tu stróża zagadam, a ty przecież wiesz jak, kuchennymi drzwiami.

- Po co? - spytała głośno.

Bylewicz nie wytrzymał: popatrzył na nią - z zawiścią.

Pojawili się dwaj policjanci (Bylewicz, niezgodnie z procedurą, jako dyżurny w pogotowiu pominął obowiązek zawiadomienia policji, ci tymczasem, czemu się nie mógł nadziwić, przyjechali wcześniej niż lekarze i obstawili teren). Starszy, już chyba po sześćdziesiątce, oraz całkiem młody szybko i raczej niestaranie zabezpieczyli ślady. Jak gdyby już mieli dość. Aż dziwne - wszak sprawa dopiero się rozpoczynała. Aura, znak, klimat? Nie bądźmy drobiazgowi. Coś było, co nakazywało rozkładać ręce surowym sługom porządku publicznego. Anka bez słowa wyszła z nimi. Na klatce schodowej starszy policjant po kiwał głową na widok Bylewicza, który oparty o balustradę rzygał w dół schodów.

CZEŚĆ TRZECIA

„Piwniczny kwiat”

1. Straszne dni

Jej niespodziewane wybuchy historycznego śmiechu. Jej, czy tak to można określić, żarty? Policjantowi, który ją potem eskortował ze szpitala, powiedziała, że ma przy sobie trzeci rewolwer - oprócz oddanego od razu, czystego i z pełnym ładunkiem własnego oraz tego belgijskiego czarnego browninga Gali, który zabrała, niby na pamiątkę, i na nalegania funkcjonariusza oddała go, wyciągnąwszy zza stanika. Potem śmiała się dziwnie: - Żartowałam!

Jej rewolwerek-cacko znaleziono niebawem podczas rewizji w pokoju hotelowym w Astorii, już bez jej obecności. Odwieziona na posterunek, Pod Telegraf, miała niewielkie szanse wyjścia na wolność kiedykolwiek, nikłe - na ujście z życiem. Czy sobie z tego zdawała sprawę? Ten „jej” policjant śledczy użył chwytu, zapewne zawodowego: wrócił Pod Telegraf ze szpitala, gdzie w jego obecności mecenas Gala skonał tuż po godzinie jedenastej, a na niecierpliwe pytania Anki o stan ранego, odrzekł z kamienną twarzą, że, owszem, poprawia się i że Gala jest już przytomny. Opowiadał potem, że spodziewał się innej reakcji i że nie mógł uwierzyć, że słyszy jej wypowiedziane w rozradowaniu słowa: - To chwala Bogu!

Do tego momentu sądził, że ma do czynienia ze sprytną osobką, czyhającą jak hiena na śmierć tego, który mógłby zaświadczyć. A choć przez tę właśnie niespodziewaną chwilę nabrał do niej sympatii, zawodowstwo wzięło górę, dość że zaraz

potem, nie odrywając wzroku od jej rozpromienionej twarzy, wypalił: - Już umarł!

Zaniosła się płaczem, jak małe dziecko. Odtrąciła czyjąś rękę z kubkiem.

- Wodę pić z kubka? Jeszcze co! Nie wolno mnie okłamywać.

- Cóż - powiedział policjant - zrobiłem pani przykrość.

- Nie wiem, co pan zrobił, ale skoro...

Nie słuchał, wyszedł, zostawiwszy Ankę z niewyspanym strażnikiem, młodzieńcem, w którego nadwątlonym zbytnim użyciem organizmie już zakwitła gruźlica.

Ni z tego, ni z owego strażnik wyrecytował, pozierając to tu, to tam:

- Ten medyk, który próbował wtedy w nocy w sypialni ratować Gałę, dzisiaj przy wszystkich na pytanie komisarza, dlaczego sam nie zawiadomił policji, odpowiedział, że boi się tej kobiety. Że on się pani boi.

- Pan się z tego śmieje tak samo jak ja.

- Właściwie tak. Ale ani pani, ani mnie nie do śmiechu dziś, oj nie.

- I pan ma kłopoty?

- Gasnę. Nic mi się nie chce. Gdyby mi się chciało, to bym przecież od razu zgromadzonej starszyźnie powiedział, że młody medyk w ogóle nie musiał zawiadamiać policji, bo pani sama do nas dzwoniła z informacją o nieszczęściu... - Spojrzał na nią, wreszcie z zainteresowaniem. - Niech się pani nie obawia, oni to mają w raportach i tam - wskazał na ogniotrwałą szafę, kasę wertheimowską - tam są księgi, z których niczego się nie da wymazać. - Powiedział ciszej: - Ale niekiedy można czegoś z tych solidnych zbiorów z jakichś powodów nie pokazać, powiedzmy, jeśli zajdzie wyższa konieczność, pani wie, polityczna potrzeba...

Patrzyła w dal, wcale nieciekawa tych nadzwyczajnych tajności i ostrożności.

- *Eau de Cologne N° 4711* - zapytał nagle.

- Oryginalna *4711*, tak, to dla mnie codzienność przy toalecie,

przynajmniej do tej pory codzienność... jeszcze nie wywietrzało?... ach, ale co pan tu o takich głupstwach? Tu stała się tragedia!

- W tych murach dzień w dzień mam do czynienia z ludźmi wmieszanymi w cudze tragedie bądź sami je przeżywającymi. To ja to znam. Ja siedzę w tragediach, sam jestem taką średnią tragedią, dlatego przestałem czuć zapach, woń raczej, a ściślej dojmujący smród nieszczęścia. Ale oszałamiają mnie piękne zapachy, niepowtarzalne. Dawno nie spotkałem się z osobą, na której skórze *Eau de Cologne N° 4711* tworzyłaby, jak u pani tworzy, zatrwająco, powiedziałbym, niepokojące zestawienie zapachu.

- Pan esteta? Eh, jeszcze jeden - mruknęła.

Strażnik aż wytrzeszczył jasnoblękitne oczy, tak się zdziwił; nie sądził, że nerwy mu puszcza, czy co tam. No, żeby się rozkleić w obecności internowanej!

- Pani wie, że to włoska rodzina Farina przybyła przed wiekami do Kolonii, a założywszy firmę Johan Maria Farina, sporządziła recepturę tej jedynej w swoim rodzaju pachnącej wody i wypuściła ją na rynek dokładnie dwieście lat temu, w czerwcu 1709 roku?

- A pan wie, że lada chwila postawią mi zarzut najcięższy - usłyszał jej słowa i spojrzał. Przerażony, przekonał się, że nie w sennym majaku, lecz w najjaśniejszej rzeczywistości twarz młodej pięknej kobiety może w ciągu kilku minut zmienić się w twarz opluwanej żony potwora, głodującej od kilku tygodni w piwnicy. Przecież miała ładną, miłą karnację; nagle zrobiła się żółta jak staruszka, której zwłoki, zmarłej w opuszczeniu w nieogrzewanym od tygodni pokoju, zobaczył kiedyś podczas wizji lokalnej w miejskim mieszkaniu, w lutym, sztywną i zimną jak lód: twarz, ręce jak z wosku. Młoda żywa kobieta, która siedzi tutaj koło niego, naprzeciw, skąd nagle ma takie sine plamy na powiekach i szare obwódki wokół oczu, którym jeszcze nikomu i niczemu nie udało się odjąć blasku?

Tu oczy. A wtedy, u tamtej martwej staruszki - powaga nieetykalności. Jak posąg. Jak dzieło sztuki na śmietniku. Chciał

porównywać; nie widział logiki w zajmowaniu się tymi tak chyba odległymi, tak różnymi przypadkami - ale chciał. Coś go ciągnęło.

I najwyraźniej go przeciągało na stronę Anki.

Komisarz, inspektor, drugi inspektor, poza tym jeszcze jakiś podrzędny funkcjonariusz, tu ten strażnik, amator pewnie romantycznych amatorów, jeden nazywa się... a zresztą, wszystko jej się myliło; do tej chwili myślała: „przecież to nie moja sprawa”. Do tej chwili. Do tej, kiedy dała się wciągnąć w spojrzenie strażnika, w którym zobaczyła żywego trupa. To nie był jego - to jej żywy trup. Odbity.

Poprowadzono ją na przesłuchanie. Tam wszystko, łącznie ze szczegółami z dzieciństwa spędzonego w niewielkim w stonsunku do Krakowa, ale pięknym, może nawet piękniejszym Rohatynie. Bardziej zgrabnym, rzec by można, niż ten rozwlekły, podtopiony w mgłach Kraków. Tam, nad Gniłą Lipą, rzeką czystą mimo swej nazwy, inaczej słońce błyszczało na licznych wieżach i sygnaturkach kościołów, powietrza nie chwytął się pył kurczowo, tak jak najczęściej bywa w malarycznym Krakowie. Starozakonnych było więcej niż chrześcijan, ale nikomu to nie robiło różnicy. Życie spokojniejsze, jakby mniej pretekstów do zaczepki. Drzewa rodziły owoce ciepłe i o gorących kolorach; żywopłoty rosły tak gęste, że z powodzeniem zastępowały ogrodzenie. O ojcu musiała mówić, o jego śmierci dosyć niespodziewanej i o tym, że matka jej i sześciorga rodzeństwa niedługo potem poślubiła najstarszego czeladnika z ich rodzinnej garbarni. „To u przedsiębiorców zwyczajna procedura w takich razach - skomentował spokojnie komisarz - tak się robi, żeby utrzymać zakład”.

Czyżby komisarz spokojem i czymś w rodzaju dobrotliwej opiekuńczości znalazł sposób, żeby uspić jej czujność? - poczęła się bowiem plątać w zeznaniach; nie bardzo wiedziała, czy pozycja, z której występuje, to jeszcze przekraczanie granicy intymności (czego od niej wymagali, czy wręcz żądali), czy już zdrada. Zdrada nieżyjącego, o to mniejsza, już mniejsza,

naprawdę; ale zdrada męża, cień rzucony na ich córeczkę. „Jeżeli nie zdradzę sama siebie, ich wszystkich zdradzę, ich pograżę. Oni mają żyć. My - nie musimy”. Myślała o Gali jako o kimś, kto jeszcze jest - choć należał już do tamtych, którzy byli - bo i ona powinna się znaleźć już teraz, tam gdzie on - jest, bo jest jej najbliżej. Wciąż przy niej. Mimo wszystko, mimo okropieństwa, okrucieństwa, mimo codzienne zdrady, matactwa... ale nikt inny nie potrafił w najlepszych chwilach spojrzeć tak jak on. (Banał? Oby jak najwięcej takiego banału w życiu, w historii człowieka). Jesienią ubiegłego roku, kiedy im było najlepiej.

Nic z tego. Nie przeszukiwali jej bardzo dokładnie; żałuje, że małej fiołki z resztką morfiny, która i tak mogłaby uśmiercić kilku ludzi, nie zatrzymała przy sobie. Wyciągnięto ją z torbki i oddano do zbadania dwóm najsłynniejszym w Galicji profesorom medycyny sądowej, Tomkiewiczowi i Holzstrasserowi.

Zarzut zabójstwa. Obwiniona - odesłana do więzienia sądu karnego. Mury grube, łomot bezcelowych myśli, przypomnienie, że tu przed pięćdziesięciu laty przytrzymywano córkę kasztelana Wężyka, Marię, księżkę krakowskiego zakonu sióstr karmelitanek, przesłuchiwaną z powodu afery z Barbarą Ubryk. Jak Wężykówna mogła wyrazić zgodę na zamurowanie Ubrykównej, młodej kobiety, i trzymanie jej nagiej, w zasrywanej ubikacji, przez kilkanaście lat? Żarcie wrzucano przez otwór, w którym nie mieściła się nawet kobieca dłoń. W klasztorze. Tylko dlatego, że panna Ubryk miała trudny do pohamowania temperament. A panna Wężykówna nie miała? Zanim umarła dla świata (dziwna zaiste to śmierć, niewykluczająca okrutnych zabaw), kochał się w niej nieszczęśliwie młodszy od niej o dwa lata student malarstwa Jan Matejko. Zimna. Była widocznie zimna. „Dlaczego muszę siedzieć w celi tej samej z całą pewnością, w której siedziała kobieta-potwór?”

- Czy to ten czarny browning?

- Tak, to ten, z którego strzelał do siebie mecenas Roman Gala.

- Ja panią nie pytam o to. Czy zna pani mechanizm tego rewolweru?

- To nie rewolwer, to pistolet nowszego typu.

- Proszę sobie nie pozwalać na złośliwości.

- To nie złośliwości, lecz stwierdzenie faktu. Rewolwer zawiera naboje w obrotowym bębenu, pistolet natomiast ma w kolbie zbiornik na naboje. Znam ten belgijski browning. Leżał zawsze, nabity, na naktkastliku. Ten pistolet nie ma tak zwanego bezpiecznika. Mechanizm polega na tym, że wywołuje strzały za pociągnięciem cyngla i naciśnięciem tylnej części rękojeści.

- Pani wie tak dokładnie...

- Roman, Roman Gała mi demonstrował.

- W mieszkaniu?

- No skądże! Na Sikorniku, nieopodal strzelnicy. Tam huk wystrzału nikogo nie dziwi.

- A pani umie posługiwać się bronią palną?

- Z tego browninga sam strzelał. Nie dał mi go wtedy do ręki. Wypróbowywałam mój własny rewolwerek. Roman nie mógł wyjść ze zdziwienia, tak celne oddawałam strzały. Podejrzewał, że brałam udział w kursach strzelania z socjalikami.

- Z socjalikami. A nie brała pani udziału...

- Nie. Już mówiłam kiedyś, tylko im pomagałam, kolportując bibułę.

- Należała pani do dromaderek.

- Do dromaderek. Tak się to nazywa u nich.

- U nich.

- Proszę mnie już nie wypytywać.

- Powód?

- Słucham?

- Czy można znać powód?

- Można. Obrzydzenie do partii.

Z raportu strażnika więziennego:

„...uwięziona popadła w bezwładną bierność. Początkowo

była bardzo zdenerwowana, obecnie siedzi bez ruchu całymi godzinami, przygnębiona, milcząca...”.

Już nie kupię sobie czereśni sprowadzanych prosto z węgierskich południowych sadów Jana Valtmajera, słodkich, jędrnych, które właśnie się pojawiły. Za pół korony miałabym ich funt. Stefan i tak by powiedział, że to pański wyglup, wyrzucanie pieniędzy. Za miesiąc będziesz mieć w Limanowej albo w Żółkwi za darmo cały sad, owoce prosto z drzewa i bez sadzy podróżnej. Ale... ale te są pierwsze, Fuńku (znów, jak w narzeczeństwie, zdarzało jej się go nazywać zdrobniale), te pierwsze, rozumiesz mnie, niezastąpione.

Myślała o tych czereśniach (istotnie smaczniejszych niż tutaj zrywane, późniejsze), które dołączały do rzeczy i spraw nieosiągalnych. Po odrzuceniu jej prośby o wikt szpitalny - czyli zwyczajowo na obiad rosół i kawałek mięsa - przestała nawet próbować breję więzienną. (Odmowę motywowano prosto a brutalnie: szpitalny wikt nie przysługuje obwinionym o zbrodnię). Piła jedynie kawę z prażonego zboża, żołądki i z cykorii, do której, widząc, że aresztantka czeźnie w oczach, dodawano mleka. Czarnego chleba nie brała do ust, doszło do tego, że gdy kiedyś wreszcie przyniesiono jej bułkę, w ogóle nie zwróciła na nią uwagi. Nawet w nocy kawałeczka nie skubnęła. Po tygodniu zabrali tę bułkę, suchą. Nocami nie sypiała. Nie potrzebowała niczego. Potrafiła siedzieć. Bez potrzeby oczekiwania czy odpoczynku.

Lekarz, z obowiązku, oglądał. Nie taił obaw, anemia.

A miałam nie wracać do tego miasta... No, tylko na rygorozum, i z powrotem do Lwowa. Miałam przeczekać, aż się wysygniażdo os.

Coś musiało być na rzeczy. Tam, we Lwowie, nie miała wątpliwości, że wszystko z Gałą zostało zerwane aż do najlichszej niteczki, a jednak przed wyjazdem, kiedy na wyraźną prośbę teściowej zapewniała ją, że wyjeżdża do Krakowa tylko po to, żeby się uczyć do tego decydującego egzaminu, powiedziała „przyrzekam” (po co aż tak?) i przesyły ją dreszcze.

Zatrzymała się w nowoczesnym a niedrogim hotelu Astoria, przez parę dni wprawdzie wkuwała, ale już w dniu przyjazdu posłała przez pokojową swój bilet na Sławkowską do Gali. Po co? Czy tylko dlatego, że Gala nie oddał jej wszystkich listów? Odzyskać resztę - tylko ten cel? Czy może dlatego, że adwokat zostawił dla siebie ten najbardziej intymny, ten będący świadectwem zdrady małżeńskiej, jej list wysłany w wigilię Bożego Narodzenia, we Lwowie wrzucony do skrzynki na listy w kwadrans po rozpaczliwej z obu stron kłótni ze Stefanem w obecności jego matki i jej, Anki, córki? Nie spała (bezsensowność już wtedy ogarniała ją podstępnie, początkowo niepostrzeżenie, jak nieuleczalna choroba), wymknęła się z domu, w zadymce czyhała na dylizans pocztowy, to jednak nie tak, za blisko; tu ją znali (będzie skandal, kiedy rozpowiedzą, że wycofuje list do kochanka, do byłego kochanka, znaczy tajny list, miłosny, ach, romans, fuj, piękne przestępstwo, groźne, pachnące różą i siarką piekielną), lepiej tam, już na dworcu, pójdzie do naczelnika poczty dworcowej, powie, że pomyliła... nie, nic nie powie, jako że są święta i naczelnikowi należy się czas dla rodziny, przyjmie ją (i tak było) nieufny, trudno powiedzieć, służbisty czy rozchętstany, jakiś nieświeży (kac plus trema) zastępca naczelnika, o niczym *ad hoc* nie będzie chciał słyszeć... Już zamierzała jechać do Krakowa tym samym pośpiesznym, co list, w końcu, jak to bywa (co jednak do Anki zupełnie nie pasowało), machnęła ręką. Cóż było robić zresztą; biurokracja, nie biurokracja, wszak - do diaska! - z ostrożności nie podała nadawcy. Nie ma więc żadnego prawa do tej koperty z listem, zaadresowanej do mecenasa Gali. Ten list jest już tylko Gali własnością - i teraz od Gali, od jego dobrej woli, od jego humoru, od jego spojrzenia na honor będzie zależeć, czy ten list z 24 grudnia jej odda. Może odda - ale pod warunkiem... Te jego dziwne - bo twarde a lepkie słowa: - A do sądu Ligi pójdziesz?! - wytrącając ją z równowagi, jednocześnie upewniają o resztkach władzy, jaką ona ma nad tym człowiekiem. Ma - a raczej może mieć. Mogłaby.

Czym można było się martwić w Krakowie w czerwcu 1909?

Było parno, po deszczowym i zimnym maju - akurat dobrze, po czasie sprzyjającym nauce - już 2 czerwca dotkliwy upał: trzydzieści stopni Celsjusza w cieniu. Na 8 czerwca miało przypaść zaćmienie słońca i księżyca. Czy zastanawiała się nad tym, jak i z kim będzie obserwować to rzadkie zjawisko? Na pewno nie z Romanem Gałą. Tu naprawdę chodziło już tylko (oj, a jednak wielki znak zapytania!) o wydobycie listów. Wszyscy wiedzieli, że Gała - majątny, ostatnio kupujący rzeczy zbyt kosztowne - całkiem poważnie myśli o wyjeździe wraz w hrabiną Potańską, o naturalizacji w Chorwacji i wzięciu tam ślubu w innym obrzędku - czyżby w prawosławnym? nie, nie, to się jakoś specjalnie nazywa... a! śluby siedmiogrodzkie - z tą wyfiokowaną wdową po lekarzu. To z nią zarezerwował łożę w teatrze miejskim na premierę zupełnej podobno nowości, sztuczdyła w sam raz na upały: *Ona i jej mąż*. Możliwe, że planowali iść także na granego w sobotę *Żołnierza królowej Madagaskaru* Dobrzańskiego, ale... Kto się miał martwić, ten się martwił postępującym w Europie i Azji terroryzmem, odkryciem przez ochronę doskonale zorganizowanego zamachu na cara w Petersburgu, o czym 3 czerwca donosiły wszystkie krakowskie pisma za paryskim „Journal” i londyńskim „Morning Post”. Na Wolskiej, tuż u wylotu Błoń, kilka domów od mieszkania Potańskiej, w kilkanaście godzin przed tragedią w sypialni Gali, huk rozbił spokój popołudnia, obwieszczając katastrofę samochodową: szofer znanego architekta Karola Stryjeńskiego (człowieka ze szwajcarskim paszportem dzięki ojcu, emigrancie po powstaniu listopadowym, kartografie wojskowym, który to paszport w przyszłości uratuje kilkanaście osób), w pełnym biegu wpadł na przydrożne drzewo, wrzeszczał pokrwawiony, wykrzykiwał informując, do kogo należy samochód i że on sam jest szoferem, a nazywa się Franciszek ...aszewski (z tego wszystkiego właśnie nazwisko brzmiało niewyraźnie), i błaga, żeby powiadomić rodzinę, a kiedy strażacy i studenci z pogotowia próbowali go wyciągnąć z powyginanych blach limuzyny (trzeba było to zrobić szybko, bo groziła wybuchem wylewająca się z baku benzyna), wył, a raczej skrzypiał jak osioł. Miał złamaną nogę

w dwóch miejscach, wyglądało to... Ach, przecież teraz to wszystko nieważne. Tamto już nie istnieje; los szofera będzie jego, i tylko jego losem, los jego bliskich, indywidualnie, losem jego bliskich, los aktorów Teatru Miejskiego, odtwarzających postacie (z czego? niby z życia, bo z tragedii i z farsy), losem aktorów; od chwili, kiedy Romanowi Gali na miejscu nieszczęścia, w sypialni przy Sławkowskiej, lekarz wstrzykiwał trzecią dawkę kamfory w celu pobudzenia tętna, losy wszystkich innych ludzi przestały się liczyć dla Anki. Poza losem córki, który to los powierzyła ponadto doktorostwu Ernestom. Los męża. Czy Stefan, Funio, przestał się liczyć? Tu pustka.

Gdybyż cokolwiek z ducha zrządeń dało się przewidzieć. Browning, naboje: kaliber 7. Gdyby w magazynku brakło przynajmniej jednej kulki, tej pierwszej... Choć jeszcze przed sekcją ciała Romana głęboko brano pod uwagę ewentualność dwóch strzałów: pierwszego w skroń, drugiego - w usta. Potem spór o sekcję: dwóch ekspertów, lekarzy sądowych, właśnie Holzstrassera i Tomkiewicza. Tych słynnych profesorów trzeba było dopiero nakazem sądu ukarać, żeby wreszcie przystąpili do wykonania sekcji. Najpierw w ogóle nie chcieli się zgodzić. Przyczyna - podejrzana czy wręcz oskarżona o zbrodnię była jeszcze kilka tygodni temu ich studentką. Obecnie jest koleżanką. Lekarzem. W imię więc solidarności oni... 200 koron grzywny nałożonej na każdego z osobna zrobiło swoje. Stół sekcyjny. Dwie głowy badają trzecią, martwą. Strzał był tylko jeden. Wątpliwości rozwiane. Kula przeszła przez skroń, w obrębie mózgu nastąpił krwotok. Rana była śmiertelna, doktor Rock, który obejrzał ранego już w szpitalu, miał rację, że nie przystąpił do wyciągania kul i tylko powierzchownie opatrzył ranę. Sprawa była tak ważna, że w szpitalu już o dziesiątej rano, a więc kiedy Gala jeszcze oddychał, zjawił się w szpitalu dyrektor krakowskiej policji.

Następnego dnia jeszcze większy upał ani śladu wiatru. Wieczorem burza. Wybuch w Podgórzu, dzielnicy Krakowa po drugiej stronie Wisły. Piorun strzelił w skład amunicji. Potężny

pożar ogarnął Wolę Duchacką, rolno-spożywcze zaplecze Podgórze. Wybuch, pożar, ofiary, kwestia odszkodowań poruszy społeczność zawsze żądną plotek, ale nie do tego stopnia, żeby zapomnieć o najważniejszym: to nie żywioł przyrody, to nie jakieś nieszczęścia ogólne, nie skutki klęski poniekąd żywiołowej: to inne żywioły (czy nie demony) sprawiają, że dzieje się coś strasznego a nieodgadnionego między dwojgiem ludzi. To coś, najczęściej na zawsze skryte, już nigdy nie wyjdzie na jaw, nie wróci do swojej malowniczej a makabrycznej postaci. Wróci najwyżej jako odblask, obraz namalowany przez natchnionego, prowadzonego intuicją twórcę. Oto więc 18 czerwca czujna ludność zbiegła się wczesnym przedpołudniem przed kamienicę na Sławkowskiej (w południe nie dało się już przejść ani przejechać), zwiedziona plotką o wizji lokalnej w sypialni i o dowiezieniu tam karetką więzienną Anny Korowskiej. Czy wiadomość pochodziła z poważnego źródła, czy była to tylko plotka, trudno powiedzieć. Dość że Anka w żadnym wypadku nie nadawała się do podróży. Wycieńczona, żółkła, sprawiała wrażenie zrosniętej z drewnianym krzesłem. Jej czarne włosy nie straciły połysku. Oczy zapadły się, zmatowiały. Tylko przepastna czerń źrenic rozszerzających się w chwilach zamyśleń. Ta posługaczka w celi, nazwiskiem Majanka, zapewnia, że w takich razach (a trwa to niekiedy godzinami) aresztantka Anna Korowska wygląda, jakby z kimś rozmawiała, jakby trwał spór między nią a kimś, kogo ona, posługaczka, nie widzi. Ze dwa razy było tak, że dziwna aresztantka ruszała wargami bezgłośnie, a nawet trochę otwierała usta. To robiło wrażenie osoby rozmawiającej, ale widzianej przez okno z podwójną szybą.

Posługująca była przesłuchiwana nieraz przy okazji, przy okazji też 26 czerwca przyniosła Ance, wyczerpanej (rzec by można w stanie wyczerpania stabilnym), wieść, która - o czym zaraz w ramach obowiązków służbowych doniosła naczelnikowi więzienia - w żaden sposób na tę stabilność nie wpłynęła. Oświadczyła więc Ance, że sama czytała taki specjalny dodatek codziennej gazety (a skąd ona może wiedzieć, czy to był dodatek

„Czasu”, „Głosu Narodu”, „Naprzodu” czy „Nowej Reformy”), w którym jak byk stało wydrukowane, że obecnie, po lekturze częściowo nadpalonych papierów i listów, znalezionych w piecu kuchennym Gali oraz po ekspertyzie tychże, dokonanej przez specjalistę z Wiednia, skrupulatni śledczy z udziałem znawców sądowych rozważają, czy jednak rzecz się miała nie tak, jak by to oni sobie wyobrażali jeszcze trzy tygodnie temu. Biorą już mianowicie pod uwagę taką możliwość, że jednak Gala - w obawie przed kompromitacją oznaczającą koniec jego kariery - popełnił samobójstwo. Mógł czy mógłby je w każdym razie popełnić.

Posługaczka patrzyła jak urzeczona na zachęcające do zwierzeń twarze śledczego i naczelnika więzienia, wyznała przeto uroczyście:

- Arestantka nie zrobiła żadny miny na to, co jej powiedziałam, a co teraz panom mówię.

- Mogła być półprzytomna - mruknął naczelnik.

- A to całkiem co innego znaczy, za przeproszeniem, że się wtrancam, wielmożni panowie, ona, ta pani Anka, arestantka znaczy, oczyskami temi swojemi brązowemi pokazała, że wi, o co to idzie, że słyszy i że rozumie! Ale żeby ją to ucieszyło albo żeby ją zmartwić miało - nii!

- Aha - powiedział śledczy. W kałamarzu bzyknęła mucha.

- Nadal siedzi bez ruchu i nic nie mówi? - spytał naczelnik.

- Tak jak pon wielmożny naczelnik pozawczorej widzioł.

Bez zmian, znaczy bez zmian.

- Dziękuję. Majanka teraz odejdzie do swoich zajęć.

- To ta zawsze jest przy Korowskiej? - spytał śledczy, gdy za Majanką zamknęły się drzwi.

- Tak. Ona potrafi wkraść się w łaski więźniarek, coś takiego już w sobie ma. A nas informuje na bieżąco o każdym kroku... w tym wypadku o każdym poruszeniu się naszej uwięzionej, bo ta, jak pan wie, prawie w ogóle się nie rusza.

- A, tego, no, fizjologia?

- A to, to tak. Żeby Majance nie robić kłopotu i pewnie sobie samej wstydu. To normalnie, kibelek, tak.
- Skomplikowane.
- A żeby pan wiedział.
- Ofiara zbiegu przypadków...
- Czy szczyty przebiegłości, to by pan sędzia chciał wiedzieć?
- Może nawet tak. Sto listów.
- Sto listów?
- W naszych rękach jest z górą sto listów, które Gala pisał do Korowskiej. Niby w interesach, ale zdecydowanie przyciągał ją do siebie. Czasami jedno słówko starczyło, niekiedy dwa myślniki zamiast przecinka!
- A jej listy do Gali?
- Większość spłonęła, jak panu wiadomo. Ale wśród tego, co ocalało, jest ten najbardziej, powiedziałbym, czuły, wysłany w wigilię Bożego Narodzenia. Każdy z nas, panie naczelniku, byłby dumny, otrzymawszy taki list od ładnej młodej kobiety, od wykształconej damy.
- Co pan sędzia nie powie.
- Coś w niej jest, ona warta czegoś więcej, tak, nie przesadzam. Pamięta pan, jak świętej pamięci Gala zawsze i wszędzie, i wtedy na sali sądowej, niecały rok temu, potępiał szpiegostwo, i zrobił to, co nie ma precedensu w praktyce obrończej, a mianowicie zadeklarował publicznie jako zastępca prawny naszej obwinionej: „Ja pierwszy opuszczę sprawę Korowskiej, jeśli natrafię na bodaj ślad podejrzeń, że ona mogła być szpiegiem”!
- Mógł to być chwyt retoryczny.
- Pan wie, że Korowska miała mu to za złe?
- Niezbadane są ruchy mięśni gładkich, kierujące histerią!
- O, to pan trafił w samo sedno! Macica, kolego, macica!
- Dobrze, skorośmy zaszli pod spód, co mąż na romans małżonki z adwokatem?
- Od razu romans?
- Może nie od razu.

- Czekaj pan, panie tajny radco, pošlijmy, kaź pan pošłać moźe...

Naczelnik na to wysunał głęboką szufladę, wyciągnął pękata butelkę z żółtobrazowego szkła, dwie szklaneczki i wreszcie drewnianą tacę. Szkło napełnił do trzech czwartych opalizującym trunkiem, schował wszystko prócz sedna (dwa porcyjek wyskoku), odetchnął, zatarł ręce, zrobił znaczący gest; wzięli szklaneczki i popijali, wyraźnie się delektując.

- Widzi pan - ciągnął śledczy - Gala, przecież prócz tego, że adwokat, również artysta, poeta i dramaturg...

- Ehe, słyzałem, że ten wieniec laurowy z napisem „Od przyjaciół w uznaniu talentu”, co wisi do tej pory u niego w mieszkaniu, sam zamówił i opłacił, i wniesiono ten wieniec na scenę jako jedyny po przedstawieniu jego sztuki, jak to tam było? a, *Błędne gwiazdy*, co zesła z afisza po drugim spektaklu...

- No tak, być moźe, podobno, a nawet na pewno, no, jeszcze trzy jednoaktówki mu wystawili, wiersz czytał na uroczystościach mickiewiczowskich jeszcze jako przedstawiciel studentów, więc z tym wieńcem to zastarzała plotka, obrosła kurzem jak ten wieniec, powtarzana, he, he, do tej pory przez konkurencję, teraz pewnie z nawyku odkurzana... - odchrząknął, zdaje się, że znacząco - tak, tak, ale jednak, rozumie się, wyższe aspiracje i pewne dokonania u przedstawicieli takich zawodów jak prawnik czy lekarz stanowią istotny czynnik pozwalający nam trwać w tej lepszej części Europy, której miarą jest humanizm przenikający jako istotna wartość do zawodów, o których zdajemy się zapominać, że są pokrewne. A pan naczelnik wie, że nasz profesor doktor, co razem z doktorem Tomkiewiczem w końcu dokonał sekcji zwłok adwokata, sam i z nieprzymuszonej woli przetłumaczył *Fausta* i że wkrótce wyda to drukiem?

- To czy tamto, zawsze na jedno wychodzi: grzebanie się w bebecach ludzkich - machnął ręką naczelnik więzienia i bez pytania ponownie napełnił do cna osuszone kieliszki.

- No właśnie - rzekł śledczy, obserwując refleksy światła na szkle zabarwionym przezacnym trunkiem. - Adwokat Gala

badał i przeprowadzał sprawę swojej klientki, a pańskiej obecnej penitariuszki, na gruncie półpsychologicznym, półliterackim, nowoczesnie. Miał po temu podstawy, miał przygotowanie. Miał ponadto, proszę to zważyć, pozwolenie, wyrażone z pełnym zaufaniem, męża klientki, doktora praw Stefana Korowskiego. Korowski, zresztą, jakie to wszystko skomplikowane, w separacji z żoną (panie, do dziś nie wiemy, czy czasem nie tylko na papierze), zrobiłby wszystko, żeby z jego żony zostało zdjęte odium niesławy. Z żony spadnie - to i z niego spadnie. No tak. Pan wie, z powodu rozdmuchanej hecy partyjnej ten wartościowy i kiedyś jako publicysta znany w lwowskim środowisku twórczym człowiek stracił wygodną posadę w namiestnictwie, bez środków i bez większych szans kołatał do ministerstwa, składał podanie po podaniu o przyjęcie go na stanowisko sekretarza uniwersytetu we Lwowie, zapożyczał się, on potem już wiedział, że podobnie jak żona, stał się narzędziem w ręku Gali, któremu także ziemia paliła się pod nogami, i w związku z tym ten już zupełnie nie przebiegał w środkach...

- Panie, toż to w głowie się kręci...

- To od starki pewnie, od starki, dobrodzieju... Żartowałem. Sprawa istotnie niezmiernie skomplikowana. Prawdę mówiąc - ściszył głos - wolałbym, żeby jej w ogóle nie było.

- Korowskiej?

- Nie, nie... nie jej. Tej sprawy.

Śledczy poruszył się na krześle, wyciągnął z kieszeni zegarek z dewizką, wykonał ruch zdecydowanie przeczący w stronę naczelnika, który zamierzał po raz trzeci napęlić także i jego szklaneczkę. Schował zegarek, z wewnętrznej kieszeni marynarki wyciągnął papiery złożone wzdłuż po osi symetrii.

- Patrz pan, kazałem zrobić odpisy nadpalonych listów Anny Korowskiej. Wykorzystuję je w śledztwie, przekażę władzom wyższym. My, panie radco, nie mamy przed sobą aż takich tajemnic, prawda, wobec tego czytam. Zachowała się data: 20 września 1908, niecały rok temu, podczas przygotowań do jej procesu przeciw Emilowi Goldstockowi o występek obrazę

czci. Ona była już tak skolowana przez niego - swojego, do diabła, przecież obrońcę - no, zwitek nerwów, ruina, że nie wahała się pisać do niego: „...nie upieram się bowiem, aby być tu, przeciwnie, w myślach odbiegam daleko stąd, w inne światy, a nawet zaświaty. Nie żądaj, bym czego chciała, o coś się starała; nie mogę, jestem tak bardzo zmęczona. Chcę umrzeć, to wszystko, a nawet i tego nie wolno”.

- Bo honor, prawda? Samobójstwem potwierdziłaby słuszność tych, którzy jej zarzucili szpiegostwo.

- A on ją, nie wiem, jak wąż, jak pająk... jak bazyliszek!

Myślała, że kiedy wyciągnie od męża pożyczone na morderczy procent od lichwiarza dwieście koron i wręczy to Gali jako rekompensatę za dotychczasowe starania, wówczas uda się wycofać od niego sprawę. Tymczasem Gali chodziło o to, aby ona względnie oni, Korowscy, wspólnie, żeby pertraktowali z redaktorem Plemieńskim o wycofanie jego własnej sprawy - sprawy bezpowrotnie hańbiącej osobę Romana Gali! - z sądu Ligi!.

W przeciwnym wypadku on stwierdzi publicznie, że sam odstępuje od sprawy Korowskiej, ponieważ poszlaki naprowadziły go na niezbity ślad jej współpracy z ochroną. Ten człowiek, który już wtedy żył ze swoją klientką jak kochanek z kochanką, tak ją potrafił szantażować, i musiał to robić coraz bardziej brutalnie, że ona, doznawszy odeń przemocy, bólu i upokorzenia ponad ludzką miarę, już w dwa tygodnie po napisaniu tego rozpaczliwego listu do Gali, trzeciego października depeszowała do męża: „Przyjeżdż koniecznie dziś pośpieszonym”!

- A ten przyjechał, mimo że w separacji?

- Przyjechał, a jakże! Przybył z gotowym postanowieniem że bez względu na konsekwencje najlepiej będzie, jeśli on który zresztą już z powodu politycznego pohańbienia żony stracił posadę, zastrzeli Gałę w pojedynku.

- A ona?

- Umówili się, że tak będzie najlepiej.

- Musiało już być z nią bardzo źle.

- I z nim.

- Z nim to trochę inaczej. Porywczy gość, gwałtowny, pod

pozorami gładysza tkwi w nim twardo kawał chama. Chama, bym tak rzekł, lirycznego. Łezkę uroni, wie pan, ta kropla popłynie po tłustym policzku, spadnie na ziemię albo na spodnie, na gębie ani śladu.

- A córeczka?

- Teść umarł, teściowa przeniosła się do mająteczku rodzinnego w Żółkwi, tam inne dzieci, znaczy jej dzieci, teściowej, dorosłe, powydawane za mąż, żonate, ustawione w mieście rodzinnym, rodzeństwo Korowskiego z dzieciarnią, opieka, najbliższa rodzina. Lepiej. Dalej od zgiełku.

- Co zrobić z tą babą?

- Znaczy że niby co, panie radco?

- Jestem naczelnikiem tej potworności i sam muszę tkwić w tych koszmarnych murach. Co mam zrobić, żeby ta szczególna więźniarka wzięła cokolwiek do ust?

- Mnie pan pyta, radco, pan mnie?

- Gotowa nam tu umrzeć.

- I pewnie, he, he, w dodatku w aurze świętości! Uśmiełem się z tych plotek. Ludzie mówią, a gawiedź im wierzy, że Korowska, która w istocie w ogóle nie sypia po nocach, wydziela jakieś specjalne fluidy. I że kapelan więzienny w środku nocy ma niezbite wrażenie, że jest przez nią wzywany do posługi duchowej, zrywa się więc, zbiera manele i biegnie korytarzami w stronę jej celi. Zastaje Korowską czuwającą, ale milczącą. I że za każdym razem dozorczyńni zapewnia, że więźniarka nikogo nie wzywała, nie mając nawet sił, żeby westchnąć.

- Ale ma ludność fantazję, hę?! Do pozazdroszczenia. Poza tym nasz kapelan nie mieszka w więzieniu ani nawet na terenie zakładu. Musiałby w sutannie co noc biegać, za przeproszeniem, jak na ugrawkę, przez Rynek na skos, potem Grodzką i dopiero tu tłuc się do bram! Ludność to ma fantazję. Wygląda na to, że śledztwo potrwa a potrwa. Co ja zrobię? Co z nią? Trzeba mieć charakter, żeby tak głodować.

- Żeby tak głodować, wystarczy być chorym.

- Nie doprosiła się diety szpitalnej.

- Bo jej nie przysługuje. I nie da się tego obejść.

- W żaden sposób?
- W sensie prawnym absolutnie nie. Ale to młoda kobieta, matka małego dziecka, matka Polka! Panie, panie, no jak tak... A ta dozorczyńni?

- O, ta bardzo jej współczuje.
- Wierna?

Naczelnik skinieniem potwierdził bez śladu wahania.

- A więc. - Śledczy wyciągnął dwudziestokoronówkę i podał ją naczelnikowi. - Od czasu do czasu jakąś tartinkę z masłem i z szyneczką. A co?

Ten odebrał błyszczącą monetę i ze swej strony dorzucił dwie mniejsze. - Wszystko można, co nie można, byle z wolna i z ostrożna - powiedział.

- Cha, cha! - zaśmiał się niespodziewanie śledczy - jeśli nawet ma być trup, to niech do rozprawy dotrwa jako żywy.

- Nie godzi się chyba aż tak cynicznie nam, chrześcijanom...

- Godzi się, godzi. Jesteśmy na stanowiskach.

W czasie tych obsesyjnie bezsennych nocy czy była w stanie zastanawiać się nad sensem i znaczeniem rozmów z mecenasem Vario, który w tych niemal całkiem głodowych jej dniach i tygodniach, przelewających się niepostrzeżenie w miesiące, przed procesem przychodził do niej codziennie, nie wyłączając niedziel?

On, on sam, doktor Ludwik Vario, ozdoba salonów, pono wytworny, jeśli tak można powiedzieć, birbant, autor facecji obiegających ck monarchię, przy tym niezwykle inteligentny, ocytany, bystry, zapędzający w kozi róg tego i owego sądowego wygę. On sam tu, do niej, takiej strasznej; do celi!

Ciekawe: Vario przychodził do niej codziennie, a ona - wyczulona przecież na zapachy, ze wzrokiem tak wyostrzonym, że niemal jak pod lupą widziała czyjąś twarz, czyjeś oczy, usta i dziurki od nosa, ani razu nie wyczuła od Vario śladu świeżego czy wczorajszego alkoholu, specyficznie pomiętej pod oczami skóry, pęknięć naskórka zbyt wysuszonych warg...

2. Proces

12 stycznia 1910 roku. Świta - i teraz dopiero widać, że coś, co wydaje się błotem, to chmary ludzi zalegające okolice. Śnieg, którego w tę noc napadało z pięć centymetrów, nie ma szans się pokazać. Buty, płaszcze, kapelusze, chustki. Gawieź, politycy, politykierzy i współczujący humaniści. Chcą zobaczyć, chcą ocenić, nie tylko wiedzieć. Gmach Sądów już w środku nocy był obstawiony policją ze wszystkich stron; od Senackiej, Poselskiej, od Grodzkiej, od Kanoniczej, od Plant. Gołe ściany, bez drzew, a ślad natury tylko w postaci śniegu, który przysypał dachy i kocie łby z jednej strony, a z drugiej - malowniczo ośnieżone drzewa i krzaki z widokiem na Wawel przesłonięty niedawno wyrosłą tyleż tajemniczą, ile pretensjonalną willą. Jak zdobywa się pozwolenie na tego rodzaju zatrucie krajozrazu? Mniejsza. Dwóch dozorców kontroluje bilety. Od kilku godzin trwa przepychanka.

Zbliża się godzina dziewiąta. Wewnątrz gorąco, niepotrzebnie przed świtem tak mocno napalili w piecach, robi się duszno. Redaktor Starzewski z „Czasu” właśnie notuje, że sala jest nowo wymalowana „we wzorki fiskalno-secesyjne”. Co należy przez to rozumieć? A że esy-floresy, majstersztyki zawijasów przypominają podobnie precyzyjne ryciny na banknotach, wykonywane celem uniknięcia ich podrobienia. I tu, na tej sali, powinno się obejść bez fałszerstw.

Tymczasem już nadchodzą sygnały, że ludzi po bilety jest tyłu, że nie można mieć pewności, czy ktoś tych biletów nie podrabiał i przeto gawieź będzie napierać bez pardonu. I co? I wtedy nie tylko redaktorowi Starzewskiemu notes z ołówczkiem wypadnie z rąk. Co zrobić? Są wśród dziennikarzy najważniejsi przedstawiciele rządowej „Neue Freie Presse”, z samym doktorem Ziffererem, jest sprawozdawca „Gesichtschale”. Co, dziennikarze zdezorientowani? O nie, nie, pewni siebie. Nie wystarcza im stolik dla prasy ustawiony specjalnie koło obrońcy, doktora Vario. Na żądanie przewodniczącego

Porankowskiego już woźni sądowi wnoszą nowy stolik prasowy, tuż przed wymalowaną na seledynowo barierką.

Osobny stolik zajmują lekarze. Jest ich czterech - plus lekarz więzienny. W dniu procesu będą się oni starali nie opuszczać gmachu Sądów bez najpilniejszej potrzeby. Obwiniona, jak się okazało, jest w bardzo złym stanie. Pół roku niemal głodówki, braku świeżego powietrza, braku ruchu (a ruch do dnia katastrofy należał przecież do jej stylu bycia), wreszcie coś, co może wyglądać na załamanie psychiczne, wszystko to zrobiło swoje. Anna Korowska ma anemię. Dziś (i tak już ma być aż do końca procesu) zgodnie ze wskazaniem lekarzy otrzymała wreszcie śniadanie już w pełnym tego słowa znaczeniu, z czarną kawą i wzmacniającym koniakiem.

Weszła na salę. „Czarna szczupła sylwetka - notują żurnaliści. - Za nią błyszczący bagnet strażnika więziennego”.

Duży czarny kapelusz. Biały błysk. Nagłe wrażenie, że to bagnet przeszył kapelusz. Bolesne. A to po prostu ruch strażnika z bagnetem sprzął się z ruchem podsądnej. Ruch i ruch - może raczej szkic półruchu. Twarz kobiety, na której skupiają się dziś wszystkie spojrzenia, zakrywa gęsty woal.

Korowska przesuwa się tedy jak cień przed ławą przysięgłych. Przed nią - nad wyraz realna - postępuje dozorczyńnię więzienna. To owa Majanka - w białym czepku i w ciemnofioletowej bluzce.

Osuwa się na ławę - i inaczej tego ruchu nie można określić. Pytanie: czy jest jeszcze w niej życie; a jeśli jest, to czy go wystarczy przynajmniej na dziś?

Przed nią stolik; ze stolika aż do podłogi zwisa zielone sukno. Od przewodniczącego, poprzez inne instancje, biegnie do niej pytanie. Odpowiada skinieniem głowy. Woźni na to wnoszą po chwili duży wyplatany fotel. Anka z pomocą Majanki (ta przez cały czas będzie siedzieć na stołku obok więźniarki) i jednego z woźnych przemieszcza się na ten fotel. Wszyscy teraz widzą jej ręce skrzyżowane na kolanach.

- Wyłączam!... Wyłączam!...

To głos sędziego przewodniczącego, który kompletuje ławę

przysięgłych. Wyłącza tych, którzy nie są austriackimi poddanymi.

Trzy palce w górę; zaraz padnie rota przysięgi. Nagle zamieszanie.

O co chodzi? A, jeden spośród dwóch przysięgłych wyznania możeszowego wstał i właśnie tłumaczy, że wedle rytuału Żydom nie wolno wznosić trzech palców i że tak złożona przysięga będzie nieważna.

- To niech pan ją powtórzy bez podnoszenia palców - mówi przewodniczący. - Proszę... - dodaje, widząc zgodę przysięgłego. - Tak, to drobnostka. Baczmy na treść przede wszystkim. - Spogląda na publiczność. - Forma to rzecz mniej ważna.

I wreszcie: - Otworzyć salę!

Od wczoraj toczyła się w sądowych korytarzach swoista batalia, krwawa w kilku wypadkach walka o bilety.

Teraz trwa bitwa o miejsca. Wśród widzów, którzy muszą stać, brakuje rozsądnych: wręcz słychać, jak ludziom trzeszczy w kręgach. Zresztą, cóż mówić o rozsądku, kiedy ścisk taki, że nikt się już nie może wycofać. I coraz bardziej duszno, potem nawet z lekka zaczyna śmierdzieć. Naftaliną, niedomytymi ciałami, wonią przepastnych szaf, nieświeżych oddechów. Woźni strzegą stolików prasowych, kobiety różnego wieku i autoramentu odbywają rytualną wręcz czynność sadowienia się na galerii, odbłask bladego słońca wpływa leniwie...

- Tam ktoś wszedł w czapce! - krzyczy przewodniczący.

I czapka, jak za dotknięciem różdżki czarodziejskiej, znika.

Żadne tam czary; upchnięta po prostu między innymi częściami garderoby.

Anka protestuje, gdy przewodniczący, ustalając wobec zgromadzonych jej personalia, przedstawia ją jako osobę trzydziestodwuletnią.

- Trzydzieści jeden lat mam - mówi cicho. I szeptem: - Ósmego lutego skończę trzydzieści jeden.

Dwóch lekarzy nie spuszcza wzroku z podsądnej. Dosiadł się doktor Kwiatkowski, który zajmował się Anką od czasu jej

uwięzienia. Kilka kroków od tej grupy usiadł dozorca więzienny z karabinem i z bagnetem.

Imponująca ława przysięgłych zajęta przez elegantów i patriarchów; połyskują srebrne nitki w brodach, łańcuszki w brelkach kieszonek zegarków, siwe włosy, lśnią oślepiająco łysiny, sterczą nafiksowane wąsy. Od ciemnych surdutów, żakietów, kamizelek i krawatów idealną bielą odcinają się kołnierzyki.

Kiedy sędzia czytał akt oskarżenia, sporządzony przez obecnego na sali prokuratora, Anka zasłoniła sobie oczy. W pewnej chwili, mało zresztą związanej z odczytywanym właśnie fragmentem, zatrzęsa się i zaczęła nerwowo lkać. To był moment, w którym można się było spodziewać, że wybuch niepowstrzymanego płaczu zagłuszy słowa sędziego. Anka jednak uspokoiła się równie nagle, jak się wzburzyła. Podniosła woal. Ocienione oczy ocierała białą chustką. Już nie zakryła oblicza. Twarz spokojna, poważna, piękna w tej całej ascezie. Łzy potoczyły się z oczu Anki, kiedy sędzia cytował fragmenty jej listu do Gali:

„Myślę, że jest w Panu coś z uczciwego człowieka. Więc odwołuję się do niego. Dlaczego mnie Pan męczy i ośmiesza?”

Wiedziała, co będzie dalej. Słuchała wstrząsana niemymi paroksyzmami:

„Przyszedł Pan w obcej, bo nie w swojej postaci, ubrał się w togę i frazesy - i zabrał miłość moją. Przyszedł Pan jak biedny, niedoceniony, a tak piękny...”. W tym miejscu opuszczam dłuższy fragment dla sprawy nieistotny - powiedział sędzia, co wywołało ściszony pomruk niezadowolenia na sali, uciszył wszystkich jednym marsowym spojrzeniem i czytał dalej: „...To wszystko oszustwem było, takim jak każde inne; zabraniam czegoś, co Panu bez oszustwa byłoby się nie dostało”.

Od tej pory na pytanie sądu, a nawet na uwagi kierowane nie do niej bezpośrednio, reagowała inaczej, niżby się mógł ktokolwiek spodziewać. Mówiła głośno, wyraźnie, udzielała konkretnych, przemyślanych odpowiedzi. Na pytanie prawnego

zastępcy rodziny zmarłego Gali, czy po tym, co zaszło, spodziewa się o swojej niewinności przekonać przysięgłych, odrzekała bez wahania:

- Wystarczy mi, że przekonam jednego człowieka na tysiąc.

I rzuciła brylant spojrzenia wprost w zaskoczone oczy tego człowieka, który w tej chwili musiał przerwać snute plany przemeblowania kancelarii, gabinetu i oczywiście sypialni, które przejmie po... w gruncie rzeczy dla niego wszystko jedno, po zabitym czy po samobójcy? Po swoim sprzed paru lat szefie. Były koncypient Gali, on, mecenas Włókniarowicz, wie więcej niż na tej sali ktokolwiek o nawyczkach, sztuczkach i świństewkach nieboszczyka, wie także, że czas najwyższy, żeby z parkietu dobrze zmyć plamy krwi, albo nawet wymienić te dwa metry kwadratowe dębiny. I wywietrzyć, zrobić na kilka dni przeciąg, potem okadzić. To już ponad pół roku, jak lokal stoi zamknięty na głucho. No, poza tą dla nieprzyzwyczajonego upiorną wizją lokalną. Co ta kobieta... - myśli mecenas Włókniarowicz.

Nie miał pojęcia, że trzeba będzie ostro walczyć... o swoje.

A tu słyszy, jak niewiasta, ot, ucywilizowana baba, z którą chciał się szybko uporać i zrobić z niej ewidentną zbrodniarzę, wygłasza wobec przysięgłych takie uwagi o nieboszczyku, które nie na nią rzucają złe światło.

- Za dużo siebie cenil, innych za mało - mówi Anka. Jej woskowo blada twarz robi się biała jak papier, gdy musi odpowiadać na nieuchronnie następujące pytania związane ze stosunkiem do Gali, z ich pożyciem w tych najlepszych tygodniach jesieni 1908 roku.

- We wrześniu - mówi - chcieliśmy iść wspólnie przez życie.

- To znaczy jak?

- To było zaplanowane dokładnie. Po wygranym procesie z redaktorem Goldstockiem i po obronieniu przeze mnie rygorozum mieliśmy z Romanem Galą zamieszkać razem. Wynajęć wygodne mieszkanie, a tamto na Sławkowskiej potraktować

jako większą już kancelarię. Moje dziecko, które wtedy przebywało u dziadków pod Lwowem - wysoki sąd wie gdzie, nie muszę więc precyzować, podając nazwę miejscowości - mieliśmy wziąć ze sobą.

- Były przecież inne zobowiązania.
- Od roku 1905 miałam separację z mężem. Roman Gala był również w separacji. Można już było, przy odpowiednich warunkach, podjąć kroki rozwodowe.
- To są koszty.
- Jeżeli komuś bardzo zależy, przejdzie i przez to. Konsystorz, stosowne opłaty. Wnieście je. Poczeka, automobil kupi sobie, powiedzmy, o rok później.
- Były plany kupna automobilu. Świadkowie to potwierdzają. Ale o rozwodzie, o rozwodach milczą.
- Roman Gala panował nad sobą.
- Co należy w tym kontekście przez to rozumieć?
- Ja okazywałam mu to, co czułam - odpowiedziała prosto.
- Potem musiał przyjść czas na refleksję.
- Kiedy to było?
- Pod koniec września.
- Szybko się pani zorientowała, że mecenas Gala, jak to pani nazywa, „panował nad sobą”.
- To nie było trudne. Nawet prostak wychwyci narzucający się fałsz. Postanowiłam, a wręcz musiałam sprawdzić, jak się wobec mnie zachowa Gala, Gala nie kochanek, nie prawnik, lecz człowiek. Postanowiłam zaryzykować. A ryzykowałam wiele, ponieważ prawdopodobnie nie znalazłabym poza Galą innego adwokata, który przyjąłby sprawę. Przecież najpierw, przed pierwszą wizytą u Gali, wspólnie z mężem udałam się do mecenasa Ścibskiego. Ten odmówił przyjęcia sprawy. Bez motywacji. A wiadomo, jeżeli Ścibski, odważny, nieugięty, niemający skrupułów w dążeniu do prawdy, odmówi, znaczy, będzie już bardzo ciężko. Mecenas Gala, znany jako gracz ryzykowny, sprawę przyjął. I wtedy, właśnie żeby go sprawdzić, żeby się przekonać, pod koniec września, będąc wciąż pod jego wielkim urokiem, tak, będąc w nim zakochana, ale w momencie, kiedy

rozum chwilowo wziął górę nad sercem czy nad popędem, powiedziała Gali, że chce od niego sprawę wycofać. I wtedy on bez zastanowienia odrzekł, że sprawa jest nieuczciwa, i że on to publicznie oświadczy!

- Co pani wtedy zrobiła?

- Poszłam się poradzić mecenasa Ścibskiego.

- ?

- Przecież mecenas Ścibski znał sprawę. Pokiwał głową, wyraźnie zaszępiiony. Powiedział, że po wycofaniu Gala gotów będzie to zrobić, czym grozi, ba, zrobi to. Ogłosi, że sprawa jest nieuczciwa. I wtedy ja i mój mąż będziemy pogrzebani.

- Tak powiedział mecenas Ścibski?

- Przecież wysoki sąd wie. Mecenas Ścibski nie tyle domyślał się, ile miał niezbitą pewność tego, co Gala w takim wypadku bez wątpienia zrobi. Poinformował, oznajmił prosto, a przy okazji, między wierszami, ostrzegł. Komentarz o ewentualnej sytuacji w wyniku fałszywego kroku pochodzi ode mnie. Mało tego, zostałam przez mecenasa Ścibskiego przygotowana na mogące mieć miejsce następstwa faktu, o którym nie miałam pojęcia. Mecenas mianowicie powiedział mi, że aby się zabezpieczyć, Roman Gala sporządził notatkę odręczną, w której zastrzegł, że sprawa, której broni, jest nieczysta. Przechowywał ten zapisek w swoich tajnych aktach.

- I pani potrafiła w świetle tych niekorzystnych, nieuczciwych posunięć nadal spotykać się z mecenasem Galą na gruncie towarzyskim?

Popatrzyła na sędziego i powiedziała wyraźnie:

- Jeżeli kobieta kocha, to i oddać się potrafi.

- Przepraszam, muszę to pytanie zadać - rzekł sędzia po dłuższej chwili ochryplym, zdławionym głosem. - Czy to prawda, że nie chciała pani być dla zmarłego tylko kochanką?

- Nie chciałam. I nawet przez myśl mi to początkowo nie przeszło. Pogardzałabym sobą, tak, po raz pierwszy w życiu. Ale sprawy poszły w takim kierunku, że zaczęłam mieć wątpliwośći.

Ogłoszono przerwę na obiad.

Wczesne popołudnie. Dwadzieścia minut po godzinie pierwszej. Od ponad kwadransa wszystkie miejsca wypełnione; zbity niewiarygodnie tłum mężczyzn stojących w przejściach po obu stronach wielkiej sali przysięgłych. Już teraz mniej pachnie ledwo uchwytną nutą wody kolońskiej, świeżym lakierem, pokostem i pyłochłonem. Bardziej - potem.

Anka wyglądała tak, jakby nie opuszczała tej sali. A przecież w towarzystwie jednego z lekarzy zjadła obiad przyniesiony jej z restauracji; z ćwierci porcji pulardy (o tyle specjalnie prosiła) zjadła tylko kawałek mięsa z piersi i zgarnęła dwa razy na widelec trochę potrawy z ryżem. Poczowała się, jakby zjadła za trzech. Bliska omdlenia, musiała położyć się na kozetce; pić nie chciała, niech tylko ten naparstek koniaku czeka, aż ona sobie odechnie. Lekarz popatrzył na nią i wskazał metalową puszkę ze strzykawką. Skinęła głową. Nie pytała o nic, a i on bez słowa chwycił w mig napełnioną strzykawkę, a gdy z pojemnika odeszło powietrze i na igle pojawiła się kropla, pochylił się, odsłonił udo Anki i dokonał iniekcji. Sam rozmasował gazikiem ze spirytusem. - Pięć, sześć minut i będzie dobrze - powiedział. Próbowwała się do niego uśmiechnąć.

Już na sali wypoczęty sędzia wrócił do stosunku miłosego klientki i adwokata. Zeznała, że właśnie po to, żeby oddzielić sprawę osobistą od sprawy procesowej, już w pierwszych dniach października powiedziała o wszystkim mężowi.

- Dlaczego nagle taka zmiana nastawienia?

- Nie nagle. Cóż, przyszedł taki moment, w którym ja, wciąż zakochana, musiałam sobie uświadomić, że on, Roman, Roman Gala, swego czasu odczuł do mnie po prostu to, co przechodzi po dwóch tygodniach...

- Co chce pani przez to powiedzieć.

- Chwilowe miłose zauroczenie samca. - I po dłuższym wahaniu: - Lub samicy.

- A to ciekawe? Pani rozróżnia takie rzeczy. Skąd pani wie, że to było tak, a nie inaczej? Tego raczej nie wie się z lektur...?

- Czy na to pytanie na pewno muszę odpowiedzieć?

- Nie musi pani. Co mąż na pani szczerze wyznania?

- Zażądał, żebym wspólnie z nim wyjechała teraz i na zawsze do Lwowa.
- Co pani na to?
- Posłałam przez umyślnego list do Gali. Napisałam, że wyjeżdżam z mężem.
- Napisała pani, że mąż wie o wszystkim?
- To było między wierszami.
- Ale nie czarno na białym.
- Napisałam tak, że kto jak kto, ale on - błyskotliwy, inteligentny, no i wciąż jakoś tam zaangażowany, jeżeli nie w ten czy inny romans, to na pewno w dalszy ciąg mojej sprawy z Goldstockiem - powinien był to zrozumieć.
- Nic tak nie plami honoru kobiety jak atrament - odezwał się nagle Włókniarowicz.
- Ta uwaga nie należy do sprawy - zachnęła się.
- Przywołuję do porządku mecenasa Włókniarowicza - powiedział przewodniczący. I do Anki: - Cóż było dalej?
- Już byłam pewna, że wyjadę, zbierałam się do drogi, Funico, znaczy mój mąż, doktor Stefan Korowski, wyszedł do lokalu, żeby się wzmocnić i uspokoić po przeżytych emocjach i wtedy ten sam posłaniec przyniósł mi list od Romana Gali. List, w którym przekonywał mnie o wadze swojego uczucia, o autentyczności. Prosił, błagał, żebym go nie opuszczała. Żebym została na razie na trzy dni. Że sama się przekonam, jak wielka jest jego miłość i jak my jesteśmy sobie wzajemnie potrzebni. „To więcej niż więź, Anko - pisał - to przeznaczenie”.
- Pani oczywiście pozostała.
- Mąż na odjeźdnym zapewnił, że po procesie zastrzeli Romana Galę. Że tak się stanie, co do tego nie miałam wątpliwości. Wiem, że mąż nade wszystko ceni sobie honor. Może zostać pozbawiony wszystkiego i wszystkich, nawet najbliższych - honor musi pozostać ocalony.
- Co się zdarzyło przez te trzy dni?
- Te trzy dni wystarczyły mi do podjęcia decyzji o pozostaniu w Krakowie. Z tym, że Roman Gala wymógł na mnie... właśnie w ciągu tych trzech dni był dla mnie najlepszym człowiekiem pod

słońcem, poza mną nie interesowało go nic, nawet praca, nawet kariera...

- Cóż więc wymógł na pani?

- Nieprecyzyjnie się wyraziłam. Roman Gala zażądał zastrzymania w tajemnicy naszego stosunku. Wobec wszystkich. A mąż miał się dowiedzieć, że między mną a Galą wszystko definitywnie skończone.

- Pani mówi: Roman Gala zażądał. Jak to tak można zażądać?

- Jego żądanie miało związek ze sprawą.

- Rozumiem. Coś w rodzaju szantażu.

- Było mi z tego powodu bardzo ciężko. Ale tak zrobiłam. To, co się stało, pochodziło z innego obrazu świata. Weszło na mój obraz, niszczyło. Tymczasem mąż, grożąc wstrzymaniem apanaży i zapowiadając inne restrykcje, depeszował, żebym wróciła. Dał mi tylko te trzy dni, o kolejnych dniach nie było przecież mowy. Mijały tygodnie. Dopiero pod sam koniec października zjawiłam się we Lwowie.

- Zwierzyła się pani mężowi?

- Zapewniłam go, że nic złego się nie dzieje.

- Tymczasem ze Lwowa pisała pani do Romana Gali poetyczne listy. Listy pełne oddania.

- Które mecenas Gala, czytając, komentował nieodmiennie: „Psiakrew, histeryczka!” i jeszcze pieprzniej - syknął Włókniarowicz.

- Panie przewodniczący... - westchnęła.

- To akurat właśnie należy do rzeczy - powiedział Włókniarowicz i przewodniczący skinął potakująco.

- To jeszcze jeden dowód na to - powiedziała już nie pobladła, lecz zszarzała Anka - że świętej pamięci mecenas Roman Gala uważał ten stosunek za zabawkę! Płacił mi za szczere uczucie liczmanami. Postępował ze mną niegodnie.

- A pani?

- W grudniu 1908 roku byłam pewna niedorzeczności związku z Romanem Galą. Pojechałam do męża, do Lwowa. Było nam coraz ciężej. Jak wspominałam, z powodu wplątania

mnie w sprawy polityczne w Galicji rozeszły się wieści o tych brudnych szpiegowskich sensacjach, nie mieliśmy, w przeciwieństwie do Brzozowskich, ani pieniędzy, ani oparcia w możnych i wpływowych sympatykach ruchu. Stanisław Brzozowski miał sympatię tego odłamu socjalistów i wolnomyślicieli, którzy nie stracili wiary w czystość pisarza i krytyka. Nie chcę porównywać sytuacji mojej i Brzozowskiego, nawet *toutes proportions gardée*, bo ja jestem tylko żywym trupem, a on umierającym człowiekiem. Podczas gdy Brzozowski nie stracił zaufania przyjaciół, mój mąż - przeze mnie, która zostałam postawiona pod takim samym jak znany pisarz zarzutem - stracił pracę w namiestnictwie i nie mógł znaleźć gdzie indziej żadnej państwowej posady. Nie przyjmowano go tam, gdzie byłby ze swoim doświadczeniem zawodowym potrzebny. I w tej sytuacji, kiedy we Lwowie borykaliśmy się z taką biedą, a z biedy, jak wiadomo, wychodzą rzeczy najgorsze, zaczęły na *poste restante* przychodzić do mnie tuzinami, nawet dwa dziennie, sążniste listy od Romana Gali. Przepraszał, jak to nazywał, za swoją „niepoczytalność”, której się wstydził...

- Chodzi o jakieś ataki, które miewał przy pani?
- Można to tak nazwać.
- Czy mecenasowi Gali zdarzały się przy pani napady epilepsji? - zapytał doktor Vario.
- Wyrażam sprzeciw! W tej chwili to pytanie jest nie na miejscu! - wykrzyknął zastępca prawny rodziny zmarłego.
- Sąd przychyła się do sprzeciwu mecenasa Włókniarowicza i uchyla pytanie obrońcy oskarżonej.
- Dziękuję, prosząc jednocześnie o udzielenie mi głosu. Pani Korowska zdaje się tutaj występować nie w swojej roli. Ni z tego, ni z owego, robi z siebie świadka oskarżenia świętej pamięci Romana Gali, człowieka, któremu tyle zawdzięcza jako skutecznemu obrońcy jej czci!

Anka ożywiła się.

- Tak - powiedziała - mecenas Gala jakże żarliwie mnie bronił przed zarzutem o szpiegostwo! Jego obrona wyglądała

następująco: „Patrzcie, może ona nie była szpiegiem, ale jest takim człowiekiem, po którym wszystkiego można się spodziewać i który może stać się wszystkim na świecie!”. Broniłam się właściwie sama, a Gala zbierał tego owoce.

Rudolf Starzewski przy stoliku dla prasy, zaskoczony przemianą oskarżonej, wpatrzony w Ankę, z wyglądu wciąż tak wyścieńczoną, a pełną teraz tajemniczych sił, notuje dla „Czasu”:

„Ożywia się i dyskutując z przewodniczącym, przemawia głośno i zwięźle. Znać, że czuje wartość słowa i waży je. Wchodzi w tok i dyskutuje. Lekki ruch ręki i głowy. Sala słucha z wyteżoną uwagą”.

Nazajutrz, 13 stycznia, czwartek. Kwadrans po dziewiątej rano. Anka zamiast kapelusza ma na głowie małą angielską czapeczkę. Już bez welonu. Można obserwować do woli. Twarz nie jest blada. Jest żółta.

Prosi o głos. Spokojnie relacjonuje wczorajsze posiedzenie, lecz burzy się coraz bardziej, przytaczając pytania przewodniczącego, do których przyszło się jej odnosić, większość z nich określa jako wywodzące się ze steku kłamstw zebranych z wypowiedzi podczas przesłuchań niechętnych jej stron.

- To już wygląda na sugestię przeznaczoną dla przysięgłych - zauważa sędzia przewodniczący.

- Takie jest spostrzeżenie pana przewodniczącego - odpie-
ra natychmiast Anka. - Nie ja jestem za nie odpowiedzialna. Tak jak nie ja jestem odpowiedzialna za niefortunne określenia przedstawiciela prawnego rodziny zmarłego Romana Gali, doktora Włókniarowicza, który mając na myśli niniejsze postępowanie procesowe, wczoraj wyraził się o nim dosłownie „badanie duszy zbrodniarza”.

- Zwrócili na to uwagę również przysięgli, niektórzy z nich wczoraj protestowali, mamy to na uwadze - potwierdził przewodniczący - ale nie zapominamy także o tłumaczeniu *post factum* mecenasa Włókniarowicza, który zapewniał, że mówiąc „badanie duszy zbrodniarza”, nie miał na myśli pani Anny Korowskiej. - Ruchem ręki i szarpnięciem togi uciszył spontaniczny

rechot publiczności. - Sprawa się jednak nie kończy - ciągnął. I zwracając się do Anki, powiedział: - Proszę mi wierzyć, że pytania, które zadam, i mnie nie bez trudu przejdą przez gardło, ale taka jest konieczność. W roku 1905, gdy pani studiowała w Krakowie medycynę, będąc jednocześnie zatrudniona na stanowisku nauczycielki w Limanowej, w starostwie w Limanowej pani małżonek, doktor Stefan Korowski, pracował jako koncypient. W tymże roku wnieśli państwo do sądu w Limanowej żądanie separacji. Uzasadnieniem podania był potwierdzony przez państwa fakt zerwania wspólności małżeńskiej...

Niemal pantomima. Jakaś żałobna. Anka, żółtawa, sucha i w czerniach, nie tyle wstrząsa się, ile jest czymś wstrząsana, gestykuluje żywo. Za zgodą lekarzy, którzy teraz zza swego stolika obserwują ją z niepokojem, przed rozprawą wypila tylko łyk czarnej kawy, szklanek malagi i kieliszeczek kuracyjnego koňniaku.

- Czyim więc dzieckiem jest pani córka - pyta, cedząc słowa przewodniczący - skoro przyszła na świat w osiem miesięcy po ogłoszeniu separacji?

- W myśl ustawy jest dzieckiem Stefana Korowskiego - mówi Anka już całkowicie spokojna.

Włókniarowicz prosi o głos. Uzyskawszy zgodę, mówi, obracając się w stronę ławy przysięgłych:

- Mamy akta przesłuchań jednego z profesorów medycyny, zaprzyjaźnionych z Korowską, jednym z tych zresztą ludzi nauki, którzy bez ociągania udzielali jej dżentelmeńskich pożyczek. Zeznał on, że zapytał Korowską wprost: „Nie rozumiem, jak można być powolną mężowi, którego się nie szanuje?”.

Ciszę przecięło nagle i proste pytanie przewodniczącego:

- Ile razy zachodziła pani w ciążę?

- Trzy razy - odrzekła automatycznie. Osunęła się na ten pleciony fotel. Podbiegli lekarze. Zawołano woźnych, którzy wraz ze strażnikiem więziennym i nieodstępną Majanką wynieśli przesłuchiwaną w fotelu. Dopiero wybiła dziesiąta. Zarządzono krótką przerwę.

Po półgodzinie te same osoby w identycznej scenerii. Pytania dotyczyły spraw mniej drażliwych, już, zdawałoby się, całkiem odległych. Tak, Borowscy mieli kłopoty finansowe; tak, zadłużyła się na proces z Goldstockiem. Nie, nie jest prawdą, że Gała bronił bez honorarium. Kilkakrotnie otrzymywał zadatki. Jakie to były kwoty? Przeważnie po dwieście koron. Trudno było zdobyć pieniądze ze względu na, jak się rzekło, fatalną wskutek skandalu sytuację męża. Czy myślała o tym, że swoją lekkomyślnością pogruchołał mężowi karierę? Myśli to nie fakty, milczała, przecież komentarz zbyteczny. Po wygranym procesie, po odzyskaniu czci, przeżywała piękny okres. Byłaby szczęśliwa, gdyby powtórzył się czas, kiedy we Lwowie, przygotowując się do egzaminów, miała przy sobie córeczkę.

- To dlaczego ten pobyt z dzieckiem we Lwowie trwał tak krótko? Można liczyć go na tygodnie!

- Zachorowałam poważnie. Musiałam wybierać: albo iść do szpitala na miejscu, albo jechać do Krakowa, gdzie miałam w klinice zapewnioną opiekę specjalistów. Ale tak czy inaczej, i jedno, i drugie oznaczało rozstanie z dzieckiem.

- Tamta wtedy poważna choroba to...?

- Ostry przypadek, wymagający szybkiej interwencji.

- Ginekologiczny? - odezwał się Włókniarowicz.

- Pan powiedział - odrzekła. - Nic odkrywczego zresztą, wszak jestem kobietą, kobiet z zasady się nie kładzie na oddziałach męskich. - I zwracając się do przysięgłych, na chwilę zatrzymała wzrok na sędzim: - Nie zebraliśmy się tutaj w celu omawiania historii choroby. Choroba była w tym przypadku istotna o tyle, że oznaczała rozstanie z dzieckiem, wymazała kawałek zaczynającego się pięknie rysować nowego stylu życia. Miałam ukończyć doktorat, przyjąć posadę, znów połączyć się z małą. Tak miało wyglądać życie.

- Miejsce w nim męża...?

- Nie przewidziałam. Nie powiem dlaczego. Byliśmy w separacji.

- Potem, jak tylko się pani polepszyło, interweniował skutecznie, co wiemy z zeznań, profesor Fetter, wybitny operator, nie wróciła pani jednakże do domu, tylko w Krakowie narzucała się pani mecenasowi Gali swoją obecnością.

- Roman Gala bywał u mnie często, bardzo często. Mieszkałam przy rodzinie Alfreda Skarbkowskiego, mistrza malarni Teatru Miejskiego. Państwo Skarbkowscy mogą potwierdzić, i zapewne to zrobią, częste wizyty u mnie mecenasu Gali. Niekiedy nawet, gdy jeszcze mało wychodziłam po chorobie, odwiedzał mnie trzy, cztery razy dziennie.

- Z zeznań pani Łucji Wężowej, panieńskie nazwisko Skarbkowska, wynika, że mecenas Gala nie przychodził nigdy z pustymi rękoma - powiedział sędzia.

Nagle wstał Włókniarowicz i rzucił szybko:

- Co to znaczy?

Chwila ciszy - napięta, jak gdyby zaraz miała się rozpęknąć.

- Proszę - rzekł sędzia - aby pani odpowiedziała na pytanie mecenasu Włókniarowicza.

- Roman Gala przynosił książki. Gdy tylko miał wolną chwilę, czytał mi na głos Słowackiego, Krasińskiego. Po niemiecku przeczytał - i zrobiło to na mnie silne wrażenie - cały tom kazań Buddy.

- Z relacji wspomnianych właściolelek mieszkania wynika, że mecenas Gala zostawał w pani pokoju do późnych godzin wieczornych, a nie dość że jego wizyty trwały nieraz i pół dnia, to jeszcze słał listy. Sprawiał wrażenie starającego się. To, że czytał i recytował, już wiemy. A co poza tym?

- Mówił, że nie dlatego kocha, że pożąda, ale dlatego pożąda, że kocha.

- Od kiedy mówił, że kocha?

- Mówił mi to już w pierwszych dniach września.

- A pani?

- Ja go także kochałam. Zdobył... zdobył tego pewność. To była perfidia z jego strony. Nazajutrz bowiem sterroryzował mnie tym zamiarem ewentualnego odstąpienia od sprawy. Ja go kochałam.

- „Kochałam”! O! Przed sądem stoi zepsuty zbrodniarz! -

krzyknął nagle mecenas Włókniarowicz. - Nie dajmy się omanić przebraniem, pięknym słówkom, łzom zaraz nawet może... Na sali poruszenie. Jakiś gwizd, ktoś posapuje, kobiety nie kryją oburzenia. Jeden z sędziów przysięgłych, kupiec Farbę, wstaje i głaszcząc patriarchalną brodę, prosi spokojnie o głos, i w ciszy, która się nagle zrobiła, słyhać każde jego słowo skierowane do Włókniarowicza:

- Puste, niedobre związki wyrazów zdają się znieważać to miejsce.

Wstaje doktor Vario, opanowany obrońca Korowskiej, i dodaje:

- Zresztą, są zarzuty, na które najlepszą odpowiedzią jest milczenie.

Ogłoszono przerwę na obiad.

- Skąd ona bierze tyle sił, doktorze? Wywlekanie takich spraw osobistych działa na jej emocje... Mocna kobieta.

- Mocne narkotyki, redaktorze - uśmiecha się smętnie lekarz. — Nie ukrywamy tego, bez pewnych dawek mielibyśmy na sali sądowej nie rezolutną damę, lecz manekin.

- Zrozumiałe. Tak, teraz rozumiem.

- Taaak?

- Widać, że specyfik działa tylko na krótką metę. Potem następuje bezwładność.

- Tylko bez obaw, redaktorze, nie uzależniamy chorej od jednego medykamentu. Panujemy nad sytuacją - uśmiechnął się - jest nas trzech, często nawet czterech, a prócz tego jeszcze lekarz więzienny.

- Czy wcześniej tu, przez siedem miesięcy pobytu w więzieniu, otrzymywała już także jakieś podobne środki?

- Pan redaktor raczy żartować. Brom bez ograniczeń do tej lury, namiastki kawy, a to i owszem. Zresztą, jak się pan pewnie domyśla, ona tu przez ponad pół roku zachowywała się tak, jakby jej własny organizm wytwarzał brom...

Sala wypełniona ludźmi i emocjami. Chmurzy się coraz bardziej, wrażenie zimowego wieczoru, choć dopiero wybiła pierwsza. Trzeba zapalić część świateł. Potrząsnęła głową. Myślała, że nagle podszedł do niej ktoś łysy i wygolony i się jej z bliska przygląda. A to nagle ta lampa w pobliżu!

Stos listów - ach, to te - na zielonym suknie przed fotelem sędziego przewodniczącego, który wchodząc oznajmia przebieg dalszych czynności. Anka wsłuchuje się dokładnie w jego słowa, patrzy na te znane jej koperty, świstki telegramów, rozmaite kolory znaczków z wizerunkiem cesarza, bibułki fioletowe, żółte i złote wyścielające porozdzierane koperty.

- Jestem przeciwna odczytywaniu mojej korespondencji z mężem - mówi i słyszy te słowa tak, jakby to ona mówiła, lecz nie tu i nie teraz.

- Sam mąż pani, doktor Stefan Korowski, złożył te listy. Trzeba je odczytać.

- Proszę odczytywać bez skrótów - powiedziała stanowczo.

Codziennosc, udręka, poczucie szlifowania bruków w bezskutecznym poszukiwaniu pracy, świadomość wysadzenia z siodła, groźba nędzy, osamotnienie, nawet niemożność pogrążenia się w rozpuście czy stoczenia się w nałóg z prostego a wstydlwego faktu braku środków, ale przede wszystkim honor. To jedno, czego oddać nie wolno. Tak czy inaczej, z listów Korowskiego wybijają się następujące słowa: „Wezmę pieniądze, choćby na sto procent od Żyda, i pošlę Ci je, Anko, natychmiast!”. Dalej już Anka, rozpaczliwie szczerza, już wie, że broniąc swej czci, stała się ofiarą prowokacji, a teraz tu, najbliżej, grozi jej po prostu zwykła babska niesława. Kolejny jej list, w którym tak lub podobnie brzmi komunikat: „Jeśli, Stefanie, teraz Gali nie zapłacę, to będzie ból i poniżenie”.

„Nieprzybycie usprawiedliwić, inaczej stosunki zerwane” - lakoniczny komunikat Stefana Korowskiego w telegramie do małżonki zdaje się wieńczyć dramat.

Ale to nie misterna kompozycja, lecz dzieło przypadku.

Przewodniczący oznajmia, że wobec zmiany decyzji męża oskarżonej - Stefan Korowski bowiem przybył na rozprawę,

a usłyszawszy dziś pewne słowa, które wywołują w nim sprzeciw, postanowił, że będzie zeznawał - sąd przerywa odczytywanie korespondencji.

Z ogólnego poszumu wylania się czyjś szczery jęk zawodu. Przewodniczący ucisza salę i oznajmia:

- Sensacyjną wiadomość, podnoszoną także w prasie zagranicznej i nadającą sprawie niedobry rozgłos, jakoby z kancelarii świętej pamięci mecenasa Romana Gali znikły akta sprawy Korowska-Goldstock, ogłaszam niniejszym jako niewczesną. Akta te bowiem właśnie odnalazły się.

Dzień następny. Rozprawa rozpoczyna się punktualnie. Większość obserwatorów dopiero teraz, niejako przy okazji, ma szansę zapoznać się z faktami sprzed lat oraz zawiłymi szczegółami poprzedzającymi głośną niedawno sprawę Korowska-Goldstock, rok temu zakończoną wyrokiem skazującym redaktora Goldstocka.

Wtedy, zaraz po wygranym procesie (od werdyktu sądu odwołał się adwokat Goldstocka), z końcem lutego ubiegłego roku Anka z mężem powróciła do Lwowa. W tym samym czasie Gala wyjechał do Zakopanego. Udał się tam głównie dla zbadania, czy ślady działalności szpiegowskiej Bakaja wiodą istotnie pod Tatry. Niebawem pisał do niej - na poste restante do Lwowa. W liście podzielił się ważnym, wręcz sensacyjnym, a na pewno niezwykłym odkryciem - otóż Bakaj (który pytany na rozprawie podawał, że jest Małorosjaninem, nie Żydem) w rzeczywistości pochodzi nie ze Wschodu, lecz z zachodniej Galicji. Dlatego dla dobra dalszego przebiegu sprawy wskazane by było w najbliższym czasie zgromadzić środki niezbędne na poszukiwanie szczegółów o tym człowieku. Zwłaszcza w sytuacji, kiedy zdruzgotany w sądzie Goldstock traci zaufanie do skuteczności adwokata Nadreńskiego, a ponadto wspólna w oczach społeczeństwa kompromitacja tego paradnego tandemu w połączeniu z ujawnieniem prowokatorskich metod ochrony, przejmowanych, o zgrozo, przez naszych socjalistów, sprawia, że nawet w sensie walki o wyzwolenie narodowe ludzie zdrowo myślący są

coraz bardziej za otrząśnięciem się spod wpływów (jakiegokolwiek by one były) Rosji. Przy tak sprzyjającym obrocie sprawy - pisał dalej Gala - z pomocą, rzecz jasna, środków finansowych, które należałoby jak najszybciej zdobyć - po zgrabnie przeprowadzonym prywatnym śledztwie na okoliczność matactw i mistyfikacji Bakaja, jednym celnym, błyskotliwym ruchem można będzie zakończyć sprawę, unieważnić tę i każdą inną planowaną próbę odwołania ze strony przeciwników, którym zresztą i tak same opadną ręce.

Anka twierdzi dziś, że wątek śladów Bakaja był dla Gali pretekstem do odnowienia stosunków. Znakomitą przynętą. Poznał, wybadał wrażliwość klientki - kochanki, powierniczki, wreszcie pokrewnej poetyckiej duszy. Miał pewność, że wątek tropu Bakaja - ulepionego z samego zła symbolu zła - chwyci. I musiał z całą perfidią zrobić to właśnie wtedy, kiedy wreszcie obudziła się w niej dojrzała kobieta-matka, pięknie się zaczęła zespalać z kobietą-lekarzem i kiedy Anka była bliska całkowitej pewności odnalezienia nowej, jasnej drogi. Tak. Ona sama była przekonana, że odeszła od Gali definitywnie; pewność zaczęła się kruszyć, gdy w jednym z pierwszych po rozstaniu listów (zachowanych, dostępnych sądowi) Gala tak pisał o swojej nowej sytuacji, o doskwierającym mu życiu bez niej: „powstała dziura w moim bytowaniu”.

Doktor Fellani, ostatni koncypient Gali, potwierdza, że po odejściu pani Korowskiej mecenas nie mógł sobie znaleźć miejsca; zwierzał się nawet z tego aplikantowi, choć przecie wylewność w ogóle nie leżała w jego naturze.

„Siedzisz przy mężu i dziecku, a tu człowiek ginie!” - pisał do niej. Chyba nie dla zabawy tak sobie znaczył atramentem kartki. Słowa, tylko i wyłącznie atramentowe wynurzenia? Atrament nie spełził, papier się nie pokruszył. Jeszcze raz, i jeszcze, w miarę potrzeby można je odczytywać na forum publicznym w największej, najprzestronniejszej w krakowskich Sądach sali przysięgłych.

- Przecież to mogła być ze strony Romana Gali taka niewiele kosztująca, uwodzicielska gra.

Na te słowa Włókniarowicza odezwał się Vario:

- Gra? Jeśli tak, to w tej sytuacji i w takich okolicznościach jednoznacznie świadcząca o poziomie moralnym „gracza”.

- Ach, wysoki sędzie - zachnął się Włókniarowicz - nie rozszepiajmy włosy na czworo. Wiemy, co znaczy odpoczynek wojownika po walce. Mecenas Gala po wygranym procesie potrzebował kobiety!

- Miał osiemdziesiąt kobiet - powiedziała.

- Proszę? - Przewodniczący, uspokajając salę, spojrzął na Ankę. Udawał zaskoczenie, że się, być może, przesłyszał.

- Roman Gala sam mi to wyznał. Pokazywał stosowne, nad wyraz konkretne zapiski w licznych kalendarzach, dotyczące kontaktów intymnych z kobietami, wyjaśniał pokrótce zasady szyfru, jakim się posługiwał od lat.

- Czemu wyjawiał to właśnie pani?

- Zapewnił, że od czasu, kiedy poznał mnie i pokochał, skończyły się jego marzenia o legionie kobiet. Teraz inne już go zupełnie nie interesują, nie obchodzą, mówił. Udawał, że go to smuci, żeby potem wzmóc efekt przekonujący, że odtąd oddaje mi również swoją duszę. Obnosił się z zapewnieniami, że czuje do cna, całym jestestwem, że go zagarnęłam całego.

- Wtedy to postanowiła pani jechać do Krakowa. Cel był wszystkim wiadomy: kontynuacja studiów. Z zeznań świadków wynika, że wyjeżdżając, dała pani słowo teściowej, że udaje się tam wyłącznie po to, żeby się uczyć. Co spowodowało aż tak uroczyste gesty?

- Podejrzewano w rodzinie, że jadę do Krakowa dla Gali.

- Przecież to wobec zaistniałych faktów absurdatne. Kto mógł rozpuszczać takie plotki?

- Na pewno nie mój mąż.

- Czemu od razu w tej chwili pomyślała pani o mężu?

- Bo mam prawo przypuszczać, że jedna wielka myśl, ulepiona z myśli wszystkich zebranych w tej sali, skierowała się właśnie ku niemu. Tylko dlatego tak powiedziałam. Mąż był pewny, że to koniec romansu, ponieważ dałam mu słowo.

- Skądinąd wiemy, że już od dawna nie szanowała pani męża.

- Powiedziałam mężowi, cokolwiek by kto o nim myślał, humaniście: „Przecież ja nie chcę być i nie jestem zła, jestem tylko taka, jaka jestem”. Mąż zrozumiał. Czy muszę rozwijać ten wątek?

- Nie - powiedział przewodniczący. - Żeby jednak sprawa toczyła się prawidłowym torem, muszę teraz pokrótce wyjaśnić, na czym polegała kwestia honorowa w określonym przypadku mecenasa Gali, w której jako pośrednicy potrzebni mu byli państwo Korowscy, a potem tylko pani Korowska - to jedna wersja. Według innej, to państwo Korowscy pośpieszyli z chęcią pośredniczenia jeszcze podczas przygotowań do sprawy Korowska-Goldstock. Oto w prasie Roman Gala ogłosił *List otwarty do redaktora Plemieńskiego*, z powodu sprawy Władysława Jeziorczyka, który w redakcji będącej własnością Plemieńskiego wyłożył dziesięć tysięcy koron, wchodząc w ten sposób w spółkę i sądząc, że staje się akcjonariuszem. Rychło poczuł się oszukany i jako poszkodowany zaskarżył Plemieńskiego o zwrot tej kwoty. Plemieński notorycznie lekceważył pisma Jeziorczyka w tej sprawie, którą prowadził Gala, uwaga! do niedawna dobry znajomy Plemieńskiego, to i owo drukujący w jego organie. Gala nie ograniczył się do jednego listu otwartego. Drugi, podobnej treści, wystosowany *Do Jego Ekscelencji prezydenta sądu w Krakowie*, również ogłosił drukiem. Odpowiedzią ze strony redaktora Plemieńskiego stały się natychmiast jego *Listy otwarte* zawierające równie ostre zarzuty skierowane pod adresem Gali. Gala został w nich nawet określony jako „chuligan adwokacki”. Pani Korowska twierdzi, że wtedy, po przyjeździe ze Lwowa, zjawiała się w kancelarii Gali na jego wielką prośbę. Już w listach namawiał ją natarczywie, żeby w jego sprawie honorowej wystąpiła przed sądem Ligi Ochrony Czcii. W listach, które się zachowały, Gala oczywiście nie pisał, w jakim charakterze pani Korowska miałyby się stawić, żaden bowiem prawnik, będący przy zdrowych zmysłach, nie popełniłby takiej nieostrożności.

- Miałam, co tu owijać w bawełnę, stawić się przed sądem

Ligi jako fałszywy świadek i Roman Gala usilnie mnie do tego namawiał i wcześniej, i później, kiedy byłam we Lwowie, podczas rozmów telefonicznych. Miałabym mianowicie zeznać, że nigdy nie byłam u redaktora Plemieńskiego z propozycją ugody od mecenasa Gali. Po to między innymi, na jego usilne wręcz błagania, zjawiłam się w Krakowie.

- Tymczasem zaprzyjaźniony ze świętej pamięci Romanem Galą pan Bylewicz, który w tamtych dniach bywał w kancelarii i mieszkaniu mecenasa, zeznaje, że sam był świadkiem, kiedy przybyła do biura i żądającą widzenia się z Galą Korowską manipulanka poinformowała, że Gala zarządził, iż może się z nią kontaktować wyłącznie za pośrednictwem osób trzecich.

- Ostro odczułam tę obłudę. Co innego mówiły liczne listy Gali, pełne tęsknoty za mną (ostatni, który miałam przy sobie, odebrałam na poczcie we Lwowie tuż przed wyjazdem), co innego zastałam na miejscu w Krakowie.

- Co pani tam zastała?

- Nowe porządki. O kobiecie, która (o czym nie miałam pojęcia) pojawiła się w jego życiu, mówiono już w kancelarii „pani mecenasowa”. Myślałam, że mnie słuch myli, że to omamy, skutek zmęczenia, niepewności...

- Lawirowania - wtrącił znów Włókniarowicz.

- W życie Romana Gali weszła pani hrabina Potańska, układali wspólne plany na przyszłość, mecenas Gala składał oficjalne wizyty matce hrabiny Potańskiej, pani Heniowiczowej, a jednocześnie wysyłał do byłej klientki i przyjaciółki miłosne listy, tak, wysyłał je do osoby, która po strasznych przejściach już sobie zaczynała w mozole układać przyzwoite życie, któż więc tu lawirował?

Te słowa mecenasu Variego wywołały ciszę.

Ciszę przerwał jeden z lekarzy, który się zerwał z krzesła, potrącając stolik, i podbiegł do Anki, żeby zbadać puls w nadgarstku omdlałej, wysuniętej poza oparcie dłoni. Inny lekarz dał znać przewodniczącemu i podążył ku wyjściu dla świadków. Po chwili woźni z dozorcą i w towarzystwie Majanki, baczącej,

by się nie stało co złego, wynosili fotel z Anką, której głowa opadła na piersi.

Czwarty dzień rozprawy; 15 stycznia 1910 roku, sobota. Poinstalowano rozpocząć o pół godziny później niż zwykle ze względu na to, że spośród przysięgłych dwóch starozakonnych musiało wypełnić w synagodze świąteczne obowiązki religijne. O pół do dziesiątej byłby komplet, gdyby nie brak oskarżonej. Jest bardzo słaba, poszła natychmiast plotka, że - umierająca.

Jakoż i wnoszono ją w tym wyplatany fotel. Wydawała się nie dawać oznak życia. Gest przewodniczącego wystarczył. Fotel z Korowską w asyście lekarzy niesiony przez woźnych i aresztantów zniknął na powrót w mrokach drzwi wiodących do pomieszczeń więziennych.

Pozostała w pokoju lekarzy; ułożona na wąskiej kozetce, pilnowana przez Majankę, żeby broń Boże nie upadła na posadzkę, odzyskiwała pomału przytomność. Wodziła wzrokiem po twarzach lekarzy różnych specjalizacji. Konsylium. Na skroni całkiem wyraźnie, tuż pod skórą, pulsowała jej żyłka, która dotychczas przez tyle lat była doskonale schowana - Anka czuła ją, a wręcz nawet widziała w wyobraźni.

- Brązowawa jest czy raczej sina? - zapytała Majankę. - A może różowa, co? Fe! - Ta wzruszyła ramionami, popatrzyła na lekarzy z nadzieją, że oni, mądrzy, rozwiążą zagadkę dziwnego odezwania się penitariuszki.

- Wstrzykniemy pani morfinę - zapowiedział doktor Holzstrasser. Po jego słowach i jej nieznacznym skinieniu podszedł z wygotowaną strzykaweczką doktor Kwiatkowski i dokonał iniekcji.

Podszedł doktor Marnicki ze szklanką do połowy wypełnioną wodą. Majanka uniosła głowę leżącą, Marnicki, mówiąc: - Proszę to od razu popić - zdecydowanie wsunął jej do ust łyżeczkę z odrobiną proszku. Skrzywiła się, przyjęła lek i natychmiast go popiła.

- Arszenik - powiedziała.

- Doskonale - potwierdził doktor Kwiatkowski - koleżanka jest lekarzem z powołania.

- I co? I nie szkoda to tylu lat studiów... - westchnęła.

- Widać przecież, że nie szkoda! - wykrzyknął w zapale doktor Holzstrasser.

- Pani doktor Korowska mówi o praktyce. O niemożności praktyki w jej sytuacji - próbował wyjaśnić doktor Marnicki.

- Wszystko jeszcze będzie dobrze - powiedział Kwiatkowski. Zanim zemdląca, spod lekko rozwartych powiek rzuciła ku niemu spojrzenie, w którym nawet mało domyślny odnalazłby pytanie: „A pan doktor po tym wszystkim zaproponowałby mi pracę w swoim szpitalu albo poleciłby mnie któremukolwiek z kolegów lekarzy praktykujących?”

Była za kwadrans jedenasta, kiedy Anka o własnych siłach weszła na salę. Mimo tak długiej pauzy żaden z przybyłych dzisiaj nie zdecydował się na wyjście z Sądów. Pytania sądu miały dotyczyć listów. Listy miały mieć charakter miłosny, ich podtekst w każdym razie erotyczny. Jak zachowa się ta dziwna, może groźna, a na pewno niezwykła kobieta? Nietuzinkowa postać; gdyby jej droga nie zбочzyła tak gwałtownie i w ciemność, kto wie, może jej wizerunek byłby ozdobą sal szkolnych, tak jak zdobią je teraz obrazy z twarzami Emilii Plater, Orzeszkowej, Konopnickiej, Marii Skłodowskiej-Curie? - myślał redaktor prowincjonalnego dziennika, który siedział tu, pisząc reportaż, i specjalnie próbował wgłębiać się w sprawę aż do utraty tchu, żeby ani przez chwilę nie myśleć o tym, co pozostał w swym mieście nad Pilicą: młodą, a już schorowaną i w fatalnym stanie nerwów żonę, pogrążoną w rozpaczliwej zdradzie; na oczach wszystkich mieszkańców starającą się podtrzymać romans z wysokim rangą oficerem (od strony tamtego mężczyzny, acz łasego jeszcze na jej wdzięki, wygasły) i mszczącej się za złe życie na mężu. On, dziennikarzyna, lepiej, jak mu się wydawało, rozumiał tę, która tu jest główną postacią na sali; w rzeczywistości bardziej sobie wyobrażał, niż rozumiał; i były chwile, kiedy przy Annie Korowskiej widział, jak żywego

(żyjącego, przysiągłby) i w ubraniu koloru musztardy... Romana Galę.

- Obudź się pan, redaktorze!
- W tym tam obskurnym hotelu na Kopernika to niby śpię w nocy, a w ogóle nie jestem wypoczęty.
- Nie trzeba tyle pić.
- Ja w ogóle nie piję.
- Redaktor, tak na sucho?
- Panie, gdybym teraz tu zaczął, zapiłbym się na śmierć!
- Sentymenty...
- Instynkt samozachowawczy, panie!
- To jak ja to mam rozumieć?
- To jest akurat taka sprawa, że nie wystarczy się dowiedzieć, żeby zrozumieć. To trzeba poczuć. Poczuc na własnej skórze. Pan wie, że ta oskarżona kobieta ani razu tu wobec nas nie wymówiła imienia swojej córki?
- Niech pomyślę? A, rzeczywiście. No tak, a dlaczego?
- Instynkt samozachowawczy, panie!
- To samo mówił pan o swoim przypadku.
- No i *sapienti sañ* Albo jeszcze mamy dla kogo żyć, albo puszczamy się, żeby runąć w przepaść, trafić w gnojówkę, pan wie już?!

- Byłabym odstępiała od Gali - odpowiadała tymczasem na pytania sędziego - gdyby nie coś, co wzięłam nieopatrznie za zbieg przypadków. Najpierw te plotki, że o Róży Potańskiej mówi się już per „pani mecenasowa”, potem zapewnienia Bylewicza, że Gala nie życzy sobie spotkać się ze mną sam na sam, że nie jest możliwa rozmowa w cztery oczy. Rzeczywiście, nie byłam przez mecenasa przyjęta. Pozostawiłam swoją kartę, zamieszkałam znowu w Astorii, przez kilkanaście dni prawie w ogóle nie wychodziłam z mojego zacisznego numeru 34 na drugim piętrze, uczyłam się intensywnie. Moje skupienie rozproszył list anonimowy.

Zamilkła. Dała znać lekarzowi, że wszystko w porządku.

- Co było w tym liście?

- Ostrzeżenie przed ośmieszeniem. Anonimowy informator, o autorstwo już wtedy podejrzewałam Bylewicza, stosowne ekspertyzy dziś zdają się rzecz potwierdzać, zapewniał, że moje listy do Gali służą obecnie do zabawy.

- Taak?

- Że bawią się nimi Gala z Potańską. On jej czyta moje miłosne wynurzenia, porównania, poetyczne fragmenty z listów, robi to z groteskowym patosem godnym zaiste aktora prowincjonalnego lub klauna, ona się zaśmiewa do łez. Od tego momentu jedynym moim celem stało się wydobyć od Gali listów.

- Ile było tych listów?

- Co najmniej sto.

- Ponad sto. Pani już wie, że zeznania hrabiny Potańskiej zdają się wykluczać taką sytuację, jaką pani tu opisała.

- I bez zeznań tej pani domyślałam się, że ta para, każda para zresztą, mogła przyjemniej wykorzystać czas. Ale anonim zrobił swoje. Był napisany sugestywnie. Jego autor osiągnął cel. Zostałam sprowokowana. Zrozumiałam to trochę za późno, już bowiem opętała mnie myśl o wydobyć, o wydarciu tych listów, i tej myśli nie potrafiłam w żaden sposób odgonić. To paradoksalne, ale mając pewność, że mnie wstrętnie podpuszczono, przecież nie przestałam przyjmować Bylewicza, brnęłam! Teraz myślę, że wciągało mnie grzęzawisko. Zostałam tam zapędzona.

- Mogła pani się odciąć, nadać na bagaż skrypty, podręczniki, wyjechać.

- Już nie. Uświadomiłam sobie, bo myśl drażyła w jednym miejscu jak świder, że w listach, które on przetrzymywał, zawarłam teksty całych bajek dla dzieci, których wcześniej nie pozostawiłam w odpisach, także liczne pomysły literackie, którymi tak bardzo wydawał się być zainteresowany Gala. Jako starszy kolega po piórze udzielał mi rad, niekiedy wydawał się zachwycony wyjątkową urodą motywu, oryginalnością frazy *et cetera*. Jak mogłam pozostawić, rozproszyć, zaniedbać ten twórczy kapitał? Miałam szanse na publikację, wiadomo,

zapewne pod pseudonimem, w pewnym momencie zaczęła mi się nawet marzyć, jak kiedyś, dawno temu, mojemu mężowi, kariera literacka. Może udałoby mi się utrzymać z pióra jak nielicznym wprawdzie, ale tyleż utalentowanym, ile samodzielnych kobietom u nas? Mąż w zawieszeniu jeszcze trwał tam w starostwie w Limanowej, ale wisiała nad nim groźba zwolnienia ze służby państwowej, w ogóle źle rysowała się jego przyszłość z powodu szumu wokół mojej afery. Marzyłam sobie, że choć nie będę z nim mieszkać, to tyle na swoich utworach zarobię, że jeszcze i jego w trudnych chwilach utrzymam. Mając pewne zdolności literackie, jakiś przy tym dar obserwacji, no i wykształcenie medyczne, czyż byłam jako autorka bez szans? Kłębiły mi się myśli coraz wzniosłej szej, a tymczasem... Gdy odbierałam od niego swoje listy, a oddawał je po trochu, partiami, wydzielał, można powiedzieć, skąpo, widząc, że przy nim drę na strzępy i wyrzucam do kosza niektóre z nich, bywał opryskliwy, kłął ordynarnie. Naprawdę, nie widziałam wtedy żadnej różnicy między nim, zawsze trzeźwym, a Funiem, kiedy był mocno pijany... Ach, proszę wybaczyć, zapędziłam się, nie jestem w kawiarni, Funio to mój mąż, Stefan, zdrobnienie, Funio to od Stefunia... wiadomo.

- Nic się nie stało. Roman Gala obiecywał pomoc pani mężowi w zdobyciu dobrej posady?

- Tak, zawsze wtedy, kiedy domagał się ode mnie spełnienia swoich pragnień.

- To znaczy?

- Chodziło głównie o moje wystąpienie przed sądem Ligi Ochrony Czcii.

- Czy to były w tamtych ostatnich tygodniach jedyne pragnienia mecenasa Gali w odniesieniu do pani osoby?

- Niejedyne.

- Dziękuję.

Długo milczała, wsłuchując się w głąką ciszę sali zamarłej zapewne w oczekiwaniu (przyszła jej na myśl olbrzym, który wstrzymuje oddech), wreszcie, nie mogąc wprawdzie powstrzymać drżenia tułowia i ramion, powiedziała spokojnie:

- Jeden człowiek utonie w bagnie z całą świadomością; drugi także utonie, idąc w bagno nieświadomie, świetlaną drogą. Taką drogą świetlaną prowadził mnie w bagno Roman Gala.

Z sekundy na sekundę stawała się coraz bledsza. Od stolika lekarzy ktoś skinął na Majankę. Doskoczyła do stolika zwinnie i cicho. Po chwili w swoich fioletach i w białym czepku popędziła ku Ance z niewielką tacką. A, koniak w kieliszku z grubego szkła. Anka wypila pomału, odstawiła kieliszek, coś szepnęła Majance, ta odeszła do stolika lekarzy.

- Tak, to prawda, że najpierw przez kilka miesięcy myślałam o samobójstwie, czyniłam nawet próby, które okazywały się żalotne, wielu świadków widziało mnie w oplakany stanie, tego się nie uda ukryć. Trudno jest komuś, kto tego nie przeżył, zrozumieć sytuację kobiety, która przekonuje się, że w rękach tego, którego pokochała i który do niedawna tak okazywał jej to najpiękniejsze uczucie, jest niczym więcej jak tylko rzeczą! Sytuacja, tak, właśnie, i coś więcej niż sytuacja: stan mianowicie, stan! To już bez względu na płęć, stan beznadziejny; stan człowieka oszukanego w najwyższym stopniu, podstępnie okradzionego! To już nieszczęście. Bez nadziei na pomoc, na odnalezienie utraconego. Tak, owszem, próbowałam umrzeć z głodu, nie wytrzymałam, nie potrafiłam nawet porządnie zapętląć sznura, o czym tu mówić. Wreszcie stało się, nie zapomnę tej daty, drugiego czerwca wróciłam do równowagi.

- Czym się to objawiło?

- Poczuciem prężności, rzeźkością ogólną. Niekiedy głódówka dobrze wpływa na rozmaite cierpienia. Jak widać, także na cierpienia duszy. Mąż pisał tymczasem do mnie: „Jeśli wolisz być przy tym tam padalcu niż przy mnie, to już nie prześlę ci złamanego centa, a na pewno znajdę ci w Krakowie zajęcie przy cholery, szkarlatynie i najobrzydliwszych przypadkach zaniedbanego luesu”. Wołałam nie wracać do tego człowieka, którego zżerała uogólniona już, rzecz by można, nienawiść. Miałam poza tym przekonanie, nie tylko niejasne przecucie, że kiedy wrócę do Lwowa, bo wtedy z Limanowej profilaktycznie

się urlopował, zostawiając na razie rzeczy, meble i zdaje się, nawet kochankę, to on poczeka, aż po podróży zasną, wsiądzie w pierwszy nocny pociąg i nazajutrz przed obiadem w Krakowie zastrzeli Galę jak psa.

- Dlatego pozostawała pani w Krakowie. Rozumiem. A czy może pani wytłumaczyć wagę owej daty drugiego czerwca?

- W moim życiu było wiele pięknych rzeczy, ale zawsze przychodziły za późno. Drugiego czerwca niespodziewanie związało się to, co uważane było za rozdarte na zawsze. Ostrzegano mnie, żebym od tego człowieka trzymała się jak najdalej. Zwłaszcza że kiedy obroniłam rygorozum i tylko z nim chciałam się podzielić zwycięstwem, powiedzieć mu: „już jestem lekarzem”, dowiedziałam się, że on właśnie bawi w Warszawie? Gdzie? W Królestwie, na ziemiach polskich pod łapą Moskala? Niedowierzałam. Roman wszędzie, we Lwowie, w Wiedniu, nawet w Grybowie, ale w Warszawie? Nie słyszałam, żeby miał znajomości w kręgach tamtejszej palestry. Osobiście zajął się śledztwem w sprawie stosunków w ochronie? To byłoby przecieź dzieciństwo, żenujące podchody. Kto mi powiedział o tej Warszawie? Wszyscy z jego otoczenia. Czyli wiadomość albo spreparowana specjalnie dla mnie, albo... A ja? To jeszcze inna sprawa. Było mi źle. Powinnam była wyjechać do bliskich. Czy wydawało mi się jeszcze wtedy, że Roman jest bliższy? Było mi źle, powtarzam, ani tu, ani tam nie widziałam dla siebie miejsca, czekałam więc, i to nie dni, ale tygodnie - czekałam na dzień, kiedy będzie mi dobrze. Mój egoizm spiął się tutaj, to bardzo skomplikowane, z moją zbyt cienką skórą. Gdybym była choć trochę bardziej gruboskórna, plunęłabym na takie tam uczuciowe skrupuły, wsiadłabym w pociąg. No i wreszcie nadszedł moment, że mogłam to zrobić. Ale nie zdążyłam splunąć. Nie, bo... W dzień wcześniej umyślny przyniósł list od Romana, zapraszający, przeprasający, pełen czułości, cały w niezgrabnych, więc może nawet prawdziwych tłumaczeniach się. Umyślny czekał na odpowiedź. Odpisałam. Cóż miałam odpisać, że nie przyjdę? Że nie biorę pod uwagę dalszego ciągu?

Proszę mi wierzyć, w tym momencie przestałam myśleć o odzyskaniu listów, znikła mi sprzed oczu ta jego „pani mecenasowa”, to zresztą była plotka, o nim i o sobie myślałam znowu w kategoriach „my”. Wieczorem poszłam do niego i już zostałam.

- Czy to wtedy Roman Gala nazwał panią „piwnicznym kwiatem”?

- Gdyby wydarzenia inaczej się potoczyły, stałabym się pierwowzorem literackiej postaci. Roman Gala planował napisać powieść z „piwnicznym kwiatem” nawet w tytule. Jego to nawet w pewien sposób podniecało, że ja z moją działalnością, z siłą oddziaływania zawsze pozostaję w ukryciu. Ja i moja, powiedzmy, osobowość. Kwiat w piwnicy to niezwykła rzadkość, to oryginalność zestawienia żywej barwy z szarościami i stęchłymi czerniami otoczenia. Nie chodziło tylko o rolę dromaderki spełnianej dla tych, którzy potem bezapelacyjnie opuścili mnie w biedzie. Roman wiedział, że w drukowanej rozprawie społeczno-filozoficznej Stefana Korowskiego jest ogromny wkład mojej pracy.

- *Zniewolenie czy ulga. Traktat o granicach tolerancji moralnej*, napisał dr Stefan Korowski. Nakładem drukarni Napoleona Łani w Stanisławowie, rok wydania 1904. Hm, tak niedawno, a tak już...

- ...nieaktualne - dokończyła za przewodniczącego. - Brak jakiegokolwiek oddźwięku tej książki może służyć za przykład losów dzieł powstałych i upublicznionych tuż przed polityczną zawieruchą.

- Pani była pomysłodawczynią tej książki?

- Nie. Pomysł i praca teoretyczna męża. Ja zajęłam się ogólnym układem. Tak tę rzecz redagowałam, żeby stała się bardziej dostępna, atrakcyjna dla czytelnika. Zmieniałam proporcje, poprzestawiałam akcenty. Przepisywałam na maszynie, poprawiałam styl, adiustowałam, potem kilkakrotnie robiłam korektę odbitek szrotkowych i już w arkuszach. Mąż wtedy już nie miał do tego głowy. Kiedyś sam mnie wdrażał, on, kolega i współpracownik Katzenellenboga, Staffa... materiał myślowy był świetny, tekst jednak do gruntownej przeróbki... Której

mogła dokonać jedynie osoba trzeźwa. Do tej pory uważam jednak, że to, co robiłam, było moim obowiązkiem jako towarzyszką życia autora. Nie przyszłoby mi do głowy rościć sobie jakichkolwiek praw w związku z wkładem pracy. Tyle tylko, że opowiadałam o tym Gali, a on komuś powtórzył i tak to się rozniosło... niepotrzebnie. Potrafię być wytrwała; w zakładzie bakteriologii profesora Ernesta całymi tygodniami, nie wyłączając niedziel, pracowałam po szesnaście godzin na dobę, kiedy była potrzeba wytworzenia dużej ilości szczepionek. W szpitalu dziecięcym brałam dyżur za dyżurem w czasie epidemii szkarlatyny. Nie narzekam, nie opadam z sił, kiedy wiem, że praca ma sens.

- To, co mówi pani Korowska, często w istotnych szczegółach różni się od tego, co zeznawała w śledztwie.

- Proszę, aby sąd wziął pod uwagę fakt, że moja klientka przez sześć tygodni śledztwa w ogóle nie spała. Znajdowała się w stanie nieustannego i wciąż narastającego szoku. To były raczej majaczenia nerwowe, co wtedy mówiła i co protokołowano, każdy to przyzna. Kiedy podpisywała zeznania, była tak zmęczona, że podpisałaby nawet wyrok śmierci...

- W więzieniu chciała sobie życie odebrać! - wyraźnie dobiegł głos. Ale skąd? Czyżby z ławy przysięgłych?

Po przerwie, którą już po porannej rozprawie przedłużono oficjalnie o niemal godzinę ze względu na stan oskarżonej, zgromadzonym o drugiej po południu wciąż jeszcze przyszło czekać. Kiedy o pół do trzeciej wszyscy myśleli, że trzeba się będzie rozejść, weszła Korowska - ze zwykłą (bagnet, dozorczy-ni) obstawą, ale z tą obstawą już jakby nie na miejscu. Takie ogólne wrażenie spotęgowały dalsze czynności, składające się na obraz jasny i czysty. Anka usiadła na krześle. Skulona, spokojna, bez gestykulacji odpowiadała na pytania o ten ostatni dzień, tak, jej ostatni dzień życia (bo teraz uważa się za żywego trupa), zakończony gorącymi wydarzeniami czerwcowej nocy w chwili, którą teraz określa jako: ...Ciemność... Strzał... Koniec świata.

Tamtego popołudnia wyszła wreszcie z hotelu Astoria. Była u Chmury na kawie. Nie, nikt się nie przysiadł, ale znajomi pozdrawiali ją z daleka. Podjęła decyzję, zaraz pójdzie tam, na Sławkowską. On wzywa ją przecież i prosi. Było upalnie, potem noc już chłodniejsza, mogli spokojnie otworzyć okno, kiedy w piecu kuchennym palili listy.

- Rannego mecenasa Galę zastano tylko w krótkiej nocnej koszuli. Czy pani również była rozebrana?

- Rozżarzona płyta kuchennego pieca. Upał jak w środku sierpnia. Myślę, że tak. Tak. Byłam rozebrana.

- Czy była pani całkiem rozebrana?

- Gdy mu uwierzyłam zupełnie, byłam prawie nieprzytomna i nie wiem, czy się rozebrałam.

- Czy wtedy mógł panią ktoś rozebrać?

- Tak. Są takie momenty, kiedy nie panuję nad sobą, wyłącza się we mnie świadomość.

- Ale nie mówi pani o jakichś objawach chorobowych.

- Nie. Mówię o zapamiętaniu miłosnym.

- Była pani badana przez wybitnych specjalistów niedługo po wypadku. I tak obdukcja zmarłego Romana Gali, jak i badanie przeprowadzane na pani wykluczają odbycie stosunku płciowego tamtej nocy.

- Ja nie mówię o stosunku seksualnym. Mówię - powtarzam - o erotycznym zapamiętaniu. To, co przeżyłam wtedy, stało się na kilka dobrych kwadransów od rozpoczęcia palenia przeze mnie moich listów, które mi wręczał. Wyciągał je z takiej drewnianej szkatułki zakopiańskiej, ja w świetle ognia sprawdzałam treść. Te, które były dla mnie nieważne, wrzucałam w ogień. Początkowo drwił ze mnie, wypytywał, czy to i owo z nich użytkuję literacko, zwłaszcza wtedy, kiedy spostrzegłam brak wielu istotnych kartek. - Wszak i ja niektóre z tych listów paliłem - tłumaczył. Byłam prawie pewna, że to koniec tego rozdziału w moim życiu. Poczulałam nawet ślad ulgi. Cóż, wstrzymam się od komentarzy. W pewnym momencie zobaczyłam w ogniu rękę Gali. Ma dobry refleks. Miał. W ostatniej chwili wyciągnął moją fotografię z lekko nadpalonym

brzegiem. Wówczas oniemiałam z zachwytu, pozwoliłam, żeby mówił mi najlepsze słowa miłości, poczułam się jak wtedy, jak tamtej jesieni. Objął mnie, I uwierzyłam mu zupełnie.

Już nie miałam wątpliwości, że stanę przed sądem Ligi. Wcześniej dokładnie wszystko przemyślałam i doszłam do wniosku, że w sprawie Gala-Plemieński ani jedna strona nie zagrała uczciwie. Obaj panowie kręcili, każdy po swojemu. Tyle tylko, że jeśli sąd Ligi uznałby, że to Gala, a nie Plemieński, nie jest człowiekiem honoru, wówczas Gala przegrałby wszystko. Koniec z karierą adwokacką. Plemieński, cóż, pismak, nie miał do stracenia nic. Wiedziałam więc, że w sądzie Ligi odegram rolę, jaką mi Gala wyznaczył, i że uratuję mu życie. Ale przyszło mi do głowy - nie wiem dlaczego, pewnie coś takiego tkwi w naturze kobiecej - przyszło mi więc do głowy, żeby go znowu, po raz kolejny już, wypróbować.

- Wiedząc, że ma przed sobą, niemal u swoich stóp, człowieka z widmem zamknięcia kancelarii, złamania kariery, ta pani bawiła się jego, jego... - nie mógł dokończyć Włókniarowicz.

- Jego strachem - dopowiedział spokojnie adwokat Korowskiej. - Do tej pory uczuciami mojej klientki bawił się ten, któremu nagle przyszło się bać.

Delikatnym gestem dał znać, że czas kontynuować - i Anka, nie robiąc żadnego zbędnego ruchu, wciąż skulona, z dłońmi ściśniętymi kolanami, ciągnęła:

- Kiedy powiedział: „No to teraz przyjdzie człowiekowi zdechnąć jak psu”, jego słowa uważałam za jeszcze jedną formę nacisku na mnie, za dalszy ciąg gry, którą ze mną prowadził. Zresztą nie tylko ze mną. Bawił się ludźmi. Stwarzał takie sytuacje, żeby nawet bliskich poniżać. Bawił się, tak. I teraz; cóż mogłam o nim myśleć. Trzymał w rękach broń. Bawił się pistoletem, próbował usiąść, czy się położyć, zrobił jakiś gwałtowny, nieokreślony ruch... Strzela - krzesło - lampa - ciemno.

- Co pani wtedy zrobiła?

- Raczej poczułam. Jakiś młyn w głowie. Młyn. Usłyszałam moje własne słowa: „Jezus, Maria!”... ale proszę spróbować

zrozumieć, usłyszałam je tak, jakby to mówił ktoś inny. Dobiegały zza okna! Moje słowa, wypowiedziane moim głosem!

- Może pani jeszcze mówić?
- Tak.
- Dlaczego zwlekała pani z powiadomieniem pogotowia?
- Dzwoniłam do profesora Fiederera.
- Ale w kilka kwadransów po strzale.
- Telefon odebrał służący profesora. Musiałam nalegać, bo początkowo w ogóle nie chciał go budzić. Zanim to nastąpiło i profesor Fiederer podszedł do telefonu, musiał upłynąć z kwadrans. Ale to nie ma akurat znaczenia.
- Co nie ma znaczenia?
- Lampa się stłukła, kiedy Roman upadał, było ciemno, z kuchni przyniosłam inną, skromniejszą i mniejszą zapaloną lampę. Roman był przytomny, prosił, żebym usiadła przy nim. Rana na skroni wtedy jeszcze zdawała się powierzchowna. Mówił: „Widzisz, więc to nie błazeństwo”, i na jego prośbę usiadłam przy nim.
- A pies? Nie szczekał?
- Zdaje się, że raz szczeknął po strzale. Podszedł do nas. Mnie lizał po twarzy, Romanowi Gali lizał nogi.
- Dziwne.
- Tak?
- W takiej sytuacji pies broni pana. W takiej sytuacji... Rzuciłby się na panią...
- Rzuciłby się? Może. Gdybym to ja strzelała.

Niedziela, nie niedziela, sprawa musi się toczyć. Sala pełna. Słuchanie świadków na okoliczność psa Gali, *nomen omen*, Mruka. Czy ten, owszem, piękny, legawiec, potrafił przynajmniej aportować? Tak, buty przynosił.

Któryś ze świadków powtarza słowa z ostatnich tygodni życia Gali: „Ta cholera nie daje mi spokoju!”. Czy na sto procent pewne, że to określenie dotyczyło osoby pani Korowskiej? Aż na sto procent - to może nie.

Korowska - która, jak sama uważa, pozostała przy życiu

tylko zbiegiem przypadków - czuje się zrujnowana i nie może sobie darować rzuconego w tłum widzów retorycznego pytania:
- Kto zajmie się trupem chodzącym?

Zeznaje współgospodyni stancji, od niedawna zamężna córka szefa malarni teatralnej:

- Umysłowo jej odpowiadał Gala. To nie ulega wątpliwości. Pan Stefan, mąż w separacji, wiedział o tym, nie ukrywała. Ciężko mi o tym mówić, ale przy mnie powtarzał niejednokrotnie, że gotów jest zrzec się praw do dziecka za sumę sześciu tysięcy koron.

- A w przeciwnym razie? - zapytał prokurator.

- Była jakaś szansa powrotu do dawnego stanu. Oczywiście teoretycznie. Pan Stefan Korowski powiedział, że mógłby Ance, to znaczy żonie, przebaczyć stosunek z Romanem Galą, gdyby tylko następstw nie było.

- Jak to można rozumieć?

- Sama nie wiem. Takich wyjaśnień można by, myślę, oczekiwać od pana Korowskiego. On chyba wie najlepiej, co chciał powiedzieć.

- Dlaczego pani Korowska nie skorzystała z możliwości powrotu do Lwowa? Mąż zamierzał wybaczyć - zdaje się zresztą, że nie jest ona osobą, która by się chyliła przed gniewem mężczyzny - córeczka czekała, słowem, droga była otwarta.

- To na moją prośbę pani Korowska pozostała w Krakowie. Bardzo mi zależało, żeby jako oddana przyjaciółka była na moim ślubie.

- Z czego pani Korowska żyła, skoro małżonek postawił warunek, a gdy warunku nie spełniła - weto finansom?

- Wciąż pobierała stypendium.

- Jakie to były kwoty?

- Z tego, co mi wiadomo, wahały się od piętnastu do dwudziestu złotych reńskich miesięcznie.

- Za toaletę, w której mogłaby wystąpić na pani ślubie, trzeba było zapłacić na pewno o wiele więcej.

- Wspólnie przerabialiśmy starą garderobę. Teatralna

krawczydni nie wzięła grosza za pracę. Miała satysfakcję, sama również była na ślubie, obcałowała Ankę, mówiła, że wygląda jak księżniczka.

- Nikt nie wspominał przy pani, że panią Korowską utrzymuje jeden z wziętych krakowskich lekarzy, światowej sławy operator...

- Nic mi o tym do tej pory nie było wiadomo.

- Do tej pory? Znaczy, chciała pani powiedzieć, do chwili, kiedy zadałem to pytanie?

- Nie. Do czasu rozpoczęcia procesu. Słyszysz się plotki i insynuacje. Anka była wobec mnie otwarta.

- Może bywała otwarta?

Przewodniczący upomina mecenasa Włókniarowicza. Ten gestem przeprosza, prosi jednak jeszcze o głos, uzyskuje zgodę i pyta świadka:

- A świętej pamięci Roman Gala?

- Dajmy pokój.

- Proszę?

- Nie warto rozdrapywać.

17 stycznia. Lekarze poruszeni. Są pod wrażeniem wieści o śmierci błogosławionej pamięci Ady Hechtel, czternastoletniej wnuczki sławnego doktora Hirschberga, córki kolegi, chirurga, który w Krakowie długo leczył u Anki skutki skomplikowanego złamania obojczyka. (Parę tygodni temu zeznawał przesłuchiwany jako świadek; potwierdzał powagę następstw obrażeń pacjentki). Kto szedł dziś albo jechał do Sądów, musiał zatrzymać się - lub kazać zatrzymać fiakra - przed domem żałoby przy Grodzkiej. Na śnieżnobiałej klepsydrze czerniły się duże, tłuste litery nekrologu.

Piękna wdowa, postawna hrabina Potańska (mało już pono brakowało, a byłaby wdową dwukrotną), obraz samego zdrowia - toczzone kształty uwydatniające się, choć z pozorów sukniami skryte zalety figury - blondynka o brzoskwińowej cerze, z jasnozielonymi oczami w oprawie czarnych rzęs i cyrkiem natury wykrojonych brwi, opowiada, jak to po rozprawie Korowska-

Goldstock mecenas Gala przez trzy tygodnie był chory.

Znała go więc już wtedy bliżej? Ależ tak. Nie potrafi sprecyzować od kiedy. Życie! Ach, jak on był przywiązany do życia! Kiedyś, podczas wystawnego obiadu w towarzystwie hrabiny i jej matki zadławił się ością z sandacza. O, jak walczył z tą przeciwnością, robił z sobą, mimo że był w popłochu, jakieś manewry gimnastyczne. Najpierw przy stole, potem szybko oddalił się na stronę. Udało się, odżył, sam sobie pomógł. Potem dopiero lekarz, nazajutrz, żeby czegoś, broń Boże, nie zaniedbać. Był człowiekiem wielkiej subtelności; kiedy sam w sobie odnajdywał opór w postaci odrobiny fałszu choćby w małym z pozoru istotnym szczególe sprawy, której bronił, wówczas nerwy odmawiały mu posłuszeństwa. Ale nie na sali sądowej - tam był opanowany. Nerwy puszczały w domu. Nie miał zwyczaju, jak to robi wielu kolegów, wyładowywać emocji, topiąc je w alkoholu.

- Czyli co robił? - pytał przewodniczący.

Potańska milczała jak zamurowana.

- Zdarza się... - mruknął mecenas Vario (a mówił to trochę do siebie, trochę do Anki, ale tak, żeby dobrze go usłyszano z ławy przysięgłych) - ...zdarza się nieraz, że człowiek dużej kultury i ogłady rozładowuje napięcie, zrzucając je bez ładu i składu na najbliższych.

- Może nie aż tak! - nagle niemal krzyknęła Potańska. - Nie, nie! Dusił to w sobie; z tego brały się różne choroby organizmu. Przez wiele dni nie mógł mówić, szeptem najwyżej, głównie jednak gestem. Machał ręką, wydawał się załamany, był, co u niego nietypowe, obojętny. Twierdził, że podczas przemów nadwerżył struny głosowe, podrażnił sobie gardło. Jestem pewna, że to nie takie proste. Problemy natury psychicznej, skrupuły, wątpliwości powodowały organizmem.

Pytana, czy sądzi, że w czasie procesu Korowska-Goldstock nasiliły się skrupuły obrońcy i ich skutki były bardziej dojmujące niż przy okazji innych procesów, Potańska odpowiedziała z prostotą, że to była pierwsza sprawa, przy której uczestniczyła

jako bliska obserwatorka. Ta wiadomość wyjaśniła kwestię czasu trwania jej znajomości z Galą.

Zanim się okazało, że w dużej mierze niepoważne zeznania Potańskiej z powodu ich miałkości niewiele wniosą do sprawy, obrońca Anki w geście protestu zerwał z siebie togę i rzucił ją na stół, kiedy przewodniczący nie zareagował i nie spowodował cofnięcia pytania Włókniarowicza, zadanego Potańskiej nie *fair*. Pytanie było podstępnie naprowadzające, usiłujące wymusić odpowiedź niekorzystną dla oskarżonej, w dodatku nie dotyczyło obecnej sprawy. Vario niebawem, po bezbronnej odpowiedzi Potańskiej, założył na powrót togę i nie kryjąc śladu rozbawienia, zadał Potańskiej pytanie:

- Czy pani zauważyła, żeby mecenas Gala lekcewał kiedy panią Korowską?

- Ależ, wysoki sądzie, przeciwnie! Miał zawsze podziw dla jej rozumu i pewnej zdecydowanej konsekwencji działania. Dla jej siły, która zdawała się przewyższać psychiczną odporność mężczyzny.

- W tym stwierdzeniu - ni to zauważył, ni to spytał Vario - zdaje się mieścić i odrobina zazdrości.

- Może i tak było - podchwyciła natychmiast Potańska, patrząc przedmówcy w oczy głęboko, lecz z łagodnością. - Pan mecenas Gala był człowiekiem wybitnie delikatnym. Nad jego łóżkiem wisiał malowany olejno na blasze stary, zapewne osiemnastowieczny wizerunek Chrystusa, pod którym zawsze, dzień i noc, paliła się lampka. Dbał o to, by się knot nie wypalił. Miał do tego obrazka szczególny sentyment; znalazł go przy grobie swego ojca. Był obrócony licem do murawy, częściowo opierał się o nagrobek. Roman oczyścił wizerunek, ustawił go na grobie, żeby ktoś, kto go pozna jako własność, zabrał go na krzyż na grobie swojego bliskiego. Przez rok z górą nikt się nie zgłosił. Potem jeszcze pół roku. Mrozy, plucha. Roman stwierdził, że obrazek na grobie niszczeje, a jako że jest znakiem, powinien być u niego. To tak, jakby było w jego mieszkaniu tchnienie kochanego ojca.

- Czy nie sądzi pani, że to cokolwiek ekstrawaganckie

postępowanie?... Z tego, co nam wiadomo, Gala był, czy też miał się za czciciela Buddy. Trudno w jego postępkach, opisanym przez panią, dopatrzeć się specjalnej delikatności uczuć.

- Był wyjątkowo wręcz uczuciowy, a choć dbał o kulturę fizyczną, jeździł namiętnie na *ski*, reagował najdelikatniej, psychicznie był, proszę wierzyć, w kontraście do męskiej postury, mimożą. Pani Korowska, ku zaskoczeniu świętej pamięci Romana, kiedy on w kilka dni po tej wygranej sprawie z trudem dochodził do siebie, nie powstrzymała się od ciężkich wobec niego zarzutów.

- Jakiego rodzaju były to zarzuty?

- Że właściwie musiała bronić się sama.

- Czy zdaniem pani tak było w istocie?

- Świętej pamięci Roman ograniczył się do końcowego przemówienia, on ma, miał, Boże najświętszy, taki system. To znaczy, miał kilka systemów, inaczej mówiąc, kilka sposobów, schematów prowadzenia sprawy. Mówił, że czuje się jak, jak koń wyścigowy... że siły zostawia na finisz...

- Przepraszam - powiedział przewodniczący - ale to nie należy do sprawy.

Tę chwilę wykorzystał prokurator, pytając:

- Czy poza takimi okresami niezadowolenia z siebie, które wywoływały rozdrażnienie mecenasu Gali, widziała go pani w stanie, kiedy był bliski rozpaczki i załamania?

- Gdyby nawet, to do mnie należało łągodzenie podobnych stanów.

- Ale skłonności samobójczych nie przejawiał?

(W tym momencie mecenas Vario znowu szarpnął swą tokę).

- Noo, nie - odparła na pytanie Włókniarowicza.

- Doktor Adam Rydel w swojej najnowszej naukowej rozprawie z zakresu psychiatrii podaje przykład młodego pana Dobrowolskiego w Przemyślu, który prowadził tańce przez całą noc, bawił się dobrze, a nad ranem się zastrzelił - powiedział mecenas Vario.

Nie spała przez całą noc; jak w pierwszych tygodniach śledztwa. Już o dziewiątej rano, sprowadzona z celi do pokoju lekarzy, niecierpliwiła się: - Kiedy wreszcie pójdziemy na salę sądową?

Miało więc tym razem odbyć się planowo i punktualnie. O godzinie dziewiątej trzydzieści przewodniczący zarządził sprowadzenie Anny Korowskiej. Nie zjawiała się długo. Redaktor Enzon sobie tylko znanymi sposobami zmylił strażę i przedostał się między widownię a korytarze łączące Sądy z więzieniem. Notował na gorąco to, co mu z przejściem opowiadał jeden ze starszych woźnych:

„Przed szklanymi drzwiami Korowska zatrzymała się na chwilę, zbladła, zachwiała się, wyciągnęła ręce nad głowę, upadła twarzą na posadzkę”.

To, co napisał, odczytał szybko i wyraźnie woźnemu, ten z podziwem potwierdził zgodność ze swą opowieścią, a upewniony o zachowaniu dyskrecji, jako anonimowy informator oddalił się jak najszybciej z dziesięciokoronową monetą zaciśniętą w dłoni.

Dalszy ciąg wydarzenia redaktor Enzon sam przed paru minutami zobaczył. Lekki, gibki, nieduży, szarawy, mało widoczny, właśnie trafił na zamieszanie. Ci dozorczy, co szli za Anką, przekonawszy się, że wygląda to źle, chwycili nieprzytomną i ostrożnie ją przenieśli znów do pokoju lekarzy.

Wyszedł stamtąd po kwadransie doktor Kwiatkowski.

- Stan wyczerpania - orzekł cicho, ale wyraźnie.

Porozumiał się z urzędnikiem, który pośpieszył z wiadomością do przewodniczącego, szepnąwszy coś prokuratorowi, skupił wokół siebie skład sędziowski i niebawem oznajmił, że z powodu ciężkiej niedyspozycji oskarżonej rozprawę odacza się do jutra, do godziny dziewiątej rano.

- Wziąwszy pod uwagę sugestie lekarzy - mówił dalej przewodniczący - zezwalam na wniesienie od jutra łóżka na rozprawę.

Enzon o tym wiedział i nie omieszkał napisać (trzeba było jakoś ciekawie wykorzystać szpaltę zarezerwowaną na

sprawozdanie z dzisiejszego dnia w sądzie), że istniała dążność przyspieszenia rozprawy, żeby uniknąć odroczenia do następnej kadencji.

Nazajutrz o godzinie dziewiętej rano wniesiono głęboki trzcinowy fotel. Z pozoru mocniejsza, po zastrzyku morfiny (dozował i wstrzykiwał doktor Sienicki) w zwykłej asyście doszła do fotela o własnych siłach. Usadowiono ją w pozycji półleżącej. Oparta o poduszki wsłuchiwała się w zeznania właścicielki, lokatorki i stróżki, a także niewiast z kamienicy przy Wolskiej, w której z matką mieszkała Potańska i tam też starała się wynająć pokój Korowska - ale w końcu zrezygnowała. Dlaczego tak się stało? To potem.

Lecz już zeznaje właściciel kamienicy przy Sławkowskiej, w której rozegrał się dramat.

- Różne ładne panie - mówi z naciskiem ów Konstanty Łachecki - odwiedzały pana Romana Gałę codziennie po zamknięciu kancelarii.

- Codziennie?

- Wszak mówię, że codziennie.

- A pani Korowska ostatnio, w tamtym czasie...?

- Raz to na pewno pani Korowska po dziesiątej wieczór spacerowała po sieni. Świętej pamięci pan Gala miał klucz od bramy, on decydował, kogo ma przyjąć u siebie, to, prawda, oczywiste. Tymczasem mimo to stróż wpuszczał nieproszonych gości do niego. Tak było z panią Korowską. Na tym tle między mecenasem Gałą a moim stróżem doszło do nieporozumień i stało się to przykre do tego stopnia, że musiałem stróżowi wypowiedzieć miejsce. Przez kilka tygodni, kiedy szukałem odpowiedniego stróża, bramę o dziesiątej wieczór zamykała gospośka zaufanej lokatorki. Od niej dowiedziałem się, że pani Korowska wzięła się na sposób, przychodzi przed dziesiątą, prze-myka się przez sień do oficyny i tam od strony kucheni spaceruje po ganku w oczekiwaniu powrotu Gali. To było już wtedy, kiedy Gala odwiedzał panią Potańska i nieodmiennie wracał w nocy.

- Na fantazje nie ma rady. Lepiej jednak dla wszystkich, żeby one były snute w cichości. Ktoś musiał mieć zwiady - powiedziała Anka - w maju nigdy nie spacerowałam po ganku. Zresztą od połowy maja, o czym przedmówca zapomniał powiedzieć, został przez niego zatrudniony nowy stróż. Ten byłby nie tylko zauważył moją obecność, ale i musiałby właścicielowi zwrócić na to uwagę...

- Nie wspominałem - wtrącił właściciel kamienicy - bo to nie był dobry stróż. I z nim także rychło musiałem się rozstać. Co to za stróż, kiedy rano nie dał mi nawet znać o śmierci Gali i ja, jako właściciel, dowiedziałem się o wszystkim dopiero od osób trzecich!?

- A pan mieszka w swym domu. W tym samym - i w dodatku dokładnie nad lokalem zajmowanym przez mecenasa Gałę. Nic pan nie widział, nic nie słyszał?

- Nic a nic. Poszedłem spać o pół do pierwszej w nocy. Było cichutko.

- Rolety w oknach mieszkania Gali są automatyczne czy na sznurkach?

- Na sznurkach. Nic, nic nie słyszałem. W ostatnich tygodniach mecenas Gala żalił się wszakże: „Coja mam z temi babami, a szczególnie z tą czarną - Łachecki spojrział na Ankę - ustawicznie mnie nachodzi”.

Lekarz dyskretnie, choć już z narastającym niepokojem spogląda na Ankę, która tylko z pozoru przysypia. Obserwuje jednak spod półprzymkniętych powiek właśnie na tę samą co właściciel domu okoliczność przesłuchiwaną daleką krewną Gali, strojną młodą damę, panią Grajnert-Warcińską, która, co może wynikać z zeznań, kiedyś w maju nie opuszczała jego mieszkania dniem i nocą.

- Ta kobieta - mówi Grajnert-Warcińska - burzyła się, łomotała do drzwi, Roman zajrzał przez wizjer, nie chciał otworzyć. „Psiakrew, to znowu ta histeryczka”, powiedział do mnie wzburzony.

- Czy padło w wypowiedzi Romana Gali jakieś nazwisko wówczas?

- Nie, nie podawał nazwiska osoby, ale nietrudno mi się było domyślić.

- Domyślić się czego?

- Że chodzi o panią Korowską.

- Pani tylko się domyślała.

- Pan sędzia nie docenia intuicji kobiecej. Wydawało się, że potem będzie spokój. Była już szpera, po jedenastej w nocy, znów się rozległo pukanie i przez otwór na korespondencje wpadł do przedpokoju list. Roman przeczytał wiadomość, poinformował mnie, że ta tam go wzywa do wyjścia na chwilę rozmowy. Po raz pierwszy zobaczyłam, że komuś mogą tak dziwnie drzeć ręce. „Boisz się wyjść”, spytałam, a raczej stwierdziłam. Wydawało mi się, że Romanowi nagle posiniąły paznokcie. Sama odsunęłam zasuwę - w świetle z mieszkania Romana zobaczyłam tę czarną...

- Proszę uściślić - zażądał prokurator.

- No, tę kobietę z czarnymi włosami. Przechadzała się w tę i z powrotem po korytarzu. Natychmiast zamknęłam drzwi, Roman je zarygłował. „A niech ta cholera przesiedzi na schodach do czwartej rano”, powiedział.

- Potwierdzam słowa pani Grajnert-Warcińskiej - powiedziała natychmiast przesłuchiwana po niej Apolonia Berwald.

Sędzia spojrzął na tę kobietę, strojem, wiekiem i *emploi* nieznacznie tylko się różniącą od przedmówczyni i nie bez śladu zdziwienia zapytał:

- Czy panie tej samej nocy gościły u Romana Gali?

- Nie, ja przeżyłam identyczną sytuację innego wieczoru, innej majowej nocy.

- W tym miejscu znajdujemy potwierdzenie zeznania pana Łacheckiego - powiedział obrońca Anki. - Rozmaite panie każdego wieczora. - I zwracając się do pani Berwald: - Oczywiście bliższe lub dalsze krewne...

Ładna twarz Apolonii Berwald zalała się, wraz z szyją, rumieńcem koloru psującego się mięsa.

- Na podstawie opisywanych tu przed chwilą incydentów łatwo sobie wyrobić zdanie o wytworności stosunków towarzyskich

utrzymujących się pośród cywilizowanych osób między schodami, przedpokojem a sypialnią wziętego mecenasa - powiedziała Anka. - Tą wymienianą przez panie sympatyzujące z panem Romanem „czarną” na pewno nie byłam ja. - I dobitnie: - Mogę tylko podziwiać elegancję, z jaką się ze mną obchodził Gala w porównaniu z innymi kandydatkami...

Duże wrażenie na sali. Chwila rozluźnienia - ale nie pauza; czas goni. Miejsce dla świadków zajmuje mężczyzna około czterdziestki, postawny szatyn o czarnym zaroście, profesor Godnowski, znany konstruktor dróg i mostów, zaprzyjaźniony z oskarżoną. Poznali się tu, w Krakowie. Przypadli sobie do gustu, było im razem po prostu miło, a już jemu, jak bez oporów zeznaje, szczególnie. Lubiana w towarzystwie, gdy już na poważnie włączała się do dyskusji, z żarem broniła własnych, indywidualnych ideałów społecznych. Nie istniał dla niej ruch, który mogłaby zaakceptować bez choćby jednego „ale”. (Tu nie sposób nie wtrącić odczytanego przed kwadransem zeznania Stefana Korowskiego, który mówił, że „żona zwykle jest milcząca, ale jak już głos zabierze, to może doprowadzić człowieka do wściekłości”).

Po procesie Korowska-Goldstock Godnowski nieraz spotykał się z nią w kawiarni. Postanowił i przyrzekł jej, że sam się zatrzyma we Lwowie. Obiecał, że będą się oficjalnie widywać, żeby nie odczuwała pustki po Krakowie i żeby jej aklimatyzacja mogła przebiegać bez niepotrzebnych przeszkód. Lecz ona - choć wcześniej miała takie plany - ni stąd, ni zowąd stała się nieprzejednana, powtarzając wielokrotnie z uporem i z naciśkiem, że tu, a nie we Lwowie musi robić rygorozum. Nie starczyło jej cierpliwości? Nie mogła już się zatrzymać w biegu? Coś w każdym razie nie pozwoliło jej, jak jeszcze niedawno sensownie planowała, odczekać do czasu, „aż wysyczy się gniazdo os” - jak to sobie zamierzyła nazajutrz po odczytaniu wyroku... Po co były jej mocne słowa - bo chyba nie od parady i raczej nie sztuka dla sztuki.

- Pani Korowska - mówi Godnowski i jego sarnie oczy wilgotnieją - miała, wyraźnie dawało się to odczuć, specjalny cel

pozostania w Krakowie. Był w niej jakiś ból wtedy. Nieustający, nieznany mi nawet przed procesem, kiedy były istotne przyczyny, kiedy bywała łzona i opluwana. Wtedy zachowywała się dzielnie, była skłonna do intelektualnych zabaw, nie gardziła rozrywkami bardziej pospolitymi, jak taniec... a teraz nagle, po wygranym procesie... Co takiego mogło się stać? Nie jestem psychologiem. Wtedy, w maju, cóż, pocieszałem ją, jak tylko mogłem. Nie, nie miała nastroju do zabawy. Żal. W pani Korowskiej był żal.

- Czy ten żal objawiał się również i w jakichś konkretnych zachowaniach, gestach?

- Przyszedłem do jej pokoju hotelowego, zgodnie z umową, o szóstej po południu. Zdawała się nie pamiętać o spotkaniu. Coś w rodzaju transu? Nie, nie, była po prostu nieprzygotowana do wizyty.

- To znaczy, panie profesorze?

- Nieład, co u niej było rzadkością. Nieład i zaniedbanie. Spłakana, prosiła, żebym ten jej stan zachował w tajemnicy. Nie, nie, absolutnie trzeźwa! Ale... Zobowiązałem się zeznawać, w tym momencie przestaję się czuć dżentelmenem.

- Może pan i teraz odmówić składania zeznań - szybko poinformował prokurator.

- Ze spojrzenia pani Korowskiej wnoszę, że zostałem przez nią zwolniony z zachowania tajemnicy. Tak, to czas przeszedł. Inny czas, przebyty już etap. Teraz już można i widzę, że nawet trzeba. Tak. Prosiła wtedy o dyskrecję. Z kuferka wyrzuciła na stół listy. Kilka albo i kilkanaście zaadresowanych listów. Pisanych przez nią, przygotowanych do wysłania bądź dostarczenia. Może miały na tym stole pozostać? Nie byłem przygotowany na tak szokujące wrażenie. Koperty nie były zaklejone. Prosiła, żebym wyciągał i czytał te listy. Bardzo jej wtedy zależało, żebym to zrobił. Nie chciałem. Odmówiłem. Zgodziłem się jednak na jej prośbę, żebym jeden z tych listów oddał Romanowi Gali. Odebrałem ten list i zakleiliśmy go w obecności pani Korowskiej, która zwierzyła mi się, znów bliska płaczu, na pewno zrozpaczona, że o Gali nie przestaje myśleć.

- Jakie pan wtedy odniósł wrażenie?
- Źe ona, panie sędzio, planuje samobójstwo. Dlatego powiedziałem jej coś na dobranoc.
- Taak?
- Powiedziałem jej, że ma żyć. Obróciłem się ku drzwiom, chwyciłem za klamkę i dodałem: „Do jutra”.
- Uspokoił pan własne sumienie - powiedział Vario.
- Na bardzo krótko. Rzuciła mi bowiem prosto w twarz: „Wy, mężczyźni, wszyscy jesteście łajdakami!”. Odebrała mi kopertę z listem do Gali i no, nie powiem, że wypchnęła mnie za drzwi, ale te drzwi zdecydowanie zamknęła natychmiast po moim wyjściu. To taka bardzo niedobra sytuacja, a już na pewno...
- Odwiedził pan nazajutrz panią Korowską, prawda?
- Tak. Wyglądała strasznie. Miała prawie brązową twarz, z trudem się poruszała, cała potłuczona, ten nieszczęsny obojczyk... Tak, bolała ją od lat po wypadku, ale teraz otarcie i uderzenie spowodowało ranę. Wtedy to za jej zgodą zavezwałem do Astorii doktora Hechtla (ojca naszej biednej Ady), który zjawił się z asystentem. Leczyli ją wiadomymi sobie środkami i metodami, po tygodniu przyszła do siebie, niebawem nastąpiła wyraźna odmiana samopoczucia: to tak jakby ktoś wpompował w nią ożywczą prężność.
- Tak, to nieco potem - zauważył prokurator. - A co było, kiedy pan ją odwiedził po tej, jak się sądzi, próbie samobójstwa, oficjalnie określanej jako nieszczęśliwy upadek z krzesła?
- Miała zapadłą twarz. Zbrązowiała. Szyję, nie zapomnę, wręcz czarną. No, tak bardzo głęboki fiolet. „Czy pan zadowolony?” - przywitała mnie, gdy przyszedłem. Przypomniałem jej, że ma męża i dziecko.
- Czy pani...- zaczął przewodniczący.
- Mogę tylko potwierdzić prawdziwość słów pana profesora Godnowskiego, jeżeli o to sądowni chodzi. Dodam, że w tym bardzo niedobrym dla mnie czasie ulgę mi sprawiały otwarte przestrzenie, dużo miejsca, bez innych ludzi. Ja sama i wokół niekończący się step... Jedyne takie miejsce w Krakowie to

Błonia, iluzja stepu zwłaszcza późnym wieczorem. Często chodziłam tam, kiedy już było całkiem ciemno, z moim rewolwerem. Kiedyś, w pierwszych dniach czerwca, kiedy dni wreszcie stały się gorące, noc pośród traw dodatkowo łagodziła skutki miejskiej spiekoty. Była północ. Tak, w czerwcu na Błoniach i nad Rudawą najpiękniej. Wydarzyło się coś, co samą mnie zaskoczyło tamtej nocy. To stało się zaraz po tym, jak z Wawelu przebrzmiały dzwony, a wciąż jeszcze echo dwunastu uderzeń katedralnego zegara wirowało w powietrzu. Ja rękę z rewolwerem trzymałam w kieszeni i trochę spacerowałam, więcej stałam wsłuchana w siebie, wreszcie usiadłam na pieńku, wpatrzone w ledwo majaczący widnokrag. Nagle zaczął mnie jakiś obszarpaniec. Jeśli powiem, że od kilku minut wyczuwałam węchem jego obecność, wysoki sąd wyrobi sobie zdanie, z jak strasznie zaniedbanym włóczęgą przyszłoby mi się tam zmierzyć, gdyby okazał się agresywny. Ten stwierdził, oznajmił, a właściwie zaczął mnie, bo był sam, no więc zwracając się najwidoczniej do mnie, zagadnął: „Ej, tam, siedzi jakaś kobieta!”. Odrzekłam: „Nie, człowiek!”. Podszedł bliżej, usiadł naprzeciw mnie na trawie, czapkę sobie podłożył. Przyszło mi do głowy, żeby mu opowiedzieć o swojej sytuacji. Ale opowiedzieć nie wprost. Niech się dzieje, co chce, pomyślałam, mogłabym chwycić pióro, opisać, ale komu to potrzebne? To wszystko jest w aktach i w drukach. No jest - ale zrobione tak, żeby pogodzić interesy urzędów, czytelników i publiki. A ja chciałam, potrzebowałam inaczej. Może także nie na sto procent zgodnie z prawdą, ale bardziej po ludzku. Nie, ani przez chwilę nie myślałam o wypróbowaniu swoich możliwości kreacji, a raczej możliwości twórczych. Dopiero niedawno, podczas pobytu w więzieniu, przyszło mi to do głowy, zastanawiałam się. Ale do rzeczy; więc Błonia, noc, dwoje ludzi. On cuchnął, nie jadł od kilku dni, od kilku lat się nie kąpał, a ja pachniałam *Eau de Cologne N° 4711*, miałam modnie skrojoną suknię i świeżutką bieliznę. Stękał i mruczał w miarę tworzenia się strasznej opowieści z moich początkowo luźnych wynurzeń. Nie, nie opowiadałam szczegółów, nie podawałam nazwisk, nie wspomniałam

nawet, że to chodzi o mnie. Coś nagle mu się musiało otworzyć. Zrozumiał. Jak to się stało, nie wiem. Złapał się za głowę, wstał, schylił się po czapkę i wziął nogi za pas, a odchodząc, powtarzał: „Pani biedniejsza ode mnie”.

- Nie opowiadała mu pani o swoich problemach, o czymże więc tak sugestywnie pani mówiła, żeby wręcz wyprowadzić z równowagi tego całkiem obcego człowieka?

- Mówiłam... panie sędzio. Nie wiem. Pamiętam, że płynnie, bez przerw i zająknięć. Widocznie niezbędny mi był człowiek, który wysłucha.

- Czy można wziąć pod uwagę, że odchodził spiesźnie, bo się czegoś u pani przeląkł? - zapytał prokurator.

- Nie rozumiem.

- Groźba w głosie. Wspomniała pani o rewolwerze w kieszeni.

- Ach, to! Nie, to nedorzecznosc. Broń to broń. Kobieta sama bez broni w nocy, człowiek bez broni i bez bliskiego człowieka w nocy? Broń, biała broń czy palna, niezbędna w takich okolicznościach. Jak buty, żeby nie poranić stóp, żeby nie zmarznąć, żeby się nie pobrudzić. Nie dałam poznać, że mam broń, byłam i wydaje mi się, że jestem rozsądna - co jednak dzieje się ze mną poza granicą uniesień, tego niestety nie wiem. Powiedzmy, że improwizowałam. Ważna stała się aura, myślę, że także dźwięk głosu, kadencja wypowiedzanych zdań, porównania nie bez odrobiny poezji. Ale mogę zaręczyć, nie było w tym szaleństwa.

- I nie było szaleństwa parę tygodni wcześniej, kiedy się pani odgrażała znajomym, że podczas demonstracji 1 Maja zastrzelili pani Trybuna?

- Nie wiem, o czym teraz mówi do mnie pan prokurator.

- Proszę wezwać na świadka profesora Godnowskiego - rzekł wtedy Włókniarowicz, a ponieważ świadek był właśnie do dyspozycji i sędzia wyraził zgodę, mógł od razu zeznawać.

- Nie widzę związku - powiedział Godnowski.

- Jakże to? Przecież pan profesor sam mówił...

- Ja nic takiego nie powiedziałem. Ani inni świadkowie, z tego, co mi wiadomo, a proces śledzę dokładnie. Przytaczałem tylko przechwałkę mecenasa Gali, której byłem świadkiem jako uczestnik prywatnej rozmowy przy kawiarnianym stoliku. Jak sąd wie, oprócz pana Gali, pani Korowskiej i mnie uczestniczyły w spotkaniu jeszcze dwie osoby, których zeznania pokrywają się jak dotąd z moimi. Otóż mecenas Gala był tak pewny siebie, tak zadowolony z wygranego - choć nie do końca - procesu Korowska kontra Goldstock, że przy nas, zwracając się do pani Anny, powiedział: „Może pani nawet strzelić w łeb Trybunowi, a ja i tak panią obronię!”. To, jeśli mi wolno komentować, powiedziane w obecności osób trzech, było wobec pani Korowskiej i roli, którą on, Gala, w sprawie spełniał, z jego strony bardzo nie *fair*.

- Czy pani Korowska zareagowała?

- Powiedziała, że czegoś, co zdaje się jej podsuwać mecenas, nie zrobiłaby, ponieważ uczucie zemsty jest jej obce.

Nim zarządzono przerwę, pytany profesor zeznał również, że według jego wiedzy, Gala nie bronił bezinteresownie; za proces dostał w sumie 550 koron. Oprócz tego konsekwentnie i coraz bardziej skutecznie ścigał Goldstocka za koszty.

Ewentualną zgodę na stawienie się Korowskiej i świadczenie na korzyść Gali przed sądem Ligi Ochrony Czcii w sprawie Gala-Plemieński pytany profesor uważałby za skutek nacisków Gali, a więc wymuszania, na pewno zaś nie za inicjatywę Korowskiej lub też jej wspólnie z małżonkiem.

Profesor Godnowski nie potrafiłby wskazać ani jednej osoby z kręgu wspólnych znajomych i przyjaciół, która, pytana na okoliczność kontaktów z Anną Korowską, mogłaby się o niej wyrażać negatywnie, chować do niej urazę lub wskutek jakichś wrażeń wyrobić sobie o tak uroczej pani pejoratywną opinię.

- Była bardzo lubiana, wręcz pożądana; gdy tylko zjawiała się w towarzystwie, zaraz pryskała nuda - ale bez udziału szczebiotu czy niewczesnych żartów. Wchodziła w dyskusje, potrafiła oryginalnie postawić problem, sprawnie zaznaczyć

to, że swadą zarysować sytuacją... Nie, nie, zaręczam, że nie jest to mój osobisty wyłącznie pogląd, wynikły - co zdaje mi się próbować sugerować mecenas Włókniarowicz - z zaangażowania uczuciowego, bo coś takiego nie miało miejsca, ani także z zauroczenia natury erotycznej. Przyjaźń to jest przyjaźń - proszę się tutaj nie śmiać - bez względu na sprawy płci. Wyższa forma przyjaźni, więź ludzka, coś, co pozwoli przetrwać nam, inteligencji, nie da się porwać chamstwu czy hucpie!

Przywołany przez przewodniczącego do trzymania się głównej kwestii, Godnowski potrzebował dłuższej chwili i doprawdy musiała upłynąć cała niemal kompromitująca, niczym w każdym razie niezakłócona minuta milczenia, zanim zabrał on głos w sprawie konkretów.

- Cięń podejrzania - zaczął tym samym uroczystym tonem, który mu przed minutą zburzono - wiadomo, co taki cięń oznacza: nikt do końca nic nie wie i nie będzie już wiedział na pewno. Od czasu, gdy padł na nią cięń podejrzania, pani Korowska sama się odsunęła od towarzystwa, nie bywała, spotykała się z przyjaciółmi tylko w prywatnych domach lub przyjmowała u siebie. Przygasła. A raczej inaczej powiem, dogasała. Potem to dramatyczne wydarzenie w hotelowym numerze.

- Właśnie tu nam brakuje faktów. Czy to mogła być próba targnięcia się na...

- Nie, nie, nie, nikt nic nie wie, wypadek - przerwał szybko sędziemu przewodniczącemu, a także zastępcy prawnemu rodziny Gali, również wszystkim oczekującym w napięciu w tej wielkiej a wypchanej do imentu, podburzonej sali przysięgłych, wypełniającej się coraz cięższym powietrzem. - Huk. Jaki huk! - mówił dysząc. - Służba wpadła do pokoju i zastała ją leżącą na podłodze. Przygniecioną tym mosiądzem, oplataną drutem elektrycznym, bez przytomności. Motyw? E, panowie, raczej przyczyna! Kobieta sam na sam w czterech ścianach. Spadła z krzesła, chciała, kto to może wiedzieć, pewnie tak było, chciała mianowicie sprawdzić, czy żarówka może niedokręcona, bo światło migąło, co każdego irytuje, o! Cały żyrandol spadł na

panią Korowską, musiał także, lub mógł, porazić ją prąd elektryczny, stąd siność, szernienie twarzy i szyi. Nie wiem. Nie wypytywałem o szczegóły, nie było potrzeby. Mogę natomiast z całą pewnością stwierdzić, że po tym wypadku w Astorii pani Korowska bardzo się zmieniła. Uspokajała się z dnia na dzień, powiem więcej, z godziny na godzinę wzmocniała się jakoś psychicznie. Rodzaj prężności; stan, w jakim znajduje się człowiek, który osiągnął pewność, że stać go na dokonanie czegoś doniosłego. Zbierała się, pakowała rzeczy; o, może coś takiego - sama sobie wewnętrznie wydawała dyspozycje.

- A to rzeczywiście ciekawe! Same dobre rzeczy, pozytywne. No! Kobieta, która nie myśli się mścić! - Mecenas Włókniarowicz wychylił się zza stołu i wyglądał jak ktoś, kto nie bacząc na niski parapet, wychyla się przez okno na drugim piętrze, żeby sprawdzić, co dzieje się na podwórzu. - Nic nie mówiła o swym, jak by to pan profesor ujął, prześladowcy?

- Nie, o Romanie Gali już nie mówiła.

- O czym, czy można wiedzieć, mówiła?

- Mówiła, że chce zamieszkać w Żółkwi, o spokojnym życiu, o dziecku...

- O dziecku... Hm, a dlaczego to w Żółkwi?

- Mąż jej ma tam posiadłość.

- Więc jednak mąż? - wtrącił prokurator.

- Proszę?

- Mąż.

- Tak.

- Pan Stefan Korowski?

- Ten sam.

- Czy ja się przesłyszałem, czy mi się tylko wydawało, iż słyszę, że w sercu i planach oskarżonej nie było już wtedy miejsca dla tego męża?

- Powiem coś, co sprawi, że nawet sam do siebie będę odczuwał niesmak, a jeśli nawet nie, to długo będę miał do siebie pretensje. Muszę jednak to zrobić i na zadane pytanie odpowiem panu prokuratorowi słowami z dramatu lekarza, mistrza

psychologii, wielkiego pisarza Antoniego Czechowa. Oto te słowa: „Żona to żona”.

- Żona to żona?

- W pani Annie Korowskiej jest więcej pewnego rodzaju siły niż w niejednym mężczyźnie. Z pozoru wprawdzie arcykobieta... ale to właśnie ona, ona i mało która kobieta na tej ziemi, mogłaby o swoim towarzyszku życia jeżeli nie powiedzieć, to na pewno pomyśleć: „Mąż to mąż”!

- Masz ci! Tego jeszcze nie było!

- Ale jest!

Anka przesłała Godnowskiemu najdelikatniejszy uśmiech, którego nie zauważyłby Włókniarowicz, nawet gdyby patrzył przez lornetkę.

Poza tym od zakazanych tu lornetek teatralnych, skrywanych przecież w damskich rączkach i łapskach, aż świeciło z galerii.

Z tego, co się zdołał dowiedzieć Max Bruno Boeck, dyżurny reporter „Neue Freie Presse”, Korowska podczas przerwy ani na chwilę nie wróciła do celi. Zrezygnowała z obiadu, nie chciała nawet pić. Lekarze kazali jej leżeć, badali puls, mierzyli temperaturę, *ad oculos* i z pomocą zręcznych ruchów palców kontrolowali zmiany w obrębie powierzchownych obrażeń, istniała bowiem obawa szoku organizmu w następstwie gołym okiem może nawet niewidocznych urazów - skutku wczorajszego upadku. Ona sama - wyraźnie podekscytowana - snadź nie myślała o zdrowiu; obawiała się dalszego ciągu procesu. Reszta dnia w sali przysięgłych zapowiadała się tyleż bogato (i dla widzów ciekawie), ile dla oskarżonej, nie da się ukryć, ciężko. Podany jej przez lekarzy proszek (*strophantis*) popiła dwoma łykami wody.

Przyjechał Stefan Korowski, pan i władca, słabeusz. O, jest. Zdecydował się mówić. Jak przytył!

Obok krok w krok jej towarzyszącej Majanki, w tym białym czepku i fioletowej bluzce, Anka sunie o własnych siłach. Przygotowała to wejście: zawinięta w gęsty wełniany czarny szal z ledwo widocznymi pasmami w kolorze głębokiego szmaragdu,

gdy tylko usiadła, zaraz wtuliła się w poduszki wyplatanego fotela i już wiadomo: do końca rozprawy nie zmieni pozycji. Od trzech dni tak jest. Spod okrycia wylaniają się jej włosy, bardziej czarne niż wszelka inna czerń w tym pomieszczeniu; w białej, żółtawej twarzy rzucają srebrne błyski białka oczu o otoczonych gęstymi rzęsami tęczęwkach koloru dojrzalego laskowego orzecha.

Na razie przyszło jej wysłuchiwać wynurzeń przedostatniego koncypianta Gali, owego pana Fellaniego, który, określając się jako przyjaciel nieboszczyka, przedstawia go, owszem, oryginalnie.

- Powaga życia męczyła Romana, człowieka z natury wesołego. Nie przeszkadzało mu to jednak wydać w roku 1908 dyspozycji w razie swej śmierci.

- Rok 1908 to właśnie czas romansu z oskarżoną, czy tak?

- Rok 1908, zgadza się, owszem. Z tego, co mogę powiedzieć na pewno, ten stosunek miłosny nawiązał się przed pierwszym lipca. A w listopadzie tegoż roku Roman Gala miał już wzmiankowanego stosunku dość.

- Czy to wtedy w kancelarii mecenasa Gali miało miejsce gremialne podsłuchiwanie dla żartów wynurzeń pani Korowskiej, telefonującej do niego ze Lwowa?

- Tak. Śmiał się w mankiet, każdemu z nas podsuwał mikrofon, szeptał na stronie: „Ona gada jak młyn!”. Takiej sytuacji nie da się zapomnieć.

- Takiej, to znaczy jakiej? - zapytał mecenas Vario. - Kabaretowej?

- Roman Gala miał zmysł komizmu.

- Ten zmysł dotyczył także cudzych względnie swego autorstwa żartów z własnej osoby?

- Nie. Bywał na swoim punkcie wyjątkowo drażliwy.

- Szczupły, konstytucja nerwowca.

- Owszem. W ostatnim dniu procesu Korowska-Goldstock dostał takiej chrypki, że wprost nie mógł wydobyć głosu.

- Jest więc coś z prawdy w twierdzeniu, że pani Korowska raczej wybroniła się sama?

- O tym, jeśli można, może za chwilę powiem, bardzo proszę. A teraz dokończę. Przy najmniejszym katarze kładł się do łóżka. Tak, odchorował tamtą sprawę. Łóżko chyba przez dwa tygodnie. „Głos to mój skarb”, mawiał.

- W przypadku obrońcy karnego to oczywiste - powiedział Vario. - Czy Roman Gala bał się śmierci?

- Nie żeby się bał śmierci - to nie tak: raczej, powiedziałbym, szanował zdrowie.

- Tyle kobiet w jego życiu... czy tego rodzaju swoboda i to na dłuższą metę nie szkodzi zdrowiu?

- W przypadku Romana Gali było przeciwnie: wiedział, że to dla niego najlepszy sposób wyładowania stresów. Miał w sobie coś z artysty, czuł się niedocenionym dramaturgiem, niezauważonym poetą, niespełnionym aktorem. Jako wzięty adwokat, miał środki i możliwości rekompensaty innych niewykorzystanych możliwości życiowych, szanse zużytkowania potencji. Więc cóż, naturalnie, korzystał... korzystał - ciekawy innych ludzi, innych światów, owszem, może jak mało kto żądny rozkoszy. Ale stronił od zbytnich wygód, śmieszył go przepych. Z innych zwyczajów: nie znosił pierza i poduszek; sypiał najchętniej na kanapie. Pod głowę podkładał sobie małą skórzaną poduszeczkę.

- Człowiek taki jak on musi mieć wrogów. Poza tym złodzieje potrafią wywęszyć banknoty i kruszec, zapewne więc do niego przecierali sobie szlaki. Ale on, jak wynika z zeznań, gdy był w mieszkaniu, czuł się do tego stopnia bezpieczny, że często zapominał zamknąć drzwi wejściowe na klucz.

- Zawsze nosił przy sobie broń.

- Zawsze?

- Tak. W zależności od pory, okoliczności i miejsca były to albo rewolwer, albo sztylet, albo szpicruta. Wysportowany, obroniłby się bez trudu nawet w ciemnościach, w nieznanych miejscach, przypuszczam. W mieszkaniu miał liczne rewolwery; zasiedziały, może nie pedantyczny, ale wyjątkowo wręcz wierny własnym przyzwyczajeniom, wiedział, gdzie który z nich leży.

- Bać się więc nie musiał.

- On chyba brzydził się lękiem. Było w nim coś, co cechuje, moim zdaniem, ludzi dużego formatu. Przy mnie, przy mnie to było. Krzyknąłem, żeby uważał, myślałem, że będzie strzelał, że popędzi za złodziejem, który wszedł bezszelestnie, przez nikogo niezauważony, i w biały dzień szperał w jego komodzie, a na mój krzyk uciekał przez pokoje, z nożem w ręku. Mecenas Gala patrzył tylko za nim, zbirkiem uciekającym ze zwitkiem banknotów, miał go przez chwilę na muszce. Rzucił pistolet na biurko, machnął ręką lekceważąco. Nie telefonował na policję. Dał spokój. To była dla niego codzienność, cena, jaką się płaci za aktywne, powiedziałbym, uczestnictwo w życiu. Kiedyś po powrocie z miasta zastał sypialnię splądrowaną. Tak tylko powierzchownie. Bez prób maskowania śladów przez nieznanego sprawcę. Zniknęło trochę bibelotów. Wtedy zgłosił ten fakt policji, zadowolony nawet, że wieści o jego zamożności i powodzeniu zwabiają złodziei. Za swoim ekstrawaganckim ojcem hołdował przesądowi, że złodziej przynosi szczęście okradzionemu. Nazajutrz dał mi do przeczytania informację o włamaniu w „Kronikach” trzech gazet krakowskich. Jak się cieszył, kiedy mu w poniedziałek rano przyniosłem niedzielną bulwarową prasę wiedeńską, gdzie rzecz, jak należy, rozdmuchano... Był podniecony. Nie bał się takich rzeczy. Bał się innych.

- Jakich?

- Bał się rozprawy z Plemieńskim przed sądem Ligi.

- Więc jednak?

- Bał się panicznie. Ja nie potrafię nawet starać się sobie wytłumaczyć źródeł tego lęku.

- Jak się zdaje, i czego się można było domyślać - przypomniał prokurator - sprawa została bowiem rozpoznana przez Wysokie Prezydium jako niezbyt poważna, konsekwencje nie rysowały się groźnie...

- Roman Gala, niepomny na takie uspokajające wieści, które przecież mu przynosiliśmy, trwał w swoim lęku. Czyżby wiedział o czymś, o czym nie wiedzieli inni? Lękał się, że powie

za dużo? Bogiem a prawdą, na tym etapie sprawy honorowej jakiegokolwiek poświadczenia ze strony pani Korowskiej były zbędne. Nie pojmuję, dlaczego do ostatniego tchnienia błagał panią Korowską, żeby poszła zeznawać na jego korzyść przed sądem Ligi.

- Czy świadek nie uważa - zapytał nagle mecenas Vario - że ktoś, coś, powiedzmy jakieś czynniki należały na Romana Gałę, żeby nakłonił Annę Korowską, była klientką, głośną bohaterkę wiadomego procesu, do złożenia fałszywych zeznań? Zeznania te byłyby łatwe do obalenia, Gali nic takiego by się nie stało, bo sprawa, jak mówię, była błaha i już cokolwiek zwietrzała, za to Korowską zniesławiono by jako osobę, która wprowadza niedobry ferment, niewiarygodną, podejrzaną, właśnie ona by wyszła na człowieka bez czci. Gdyby nie udało mu się namówić Korowskiej do wystąpienia w jego sprawie przed sądem Ligi, wówczas dopiero by mu się dobrali do skóry...

- Kto, panie mecenasie?

- A, to już zupełnie inna sprawa. W świetle wypowiedzi pańskiej wychodzi na jaw, że Roman Gala był szantażowany.

- Ale...

- Właśnie, ale! Ale nie przez panią Korowską. A nawet, rzec by można, wręcz przeciwnie.

Nagle Godnowski, który od kilku chwil czekał na zabranie głosu, na znak przewodniczącego powiedział dobitnie:

- Szantażujący szantażuje, ponieważ jest szantażowany, a jednocześnie przypadkową uczestniczkę wydłużającej się gry szantażystów utwierdza w przekonaniu, że to od niej będzie zależeć jego los. Wszelkimi siłami usiłuje ją wysłać na front, żeby jego wyciągnęła z ognia walki, w rzeczywistości tym sposobem wrzuci ją tam do rozszarpania przez szrapnele.

Pytana przez sąd, czy oryginalną interpretację profesora uważa za trafną, tkwiąc wciąż w bezruchu, zawinięta w ten ciemny szal, powiedziała wyraźnie, że na razie wolałaby się powstrzymać od komentarzy.

- Czy już zetknęła się pani z podobnymi rewelacjami, z jakimi

wystąpił tu pan Godnowski, lub czy była przy pani omawiana podobnie pani ewentualna rola w procesie przed sądem Ligi Ochrony Czcii? - naciskał przewodniczący.

- Nie - odparła, wpatrzona w puste od momentu odejścia Godnowskiego miejsce dla świadków, które właśnie wypełniło się ściśle i barwnie figurą jej męża. Ten zerkał na nią kilkakrotnie, rzucał podstępnie spojrzenia, żeby sprawdzić, czy ona w rzeczywistości nie patrzy na niego, czy tylko udaje. Rozbawił ją trochę, jak zwykle. Rozśmieszyła ją teraz myśl, że miałyby dalej i do końca żyć z tym rumianym zdybem.

Zeznawał równo, gładko. Przed dwunastu laty poznał się z nią, przyszłą żoną, od razu ocenił ją słusznie jako kobietę inteligentną. Owszem, pomagała mu w jego pracach stricte filozoficznych, także w publicystycznych, skłaniała go do wyższych lotów: pisarskich. Nie dość że doskonała edytorka jego prac, to jeszcze w dodatku czuła partnerka przygód intelektualnych, odcytana, żadna wiedzy o szczegółach istotnych ruchów społecznych w Europie, ciekawa wieści zza oceanu, wykazywała się rzadką u kobiet orientacją w tych sprawach. Co nie przeszkadzało jej mieć własne zdanie. Tego zdania broniła, jak lwica broni małych. - Trzeba było wyjść z pokoju, żeby nie zwariować, no, i tak się zdarzało - zakończył myśl i rozejrzał się za czymś, co mogło, co może wręcz powinno być w zasięgu jego ręki... ale tego nie znalazł.

Oświadczenie Stefana Korowskiego, że to on skierował żonę na studia medyczne mimo jej woli, wywołało konsternację. Jak to, dotąd niemal wszyscy byli przekonani, że w osobie oskarżonej mają kobietę nowoczesną, przebojową, dzielną, która, nie zważając na niesprzyjające okoliczności, sama parła do wiedzy, zdobywając piękny zawód i szlify sufrażystki.

Spoglądano w jej stronę. Nie zamierzała przerywać. Najwioczniej fakty podawane przez tego krępego, dużego pana o wypielegnowanej twarzy nie mijały się z prawdą. Gestykulował białymi dłońmi o okrągłych palcach, otłuszczonymi, nawykłymi do trzymania widelca, kieliszka, filiżanki, niekiedy nawet pióra. Perorował już ze śladami emocji:

- Taż ja wybór trafny zrobiłem. Żona nie i nie, filozofię ona studiować chciała, a najlepiej w Genewie. No, już cię tam przeobrają, myślałem, nic z tego. Co kraj, to kraj. I człowiek blisko, i w Galicji jakieś stosunki wyrabiane przez pokolenia. A wiesz co, mówię, Anko, medycynę studiować będziesz. Ona pyta, a z jakiej racji. Ja na to: krwi się nie boisz, toż jak ja się skaleczę, nie patrzę, tylko biegnę do ciebie jak dziecko, a ty już wiesz, jak opatrzeć. No i co ja jej będę mówił, to się wiedziało: jest czuła na ludzką krzywdę jak mało kto w naszej sferze. A choroba czyjaś to nie krzywda? Właśnie. Już tam jakaś kobieta lekarz przetarła drogę na Uniwersytecie Jagiellońskim (poza tym w Paryżu ta inna Polka lekarz, panna Schultz, potem okaże się, histeryczka), moją Ankę przyjęto - trochę mi było dziwnie, że wybrała chirurgię, a nie ginekologię czy pediatrię, ale jak mówię, niestraszna jej była krew. Ja skierowałem, Anka wybrała i co niebawem? A! Profesorowie szybko docenili jej wielkie bez przesady zdolności. Wnikliwość w zgłębianiu wiedzy, celność stawianych diagnoz, zręczność wreszcie. A małżeństwo nasze...
- Napił się wody. - Małżeństwo nasze nie było szczęśliwe - głównie z powodu indywidualności żony.

- Indywidualność jako cecha osobnicza to jeszcze nie powód...

- Panie sędzio, żona była o mnie zazdrosna!

- Zazdrość, tak sama przez się...

- Ależ panie mecenasie, Anka uważała, że skoro ją wziąłem, skorom ją wziął za żonę, to tylko do niej muszę należeć. W towarzystwie sama nie krępowała się zawierać znajomości zbliżone do sympatyj, ona mogła flirtować do woli - ja w żadnym wypadku. Co jest? - myślałem, ja mężczyzna, głowa domu, no, starszy od tej dziewczynki... prawie dziewczynką jeszcze była, gdy ją poznałem, w znaczeniu, w znaczeniu fizycznym, bo intelektualnie toż to, panie, ho, ho!

- Nie odnosił pan wrażenia, że żona pragnie właśnie górować nad panem intelektualnie?

- „Pragnie górować” a „góruje” to nie to samo, panie prokuratorze. A czy ja to się nie znam na żartach?

- Żona w pewnym momencie mogła się poczuć przez pana lekceważona.

- A gdyby nawet. Od czego rozmowa w ciszy sypialni?

- Czy aż do orzeczenia separacji odbywały się między państwem takie rozmowy?

- Coraz rzadziej, wysoki sędzie. Ale i sposobności brak... i było źle, coraz gorzej. Oddalony - żona w Krakowie, ja we Lwowie - cóż, trzeba mi było wrócić do nawyków kawalerskich. No więc do nich wróciłem. Czula to, słyszała o tym i o tamtym, im lepszą miałem pensję, tym gorszą sobie wyrabiałem reputację. Aż któregoś dnia powiedziała przez telefon: „Dosyć!”

- Na jej nalegania sam starał się pan o przeniesienie i je wkrótce uzyskał. Limanowa bliżej Krakowa.

- Bliżej, lecz gorzej. No tak. Nie tylko ja uważałem to przeniesienie za szczebel w dół w mojej karierze, dlatego wetowałem to sobie. Życie jest krótkie, w tej sytuacji odmawiać sobie tego, na co mnie stać, byłoby idiotyzmem. Anachoretą nie jestem. Musiałem sobie także powetować oziębienie stosunków z żoną, spowodowane rozłąką. Do Limanowej trudniej jej było przyjechać niż do Lwowa. Choć o ile to bliżej, to przecież prowincja, wszystko tam nieatrakcyjne dla niej. Skończyłem z filozofią, z ideałami, zdeklarowałem się jako sybaryta.

- Czy bywało tak, że żona skłaniała pana do czegoś, a gdy do tego dochodziło, gdy to stawało się faktem, ona odwracała się, niezainteresowana, znudzona?

- A tak! Miała, czego chciała, miała to w garści (w tym wypadku miała mnie w garści). Dobrze jest! Obracała się na pięcie jak rozkapryszone dziecko. W ostatnim okresie terroryzowała mnie słowami: „Albo separacja, albo to zrobisz!”

- Co?

- No to albo tamto. To, co sobie umyśliła. *Sapienti sat.*

- Zrozumiałe, doktorze Korowski. Proszę dalej.

- Przyszedł wreszcie moment, że gdy jakoś tak w okolicach Wszystkich Świętych odwiedziła mnie w Limanowej, wreszcie

odparłem ten jej terror słowami: „Dobrze. Niech będzie separacja!”.

- Czy pani Korowska zlekceważyła to ostrzeżenie?
- To już nie było ostrzeżenie, to stwierdzenie faktu. Słowo to słowo, jak już z moich ust padnie, to koniec, ja się nie wycofuję.

- Pan powiedział: „Więc separacja!”.
- Tak. Żona mnie zna. Powiedziałem i szlus!
- Tak...?
- Tarzała się po ziemi, całowała moje buty. Jakież to żalodne. Poszedłem precz, w pola, zmierzchało już, wróciłem nad ranem. Miałem nadzieję, że jej już nie zastanę. Była. Była w sypialni, zupełnie rozebrana. Jak o ostatnią łaskę prosiła mnie, błagała, bym dał jej dziecko.

Anka nagle zerwała się (przed nią błysnęło górą ostrze bagnetu strażnika, dołem biały czepek Majanki, która nie wiedzieć czemu potknęła się i upadła). Z ramionami wyrzuconymi szeroko w bok, Anka wyswobodziła się z szala (w ten szal wplątała się wstająca z klęczek Majanka).

- Stefanie! - wykrzyknęła - ja teraz zacznę mówić! I powiem wszystko!

Ten nagle wrzasnął: - Toż ja tylko dlatego narażam siebie i moją żonę na obrzydliwe pranie brudów przed publicznością, że pan, panie przewodniczący, śmiał kilka dni temu podczas rozprawy... pan śmiał... - rozkaszał się i kończył wstrząsany dreszczem - ...tak, tak, miał pan czelność zadać mojej żonie pytanie, kto jest ojcem jej żyjącego dziecka! Po to się tutaj zjawilem, dlatego nie zostałem w kręgu widzów tylko, żeby wobec wszystkich rzucić panu przewodniczącemu w twarz: niech pana Bóg ciężko za to skarże!

Strażnicy w okamgnieniu wyprowadzili Korowskiego.

Przewodniczący uchylił się od ironicznego spojrzenia prokuratora, zamienił kilka słów z sędziami i z adwokatem Korowskiej - na moment obrócił głowę i szybko twarz wytarł chustką, ale zaraz jego oblicze znowu błysnęło, a spocone w jednej chwili włosy zwinęły się w niezborne jakieś kosmyki na skroni -

powiedział wreszcie, próbując opanować drżenie głosu:

- Z wcześniejszych przesłuchań pana Korowskiego - fakty te zresztą i małżonka potwierdza - jasno wynika, że po orzeczeniu separacji i rozstaniu się małżonków pan Korowski nic nie wiedział o odmiennym stanie żony. Do tego stopnia, że aż do chwili urodzenia się dziecka nie miał wiadomości o ciąży!

Czyż można było wobec tego nie zadać takiego pytania, jakie zadałem? Pan Korowski dał nowo narodzonej dziewczynce swoje nazwisko, bo z prawnego punktu widzenia nie było innego wyjścia.

Korowski wrócił po pięciu minutach w towarzystwie agenta policyjnego. Anka zobaczyła to! W ułamku sekundy poznała, że pił - że się napił przed chwilą, może w prewecie, ukradkiem, z tej swojej nieodstępnej piersiówki - i opadła bezwładnie na fotel. Majanka próbowała jakoś udrapować jej szal, ale wszystko zsuwało się z jej ciała... Z wychudłego ciała więźniarki.

- Zasądzam od doktora Stefana Korowskiego 100 koron grzywny za obrazę sądu. Wracam do sprawy - powiedział przewodniczący. Spojrzał na ukaranego z odrazą i jednocześnie smutno, odchrząknął i wytłumaczył: - Moje pytanie zadane pani Korowskiej: „kto jest ojcem dziecka” ma również inne źródło. Oto podczas rozprawy w procesie Korowska-Goldstock mąż właśnie, a nie kto inny, zeznał, że Anna Korowska, cytując: „kochala się w profesorach uniwersytetu i robiła sceny miłosne”.

- A! To niedobra interpretacja - zachnął się Korowski. - Gdym to mówił, miałem na myśli jej egzaltację. Jak tylko mogła, objawiała, że jest inteligentna i sympatyczna.

- Objawiała?

- Ja, jako mąż, jako domowy, najlepiej wiedziałem, że grubo przesadza z wyrażaniem pozytywnych uczuć.

- Ależ nikt cywilizowany i rozsądny nie idzie na salony w domowych bamboszach - zauważył mecenas Vario. - Zdaje się jednak, że odbiegamy od głównego tematu.

- Plunę w oczy i uderzę w twarz! - wstając, krzyknął Korowski, powstrzymany silnym uchwytem twardych dłoni czujnego agenta. - Taki mam zwyczaj, jak mi kto powie co i nie udowodni!

- Pan tutaj jakąś kłutwę usiłował rzucać - powiedział sędzia.

- Stało się, no i jest skutek: portfel chudszy. A co do separacji - była ona raczej demonstracją.

- Demonstracją czego? Kompletnego *désintéressement* ze strony męża i ojca? Przez rok córeczka była przy pani Korowskiej - powiedział Vario. - Młoda matka studiowała, pracowała w szpitalu, sama zajmowała się dzieckiem. Postawa, przyzna pan, heroiczna.

- Żyliśmy w biedzie - ja jako praktykant conceptowy... Ja, Ankę, przynajmniej pragnąłem wykierować. To nie było tak, proszę sądu, żeby nic a nic. W tym czasie napisałem do żony trzy tysiące listów!

- Ile?

- Trzy tysiące.

- To po trzy, cztery dziennie?

- Tak. Przeważnie wysyłałem je w nocy lub o świcie w jednej kopercie. Musiałem się wypisać, zwłaszcza gdy byłem w złym usposobieniu, kiedy mnie starosta wykrzyczał...

- Trzy tysiące listów. Czemuż to starosta tak pana doktora musztrował?

- No cóż, człowiek nie jest doskonały.

- Mówi pan o panu staroście?

- Nie, o sobie. Jestem raczej naturą refleksyjną, praca biurowa to nie moje powołanie; nie zawsze na czas przygotowywałem papiery, a co gorsza, nie wiem, co to jest, przekręcałem na piśmie nazwiska stron... - Nie zwracał uwagi na narastające z obu stron chichoty, rozłożył ręce i powiedział: - To jest tak, prawda. Zaginął zegarek, zegarek się nie odnalazł, nikogo także nie złapano za rękę; zniknięcie zegarka pozostało faktem. Oraz powszechnie powtarzane pytanie na widok osoby kiedyś wmieszanej w sprawę: czy to ona ukradła zegarek, czy to jej ukradli?!

O! To plon podejrzeń właśnie. Z powodu tego podejrzenia, co za pech, prawda!? jestem usunięty z posady i żyjemy teraz już nie w biedzie, lecz w nędzy.

Nazajutrz czwartek, 20 stycznia. Doktor Naftowicz wstrzykuje Ance kofeinę. Sala nigdy dotąd nie była aż tak przepelniona. Ludzie stoją na ławkach. Powodzenie ma ta sprawa, można powiedzieć. Zwłaszcza po wczorajszych rewelacjach męża oskarżonej, który zmroził wszystkich przywołaniem swoich słów skierowanych do niej niebawem przed tragedią na Sławkowskiej: „Twoja śmierć, Anko, bez śmierci Romana Gali, nie będzie dla mnie żadnym zadośćuczynieniem!”.

Rozeszła się wieść po mieście, że sądzą kobietę, która nie wiadomo, czy kogoś zabiła, wiadomo natomiast, że ofiarowała mężowi swoją śmierć.

Lecz oto właśnie mówi ów mąż, Korowski, że z jego planami głównymi, dotyczącymi odzyskania własnego honoru, nie kolidował rozwój wydarzeń, którego był głównym architektem.

- Myśmy wciąż byli w rękach Gali. Zaofiarowaliśmy się w końcu wobec niego, że moja żona pójdzie jeszcze raz do redaktora Plemieńskiego i uprosi go, żeby przyjął przeprosiny mecenasa Gali.

- Trzeba było redaktora specjalnie prosić?

- Plemieński zrobiłby łaskę Gali, gdyby jego przeproszenie przyjął.

- Bardzo ciekawe rzeczy pan opowiada. I co na to mecenas Gala?

- Absolutnie nie zgodził się na takie wyjście.

- Bał się tej sprawy przed sądem Ligi, ale jednocześnie nie chciał z niej zrezygnować? A może nie mógł?

- Ja także zacząłem obawiać się najgorszego.

- Prowokacji?

- Pan powiedział, panie sędzio. Wyglądało na to, że Roman Gala jest w o wiele większych opałach, niżby się mogło wydawać. Pełen obaw, że Anka wręcz narzuca mu się jako ofiara,

tak jak narzucała się socjalistom, po raz ostatni próbowałem ją wyrwać ze szponów drapieżcy. Uważam, że były to te same szpony, co w prowokacji „Marszu”. Próbowałem ją wyrwać - wtedy zostałyby dla nich wyłącznie Gala na rozszarpanie. Taki ruch sobie zamierzyłem. Wszystko oczywiście w granicach hipotezy, no ale trzeba było myśleć i próbować działać, przede wszystkim schronić się i nie stać w czas burzy pod wysokim drzewem. Panowie już wiedzą, z tą kobietą ktoś taki jak ja wygrać nie może. Opierała się, rzecz jasna, skutecznie w końcu. I głupio. Wyjechałem do Lwowa niespokojny. Rozchorowałem się.

- Można wiedzieć, co panu było?

- Poczucie niemocy. Z tego biorą się różne dolegliwości. Rozsadza człowieka niemożność zareagowania. Kiedy byłem na miejscu z żoną, o, to co innego. Jakoś tak tydzień przed moim wyjazdem siedzieliśmy w hotelu Astoria przy kawie i lodach truskawkowych. Ja, żona i mecenas Gala. No i co - jakżebym miał nie wychwycić tego spojrzenia, które mu w pewnej chwili rzuciła...

- Jakiego spojrzenia?

- A, dużo by mówić. Gdybym panu sędziemu powiedział, że jasnozielonego z brązowych oczu, toby mnie pan sędzia wziął za wariata albo za geniusza, może za grafomana po prostu. Powiedzmy więc, że to spojrzenie podczas oblizywania lodów było nie-sto-so-wne!... Tak, ale ja wtedy tam byłem i mogłem zaprotestować. Żeby mnie nie rozsadziło, bez podania powodu wyszedłem z mojego i żony pokoju.

- Zostawił pan w pokoju swoje lody?

- Tak.

- Ja nie ratuję pozorów, ja duszę ludzką ratuję! - krzyknęła nagle Anka. - Ja nie chcę, żeby mówiono, że cię okłamywałam!

- A to nie były pozory, kiedy matce mojej, matce naszej, przysięgałaś na zdrowie córeczki, że wyjeżdżasz do Krakowa tylko po to, żeby się uczyć?

- Przecież po to byłam w Krakowie. I musiałam potem tam

jechać, żeby ukończyć studia, zdać rygorozum, i uzyskać tytuł doktora potrzebny mi do rozpoczęcia praktyki lekarskiej. To nie były pozory. Kiedy siedziałam we Lwowie, to przecie nie z zamiarem utknięcia tam na zawsze. Wciąż byłam w biegu. Oddaliła się tylko meta. We Lwowie, jak już wspomniałam, musiałam poczekać, aż się w Krakowie wysyczy gniazdo zmij.

- Prawda jest taka, że żona uciekała ode mnie.

Żachnęła się i rzuciła mu ostre spojrzenie.

- Mój system nerwowy wytrzyma kilkanaście godzin pracy dzień w dzień bez odpoczynku, ale nie wytrzyma stałych kłótni i poniżania.

- Ta kwestia wydaje się na razie wyczerpana - przerwał przewodniczący. - Tu mamy konkrety dotyczące głównego nurtu naszych dociekań. Może na trop motywów, genezy tragicznych wydarzeń, naprowadzą nas zeznania świadka, pana Tyzińskiego, który to, jako powinowaty zmarłego tragicznie mecenasa, zeznał, że stryj oraz brat Romana Gali popełnili samobójstwo, a ojciec jego był ekscentryczny.

- To jeszcze o niczym nie świadczy - wykrzyknął prokurator. - Wszak znany jest nam z ostatnich miesięcy przypadek poważanego dyrektora zakładu wodoleczniczego w Truskawcu, który odebrał sobie życie po wysłaniu telegramu do żony, że przyjeżdża.

- Szkoła epikurejska - wtrącił na to mecenas Vario - szkoła epikurejska mówi, że odbierają sobie życie weseli ludzie, nie odbierają go sobie ludzie poważni!

- Gala defraudant! - krzyknął nagle Stefan Korowski, a gdy otoczyła go cisza sali, jak przed burzą w pustym polu, sprostował: - Nie defraudant, nie, nie, nie! Chciałem powiedzieć: lekomyślny. Poza tym, tego już nikt nie zaprzeczy, Gala często z moją żoną rozmawiał o samobójstwie. Proszę sobie wyobrazić, doszło do tego, że kiedyś wreszcie musiałem zapytać żonę, gdy mi się zwierzała z zażyłości z Romanem Galą: „Co to za miłość, Anko, co mówi o śmierci?”

Na zakończenie mecenas Vario odczytał zeznanie ciotecznej siostry zabitego adwokata, pani Lass-Gorec, z którego wynikało,

że Roman Gala cierpiał na epilepsję i że usiłował już kiedyś odebrać sobie życie.

Po przerwie poruszenie: puste jest miejsce przeznaczone dla świadków. Miał przecież dalej zeznawać Stefan Korowski. Powszechnie spodziewano się jeżeli nawet nie rewelacji, to na pewno ujawnionych żywiołowo ciekawostek z pożycia tego dziwnego małżeństwa.

Coś niecoś wyjaśniało wystąpienie przewodniczącego. Mówił, a na jego szlachetnej twarzy błąkał się po raz pierwszy od rozpoczęcia rozpraw wyraz niepewności:

- Nabój dziś znaleziono w poczekalni dla świadków. Wiadzą ponadto, że ktoś komuś podawał rewolwer. Przypuszczamy, że zaistniała tu próba wywierania presji na świadków. Zrobimy wszystko, żeby nie dopuścić do kolejnych objawów terroru - mam przekonanie, że do precedensu w naszym sądzie nie dojdzie.

Anka siedziała nieruchomo. Czarne włosy, twarz już nie żółtawa. Biała. Nie tym rodzajem bieli, który następuje u chorego lub zszokowanego człowieka po odpłynięciu krwi; w ogóle nie u człowieka. Oto Anka wydawała się postacią z obrazu, z nieukończonego portretu, na którym malarz tak długo zastanawiał się nad kolorem karnacji twarzy modelki, że odszedł sobie na zawsze od sztalug, pozostawiwszy zamknięte owalem gęstwy czarnych włosów białą zagruntowane płótno, na którym zaznaczył kształt nosa, ust - a z maestrią i realistycznie namalował oczy. Ciemne, ocienione, z niepowtarzalnym błyskiem roztopionego srebra, wkomponowane w ten prawie nieruszony pędzlem owal, znakomicie z nim kontrastujące, porażały siłą sugestii.

Stawała się inna, kiedy w pobliżu nie było męża.

Mecenas Varo przeczytał list kuzyna Romana Gali, radcy Mathiasa ze Lwowa, z którego treści wynikało, że Gala już wcześniej dwa razy strzelał do siebie i raz się dotkliwie ranił. Podczas podróży w okolicach Zagrzebia kilkakrotnie doznawał ataków epilepsji. Był w związku z tym pacjentem tamtejszej

lecznicy prywatnej. Szczegóły może osobiście rozwinąć radca Mathias, który w razie potrzeby zobowiązuje się przyjechać do Krakowa.

- Na razie nie ma takiej potrzeby - powiedział przewodniczący - pismo radcy jest dokumentem wiarygodnym. Pan mecenas ma jeszcze jakiś list, zdaje się, ważny.

- Dosłownie przed chwilą odebrałem list ze Lwowa od pani Anieli Galowej, nauczycielki, wdowy po Romanie Gali. Zawiera on przede wszystkim informacje o zerwaniu stosunków męża z redaktorem Plemieńskim, spowodowanym nieporozumieniami na tle pieniężnym i ambicjonalnym. Plemieński, który wcześniej sam namawiał Galę do współpracy dziennikarskiej, od czasu, gdy Gala zwrócił mu uwagę, że postępuje nieuczciwie wobec pana Władysława Jeziorczyka i nic sobie nie robi z jego weksłów, zamawiał wprawdzie u Gali kolejne artykuły, lecz zwlekał z ich drukiem w swojej gazecie. Wskutek tego dużo wyteżonej pracy męża poszło na marne, bo jego gotowe teksty nie dość że przestały się ukazywać, to za poprzednie, wydrukowane, mimo nalegań nie doczekał się honorariów. Pani Galowej więc ta sprawa wydawała się jasna - niejasne natomiast są dla niej i na zdrowy rozum pozbawione realnych motywów podnoszone przez innych świadków lęki mecenasa Gali w obliczu perspektywy stawienia się przed sądem „Ligi ku Obronie Czcii”.

Oskarżona zemdląła, ocucono ją wprawdzie na sali, ale lekarze nie zgodzili się na jej dalszy udział w rozprawie. Wobec tego przewodniczący, dziś z niemożliwym do ukrycia wyrazem zniecierpliwienia, odetchnąwszy, ogłosił zakończenie popołudniowej sesji.

Całą noc nie spała; cierpiała jakieś fizyczne bóle, których nie zamierzała konkretyzować. (Widząc grymas cierpienia na twarzy więźniarki - do której ku własnemu zdziwieniu bardzo się przywiązała - Majanka oczywiście pobiegła zaraz po doktora Kwiatkowskiego). Doktor coś tam wstępnie zastrzyknął; pacjentka była tak poruszona, że nawet nie dopytywała się co to.

Tętno wracało do normy. Nagłe dreszcze, zimny pot, znów jakieś tajemnicze bóle. - No tak, gorączka - powiedziała ze złością, oglądając termometr. Trzymała go w palcach, obracała nim w tę i z powrotem, sprawdzając refleksy na szkle, jakby termometr widziała po raz pierwszy w życiu.

Nad ranem wypytywała co chwila, czy już dotarł kapelan więzienny. Gdy przyszedł, jeszcze pachnący mrozem, z kubkiem gorącej kawy (najpierw zapytał, czyby się nie napiła, taka wyczerpana, ale gdy odmówiła stanowczo, sam siorbnął kilkakrotnie po ćwierć łyżka), nie bacząc na obecnych, zaczęła się przed nim spowiadać.

Gdy wypowiedziała pierwsze słowa formułki, doktor, wycofując się z celi, pociągnął za sobą Majankę, szepcząc:

- Służba, ech, wiem, że służba, nie bać się, nikt stąd nie ucieknie, no, no, dobra kobieto, na moją odpowiedzialność.

I tak przecież dozorca pod bronią stał przed celą.

Kapelan wyszedł - wyraźnie poruszony. Wcześniej nie miał tak zaczerwienionych oczu. Spojrzał na wyczekujących przed celą i oczy nagle mu się zrobiły wypukłe. Śpieszył dokądś.

- Jeszcze proszę nie wchodzić do celi - wymamrotał. Popatrzyli po sobie z niemym pytaniem: „Już po spowiedzi? to chwila wystarczyła? A może to trwało dłużej?”. Zresztą, czasu nikt tutaj nie liczył. Po chwili kapelan już wracał z komunią świętą.

Przyjmowanie komunii trwało o wiele dłużej niż spowiedź. Kapelan, do żywego wzburzony i zaniepokojony, wyszedłszy, parł wprost na doktora, rozejrzał się; szepnął mu kilka słów i odszedł do swoich obowiązków. Doktor nakazał Majance pomóc chorej aresztantce w toalecie („bo w tej sytuacji sama się nie ruszy, nie wiem, czy dziś się uda dostarczyć ją na rozprawę, spróbujemy, myślę, że dla jej dobra, żeby się sprawa nie przedłużyła do następnej kadencji”), a sam poszedł do pokoju lekarzy.

- Musimy tę kobietę postawić na nogi! - powiedział.
- Którego to dzisiaj mamy? - zapytał stary doktor Witzki.
- Dwudziestego drugiego stycznia - odrzekł.
- Wczoraj w takim razie podaliśmy chorej *strophantis*, morfina wobec tego musiała być przedwczoraj.

Doktor Kwiatkowski, zaczerwieniony nagle, wyciągnął notatnik, sprawdził i odetchnąwszy, zauważył z podziwem:

- Pan doktor to ma fenomenalną pamięć.

- E tam, kolego, ja się trzęsę, żebyśmy z tej wspaniałej kobiety nie zrobili uzależnionego truchła...

Kwiatkowski popatrzył uważnie.

Witzki uśmiechnął się, pochwycił wzrok młodszego kolegi, utkwiał swoje jasnobrzazowe oczy w jego niebieskich i powiedział:

- Nawet mi się już śniła. Co więcej, powiem w tajemnicy: po raz drugi, he, he, he! Ma siłę przyciągania. Wiem coś o tym, wszak byłem kobieciarzem, poza tym to i owo się o niej słyszało. Z opowieści znajomych wychodziła mi płytsza. A ona jest, kolego, człowiekiem. Materiałem na lekarza humanistę. Nie wolno nam jej zmarnować. Pan myśli: co Witzkiemu zależy na życiu jakiejś baby, on ma osiemdziesiąt, a może i sto lat, i powinien myśleć już tylko o zbawieniu swojej duszy. No dobrze, skoro tak - to, drogi kolego, moja dusza nie będzie zbawiona, jeśli ja swoją nieuwagą przywiodę tę damę na skraj przepaści, uczynię z niej, żywej i jeszcze wypełnionej sokami, trzęsący się łąchman. To co, dzisiaj podamy pani Korowskiej kofeinę i arsykodyl!?

- Ależ pan doktor trafił! A ja zachodziłem w głowę, co by tu... mało brakowało, a bym znowu zastrzyknął morfinę. Cholera, człowiek już jak automat. Chylę czoło. Znakomicie, tak, tak, już przygotowuję.

Odczytano zeznanie rektora Loefflera, przewodniczącego Ligi Ochrony Czcii, który prowadził czynności rozstrzygające o personalnym obowiązku dostarczenia dowodu prawdy. W przeciwieństwie do głosów większości świadków, lekceważących rolę tego procesu, rektor Loeffler, jako niezrównany ekspert, stwierdził, że sprawa Gali była poważna, że w razie niepomyślnego dlań przebiegu wziętemu krakowskiemu adwokatowi groziła infamia - i jeszcze jedno: oto Gała znacznie pogorszył swoją sytuację, a nawet wręcz bardzo źle zrobił, wplątując Korowskich w podejrzone interwencje.

Głos sławnego uczonego z niepodważalnym autorytetem poprzewracał skrzętnie ustawione drogowskazy. Sprawa znów pociemniała, wiele wątków wróciło do punktu wyjścia. Czas naglił. Głos zabrał obrońca oskarżonej:

- Czy dążenie jakiejś grupy nacisku do doprowadzenia Gali przed sąd Ligi nie było prowokacją? Czy nie chodziło o to, żeby zniszczyć adwokata, który przed sądem cywilnym obronił cześć Korowskiej posądzonej o niktzemność przez kręgi socjalistów?

- Nie zdołali zniszczyć go w ten sposób, to znaleźli inny, niszcząc przy okazji rozmyślnie mnie. Przecież przez prawie cały czas trwania procesu broniłam się sama. Żałuję, że nie zrobiłam tego sprawniej, nie miałam doświadczenia, przedtem w ogóle w żadnym charakterze nie byłam w sądzie. Mimo to starałam się i Roman Gala był zadowolony ze mnie jako z samodzielnej obrończyni. Już wtedy świeciła mi myśl, że może on się obawia, może go szantażują, przecież nawet odgrażał się, że złoży obronę, byłam zaniepokojona, kiedy po kolejnych wystąpieniach, a przed następnymi, w ciszy kancelarii wieczorami wytykał mi moje liczne błędy, wciąż popełniane nieścisłości. Miałam pretensje, że mnie w najważniejszych momentach opuszcza, a nawet co gorsza wypuszcza! Odpowiedział mi wtedy, czego nie zapomnę: „Ja, jak koń wyścigowy, zachowuję siły na koniec, żeby się nie wyczerpać”.

- Tak, mowę końcową miał świetną - powiedział mecenas Vario. - Przekonał przysięgłych mądrością, błyskotliwością. Wszystko to dało fuzję siły sugestii. Tak, o tym koniu wyścigowym wspominała w liście pani Galowa, wdowa po mecenasie. Sposób, metoda, zawodowstwo. Także zaangażowanie i talent. O jego metodzie wiedzieli wszyscy koledzy, mogli ją także stosować. Nie każdemu jednak jest dane. My teraz mamy szansę oddać sprawiedliwość zmarłemu jako znakomitemu zawodowcowi. Stać nas na to, żeby ten pozytywny kawałek wykroić na chwałę. Ale koszta - jako człowiek ponosił koszta. Przecież nie wolno nam zapominać, że mówca sprawę odchorował. Zaraz po procesie położył się do łóżka.

- Gardło - przypomniał przewodniczący. - Słyszeliśmy, przemawiając, zdarł gardło.

- Tu w grę wchodziły także sprawy sumienia - dodał z naciskiem prokurator.

- Nie wiem, co mój przedmówca miał na myśli - powiedział Vario. I zwrócił się do prokuratora: - Jeżeli raczył pan poruszyć kwestię świadomości wywierania nacisku na Galę przez pewną potężną grupę w następstwie zdecydowanej tej grupy kompromitacji w wyniku wygranej przez Galę i jego klientkę procesu oraz ogłoszenia werdyktu o odzyskaniu przez Korowską czci w najważniejszych tytułach prasowych tej części Europy, to ubolewając nad niezbyt szczęśliwym i słabo przystającym do sytuacji określeniem „sprawy sumienia”, solidaryzuję się z jego poglądem wynikającym ze spostrzeżenia o dyskomforcie psychicznym mecenasa Gali. O dyskomforcie, w którym dziś, w świetle późniejszych tragicznych wydarzeń, byłbym skłonny dopatrzeć się nawet i pewnych elementów lęku.

Prokurator milczał, próbując, być może, rozwikłać sens wypowiedzi mecenasa Vario.

Mecenas Włókniarowicz zrobił jakiś gest niecierpliwy (czyżby maskował pogardliwe machnięcie ręką?) i natychmiast zadał pytanie zupełnie na to nieprzygotowanej Ance:

- Dlaczego oskarżona od razu po wygranym procesie nie wyjechała?

- Nie było takiej potrzeby.

- Choćby po to, żeby z bliskimi podzielić się radością.

- Trudno tu mówić o radości. Po tym, co przeżyłam, i ze świadomością dalszych ruchów ze strony Goldstocka... Tak, zamierzałam wyjechać, na jakiś czas opuścić Kraków, ale mecenas Gala...

- Więc to świętej pamięci Roman Gala oskarżoną powstrzymał?

- Ależ wykluczone! W każdym razie nie bezpośrednio.

- Sekretarka mecenasa Gali, panna Janicka, zeznała, że oskarżona zwierzała jej się, że kiedy widzi Romana Galę na ulicy, to, cytując „jakby ją co rzuciło”.

- Dlaczego mecenas Włókniarowicz mówi nieprawdę? - zapytał Vario.

- Ja protestuję! - krzyknął Włókniarowicz.

- Proszę nie protestować pochopnie - powiedział mecenas Vario. - Panna Janicka nie mogła zeznać, że oskarżona mówiła to czy tamto... Z prostego względu: w czasie jej zeznań pani Korowska była wciąż jeszcze podejrzana, a nie oskarżona.

- Ach, gra słów, niezbyt ważne, ale mecenas Vario ma rację - ostatnie słowa przewodniczący niemal wyszeptał. Ale przysięgli, którzy dobrze przed chwilą nadstawili uszu, usłyszeli.

- Mam tu jeszcze istotne zeznanie świadka - powiedział prokurator. - Otóż panna Janicka zeznała, że oskarżona... że Korowska... że pani Korowska w rozmowie z nią groziła, że niestalego w uczuciach Romana Galę zabije. „Gdy jej zwróciłam uwagę na okrucieństwo, jakie przez nią przemawia, i przedstawiłam konsekwencję zbrodniczego czynu, pani Korowska odpowiedziała lekko: «Już kilku mężczyzn zabiłam, a nic mi się za to nie stało»„.

- Nieprawda! - krzyknęła Anka.

- A jednak tu... - i Włókniarowicz wskazał na akta.

- W tych papierach - powiedział Vario - które pan mecenas raczy obecnie opukiwać knykciami palców, są także i takie zeznania panny Janickiej, z których jasno wynika, że ona sama, pracująca w jego kancelarii przez dziesięć lat sześć razy w tygodniu od dziewiątej rano do piątej po południu bez przerwy, sama postanowiła zaliczyć się do grona tych szczęśliwych kobiet, którym Roman Gala proponował małżeństwo. Na dowód potwierdzenia prawdziwości jej słów proponowałbym poczynić stosowne czynności w celu sprowadzenia panny Janickiej i dokonania konfrontacji...

Przewodniczący uciszył chichoty. Stłumione, dochodziły z bliska.

- To jakieś... okrucieństwo! - krzyknął Włókniarowicz.

- I ja tak sądzę - zgodził się Vario. - Okrucieństwo niedorzeczności.

Włókniarowicz opadł na fotel. Czuł wbity w czoło wzrok

Korowskiej. Otrząsnął się w chwili, gdy ktoś dotknął jego zimnej dłoni. A, szwagier nieboszczyka Gali. Szepczą, Włókniarowicz, jak się okaże, wcale nie odruchowo przeczesuje papiery. Wstaje.

- A tu mam - mówi - taki kwiatek. Cytuję: „Mój królewiczu, chciałabym mieć z tobą syna”.

Teraz on stara się wbić oczy w twarz Korowskiej. Ona czuje to, zdumiona natarczywością, wodzi oczami po przysięgłych, przenosi wzrok na przewodniczącego, sędziego, na swojego adwokata. „Co to jest?”, zdaje się pytać.

- Oskarżona musi przypomnieć sobie te słowa. To cytat z jej listu do Romana Gali. Z zeznań pana Bylewicza wynika, że mecenas Gala, dając mu ten list do czytania na głos, zauważył ze śmiechem: „Tej nie dałbym nawet córki”!

- Ach! Proszę wysokiemu sądowi, albo przynajmniej mnie, przedstawić ten list - powiedziała spokojnie Anka. - Takiego listu do nikogo nie napisałam. Już ten fragment budzi politowanie. Nędzny styl, tania egzaltacja, cuchnie na miłą zjełczałym tłuszczem. To falsyfikat.

- Sąd przychyliła się do wniosku pani Korowskiej - powiedział przewodniczący. - Proszę okazać cytowany list.

- List zniknął.

- Co to znaczy?

- Zaginął.

- Komu, skąd i kiedy, na jakim etapie zaginął? Czy pan mecenas Włókniarowicz miał ten list w ręku?

- Nie jestem w stanie potwierdzić ani też zaprzeczyć.

- Listu takiego w ogóle nie było w materiałach dowodowych - powiedział przewodniczący.

- Wnoszę - powiedział Włókniarowicz - o ponowne przesłuchanie świadka Bylewicza.

- Sąd oddała wniosek - mruknął przewodniczący z wyczuwalną już dezaprobatą.

Łagodna zima, bezwietrznie, temperatura rano i wieczorami nie opada poniżej minus pięciu stopni Celsjusza, w ciągu dnia

nie przekracza zera, na szczęście ani śladu halnego, toteż śnieg, który spadł obficie jeszcze na początku grudnia, nie topnieje i każdego południa skrzy się w promieniach słońca. Cienie, jak przystało na czas młodopolski - błękitne, niemal ultramaryna. W Teatrze Miejskim koncerty rewelacyjnej, światowej sławy śpiewaczki Selmy Kurz.

Poniedziałek, 24 stycznia 1910. Pogoda pogodą, lecz w wielu sercach smutek. Przysięgiemu Buttertelgowi umarła żona, zastąpi go pan Szhajnovitz, oczywiście na początku procesu zaprzysiężony jako zastępca. Coraz bliżej południa, a oskarżonej nie ma. Nie wiadomo, czy dziś się zjawi na sali. Wczoraj, w niedzielę, widziała się ona z mężem i z siostrą. Treść rozmów nie przedostała się przez mury więzienne. Ale na efekt nie trzeba było czekać. Anka, rozbita, rozdrażniona wizytą tych z tamtej strony, to popadała w bliski katalepsji stan przygnębienia, to znów próbowała się zerwać do lotu. Dłońmi, kolanami, łokciami, wreszcie całym ciałem usiłowała rozdrapać ściany celi, odpadała od tych ścian, zraniona, leżała zwinięta, nagle odwijając się gwałtownie - jak robak, który się znalazł w ognisku. Lepiej - którego ktoś tam wrzucił.

Wezwany w nocy lekarz dyżurny (przez pół roku wiele już godzin spędził na rozmowach z więźniarką) bez wahania wstrzyknął jej strychninę.

- Tak trzeba, naprawdę - uspokajał.
- Nie rozumiem - szepnęła.
- Tak?
- Jak mogłam oczekiwać ich wizyty?
- Rodzina.
- Jeżeli na rodzinę składa się kłębowisko pozorów, to tak.
- Proszę spróbować zasnąć.
- Oczywiście. - Zaśmiała się cicho i strasznie. Kwadrans na

południe zjawiała się w szczelnie wypełnionej sali przysięgłych, wniesiona w fotelu; wgłębiona w poduszki, z głową, czołem i połową twarzy pozawijaną w szal, który na resztę jej oblicza rzucał zielonawy ton mroku. Oczy; jej oczy nie przestawały błyszczeć. Chyba do końca nie znajdzie się taka

siła, która by je u niej, żywej, zdołała przygasić choć trochę.

Zeznawał Mieczysław Kaszewski, właściciel biura ogłoszeń, od dwudziestu lat dobry znajomy Gali. Był świadkiem, twierdził, jak zaraz po wygranym procesie z Goldstockiem Galę odwiedzili Korowscy i dziękowali mu gorąco, zwłaszcza mąż klientki ze szczególną wylewnością.

- Unosili się w zachwycie nad końcową mową obrońcą Gali - mówił Kaszewski ściszym, miękkim głosem. - A Gala miał ich wyraźnie dość. Był bardzo zdenerwowany.

- Czy może pan - spytał przewodniczący - uzasadnić ten stan mecenasa w takiej chwili?

- Właśnie od tamtej chwili zachodzę w głowę...

- Czy w pana obecności zdarzały się Romanowi Gali ataki epilepsji?

- Epilepsji? A skądże? Ja pierwsze słyszę!

- Sąd pyta na podstawie stosownego zaświadczenia doktora Stepana, który w swoim zakładzie w Jaskach koło Zagrzebia leczył mecenasa Galę na epilepsję. Pan znał dobrze zmarłego. Bywał pan u niego wieczorami. Czy zdarzało mu się przy gościu uwalniać od sztucznej szczęki? Chodzi o to, czy bez tego fragmentu górnego uzębienia był w stanie mówić wyraźnie?

- W ogóle nie zauważyłem, że miał sztuczną szczękę.

- To rzeczywiście ciekawe. A skłonności samobójcze?

- Skłonności samobójcze u człowieka, który uprawia sporty, dba o tężyznę fizyczną i, nie da się ukryć, goni za przyjemnościami, lubi przyjmować hołdy...?

- Jak się okazuje, nie zawsze... - przerwał mecenas Vario.

- Słucham?

- Sam pan powiedział, że Gala był zły i zdenerwowany, gdy go Korowscy wielbili i podziwiali. Nie zawsze więc lubił przyjmować hołdy ten człowiek, jak się nam tu okazuje, niezbyt równego usposobienia.

- To już są za daleko idące wnioski - przerwał prokurator.

- Proszę wybaczyć - powiedział Vario. I obracając się do Kaszewskiego, dał znak, by świadek kontynuował. Ten odchrząknął

kilkakrotnie, rozejrzał się podejrzliwie po sali, spuścił głowę, po czym niespodziewanie ją podniósł. Mówił spokojnie, tym swoim wyciszonym, miękkim, jakby skradającym się głosem:

- Kilka lat temu polowaliśmy wspólnie ze świętej pamięci Romanem Galą w Wołowiczach, w większym, rzecz jasna, dobranym towarzystwie. Roman Gala ugrzązł po kolana w bagnie. To było takie, hen, wijące się zdradliwie pomiędzy łąkami o twardym gruncie, straszliwe grzędawisko. Z jednej strony zasłaniał je nieprzebyty las, z drugiej - ostrokrzewy, chruśniaki. Udało nam się niemal cudem odszukać mecenasa. Był zsiniały i przerażony niebezpieczeństwem zbliżającej się śmierci.

Dowody za, dowody przeciw. Anka ożywiła się dopiero w chwili, gdy doktor Obaczyński, najnowszy aplikant Gali, opowiadając o ostatnich dniach mecenasa, plastycznie przybliżył wizerunek jej, oskarżonej, która cała w czerni i w kapeluszu przesiadywała w cieniu korytarza między biurem a mieszkaniem. Czekala, i wszyscy o tym wiedzieli, na ważną dla niej, nieistotną dla niego, rozmowę z Galą. Gala po południu przechodził z kancelarii do biura i wtedy musiał, bo nie było innego wyjścia, natknąć się na Korowską. Tam, w wąskim korytarzu zaczęli rozmawiać. Doktor Obaczyński, czując się zobowiązany do czujności i stałej obecności przy adwokacie w godzinach służbowych i w wyjątkowych przypadkach, w każdych chwilach tego wymagających i nie tylko, spoglądał w szparę niedomkniętych drzwi, próbując wyłowić ślad sensu ze strzępków rozmów. W pewnej chwili zobaczył czarną rękę zamykającą te drzwi. Koniec informacji.

- Zobaczył pan czarną rękę?
- Rękę w czarnej rękawiczce zamykającą drzwi. To była ręka Korowskiej.
- Była czy mogła być?
- A czyjaż być mogła, skoro Gala tam rozmawiał z Korowską?
- Ta ręka zamknęła drzwi i klamka zapadła?
- Tak, klamka zapadła. Uprzedzę następne pytanie sądu,

pozwalając sobie na domniemanie, że drzwi zostały zamknięte nie przypadkowo, lecz z rozmysłem. W związku z tym, że zostały nagle zamknięte drzwi na korytarz rozdzielający część mieszkalną od kancelaryjnej, straciłem orientację i dlatego, w chwili kiedy mecenas Gala wrócił do biura, a Korowskiej już w korytarzu nie było, nie wiedziałem, czy Gala odprowadził ją do drzwi wejściowych, czy też do sypialni, z której prowadziły także drzwi do kuchni - a z kolei kuchennymi drzwiami każdy z mieszkania mógł wyjść na ganek, gdzie są i ubikacje, i schody prowadzące na podwórze, skąd można sobie przejść do sieni i - oprócz godzin nocnych, kiedy obowiązuje szpera - od razu na ulicę.

- Nie ma więc pan pewności, czy pani Korowska wyszła, czy też została przez mecenasa zaproszona do części mieszkalnej, gdzie miała czekać na jego powrót?

- Tak, panie prokuratorze. I nie wykluczam żadnej z tych ewentualności. Ale nie sądzę, żeby mecenas zostawiał panią Korowską u siebie tak długo, po pierwsze dlatego, że - o czym w biurze wszyscyśmy wiedzieli - już nie chciał mieć z nią bliższych stosunków, a po drugie - o czym mi powiedział na Błoniach, gdzie poszliśmy na spacer z psem, wieczór miał już zajęty, następnego dnia proces o obrazę na piśmie ekscentrycznego malarza niedouka, nieźrównoważonego psychicznie, wytoczony równie jak ten malarz ekscentrycznemu krytykowi i kolekcjonerowi, w którym Gala miał bronić jednego z tych genialnych wariatów, w sypialni czekała już zapakowana na pojutrze walizka. Gala wybierał się do Wiednia dla zbadania dalszych szczegółów sprawy Korowska-Goldstock... Powiedział dosłownie: „czekają na mnie piękne panie”. Chodziło o hrabinę Potańską i jej matkę.

- Za pozwoleniem. Czegoś tu nie rozumiem - odezwała się Anka. - Oprócz tych dziwnych rewelacji dotyczących Wiednia i istnienia jakiejś spakowanej już walizki, co wygląda na zwykłe bałamuctwo, pan Obaczyński utrzymuje, że z mecenasem Galą i z psem wyszli na spacer na Błonia, tymczasem tego popołudnia to ja wyszłam z Mrukiem, psem mecenas, na spacer, i

zgodnie z naszą umową, zawartą tam wtedy w korytarzu - z tą czarną, prawda, ręką, tak nieprzychylną dla zamiarów aplikanta - mieliśmy spotkać się za pół godziny przed gmachem Powiatowej Kasy Oszczędności. I tam też spotkaliśmy się - czekałam na klombie, gdzie odkłoniłam się mecenasowi Schwarzenstrumpfowi - przekazałam Mruka Romanowi, umówiliśmy się, że się spotkamy na ostateczne oddanie listów późnym wieczorem. Może to nawet i romantyczne, ale miało być tak... a zresztą, to wszystko już było. Dla mnie nieważne. Dla sprawy również. Jeżeli pan Obaczyński był nawet na spacerze z Romanem Galą i z Mrukiem, to mógł się ewentualnie przyłączyć najwcześniej na Plantach, na pewno zaś nie wychodził z kancelarii z panem i jego psem. Bo to ja - powtarzam - z psem wyszłam.

Poruszenie w następstwie tego ważnego sprostowania. Przewodniczący otrzymał karteczkę, spojrzął na widownię, wymienił uprzejmy uśmiech z siedzącym w pierwszym rzędzie mecenasem Schwarzenstrumpfem i ogłosił, że ten zasłużony dla palestry jurysta, właśnie obecny na sali, własnym słowem oraz odpowiednią adnotacją w prowadzonym systematycznie dzienniku potwierdza prawdziwość powyższego zeznania pani Korowskiej. Tak, wracał właśnie z redakcji „Czasu”, gdzie złożył inserat, a po drodze zamierzał wstąpić do banku, ale kiedy zobaczył uroczą panią Korowską z psem kolegi mecenasa, zamiast sprawdzać cyferki stanu konta, wołał zamienić te dwa, trzy zdania z jedną z najinteligentniejszych pań w mieście.

Doktor Obaczyński siedział, nie mogąc zapanować nad coraz bardziej czerwieniejącą twarzą. Ale już nikt na niego nie patrzył, bo zaczęła zeznawać Dźwigałowa, posługaczka Gali od lat piętnastu, od początku, kiedy wprowadził się na Sławkowską i założył tam kancelarię. Dobrze zbudowana kobieta o jędrnych policzkach i grubych czarnych, całkiem nad nosem zrosniętych brwiach, mówiła, że jej pan miał „dobre zwyczaje”, a na pytanie, jakie to te dobre, odrzekła, że „lubił ludzi bogobojnych i ci pracowali u niego”.

- Dźwigałowa zajmowała się garderobą nieboszczyka, pościeliła także. Gdzie mu Dźwigałowa ścieliła?

- A gdzie bym miała ścielić? Nieboszczyk sypiał w łóżku na poduszczyce miękkiej. Poduszczykę miał z włosia. Inna nie wchodziła w rachubę.

- A nie na otomanie sypiał?

- O, w kancelarii na otomanie sypiał, ale to wtedy, kiedy przyjeżdżali krewni. A po obiedzie sypiał także na otomanie, ale na tej w sypialni.

- Często przyjeżdżali ci krewni?

Puściła pytanie mimo uszu.

- Kołdrę - ciągnęła - nieboszczyk kładł na otomanie, a na łóżku kocyk. Chętnie się kocem przykrywał, bo koc był lżejszy.

- Rewolwer miał?

- Zawsze nabity. Przy łóżku, na nachtkastliku. Porządek musiał być.

- Wszędzie.

- Wszędzie... Znaczący, oprócz książek. Książki były porozrzucane po całym mieszkaniu. Gdzie tam nieboszczyk stanął czy przysiadł, to jak szedł z książką, to ją założoną tam, gdzie akurat czytał, zostawiał. Chi chi!

- Z czego się Dźwigałowa tak śmieje?

- Bo i w przewecie, na ganku, bywało, książkę zostawił. Tom mu odnosiła. Tyż śmiał się. Jednej broszury tom nawet tytuł odczytała po drodze, bo był wielkimi literami wybity: *Higiena ludzi nerwowych*. I kto to widział, ot, głupstwa.

- Pies nie hałasował, prawda?

- A gdzie tam! Warczał na gości.

- Jak na to reagował mecenas?

- „Ruhig!”, wołał do psa i pies był już spokojny. Potem znów warczał, ale to zależy na kogo.

- A, to znaczy, że pies ze swojej natury był taki, że jednak na gości warczał, a nawet szczekał?

Dźwigałowa zastanowiła się dłuższą chwilę, po czym, kołysząc się z nogi na nogę, wycedziła:

- Na taką panią, co przychodziła często, pies nie szczekał.

Ani razu przy tym nie spojrziała na Ankę.

- Czy świadek Dźwigałowa mówi o pani Korowskiej?

- Jo? Jakby tak o tej pani, to... nie, akurat inną panią miałam na myśli. A co do tej pani Korowskiej, oskarżonej, to jakieś trzy dni przed tym zastrzeleniem ona, pani Korowska przyszła o siódmej rano. Jo ji nie chciałam wpuścić, mówiłam, że nie i nie, sama wlaźła.

- Jak to było? Skoro Dźwigałowa jej nie wpuściła głównym wejściem, to oskarżona musiała chyba wejść od podwórka, od strony ganku, przez kuchnię?

- E, przez kuchnię to jo przechodziłam zawsze. Przynosiłam nieboszczykowi te wiktuały świeże z placu od razu do kuchni, po co na pokojach paskudzić albo w biurze. A potem, jak ta łomotała do drzwi, to podeszłam, otworzyłam i mówię, że pan nie kazał, żeby kogo wpuszczać tak z rana. Ja ji mówię, a ona nogę raz dwa przez drzwi, zaraz potem druga, no to i cało wlaźła. No, nimem się obejrzała, a ta ci już leci do sypialni! Całkiem nie po katolicku. Wlaźła, jo cała czerwuna ze wstydu i w popłochu, bo przecie widzę, że obca kobita wchodzi, a pan się akurat ubiro! I wtedy właśnie pies...

- Copies?

- Pies ją obwąchiwał, cał po calu, w te i wewte.

- To znaczy?

- To znaczy, co znaczy. Mnie ta nic do tego. Nie ja tu jezdem od znaczenia. Alem nie mogła znieść sromoty tej jakiej czy jak tam i żem powiedziała do psa tak: „Obwąchałeś jedną panią, pewnie czekasz na drugą”! Tą panią Korowską to już wtedy wzięły nerwy, zerknęła na mnie jak na jakiego potwora, nie powim, żebym się nie złąkla. Pani Korowska i bez tego, com ji nagadała, szarpała się w sobie, wściekłość gorzała tam w niej w środku. To ona przez tamte trzy, cztery dni, zanim raniutko przyszła, przesiadywała w biurze i w korytarzyku. I tak: widzę, że ona siedzi na jednym krześle, pod wieszakami, potem wracałam z czemś z miasta czy z kuchni, widziałam ją, jak siedzi na drugim, koło pieca. Przesiadała się i przesiadała, siedziała po kolei na wszystkich możliwych krzesłach. Dzień w dzień. To ja

wiem, że tak jest z człowiekiem, który niedługo ma umrzeć. W szpitalu tak jest. Jak chory jeszcze nie jest niedołączny, a czuje, że śmierć za nim chodzi, to on sam łązi po szpitalu i przysiada się do łóżek innych pacjentów. No! Wiem, bom wuja miała we wojskowym szpitalu i mamę na czerwony chirurgii. Com ja sie naoglądała, łoj, panie, panie! No i ja to myślałam, że to ta pani Korowska umrze, a nie mój pan mecenas.

- Pan mecenas miał mocne zdrowie?

- A gdzie tam! Po tej rozprawie, o, co o tą tu panią była, i z tym dziennikarzem, panowie najlepi wiedzą, no, z tym Golderesztokiem, co to sie w nią nieboszczyk niepotrzebnie wdał - wszystko to na swoje nieszczęście! - chorował całymi dniami, ani na chwilę, za przeproszyniem, z łóżka nie wstawszy. Na zapalenie gardła. Na swoje wziął te sprawę nieszczęście! - Dźwigałowa wymachiwała długimi rękami; już się obróciła ku Ance i gdyby się kto uparł, mógłby zapewnić, że jej, do cna wymizerowanej, wygraża.

- Pies legawiec?

- Legawiec. Myśliwski pies, ułożony.

- Jakiej maści? Podpalany? Gładki?

- Pies ma łeb ciemny, a łapy krase.

Dźwigałowa do swych rewelacji („to pies żyje, a jego pan ziemię gryzie!”) dodała jeszcze, że omówiona poranna wizyta Korowskiej nie była pierwszą: trzy tygodnie wcześniej, w środę (pamięta doskonale, bo w każdą środę z Kleparza dostarczała Gali specjalną śmietankę, którą przywoziła czysta chłopka spod Limanowej), Korowska także towarzyszyła Gali przy toalecie. Jakim sposobem klientka mecenasa tam się wtedy znalazła, tego Dźwigałowa nie była w stanie ani sobie przypomnieć, ani pojąć.

Znajomi Korowskiej, pan Tykwicz, sekretarz teatru, szwagier dyrektora teatralnej malarni, przyjaciel domu, gdzie Anka mieszkała jako sublokatorka, oraz pani Winiewska, żona redaktora „Blasku”, byli mnie więcej zgodni w zeznaniach:

Gala, w ich oczach, był hipochondrykiem, nieprzywiązanym do życia. Był ni mniej, ni więcej, tylko zwolennikiem nirwany osiągniętej za pomocą samobójstwa. Podobnie wypowiedali się lwowscy wspólni znajomi państwa Galów i państwa Korowskich: malarz Stolzman, inżynier Czechowicz, adwokat Sołtykowski. Trzej ostatni kładli nacisk na reklamiarstwo Gali; wykonał gest teatralny i wtedy padł strzał; kula w jego zamierzeniu miała się zapewne tylko prześliznąć, wywołać obfite krwawienie, ale bez uszkodzeń ważnych organów wewnętrznych, stało się inaczej, niż to miało miejsce w przypadku Gali dwadzieścia lat wcześniej, kiedy strzelał do siebie - ostrożnie - ratując w ten sposób honor i jednocześnie oddalając termin spłacenia długu. Liczył, liczył, zachłanny skrupulatnie podliczał zyski - aż się przeliczył. Świadkowie nie mieli wątpliwości, że ze wszystkimi kobietami postępował tak, a nawet gorzej, jak z Korowską (nie wyłączając żony - która skryła się na wsi, wołała tam uczyć cudze dzieci, niż tkwić jako tarcza treningowa w jego szczególnym dążeniu do celu). Wykorzystywał kobiety bezwzględnie. Terroryzował i wysysał ofiary. Tak było między innymi z panią Elzą Mühnfeld, utalentowaną aktorką, którą doprowadził do samobójstwa. Owszem, spektakularnego; na zimowisku ta młoda zrozpaczona kobieta powiesiła się w nocy na brzozie na wprost okna Gali w pensjonacie w Jarontach.

Gwiazda krakowskiego teatru Natalia Trawicka dziesięć lat temu wytoczyła nawet Gali, głośnemu już wówczas obrońcy, proces o zwrot zagarniętych jej przezeń mebli, kosztowności i zawłaszczonych pieniędzy. Zeznawał na ten temat jej ówczesny adwokat, pan mecenas Słoniewicz, który wydał następującą opinię: - Gala był taką naturą psychologiczną, a nawet patologiczną, która się mogła samobójstwa dopuścić. Albo zrobić z rewolwerem gest teatralny... Tak, tak, proszę państwa, gdyby w tym miejscu padło określenie „wariat i samobójca”, nie byłoby ono obraźliwym epitetem.

Zjadła obiad przyniesiony z pobliskiej restauracji. To znaczy cały rostbef lekko oproszony chrzanem z masłem i tylko raz nałożoną na widelec odrobiną tłuczonych ziemniaków. Dwie łyżeczki rosółu i dosyć. Wczoraj, w niedzielę, nie tknęła i oddała służbie więziennej moc wiktuałów przydźwiganych przez siostrę osobno i męża, piła tylko herbatę. Dziś... odzyskała siły potrzebne do życia.

Jeszcze łyk koniaku, żadnych medykamentów. I sala przysięgłych. Przewodniczący pyta: - Od kogo wyszedł projekt zastrzelenia Trybuna podczas demonstracji 1 Maja?

- Prowokatorów u nas nie ma - odpowiada enigmatycznie Bylewicz.

- Aha! N-no, co my tu wobec tego mamy? Roman Gala upoważnił małżonków Korowskich do interwencji w sprawie Plemieńskiego. Czy pan to potwierdza? - pyta przewodniczący.

- Napisałem na ten temat artykuł w „Głosie”. Wyraźnie zaprzeczyłem i w artykule, i zdecydowanie zaprzeczam obecnie.

- Co innego zeznawał pan jako świadek zaraz po śmierci Romana Gali. Zaraz tu odczytamy odpowiednie fragmenty, podpisane przez pana.

Nastąpiło odczytanie, Bylewicz, najwyraźniej bliski omdlenia, wytrzymał jednak do końca, potem starał się ewidentnie rozbieżności w zeznaniach wytłumaczyć wstrząsem po śmierci przyjaciela. Zapytał, czy będzie dziś jeszcze niezbędny, a otrzymawszy zwolnienie od dalszej obecności, opuścił salę.

- Wart Pac pałaca - musiał i on usłyszeć syk dobiegający z ławy przysięgłych.

Zeznawała całkiem z pozoru dobrana para. Schludni, młodzi i zgrabni, każde z odrobiną blichtru, pasowali do siebie - choć wcale nie narzeczeni - pokojówka z Astorii, Agata Franiec, i Jan Żuk, służący hotelarz. Jedno po drugim zeznali, że w piątek przed krytyczną nocą pani Korowska dała im wyjątkowo sówite napiwki. Frańcówna, która zresztą, podobnie jak zmienniczka Frańcówny, Agata Janiakowa, wcześniej otrzymywała od Korowskiej drobne precjoza w podzięcie za pomoc w ubieraniu jej, unieruchomionej przez opatrunki po tym wypadku z żyrandolem,

pozwoliła sobie na uwagę, że Korowska w ów piątek była jakoś specjalnie uroczysta, „wysoki sąd wie, tak od środka”.

- Pani Korowska starała się nie okazywać, że jest uroczysta, a jednak była uroczysta i to szczególnie, czy tak?

- Tak. To coś z głębi uroczystego biło od niej.

- A!

Pojawili się jako świadkowie słynni lekarze humaniści, profesorowie medycyny sądowej (ci sami, którzy musieli zapłacić grzywnę za początkową odmowę wykonania sekcji zwłok Gali ze względu na to, że w sprawę była wmieszana ich studentka). Zabrał głos Leon Holzstrasser, z zamiłowania i z drugiego zawodu tłumacz literatury pięknej:

- W pokoju hotelowym w szufladzie między rzeczami pani Korowskiej znaleziono fiolkę zawierającą trzy gramy morfiny. - Spojrzał na zgromadzonych i dodał: - Tą ilością można otruć trzydzieści osób.

- Według moich obliczeń nawet trzydzieści osiem osób! - wykrzyknął stojący obok Holzstrassera sławny psychiatra, profesor Tomkiewicz.

- Czym pani może wytłumaczyć posiadanie potwornie niebezpiecznego ładunku? - zapytał przewodniczący.

- Morfina była dla mnie - powiedziała Anka.

- Pani jest morfinistką?

- Od kilku lat, wskutek wypadku, cierpię bóle. Niekiedy, aby nie doszło do niewyobrażalnych cierpień, przy pewnych pierwszych, znanych mi już niestety sygnałach, kiedy człowieka przeszywa coś nagłego, ostrego, błyskawicznego jak grzmot z jasnego nieba, zanim ból rozprzestrzeni się dosłownie na całe ciało, istnieje potrzeba natychmiastowego uśmierzenia go.

- Uśmierzenia! My tu mówimy o niebezpieczeństwie uśmiercenia. I to, i to... - tu prokurator wykonał szeroki gest.

- We Lwowie jeden ze znanych profesorów zażył właśnie trzy gramy morfiny i się nie otruł - powiedziała spokojnie. - Żyje. Żyje i nadal sobie cierpi.

- Kto może wiedzieć, ile w istocie zażył?

- Tak. Ja również uważam - powiedziała może z sensem, może nie, a w każdym razie z przekonaniem - że jeżeli człowiek ma zamiar się trucić, to lepiej, żeby to zrobił na pewno!

- Dlaczego pani zwlekała z przywołaniem do cierpiącego pomocy?

- Już tłumaczyłam, jak było. Moja pierwsza myśl: profesor Fiederer; on, sława, pomoże najlepiej, jest teraz blisko, trzysta metrów od miejsca wypadku. Telefon mój ze Sławkowskiej, dzwonek telefonu u niego, w mieszkaniu na Basztowej, oporny służący, czekanie, odmowa profesora, jego groźby zawiadomienia policji, potem powrót do rannego, znowu pozory, że rana nie jest tak groźna. Następnie telefon do pogotowia i w końcu na policję. Wtedy byłam przekonana, że Gala chciał zabić się przeze mnie i dlatego, czekając na przybycie pogotowia, paliłam kompromitujące go listy.

- A pani one nie kompromitowały?

- Paliłam te listy, powtarzam, które kompromitowały jego.

- W słynnym już liście, wysłanym ze Lwowa dwudziestego czwartego grudnia 1909 roku, pełnym tęsknoty i czułości, wyrzucała pani Romanowi Gali: „Zepsułeś moje sny złote i marzenia”. Kto zepsuł? Ten, „za którym tyle łez wylałam i tęskniłam”. W liście deklarowała pani, że jeśli nawet Gala jej już nie kocha, to niech on przynajmniej siebie pozwoli kochać. W tym liście wyrażała pani życzenie przepędzenia u kolan Gali choćby godziny, za którą by życie i całe swoje szczęście oddała.

Cisza wszędzie.

- List jest piękny - zwrócił się przewodniczący do Anki.

- O to nie chodzi - odparła. - On jest prawdziwy.

Wtorek, 25 stycznia. Ostro błysnęło coś na twarzy Korowskiej, kiedy za kwadrans dziesiąta wchodziła do sali przysięgłych. Zasłoniła się o sekundę za późno.

- Ponownie przypominam i upominam, że pod groźbą natychmiastowego wyproszenia z sądu zabrania się fotografować - powiedział przewodniczący dopiero wtedy, gdy mu mecenas

Vario zwrócił uwagę na flesz. - Proszę ponadto nie używać lornetek teatralnych!

- Ja używam lornetki polowej! - przedarł się z tylnych rzędów głuchy baryton jakiegoś dowcipnisia.

- Widzę, że pan sędzia przewodniczący nie radzi sobie z nadmiarem obowiązków! - krzyknęła nagle Anka. Wciąż jeszcze osłaniała oczy. - Pan przewodniczący dopiero po fakcie zwraca uwagę na czyny zabronione! Oślepił mnie ten flesz przecież! Jeszcze teraz mam powidoki jak przy ostrej migrenie! Pan przewodniczący powinien sprawdzić, kto robił zdjęcie, i odebrać kliszę! Panie przewodniczący, pańska opieszałość doprowadziła do tego, że aparat fotograficzny już powędrował poza salę, podawany złodziejskim sposobem. Nie tylko dla mnie będzie to przykry fakt i jego następstwa, kiedy zdjęcie z procesu pojawi się w prasie europejskiej. Ja cierpię i jeszcze będę cierpieć, ale po co ma dodatkowo ucierpieć powaga austriackiego sądownictwa? Tak, tak, panowie dziennikarze, w tym momencie zarzucam sędziemu przewodniczącemu amatorszczyznę! - Rozejrzała się wokół. Krzyknęła głośno i przenikliwie: - Wczoraj na próżno czekałam, że przewodniczący ogłosi wiadomość o tym, że pan mecenas doktor Vario dostał list z pogroźkami śmierci za to, że mnie broni!

- Proszę zachować spokój, te kwestie właśnie się wyjaśniają, ważność sprawy i wielość wątków, tak, wszystko to powoduje, że pewne szczegóły, niekiedy istotne, wymykają się spod kontroli, to naprawdę wyjątkowa sprawa, tak - zaatakowany zwrócił się do Korowskiej - proszę wybaczyć.

Natychmiast zjawił się kolejny świadek, Jan Jakub Gala ze Lwowa, kuzyn Romana Gali. Zeznał on - już pod przysięgą - że świętej pamięci kuzyn strzelał do siebie dwukrotnie we Lwowie, bo nie otrzymał od swojej ciotki (a jego, Jana Jakuba, matki) trzystu złotych reńskich na pokrycie długu honorowego. Rany były średnio groźne, reszta pozostaje w sferze spekulacji.

Profesor Fiederer miał do powiedzenia niewiele. Z twarzą naznaczoną cierpieniem z powodu nieustającego od wielu

miesiący bólu głowy, promieniującego na kręgosłup i prawe ramię, nie zdejmując granatowych okularów, zeznał, że nie ma w tej chwili pewności, czy dzwoniąca do niego Korowska określiła to, co się zdarzyło czerwcowej nocy, jako „nieszczęście”, czy raczej jako „przypadek”. Na pewno zaś uściśliła słowami: „Mecenas Gala ma kulę w głowie”.

- O której godzinie pan profesor odebrał telefon?
- Do telefonu podszedłem o godzinie trzeciej trzydzieści w nocy.

- Tak późno rozdzwonił się w pańskim domu telefon?

- Chyba już kiedyś podczas śledztwa mówiłem: telefon odebrał mój służący, wahał się, czy mnie budzić, wszak jestem ciężko chory i w związku z tym mam kłopoty z zasypianiem, ale pani Korowska tak nalegała, że w końcu służący jednak się zdecydował. Z jego pomocą przebudziłem się z głębokiego snu, w który zapadłem był przecie dopiero pod wpływem specjalnie dozowanego narkotyku, musiałem się wybudzić, jakiś czas trwało, nim z sypialni przeszedłem do gabinetu. Co najmniej kwadrans, panowie, co najmniej kwadrans. Służący mój utrzymuje nawet, że grzebałem się z pół godziny. - Profesor złapał się za głowę i syknął z bólu. Zdjął ciemne okulary i nerwowo, ale i metodycznie pocierał lewe oko.

- Pan profesor miał kilka tygodni wcześniej wizytę swojej rygorozantki. Przyszła do pana jako pacjentka, czy tak?

- Tak. Była potłuczona po upadku. Wyglądało mi to wręcz na skutki pobicia. Narzekała na dotkliwy ból obojczyka. Obejrzałem dokładnie; to był obojczyk złamany kilka lat temu. Nie stwierdziłem ponownego złamania, było to moim zdaniem tylko dotkliwe potłuczenie, poza zaleceniem stosowania okładów z kwasu bornego i radą unikania wysiłków nie zaleciłem specjalnego unieruchomienia.

- Robi się ze mnie symulantkę! - krzyknęła z ławy oskarżonych. - Pan profesor Fiederer coś wie o bólu, ale o własnym, ból innego człowieka już się nie mieści w głowie, prawda? Ból obojczyka był nie do wytrzymania, udałam się do kliniki, gdzie zbadali mnie doktorzy Hossoe i Hechtel.

- Proszę panią o spokój. Właśnie wszedł zaprzysiężony na świadka doktor Ferdynand Hossoe. Słuchamy pana, panie doktorze.

- Stwierdziłem u pani Korowskiej typowe świeże złamanie obojczyka. Założyłem odpowiedni opatrunek. Towarzyszył mi pan doktor Samuel Hechtel, potwierdził diagnozę, a oto oświadczenie doktora Hechtla, który z wiadomych przyczyn - świeża żałoba - nie był w stanie się stawić - i Hossoe wręczył przewodniczącemu kopertę z czarną obwódką.

Przewodniczący rozerwał kopertę drżącymi rękami, rzucił okiem na papier, dokładnie zapoznał się z tekstem, po czym powiedział: - Doktor Hechtel także zdiagnozował złamanie obojczyka.

- U oskarżonej! - krzyżąc, dodała Anka.

- Co to ma znaczyć? - upomniał przewodniczący.

- Panie przewodniczący, ja już naprawdę niewiele mam do stracenia. Choć jestem chodzącym trupem, nie mogę sobie pozwolić na wysłuchiwanie nieścisłych informacji, deformujących fakty. Deformujących je albo celowo, albo może wskutek nieudolności osób prowadzących. Jedną i drugą przyczynę pragnęłabym dobrodusznie wykluczyć. Sama jednak ustawię jak należy fakty i sprawy, które mnie dotyczą. Po pierwsze: na trzech chirurgów dwóch zdiagnozowało u mnie złamanie obojczyka, po drugie: mieszkiałam wtedy w hotelu i jako kobieta byłam w drażliwym położeniu. Chodziłam cała do pasa w wacie, ubrać się sama nie mogłam. Przez dwa tygodnie na zalecenie lekarzy miałam pozostawać w opatrunku, który zrobił mi doktor Hossoe. Po dziesięciu dniach opatrunek się jednak rozluźnił, jedenastego dnia bolało, już nie tak jak wcześniej, ale uwierało, uciskało, wydawało mi się, że trzeszczy przy każdym nieostrożnym ruchu, poza tym wiedziałam, że nie mogę zwlekać: jeszcze chwila, a na domiar złego utworzyłaby się rana odleżynowa. Pojechałam do kliniki. Doktora Hossoego nie zastałam. Przyjął mnie doktor Krabiński. Założył mi opatrunek plastrowy. Wyraził wątpliwość, czy jest to w istocie złamanie obojczyka.

- Jak długo goi się złamanie obojczyka? - zapytał doktora adwokat Włókniarowicz.

- Obojczyk - odrzekł Hosoe - zrasta się całkowicie do czterech tygodni. Oczywiście jeżeli nie ma komplikacji i gdy się weźmie pod uwagę czynniki indywidualne, proces zrastania się postępuje szybciej, niekiedy w dziesięć, dwanaście dni - ale trzeba pamiętać, że nie jest to jeszcze całkowite zrośnięcie kości.

Wagowski, lekarz, ubiegłoroczny rygorozant, miał tamtej strasznej nocy dyżur w pogotowiu i zeznaje, że to on odebrał słuchawkę z rąk studenta, który zamierzał samodzielnie przyjąć zgłoszenie. Młoda kobieta poinformowała tylko o zdarzeniu na Sławkowskiej. Nie podawała swego nazwiska.

- Myślałam - tłumaczy Anka, znów blada, już nie żółtawa, lecz biała, z sinymi plamami wokół nosa - że jednak będzie dobrze. Wiem, sama miałam często dyżury w pogotowiu. W razie przypadków nagłych i tragicznych w skutkach oprócz policii sprawą interesowała się od razu oczywiście prasa. Zależało mi na tym, byśmy uniknęli złego rozgłosu.

- „Byśmy uniknęli”, pani mówi? My? Czyli kto?

- Roman i ja.

- On konał.

- Nie.

- Doktorze Wagowski, pan także takie odniósł wrażenie?

- Owszem. Zwłaszcza początkowo. Tętno było dobre, krwawienie, miałem wrażenie, nieobfite, ustawało. Ciemno. Kobieta poproszona o przeniesienie lampy z kuchni zrobiła to. Wtedy zrobiło mi się nieprzyjemnie.

- Dlaczego?

- W świetle poznałem koleżankę Korowską. Byłem zajęty rannym, przez moment miałem wrażenie, że się myślę, ale usłyszałem jej głos. Nie było wątpliwości.

- Coś pani Korowska mówiła?

- „Idź do pana pokoju”, powiedziała do psa. Potem przykucnęła przy Gali. Kazałem jej podtrzymać głowę rannego. Podtrzymywała. Patrzyła na mnie strasznie.

- Jak strasznie?
- Nie do wyrażenia. Metafizyczne odczucie.
- Metafizyczne, a złe?
- Tego nie powiedziałem. Powiedziałbym: straszne.
- „Straszne” to sformułowanie pejoratywne.
- Nie wtedy, kiedy mówi się o tym, że straszny jest gniew Boży. Po drodze na schodach niesionemu Gali także przez cały czas koleżanka Korowska podtrzymywała głowę. Potem, kiedy zbliżaliśmy się do otwartej już na oścież bramy, zorientowałem się, że gdyśmy przyjechali, brama była wciąż jeszcze zamknięta. W mojej pracy w pogotowiu - a pracuję tu od trzech lat - zdarzyło mi się coś takiego po raz pierwszy.

- Chce pan doktor powiedzieć, że oskarżona straciła głowę?

- Chciałbym raczej zapytać, co w kamienicy robił wtedy stróż? Wystrzał, potem drugi, w nocnej ciszy odgłos stłuczonej lampy, łomot padającego ciała, charakterystyczny poszum odsuwanych rolet, rozpaczliwy okrzyk Korowskiej, kto wie, zapewne także wycie psa. No i to charczenie rannego. Przecież potem, jak już po naszym potężnym dobijaniu się bramę nam wreszcie otworzył stróż dokumentnie zaspany i o niczym niewiedzący, to szliśmy na górę, czym się kierując? No, czym? Pośród tych grubych, wielowiekowych murów właśnie tylko i wyłącznie odgłosami charczenia mecenasa Gali!

Zeznaje koncepista policji Jerzy Kotschek. Przybył na miejsce zaraz po tym, jak o incydencie doniesiono ze strażnicy policyjnej przy ulicy Felicjanek. Zbliżała się już piąta rano, mrok dużego pokoju szybko nasycił się różowopomarańczowym światłem, które przedzierając się z okien na ścianie najbardziej odległej od dramatycznego miejsca, już dokładnie i coraz bardziej precyzyjnie wykreślało kształty, ustawiało formy. Otwarta klawiatura pianina przywołuje wyobraźni szeroki uśmiech kogoś, komu podstępnie wyrwano niektóre zęby i ten, szczerząc się, jest nieświadomy przykrości, jaką sobie i mniej brutalnym wyrządza. Na podłodze ślady ścierania czegoś (krwi? nieczystości, rzygowin?); nie - to wyglądało raczej jak ślady po ciągnięciu

czegoś (kogoś?) ciężkiego po dębowym parkiecie.

- Pani Korowska groziła, że sobie życie odbierze - mówił policjant z coraz większym zapalem. - Zażądałem, żeby oddała browning.

- Ten browning, którego użyto do oddania strzału do Gali?

- Tak. W końcu w wyniku moich perswazji wyciągnęła browning oraz damski rewolwer, z którego, sprawdziłem na miejscu, od dawna nie strzelano.

- Skąd wyciągnęła?

- Zza stanika. Wręczyła mi browning. A rewolwer? Sam nie wiem, skąd go wyjęła. Oddała wszystko.

- Tak było. Ale nie groziłam samobójstwem! - wtrąciła oburzona.

- Jeśli oskarżona zamierza coś mówić, zawsze wcześniej należy poprosić o głos - zauważył przewodniczący.

- Ach, na to już czasu nie ma - żachnęła się. - Albo uda się pewne rzeczy jeszcze teraz wyjaśnić, albo pójdzie fama...

- Nie rozmawiamy sobie w kawiarni u Chmury - ostro jej przerwał przewodniczący. Zwrócił się zaraz do Kotschka: -Czy pan potem przeszukiwał panią...

- Nie było takiej możliwości proceduralnej. Ale uważałem na każdy jej krok, twierdziła bowiem, że posiadając pozwolenie na broń palną, ma przy sobie trzeci rodzaj broni, nabity rewolwer, mały, damski, także jej własność.

- To bzdura! Poprzedniego dnia tak, miałam tamten rewolwerek, ale wtedy, krytycznego wieczora, czułam się pewniej, nie musiałam mieć broni, poza tym zawadzał w upale. Przyszłam do Gali bez broni! Rewolwer, który oddałam policjantowi, wzięłam z mieszkania Romana. Był mój, ale od dawna leżał w jego mieszkaniu. Roman obiecał, że sam coś sprawdzi w mechanizmie, który się zacinał, i wygląda na to, że przez pół roku nawet nie zajrzał. Rewolwer okazał się nawet przyrdzewiały w środku i nienabity, choć kiedy mu go wręczyłam, jeszcze jesienią, był osobiście przeze mnie wyczyszczony i znajdowały się w magazynku trzy naboje. Bezbronność niejako tej

broni, a także moją bezbronność wykazało niebawem przeszukiwanie Pod Telegrafem, gdzie zrobiła to dozorczyzna więzienna w asyście zeznającego tu pana policjanta. Nie miałam przy sobie nabitego pistoletu. Mój własny rewolwerek, o którym Gala nie wiedział, stosunkowo nowy nabytek, owszem, nabity, znaleziono podczas rewizji w hotelu Astoria.

- Dlaczego, na Boga, zabrała pani browning, jeszcze dymiący, narzędzie zła?

- Na pamiątkę.

- Na pamiątkę?

- To ja się dziwię, że pan przewodniczący się dziwi. Pan przecież musi wiedzieć, że znana poetka Maria Komornicka, dziesięć lat temu raniona tu, w Krakowie, w nocy, na Plantach, pod pomnikiem Jagiełły i Jadwigi, przez zazdrosnego nie bez podstaw męża, także poetę, Jana Lemańskiego, do dziś nosi kulę, którą wyjęto jej z ramienia, jako brelok u zegarka. To rodzaj fetysza.

- I tak się dziwię, jeśli mogę wyrazić swoje zdanie.

- I słusznie! Bo ja wcale nie chciałam zachować broni! Byłabym wariatką, jaką zresztą obecnie okazała się pani Komornicka ex Lemańska. W Bibliotece Polskiej w Paryżu kustoszowi Władysławowi Mickiewiczowi, synowi wielkiego Adama, bez ostrzeżenia i bez powodu chlusnęła w twarz szklanką wody. Teraz twierdzi, że jest mężczyzną. Szczegółów oszczędzę. A ja? Ja po prostu wzięłam pistolet z podłogi i schowałam u siebie, żeby się nie stało gorsze jakie nieszczęście. Zabezpieczyłam broń, to tyle. Pan Kotschek nie mógł słyszeć, żebym groziła zamachem samobójczym, bo o niczym takim wtedy nie myślałam i czegoś podobnego nie powiedziałam.

- Proszę sobie nie robić żartów. Powiedziałem, to nie miejsce na popisy błyskotliwości. Zwracam się ponownie do świadka. Czy pan Kotschek zwrócił uwagę jeszcze na coś szczególnego?

- Pies.

- Kiedy?

- Już po wyniesieniu jego pana zachowywał się zadziwiająco.

- Niech pan policjant wykrztusi! - krzyknęła z pasją oskarżona.

- Przez cały czas pies tulił się do nóg pani Korowskiej. Lizal jej ręce. Próbowaliśmy z kolegą policjantem Koszowskim i ze stróżem przeprowadzić psa do kuchni, ale nie dało rady. Warczał, uderzał łbem, silny jak diabeł, ze dwa razy szczeknął ostro.

- Kto więc w końcu przeprowadził psa do kuchni?

- Pani Korowska. Sam szedł tam za nią. Zaraz potem zastawiła go w rogu krzesłami. Nie ruszył się stamtąd. Pani Korowska prosiła, żebym w raporcie napisał o, jak się wyraziła, „przypadku z bronią”, nie o próbie samobójstwa.

- Dlaczego tak pani na tym zależało?

- Opinia publiczna! Niesława!... Proszę tak na mnie nie patrzeć. Ja nie brałam pod uwagę, nie myślałam, że Gala umrze. Powiedział zaraz po strzale: „A więc nie błazeństwo!”, naprawdę, choć było dużo krwi, sądziłam, że to na pokaz, że rana jest powierzchowna, że wystarczy wyprowadzić go z szoku...

- Ta pani - przerwał z naciskiem Koschek - mówiła o samobójstwie. Że je popełni.

- Tu już w uszach pana policjanta dzwoniły dzwonki, których nie było - zaśmiała się kpiąco. Zanosila się śmiechem.

- Bardzo proszę uspokoić oskarżoną - spłoszony przewodniczący zwrócił się do lekarzy.

- Przepraszam, że podnoszę głos - powiedziała natychmiast - ale czuję się wyczerpana i rozstrojona.

- Nie dziwię się - mruknął Włókniarowicz i z pozoru obojętnie, ale tak, żeby ci, którzy mają wiedzieć, wiedzieli, machnął świeżym numerem „Marszu”.

Głowa jej opadła na piersi, jedną rękę przyłożyła do skroni, drugą zrobiła wyraźny ruch: nie życzy sobie pomocy. Koschek tymczasem opowiada, jak to z agentami policyjnymi Marczem i Mehlem udał się do pokoju zatrzymanej w hotelu Astoria, gdzie znalazł ten mały rewolwer pani Korowskiej i jej trzy listy. Listy poźegnalne.

- Do kogo adresowane?
- Jeden do męża, drugi do policji, trzeci do profesorowej Ernestowej. Była tam także jedna broszura należąca do Gali. Podpisana.

- Czy coś istotnego?

- Broszura była w całości poświęcona tak zwanym ślubom siedmiogrodzkim. To rzecz traktująca o możliwości zawarcia nowego związku małżeńskiego...

- Dlatego mecenas Gala chciał się naturalizować w Chorwacji - oświadczył mecenas Vario. - Dotychczas świadkowie twierdzili, że myślał o ślubie z panią Potańską. Co więc sprawiło, że nie u pani Potańskiej znalazła się pasująca do tych planów lektura, lecz u jej byłej rywalki?

- Pani Korowska mogła sobie od Gali tę książeczkę wziąć - powiedział Włókniarowicz.

- Pani Korowska nie mogła sobie czegoś ot tak po prostu wziąć! - krzyknęła, zbladła, próbowała wstać, pozostała w półruchu. - To. Tamto, owo - szeptała - jeszcze tylko nie byłam złodziejką...

- Proszę niczego nie sugerować - powiedział Włókniarowicz. - Wyraziłem tylko przypuszczenie na podstawie zeznania doktora Adama Herbińskiego. Oświadczył on, że był kiedyś w mieszkaniu Gali właśnie w czerwcu między szóstą a siódmą wieczorem. Drzwi wejściowe do mieszkania i biur były niedomknięte, ani w kancelarii, ani w przedpokojach nie było nikogo. Doktor Herbiński, zaniepokojony, zajrzał do sypialni. Tam spał sobie spokojnie Gala. Pies spał także w sypialni i w ogóle nie szczeknął. Doktor Herbiński zeznał, że wycofał się, nie budząc pana ani psa.

Korowska parsknęła wzburzona i ubawiona:

- To pewnie także moja wina, że Roman Gala spał w otwartym mieszkaniu! Ależ co jeszcze? Proszę bardzo!

Mecenas Vario, nie czekając na ciąg dalszy, na efekt tych pozornie sprzecznych zachowań swojej klientki, dał jej zdecydowany znak, wstał i powiedział:

- To zeznanie może być tak samo prawdziwe jak zeznania

pani Janickiej dotyczące zarówno oświadczyn ze strony pryncypała, jak również stanu jego konta, możliwości finansowych, zasobności...

- Protestuję! - wykrzyknął Włókniarowicz.

- Ale tu już - powiedział prokurator - należy się wytłumaczenie. Więc tak: o czym miał takie niezbite przekonanie pan mecenas Vario, żeby w ten sposób przerwać? Co?

- Roman Gala miał trzydzieści wyroków egzekucyjnych. Czyli finansowo stał kiepsko, mimo zapewnień wielu świadków. Oto te wyroki, tu, proszę! - machnął wyciągniętą z teki stertą opieczętowanych, różnobarwnych papierów.

- O!

- Proszę się tak nie dziwić, mecenasie Włókniarowicz - powiedział przewodniczący. - Teraz wiele nowych rzeczy wychodzi na światło dzienne. À propos, mamy wreszcie ekspertyzę profesora Teklu z Wiednia, który badał treść nadpalonych, a nawet pozornie całkiem spalonych listów. Okazuje się, że to, co można było odcyfrować, mieści się w granicach tekstów lirycznych, przesyconych uczuciem i niepozabawionych poetyckich porównań. Dlaczego więc pani Korowska z takim uporem paliła je w czasie, kiedy w sąsiednim pokoju dogorywał człowiek?

- Kiedy sama się przekonałam, że z Romanem jest źle, tak, to straszliwe charczenie, postanowiłam popełnić samobójstwo. Ten pistolet, z którego strzelał, miałam przy sobie. Zastanawiałam się gorączkowo, gdzie to zrobić. Nie chciałam przy nim. Może ganek, może podwórko? Na razie wszakże paliłam listy. Pan sędzia pyta dlaczego? Dlatego, że gdyby odnaleziono te listy i dwa martwe ciała, toby znaczyło, że się kochankowie zabili. Dla męża to byłby skandal. Wiedziałam, że muszę mężowi tego przynajmniej oszczędzić.

- To w końcu jednak, wbrew składanym zeznaniom, myślała pani o samobójstwie.

- Myślałam, tak, w pewnej chwili myślałam. A jednak zaręczam, że nikomu, ale to nikomu, oprócz Romana i męża, nie powiedziałam o zamiarze popełnienia samobójstwa. Myśleć a

mówić to nie to samo. Myśleć to jedno. Mówić drugie. Jest jeszcze trzecie, pisać. I nie pisałam. To tyle, moi szanowni panowie. Dzisiaj już się niczego nie dowiecie od kobiety zhańbionej.

Od południa w redakcji „Czasu” na biurku naczelnego leżała notatka, która po zredagowaniu została opublikowana naza jutrz, w środę, 26 stycznia. Od świtu w „Czasie” można było przeczytać:

Bakaj o Korowskiej

„Wczorajszy «Marsz» zamieszcza źle po polsku pisany i wskutek tego niezrozumiały list p. Michała Bakaja, w którym tenże wyraża zdanie, że Gala zginął zabity przez p. Korowską tak samo jak Tatarów w Warszawie przez Azefa. Dalej powtarza p. Bakaj, że ma dowody, iż p. Korowska była w służbie ochrony. Cały list, nacechowany tonem osobistego rozżalenia czy rozgoryczenia po europejskich niepowodzeniach, brzmi niejasno, jak niezrozumiałą jest w ogóle tendencja takiej publikacji”.

- Pan się zastanawiał, panie przewodniczący, co ją wczoraj ugryzło, zaczynał pan nawet wierzyć we własną niekompetencję, rzekomą, rzecz jasna, a tu masz pan, kochany panie radco! - Sędzia Pilański stukał małym upierścienionym palcem w płachtę „Czasu”. - A te cholery, socjaliki, już wczoraj o świcie dostarczyły w ręce Korowskiej numer „Marszu” prosto spod prasy, z ohydną enuncjacją tego bandziora Bakaja, farbowanego lisa. Marsz, marsz, bandziory, cholera jasna! Rozwścieczyli biedną, schorowaną, opuszczoną w gruncie rzeczy kobietę. Słowa, słowa, panie radco. Słowa zabijają - jeśli nie od razu, to za jakiś czas zabijają takie słowa, takie plugawe wiązania słów. Na razie osłabiają, zniechęcają, doprowadzają do poczucia beznadziejności. A potem już z górki. Powodują agresję. No, to mamy: na panu się wszystko skrupiło!

- I na niej.

- A?
- Już zyskiwała wielką sympatię przysięgłych, nawet coś więcej niż współczucie, a tu, mój panie, tymi wczorajszymi wrzaskami... No!
- Czy ja wiem, panie przewodniczący, czy ja wiem? Tu akurat to ja bym nie był tego aż tak bardzo pewny...

Ten sam dzień, 26 stycznia. Tłumy zgromadzone od rana na ulicy Sławkowskiej przed kamienicą, w której w pierwszym tygodniu czerwca padły strzały, nie doczekały się oskarżonej. Z głębi ciżby, ciemnej na tle zimowej weduty masy ludzkiej, kwadrans przed jedenastą wydostał się gniewny jęk niespełnienia i przez chwilę tkwił uwięziony między murami kamienic.

Korowska chora. Nie pojawi się tutaj na pewno.

Jak szybko rozeszła się wieść o wizji lokalnej z udziałem domniemanej zbrodniarki, utrzymywana przecież przez sąd w tajemnicy, tak szybko ludzie się rozpiechli spod bramy tej i okolicznych kamienic.

Skąd się dowiedzieli o wizji lokalnej? Przeciek z sądu? Nic podobnego. Mimo chłodu i z lekka prószącego śniegu od rana pootwierane, a potem uchylone okna na pierwszym piętrze od frontu każdego krakowianina by naprowadziły na trop.

Wnętrze wywietrzono, a raczej przewietrzono - lecz jednak powiew grozy i lepkość towarzysząca nieszczęściu ogarnęły tam od razu ludzi związanych ze sprawą. Ach, to tu, właśnie w głębi korytarza boczna nyża, w której od ostatniego tygodnia maja do 2 czy 3 czerwca widywano siedzącą nieruchomo Korowską. Cała w głębokich czerniach, tylko z jaśniejszym elementem ronda kapelusza, dzień po dniu przesiadywała, oddzielona od kancelarii dwuskrzydłowymi drzwiami. Dopiero w nocy z 4 na 5 czerwca znalazła się wewnątrz mieszkania, obok leżącego bez władzy nad sobą człowieka, który wymiotował i bezwiednie sikał.

- To te nieczystości mogła ewentualnie wycierać gąbką - orzekł jeden z przysięgłych, wysoki blondyn z błękitnymi oczami w gruszkowatej twarzy i o wydatnych czerwonych

ustach. - Myślę - dodał - że to zwykły kobiecey odruch, to jest poczucie porządku, które większość kobiet ma w genach.

- Pan poeta czy esteta? - zakpił Włókniarowicz.

- Nie - odrzekł tamten. - Spedytor, jeśli pan mecenas tak bardzo ciekaw. Nie stoję tu od parady. Układam sobie w głowie pewne fakty i dzielę się tym otwarcie, bo nie jestem z natury ani skryty, ani też skąpy. Jeśli ta gąbka - jak już ją określono, należąca do gatunku szarych - nie zawiera ani śladu krwi, co orzekli na podstawie analiz i badań znakomici, tu obecni panowie profesorowie, specjaliści medycyny kryminalnej, to jakż można wysnuć wniosek? Gąbka była w użyciu, lecz nie ścierano nią krwi.

- Skąd wiadomo, że była w użyciu?

- Była lekko wilgotna.

- Przecież nieboszczyk się mył.

- Nie wiadomo, czy wtedy akurat gąbką. Nie musiał codziennie myć się gąbką.

- Kto powiedział, że Korowska tamtej nocy w ogóle używała gąbki?

- Ona sama...? Tak, tak, rozpytywana gwałtownie na tę okoliczność. Potem wszakże szybko sprostowała. Mówiła coś takiego: miałam wrażenie, że ścieram krew gąbką, ale teraz nie mam pewności, a wręcz nabieram przekonania, że nie miałam wtedy do czynienia z krwią.

- Okazało się, że nie miała. Na jej ubraniu, na rękach, na twarzy, szyi nie odnaleziono po zatrzymaniu ani odrobiny krwi.

Po południu dwóch aresztantów w asyście żandarma i dozorczy wniosło Korowską na stołku na salę sądową. Ze stołka przeniesiono ją na wyplatany fotel z licznymi poduszkami. Usadowiona, nie poruszała się. W ramach fotela niemal malarzski portret. Na jej poźółklej znów twarzy pojawiły się oliwkowozielone cienie. Oczy nie przygasaly. Błysnęło żywym srebrem spod czarnych rzęs, kiedy doktor Tomkiewicz, dzieląc się spostrzeżeniami z wizji lokalnej, mówił o niedawnym wypadku

pełnej przytomności innego rannego, któremu kula utkwiała w zwojach mózgu:

- Kalina, który na Modrzejówce zastrzelił dziewczyną, a następnie sam się śmiertelnie postrzelił, kilka godzin po strzale o własnej sile wysiadał z dorożki, mówił jeszcze przed śmiercią przez parę godzin...

Nazajutrz podczas rozprawy, na której tylko na krótko pojawiła się oskarżona (tak jak poprzednio, na stołku wnieśli ją aresztanci i niebawem musieli ją wynieść, bo zasłabła, a w czasie obdukcji zemdląła i wynoszona nie odzyskała przytomności), doktor Tomkiewicz, tłumacząc, że wiedza lekarska nie jest matematyką i objawieniem, wykazał ciężar, jaki spoczywa na lekarzu, który musi ocenić człowieka, pacjentkę w jednej osobie, oskarżoną i ofiarę, wreszcie - osobę umęczoną, doprowadzoną do kresu.

Do kresu.

- Korowska - mówił już oficjalnie i do protokołu - jest osobą umysłowo zdrową, a jedynie egzaltowaną, nerwową - i to najprawdopodobniej nerwową konstytucjonalnie.

- Czy wedle tak przyjętej klasyfikacji świętej pamięci Roman Gala mógł być także osobą nerwową konstytucjonalnie? - zapytał mecenas Vario.

- Oczywiście - odpowiedział natychmiast doktor Tomkiewicz. - Ta klasyfikacja obejmuje osobników wysokich, szczupłych, ludzi, którzy z jednej strony potrafią być aktywni i zajmować się dogłębnie jakąś pracą umysłową, drażąc zagadnienie niekiedy aż do przesady i ze szkodą, na wylot, z drugiej - bywają skłonni do melancholii. Zaczyna się to u nich już w dzieciństwie od prześladowania jakąś szczególną zbitką słów, powtarzającą się sytuacją związaną z identyczną myślą. Na przykład myśl o niechęci założenia niedzielnego ubrania w momencie otwarcia drzwi szafy. Proszę tego nie utożsamiać z manią prześladowczą. To raczej, gdyby tak z grubsza określić, wyższa forma przewrotności. Tyle tylko, że ta przewrotność nie objawia się w zachowaniu, lecz tkwiąc w konstytucji psychofizycznej, wpływa na zachowanie! Ludzie nerwowi, ach, padają

ofiara komplikacji wynikających z nadmiaru skrupułów. Nie należą oni do tych, którzy potrafią otrześć kurz z siebie, a następnie, dodawszy sobie animuszu grubym słowem i pokrzepiwszy się haustem czegoś mocniejszego, iść dalej. Ludzie nerwowi, wysoki sędzi, ludzie nerwowi, czcigodni sędziowie przysięgli, ludzie nerwowi, szanowna publiczności. O! Błaha w rzeczywistości przeszkoda rozrywa tamę na rzece wyobraźni - i urasta w ich świadomości w barykadę, której pokonanie, nawet jeżeli nie wydaje im się ponad siły, to tylko to przeradza się w główny cel. To tak jak złośliwy nowotwór, który, rozrastając się, odbiera siły innym tkankom. Ludzie konstytucjonalnie nerwowi wymagają specjalnej higieny, o czym traktują osobne rozprawy i podręczniki, autorstwa poważnych autorytetów światowych, które w przekładach już zaczynają się pojawiać i u nas.

- Dwie takie konstytucje... niemal identyczne. Ich zetknięcie w pewnym szczególnym momencie mogło spowodować eksplozję.

- Musiało.

W dwa dni później Anka pojawiła się wprawdzie rano (wnoszenie na stołku przez aresztantów), ale po kilkunastu minutach aresztanci znów pojawili się na sali, ażeby odnieść omdlałą, nie dość że samą w czerniach, to jeszcze zasłoniętą czarnymi surdutami trzech czy czterech lekarzy. Wniesiona do pokoju medycznego, otrzymała zastrzyk strychniny. Niebawem znowu się powtórzyła scena wnoszenia oskarżonej.

Co jej wtedy tak nagle odebrało siły? Omdlała w tym momencie eksperckich zeznań profesora Holzstrassera, gdy uczony mówił, że z ostatecznych ustaleń, poprzedzonych nie tylko wizją lokalną, lecz także szczegółowymi badaniami i analizami, wynika, że Gala runął na podłogę. Otarcie naskórka i zewnętrzny uraz ciemienia są na to niezbitym dowodem. Dowodem nie na ślady walki czy szamotaniny (na dłoniach i nadgarstkach Gali nie było ani jednego zadrapania ani sińca, podobnie jak na całym ciele Korowskiej, poza strupkiem z wyraźnie

wcześniejszego, powierzchownego otarcia na udzie), lecz na to, że Gala oddając do siebie strzał - lub postrzelony przez kogoś - stał. Stał, bez sztucznej szczęki, tylko w koszuli nocnej, białej, przykrótkiej.

Więc stał. Runął.

Dlaczego jednak nikt tego nie usłyszał? Ani huku wystrzału, ani rumoru spadającej lampy, dźwięku rozbijanego szkła?

Ładniutka, filigranowa i schludna Agata Janiakowa, posługaczka w Astorii, zeznała następnie pod przysięgą, że na pewno na dwa dni przed tym prawdziwym nieszczęściem pani Korowska dała jej nie tylko sowity napiwek, lecz także biżuterię.

- Jaką to biżuterię? - zapytał przewodniczący.

- Kolczyki, proszę wysokiego sądu, i obrączkę.

- Czy pani Korowska potwierdza?

- Dałam Janiakowej małe kolczyki, to było wieczorem, właśnie drugiego czerwca, w dniu ostatecznego zdjęcia opatrunku. Wyraz wdzięczności za pomoc przy myciu, ubieraniu się, kiedy byłam niedołączna. - I po chwili zupełnej ciszy: - Czy to dziwne?

- A przecież były i również pieniądze... - podkreślił Włókniarowicz.

- To chyba moja sprawa, jak dysponuję! - krzyknęła.

- W pani sytuacji...? - nie bez kpiny zapytał Włókniarowicz.

- Sprzeciw - natychmiast zareplikował Vario.

- Podtrzymuję sprzeciw - powiedział przewodniczący. - Ale Janiakowa wspomniała także o obrączce. Czy oskarżona dała Janiakowej obrączkę?

- Chciałam dać i dałam.

- Czy to była oskarżonej obrączka ślubna? - zapytał prokurator.

- Oskarżonej... - dodała, następnie powtórzyła... - obrączka ślubna.

- Czy to znaczy - naciskał prokurator - że pani potwierdza?

- Tak, to była moja obrączka ślubna, ale już nie jest. Jest teraz zwykłą obrączką i własnością pani Agaty Janiakowej.

- Czy to ma znaczyć, że dla oskarżonej ta obrączka już nie miała żadnego znaczenia?

- Czy pan prokurator sugeruje, że dałam pani Agacie Janiakowej rzecz bez znaczenia?

- Tak nie będziemy rozmawiać - powiedział przewodniczący.

- Oczekiwałam od pana tych słusznych słów - rzekła Anka i zrobiła ruch, jakby zwyczajnie chciała odejść do jakichś swoich spraw, ale zachwiała się i nie mogąc utrzymać równowagi, opadła bezwładnie na poduszki.

Wszedł i złożył przysięgę ubrany odświętnie, dobrze wypomadowany świadek obrony Aleksander Kosiakiewicz, wyrobnik z krakowskiego Zwierzyńca:

- Robiłem za tragarza. Z dworcem pakonki, co z Widnia przyszły do pana mecenas, na Sławkowską nosił. Ja żem wszedł do kancelarii jaśnie pana Gali, żeby powiedzieć, że pakonki już są, z ręką wyciągniętą po należne mi trochę śrybra, a tu patrzę... To było akuratnie w lato, upał, tom się spocił, ale trzeźwy byłem jeszcze jak osesek... no, w 1908, bo o tym roku mówimy, nieprawda? No! A ja ci tu patrzę, wysoki sędzie, nieboszczyk, to znaczy jeszcze nie nieboszczyk, ale dzisiaj już niewątpliwy nieboszczyk, pan mecenas Roman Gała w garniturze sportowym w kratę leży w kancelarii na dywanie i z wielgachnym braulingiem w ręce. O psiakrew! Ja nic. A ten ci pan co? Odrzuca precz ten brauling i do mnie mówi: „Gdybyście, dobry człowieku, akurat w tej chwili nie weszli, tobym sobie życie odebrał”.

Śmiech na galerii. Jak na zamówienie. Ciekawe. Ostatni rehot umilkł. Nieprzytomną już od kilku chwil Ankę wynoszono w ciszy na stołku. Przewodniczący ogłosił przerwę.

Dziesięć minut po pierwszej po południu, kiedy wznowiono rozprawę, na sali przysięgłych zjawił się jego ekscelencja Grosser, prezydent Sądu Wyższego. Prokurator Jawiński wyciągnął z zalakowanej koperty pytania dla przysięgłych i dał je prezydentowi do przeczytania. Prezydent Grosser, w śnieżnobiałym

krawacie na gorsie, odcinającym się ostro od czarnego surduta z połyskującymi orderami i z wstęgą, długo i starannie przestudiował dokument, po czym lewą ręką zdejmując binokle w złotej oprawie, prawą wręczył papiery Jawińskiemu i spojrzał mu w oczy w pełną powagi aprobata. Zanim opuścił salę przysięgłych, wysłuchał, co ma do powiedzenia obrońca Korowskiej na temat jej listu pożegnalnego, którego litery, wielkie i stawiane stanowczo, jakże różniąc się od subtelnych, lekko pisanych, w poprzednich listach i w innych pracach, świadczą o zdecydowanym postanowieniu rozstania się z nienawistnym światem. Przemawiając w imieniu rodziny zmarłego Gali, mecenas Włókniarowicz podkreślił rolę, jaką w ostatnim etapie życia odegrała Korowska jako kobieta fatalna. To ona - tak czy inaczej, w ten czy inny sposób - doprowadziła do przerwania życia tego zasłużonego, wartościowego człowieka, niezastąpionego członka krajowej palestry. Czy fakt, że jak tajfun wtargnęła w idące spokojnymi torami życie swojego dobroczyńcy nagle w siedem miesięcy po procesie, który oczyścił ją z zarzutu o zniesławienie, nie świadczy o jej najgorszych zamiarach? Jak można w ogóle dopuścić myśl o pozostawieniu na wolności osoby o krwiożerczych instynktach i zdeprawowanej do tego stopnia, że w liście do Gali potrafiła odnośnie adwokata Nadreńskiego, obrońcy jej procesowego przeciwnika, napisać: „Walilibym, waliła w jego czaszką, aż w rozbity mózg wtłoczyłabym na powrót jego słowa”?

Nazajutrz sobota, 29 stycznia. Mowa obrończa doktora Vario przez trzy godziny trzymała publiczność w napięciu. Oparta wyłącznie na faktach, sprawiła, że sympatia publiczności wyraźnie przychyliła się ku wciąż jeszcze oskarżonej. Anka siedziała, a ściślej leżała w wyplatany fotelu. Otoczona poduszkami; gdyby nie one, opadłaby niechybnie na któryś z boków (po lewej stronie czy prawej, to w tej chwili nieważne) lub runęłaby na twarz. Znowu nie jadła od wielu dni; najwyżej kawa ze śmietanką. I dla doraźnych efektów silne medykamenty, coraz wyraźniej osłabiające nerwy.

Adwokat Vario podniósł znaczenie momentu, kiedy komisarz Kasziński, działając jak na zawodowego policjanta śledczego przystało, na natarczywe pytania Korowskiej o stan Gali (który od niedawna już nie żył) zapewnił ją, że Gala żyje i odzyskuje przytomność. Korowska odetchnęła, cieszyła się bardzo, uradowana wyjaśniała. Oczywiście, gdyby Gala została raniona z ręki Korowskiej, zeznałby to na jej niekorzyść - być może tuż przed zgonem. Gdyby to Korowska strzelała, bez względu na okoliczności towarzyszące zajściu, byłaby zaniepokojona, zmieszana, wręcz zmartwiona i przestraszona na wieść o polepszeniu się stanu denata. Gdy ranny zacznie mówić, będę zgubiona, myślałaby zbrodniarka lub przypadkowa zabójczyni. Korowska bardzo się cieszyła, tak!

Gala lubił teatralne gesty - był niewątpliwie z ducha artystą, poza tym człowiekiem teatru. Gdy w pompatycznym geście stanął w najlepiej oświetlonym miejscu pokoju, jak na scenie, i powiedział: „Przyjdzie człowiekowi zdechnąć” - przyłożył pistolet do skroni. Jak wiemy, pistolet ten, nowoczesny, jest bardzo czuły. Wystarczyło drgnienie ręki i... i wszyscy wiemy, stało się coś najgorszego.

- Znaleźli się przyjaciele - mówił o genezie nieszczęścia - którzy otoczyli Annę Korowską wtedy, kiedy przyjechała do Krakowa już tylko po to, żeby się przygotować do rygorozum. Zaczęli zrywać bandaż z ran już podgojonych, powiadamiając ją o rzekomych zabawach mecenasa Gali jej kosztem, o kpinach urządzanych w formie popisów przed oficjalną narzeczoną z posługiwaniem się cytatami z najbardziej serdecznych i intymnych listów Korowskiej do niego, niedawnego nie tylko kochanka, lecz i poważnego mężczyzny, który zapewniał, że będzie jej towarzyszył w dalszej drodze przez życie. Czy można sobie wyobrazić człowieka, który przejdzie bez mrugnienia wobec takich prowokacji? Czy można sobie wyobrazić kobietę, którą wokół „przyjaciela” na każdym kroku informują o deptaniu jej godności butami człowieka, którego nie przestała kochać, ale którego już zdołała wyrwać z własnego serca? Jedno, co mogła zrobić, to wydobyć listy, ślady swego uczucia - mniej

lub bardziej literackie, ale zawsze serdeczne świadectwo żaru. Jak miała to zrobić? Jak wyciągnąć listy-wyznania, którymi były przyjaciół posługiwał się podobno jako zabawką w grze miłosnej z inną kobietą, a i w każdej chwili mógł się posłużyć jeszcze inaczej - szantażując mianowicie męża pani Korowskiej? Jak? Jak wydobyć te naznaczone atramentem papiery? Może poprzez obietnicę złożenia zeznań przed sądem Ligi Ochrony Czcii? Innego wyjścia nie było. Gala - słusznie czy niesłusznie - uważał, że zeznania pani Korowskiej ocaliłyby jego karierę, ba - bezwzględnie decydowałyby o jego losie. Bez tych zeznań argumenty strony przeciwnej musiałyby się okazać drugocenne. Co miało być w tych zeznaniach, co jeszcze? Zapewne coś, o czym nie wiemy i czego nie dowiemy się nigdy. Jedno jest pewne - pewny jest mianowicie brak dowodów winy pani Anny Korowskiej. Tajemnica tamtej czerwcowej nocy pozostanie nierozświetlona!

Przy ciszy na sali - przerywanej westchnieniami z niewiadomego źródła (oprócz szlochów i posapywań słychać było coś na podobieństwo odległych, konsekwentnie zrytmizowanych pomruków olbrzymia) - doktor Vario przemawiał przez trzy godziny. (Spośród tych, którzy tam byli, większość odniosła wrażenie, że mowa trwała najwyżej kwadrans).

Po przerwie prokurator zrzekł się repliki.

Adwokat Włókniarowicz również.

Anka na pytanie przewodniczącego, czy mając do tego prawo, zabierze głos, odrzekła:

- Nie. Już nic. - Podniosła wzrok na ławę sędziów przysięgłych, każdego z tych ludzi wybranych obdarzyła osobnym spojrzeniem i głosem mocnym, czystym - jakiego nikt by się teraz nie spodziewał w tej wymizerowanej, wychudłej kobiecie - pewnie wymawiając każdy wyraz, z wyważonymi, ale bez aktorskiej emfazy, akcentami, rzuciła w przestrzeń:

- Obecnie niech mówią sumienia i mózgi.

Echo. Echo - odbite od ścian przepelnionej po brzegi sali?

Niedziela, 30 stycznia, przed południem, w dniu, w którym ma być ogłoszony wyrok, Anka decyduje się w końcu na spotkanie z mężem, który od samego rana jest na terenie Sądów, kręci się, zirytowany domaga się umożliwienia rozmowy z żoną. Ha, ale jeśli ona sama nie chce? W końcu wyraża zgodę: tak, niech Stefan przyjdzie, ale rozmowa nie może się odbyć w cztery oczy i nie w towarzystwie wyłącznie straży więziennej. Mecenas Rafał Regenbogen będzie świadkiem rozmowy. Jest żywo zainteresowany sprawą, ale w czasie rozmowy pozostanie milczący. Taka umowa.

Godzina czwarta po południu. - Nasylenie - ktoś mówi - masą ludzką.

Dwa kordony żołnierzy policyjnych od rana osłaniają terytorium Sądów.

Mimo to ciężko jest żandarmom przeprowadzić tych, którzy dziś tutaj będą pracować, przez skłębione już od samego świtu tłumy.

Jasna sala, seledynowe elementy; barierki, owe secesyjne esy-floresy, wynik niedawnego remontu. Więźniowie wnoszą Annę Korowską; ze stołka przemieszczają ją na fotel pełen poduszek. Majanka pomaga półułożyć bądź nawet ułożyć Korowską, ta jednak (wydaje się, że waży na niej tylko ubrania) decyduje się na postawę siedzącą. Trzeba więc tę siedzącą zabezpieczyć jeszcze dodatkowymi poduszkami, powciskać je, pouciszczać tak, żeby osłabiona nie wypadła z fotela jak pusta łubianka z wozu.

Przysięgli wybrali zwierzchnika, jest nim siwowłosy, czerstwy, o rumianych policzkach, rosły, prosto trzymający się starzec, Adam Zawarcki, urzędnik Towarzystwa Wzajemnych Ubezpieczeń. Po ogłoszeniu tego faktu przysięgli udają się na naradę. Zmierzcha. Zegar wskazuje za siedem minut szóstą po południu.

Zapalono światła. Twarz Anki w tym świetle biała jak śnieg (przed chwilą miała kolor gromnicy); gra światel zdaje się potwierdzać sens przewiązania oczu Temidy. Ruch wokół fotela

oskarżonej. Po chwili wynoszą ją - po raz pierwszy w pozycji leżącej - lekarze, a więźniowie i Majanka tylko podtrzymują omdlałą (tak podtrzymuje się piórko, żeby nie uleciało). Tymczasem między adwokatem Vario a prokuratorem toczy się zażarta dyskusja, zwracająca uwagę publiczności. Redaktor Boeck notuje dla swojego dziennika tekst, który zaraz przekaże telegraficznie:

„Prokurator wyraził sprzeciw na nagle przedstawioną propozycję obrońcy oskarżonej, aby zwierzchnik przysięgłych zadał jeszcze trzecie pytanie: Czy w związku z wydarzeniami tamtej nocy sąd przysięgłych uważa, że Anna Korowska przyczyniła się do śmierci Romana Gali? Mecenas Vario obstawał przy swojej wersji i zwrócił się z propozycją do trybunału. Przewodniczący trybunału oznajmił, że trybunał odmówił. Pytania dodatkowego nie będzie”.

Jest za dwadzieścia pięć siódma, kiedy zgromadzonych dobiega informacja, że przysięgli zakończyli naradę. Głosy stąd i z widowni - w oczekiwaniu na ich powrót. Przewodniczący trybunału zwraca uwagę na nieobecność Korowskiej. Więźniowie wnoszą ją, już od razu w fotelu. Od fotela, oprócz żandarma i Majanki, nie odstępuje teraz doktor Kwiatkowski. Stoi najbliżej, dyskretnie nachyla się ku prawemu ramieniu chorej.

Przysięgli już są. Zajęli swoje miejsca. Ogromna cisza. Jest dwadzieścia minut po siódmej wieczór, kiedy zwierzchnik przysięgłych czyta:

- Na pierwsze pytanie, czy Anna Korowska winna jest, że w nocy z dnia czwartego na piątego czerwca 1909 roku w zamiarze pozbawienia życia doktora Romana Gali strzeliła do niego w sposób zdradziecko podstępny z pistoletu browninga w ten sposób, że Gala ugodzony pociskiem życie stracił - na dwunastu obecnych przysięgłych dwunastu odpowiedziało: nie.

Cisza. Zwierzchnik przysięgłych trzyma w ręku dokument, lecz już nie czyta. Mówi:

- Na drugie pytanie, czy Anna Korowska winna jest, że w nocy z dnia czwartego na piątego czerwca 1909 roku, wprawdzie nie w zamiarze zabicia, atoli w innym zamiarze nieprzyjaznym,

strzeliła do adwokata doktora Romana Gali w ten sposób z pistoletu browninga, że adwokat doktor Gala wskutek tego życie stracił - na dwunastu obecnych przysięgłych sześciu opowiedziało: tak, sześciu odpowiedziało: nie.

Hałas na sali. Oklaski mieszają się z okrzykami:

- Hańba!

- Fúj!

Zdające się nigdy nie umilknąć (ale, rzecz jasna, umilkną), wciąż narastające oklaski zagłuszają skutecznie coraz mniej już sugestywnie dozowane wrzaski oburzenia i dezaprobaty.

Niewinna. Ale...

Widzowie i wolni uczestnicy powrócili do swoich domów, nasytzeni wrażeniami, żeby snuć refleksje, dzielić się spostrzeżeniami z bliskimi - innymi wolnymi ludźmi. Roman Gala leżał w dwóch trumnach, dębowej i blaszanej (ta ostatnia z firmy Butelski, dawniej Flaszen, róg Sławkowskiej i Świętego Marka, na wypadek gdyby trzeba było eksportować do grobowca rodzinnego we Lwowie), na razie w gościnnym grobowcu krewnych, Lassów, w pierwszej od wejścia od lewej alei cmentarza Rakowickiego, gdzie najwspanialsze, najstarsze grobowce z rzeźbami dłuta takich mistrzów jak Kurzawa, Filippi, Pleszewski, Guyski. Anna Korowska powróciła niestety znowu do celi więziennej. Po emocjach procesu ma się, o dziwo, lepiej, choć napięcie spowodowane u każdego w jej sytuacji koniecznością ośmiu dni oczekiwania na tak zwane wywiedzenie zażalenia nieważności, zgłoszonego przez prokuratora, powinno źle wpływać na jej samopoczucie. Widocznie dotychczasowe napięcie było nieporównywalnie dojmujące i bolesne - coś jak bezwzględny ucisk krwawiącej kończyny stazą, celem uniknięcia wykrwawienia się rannego, uratowania mu życia.

Co z tym wywiedzeniem zażalenia nieważności? Jak było dalej przed paru godzinami? Otóż na podstawie werdyktu trybunał ogłosił wyrok uniewinniający Annę Korowską od zarzutów zarówno morderstwa, jak i zabójstwa. I wtedy prokurator zgłosił zażalenie nieważności.

W sześć dni później, w sobotę, 5 lutego, wiadomo już oficjalnie, że wyrok na piśmie doręczył prokuratorii państwa starszy radca, sędzia Szabelski. Sypialnia na Sławkowskiej, w której wydarzył się dramat, do chwili ostatecznej decyzji szefa nadprokuratorii, doktora Laskiewicza, nadal musi pozostać opieczętowana. Aż do uprawomocnienia wyroku. Lub...

Sytuacja Anki zmieniła się o tyle, że zgodnie z prawem otrzymuje wreszcie już bez specjalnych poleceń wikt szpitalny. Więc ten rosół i kawałek gotowanego mięsa. Niedzielny „Czas” przyniósł następującą wiadomość, może bardziej krzepiącą niż ten posiłek:

„Dyrektor zakładu wodoleczniczego w Salzbrunn pod Wiedniem nadesłał list, oferujący pani Korowskiej bezpłatny pobyt w zakładzie w razie jej wyjścia z więzienia”.

3. Jedno z wyjść

Nie tu, gdyby już. I jak najdalej od niego.

Od nich. Od umarłego i od chama sybaryty, który kiedy ma ochotę, zabawia się w jej męża, kiedy chce, określa się jako rozwiedziony. Separacja - głupie pół kroku. Ircia. Hm, żeby mieć paręset koron, on - bo jest mu to teraz z jakichś powodów wygodne - gotów zrzec się ojcostwa, prawa do Irci. Tak. Paręset koron i - żeby Stefan, bałwan a krętacz, były poeta, po raz drugi i trzeci nie żądał wypłaconych mu pieniędzy - drugie tyle na dobrego adwokata. Na adwokata? Nie, nie; żyć dalej - już bez adwokata.

Odganiała myśli o tym, co będzie, jeśli zostanie uwolniona. Miała za sobą dwa procesy, pół roku uwięzienia, poznawała te perfekcyjnie funkcjonujące tryby wymiaru sprawiedliwości, już ani przez chwilę nie wątpiła, że w większości sytuacji nie o prawdę tu chodzi, lecz o politykę.

I również obecnie, na tym ostatnim etapie, to, czy sprawa już się zakończy i można będzie sobie gdybać, czy też przyjdzie

jej gnić i marnieć w oczekiwaniu na rewizję procesu czy na jakiś proces następny, zależy najpewniej od obecnych układów politycznych. Inaczej byłoby cztery miesiące temu, inaczej będzie za miesiąc. Nie myśleć o tym naprzód, w tym wypadku nie wolno planować.

Coraz częściej stawała jej przed oczami twarz artysty malarza. Nie miała siły wstać z pryczy, opierała się tylko głową o ścianę, patrzyła w zakratowane okienko wykute w murze grubym na półtora łokcia, widziała tam kawałek nieba, wpatrywała się; największym jej pragnieniem był wzlot, znalezienie się tam, może pośród niebieskich przestrzeni, bo tam, zdaje się, jest podobnie jak na zielonych przestrzeniach Błoń. Wzlot? Po co od razu wzlot, skoro ma on poprzedzić dotkliwy upadek? A może wyjście normalne, opadnięcie w szarość miasta, w błocko, z którego może się uda, może nie uda się obmyć - myślała o wysychaniu błota, o jego zeszkrobaniu, o tym, co później samo opada jako pył, ale nie mającyla, była czujna, a jednak... Gdy zamykała na chwilę oczy, widziała tę jego twarz, trochę lwią; żółtawe oczy, prosty gruby nos, zgrabny i zdecydowanie w przód wysunięty podbródek. Opowiadając o tych upartych zwidach Majance, wytłumaczyła to tak samo, jak tłumaczyła sobie: widocznie malarz, którego raz na pewno widziała na obecnym procesie (choć tym razem nie przebywał już w charakterze rysownika), często o niej myśli.

- To tak można komuś pokazać się poprzez uporczywe myślenie o tym kimś?

- Owszem. To mniej więcej tak, jak kogoś przywołać wzrokiem. Wywołać z tłumu bez używania głosu.

- Pani się to już zdarzało?

- I jedno, i drugie. Nieraz.

- Pani to dużo przeżyła.

- Za dużo. Wolalabym na tym zakończyć.

- Grzech.

- Nie myślę o samobójstwie. Mówię o przygodach. Od kilku lat, zanim to się stało, marzyłam o spokojnym życiu. Bo wcześniej nie. - Zaśmiała się strasznie, zasłoniła usta, świadoma,

że od tygodnia w dolnej szczęce brakuje z przodu zęba, lewej trójki: - Ale nie o życiu w więzieniu. Dobrze, że przynajmniej nie mam gruźlicy.

- Szczęście, że się pani tak trzymo. Jo zem mojemu staremu mówiła o tym paninym niejedzynie, to ino ręką machała, a nadziwić się ni mógł, że pani tak pięknie mówi.

- Też mu to Majanka opowiadała? Jak to?

- A nie, nie, to przecie nie do powtórzenia takie piękne zdania. Był raz na rozprawie w niedzielę, bo ino w niedziele mo wolne. O mnie mówił, he, he, że dostojnie wygładam!

- Inaczej niż w domu.

- W domu to ja jego baba jestem, proszę bardzo, na zawołanie mojego króla, a tu - sierżant. Sierżant ze mnie. Śmiał się ino, gadoł, że jakby mnie nie znoł, toby się mnie boł nawet, choć on nie bojny!

- Ano różnie ludzie się przebierają. Dopiero w chorych jest więcej naturalności.

- Piżamy wszyscy mają i takie same łózka.

- W szpitalu - tak. Ale mówię ogólnie o ludziach poważnie chorych. Obłożnie, ostatecznie. Oni nie mają siły udawać. Nie widzą potrzeby przebierania się.

- To do tego Widnia, czy tam pod Widniem, co panią tyn derechtór zakładu zapraszo, to sie pani zapewne wybierze?

- Niech Majanka nie mąci mi w głowie. Wszak...

- Wszak! Wszak to taki, co mu wszy ze łba aże kapią. Pani mi tu będzie ze swoim wszakiem wyjeżdżać. Ja ta wim - wypuszczą panią kochaną jak nic!

- Bo?

- Bo dosyć już mają wstydu - ściszyła głos - z tym niby paninym nieboszczykiem nicponiem.

- Że kobieciarz?

- Cii! A co mi tam. Powiem pani. Alejo tego, jakby co, się wyprę, dobra? No! Ten wstyd z nim to to, że on był cholerny zmiennik!

- Zmiennik?

- Że z Widnia pobierol złoto i z Petersburga pobieral złoto.

- Co też Majanka?
- Wiary naszy to un się już dawno wyparł. To pani wi, że niby ta buda jakoś czy narwana...
- Budda? nirwana?
- No! No! Tak samo! Pani, pani, żadnygo krześcijaństwa, i patrz pani, co pieniądz może: takiego antychrysta pochowali na Rakowicach!
- Ale co też Majanka? Że niby szpieg? No, na każdego można dziś rzucić... ale żeby aż takie pomówienie? Pierwsze słyszę, choć... Czyż to może być prawdą? Szpieg? I podwójny?
- A jak! A już moskiewska agentka i kurwizjon agencja-ków ochrony, wyższych, rzecz jasna, to ta nieboszczyka Gali niby narzeczona, Pogańsko, taka hrabina, co dupe wygina. Tak powiadają.
- Gdzie?
- W ludzie! A jak już lud tak gado, to znakiem tego takie jest ogólne nastawienie.
- Niech mnie Majanka nie nastawia, bo nie wytrzymam zawodu.
- Jo nie nastawiam, ino mówię. Mówię, ale jak co, to sie wyprę!
- A mów sobie, mów.
- Już pani kochanej te suknie czarną wyszykowałam na wyjście.
- Ja wyjdę? Jak ja wyjdę? Słabam.

W ostatniej chwili zmieniła zamiar. Fiakrowi powiedziała głośno, żeby z więzienia powiózł ją do Astoni, a kiedy ruszył - już przy stukocie kopyt, żeby żaden zbieracz informacji nie usłyszał ani pół słowa z miejsca, w którym by podsłuchiwał - powiedziała:

- A jednak nie do hotelu. Niby tak, a potem pan skreśli. Jedzmy jaką już pan chce trasą, ale na Lubicz.
- Mimo pełnej bowiem, zdawałoby się, dyskrecji - dobroduszna twarz prezesa sądu karnego, doktora Libowskiego, pełen szacunku, szarmancki pocałunek w rękę od doktora Kwiatkowskiego,

któremu specjalnie dziękowała za opiekę - w dwa dni po rozmowie z Majanką, we wtorek 8 lutego, dorożka przywołana z postoju przy placu Franciszkańskim staraniem dyrektora więzienia, drobnego, niepozornego pana Niedziałka, przyjechała wprowadzić po nią samą, ale oto nie wiadomo skąd powyskakiwali żurnaliści (jeden całkiem jawnie przyjechał powozikiem). Dlatego powiedziała, że do Astorii. Miała jakiś dziwny zamiar, żeby tam wrócić, przecież nie chodziło o rzeczy, te wkrótce trafią do niej z depozytu policyjnego czy sądowego, wszystko jedno. Chciała spędzić tam tę jedną noc, która wtedy, z 4 na 5 czerwca spędzona niespodziewanie gdzie indziej, zdawała się na nią czekać odłożona w czterech ścianach pustego numeru. Ale nie, to zbyt okrutne, choć przecież możliwe. Lecz jakże niewłaściwe by było. Tu, w tym mieście, może się zatrzymać tylko w dwupiętrowym domu z ogrodem przy ulicy Lubicz. Profesor Ernest, który ozdobił swoją kamienicę od frontu popiersiami znanych polskich artystów, a w ogrodzie - na którego tyłach wciąż się rozbudowują pracownie mikrobiologiczne i powstają nowe wytwórnie szczepionek - na białych postumentach ustawia wciąż nowe popiersia polskich zwycięzców i pokonanych bohaterów, zamawiane systematycznie u artysty Korpala. Na taką rozrzutność dla zapewnienia rodzinie, personelowi i sobie luksusu obcowania z galerią rzeźb stworzonych na chwałę kultury i ducha patriotycznego nie tylko to, że nie mógłby sobie pozwolić nikt ze stanu profesora Ernesta, ale przecież ani jeden arystokrata galicyjski o sporządzeniu podobnej, pożytecznej dla ducha dekoracji ani wcześniej, ani teraz nie pomyślał. Ernest, wyobcowany, bo rodem z Litwy, wykształcony w Królestwie, w Galicji przybysz, zawstydział krakowian, budził nieufność. Gdyby nie to, że przyjaciel Pasteura, człowiek-instytucja, rękojmia i wybawienie w razie epidemii, to miło by było go wyświecić z miasta. No i ta zgraja wychowanie pod opieką jego strasznej żony, strasznej, bo radykalki, socjalismuski, ale takiej także nie przystającej do tutejszych. Anka wiedziała, że dom profesorostwa Ernestów, w którym mieszka i wychowuje się Ircia, stoi dla niej otworem. Potem się zobaczy,

a teraz... nie; pomyślała, że mogłaby jak niegdyś pracować i szesnaście godzin na dobę, ale w tym momencie musiała się zająć ocieraniem potu z twarzy. „W jednej chwili tak niby z niczego ta blada gęba zalana potem - zauważyła z bezsilną wściekłością. - I plecy, Boże, jakbym wyszła z kąpeli i weszła na pokoje bez użycia ręcznika”.

U Ernestów postanowiono: Ircia zostaje tutaj, na Lubicz. Zabieranie dziewczynki na wielomiesięczny co najmniej rekonwalescens równałoby się poniewierce. Anka - o tym wie każdy rozsądny człowiek - nie może pozostać w Krakowie do końca swoich dni (tak, tak, nawet gdyby wybrała status żebraczki!), ma natomiast - dzięki Ernestom - kilka niezłych adresów ludzi-institucji w Galicji wschodniej. Gdyby wszystko poszło niezgorzej, po kilku latach mogłaby dojść do stabilizacji i wtedy wziąć do siebie już na stałe dobrze u Ernestów kształconą i uświadomioną, i przeto rozsądną Ircię.

- Uczucia uczuciami - mówiła Katarzyna - sama wiem, jak się czułam, kiedy musiałam naszą Helę powierzyć Chramcom w sanatorium. - W sumie ponad dwa lata rozłąki. Ale świadomość, że to na korzyść dziecka, szybko zszywa rozdarcie.

4. Jak wygasają uczucia

*Artysta malarz Jacek Noylewicz
Kraków, ul. Dunajewskiego 1*

Najdroższa Anko,

Ty nawet nie wiesz, jak mnie, „bieżeńca z piriwislanskoj obłasti”, cieszy, jak raduje, nowe poddaństwo, żeby nie powiedzieć: narodowość - ach, jak ja się czuję pięknie a bezpiecznie, ze świadomością, że najjaśniejszy Cesarz miłowany otacza mnie „swemi gorącemi ramiony”, che, che, che, czuję nawet

dotyk jego rumianych policzków, szorstki dywanik bokobrodów - no, ale dosyć żartów, bo co do obywatelstwa, zobaczy się w praniu, już z końcem wiosny, za oceanem. Spal zaraz ten list, nie może zostać najdrobniejszy nawet ślad po precyzyjnej robocie Marianka nad falsyfikatem paszportu. Spal więc list tam u siebie, w szpitalu w Złoczowie czy w Podhorcach. Będzie Ci on bowiem właśnie osobiście przez autora majstersztyku, artystę litografa, Marianka dostarczony i po przeczytaniu w jego obecności go spalisz, bo wiesz dobrze, że zawsze może się znaleźć w najbliższym nawet (niby) otoczeniu szuja, kanalia, zarsrane półdiabłą, ktoś znaczy, kto wykorzysta na zgubę wykorzystanego.

Co do mnie, jestem prawie pewien, że co najmniej trzy czwarte pasażerów, pasażerek i pasażerąt naszego czy to „Kaisera Franza Josepha I” czy „Marthy Washington”, czy „Oceanii”, czy może „Laury”, w każdym razie jednego z tych pięknymi imionami i szampaniskiem ochrzczonych parowców szacownej Austro-Americany, będzie się posługiwać fałszywymi papierami, ale sama powiedz, najczarowniejsza, co znaczy dokument, sporządzony rękami ludzi nawykłymi do grzebania się w nieczystościach, wobec autentycznej potrzeby dokonania zmian w życiu. Dokonania zmian przez osoby czystsze niż te, które uzurpują sobie decydowanie o ich losie.

O Twojej czystości mówić nie trzeba, pracujesz tam, to w Złoczowie, to w Podhorcach, to w Truskawcu, dlaczego do stu piorunów nie w Bochni na przykład, bo blisko Krakowa, to także Galicja (wszyscy już pozapominali, a zresztą, co złego, to nie ty; co ty w ogóle wyprawiasz, jak ja mogę w świetle Twojego postępowania widzieć dalsze swoje życie wyznaczone mi przez los; coś tu, sama to czujesz, nie gra), od lat sypiasz, co mi doniesiono (bo i ja na tym świecie mam donosicieli), po trzy, cztery godziny na dobę, ty, pani doktor, nie wystarcza, że wykonujesz prace lekarki i w jednej osobie chirurga? Czy musisz się mieszać w cudze sprawy i spełniać ponadto najgorsze posługi pielęgniarek, salowych, a nawet panów noszowych, łącznie z myciem zwłok i układaniem ich odpowiednio w stronę

wiecznego spoczynku, no i co? A gdzie reszta? Gdzie życie, życie nasze?

Ileśmy się to razy przez te dwa lata widzieli? No, cztery razy, prawda, bo ten piąty, w przelocie, w ubraniach, nie liczy się, przynajmniej dla mnie, mówię to szczerze. Czegoś tu nie rozumiem. Skoro mamy tam już, za oceanem, połączyć się na stałe węzłem małżeńskim, skoro i tu jesteś już wolna, bo twój były mąż faktycznie zmienił wyznanie na ewangelicko-augsburskie z miłości do jakiejś kuchty (patrz, jak twój świętej pamięci teść wyczuł, ba, przeczuł nawet, a niby chory fantazją!), to dlaczego tak wzbranasz się przed byciem razem? We trójkę, z Irunią twoją, która już należy tylko do Ciebie. No widzisz, nie dowierzając, musiałem cię przekonać, że można to załatwić - z Twoją, ma się rozumieć, pomocą, sprawa została załatwiona w cztery oczy między byłym poetą a czynnym artystą malarzem. Ale to chyba nie objaw uwiadu opilczego - jak liście osiki trzęsące się ręce, kiedy podpisałwszy dżentelmeński weksel, brał ode mnie nasze pieniądze, co?... A ja czekam chwili, kiedy będę mógł uznać to Twoje dziecko także za swoje. Za, skoro tak już się to musi nazywać, za pasierbicę. Pół majątku bym dał, żebyśmy mieli jeszcze i nasze własne dziecko, ale, jak widać, wskutek Twoich przeżyć, organizm nie wytrzymuje i za każdym razem - bo pomyśl sobie, cztery spotkania nasze i cztery Twoje ciąży - organizm więc sam wyrzuca z Ciebie płód! Pytałem profesora L-skiego, który zajmuje się metapsychiką, oczywiście oględnie i przy okazji, „pocieszył mnie”, że zdarzają się takie przypadki: w takiej sytuacji kobieta spełni się jako matka od chwili poczęcia do porodu tylko wtedy, kiedy jej partnerem seksualnym będzie mężczyzna, który nic nie wie o ponurych sprawach dotyczących jej przeszłości. Jeżeli chcesz, mogę całkowicie zapomnieć.

Na razie zapominam - ale tylko niekiedy, i to wyłącznie podczas starć z czystym płótnem, które jak najstraszniejszy nikczemnik gwałcę pędzlem unurzany w farbach i w ten sposób wytwarzam złoto. Do moich portretów ustawiają się kolejki, terminarz mam załadowany na ponad pół roku, nikomu z tych

wyniosłych albo jeszcze gorzej, udających swojaków bogaczy nie mówię, że niebawem wyjeżdżam, niech się potem obejdą smakiem. Niech ich Axentowicz maluje albo Styka. Fotograf robi dokładne zdjęcia każdego portretu mojego pędzla, zanim pięknie oprawione płótno pójdzie do portretowanego, mam już spory album mych dzieł, poza tym reprodukcje w prasie krajowej i zachodniej, utrwalam sobie wyrobioną markę.

A teraz na osobnych kartkach (możesz je, a nawet powinnaś zachować) rewelacje.

Po pierwsze. W Paryżu zaraz na początku roku aresztowano Grzegorza Rabinowicza. Zdjęcie fotograficzne, zamieszczone w paryskich tygodnikach (które abonuję chi, chi! z racji wzmianek o moich nieustających sukcesach), jest na dobrym poziomie (technika rotograwiury) i daje efekt wstrząsający. Ten podlec, ten łajdak, nazwiskiem Rabinowicz, to wypisz wymaluj, Najdroższa, nasz oskarżony ohydnie o zdradę nieboszczyk Stanisław Brzozowski. I teraz masz, czemu to podczas procesu obywatelskiego Bakaj tak kłamał w żywe oczy. On, drań, bo drań, ale okazuje się, nie całkiem kłamał. On tam w biurach ochrony stykał się z Rabinowiczem, który - z racji uderzającego podobieństwa do Brzozowskiego - za Brzozowskiego się podawał.

Masz *tableau* - tak samo, no, identycznie, jak jakaś najpoddlejsza baba podawała się wtedy za ciebie! Metoda? Po co? Ruch rewolucyjny zniszczyć? Nie, nie, Anko. Nas zniszczyć, Polaków!

I teraz co. Masz, babo, placek. Albo raczej - musztardę po obiedzie.

Oto: Rabinowicza aresztowano w Paryżu z powodu szantażu i wymuszania. Rabinowicz, były agent ochrony, to syn bogatego kupca z Odessy. Powiedz, po co mu to było - ach, jak ludzie potrafią być chciwi, jak bezwzględni w dążeniu do... już nie powiem do czego, bo mi się na wargi cisną najbardziej wulgarne wyrażenia. Otóż ta wymiocina społeczna, ten Rabinowicz, jeszcze jako uczeń gimnazjum, kradł. Okradał kolegów, ba,

profesorów, chociaż w domu rodzinnym miał wszystko. Podrabiał weksle własnego ojca. Rozumiesz coś z tego? Uciekł za granicę, wstąpił do departamentu policji rosyjskiej (tłumacząc *ad hoc* z francuskiego, ale i „Czas” nasz podaje) i już jako funkcjonariusz ochrony został wysłany do Genewy w celu śledzenia komunistycznych rewolucjonistów.

Już widzę, czuję, jak cała płoniesz, kiedy to czytasz, jak nie czerwienieją, ale pięknie ciemnieją Ci Twoje nigdy nie do zapomnienia koniuszki... uszu. W Genewie jednak aresztowano go, bo nie mogąc pohamować swoich instynktów, usiłował przekupywać tamtejszych listonoszy. Listonoszy szwajcarskich, Ty to czujesz? Chyba głupiec. Wykaraskał się szybko, jeździł po wielu miastach Europy. W Wiedniu - znów przyaresztowany, tym razem jako szantażysta. Ale i stamtąd szybko „swoi” go wyciągnęli. Siatka rosyjskiej policji rozpięta jest wszędzie. Cenny był dla nich, tak myśleli widać, ten Rabinowicz. Kierując się jego wskazówkami, słanymi do Petersburga, ochrona aresztowała kilkadziesiąt osób, które miały przygotowywać zamachy terrorystyczne. Wyszło wprawdzie niebawem jawne kłamstwo tych jego doniesień (każdy drań mógłby to zrobić w parę godzin, dysponując książką adresową i kawałkiem ołówka w ręku), ale Rabinowicz ze strony ochrony uniknął kary. Przeciwnie - i bądź tu, człowieku, mądry - ponownie go tam przyjęto jako płatnego regularnie agenta. Jeździł po Europie jako taki już właśnie, oficjalny tajniak, i w tym charakterze udało mu się na przykład wydobyć od posła rosyjskiego z Brukseli pięć tysięcy franków „na potrzeby śledztwa”. I tamże, w Brukseli, obracając się w najlepszym towarzystwie, Rabinowicz poznał na wyjściach pewną Angielkę. Oczarował ją tytułem „naczelnika tajnej policji rosyjskiej”. Ot, wyrefinowanie godne stajennego! A baba uwierzy, no bo wiesz, ten urok! Potrafił wyłudzić od niej klejnoty, masę pieniędzy - i z tym wszystkim po pewnej upojnej nocy skoro świt zwiął do Paryża. On myślał, że Angielka wstydliva, naiwna, że da sobie spokój i jemu. Trafiła jednak kosa na kamień.

Oszukana, obrabowana i pokrzywdzona, schowała dumę

(nie wiem, gdzie takie damy chowają dumę) i zwróciła się z kłopotem do Giersza, posła rosyjskiego w Brukseli. Giersz posłał dalej, do departamentu Policji. Złapali wreszcie Rabinowicza, potwora przecież, który zniszczył Stanisława, zniszczył Ciebie, chciał zniszczyć nas, Polaków i nas - nasz załazek najprawdziwszego uczucia. Złapali Rabinowicza, rozumiesz, zwykłego szulera, bezdusznego hochsztaplera, cyniczną ludzką kanalię, chyba sam szatan chciał, żeby aż tak podobnego do Brzozowskiego... Ten Rabinowicz już w Paryżu, będąc tam zaledwie przez trzy dni, zdołał jeszcze wyłudzić sporo złota od bawiących tam Rosjan. Dusza towarzystwa, potwór. Zniszczył. I to już nie do naprawienia. A on? Pewnie po aferze, odpowiednio przez swoje naczalstwo zdopingowany specyficznym szantażem, niebawem wypuszczony, pójdzie w świat, żeby dalej torować drogę najgorszemu złu, dogadzając sobie. Tak, do takiej roboty nadają się tylko bezwzględni.

Nie zapomnij spalić pierwszej części listu, jeśli by nawet Marianek zapomniał, zagapiwszy się na Ciebie, zrób to. Nie możemy dopuścić do tego, żeby jakiś sługusik szatana zrobił z Ciebie raz na zawsze kobietę fatalną. Rany Boskie, modłę się za Ciebie.

Tylko Twój - Jacek

Kraków, 12 stycznia 1912

*Szpital Miejski
w Złoczowie
Oddział Zakaźny I.*

Kochany Malarzyku, wielki mistrzu Jacku,

wyjadę stąd za ocean, czy wyjedziemy razem, ale pozwól tyłkom tych swoich najszacowniejszych modeli zasiadać jak najdłużej na wygodnym fotelu naprzeciw Twojej sztalugi. Zaspokój ich snobizm, oni niech obciążą Twoją kasę czystym złotem. Widzisz sam, nadszedł czas wypływania. Wydostają się na wierzch rzeczy tak cuchnące, że tylko ktoś, kto tak jak ja pracuje

w szpitalu, nie padnie zemdlony od ich smrodu. Poczekam, aż wypłynie całe to gówno. Wtedy ja będę mogła spokojnie wyjechać. Ja - czysta. Czysta zupełnie, zrozumiesz? I Ty - niepobrudzony przeze mnie. Przecież nie mogę (czy nie możemy, jak już tam sobie uważasz) wyjechać jeszcze teraz. Jakąż dałabym satysfakcję im bardziej zramolałemu, tym bardziej zapiekłemu Trybunowi, jaki zawód sprawiłabym tą rzekomą ucieczką pięknym postaciom Lwowa, doktorowi praw Rafałowi Buberowi, który nie pozwolił, żeby chory Stanisław Brzozowski dogorywał w nędzy, i szlachetnemu Oskarowi Katzenellenbogenowi, pisarzowi, także adwokatowi, ale który - choć już niepraktykujący, to jednak sławny - słowem honoru nie tylko za Brzozowskiego, ale i za moją niewinność poręczył?

Czy już słyszałeś, czy wiesz, za czyje pieniądze wielki rewolucjonista Burcew wydawał w Paryżu anarchistyczne pismo? Za pieniądze petersburskiego departamentu tajnej policji! Za pieniądze, ty sobie to wyobrażasz, ochrony?!

Skąd to wiem? I ty się niebawem dowiesz, za parę dni na pewno poda to także „Czas”, najszybciej i bardziej obiektywnie niż „Nowa Reforma”, o „Naprzodzie” zakłamanym już nie wspominając. Nie wspominając. Tak, „Naprzód” wołałby nie wspomnieć - ale sprawa zbyt ważna, żeby tak łatwo ukryć. Najwyżej w wyskrobanym spod brudnego paznokcia komentarzu podadzą to w wątpliwość, ha, ha! Nie pierwszy raz odkryją własną słabiznę. Dobrze. Więc tak: jest tu żona jednego z naszych lekarzy, ach, jaka, mój Boże, sympatyczka przemian, do której jakimś cudem od czasu do czasu docierają „Nowoje Wremia”. O, masz, sensacja świeżej daty. Numer z 30 maja. W paryskich kołach rewolucyjnych kilka lat temu - w interesującym nas czasie - kręcił się miły, uczynny, gładki chłopiec Lew Bettner, zwany Lowuszka. Sam wdzięk. Stał się najpopularniejszą postacią w sferach emigracyjnych. Coraz bliżej, coraz bliżej - i w końcu doszło do tego, że nie odstępował Burcewa. Mało: Lowuszka i Burcew stali się nierozłączni. Lowuszka zamieszkał u Burcewa. Burcew miał go za swego sekretarza. Lowuszka był

au courant, do tego stopnia, że od pewnego momentu przed nim, jako tak zaufanym człowiekiem Burcewa, nikt się z niczym nie krył. I co za traf! Ach, jakież Burcew uradowany - Lowuszka, który dostał masę pieniędzy od swojego wuja, prawie wszystko przeznacza na gazetę redagowaną przez Burcewa. W gazecie, wiadomo - groźby pod adresem rosyjskiego rządu, artykuły terrorem podszyte. Burcew, ideolog i ideowiec, ach, jakże to on pracował nad biegiem rewolucji... przy biurku. Nie zaprzął sobie głowy demaskowaniem szpiegów i prowokatorów. A tymczasem szpieg i prowokator był jego najbliższym domownikiem. Lowuszka, piękny, wylegujący się do południa w koronkowej pościeli Lew Bettner, agent tajnej policji. To nie były pieniądze jego wuja; to za pieniądze ochrony wydawano rewolucyjną gazetę. Pojmujesz?! Gazeta wychodziła regularnie, porządnie wydrukowana, rozchodziła się tajnymi drogami... finansowana przez ochronę... Wielki naiwny rewolucjonista Burcew dopiero w kilka lat później, przyznawszy, że to prowokacja, zajął się szukaniem zdrajców. I jeszcze wtedy nie przeszło mu przez głowę, że głównym trybem zdrady był jego Lowuszka!

Lowuszka, Lew Bettner, do końca, mieszkając z Burcewem, pozostawał w służbie u samego naczelnika rosyjskiej ochrony za granicą, Raczkowskiego. Pieniądze na gazetę pochodziły bezpośrednio od Raczkowskiego. Czyli co? Czyli organ rewolucjonistów, komunistycznych terrorystów był wydawany pośrednio przez departament rosyjskiej policji. Podobno nawet arkusze korektowe Lowuszka dawał do przejrzania Raczkowskiemu przed zamknięciem każdego numeru! To się nie mieści w głowie, ale jak wiesz, musi się zmieścić. W polityce, okazuje się, jak w przyrodzie. Co ja wypisuję! Wzburzyłam się, czekam na jeszcze jakieś rewelacje, bo czuję pismo nosem, jak zawsze. A potem *adieu! Adieu?* Nie jestem taka pewna. Chyba idealizuję, mając nadzieję na rehabilitację i zajęcie w życiu i w społeczeństwie należnego mi miejsca. Konfrontacja? Już była, i co z tego? A teraz, tu? Czarujący Lowuszka... umarł... kilka lat temu. Wyobraźnia działa; widzisz, jak Burcew go oplakiwał,

prawda? Albo... zawsze jest jakieś albo. Nie nam, nie mnie sądzić. Została po Lowuszcze, a to już coś, obfita korespondencja. Listy podpisywane „Kochający wujaszek” są autorstwa pana naczelnika P. I. Raczkowskiego (prasa wymienia inicjały imienia i otczestwa, nikt ich tu nie zna, może „Marsz” je poda, he, he!). W czasie trwania korespondencji jeździł sobie Lowuszka do Szwajcarii, zawsze w sprawach służbowych, i przez „Kochającego wujaszka” wysyłany, i przez najbliższego Burcewa.

Tak że poczekaj jeszcze, jedyny i mój najdroższy. Jeszcze mnie starość nie dopadła, może będziesz miał nie tylko przyjemność ze mną, ale i ze mnie pożytek.

Całuję Cię delikatnie

Twoja A.

Wiosna 1912

PS. Jak widzisz, dobrze zrobiłam, że postanowiłam popłynąć w przyszłym roku (a może nawet za dwa lata, chyba że nas ponagli sytuacja polityczna). Są cztery rejsy. Z Triestu do Nowego Jorku zawsze „Laura” odpływa 11 maja, „Kaiser Franz Joseph I” - 25 maja, „Argentyna” - 8 czerwca, „Martha Washington” - 15 czerwca i „Oceania” - 22 czerwca. Do doktorostwa Ernestów zachodź zawsze, ilekroć dopadnie cię chandra. Z Ircią, jak wiem z Jej listków, masz doskonale układy i porusza mnie to jak mało co. Ale staram się być ostrożna, nie daję się łatwo wytrącić z równowagi, co znaczy ni mniej, ni więcej - nie dawać się ponosić uczuciom. Czuję przez skórę, że zapowiadają się kolejne rewelacje. Dłoń Mistrza ściskam - opętana fanatyzmem - Anka.

Kartka pocztowa z reprodukcją *Madonny* Murilla.

Najdroższa,
w istocie miałaś rację. Nie wiem, co się dzieje, dewaluacja jaka będzie czy co? (Może to przez te rozruchy na Bałkanach).

Portretowani śpią złotem, nie wiedząc, co robią. Wszak maluję coraz bardziej powierzchownie, choć - ma się jeszcze to oko - odkrywam jak psycholog charakter modela. Czuję się jednak trochę jak chciwy oszust. Jak mnie zobaczysz, to może nawet będę miał ośle uszy. Rozszarpuję pocałunkami - Jacek.

Kraków, 11 sierpnia 1912

Jacku kochany,

z własnej inicjatywy przeniosłam się do szpitala w Podhorcach. Mam tu osobny pokój na poddaszu, w wolnych chwilach skrobię coś tam sobie a muzom dla dzieci. Oszukuję się, że mogę w ten nieco zbyt sztuczny sposób zrekompensować przeżywanie dzieciństwa i macierzyństwa wspólnie z moją Ircią - ale skoro wiem, że się oszukuję, to, jak mówią w Krakowie, pół biedy.

Cała bida natomiast w tym, że oglądając w tę i we w tę Twoją piękną kartkę, nie mogę otrząsnąć się z przykrego wrażenia, że na mojej i Twojej drodze stała inna kobieta. Tak łatwo przyszło Ci odstąpić od wymarzonego wyjazdu za ocean...? Miej się na baczności. Kobieta (oby w tej sprawie zmyliła mnie intuicja!) może być nasłana!

Albo wariatka. Słuchaj:

„Dr Winslow, opierając się na kombinacjach statystycznych, doszedł do wniosku, że w 2212 roku całą ludność ogarnie szal”.

Informację tę, opierając się na doniesieniach prasy angielskiej, pomieścił 10 sierpnia 1912 roku krakowski „Czas”. Dr Winslow, obserwując wzrastające z roku na rok rozmiary szaleństwa, przytacza dane statystyczne: w roku 1859 zanotowano w Anglii 36 762 umysłowo chorych. W roku 1911 było ich już tam 135 000.

„Wiele innych czasopism europejskich odniosło się sceptycznie do rewelacji dra Winslowa. Pisano: «Chorzy umysłowo

-

w takim razie obejmą rządy, a zdrowych będą zamykać pod klucz»,,.

Skąd masz pewność, że przy Marianku spaliłam w popielnicze nie pierwszą, ale drugą lub trzecią stronicę Twojego listu? Przecież ja mogę być niewiarygodnie perfidna. Samotność ponadto i takie pół wdowie, pół starpanieńskie zgorzknienie czynią ze mnie wreszcie - ach, jak tego zawsze pragnęłam - babsko mściwe i w mściwości bezwzględne! - Anka. (Czy Twoja jeszcze? Telegrafuj).

Podhorce, 23 sierpnia 1912

Telegram nadany w 1. Urzędzie Poczтовым w Krakowie 26 sierpnia 1912 r., godz. 15.15:

ANKO Stop. TYLKO TY Stop. MALUJĘ DZIEWIĘCIOLET-
NIĄ OHRENSTEINÓWNĘ Stop. ZDOBYWAĆ MAJĄTEK
ZNACZY MALOWAĆ MIŁE CÓRECZKI MILIONERÓW Stop.
W KOLEJCE JEJ MŁODSZA KUZYNKĄ ODERFELDÓWNA
Stop. HONORARIUM TRZYKROTNIE WYŻSZE NIŻ OHREN-
STEINÓW Stop. TYLE O KOBIETACH W MOIM ŻYCIU
OBECNIE Stop. W DRODZE PAKIET PEŁEN REWELACJI
Stop. KOCHAM BEZ PRZERWY I BEZKRYTYCZNIE Stop JA-
CEK

Pakiet wycinków z gazet w szarej kopercie z adresem zwrotnym malarza, wytłoczony stempel na znaczkach z zielonym i z pomarańczowym wizerunkiem Cesarza - z napisem Kraków II, 27 VIII 1912, 7. Bez listu.

Wycinek pierwszy z odręcznym dopiskiem ołówkiem: 20 VIII 1912:

„PROWOKATORZY. Południowa: grupa socjalistów rewolucjonistów nie przestaje nazywać Bakaję prowokatorem i zarzucać mu stosunki z Azefem. Grupa zapewnia, że zarówno Bakaję,

jak i drugiego, znanego pomocnika Burcewa, Mienszikowa, wprowadził do komitetu centralnego socjalistów rewolucjonistów sam rząd rosyjski i w celu rozbicia stronnictwa poświęcił Azefa.

Bakaj, zdaniem grupy, zasłania teraz Azefa przed zemstą rewolucjonistów, tak jak w swoim czasie Azef uratował Bakaję, kiedy skazany został przez socjalistów rewolucjonistów na śmierć.

Z Paryża telegrafują: W «Matin» ogłasza Burcew rozmowę z Azefem, którego spotkał 15 sierpnia we Frankfurcie nad Menem w kawiarni. Azef opowiedział, że już jako student oddał się na usługi ochrony początkowo za 50 rubli miesięcznie, później stopniowo nawet za 1000 rubli miesięcznie. Zdradzał on policji tylko rzeczy nieszkodliwe [podkreślenie czerwonym ołówkiem i wykrzyknik charakterem pisma malarza, z dopiskiem: tacy zawsze tak się tłumaczą, kanalie!], a przez to odwracał jej uwagę od planów, które sam organizował, np, skuteczny w 1904 roku zamach na Wiaczesława Konstantynowicza Plehwego, ministra spraw wewnętrznych Rosji. Azef wyraził gotowość stawienia się przed sądem rewolucjonistów. Oświadczył, że odbierze sobie życie, jeżeli sąd rewolucjonistów wyda na niego wyrok śmierci”.

Wycinek drugi z odręcznym dopiskiem czarnym atramentem: 22 VIII 1912:

„SZCZEGÓŁY ROZMOWY AZEFA Z BURCEWEM WE FRANKFURCIE NAD MENEM. - Niedawno - mówi Burcew - otrzymałem informację o zaginionym od półczwarta roku Azefie i odkryłem miejsce, gdzie się ukrywał. Nie chciałem niepokoić go niespodziewanie, napisałem doń list następującej treści:

«Tajemnica pańska nie może być dłużej utrzymana. Moge doniesienia me przesłać do partii rewolucyjnej i do pism, zatem nie zdoła pan w przyszłości się ukryć. Nie czynię tego obecnie, lecz proponuję, byśmy się spotkali, gdyż musi być wyjaśniona sprawa, która nabrała wielkiego politycznego znaczenia.

Zamiar ten podejmuję z własnej inicjatywy; chcę pana odszukać i nie mam innego życzenia prócz chęci dowiedzenia się prawdy. Samo przez się rozumie się, że nie urządzę na pana pułapki, zjawię się sam jeden».

Po trzech dniach dostał list od Azefa:

«Propozycję pańską przyjmuję; zgadza się ona z mym od dawna żywionym życzeniem, by wyświecić sprawę. Proponuję spotkanie na dzień 15 bm, we Frankfurcie nad Menem i, rzecz naturalna, nie urządzę na pana pułapki. O miejscu spotkania zawiadomię pana listem na poste restante we Frankfurcie».

Po otrzymaniu tej wiadomości Burcew opuścił Paryż, nie zawiadamiając nikogo o celu podróży. Jednakże dla ostrożności zostawił u zaufanego przyjaciela opieczętowany list Azefa z kilku słowami wyjaśnienia. We Frankfurcie nadał list na poste restante, wzywający Azefa na godzinę pierwszą po południu do kawiarni Bristol. Pośród tłumu niełatwo mu było Azefa odnaleźć. Ten sam się podniósł od stolika - to on Burcewa poznał. Powiadał:

- Od owej nocy, kiedy uciekłem z Paryża, nie widziałem nikogo ani z ochrony, ani z partii. W dziennikach czytałem często, że służę nadal w ochronie. To nieprawda. Do Rosji nie wracałem, a pan jest pierwszym człowiekiem, z którym rozmawiam, nie kryjąc się.

Dalej dementował wszystko, co przeciw niemu pisano.

- Nie należałem nigdy do ochrony - oświadczył wreszcie. - Przeciwnie, nienawidziłem wszystkich jej członków. Wszystko, co zdziałałem, czyniłem dla rewolucji. Popełniłem głupstwo, uciekając z Paryża. Wystarczyłoby rozmówić się z towarzyszami, żeby sprawę wyjaśnić... Tego jednak nie mogłem zrobić. Wstydzilem się... miałem wyrzuty sumienia... gdyż wiedziałem, że na mych rękach była krew!

- Jakże to?

- Tak. W 1908 roku niechcący i nie przykładając do tego większej wagi, wymieniłem wobec generała Gierasimowa imię Rasputinowej. Wyśledzono ją i, jako inicjatorkę spisku, powieszono!

[Między wierszami dopisek malarza: „To się ociera o ciężką patologię! Z Tobą, Anko, postąpił podobnie, ale na wspak, niejako w odbiciu w zniekształconym lustrze. Stryczka w sensie dosłownym wprawdzie uniknęłaś dzięki przytomności umysłu, ale...”].

Przypomniałem Azefowi, że z Rasputinową powieszono jeszcze pięciu rewolucjonistów. Zmieszany, począł się znowu straszliwie płatać w zeznaniach. Mówił jeszcze:

- Jako student uniwersytetu oddawałem policji usługi za 50 rubli wynagrodzenia miesięcznie. Musiałem zdradzać jednych, żeby ratować drugich, niektóre spiski odwlec, zwłaszcza podjęte przez partię, do których nie należałem, by tym pewniej przeprowadzić przygotowane przeze mnie zamachy: na Plehwego, wielkiego księcia Sergiusza, admirała Dubassowa. Policja miała do mnie bezwzględne zaufanie, którego używałem w tym kierunku, by z nią igrać, wydając funkcjonariuszom tylko to, czego nie dałoby się i tak ukryć ani przemilczeć”.

Gazeta powtarza wcześniejsze informacje z „Matin”:

„Za usługi ochrona płaciła Azefowi stopniowo od 50 do 1000 rubli miesięcznie. Chce - i jest gotów - stawić się przed sądem rewolucjonistów. W razie wyroku śmierci popełni samobójstwo”.

Ostatni wycinek, trochę poszarpany (jakby go ktoś komuś wyrwał z rąk):

„AZEF I MIENSIZYKOW. Z Petersburga telegrafują: «Wieczniernieje Wriemia» pomieściło szczegółowy życiorys Leonida Mienszykowa, byłego urzędnika ochrony petersburskiej, który zdemaskował wielu tamtejszych agentów. Gazeta przypomina, że Mienszykow odegra poważną rolę we wznowionej sprawie Azefa. Donoszą, że artykuły w «Matin» zawierają jedną część rewelacji Azefa. Burcew ma wkrótce ogłosić dokumenty sensacyjne!”.

Mój Drogi,

widzisz, jest tak, jak się spodziewałam: nie ma dalszego ciągu sensacyjnych dokumentów. Minęło pół roku i prasa ani mru-mru. Nie ma także sygnału, żeby panowie A, i B, się pozabijali. Musieli się więc widocznie dogadać. Zabawne, prawda?

Tak jak zabawne są wszystkie doniesienia o tych coraz liczniej działających w Galicji kobietach szpiegach, studentach szpiegach, ba! nawet jeden z nich miał należeć do „Sokoła”! Poważne gazety obok wydarzeń wojny bałkańskiej niemal z równym oddaniem zajmują się baronową Norą Hoffmann, Adelą ze Stiechlerów Cellary, Walerią Kryczkowską, Feliksem *Ruckim false* Filomenem Steczyszynem, który miał być dla Cellary jak i dla Kryczkowskiej hersztem i kochankiem, masz, mój drogi, setki nazwisk i tysiące pseudonimów. Co z tym można zrobić? Obrócić się na pięcie i tak jak Rosjanka Gołanczikowna na zawodach awiacyjnych w Johanniathal pod Berlinem pobić kobiecy rekord wzlotu, wzbiwszy się na wysokość 24 000 metrów?

Obrócić się na pięcie? Słyszę, że demobilizacja, koniec wojny bałkańskiej. Poddani z tej i z tamtej strony mogą już znowu w głębi ducha uważać się za Polaków i robić, co chcą, żeby nie zdechnąć z głodu. Mocarstwa tymczasem poważnie zaczynają się zbroić, zwłaszcza te, które sił nie straciły na bezsensownej wojnie. Trzeba poważnie myśleć o wydobyciu się z tego legowiska szakali, póki to jeszcze możliwe. Już nie mam złudzeń. Jeżeli jeszcze nadal wolno nam mieć się za parę, to należymy do tej niezbyt licznej grupy w społeczeństwie, która absolutnie się nie nadaje do działań stadnych. Ty masz robić swoje, sprawiać ludziom radość i niespodzianki, ich, siebie i muzea wprawiać w podziw, wzbogacać widzów o dobre, oryginalne doznania estetyczne. Same najlepsze rzeczy, choć pychą co nieco podszyte. Ja... ja? Tak, jeszcze jestem ja. Ja, która wiem, że nie dostałam od życia tego, czego się spodziewałam. Dlaczego? Ponieważ nie byłam w stanie osiągnąć prosto i czysto tego, co może podświadomie sobie założyłam. Nie miałam ani nie mam zamiaru

dołączyć do sufrażystek, które w Anglii podkładają masy papierów nasyconych naftą i spalają doszczętnie dworce kolejowe i trybuny na torach wyścigowych w imię czego? Głosu dla siebie! Żeby mogły, ciemne w gruncie rzeczy masy babskie, głosować? Na kogo? Na nie tych samych, ale wciąż takich samych. Na tych, którzy się odstrzelili od mas, żeby dołączyć do grona wielkich tego świata! Nie o to mi chodziło, nie byłam dobrotliwa, ale dążyłam do harmonii. Nie trafiłam na właściwego człowieka, a i on trafił niedobrze. Żałuję. Płynmy więc, mistrzu! Ty - na podbój amerykańskich rynków sztuki - dla ciebie to pestka, te rynki jeszcze świecą pustką, a w tobie teraz pełnia! Ja - no, powiedz, po co tam jadę? Żeby się ukryć, prawda? A może po to, żeby móc tam robić to, czego tutaj mi zrobić nie dano. Może to ja wyleczyłabym chorych na szkarlatynę tak pięknie się zapowiadających synów wielkiego rzeźbiarza Wacława Szymanowskiego, co chce dać Krakowowi monumentalny *Pochód na Wawel*, coś z wizji Wyspiańskiego - wszyscy polscy królowie, królowe, święci i święte nadnaturalnej wielkości dążą w pochodzie na dziedzińcu. Kłócą się radni, artyści, uczeni, profani, Szymanowski siedzi niepotrzebnie w Krakowie, tu synowie zapadają na szkarlatynę i w ciągu trzech dni umierają - jeden po drugim. Jaki straszny pogrzeb, wspólny. Lekarze zaniedbali, mnie przy tym nie było, bo mnie być nie mogło. Przecież nie ma epidemii. Są truciele, lecz na nich nie ma rady. Dlaczego nagle, ni stąd, ni zowąd w tym waszym sławnym podwawelskim grodzie świetny lekarz, doktor Norbert Gertler umiera nagle, oglądając drugi akt sztuki Svena Lange *Samson i Dalila* w Teatrze Miejskim? Czy naprawdę tak przejął się losami bohaterów?: poety i filistra zabierającego mu żonę? Czy to była istotnie apopleksja, jak się oficjalnie podaje? Ja, widzisz, chcę mieć szansę na taką robotę lekarską, która będąc doświadczeniem, jest niebezpieczną przygodą. Wiesz, że pod koniec października w ubiegłym roku, kiedyś ty podróżował, łowiąc pędzlem złoto w najbogatszych domach Chrystianii i nie dałeś mi nawet adresu, umarł znany ci lwowski lekarz, profesor Henryk Kadyi - dusza człowiek, choć „tylko” prosektor. Niecałe

dwa tygodnie wcześniej, 12 października, balsamował zwłoki marszałka Badeniego. Uległ przy tym zakażeniu krwi. Jad trupi, jak się okazuje, wydziela także ciało szanowanego polityka, człowieka wielkiego formatu. Koledzy lekarze - no, pół medycznego Lwowa - ratowali go, jak mogli. Ale wywiązało się zapalenie płuc. I balsamowany, i prosekator byli w tym samym wieku, niebezpiecznym [dopisek malarza ołówkiem, jak każdy wiek] - tuż po sześćdziesiątce. Ledwo zwinęli czarne flagi po Badenim, już zawisły nad Lwowem nad cenionym i kochanym Kadyim. Wiem, czuję, że ratowanie takich przypadków wymaga moich rąk. Nie przechwalam się, ale cudów wprost tutaj dokonuję, w tych małych, zacnych, pięknych, malowniczych miasteczkach; beznadziejnie chore dzieci wyrrywam ze szponów śmierci, zajmuję się śmierdzielami, których rodziny pozbywają się z całkiem dobrych domów, nie to, żebym przedłużała ich cierpienie, ale do ostatniego dnia daję takiemu moriturowi przekonanie o jego godności. Żyję tutaj, w „staropanieńskim” błękitnym, takim chabrowym pokoiku na mansardzie, sypiam rzadko, czytam wiele, a ile tu wiktuałów; wszystko, co tam upieką najlepiej, wysmażą czy zamarynują, przynoszą mi wdzięczni krewni tych i tamtych pacjentów. Nie tyję na szczęście ani trochę, tylko - odpukać - staję się coraz silniejsza. Planuję wyjazd, bo mówię ci, zanosi się na wojnę, a wtedy w Europie co najwyżej tułaczka - a jak już tam własnymi rękami i przy bożej pomocy zrobi się dobrze, ściągniemy Ircię (lub ją osobiście sprowadzę) do Nowej Ziemi.

Piszę do Ciebie, Miły, po 18 marca 1913, są właśnie ważniejsze wiadomości: ostatnia o zamordowaniu króla greckiego. Żeby to gdzie z dala od jego kraju - ale w Salonikach!? Mordercą jest Grek, piszą, człowiek zupełnie podupadły. Co to może znaczyć? Pozbawiony możliwości godziwego życia we własnym kraju? Pewnie tak jest. Inaczej więc tu w naszym pięknym dwudziestym wieku w Europie nie będzie. Terror od samej góry. I jeszcze raz terror. To nie jest świat dla mnie. Chciałabym być także i przez Ciebie dobrze zrozumiana. Śmieję się,

Tobie wolno, że to piszę ja, która, jak to we Lwowie się mówi, sama mam masło na głowie.

Zaniepokoił mnie brak listów od Ciebie. Wiadomości przekazywane mi ustnie przez Marianka to nie to samo. Nie chcesz, z jakichś powodów nie możesz - nie pisz. Cóż jest wobec tych wszystkich przeżytych okropieństw te kilka miesięcy, które mnie dzielą od zobaczenia się z Tobą. Stanie się to najprawdopodobniej już na pokładzie, bo diabeł nie śpi. Pamiętaj, nigdy Ci się nie chciałam narzucać, a kiedy Ci pozowałam po raz pierwszy do tego wyjątkowego portretu, który, jak mówisz, przyniósł Ci szczęście, narzuciłam się przypadkowo i spłoszona sama jak najszybciej uciekłam. Czytaj, proszę Cię, Ma-larzyku, między wierszami, na chwilę zrzuć z siebie maskę nadętego indora, wiesz, że nie mam Cię zamiaru obrazić. Najwyżej uwolnić od ciężących Ci więzów. Twoja - być może - jakże w ostatnich zdaniach ryzykowna Anka.

Na walizkach, wiosna 1913

5. Bóle porodowe

W rok później, w lipcu, parowiec „Martha Washington” zjednoczonego towarzystwa żeglugi Austro-Americana zbliżał się do wybrzeży Nowego Jorku. Pasażerowie wszystkich klas wylegli na pokład, żeby zobaczyć zamglony pejzaż z blaskiem porannego słońca na Statui Wolności. Okrzyki radości i łyż wzruszenia pomieszały się z przeraźliwym krzykiem. Młoda polska chłopka z kształtną głową przewiązaną chustką czerwoną jak maki, siedząc na deskach pokładu, oparta o pakę obitą brezentem, a raczej do niej przyparta, rękami przytrzymała wielki okrągły, w górę dziarsko wznoszący się brzuch. Krzyk wywołały bóle porodowe - a gładka twarz chłopki była ponadto naznaczona niepewnością i poczuciem osamotnienia. Co z tego, że dwaj chłopci - mąż jej pewnie i brat albo szwagier -

rozglądali się i powrzaskiwali, szukając akuszerki, lekarza, felczera, choćby fizyka czy, jak się wyrażali, weteraniarza.

Anka, opalona, z nagimi smagłymi ramionami, i z kilkoma wyraźnymi nitkami siwizny w gęstych czarnych włosach, rozłączyła się z artystą malarzem Jackiem - odmienionym, bo w panamie, w garniturze tenisowym i ze starannie przystrzyżonym wąsikiem. Pobieгла do chłopki, uklękła przy półleżącej, uspokajała ją, gładząc, bez słów.

- Na dół lećcie migiem do kuchni - nakazała gapiącym się chłopcom. - Krzyczcie, że poród, krzyczcie: *das Gebären*, krzyczcie: *die Geburt*, co chcecie, stamtąd szybko przynieście wiadro ciepłej wody, ręczniki czyste, miskę.

Chłopcy popędzili, tylko migwały im gołe pięty, Anka pochylała się z całą fachowością nad spoconą i stękającą ciężarną.

- Aha, no tak. To twój pierwszy poród... - Ułożyła ją fachowo na czystych deskach pokładu. - ...Tyś ładna, to i dziecko będzie ładniutkie. Nic się nie bój. Przyj tylko. Wiesz, co mówię, przyj! O, widzisz. Śmieję się, jak chcesz. Tylko nie płacz. Wiem, wiem, nigdy nie płakałaś, w porządku!

Dwaj ortodoksyjni starozakonni, stojący tuż przy stopach nagle wraz z Anką śmiejącą się chłopki, całkiem czarno ubrani i w kapeluszach, dopiero teraz, kiedy Anka bezkompromisowo zajęła się rodzącą, taktownie się odwrócili - i na tle bielejącej Statui Wolności deliberowali:

- A jeśli już się szczęśliwie urodzi, to jako miejsce urodzenia co będzie miało? Czy już Nowy Jork, czy jeszcze Austro-Americana, a raczej piękna „Martha Washington”, jak się nazywa nasz okręt o podwójnej śrubie - oby dobił szczęśliwie do brzegu?

- Bo „komu się morze zdarzyło przepłynąć, może na Dunajcu zginąć”. A!?

- Austro-Americana. To tak ładnie. Byłbyż więc nowo narodzony obywatelem świata? Może Mesjaszem?

- Sza! W każdym razie, skoro poród już tu się zaczął, on będzie bezpłatnie podróżował tą linią!

- Pod warunkiem, że jeśli to dziewczynka, dostanie imię Martha, a jeśli chłopiec, no to Washington.

- Washington na imię, w głowę się trzeba puknąć! To tak, jakby ktoś miał na imię Bismarck!

- A Napoleon?

- Ojjoj! Dialektyka godna myszgene!

- Niedługo wszystko będzie możliwe. Dasz dziecku imię Kot i tak zapiszą, i tak pozostanie.

- Chyba nie w Ameryce. Raczej w komunizmie.

- I tu, i tam.

- No to dobrze. Pan Syjamski da synowi na imię Kot.

Chłopcy przynieśli jeszcze jedno wiadro ciepłej wody, znalazła się kobieta z obsługi - skłonna do pomocy, przyniosła nawet pachnące mydło i wazelinę. Anka wysłała ją z kluczem do własnej kajuty, skąd tamta przyciągnęła Anki kufer lekarski - akurat w najbardziej odpowiednim momencie. Pani doktor zajęła się profesjonalnie tą najważniejszą chwilą w życiu matki i dziecka. I wreszcie - pierwszy krzyk.

- Jest, jest! - zaraz potem krzyknęli chłopcy.

- To jest on; wiesz, chłopak! - powiedziała Anka do położnicy i wierzchem dłoni odgarniając włosy z twarzy, zaczęła się rozglądać za swoim coraz sławniejszym artystą malarzem. Wreszcie dostrzegła tego niewczesnego eleganta, wziętego w Europie portrecistę, nie bez podstaw planującego podbój Ameryki: na nic innego nie zwracał uwagi, tylko na młodziutką, z arystokratycznym rodowodem, fiołkowooką damę. Ona pysznie się prężyła, oparta o balustradę, on wypuszczał piękne słówka niemal wprost do jej ust.

Oczy Anki, normalnie koloru laskowego orzecha, zrobiły się ciemne - jak czarnoziem po deszczu.

Jakiś chłopak szedł w jej stronę majestatycznie. Niósł całą górę płóciennych ręczników, jeszcze ciepłych od prasowania.

- A wot eto i nasza gospodina Korowskaja!

Podderwała się na dźwięk głosu, którego nie spodziewała się usłyszeć już nigdy.

Ten głos powinien był wypaść jej z pamięci. Oraz ten człowiek, lekko kędzierzawy szatynek o kwadratowej twarzy, tak nalanej, że koloru małych oczu nie można się było domyślać.

- Miałam pana więcej nie spotkać - powiedziała zmieszana. Brakowało jej tchu; poczuła się tak, jakby ktoś ją bez ostrzeżenia zamknął w ciasnej spiżarni wypełnionej stęchlizną.

- To pani mnie miała nie poznać. Pani pomyłka! Pani miała udawać, że mnie w ogóle nie zna. A tak? Nu! Teraz to wielki błąd, gospodina Korowska, o, szkoda! At! - machnął ręką - tutaj to już nie ma większego znaczenia. Właściwie żadnego... ale to żadnego. Nowy kraj; tu na razie jeszcze niczego takiego nie ma. No więc może niech pani tak na mnie nie spoziera, bo pani gotowa mnie zabić oczami! Pani mnie nie zabije?

- Nikogo nie zabiłam.

- Gadki-szmatki.

- Muchę to bym może zabiła.

- Pani mnie wcale nie rozśmiesza. Ale po co to wszystko? Ten Gala mógł sobie żyć. Ja bym go nie tknął, on płotka. Ja to bym go najwyżej przekupił. A gospodina Korowskaja co? Oj, oj! Do Teksasu udaje się. No, wiem! Do Teksasu, leczyć tych gburów, tych koniuchów, kowbojów czy kałbojów, nieprawdaż? Z czyściutenieczką kartą! Piękna, niegłupia pani, zaradna. Nu, to już niby nie ma znaczenia, ale...

- Nie da się tego odciąć?

- W sensie, że niby co? Ja ruszam w swoją stronę, a gospodina Korowskaja - w swoją. Wielki kraj. My się już nie spotkamy. Pani ma w oczach broń palną. Proszę, niech pani zabezpieczy... zabezpieczy spojrzenie! O, jak ja bym pragnął wiedzieć jedno! Jak sobie pani z tym wszystkim przez te lata radziła? Jak pani chodziła z tą sekretną sprawą?

- Powiedzieć? Że co? Że może wyłączyłam to w sobie? Ja? Ale dlaczego ja właśnie? To nie ja, to w żadnej mierze nie mogłam być ja. A tu wy od lat w zgoła niespodziewanych momentach wyskakujecie jak diabeł z pudełka i z tym waszym moskiewskim akcentem! „Gospodina Korowskaja”, też coś. Nie

sądziłam, że to może tak mocno działać psychologicznie. Ja was przecież w ogóle nie znałam i wy nie znaliście mnie, tylko jakąś zupełnie inną osobę. No, co tak patrzycie? Chcecie, żebym wam to jeszcze raz powtórzyła? Tak, zostałam doprowadzona do tego, że za którymś razem w końcu przez mgnienie poczułam się tą osobą, którą we mnie uparcie wmawialiście. Wasz ciężki wysiłek jakoś się wam, onaniści, opłacił. Tak, tak, w pewnej chwili i, jak mówię, na moment, wtłoczyliście tamtą jakąś nikczemną babę w całe moje ciało, w każdy nerw, w każdą tkankę. Przez mgnienie stałam się nią. I w tym mgnieniu powstała rzecz tyleż ordynarna, ile budząca współczucie dla, nazwijmy ją, sublokatorki: oto ja-nie ja, ona-nie ona, więc to coś, kim jednak, cokolwiek by mówić, byłam... więc jednak ja... Ja przed samą sobą udawałam, że nie mam z tym nic wspólnego!

- Pani słaby?

Co za idiotyzm? Co to w ogóle znaczy. Pani czy słaby? Może miało być...?

- Pani słaby?

Jakiś chudzielec w czapce ze złamanym tekturowym daszkiem. W pierwszej chwili sprawia wrażenie starca, ale dlaczego? Ubranie wisi na nim jak na wieszaku, jakaś szara kapota, przykrótkie wyszmelcowane spodnie. Przecież tak nie wolno; tak go przebrali, o! A ma fioletowe oczy o szerokich źrenicach, to młody chłopak, Żyd, może mieć najwyżej piętnaście lat, i znać, że zanim się znalazł na okręcie, nie wychodził poza mury chederu i jeszybotu. Wyciąga długie ręce.

Musiałam upaść.

- Czy ja upadłam?

- Upadłam? Tak, pani upadła. Przepraszam, powinienem był spytać „pani słaba”, prawda? Teraz mi będzie potrzebny jeszcze jeden język.

- Tak, byłam słaba, musiałam być słaba. A wszyscy myśleli, że jestem silna.

- Pani doktor, tak?

- Tak. Odebrałam poród.
- Zapomniałem języka. Widziałem odbieranie porodu. Wstrząs, pani doktor. Wszystko tam jest dobrze.
- A ten Rosjanin? Gdzie ten, wiesz, no, był tu, rozmawiałam.
- Rosjanin? Nikogusieńko! Sama z sobą pani rozmawiała. Stałem, głowę podtrzymywałem pani o tu, żeby się pani nie potłukła, bo pani rozgrzana widocznie na słońcu głowę w tył odrzucała podczas tej specyficznej rozmowy.
- Specyficznej?
- Pomyliłem się w czymś?
- Nie, nie, ty mnie zadziwiasz. Wszystko słyszałeś.
- Tak, ale nie wszystko mogłem zrozumieć. Rosyjskiego nie znam ani na jotę.
- Tym lepiej.
- Proszę?
- Mniej bagażu, lżej nam będzie wspólnie wyjść na ląd. Bo wyjdziemy razem i już nigdy się nie rozstaniemy. Nic nie mów. Musisz mieć kogoś takiego. I ja muszę! Jak będziesz miał teraz na imię?

Ukończyłem w Krakowie 20 listopada 2006 roku.

Spis treści

CZEŚĆ PIERWSZA

Kobieta zhańbiona	5
1. Wypadek	7
2. Dziwny kolega lekarz	11
3. Stefan czuje coś tuż przed Einsteinem	15
4. Car płonie z wyraźnym trudem	18
5. Lubią patrzeć, jak on się męczy	19
6. Człowiek bez broni to nagi na ulicy	25
7. Klucz w toalecie	28
8. Smętne zaloty	32
9. Trafiony zatopiona	33
10. Nigdy w to nie uwierzę	34
11. Nowe ofiary halnego	35
12. Paluchem po szybie	37
13. Różne odcienie zdrady	38
14. Prawie sielanka, krwawa kura, chwila najgorszych myśli	41
15. Będziesz ofiarą własnej zaborczej miłości	46
16. Samce w śródmieściu nocą	49
17. Drogado wroga	53
18. W kąpielu	67
19. Kiks	68
20. <i>Lapis infernalis</i>	68

21. Krwotok	69
22. Niedyskrecje małżeńskie	73
23. Trupi ciąg	75
24. W tarapatkach	76
25. Niskie czyny z pięknymi intencjami na horyzoncie	78
26. Czarodziej Izaak Feuer	80
27. Widok na zawsze (na własność)	82
28. Na swoje miejsce	83
29. W kwestii byłych agentów	84
30. Dama na ganku. Coś w rodzaju olśnienia	88
31. Błaga, błaga	92
32. To nie są żarty	94
33. Biała magia	95
34. Przedświt	98
35. Szpieżek kanalia	103
36. Żeby nie było kiczu	105
37. Idź stąd!	107
38. Gry wstępne, he, he, takie preludium mgielne!	108
39. Zmierzch	109
40. Nowy romans lustrzanym odbiciem starego romansu .	110
41. Ślad myśli	112
42. Instykt - i bez śladu myśli	113
43. Cień zdrady. Zdrada?	116
44. Szkoda zmarnować	117
45. Szalenięć wpatrzony w lufę	118
46. Taktowny legawiec	119
47. Koniec jego (ich?) świata	121
48. Coś za coś <i>albo</i> Znowu to samo	123
49. Napaść	128
50. Sitzredacteur to nie tylko funkcja	129
51. Bez tasaka	131
52. Dialog z gestykulacją przy trupie	135
53. Tak	137
54. Na ulicę!	138
55. Nie ma żadnych dowodów	140
56. Przybysze	142
57. Słoneczna topielica i półnaga prawda	143

58. Zero	148
59. Analiza intymna	152
60. Sekret mecenasa Schwarzenstrumpfa	155
61. Znak	157
62. Teraz dopiero lepko	164
63. Śmierć	167
64. Trzeźwy pijak, pijany obserwator	168
65. Zima w Krakowie	172
66. Ludzie się boją; ludzie zawsze się boją	174
MIĘDZY CZĘŚCIAMI	177
Z zapisków znalezionych przy ciele	181
CZĘŚĆ DRUGA	
Nie mów: Boję się tej kobiety	217
1. Kto zliczy szpiegów na cmentarzu	219
2. Artysta i modelka	223
3.1 jak tu żyć bez pożywki	225
4. Światło na śniegu	226
5. Słyszeć słowa	228
6. Dom różnych córek	232
7. Zdarza się, że nawet los... bywa sprawiedliwy	235
8. Spryciarze	236
9. Starzy chłopcy nad rzeką	239
10. Śmierć adwokata	242
CZĘŚĆ TRZECIA	
„Piwniczny kwiat”	257
1. Straszne dni	259
2. Proces	277
3. Jedno z wyjść	385
4. Jak wygasają uczucia	390
5. Bóle porodowe	407